

DANIEL DEFOE

## ROBINSON KRZUOE

Według Daniela Defoe napisał Stanisław Stampf'

### DOM I ŚWIAT

*Urodziłem się w roku 1632 w Anglii, w mieście Yorku. Ojciec mój był kupcem i handel morski przyniósł mu w ciągu lat znaczny majątek. A jednak w rodzinnym domu, jak pamięcią sięgam, zawsze gościł smutek. Oto miałem niegdyś dwóch starszych braci. Obydwu ich zabrało morze. Tak tedy, obdarzywszy ojca mojego majątkiem, dom nasz na zawsze okryło żałobą. Byłem najmłodszym synem moich rodziców. Ojciec mój inną mi sposobił przyszłość, ja jednak - wzorem moich braci - pragnąłem zostać żeglarzem. Pragnienie to silniejsze było niż przestrogi życzliwych przyjaciół, niż wola i nakazy ojca, niż prośby i nalegania matki...*

- Znowu cały dzień straciłeś w porcie, nie zajrząwszy nawet do kajetu. Nie pojmuję doprawdy, jak możesz tak lekkomyślnie traktować moje prośby i nakazy ojca!

Pani Krzuo mówiła spokojnie, nie podnosząc ani na chwilę głosu, ale Robinson wiedział, że tym spokojem matka pokrywa wzbierający gniew. Zawsze była na pozór opanowana, nawet gdy zasługiwał na ostre wymówki. Ten spokój dziwnie harmonizował z żałobą noszoną od lat, a ściśle od dnia, w którym jakiś obdarty człowiek przyniósł tragiczną wiadomość o śmierci jej pierwszego syna.

Robinson pochylił głowę. Przez otwarte okno słychać było pogwizdywanie mleczarza i grzechot drewnianych konwi zdejmowanych z wózka, na którym chłopiec przed chwilą wrócił z pobliskiego portowego miasta.

- I może mi wytłumaczysz, dlaczego znowu byłeś w Hull, skoro raz na zawsze zakazaliśmy ci tam jeździć bez naszej zgody?

Chłopiec, milcząc, opuścił głowę jeszcze niżej. Mleczarz głośno do kogoś zagadał i strzelił z bicia. Oddalający się klekot kopyt uciął na zakręcie uliczki. Robinson spojrzął w okno, za którym zieleniły się drzewa, i pomyślał, że port w Hull jest takim właśnie oknem otwartym szeroko na świat. Za garść tytoniu można tam od przygodnego majtka nasłuchać się najróżniejszych opowieści, z których każda bardziej jest interesująca niż książki, dom, szkoła i zabawy w gronie rówieśników. U nabrzeża kołyszą się lekko trzymasztowe statki kupieckie i zgrabne rybackie łodzie. Wiatr zwija i rozwija kolorowe bandery na masztach, morze marszczy się drobną falą aż po daleki widnokrąg i cicho snują się opowieści o nieznanym lądach, nieprzebranych lasach brazylijskich, o złotopiórych kolibrach, gromadkach swawolnych małpek, o wspaniałych miastach Wschodu, o bogactwie gorących krain, gdzie wystarczy schylić się, ażeby zbierać złoto, perły, rubiny, diamenty...

Robinson nie wiedział, ile prawdy jest w tych opowieściach. Wierzył opowiadającym na słowo i dom wydawał mu się nudny, kantor kupiecki ojca - odpychający, szkoła - miejscem, gdzie traci się czas, gdy jedynie tam, na morzu i za morzem, życie jest naprawdę wspaniałe. Nic też dziwnego, że z niedozwolonych wycieczek do Hull wracał zawsze do domu niespokojny i rozgorączkowany.

- Czy ty nie masz gorączki, mój chłopcze? - chłodna dłoń matki spoczęła na czole Robinsona. - Bo coś mi się zdaje...

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy. Zastanowiła się chwilę.

- W takim razie dobrze będzie, jeśli pójdziesz do ojca. Może on ci przemówi do rozumu - i lekko popchnęła go w stronę drzwi wiodących do gabinetu pana Krzuo.

Robinson wszedł tam z pewną obawą. Pokój był mroczny, pachnący skórą, lekarstwami i fajkowym dymem. Ojciec, chory od lat, opuszczał go bardzo rzadko. Jak zwykle, tak i teraz siedział w głębokim fotelu z grubo obandażowaną, bezwładną nogą, wspartą na niskim taborecie. Półmrok komnaty rozjaśniał tylko żarzący się na kominku ogień. W jego poblasku siwa głowa pana Krzuo przypominała głowę jakiegoś egzotycznego ptaka. W wychudłej i trochę jakby martwej twarzy naprawdę żyły tylko oczy. Te oczy, zwykle łagodne i powleczone mgłą smutku, teraz patrzyły na Robinsona twardo i pochmurnie.

- A więc postanowiłeś, jak słyszałem, zostać żeglarzem? Stań no tutaj, chłopcze.

Przezroczyta dłoń ojca wskazała kąt oświetlony żarem kominka.

- Postanowiłeś zostać żeglarzem. Czy tak? - i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Nigdy bym tych mrzonek nie traktował poważnie, gdyby nie skargi twojej matki i twoje zaniedbanie w nauce. Myślę przeto, że nadszedł czas, ażeby pomówić z tobą jak z dorosłym człowiekiem.

Otóż postanowiłem, abyś został prawnikiem. To jest zawód godny młodego człowieka, któremu trud rodziców zapewnił możliwość nauki i dostatniego życia. Wiem, że nie bawią cię kupieckie księgi i że nie zastąpisz mnie w moim kantorze. Pragnę więc, abyś zdobył wykształcenie, które pozwoli ci przynajmniej używać rozsądnie dostatków, jakie ci pozostawię.

Chłopiec słuchał, błędząc spojrzeniem po pokoju. Na dębowym stole, pod przezroczystym, szklanym kloszem, stał mały okręcik - misterne cacko o kadłubie z brunatnej połówki kokosowego orzecha. Wzdęte pergaminowe żagle kierowały go dziobem w stronę półki, na której leżały zakurzone księgi kupieckie. Tam, pośród not o imbirze i pieprzu, między długimi kolumnami cyfr, można się było także doszukać dalekich łądów i dalekich mórz.

- Nie sądź, że znajdziesz szczęście na morzu - ciągnął dalej ojciec. - Zapewniam cię, iż jest ono żywiołem przeklętym. A może myślisz, że zostaniesz admirałem? Na to trzeba mieć przynajmniej dyplom szlachecki, jeśli się nie zna geometrii, astronomii i nawigacji. Ty zaś nic nie umiesz i nie jesteś, mój drogi, szlachcicem. Ale nawet gdybyś chciał zostać tylko okrętowym cieślą, musiałbyś nabyć umiejętności cieśli. Czy ty zdajesz sobie z tego sprawę? Kim więc chcesz zostać w końcu? Awanturnikiem? Jednym z gromady obdartych obieżyświatów, stworzonych do szorowania pokładów na kupieckich statkach? Bo cóż? W najlepszym razie mógłbyś po latach zostać zaledwie szyprem jakiejś nędznej łupiny, nie będącej w dodatku twoją własnością. Czy w tym widzisz swoją przyszłość? Odpowiedz wreszcie. No? Czekam. Czekam, mój synu!

Chłopcu przypomniał się Mathews, stary rybak z Hull, który zwykł mawiać, że za żadne skarby świata nie oddałby ani jednego dnia swojej żeglarskiej tułaczki po morzach i że wyżej sobie ceni okruchy starego suchara niż świątecznego indyka na kupieckim stole.

- Chciałbym zostać żeglarzem - rzucił Robinson śmieiej nawet, niż zamierzał. - Przecież i ty, mój ojciec, niegdyś, za młodu...

- Nawet mi o tym nie wspominaj. Jesteśmy rodziną żeglarzy, ale nie jesteśmy stworzeni po to, aby szorować cudze pokłady. Odkąd zdobyłem pewny kęs chleba, noga moja nie stanęła więcej na trapie. Pozostawiłem to ludziom niższego stanu. Ty, będąc moim synem, należysz już do stanu średniego i stoi przed tobą otworem gładka droga życia. Na niej też winienesz szukać swojego szczęścia. Będzie to już chyba winą losu lub najpewniej twoją własną, jeśli go nie osiągniesz. Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

- Ale ja, mój ojciec, chciałbym poznać świat. Chciałbym zobaczyć inne kraje, innych ludzi. Przecież są sprawy ciekawsze niż angielska mgła. Opowiadano mi w Hull...

- Przestań! „Ciekawsze niż angielska mgła”, powiadasz. I dla tych ciekawszych spraw gotów jesteś porzucić chorego ojca i starą matkę? Gotów jesteś pozostawić nas samych? Popatrz! - przezroczysta dłoń pana Kruzoe uniosła się w stronę kominka, na którym stał, pokryty kurzem, kolorowy globus. - Popatrz! Ziemia jest kulą, mój chłopcze. I każda droga prowadzi do domu. Do rodzinnego domu...

- Właśnie, mój ojciec...

- Nie przerywaj! Ale każda z tych dróg może być zbyt długa na siły człowieka, kiedy dom swój dobrowolnie porzuci.

Starzec pochylił głowę, a Robinsonowi zdawało się przez chwilę, że w jego oczach zalśniły łzy. Stał tedy, milcząc, i patrzył, jak ojciec niezdarnym ruchem ujął w dłoń kostur, aby rozprostować leżącą przed kominkiem skórę. Nie padło już ani jedno słowo, ale chłopiec i tak wiedział, dlaczego drży ręka pana Kruzoe. On również pomyślał w tej chwili o braciach, którzy zginęli na morzu. Odczekał jeszcze chwilę, a ponieważ milczenie trwało i ojciec nie unosił głowy, cicho wysunął się z pokoju. Dopiero przed domem, na podwórzu, odetchnął głęboko.

Drzewa stały oblane czerwonym blaskiem. Pustą uliczką przebiegł chłopak od piekarza, stukając głośno sabotami. Po omszałym dachu spacerowały gołębie. Gdzieś daleko, nad morzem, zachodziło słońce.

## POKUSA

*Byłem tą rozmową szczerze przejęty, jak byłby zaiste każdy na moim miejscu. Postanowiłem nie myśleć już więcej o zamorskich wyprawach, ale siedzieć w domu, wedle życzenia rodziców, jakkolwiek nie było to łatwe. Nie ma rzeczy bardziej przejmującej, jak widok ómy krążącej nocą wokół zapalanej świecy. Już, zda się, wątle skrzydełka obejmują płomień, a ona krąży uparcie, nieświadoma zguby. Czyż jest na to rada?*

W izdebce na poddaszu pojawiły się na stole książki i kajety. Gorzej było tylko z ochotą do pracy.

Zdarzało się, że Robinson całe godziny trawił, patrząc w okno i myśląc o Hull. Najtrudniej było rano, kiedy o świcie budził go ze snu turkot wózka i znajome pogwizdywanie. Stary mleczarz polubił chłopca, przywykł do wspólnych wypraw i nie mógł zrozumieć odmiany. Toteż codziennie uparcie hałasował pod domem, sądząc, że jego młody przyjaciel po prostu zaspał. Chłopiec tymczasem wciskał głowę pod poduszkę, aby nie dać się uwieść pokusie. Dopiero późnym popołudniem, gdy w pustej uliczce rozlegał się grzechot drewnianych konwi oznajmiający powrót mleczarza, Robinson spokojniej zagłębiał się w nauce. Przed nikim zresztą nie zwierzał się ze swoich tęsknot, toteż rodzice uspokoili się zupełnie, tym bardziej że pastor Evans, który opiekował się chłopcem, począł go chwalić za postępy.

Tak mijaly tygodnie i miesiące, złożone z monotonnych, podobnych do siebie dni. Aż jeden z nich przyniósł odmianę.

Pewnego dnia pojawił się w okolicy Mathews. Przybył do Yorku, aby odwiedzić córkę, a ponieważ przy okazji przyniósł na sprzedaż trochę ryb, zaszedł po drodze do państwa Kruzoe. Robinson siedział właśnie na ławeczce przed domem i biedził się nad łacińskim *pensum*\*, gdy stary rybak stanął nagle w furtce. Za późno było na ucieczkę. Mathews szedł w stronę chłopca, utykając na lewą, nieco krótszą nogę, i swoim zwyczajem mrucał coś pod nosem, na poły gniewnie, na poły żartobliwie. Chłopiec zerwał się z ławki i książka wypadła mu z rąk. Mathews przystanął, spojrzął spod przymrużonych powiek, przesunął ruchem warg fajkę w kąt ust i nie witając się nawet, mruknął:

- A statki na morzu kołyszają się tak jak i dawniej, mości Robinsonie... Chłopiec nie odpowiedział i stał nieruchomo, aż Mathews, chichocząc cicho, przesunął się przez drzwi i znikł w sionce. Dopiero teraz schylił się po książkę. Ale nie podniósł jej. Podniósł natomiast leżący obok kamień i śmignął nim ze złością ponad drzewa i dach, aż sfrunęły spłoszone gołębie. Po chwili jego szybkie kroki zadudniły na drewnianych schodach wiodących na poddasze.

W sieni na dole Mathews rozmawiał z panią Kruzoe. Słychać było aż tutaj jej mocny, wyraźny głos i jego przerywane chichotem zrzęczenie. Po chwili weszli do kuchni. Widocznie pani Kruzoe postanowiła kupić ryby. Chłopiec wbiegł do swej izdebki i rzucił się na łóżko, aż zatrzeszczały deski. Czyż nigdy nie ruszy się za próg domu i miejskiej rogatki Yorku? Więc nigdy nie usłyszysz naprawdę łopotu rozpiętych żagli? Wszystko to ma pozostać jedynie w marzeniach? Co powie taki Mathews, jeśli zobaczy go jako adwokackiego pisarza? Nagle odżyły w pamięci zasłyszane w porcie opowieści i tłumiony od dawna żal zerwał mozolnie wznoszone w ciągu wielu miesięcy tamy, wyciskając z oczu łzy.

Zmierzchało już, kiedy Robinson zszedł na dół do matki. Zastał ją w kuchni. Pochylona nad szerokim stołem, czyściła przyniesione przez Mathewsa ryby. Srebrne łuski pryskały gęsto spod noża na czysto wyszorowane deski. Pani Kruzoe lubiła zajmować się gospodarstwem. W białym, sztywno wykrochmalonym fartuchu wyglądała mniej groźnie niż zwykle. Robinson podszedł do stołu. Przerwała na chwilę czyszczenie i sięgając po następną rybę, spojrziała na chłopca.

- Zmęczony jesteś? Czy może chciałeś mi coś powiedzieć? Wyglądasz tak, jakby cię coś dręczyło, Robinsonie...

Uczył ruch, jak gdyby chciał przypaść do rąk matki. Ale poczuł nagle, że łzy napływają mu do oczu, zawstydził się więc, wyprostował i zaczął prawie szorstko:

- Tak. Dręczy mnie życie, jakie muszę tutaj prowadzić, mamo.

- Życie, jakie musisz prowadzić? Nie rozumiem cię, synu.

- Tak. Ani ty, ani ojciec nie chcecie mnie zrozumieć. I nie możecie zrozumieć, jak bardzo się męczę.

O, gdybyś zechciała skłonić ojca, aby pozwolił mi odbyć chociażby jedną podróż! Gdybym chociaż raz mógł wyruszyć stąd w świat, o którym ciągle marzę, to przyrzekam, że po powrocie nie ruszę się już na

krok z Yorku i zrobię wszystko, czego ode mnie zażądacie.

Pani Kruzoe odłożyła rybę, nóż i powoli wytarła ręce fartuchem.

- Dziwię ci się, mój chłopcze - zaczęła spokojnie - że raz jeszcze powracasz do tego tematu. Dziwię ci się tym bardziej, że ojciec dostatecznie stanowczo wytłumaczył ci bezsens tych wszystkich pomysłów.

- A jednak muszę spróbować! - Robinson powiedział to i przestraszyła go własna śmiałość. Chciał jakoś złagodzić wrażenie i zaczął zaraz innym już tonem: - Zrozum mnie, mamó, przecież ja już wyrosłem z lat, kiedy zwykło się zaczynać termin w handlu czy u adwokata. Na to jest już za późno, a przy tym brak mi cierpliwości i zamięłowania po temu. Wiem, że nie potrafię się zmusić do tej pracy, a choćbym nawet ją zaczął...

Pani Kruzoe przerwała, tym razem ostro, w pół słowa:

- Dobrze. Jeśli więc szukasz guza tak uparcie, to nie ma dla ciebie ratunku. Ale wiedz, że nie otrzymasz nigdy naszej zgody. Ani ja, ani ojciec nie przyłożymy ręki do tej sprawy. A teraz wracaj do siebie. Nie zasługujesz na to, abym dłużej z tobą rozmawiała.

Robinson wrócił na poddasze, odsunął książki i usiadłszy przy stole, ukrył twarz w dłoniach. Ostatnia próba zawiodła. Słyszał, jak matka przeszła przez sień i otworzyła drzwi do gabinetu ojca. A więc jednak poszła z nim pomówić. Odczekał chwilę i wyszedł na schody. Ojciec pewnie już wie o wszystkim i gniewa się albo martwi. Więc teraz on sam do niego zejdzie, upadnie im obojgu do nóg, poprosi, ażeby go raz jeszcze wysłuchali. W tej chwili z pokoju na dole, mimo zamkniętych drzwi, dobiegł gniewny głos pana Kruzoe:

- Dla chłopca byłoby najlepiej, gdyby pozostał w domu. Jeśli nas opuści, sprowadzi na nas i na siebie nieszczęście. Ja na to nie dam mojej zgody!

Robinson zawahał się i cofnął. Rozmową nie miała sensu.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Zrazu czekał i nasłuchiwał, czy matka nie wezwie go jeszcze do siebie. Słyszał, jak zamykała furtkę od ulicy i drzwi wejściowe, jak wchodziła do swego pokoju. Po chwili dom zaległa cisza. Dawno już zegary ratuszowe wydzwoniły północ, gdy wreszcie zasnął przerywanym, niespokojnym snem. Śniło mu się ruchliwe Hull, rojny port, żagle trzepoczące na masztach. Kiedy się zbudził, na dole jak zwykle grzechotały konwie mleczarza. Więc niech się dzieje, co chce. Raz jeszcze pojedzie do Hull. Raz jeszcze popatrzy na morze! To wszystko. Może lżej będzie później pogodzić się z wolą rodziców. Ubrał się szybko i zbiegł na dół.

Stary mleczarz powitał go przyjaznym uśmiechem:

- Myślałem, żeś już całkiem zapomniał o mnie, Robinsonie!

Kare kuce rzucały niecierpliwie łbami i wkrótce wózek potoczył się szybko po wyboistym bruku.

Kiedy Robinson dotarł do przystani, właśnie odbijała od nadbrzeża fregata wojenna, żegnana wystrzałami z dział. Wiatr rozwinął banderę, nad którą z głośnym skwirem kołowały mewy. Zwolnione przez majtków żagle, wzdymając się na wietrze, oskrzydlały z wolna okręt, który z chwili na chwilę powiększał szybkość. Robinson stał zapatrzony i tży nabiegły mu do oczu, gdy nagle ktoś podszedł z tyłu, uderzył go z rozmachem w ramię. Odwrócił się. Za nim stał, śmiejąc się głośno, Jakub, dawny kolega, który przed kilku laty porzucił szkołę i rozpoczął służbę na statku swojego ojca.

- I cóż, ty szczerze ładowy? Jakże ci się wiedzie?

Jakub rozrósł się w ciągu tych kilku lat, zmężniał, twarz pociemniała mu od wiatru i słońca.

- Nigdy bym cię nie poznał, Jakubie, gdybyś nie zaczął mnie pierwszy!

Spojrzenie Robinsona musiało wyrażać podziw, gdyż Jakub przybrał z miejsca ton człowieka zdającego sobie sprawę ze swej niewątpliwiej wyższości.

- Nic dziwnego, mój chłopcze! Nie darmo przecież dwa lata żeglowaliśmy z ojcem po szerokim oceanie! O, patrz! Ten trójmasztowiec na redzie to jest mój dom i ojczyzna! Byłem w Kalkucie, jeśli chcesz wiedzieć, i w Bombaju, opłynęliśmy Przylądek Dobrej Nadziei, zaczęliśmy o Manilę, Singapur i Malakkę, gdy ty, chłopczyku, wiodłeś ślimaczy żywot w swym małym, nudnym miasteczku. No? Cóż tak sposepniał, mój mały?

Robinson zaczerwienił się gwałtownie i pochylał głowę. Jakub roześmiał się hałaśliwie.

- Rumienisz się jak dziewczyna! Oto co znaczy próchnieć na łądzie! No, mówże coś, Robinsonku!

- Po prostu zazdrozczę ci, Jakubie. Sam nawet nie wiesz, jak bardzo ci zazdrozczę...
- A któż ci broni zakosztować wólczy? Morze dla wszystkich otwarte. Patrz, jakie szerokie! - to mówiąc, zatoczył ręką łuk aż po widnokrąg.
- Łatwo ci mówić, Jakubie. Ojciec twój sam jest żeglarzem i chętnie cię widzi przy sobie. Ze mną jest zgoła inaczej. Ja o tym myśleć nie mogę. Mój ojciec, przeciwny moim planom, uważa, że morze nie przyniesie mi szczęścia...

Jakub roześmiał się drwiąco.

- Jak tam sobie chcesz, mój mały. Ale jeśli mam być szczery, to każdy powinien o swoim życiu decydować sam. Ja, jak widzisz, cisnąłem w kął książki i, dalibóg, nigdy tego nie żałuję. Dopiero teraz wiem, co to jest życie! No, ale ty? Ty może jesteś z innej gliny ulepiony... A więc trzymaj się fartuszka mamy, Robinsonie. Jedno ci tylko powiem: takiego chłopca jak ty każdy kapitan przyjmie z otwartymi rękami. A gdy wrócisz do domu z pełnym trzosem, mój mały, to i ojciec twój inaczej wówczas spojrzy na te sprawy. Ja na twoim miejscu zaciągnąłbym się na pierwszy lepszy statek i dopiero po powrocie rozmawiałbym z ojcem o morzu. Chyba...

- Co chyba? - rzucił wyzywająco Robinson, widząc ironiczny uśmiech Jakuba.

- Chyba że strachem masz kurtkę podszytą! Ależ nie, nie chciałem cię urazić... - Jakub spojrział uważniej na Robinsona, którego twarz pobladła od gniewu. - Żartuję przecież. Tylko widzisz, chłopie, raz trzeba być mężczyzną. Jak długo pozwolisz się niańczyć wszystkim ciotkom i krewniakom? Wiesz co? Płyniemy jutro do Londynu. Ja to załatwię z moim starym, a ty nic nie mów nikomu i spróbuj. Zobaczysz. Ostatecznie, jeśli ci się nie będzie podobało, za kilkanaście dni wrócisz jako syn marnotrawny i będziesz przez całe życie ważyć pieprz i krztusić się kurzem w kantorku twojego ojca! No? Zgadzasz się, czy mam cię nazwać znowu nędznym szczurem lądowym?

Jeśli Robinson zastanawiał się nad odpowiedzią, to ostatnie słowa Jakuba podziałały nań jak smagnięcie biczem.

- Zgadzam się!

- Toś mi brat, Robinsonie! Idziemy do ojca. Ty poczekaasz, a ja z nim pomówię.

Następnej nocy, nie zostawiając żadnej wiadomości i nie żegnając się z nikim, Robinson opuścił potajemnie dom rodzinny i zanim słońce wzeszło, wstąpił na pokład statku zdążającego do Londynu. Był to dzień pierwszy września 1651 roku.

#### MORZE PO RAZ PIERWSZY

*Zlekceważywszy tedy boskie przykazania i synowskie moje obowiązki, w nieszczęsną - Bóg widzi - godzinę wstąpiłem na ów statek zdążający do Londynu.*

*Do Londynu? Czy raczej w Wielką Przygodę?*

*Gdybyż można znać przyszłość! Móc ją obejrzeć w jakiejś kryształowej kuli!*

*Ale nie ma takiej czarodziejskiej kuli, chyba tylko w baśniach dla dzieci.*

*Może to wreszcie i lepiej, że nie ma...*

Na wschodzie horyzont barwił się już blaskiem wstającego słońca, ale w zatoce Humber panował jeszcze szary świt i mgły zalegały wodę, kiedy statek mijał portowe latarnie. Robinson był jak najlepszej myśli. Nareszcie spełniły się jego marzenia: oto stał na pokładzie. Wszystko tu było dla niego nowością. Wcisnął się w ciasny kął pomiędzy stosem lin a niską burtą na rufie i stamtąd, szeroko otwartymi oczyma, chłonał ruch na statku.

Majtkowie, na gwizdek kapitana, zwalniali kolejno żagle. Wznosiły się w górę z ostrym łopotem i natychmiast wzbierały wiatrem. Statek, pochylony lekko na bakburtę\*, biegł na otwarte morze. Był to piękny, smukły trójmasztowiec kupiecki, jakby stworzony do dalekich podróży.

Raz tylko obejrzał się Robinson za siebie śladem spienionej wodnej bruzdy. Coraz bardziej pozostawały w tyle i małały wieże kościołów, ratusz w Hull, dźwigi portowe i latarnie, a mgła przesłaniała już brzegi. Gdzieś tam, daleko za nimi, pozostał dom, ciasne uliczki Yorku, pokoik na poddaszu, stary ojciec i matka.

Płynęli szybko na południowy wschód.

Zaledwie jednak statek opuścił zatokę, zerwał się wichur i morze, łagodne dotychczas i spokojne,

wezbrało nagle wysoką falą. Widnokrąg, przed godziną zaróżowiony wschodem słońca, zasnuł się teraz chmurami, które budziły niepokój. Wiatr gnać począł stamtąd fale okryte grzywami brudnej piany. Burza zerwała się tak nagle, że Robinson nie zdążył nawet schronić się pod pokładem. Wciśnięty w szczelinę pomiędzy burtą a stosem lin okrętowych, kurczowo trzymał się poręczy i patrzył, jak u jego stóp otwierają się głębokie, wirujące leje. Widok był wspaniały, ale krew ścinał w żyłach. Fale łamały się z trzaskiem na burcie i przelatowały przez pokład, zmiatając po drodze wszystko, czego nie przytwierdzono do desek. Z chwili na chwilę robiło się coraz ciemniej. Ludzie przesuwali się po pokładzie jak milczące cienie, wczepieni w liny i ożaglowanie, przypadając doń, ilekroć nadbiegła nowa fala. Ryk wód głużył gwizdki i słowa komendy.

Gwałtowne torsje, zwykła u nowicjuszy choroba morska wywołana kołysaniem statku, odbierały Robinsonowi przytomność. Potężne chlusty wody zwały go co chwila z nóg. Czując, że mdleją mu z wysiłku ręce na żelaznych uchwytach, zaczął wołać o pomoc. Daremnie jednak. Łoskot tłumił wołanie, nawałnica wzmagała się, wicher srożył się coraz bardziej, zwały wodne rosły nad okrętem i zdawało się Robinsonowi, że lada chwila przepaść bez dna pochłonie i statek, i ludzi.

- Boże, wybacz mi! - wołał, starając się przekrzyczeć burzę. - Ślubuję ci posłuszeństwo i po taką, jaka najędźniejszymu przystoi robakowi! Pozwól mi wrócić do domu, a przysięgam ci, nigdy go już nie opuszczę! Pozwól mi stanąć znów na twardym lądzie, a nigdy, nigdy już nie złamię zakazu ojca mego, którego wola jest Twoją wolą widocznie!

Niestety! Postanowienia nie przetrwały burzy.

Nazajutrz wiatr zelżał, morze zaczęło się uspakajać i słońce przedarło się przez chmury.

Pierwszym człowiekiem, którego Robinson spotkał po nie przespanej nocy, był Jakub.

- No i cóż, ty szczurze lądowy?! - zawołał wesoło. - Żyjesz przecież! A myślałem, żeś już umarł ze strachu! Widziałem, jak na czworakach wlokłeś się pod pokład. Musiałeś mieć porządnego pietra, co? Przyznaj się!

Docinki kolegi rozgniewały Robinsona na dobre. Żachnął się i odtrącił dłoń, którą Jakub położył mu na ramieniu. Jakim prawem traktował go jak niedorostka?

- Ciekaw jestem, Jakubie, jaką ty miałeś minę po pierwszej burzy - rzucił ze złością. - Nie dałbym złamanego pensa, że łażyłeś jak ja na czworakach, wielki żeglarzu...

- Po burzy? I ty to nazywasz burzą? - Jakub aż zatoczył się ze śmiechu. - Ech, ty słodkowodna rybo! No chodź, chodźże na szklanę grogu, dzieciaku, a opowiem ci o prawdziwych burzach! O takich burzach, z których wychodzi się cało dzięki strzaskanej desce lub nie wychodzi się wcale! Ech, nie dąsaj się i nie chmurz! Popatrz, jaka piękna zapowiada się pogoda...

Robinson nigdy nie próbował grogu i chętnie odmówiłby Jakubowi. Ale fałszywy wstyd i obawa przed nowymi docinkami okazały się silniejsze. Krztusząc się i tracąc oddech, wychylił potężną szklanicę z uczuciem, że wlewa przez gardło ogień, który za chwilę wybuchnie w piersiach i żołądku. Od razu też twarze siedzących w mesie zawirowały mu przed oczami, świat zapalił się i zgasł. Usłyszał czyjś śmiech, ktoś trzasnął go pięścią w kark, a Jakub zawołał: „No! Burza i grog zrobią z ciebie marynarza!”. I Robinson opanował się z trudem.

Spędzili potem kilka godzin na rozmowie. Jakub opowiadał, a Robinson pytał i słuchał z zapartym oddechem. W ciągu tych kilku godzin, razem z pierwszym oszołomieniem, wyparowały mu z głowy resztki rozważań i postanowienie powrotu.

W ciągu tych następnych dni statek, walcząc z przeciwnym wiatrem, posuwał się bardzo powoli.

Robinson odnosił chwilami wrażenie, że stoją w miejscu. Płynęli jednak. Szóstego dnia trafili na ciszę morską, która zmusiła ich do rzucenia kotwicy w zatoce Yarmouth. Miary niepowodzeń dopełnił po kilkunastu godzinach postoju nazbyt gwałtowny wiatr. Fala podniosła się znowu, poczęła miotać statkiem, grożąc zerwaniem go z uwięzi. Kapitan kazał zwinąć żagle i rzucić drugą kotwicę. Stali w zatoce, pod osłoną wzgórz, dziobem w kierunku wiatru, który w każdej chwili groził zepchnięciem statku na skaliste wybrzeże. Z godziny na godzinę rósł napór huraganu, aż trzeszczały wiązania trójmasztowca.

Leżąc w kajucie na rufie\*, Robinson słuchał, jak wiatr gwizdże w olinowaniu, i starał się opanować strach, tłumacząc sobie, że i ta nawałnica minie, podobnie jak minęła poprzednia. Nagle usłyszał głos

kapitana. Szyper pod drzwiami kajuty mówił do kogoś, że jeśli liny kotwiczne zawiodą - czeka ich wszystkich zagłada. Robinson zerwał się na równe nogi. W tej chwili fala targnęła statkiem. Na wpół przytomny ze strachu, wypadł na pokład i wszystka krew spłynęła mu do serca.

Widok był przerażający. Góry wód przetaczały się po morzu, a trójmasztowiec szarpał się jak brytan na łańcuchu. Zdawało się, że lada chwila prysną grube liny i statek pomknie ku skałom wybrzeża. Ruchliwa, przepływająca szybko mgła osłaniała je, to znów ukazywała na chwilę jak groźną, zachłannie rozwartą paszczę potwora.

Na pokładzie panował chaos. Ludzie nie mogli sobie poradzić z plątaniną lin, rei\*\* i żagli. Cały ten obraz zniszczenia był dziełem kilkugodzinnego zaledwie huraganu. Robinson nie zdążył nawet ogarnąć wszystkiego spojrzeniem, gdy nagle w jego oczach runął jeden z masztów, wyłamując burty na rufie. Statek nagle stracił równowagę i przechylił się niebezpiecznie na prawo. Załoga skoczyła do siekier. Ruszyli przez zwały lin, zgruchotanego drzewa i potarganego płótna jak drwale karczujący las. Rąbali maszt przedni i główny. Odcięte części takielunku\* morze splukiwało natychmiast z pokładu.

- Do pomp! Cała załoga do pomp!

Okrzyk kapitana na chwilę zapanował nad pokładem. Stała się rzecz najstraszniejsza. Dno statku wezbrało wodą. Zaczęła przeciekać do środka przez jakąś szczelinę w naruszonym poszyciu i wręgach\*\*. Robinson, porwany przez innych, rzucił się w stronę luku\*\*\*. W ostatniej chwili dostrzegł dwa statki kupieckie, które przemknęły wzdłuż ich lewej burty w stronę wybrzeża. Zdawało mu się, że słyszy potworny trzask druzgotanego drzewa. Ktoś w tłumie upadł na kolana i wyciągnął ramiona ku niebu. Ktoś inny obok kłął grubo, po marynarSKU, starając się opanować panikę. Ludzi ogarnęło szaleństwo.

Robinson wpadł do kajuty i rzucił się na koję, kryjąc głowę w pośłaniu. Zepchnięto go brutalnym uderzeniem. Zerwał się i stanął przy pompach. Poziom wody w ładowni statku podnosił się coraz wyraźniej. Marynarze, stłoczeni w ciasnocie pośród skrzyń, beczek, worków, pracowali szybko i w milczeniu, starając się nadludzkim wysiłkiem sprostać gwałtowności nawałnicy.

Wiązania statku zaczęły się jednak najwidoczniej rozluźniać, gdyż nagle w innym miejscu trysnęła z obudowania wąska, ostra strużka wody. Ludzie przy pompach opuścili ręce. Kapitan rozepchnął ich i wybiegł na pokład. W minutę później działa trójmasztowca zagrzmiały na trwogę. Nie wiedząc, co to oznacza, przekonany, że woda rozsadza już kadłub statku, Robinson stracił przytomność. Bezwładne ciało zepchnięto na bok kopniakiem i ktoś inny zastąpił go przy pompie. W drewnianych rurach znów zabulgotała woda.

Ból przywrócił Robinsonowi przytomność. Podniósł się na chwiejnych nogach, rękami czepiając się ściany. Szedł w stronę luku jak ślepiec. Jednego tylko pragnął: odetchnąć świeżym powietrzem. Tu, w ładowni, powietrze było ciężkie, przesiąknięte nieznośnym odorem tranu, korzeni i zatęchłej wody. U stóp schodni natknął się na Jakuba. Przyjaciel podparł go ramieniem i coś w rodzaju uśmiechu skrzywiło mu wargi. Na więcej nie mógł się zdobyć. Czując obok siebie towarzysza, Robinson z wolna odzyskiwał równowagę.

Salwa z dział przyspieszyła ratunek. Z małego brygu, stojącego opodal w zatoce, spuszczone szalupę. Wioślarze, zawzięcie walcząc z falami, zbliżyli się po godzinie na tyle, aby móc uchwycić koniec liny rzuconej z trójmasztowca. Załoga tonącego statku stłoczyła się wokół trapu. Co niecierpliwi spuszczali się po linach przerzuconych przez burłę. Ostatni zszedł z pokładu kapitan. Przeciążona szalupa odbiła z trudem, głęboko grzęznąąc w wodzie.

Zaledwie przebyli kilkaset sążni, gdy kadłub statku przewalił się ciężko na prawo i pokładowymi lukami zaczerpnął obficie wody. Walczył teraz z falami jak kiepski pływak rzucony na głębię. Raz jeszcze dźwignął się z trudem, ale natychmiast dziobem zarył w wodę. Nadbiegająca fala dopełniła dzieła zniszczenia. Otworzył się głęboki lej i wrak żaglowca jak kamień runął w dół.

Robinson przymknął oczy. Kiedy je otworzył, w miejscu gdzie przed chwilą stał jeszcze trójmasztowiec, już tylko wściekle pienila się woda.

Wioślarze zmieniali się przy wiosłach. Wiatr znosił szalupę. Uderzenia fal raz po raz wyrwały rumpel\* z rąk sternika. Pojęli wkrótce, że nie dotrą do brygu, zmienili więc plan. Klucząc i lawirując wśród skał, zaczęli posuwać się z wiatrem w kierunku północnym, prawie na wysokości Winterton - Ness.

Okrażyli latarnię morską i łódź wybiegła na płyciznę ciągnącą się na przestrzeni pół mili. Nad brzegiem zatoki zbierały się już gromady ludzi z pobliskiej osady rybackiej. Jeszcze chwila zaciętej walki i szalupa, jakby nagle opadła z sił, wpełzła wolno do osłoniętej przystani.

Wyszędłszy na ląd, Robinson zatoczył się jak pijany i upadł na ziemię. Świat zdawał się tańczyć wokół, niebo kołysało się nad głową, więc zanurzył twarz w mokrym, nieruchomym piasku.

W pobliskim Yarmouth przyjęto rozbitków gościnnie. Ojcowie miasta wyznaczyli im kwatery, nazajutrz zaś, zgodnie ze starym zwyczajem, na rynku przed ratuszem ustawiono misę glinianą, do której przechodnie rzucali datki na rzecz kapitana i załogi. Pod wieczór misa wypełniła się grosiwem, wśród którego połyskiwały nawet sztuki złota.

Kapitan rozdzielił pieniądze. Każdy z gromady rozbitków mógł teraz dostać się do Londynu albo wrócić do Hull, skąd większość ich wyruszyła w ten nieszczęśliwy rejs.

Ściskając w dłoni trzy ofiarowane mu gwinee, Robinson błąkał się po mieście. Zaledwie obszedł rynek krętymi zaułkami, spotkał Jakuba idącego z ojcem. Myny mieli niewesołe. Jakub przystanął jednak, uściskał przyjaciela i rzekł z westchnieniem:

- I cóż, Robinsonie? Czy wybaczysz mi lekkomyślne namowy? Wierzaj mi jednak, chciałem jak najlepiej...

- Wiem - odpowiedział Robinson serdecznie. - I nie rób sobie wyrzutów, Jakubie. Przecież to ja sam chciałem zakosztować morza.

- Ale z mojej przyczyny omal nie zakosztowałeś śmierci! - Tu Jakub wyznał ojcu, że namówił Robinsona do ucieczki z domu bez zgody rodziców.

Robinson zauważył, że ojciec Jakuba posiwił w ciągu tej doby. Teraz spojrzał na syna z wyrzutem, po czym zwrócił się do Robinsona.

- Słuchaj no, mój chłopcze - rzekł ze smutkiem w głosie. - Nie próbuj już więcej żeglugi. Niech ci ta podróż starczy za naukę. Ojciec twój dobrze ci życzy, pragnąc, abyś wiódł życie spokojne, nie narażając się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Oto ja, jak widzisz, w ciągu jednej nocy straciłem wszystko. A mogłem przecież stracić jeszcze więcej... - To mówiąc, spojrzał z miłością i troską na Jakuba.

- A czy pan, mości kapitanie - zapytał nieśmiało Robinson - nigdy już nie wsiądzie na statek?

- Ja? - uśmiechnął się gorzko kapitan. - Równie dobrze mógłbyś pytać delfina wyrzuconego na brzeg, czy pragnie wrócić do wody. Ja, oczywiście, znowu stanę na pokładzie. Ty jednak wracaj do domu. Wracaj i staraj się naprawić zło, któreś wyrządził rodzicom.

Uścisnął mocno dłoń Robinsona, a Jakub wziął go w objęcia.

Robinson stał jeszcze przez chwilę, patrząc, jak idą obaj w dół stromą uliczką portową. Po chwili, zajęci rozmową, zniknęli na zakręcie.

Cóż teraz? Czy wracać do domu?

Jakże się będzie naigrawać Mathews, sąsiedzi i pastor Evans! Co powie ojciec? Przebaczy, to pewne. Ale jakże się będzie gniewał! Nazwie go hultajem, przypomni swoje nauki, wyśmieje niefortunnego żeglarza!

Kiedy tak stał i myślał, nie mogąc powziąć decyzji, poczuł nagle w dłoni chłodny uścisk metalu.

Trzy złote gwinee.

Nazajutrz rano ruszył do Londynu.

OBERŻA KULAWEGO PIOTRA

*Diabeł nie śpi. I nigdy przecież nie wiadomo, w jaką chwilę trafi matnię, zwłaszcza gdy brak mu znajomości ludzi i doświadczenia ma niewiele. Różnie może się zdarzyć i, jakkolwiek szczęście dopisywało mi na ogół, często bywałem na krawędzi, gdzie poślizgnąć się i upaść łatwo. A przecież ostrzegano mnie niejednokrotnie...*

Kontury wież londyńskich i strome dachy domów rysowały się już w mgłę poranka, kiedy Robinson na wozie sprzedawcy owoców, który go zabrał po drodze, minął rogatki. Wjechali do uśpionego jeszcze miasta.

Chłód nocy spędził z ulic bezdomnych nędzarzy. Miejscy strażnicy pogasili latarnie i drzemali, stojąc, we wnękach bram, otuleni w swoje bure opończe. Tu i ówdzie otwierano dopiero ciężkie dębowe



okiennice. Ulice były puste i tylko zaspani piekarzykowie stukali sabotami, niosąc na umączonych czuprynach kosze dymiących chlebów.

Wóz ogrodnika toczył się ciężko środkiem wyboistej jezdni, chlapiąc na wszystkie strony błotem i wodą stojącą w kałużach. Skrzypiały źle nasmarowane osie i za każdym wstrząsem podskakiwały kosze z owocami, spiętrzone wysoko na wozie.

Już kilka dni Robinson wędrował z Yarmouth do Londynu wszystkimi możliwymi sposobami. Część drogi odbył pieszo. Z Ipswich aż do Colchester podwiózł go pocztylion za dobre słowo i kilka szylingów. Do Chelmsfordu dostał się sposobem małych uliczników, uwiesiwszy się na resorach przejeżdżającej karety. Za Chelmsfordem spotkał ogrodnika. Przypadli sobie od razu do serca. Stary wiózł do miasta jesienny zbiór jabłek z farmy dość odległej od Londynu. Droga była długa, nużąca i farmer wołał mieć przy sobie kogoś, z kim można by zamienić chociaż kilka słów. Spotkanie z Robinsonem miało dlań zresztą także i praktyczne znaczenie. Na drogach wiodących do Londynu włączyły się bandy obdartych, głodnych wyrostków, zdolnych do każdej złośliwości. Spotkania z nimi, zwłaszcza w nocy, bywały niebezpieczne. Gromady grasantów rabowały wozy i napadały na samotnych podróżnych. Najchętniej też podróżowano w kilka albo nawet w kilkanaście wozów, a często konni pachołkowie osłaniali jeszcze karawanę. Rzadko kto wyruszał samotnie w drogę. Toteż towarzysz w osobie Robinsona spadł farmerowi jak z nieba. Tym razem jednak nie zdarzyło się nic szczególnego i bezpiecznie dotarli do celu. Pod koniec podróży Robinson czuł się nie najlepiej. Każdy miesiąc dawał mu się boleśnie we znaki. Kilkanaście godzin spędzonych w niewygodnej pozycji na wozie kołyszącym się jak pokład szalupy to była niezła lekcja cierpliwości. W dodatku całą siłą woli musiał walczyć z ogarniającą go sennością. Pozbył się jej dopiero wówczas, gdy przekroczyli miejskie rogatki Londynu.

Miasto zdziwiło Robinsona swoim ogromem, ilością ulic i placów. Niejedno słyszał o Londynie, ale to, co ujrzał, mimo iż pora była wczesna, przechodziło wszelkie oczekiwania. Wieże pałaców i kościołów wyrastały przed nim z porannej mgły jak ilustracje do bajek zasłyszanych w latach dzieciństwa. Dotychczas znał tylko rodzinny York i Hull. Londyn był pierwszym wielkim miastem, jakie oglądał w życiu.

Dobrnęli wreszcie do Covent Garden. Tu już miasto wyglądało inaczej. Pobliskie ulice, wiodące na targ, zatłoczone były furgonami. Przewijał się między nimi i kłębił barwny, zgiełkliwy tłum. Każdy chciał jak najszybciej dotrzeć na plac targowy, gdzie wśród bud i straganów krążyli już pierwsi kupujący. Z daleka słychać było gwar łajania i klótni, rżenie koni i turkot kół na nierównym bruku.

Stanęli wreszcie. Robinson zeskoczył z wozu i przeciągnął się, z trudem prostując kości. Farmer zawiesił już na dyszlu koszyk z obrokiem i teraz starannie przecierał zmydlone grzbiety koni.

- I oto jesteśmy w Londynie, młody panie. Należy ci się tyle jabłek, ile zdołasz unieść. Rzetelnie mi pomogłeś.

Robinson pożegnał serdecznie farmera i zarzuciwszy na ramię wężelek pełen soczystych owoców, ruszył przez tłum, tęgo pracując łokciami. Wkrótce wydostał się na swobodniejsze miejsce i odetchnął z ulgą. Przed nim leżała obudzona już ze snu dzielnica miasta, nie należąca chyba do zamożnych. Mijał wystawy lombardów, przed którymi tłoczyli się biedacy, mimo iż kantory były jeszcze zamknięte. Nie zatrzymując się nigdzie, brnął przez obfite błoto wyjeżdżonej setkami wozów ulicy. Ktoś wskazał mu zaulek prowadzący w dół ku Tamizie.

Po dobrej chwili stanął wreszcie na obrotowym moście zawieszonym nad brudną wodą pociemniałej śluzy. Minąwszy most, skręcił w stronę skweru, który zwabił go jaskrawą zielonością. Czuł, że musi za wszelką cenę chociaż przez chwilę odpocząć. Przysiadł na trawie i sięgnął po jabłko. Było soczyste i słodkie.

Ulicą wzdłuż skweru turkotały lekkie powoziki, wyładowane stromo kuframi, dążąc pośpiesznie w stronę stacji pocztowej, skąd wyruszały poza Londyn wielkie, sześciokonne dylizanse.

Robinson, pół leżąc na miękkiej murawie, patrzył, a ruchliwa ulica zacierała mu się w oczach w kształt płynnej, wielobarwnej smugi. Dźwięki i kolory zaczęły się mieszać i oddalać. Zmęczenie kleiło powieki, ołowiem wlewało się w ramiona, tak że, nie wiedząc nawet kiedy, zasnął z napoczętym jabłkiem w dłoni.

Spał twardo i długo, a kiedy się zbudził, było już prawie ciemno. Przez chwilę przecierał oczy, nie

wiedząc, gdzie się znajduje. Przespał i zmarnował cały dzień. Ubranie było wilgotne od rosy, woreczek z jabłkami zniknął. Zerwał się i ruszył szybko przed siebie. W ciągu ostatnich dni nic prawie nie jadł. Strach i choroba morska całkowicie odebrały mu apetyt. Dopiero teraz pusty żołądek upomniął się o swoje prawa. Szedł szybkim krokiem wzdłuż jakiegoś parkanu, minął furtkę z wylamanym kołowrotem i skręcił w ciasną uliczkę opadającą schodami ku rzece. Tuż za zakrętem omal nie zderzył się z idącym naprzeciw człowiekiem w grubej, marynarskiej kurcie. Przystanęli obaj, gdyż na wąziutkim skrawku chodnika trudno się było wyminąć.

- Dokąd to tak na pełnych żaglach, przyjacielu? - zagadnął Robinsona marynarz. - Byłbyś mnie zdryfował\* w błoto tej przeklętej ulicy!

- Szukam noclegu i chciałbym coś zjeść - odpowiedział Robinson szczerze, ponieważ szorstkie słowa zabrzmiały życzliwie.

- I chciałbyś, żeby było tanio! - domyślnie uzupełnił nieznajomy. - A więc żegluj dalej tą uliczką do Kulawego Piotra. Za rogiem, trzy rumbys\*\* w lewo, zobaczysz zieloną latarnię. Tam możesz zakotwiczyć. Pomyślnych wiatrów, kolego...

Zielona latarnia oświetlała kilkumetrowy odcinek chodnika ułożonego z płaskich jak talerze kamieni. Delfin, wycięty z grubej, niedbale oheblowanej deski i pomalowany na czerwono, kołysał się, skrzypiąc, na starej stendzie\*\*\* masztowej wbitej w ziemię przed obszernymi wrotami zajazdu.

Minąwszy uchyloną bramę, Robinson wszedł w mroczną sień. Z rogu padła na ziemię wąska smuga światła. Dobiegł stamtąd gwar rozmów i brzęk naczyń. Potykając się o jakieś niedbale porzucone graty, chłopak przeszedł sień i przestąpiwszy próg, pchnął ciężkie, okute drzwi.

Kilkanaście par oczu zwróciło się natychmiast w jego stronę. Spojrzenia nie były życzliwe. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że zebrali się tu awanturnicy spod ciemnej gwiazdy. Przez podarte kurty sukienne przeświecały nagie ciała. Tu i ówdzie za pasem błyszczał nóż marynarski o szerokim ostrzu. Uszy najbliższego draba przebite były kolczykami z lśniącego metalu, a szyja okręcona brudną, czerwoną szmatą. Pękaty dzban krążył z rąk do rąk.

Robinson przezwyciężył obawę i wszedł do środka. Za późno już było na to, aby się cofnąć. Izba gościnną, słabo oświetloną kagańcem, wyglądała na ładownię jakiegoś sędziwego statku, który już dawno zakończył swoją morską tułaczkę. Może dlatego oberżystę marynarze nazywali szyprem. Podobno zresztą był niegdyś żeglarzem, dopóki zerwana reja nie strzaskała mu nogi w kolanie. Dopiero po tym wypadku, jak sam twierdził, zasiadł za szynkwasem w tej nędznej oberży. Zwano go więc także Kulawym Piotrem. Robinson wyszukał sobie wolny kąt na ławie, skąd widać było jak na dłoni całą izbę. Zaledwie usiadł, pojawił się przed nim Kulawy Piotr we własnej szpetnej osobie. Był to mały, śniady człowieczek o niechlujnym zaroście i twarzy złośliwego gryzonia. Spojrzał na chłopca i brudnym strzępem żaglowego płótna, bardziej z przyzwyczajenia niż z gościnności, przejechał po stole.

- Chciałbym coś zjeść - rzekł Robinson w odpowiedzi na spojrzenie.

Kulawy Piotr strzelił palcami i przymrużył oczy. Nietrudno się było domyślić, co ten gest wyraża.

Robinson błysnął ponad stołem krążkiem złotej monety. Po chwili dymiała przed nim miska tłustego baraniego mięsa. Kulawy Piotr położył obok glon ościstego chleba, po czym przestał się interesować swoim nowym gościem.

Zaledwie Robinson zaspokoił pierwszy głód, gdy rozległy się w sieni energiczne kroki i w rozwartych drzwiach stanął wysoki mężczyzna w kosmatym płaszczu wachtowym zarzuconym na ramiona. Szeroka, czarna broda przyprószona z lekka siwizną okalała twarz, oczy patrzyły bystro i rozumnie. Marynarze przy stole zamilkli, a Kulawy Piotr, prawie wspiąwszy się na szynkwas, zamachał gwałtownie swoją brudną ścierką.

- Ahoj, kapitanie Smith! Zebrałem ci tutaj kwiat angielskich portów! Zadziwisz tym bukietem wszystkie morza świata!

Przybyły skinął głową i podszedł do stołu. Położył przed sobą grubą księgę okrętową, a oberżysta pośpiesznie postawił obok niej dwie płonące świece.

Kapitan Smith werbował załogę. Szacował kandydatów uważnym spojrzeniem i kolejno zapisywał nazwiska w swej księdze. Niektórzy mieli świadectwa, które rozkładali skwapliwie na brudnym stole, inni

jednak nie mieli nic. Powoływali się na znajomych i przyjaciół, świadczyli wzajemnie o sobie. Kapitan musiał widocznie dobrze znać obyczaje gromady, nie były mu bowiem obce dawne sprawy i grzeszki tych ludzi.

- Powiadasz, że wróciłeś z Amsterdamu, Davis? Chyba wplaw, mój chłopcze!

Drab z kolczykiem w uchu uśmiechał się niepewnie, przestępując z nogi na nogę.

- Ja słyszałem, żeś pływał do Makao. I słyszałem także, że próbowaliście wysadzić na ląd waszego starego, aby zawładnąć ładunkiem... Gdybyś na mnie trafił, już by się tobą dławili rekiny. Nie. Idź sobie, mój chłopcze, i szukaj czego innego. Ja nie mam zwyczaju wpuszczać do mego domu złodziei ani morderców.

Każdy zwerbowany majtek wychylał z kapitanem kubek mocnej wódki „na szczęśliwą podróż” i zgarniał zadatek płacony srebrem. Gdyby werbował kto inny, natychmiast zapewne zaczęłyby się pijatyka, ale ten kapitan nie pozwalał na awantury.

- Zanim wrócę na „Eleonorę”, moje dzieci, chcę, żeby wszyscy spali już na drugim boku, grzecznie odmówiwszy paciorek. Żadnych awantur i żadnych burd. Kto nie posłucha, ten jutro sam nad sobą zapłacze.

Padaly kolejno nazwiska werbowanych majtków. Izba opróżniała się z wolna. Robinson sennie kiwał się nad stołem.

- ...Bill. Ciebie nazywają Samsonem. Czy tak? Murray. Jak dawno już jesteś na łądzie? O'Donnel.

Tylko bez sztuczek, pamiętaj. Ostatni raz próbuję. Darby... Taaak! Podpiszcie wszyscy tutaj...

#### HISTORIA TRZECH ŻŁOTYCH GWINEI

*„... A może myślisz, że zostaniesz admirałem? Na to trzeba mieć przynajmniej dyplom szlachecki, jeśli się nie zna geometrii, astronomii i nawigacji. Ty zaś nic nie umiesz i nie jesteś, mój drogi, szlachcicem. Ale nawet gdybyś chciał zostać tylko okrętowym cieślą, musiałbyś nabyć umiejętności cieśli. Czy ty zdajesz sobie z tego sprawę? Kim więc chcesz zostać w końcu? Awanturnikiem? Jednym z gromady obdartych obieżyświatów, stworzonych do szorowania pokładów na kupieckich statkach?...”*

Przy opróżnionym stole pozostał już tylko kapitan Smith i jakiś stary marynarz. Robinson ze swego kąta patrzył, jak rozmawiają. Kapitan Smith wpisywał właśnie do książki okrętowej nazwisko marynarza.

- ...Jim Jones, zwany inaczej Bo - cia - nem - dyktował sobie powoli. Skończył, podkreślił ostatnie wyrazy, jakby ruchem tym zamykał listę załogi, i odłożył pióro. Marynarz wstał, wychylił kubek ostrej wódki, wytarł usta rękawem i ruszył do drzwi. Na chwilę wtargnął do izby wilgotny zapach nocy. Wiatr lekko stuknął okiennicami i zegar wydzwonił północ. Robinson skinął na oberżystę i położył przed nim na stole złotą gwineę. Kulawy Piotr wziął ostrożnie monetę, zważył ją na dłoni, jak gdyby sprawdzając jej ciężar, i zbliżył do oczu. Stał tuż obok Robinsona, kołysząc się na swej drewnianej nodze. Chłopiec obliczał szybko w myśli, ile reszty powinien otrzymać z powrotem. Ale Kulawy Piotr wsunął złoty krążek do skórzanej torby.

- Tak będzie dobrze - mruknął i uczynił gest, jakby chciał odejść.

- Co będzie dobrze?

Robinson spojrział szybko w stronę, skąd nadeszła pomoc. Kapitan Smith patrzył przez stół w zmieszana nagle twarz oberżysty, a brwi zbiegły mu się groźnie na czole.

- Co będzie dobrze? - powtórzył.

Kulawy Piotr wzruszył ramionami, brzęknął sakwą, wyliczył resztę z brudnej garści i pokuśtykał za szynkwias. Kapitan roześmiał się głośno.

- Są takie miejsca, mój chłopcze - powiedział - gdzie nie należy popisywać się złotem. A ta oberża do nich właśnie należy. Skąd jesteś?

- Z Yorku - odrzekł Robinson. - Ale do Londynu przybyłem z Yarmouth. Tam uległ rozbiciu statek, na którym płynąłem z Hull.

Kapitan Smith obrzucił chłopca uważnym spojrzeniem. Jego oczy przez dłuższą chwilę zatrzymały się na rękach Robinsona, po czym wyjął fajkę, nabił ją grubym, ziarnistym tytoniem i zapalił od świecy.

- Co robiłeś na tym statku? Robinson zmieszał się i zaczerwienił.

- Rozumiem - uśmiechnął się kapitan. - Ukryłeś się pod pokładem bez wiedzy szypra i załogi. Co? Słowem, uciekłeś z domu, aby zakosztować przygód. Czy tak?

- Nie! - zachnął się Robinson. - Na pokład wprowadził mnie mój przyjaciel, który jest synem kapitana okrętu. Nie ukrywałem się pod pokładem.

- A więc byłeś czymś w rodzaju pasażera. To znaczy, że twoi rodzice oddali cię pod opiekę kapitana statku. Tak czy nie?

Pytania kapitana Smitha tak osaczały Robinsona, że nie mógł znaleźć na nie żadnej wykrętej odpowiedzi. Przeciwnie. Pod uważnym spojrzeniem rozumnych, ciemnych oczu mieszał się i czerwienił coraz bardziej.

- A więc jednak uciekłeś z domu?

- Tak - odszepnął Robinson. - Niestety - dodał.

- Nareszcie zatem dowiedziałem się prawdy. A dlaczegoś to uczynił, mój chłopcze? I co masz zamiar robić dalej? Bo pasażerowie na statkach tyle są wariaci, co zasobność ich kiesy, a ty mi nie wyglądasz na bogacza. Miałeś diablo cielejącą minę, kiedy ten szubrawiec zabrał ci całą gwineę. Czy to ostatnia?

- Nie - odpowiedział Robinson. - Mam trochę pieniędzy, które otrzymałem w Yarmouth po rozbiciu statku. Ale nie jestem bogaczem, to prawda. Myślę jednak, że mógłbym za te pieniądze, które posiadam, odbyć jakąś podróż. Chciałbym zobaczyć świat, mości kapitanie. Ile razy byłem w Hull i oglądałem w porcie statki, tylekroć zdawało mi się, że szkoda każdego dnia spędzonego w Yorku, kiedy świat jest taki ogromny. Toteż chociaż moi rodzice byli temu przeciwni...

Kapitan Smith słuchał uważnie, kiwając w zamyśleniu głową. I ani się Robinson obejrzał, jak wyznał mu wszystko, co nosił od lat w sercu. Cały ciężar marzeń, pragnień i wyrzutów sumienia po ucieczce z domu. Kulawy Piotr krzątał się po pustej izbie, wycierał stoły, ustawiał ławy, zbierał cynowe talerze i dzbany. Powoli dopalała się świeca na stole, a kapitan Smith po raz trzeci już nabijał fajkę.

- A więc tak to wszystko wygląda - powiedział, kiedy zamilkła opowieść. - Posłuchaj więc, co ja ci teraz powiem. Morze jest rzeczą wspaniałą, mój chłopcze. I tutaj z ojcem twoim się nie zgadzam. Blisko czterdzieści lat włóczę się po wszystkich portach świata. Blisko czterdzieści lat słucham, jak wiatr śpiewa w linach. I chociaż każdy człowiek ma chwile, kiedy chciałby się zaszyć w jakimś cichym kącie, mnie stamtąd zawsze coś wygoni, gdy tylko wiatr zawieje od morza. Kupcy sądzą, mój chłopcze, że tylko pieniądź przynosi szczęście. Ja nie podzielam ich zdania. Są bowiem rzeczy, których kupić ani sprzedać nie można. Wyżej cenię odwagę, wytrzymałość i przyjaźń. Tego nauczyło mnie morze. I nie mogę potępić cię za to, że chciałbyś je poznać. Rzecz inna, że za ucieczkę winienesz się zapoznać z rzemieniem, ale może wystarczy - życie. Ono także nieźle potrafi smagać. Moja „Eleonora” płynie jutro do brzegów Nowej Gwinei. Jeśli chcesz, mogę cię zabrać.

Robinson spojrział na kapitana, a spojrzenie to wyrażało znacznie więcej niż prośbę.

- Więc dobrze. Ale pod jednym warunkiem. Żądam posłuszeństwa. Kulawy Piotr wrócił właśnie do izby, niosąc zieloną latarnię. Był to znak, że czas już kończyć rozmowę. Kapitan Smith dźwignął się z ławy i rzucił na stół funta. Moneta potoczyła się z brzękiem, a Kulawy Piotr podbiegł i pochwyił ją zręcznie w chwili, gdy już spadała ze stołu.

- Idziemy.

Do portu szło się z oberży ciemną uliczką w lewo i w dół po stromych, wydeptanych schodkach, wzdłuż rozchwianej poręczy. Stamtąd wiodła już szeroka, ale wyboista droga, wyjeżdżona w miękkiej glinie i drobnym kamieniu przez ciężko ładowne wozy. Po obu stronach drogi rysowały się kontury spichlerzy, obszernych szop i składów. Tu i ówdzie zaszczekał pies lub zamigotała latarka nocnego stróża. Noc była pochmurna i przejmująca chłodem. Niedawno widocznie spadł deszcz, bo koleiny wyciśnięte obręczami kół wypełniała wysoko woda, a stopy więzły w błocie.

Kapitan Smith szedł szybko długimi krokami, nie wybierając drogi. Buty sięgające bioder, uszyte z miękkiej skóry cielejącej, chroniły go przed wilgocią i błotem, w którym Robinson brnął nieporadnie, przemoczony i schlapany po pas. Minęli mały, pusty placyk, ślepy zaułek oświetlony krzywą latarnią i przez obszerną, uchyloną bramę weszli do portu.

Od strony Tamizy i zatoki, gdzie stały barki rybackie, wiatr niósł ostry zapach ryb. Całą przestrzeń z lewej i z prawej strony wypełniały spiętrzone stosy beczek i skrzyń przeznaczonych do załadunku”. Tu

zapach ryb mieszał się z wonią imbiru i pieprzu. Wąziutkie przejście wydłużało się dalej w jasną smugę mola i wkrótce pod stopami idących zadudniły głucho grube deski pomostu. Rzeka była w tym miejscu sztucznie pogłębiona. Dzięki temu nawet morskie statki mogły swobodnie cumować u mola.

„Eleonora” stała niemal na końcu przystani. Widać ją było z daleka: na bukszprycie\* kołysała się ogromna latarnia sygnałowa. Była to dwumasztowa galiota\*\* o dużej stosunkowo pojemności. W żółtawym półmroku rysował się ponad pomostem kontur wysokiego dziobu, brodaty od uczepionych na nim wodorostów.

Kapitan Smith zagwizdał na wachtowego marynarza. Ponad relingiem\*\*\* ukazała się jakaś głowa, a po chwili sznurowa drabinka stuknęła szczeblami o pomost. Weszli na pokład. Robinson pierwszy, kapitan Smith za nim. Wachtowy marynarz zdejmował właśnie latarnię z bukszprytu. Oznaczało to, że pogrążony w śnie statek nikogo już nie oczekuje tej nocy. Wokół panowała cisza. Wiatr tylko postukiwał wantami\*\*\*\*, a w dole szemrała Tamiza. Przeszli na forkasztel\*\*\*\*\*. Przez otwarty luk wpelzała z dołu po schodach smuga światła. Kapitan Smith przystanął.

- No, a teraz dawaj te twoje pieniądze!

Robinson nie rozumiał. Sądząc przez chwilę, że to żart, spojrzał z niepewnym uśmiechem. Ale twarz kapitana była poważna, a nawet surowa.

- Dawaj pieniądze, powtarzam! Szybko! Nie marudź!

„Ach, więc to tak?! - przemknęło chłopcu przez myśl. - A przecież Kulawy Piotr chciał mi zabrać tylko jedną gwineę!”

- No? Nad czym myślisz?

Robinson obejrzał się, jakby szukając pomocy. Za nim stał wachtowy marynarz. Ale latarnia oświetlała twarz obojętną, jak gdyby majtek nie rozumiał słów, które tu padły. Ospa rozlała się na tej twarzy, czyniąc z niej coś na kształt pustego plastra miodu.

- Dawaj wszystkie pieniądze, powtarzam!

Robinson sięgnął do kieszeni i wydobyl stamtąd woreczek z pieniędzmi.

- To wszystko?

Skinął głową. Starał się nie patrzeć kapitanowi w oczy. Bał się go i pogardzał nim. Smith, jakby czytając w jego myślach, roześmiał się nagle. W ślad za nim - nie wiadomo dlaczego - chrypliwie zarechotał marynarz.

- Williamie! Oddaję ci pod opiekę tego „pasażera”. Sprowadzisz go na dół i wyznaczysz mu koję.

Dobranoc! Jutro podnosimy żagle.

Na ucieczkę było już za późno.

ZNOWU NA MORZU

*Chłopak wzięty do terminu płacić musi majstrowi za naukę i nikt się temu nie dziwi. Za swoje grosze ciągi jeszcze zbiera i Boże broń, aby miał się skarżyć z tej przyczyny. Taki jest obyczaj i takie jest prawo. Nauczyłem się z czasem, że wszystko w życiu ma swoją cenę i za wszystko płacić trzeba takim lub innym sposobem. I jeśli popatrzę wstecz na moje życie, z goryczą przyjdzie mi wyznać, że twardym dla mnie było mistrzem i niezbyt długo kazało pozostawać w terminie...*

W porcie nad Tamizą zbiegały się stare szlaki żeglarskie wiodące ze wszystkich stron świata. Stąd wyruszały kupieckie statki w najdalsze rejsy na znane i nieznanne lądy, na wyspy uśpione skwarem tropikalnego słońca, do dalekiej Japonii i na ziemię Kolumba, pod południowy i północny biegun, opancerzony wiecznym lodem. Tutaj wyladowywano ze statków beczki z wielorybim tranem, napełnione gdzieś poza kręgiem polarnym, tytoń z Wirginii, korzenie i trzcinę cukrową z Indii Zachodnich, jedwab z Chin i kość słoniową z Czarnego Łądu, jak gdyby ogromny świat zobowiązany był płacić maleńkiej wyspie bezlitosny haracz całą różnorodnością swojego bogactwa.

Od świtu do późnej nocy ciężkie, sześciokonne furgony przewoziły z portu do spichlerzy i składów kupieckich tę różnorodną daninę wszystkich mórz i lądów. Wśród tumultu na molo i w przystani, w różnojęzycznym gwarze i pstrym tłumie rojącem się w porcie można było bez trudu określić zawód i przynależność każdego człowieka.

Tu bogaty kupiec, który przyszedł po to, aby sprawdzić, jak przebiega wyladunek towaru, ostrożnie

stąpa, aby uchronić przed błotem srebrne kłamy na ciżmach z cienkiego safianu. Tam żebrak o kijku skowyczy o swojej nędzy i odsłania łąchmany, ledwo okrywające nagość brudnego ciała. Woźnice i tragarze o zapadłych brzuchach i mięśniach rysujących się grubymi węzłami pod skórą. Dozorcy statków i pokładowi bednarze, cieśle okrętowi i żaglomistrze - krzepka i ogorzała kompania o krzaczastych brodach, odziana w sukienne kurty marynarskie.

Od strony składów herbaty, imbiru i pieprzu przebija się przez tłum grupka okrętowych majtków. Chyba niejedyn kubek grogu musieli osuszyć „Pod Czerwonym Delfinem”, gdyż nogi mniej pewnie im służą niż pięści, języki i łokcie.

Rżenie koni, przekleństwa i złorzeczenia, brzęk złota i turkot wozów - codziennie, święto nie święto, tym samym gwarem rozbrzmiewa port nad Tamizą.

Robinson stał oparty o niską burtę statku i patrzył w dół, na barwne rojowisko ludzkie. Przed chwilą ukończono załadunek. Ostatnie worki sucharów i beczki z peklowaną wołowiną znikły w czeluściach ładowni. Poranek po nie przespanej nocy nie przyniósł mu pogodniejszych myśli. Gdyby nawet chciał wrócić teraz do Yorku, nie miałby jak i nie miałby już za co. Najgorzej, że nie wiedział, co myśleć i czego się po tym wszystkim spodziewać. Kapitan Smith pojawił się wprawdzie na pokładzie, ale po to tylko, aby obejrzeć niebo i sprawdzić siłę wiatru. Na Robinsona nie zwrócił uwagi.

Chłopak raz jeszcze wychylił się za burtę. Już nie było tam sznurowej drabinki, wciągnięto ją widocznie na pokład. Nisko w dole, między pomostem i kadłubem statku, połyskiwał szeroki pas wody. W kokpicie\* na ławach siedzieli marynarze - bosci, w wełnianych koszulach i płóciennych pludrach. Toczyła się leniwa pogwarka. Dymią fajki. Czekali na rozkaz odbicia. Nad pokładem, wysoko w słońcu, kołowały mewy. Przysiadły na masztach, kołysały się na rejach i znowu zrywały się do lotu, szukając cierpliwie pożywienia.

O tej porze, gdzieś tam, na drodze do Hull, turkotał pewnie jak zwykle wózek starego mleczarza... „Stąd do Yorku jest chyba ze dwieście mil...” - pomyślał Robinson i zatęsknił nagle za domem. Ale na krótko. Latarnie portowe mijał właśnie, wchodząc do przystani, okręt wojenny floty królewskiej, strojny jak panna młoda. Burtę z białego cedru pokrywały misterne płaskorzeźby. Na wysokiej rufie miedziany potwór morski dzierżył olbrzymią latarnię z kolorowych szyb w ołowianej oprawie. Ciepłym brązem połyskiwały lufy dział.

Marynarze zerwali się z ław. Okręt mijał właśnie „Eleonorę”. Szedł burta w burtę. Odprowadzały go pełne zachwyty okrzyki.

- Policz tylko same figury! Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem... - liczył ktoś głośno. - Patrzcie! No, tam! Stary Neptun w koronie! Założę się, że jest szczerozłota!

Robinson patrzył jak urzeczony. Tak właśnie wyobrażał sobie morze, kiedy za garść tytoniu słuchał opowieści w Hull.

Nagle rozległ się gwizdek. Gwar zamilkł, załoga znieruchomiała. W otwartym luku na dziobie stał kapitan Smith ze swoim ospowatym pomocnikiem.

- Załoga na rufę! - padł pierwszy rozkaz i gromada rzuciła się biegiem. Kapitan skinął na bosmana. Ospowaty ruszył jak do ataku.

- Do kabestanu\*! Co, u stu piorunów! Już was nie ma! Hej, ty tam, na co się gapisz? - krzyknął do Robinsona, grożąc mu kawałkiem podwójnie złożonej liny. Drgnęły łańcuchy kotwiczne. - To tak się wyciąga kotwicę? Ruszajcie się, baranie łby! Nuże! Na co czekacie? Ty tam, z rudą brodą, i ty, w tej szmacie na głowie! Weźcie się za kołowrót, powiadam, bo wam połamię gnaty! - miotał się po pokładzie, rozdając hojnie ciosy trzymaną w dłoni liną. - Do żagli!

Wyciągnięto kotwicę. „Eleonora” zaczęła z wolna oddalać się od brzegu. Przesunęły się wzdłuż burt portowe latarnie, szeroki nurt Tamizy pchnął statek naprzód. Z wolna, ale coraz szerzej rozstępowały się brzegi i wkrótce żaglowiec zanurzył się głęboko w zieloną toń morską. Gwarnym rojem odprowadzały go mewy.

Dzień powszedni na „Eleonorze” okazał się dla Robinsona znacznie cięższy niż dla innych.

Gdy tylko wilgotna bryza wzdęła żagle i ostatnia mewa z wrzaskiem przeleciała nad głowami, zwracając w stronę łądu, ospowaty sternik zapędził go do czyszczenia kotwicznego łańcucha. Była to nie

lada robota! Z każdego ogniwa wyplątać mocną, jakby uplecioną z zielonych sznurów narośl wodorostów, najeżoną ostrymi, kaleczącymi palce muszlami. Każde ogniwo osobno ostukać młotkiem z rdzy, każde wytrzeć do sucha i natłuścić baraním łojem. Kiedy praca dobiegała końca, Robinson czuł, że puchną mu palce i nie może wyprostować karku. Reszta załogi podzwaniała już tylko łyżkami nad wielkim kotłem z kaszą, gdy nacierał szmatą przesyconą łojem ostatnie ogniwo łańcucha. Wówczas ospowaty sternik przyszedł obejrzeć robotę.

- Popatrz no, kochasiu, jak wyczyściłeś ten łańcuch! Czyżbyś przypadkiem niedowidział? - Gruby paluch bosmana wędrował z ogniwa na ogniwo, zatrzymując się na bladeżółtych śladach po rdzy. - O! Tu i tu. Tu także. Wszędzie zostało to świństwo, tyle tylko, że zamazałeś je łojem.

- Nie, panie! - wyrwało się Robinsonowi. - Rdzy nie ma już na tym łańcuchu. To są ślady wyżarte w żelazie, których teraz już usunąć nie można!

- A ja ci mówię, chłoptasiu, że wyczyścisz to żelaziwo tak ślicznie, jak jeszcze nigdy nie było wyczyszczone. A potem, zanim siądziesz do wieczerzy, pięknie wyszorujesz pokład. Kapitan Smith lubi, żeby deski lśniły jak kość słoniowa, moje dziecko. I nożem usuniesz dokładnie piasek ze szpar. Nic tak nie niszczy desek jak piasek, kiedy wlezie w szpary. Sam się o tym przekonasz, mój mały, kiedy własną łajbę wyprowadzisz na morze. No! Do roboty, admirale!

Drewniany kubel zawieszony na Unie wyrwał ramiona ze stawów, kiedy Robinson czerpał wodę do szorowania pokładu. Mięśnie paliły żywym ogniem. Zanim zakończył robotę, na pokład wychodziła już wachta nocna. Inaczej wyobrażał sobie swoje dalekie podróże. Zaciął zęby, ażeby powstrzymać lzy cisnące się do oczu. Majtkowie mijali go z drwiącym uśmiechem. Bosman nie żałował uszczypliwych uwag. Gdy wreszcie wdrapał się na wyznaczoną koję w ciasnym pomieszczeniu dla załogi, wokół rozlegało się już gęste chrapanie. Zaledwie jednak zmrzył oczy, majtek wachtowy zbudził go, szarpiąc za rękaw.

- Do kapitana! No, już! Na co czekasz? Zbieraj manatki i zmiataj! Robinson przetarł oczy i zeskoczył z koi. Czego mógł chcieć od niego kapitan Smith o tej porze?

Wyszli na pokład. Był wilgotny i zimny od gwałtownych bryzgów wysokiej fali. Gwiazdziste niebo zapowiadało pogodę.

Przeszli przez rufę.

Kapitan Smith siedział w swojej kajucie nad mapą morską rozpostartą na przyśrubowanym do podłogi stole. Była to poźółkła, wielka karta, na której kolorowymi plamami oznaczono lądy, wyspy i morza. Kapitan Smith powolnym ruchem ołówka kreślił na niej dodatkowe linie - linie te biegły poprzez puste, jasnoblękitne przestrzenie.

- To morskie prądy - wyjaśnił, spojrzawszy w zamyśleniu na Robinsona. - Są one jak rzeki, gdy tymczasem morze jest nieruchome jak ląd. Jeśli szyper potrafi wprowadzić swój statek we właściwy prąd, może drwić sobie z ciszy na morzu. Nawet gdy żagle wiszą jak mokre koszule na żerdzi, prąd taki pociągnie mu statek do celu. Rozumiesz?

Robinson przełknął głośno ślinę i skinął głową. Nie bardzo wiedział, po co kapitan Smith tłumaczył mu to wszystko. Na stole leżały jakieś nieznane przyrządy, na ziemi poźółkły rulon innych map. Kapitan Smith uniósł latarnię okrętową i oświetlił nią wnętrze kajuty.

- Szyper musi wiedzieć, mój chłopcze, w każdej chwili, gdzie na kuli ziemskiej i w którym miejscu morza znajduje się jego żaglowiec. Na tej ścianie widzisz instrumenty, które temu służą. Przypatrz im się. Musisz je poznać tak samo dobrze jak pokładową miotłę.

Kapitan Smith, mówiąc to, jak gdyby parsknął śmiechem, który natychmiast stłumił. Robinson obejrzał się, ale światło latarni nie padało na twarz kapitana. Odwrócił więc ponownie głowę ku wskazanej ścianie. Znajdowały się na niej rozmaite przyrządy o nie znanym mu przeznaczeniu. Jedynym znajomym przedmiotem była olbrzymich rozmiarów luneta. Inne, umocowane na drewnianych kołkach i przyśrubowane do ściany, lśniły dlań niezrozumiale szkłem i mosiądzem.

- Pośrodku widzisz kwadrant - rzekł kapitan. - Jest to instrument zbudowany przez arabskich żeglarzy.) Ta deszczułka zwie się, też z arabska, alidada. Jeśli ją skierować ku znanej gwiazdzie, można odczytać kąt i oznaczyć, gdzie znajduje się statek. A teraz zbliż się do stołu...

Przez wysoko umieszczony iluminator sączył się już pierwszy brzask, gdy kapitan Smith, zwinąwszy

starannie mapę, umieścił ją w długiej skórzanej tulei.

- A teraz idź spać, bo James nie da ci się wylegiwać do południa. Na dzisiaj dosyć.

Robinson wyszedł z kajuty, zataczając się ze zmęczenia. W głowie roilo mu się od cyfr i trudnych do zapamiętania nazw. Zaledwie dowlókł się do swej koi, natychmiast zapadł w kamienny sen. Zbudził go wrzask i przekleństwa. Ospowaty pomocnik kapitana stawiał śpiochów na nogi. „A więc to jest James” - pomyślał i zanim sternik zwrócił się w jego stronę, już bosymi stopami dudnił po stromych schodkach. Dzień zaczął się znowu od szorowania pokładu, chociaż Robinsonowi wydawało się to zupełnie niepotrzebne. Potem kazano mu czyścić osmolone kotły w kambuzie\*. Kapitana Smitha zobaczył dopiero wieczorem, kiedy załoga zdrowo już pochrapywała w forkasztelu.

Dni miały podobnie, a i noce przynosiły zawsze to samo. Robinson nie starał się ich nawet liczyć. Stracił rachubę czasu, a najgorsze było to, że nie mógł zrozumieć, dlaczego stawia się przed nim większe wymagania niż przed resztą załogi. Kiedy tamci spali, on musiał się uczyć. Gdy odpoczywali w ciągu dnia, on musiał powtarzać i wbijać w pamięć nieznane nazwy i cyfry, bo kapitan był wymagającym nauczycielem. Niczym też nie przypominał teraz owego przyjacielskiego, życzliwego doradcy z oberży „Pod Czerwonym Delfinem”. Najczęściej chmurny, gniewny i surowy, w dzień starannie unikał wszelkich rozmów. Robinson nie mógł tego zrozumieć. W dodatku sternik James uwziął się na niego. Robinson, w Hull jeszcze, nieraz patrzył z podziwem i zazdrością, jak majtkowie wspinali się błyskawicznie na maszty, w górę ku rejom, trzymając się lin bosymi stopami, małym jakimś sposobem. Podziwiał, ale sam nigdy nie próbował tej sztuki. Dopiero James pomógł mu zrozumieć, ile trzeba pracy, aby się tego nauczyć. Zjeżdżać po linie było łatwiej i znacznie przyjemniej. Ale i tak po kilku takich ćwiczeniach chłopak miał dłonie zdarte do krwi i pokryte bąblami, które piekły ponad ludzką wytrzymałość, zwłaszcza gdy wżarła się w nie woda morska.

Mijały dni i tygodnie. „Eleonora” pruła pustynny ocean, gnana ku brzegom Gwinei pomyślnym wiatrem. Znać było już na niej i na załodze tę długą drogę. Coraz częściej wymieniano żagle. Żaglomistrz szył, cerował rozerwane płótno, skręcał zluzowane liny, dwoił się i troił na pokładzie. Zapasy słodkiej wody zaczęły cuchnąć. Piło się ją ze wstrętem. Ludzie snuli się po pokładzie ospali, ale rozdrażnieni i skłonni do zwady. Zdarzało się, że i noże błyskały w kubryku\*. Na domiar złego bezlitosne, tropikalne słońce dawało się wszystkim we znaki. W południe deski pokładu były tak rozpalone, że stopy trzeba było owijać szmatami zwilżanymi co pewien czas wodą.

Którejś nocy, po siedmiu tygodniach podróży, kapitan Smith wskazał Robinsonowi na mapie krzywą kreskę.

- To jest prąd gwinejski. Musimy go wyminąć, aby nie stracić szybkości. Płynie bowiem na północ. - Potem zaś, wskazując pobliski ląd, dodał: - Gwinea. Wybrzeże Kości Słoniowej. Jeśli wiatr się nie zmieni, jutro powinniśmy zawinąć do brzegu.

Nazajutrz majtek pełniący służbę na bocianim gnieździe obwieścił ziemię. Zbiegli się wszyscy na dziobie. Na horyzoncie rysowała się nieco jaśniejsza od wody, wąska smuga lądu.

#### CZARNY ŁĄD I CZARNA FLAGA

*Jeśli przypomnę barwy, w jakich Mathews malował przede mną życie pod rozpiętymi żaglami i wędrowanie po morzach, przyjdzie mi wyznać otwarcie, że albo łgał stary, albo też moje przygody pod fatalną jakąś zaczęły się gwiazdą. Najwięcej tam bowiem przykrości zaznałem, jeśli zważyć wszystko, a nawet gdy fortuna zdawała się do mnie uśmiechać, okazywało się potem, że uśmiech ten nie całkiem był szczery...*

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy Robinson, korzystając z nieobecności kucharza, cisnął brudne kotły i wybiegł z kambuza na pokład.

„Eleonora” kołysała się na falach przyływu o milę od brzegu, w płytkich wodach zatoki. Wśród załogi panował ruch. Marynarze pod okiem Jamesa wyciągali z ładowni skrzynie i worki z towarem przeznaczonym na wymianę. Sternik sprawdzał ich zawartość i ustawiał je wzdłuż bakburty. Były tam siekierki i noże myśliwskie, naszyjniki z kolorowych szklanych paciorków, ostrza do dzid i sztuki barwionej tkaniny. Pokład statku wyglądał jak stragan jarmarczny.

Robinson podbiegł chyłkiem do burty i przykucnął za szalupą. Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Miał



uczucie, że osiągnął nareszcie to, o czym marzył od dawna.

Przed nim, jak okiem sięgnąć, rozciągała się nieznaną krainą - legendarne Wybrzeże Kości Słoniowej. Wystarczyło przekroczyć tylko wąskie pasmo morza, dzielące statek od lądu, aby ziemi tej dotknąć własną stopą. Z wodnej płycizny wynurzał się rozległy, płaski brzeg. Na lagunach roilo się od ptactwa. Dalej, w głębi, gęste zarośla i krzewy niby zielony, skłębiony wał. Strzępiła się na nim lotna, szarobłękitna mgła. Ponad nią, wyżej, dostrzegł kępę wysmukłych drzew. Musiały być bardzo wysokie. „To palmy” - pomyślał. Znał je dotychczas tylko ze sztychów i opowiadań. Widział je również wymalowane niezręcznie na skrzyniach z orzechami kokosowymi, gdy odwiedzał kantor swego ojca w Yorku.

Spojrzał niecierpliwie na pokład. Nikt jakoś nie kwapił się z opuszczeniem szalupy. Kapitan Smith obserwował wybrzeże. Długo i uważnie badał lunetą każdy jego odcinek. Majtkowie, zebrani na śródokręciu, prowadzili ożywioną dyskusję. Robinson pobiegł spojrzeniem za wskazującym gestem bosmana.

Z małej zatoczki położonej w odległości niecałej mili od statku, nieomal z gęstwy przybrzeżnych krzewów, wyskakiwały - jedna za drugą - śmigłe łodzie krajowców. W słońcu połyskiwały hebanem nagie ciała wioślarzy. Kapitan Smith skinął na sternika. James podskoczył do burty i opuścił sznurową drabinkę. Spadając z wysoka, plusnęła głośno o powierzchnię wody. Łodzie krajowców, pozornie rozproszone, zwróciły się nagle dziobami w stronę statku i wyrównanym półkolem zaczęły się szybko przybliżać. Pod naciskiem ramion gięły się rytmicznie pióra wiosel. Odległość dzieląca flotyllę od „Eleonory” malała w oczach. James skinął na załogę. Marynarze cofnęli się posłusznie i wyrównali szereg - od rufy do dziobu. Flotylla stanęła półkolem. Z ordynku łodzi jedna tylko wysunęła się naprzód. Przybrana była pękami piór. Na dziobie stał olbrzym oparty na włóczni.

Łódź przybiła do trapu, zatrzeszczała drabinka. Kapitan Smith, milczący szereg marynarzy i James ze sztuką czerwonej tkaniny na wyciągniętych dłoniach czekali bez słowa. Po chwili ukazała się nad burta „Eleonory” wełnista głowa Murzyna.

Rozejrzał się po pokładzie. Przebiegł oczami po twarzach załogi, dłużej zatrzymał wzrok na rękach Jamesa, spojrzał na worki i skrzynie - i jak gdyby teraz dopiero dostrzegł kapitana. Przekroczył burtę. Za Jamesa, spojrzał na worki i skrzynie - i jak gdyby teraz dopiero dostrzegł kapitana. Przekroczył burtę. Za nim wyłoniły się czarne ramiona wioślarzy. Nieśli dar dla białego człowieka: dwa olbrzymie kły słonia. Kapitan Smith, ująwszy gościa pod ramię, powiódł go w stronę bakburty, pomiędzy skrzynie i worki. Prowadzili tam jakąś cichą rozmowę, pomagając sobie gestami. Murzyn sprawdzał ostrza noży, ważył na dłoni szklane koraliki, miął w palcach bawełnianą tkaninę. Porozumieli się wreszcie. Kapitan odprowadził kacyka do trapu i wręczył mu naszyjnik z koralików i sztukę czerwonej tkaniny. Murzyn błysnął w uśmiechu zębami.

Tej samej nocy wiatr przyniósł od strony lądu głucho dudnienie bębna. Kapitan Smith objaśniał właśnie Robinsonowi położenie gwiazdozbioru zwanego Krzyżem Południa. Przerwali rozmowę. Dudnienie urwało się nagle, odpowiedział na nie dźwięk inny, pośpieszny w rytmie, niecierpliwy i jakby wyższy o kilka tonów. Ostatnie uderzenie, zawieszony w ciszy, zabrzmiało jak pytanie. Ten pojedynczy dźwięk powtórzył się jeszcze kilka razy, natarczywie i nagłąco. I znowu z bliska odezwał się ton poprzedni - niższy, spokojny, basowy. Dudnienie rosło, łączyło się w głębi lasu z innymi dźwiękami w niepokojącą, tajemniczą muzykę, powtarzaną przez echo.

- To tam - tam - rzekł kapitan. - Murzyńskie wioski podają sobie wiadomość o naszym przybyciu.

Robinson spojrzał zdziwiony.

- W ten sposób potrafią postawić na nogi w ciągu jednej nocy całą Gwineę. Każdy z tych dźwięków coś dla nich oznacza. Jutro będziemy tu mieli tłumy czarnych. Są naiwni i łatwowierni jak dzieci. Kacyk sądzi zapewne, że nie ma korzystniejszej wymiany nad tę, której dzisiaj dokonał, otrzymując kilka łokci kolorowej szmaty i garść świecidełek za dwa kły słoniowe. A przecież za te dwa kły można by cały nasz statek zasypać świecidełkami od kilu\* po wimpel\*\* na grotmaszcie\*\*\*. Są naiwni jak dzieci...

- Dlaczego zatem nie otrzymują więcej, skoro kość słoniowa taką przedstawia wartość? - zapytał Robinson.

- Dlatego, że nie znają tej wartości. Nikt im przecież tego nie powie. Cały ten handel, mój chłopcze, polega na tym, że my zyskujemy tyle, ile oni tracą. Na tym polega handel... - powtórzył w zamyśleniu. Zamilkli. Na łodzi trwała cisza, to znów głośniejsza gadanina murzyńskich bębnow.

Przewidywania kapitana okazały się słuszne. Już wczesnym rankiem zaczęły podpływać do statku łodzie obciążone owocami, olejem palmowym w tykwach, gumą arabską, kością słoniową i złotym piaskiem. W ciągu następnych dni przybywali Murzyni z wiosek położonych w głębi ładu. Byli wśród nich i tacy, którzy przeszli ponad pięćdziesiąt mil, aby za lada błyskotkę oddać skarby swej ziemi. Ładownia „Eleonory” pęczniała z dnia na dzień.

Raz tylko udało się Robinsonowi wziąć udział w wyprawie na łąd po słodką wodę i świeże mięso. Przez pozostały czas zajęty był załadunkiem.

Po dwudziestu dniach przeciążony statek zanurzył się aż po linię wodną oznaczoną na kadłubie. Przy pomyślnym wietrze podnieśli żagle.

Podróż powrotna trwała znacznie dłużej. Część załogi nie wychodziła z kubryku. Niezdrowy klimat wybrzeża, moskity i jadowite insekty przyniosły malarię, która ścinała ludzi z nóg.

Robinson trzymał się jakoś. Twarda szkoła kapitana Smitha uczyniła zeń mężczyzną. Rozrósł się i zahartował na trudy żeglarskiego zawodu, czuł przy tym, że jest na statku pożytecznym członkiem załogi. W potrzebie mógł teraz równie dobrze zastąpić prostego majtka, jak wyręczyć Jamesa przy kole sterowym czy nawet zmierzyć położenie gwiazd dla kapitana. I chociaż brakowało mu jeszcze doświadczenia, mógł się już nazwać żeglarzem.

Stosunki Robinsona z kapitanem nie uległy zmianie. W ciągu dnia nie rozmawiali wcale. Robinson spełniał tysiące czynności na pokładzie, starając się pracować szybko i dokładnie, gdyż kapitan Smith był człowiekiem surowym, uznającym żelazną dyscyplinę.

Z załogą Robinson nie zdołał się zaprzyjaźnić. Był dla nich zawsze kimś, kto prowadzi po nocach długie rozmowy z kapitanem. Nie mieli do niego zaufania, bo życie nauczyło ich ostrożności wobec ludzi, którzy miewają jakieś konszachty z oficerami statku.

Robinsonowi pozostała zatem tylko nauka, praca i nocne spotkania z kapitanem. Traktował je zrazu jako zło konieczne, z czasem jednak począł w nich znajdować przyjemność, ucząc się rozumieć sprawy, o których dotąd nie miał pojęcia. Ilekroć jednak chciał o tym powiedzieć kapitanowi, mroziło go surowe spojrzenie, odbierające wszelką ochotę do zwierzeń.

Wreszcie zdarzyła się taka sposobność.

Którejś nocy, zastukawszy do drzwi kajuty, nie usłyszał zwykłej odpowiedzi. Sądząc, że kapitan jeszcze nie wrócił do siebie, pobiegł na górę. Na mostku nie było nikogo. Na pokładzie oprócz nocnej wachty czuwał tylko, jak zwykle, James. Był sam. Robinson zbiegł ponownie na dół. Zastukał do drzwi i wstrzymał oddech. Wydawało mu się, że słyszy w odpowiedzi jęk czy też westchnienie. Nacisnął klamkę. Kapitan Smith, zgięty, jakby złamany we dwoje, leżał na stole całym ciężarem ciała. Spod ręki, którą widocznie - usiłując wstać - przewrócił kałamarz, sączył się inkaust na czyste deski podłogi. Kapitan był na wpół tylko przytomny. Jego ramiona dygotały, wstrząsane paroksyzmami dreszczy. Robinson rozrzucił pościel na łóżku i spróbował dźwignąć chorego. Ciężar bezwładnego ciała był jednak zbyt wielki. Wybiegł po Jamesa. Wrócili obydwaj i wspólnie przenieśli kapitana na koję.

- Malaria - mruknął sternik, obejrzawszy uważnie zwierchnika. - Rzuca nim jak potępieńcem. To niebezpieczna choroba, kiedy już zwali z nóg takiego chłopca jak Smith. Wlej mu rumu do gardła i zostań tutaj. Ja muszę wracać do steru, ale obudzę po drodze kucharza. Damy mu porcję gorącego grogu. Robinson spędził przy chorym całą noc i dzień następny. Kapitan Smith odzyskał przytomność dopiero po upływie doby. Ale nie oznaczało to powrotu do zdrowia. Jego organizm z godziny na godzinę, w sposób niemal dostrzegalny, pożerała choroba. Którejś wreszcie nocy kazał sobie podać papier, inkaust i pióro, aby spisać akt ostatniej woli. Widząc protest w oczach Robinsona, uśmiechnął się, po raz pierwszy od bardzo już dawna.

- Nic mi nie pomoże, mój chłopcze! Każdy statek ma swoje miejsce na dnie morza. Ja jestem właśnie takim statkiem. Czuję, że trzaskają wręgi. Jedna po drugiej. Żaden kadłub tego nie wytrzyma. Choćby był cały z cedrowego drzewa.

Wyciągnął wychudłą rękę i mocno ścisnął dłoń Robinsona.

- Cieszy mnie, że na koniec zrobiłem z ciebie marynarza. I cokolwiek byś sobie myślał, mój chłopcze, dziękuj Bogu, że trafiłeś w moje ręce. Ja sam kiedyś uciekłem z domu, ale naliczyłbyś na moich plecach więcej śladów bata niż dni w moim życiu. I chociaż opłynąłem już cały świat wzdłuż i wszerz, nigdy nie udało mi się trafić ponownie do domu. Zapamiętaj to sobie.

Robinson milczał wzruszony i wstyd palił mu policzki. Jakże mógł posądzić tego człowieka o kradzież kilku gwinei? Dlaczego wcześniej nie umiał okazać mu wdzięczności za noce spędzone nad mapą, nawet za tę surowość, z jaką kapitan naglił go do pracy i sprawdzał postępy w nauce? Przeciwnie, ileż to razy przeklinał chwilę, kiedy stanął po raz pierwszy na tym pokładzie! Nie wiedział, co odpowiedzieć teraz, toteż pochylił się tylko i przywarł ustami do rozpalonej dłoni chorego.

- Pieniądze, które ci zabrałem - ciągnął kapitan - były twoim udziałem w tej wyprawie. Nigdy nie miałem współnika, niechże go mam na ostatek. Nie oszczędzałem ci trudów, Robinsonie. Życie londyńskiego kupca jest zapewne łatwiejsze i bardziej bezpieczne niż nasze. Miałeś możliwość przekonać się o tym. Będziesz miał teraz pieniądze i różne drogi otwarte przed sobą.

Po ośmiu tygodniach żeglugi ujrzeli nareszcie portowe światła Londynu, ale z grotmasztu „Eleonory” zwisiała żałobna flaga.

#### PIRACI Z SALE

*Pięć funtów i dziewięć uncji złotego piasku! Oto był mój udział w wyprawie. Wcale pękaty woreczek, za który otrzymałem w Londynie bez mała trzysta funtów szterlingów.*

*Tym sposobem trzy gwinee i wielkoduszność kapitana uczyniły mnie człowiekiem majątnym ponad wszelkie moje spodziewanie. Byłaby to doprawdy szczęśliwa wyprawa, gdyby nie to, że zabrała mi mego mistrza i przyjaciela. Radość i smutek w jednym ponoć chodzą zaprzęgu.*

- Mości Robinsonie, jeśli istotnie zachowałeś dobrą pamięć o moim zmarłym nieszczęśliwie mężu, uczyni w imię wdzięczności, o której mówisz, to, o co cię prosi wdowa po nim. - Pani Eleonora Smith, mówiąc to, podniosła do oczu chustkę, ażeby ukryć łzy. - Nikt przecież, tak jak ty, nie obroni moich praw wśród obcych mi zupełnie ludzi.

Robinson zwlekał z odpowiedzią. W ciągu ostatnich tygodni, gdy zrozpaczona wdowa zajęta była pogrzebem, załatwiał dziesiątki spraw zostawionych przez zmarłego w wielkim nieładzie. Czuwał nad wyładunkiem, obliczał i wypłacał udziały, prowadził księgi handlowe. Teraz jednak, ukończywszy już wszystko, pragnął wrócić do Yorku, aby uzyskać przebaczenie i zgodę rodziców, zanim wstąpi ponownie na pokład okrętu.

- Gdyby można było odwlec tę podróż - zaczął niezdecydowanie, unikając spojrzenia pani Smith, w której nadzieja walczyła ze łzami.

- To niepodobna, niestety - odpowiedziała ze smutkiem. - Część ładunku nie należy do mnie, a współnicy są nieustępliwi. Nie obchodzi ich śmierć męża ani kłopoty, w jakich się znalazłam. Żądają dotrzymania terminu i grożą zerwaniem kontraktów.

- A czy James, którego kapitan darzył przecież zaufaniem, nie mógłby tym razem...

- I to nie jest możliwe - przerwała pani Smith. - Mąż mój cenił Jamesa jako doświadczonego żeglarza i dlatego powierzam mu prowadzenie statku. Ale James, mości Robinsonie, jest niepiśmienny. Dlatego też moi współnicy nie zgodzą się na to, ażeby jemu powierzyć ładunek, gdyż wymaga to prowadzenia rachunków i ksiąg. Nadto z niepiśmiennym człowiekiem nikt liczyć się nie będzie, gdy zawinie do jakiegoś portu. Na koniec, James to prosty majtek. Z innego stanu wyszedł niż ja czy pan, mości Robinsonie. Nie chciałabym być niesprawiedliwa, ale słyszał pan zapewne o zdarzeniu, którego echa dotarły tu do nas ostatnio...

Pani Smith miała na myśli przygodę kapitana Austina. Przed rokiem wyruszył on do brzegów Gwinei z ładunkiem przeznaczonym na wymianę. Przez cały czas nie było żadnych wiadomości o losach brygu i załogi. Dopiero przed kilku dniami przywiózł ktoś listy od kapitana Austina, a ich treść przeraziła właścicieli statków handlowych w Londynie. Wskutek ciężkiej choroby Austin opuścić musiał pokład i pozostać na Teneryfie, jednej z Wysp Kanaryjskich, powierzając statek sternikowi. Człowiek ten nie zasługiwał jednak na zaufanie, jakim go obdarzono. Załoga, opuściwszy port Santa Cruz, wywiesiła czarną flagę. Kapitan

Austin pozostał sam na Teneryfie, w skrajnej nędzy, a żaglowiec nigdy już nie wrócił do macierzystego portu. Uczyniono zeń statek korsarski.

- Gotowa jestem sama udać się do Yorku, aby przebłagać twoich rodziców, mości Robinsonie, i jestem pewna, że poznawszy przyczyny, nie będą żywić gniewu. Zaopiekuj się zatem ładunkiem i losami wyprawy. Uczyni to, jakby on sam cię o to prosił...

Na ścianie, na wprost Robinsona, wisiał portret kapitana Smitha. Zręczny pędzel malarza ożywił nieomal jego sylwetkę. Stał z lunetą i mapą w dłoni, zapatrzony gdzieś w dal, jakby spoglądał z kapitańskiego mostka. Po twarzy błąkał mu się, znany Robinsonowi, ciepły i serdeczny uśmiech.

- Zgadzam się - powiedział, odwracając oczy od portretu.

Tego samego dnia Robinson obejrzał statek. Pracowali na nim jeszcze utykacze szpar, żaglomistrz i cieśle. Pokład był już czysty i wyporządkowany, liny starannie pozwijane, łodzie zawieszane na hakach. Chłopak okrętowy czyścił właśnie lufy armat umocowane na wsporach masztowych. Ujrawszy Robinsona, przerwał robotę i powitał go ukłonem i szurnięciem nogi. Był to rudy, piegowaty wyrostek o przyjemnie uśmiechniętej twarzy.

- Na pokładzie wszystko w porządku, sir. Pan James zbiera załogę w oberży „Pod Czerwonym Delfinem”, a ja czyszczyć działa, jak pan raczy widzieć. Jeśli wiatr będzie pomyślny, jutro możemy wyruszyć...

Robinson, w nowym kaftanie z łosiowej skóry i ze szpadą u boku, nie przypominał w niczym dawnego czyściciela osmolonych kotłów. Bawiły go jednak te przesadne wyrazy szacunku w ustach chłopca, który był przecież jego następcą na pokładzie „Eleonory”.

Nazajutrz podnieśli kotwicę. Długo powiewała na nadbrzeżu koronkowa chusteczka w dłoni pani Smith, która odprowadziła ich aż do portu.

Żegluga szła pomyślnie. Tylko w Zatoce Biskajskiej spotkał ich gwałtowny sztorm. Na tym skrawku Atlantyku zawsze bowiem czyha na żeglarza niebezpieczeństwo. Wyszli jednak z przygody cało i bez większych szkód na pokładzie.

Robinson dużo sobie obiecywał po tej podróży. Dwieście funtów pozostawił wprawdzie na przechowaniu u pani Smith, ale za sto zakupił sporo rozmaitych błyskotek, które w razie szczęśliwej wymiany powinny mu być przynieść niemały kapitał. Liczył na to, że wróci do Yorku jako zamożny kupiec morski i żeglarz co się zowie.

Gdy brzegi Europy zaczęły niknąć z oczu, wzięli kurs na Wyspy Kanaryjskie. W drodze powrotnej mieli stamtąd zabrać kapitana Austina. Zaledwie jednak znaleźli się na szerokości wyspy Lanzarote, gdy spadło na nich nieszczęście jak piorun z jasnego nieba. Robinson studiował właśnie mapę w swej kajucie, gdy doszło jego uszu wołanie:

- Aho - o - oj! Żagle na horyzoncie! Kierunek wschodni! Aho - o - oj! Porwał ze stołu lunetę i wybiegł na pokład.

Marynarz z bocianiego gniazda wywodził dalej ochryple:

- Aho - o - oj! Trzy żagle widzę! Idą na nas!

Robinson podniósł do oczu lunetę. Żagle wyraźnie rosły nad horyzontem, chociaż gołym okiem trudno je było rozpoznać.

- Dlaczego idzie na nas? - zapytał Jamesa. - Przecież stamtąd żaden kurs tutaj nie prowadzi.

- Właśnie - mruknął James. - Daj no mi lunetę. Wcisnął ją za koszulę i błyskawicznie wspiął się na grotmaszt.

- Ahoj! James! Co tam?! - zawołał ku niemu Robinson, ale nie otrzymał odpowiedzi. James zjechał po linie, aż zadudnił pokład. Robinson zauważył, że sternik jest bardzo błądy. - Mówże, James! Co się stało, na Boga?

- On ma czarną flagę na maszcie - wykrztusił sternik. - I czerwony półksiężyc na fladze. To berberyjski\* pirat. Co robić?

W tej chwili z bocianiego gniazda rozległo się ponownie wołanie:

- Aho - o - oj! Kapitanie! Widzę go teraz dobrze! Piracki trójmasztowiec idzie na nas od wschodu!

Na pełnych żaglach!

Załoga „Eleonory” zamarła w bezruchu. Piracki statek na tych wodach oznaczał śmierć albo znacznie gorszą od śmierci niewolę.

- Radzę przybić do brzegu. Tylko tam możemy znaleźć ocalenie, James.

- Nie, Robinsonie. Każda z tych zatok wygląda mi na legowisko tygrysa.

- Więc co robić?

- Rozwinąć żagle i uchodzić na pełnym wietrze.

- Ależ, James! Oni mają także trzy maszty!

James jednak nie słuchał. Z mostka kapitańskiego padały już szybkie i zdecydowane rozkazy:

- Rozwinąć wszystkie żagle! Fokżagiel na maszt!

Statek nabierał szybkości. Kilwater\* pieniał się za rufą jak syczący wściekły wąż morski. Ale pirat następował na pięty. Z pomostu na rufie „Eleonory” widać było na jego pokładzie ruchliwe figurki załogi. Odległość zdawała się maleć z każdą minutą.

- Ej, niechże mnie grom spali! - biesił się James. - Żeby z piekła nie wyrzął, jeśli ten Berber nie ma więcej niż my wiatru w żaglach.

- Zbliża się - powiedział Robinson. - Wyraźnie przybliża się do nas.

- Toć przecie nie jestem ślepy! Sam widzę, co się dzieje, mój panie! Załoga do luków! Szybciej, do stu tysięcy diabłów, jeśli wam życie miłe! Robinsonie!

- Jestem!

- Skocz za nimi i otwórz zbrojownię. Rozdaj muszkiety i co trzeba. Szybko, na miłość boską!

Pierwsza wachta do dział!

Wokół pierwszego masztu padały z trzaskiem wyrzucane przez przedni luk muszkiety, topory i szable. Nabito siekańcami działa. „Eleonora” szła nadal z wiatrem, ale statek piracki był szybszy.

Robinson wypadł z resztą ludzi na pokład. W tej samej chwili dziób pirackiego okrętu okrył się chmurką dymu, którą prawie jednocześnie przeciął ostry płomień. W ślad za nim rozległ się grzmot działowego wystrzału. Pocisk chybił albo było to tylko ostrzeżenie. Po morzu przetoczyło się echo.

- Ster prawo na burt! - James spurpurowiał na twarzy. - Do dział! „Eleonora”, wśród głośnego skrzypienia rei, obróciła się z łopotem żagli przeciwko wiatrowi.

- Dobrze celować! - darł się James. - Wyprzątniemy im pokład do czysta! Całą burtą ognia!

Z luf armatnich „Eleonory” wysunęły się jęzory płomieni. Statek pochylił się gwałtownie i deski zadygotały pod stopami załogi. Chmura dymu powlokła burty, a ostra woń spalonego prochu uderzyła w nozdrza.

- Nabijaj!

Ale nie zdążyli już wystrzelić. Piracki statek plunął na „Eleonorę” ogniem dziobowej baterii. Tuż obok Robinsona runęła na pokład ciężka reja i żagiel wraz ze strzaskaną stengą. Poprzez dziób osunęło się to wszystko w morze i unieruchomiło statek.

Niemal w tej samej chwili rozwścieczony napastnik oddał z bliska drugą salwę. Jak ścięta siekiera zwała się nastawa przedniego masztu. Jednocześnie rozległ się trzask zderzenia i Robinson w przejrzystej chmurze armatniego dymu ujrzał ogromne, złożone rzeźby na dziobie pirackiego statku. Dobył szpady i oparł się plecami o strzaskany maszt. Na pokładzie wrzała już bitwa wręcz. Berber stanął burta w burtę i przerzucił pomosty bojowe. Piracka załoga wpadła na „Eleonorę” z gwałtownością burzy. Zamigotały krzywe szable. Olbrzymi, brodaty drab w fezie natarł na Robinsona. W pierwszym zaraz starciu prysnęło wątle ostrze szpady. Ale jednocześnie napastnik zwał się na pokład, a obok Robinsona stanął rudy chłopiec okrętowy z dymiącym muszkietem w dłoni.

- To dobre na przepiórki, sir - rzekł, wskazując na złamaną szpadę. - Niech pan raczy wziąć topór lub dzidę.

Z forkaasztelu gruchnęła salwa. To James zebrał tam kilkunastu ludzi uzbrojonych w muszkiety. Na zaskoczoną salwą gromadę rzuciła się reszta załogi. Rozbójnicy odparli jednak atak i uderzyli ze zdwojoną siłą. Przez pomosty przerzucone nad burtą szły im na pomoc nowe szeregi piratów.

Robinson z toporem w garści skoczył ku napastnikom, ale potknął się i omal nie upadł. U jego stóp, na skrawionym pokładzie, leżał nieruchomo rudy chłopiec okrętowy. Spróbował go podnieść. Ciało

zaciążyło mu w rękach. W tej chwili poczuł uderzenie i upadł na zabitego. Odwrócił się jeszcze, ażeby odpowiedzieć na cios, ale już nie podźwignął ręki. Przebiegli nad nim jacyś ludzie i nagle gwar bitwy zawirował, odpłynął i ucichł.

Robinson stracił przytomność.

## CZERWONA CZAPKA

*Jakże dziwne są koleje losu, który w jednej chwili zdolen jest życie człowieka odmienić, bogatego czyniąc biedakiem, szczęśliwego - nieszczęśliwym, zdrowego - chorym, wolnego - niewolnikiem. Czyż mogłem przewidzieć, że i ja się nim stanę? O tym, czym naprawdę jest wolność, wiedzą niestety tylko ci, co ją stracili.*

Istniały jeszcze wówczas porty nie oznaczone na mapach, bezludne wyspy, zatoki, których toni nie zmaciło wiosło, całe połacie łądu stanowiące ziemię niczyją.

Na takiej niczyjej ziemi, na zachodnim wybrzeżu Maroka, leżał port i osada Sale. W głębi laguny, osłoniętej od strony morza ramionami piaszczystej mierzei, znajdowała się przystań. Nad nią, jak gniazda ptasie uczone na stromym stoku kredowym, piętrzyły się domki o płaskich dachach, otoczone oliwnym gajem. Jeszcze wyżej, na szczycie wzgórza, wznosiła się ponad całą okolicę wieża strażnicza podobna do minaretu. Umieszczone tam lunety patrołowały ustawicznie morze, wypatrując na nim statków kupieckich. W osłoniętej lagunie czekał zawsze szkuner pod czarną flagą, o osiemnastu nabitych kartaczami działach, a w płaskodachych domkach - gotowa na każde wezwanie zbójcka załoga.

Prawa i obowiązki mieszkańców Sale były ściśle określone. Łupili oni miasta, plądrowali statki, ludzi uprowadzali w niewolę. Cała osada wraz z portem w lagunie i targowiskiem niewolników stanowiła jeden wielki bazar, gdzie przedmiotem handlu były zrabowane dobra i ludzie. Za silnego, zdrowego mężczyznę płacono kilkadziesiąt dukatów. Za kilkaset można było odzyskać wolność. Okup bowiem był na to jedynym sposobem. Ucieczkę karano śmiercią. Jeśli jeniec nie miał rodziny ani przyjaciół i nikt nie składał okupu, zabijały go powoli lata ciężkiej pracy i tęsknota za krajem.

Zdobycz, zrabowane dobra jeńców wziętych w niewolę, dzielono według ustalonej zasady. Część otrzymywał reis, czyli kapitan zwycięskiego statku. Część należała do deja. Nazywano go również paszą albo po prostu władcą. Należny mu haracz odsyłano w głąb kraju. Resztę dzielono między załogę i próżniaczą ludność, zamieszkującą kręte, oślisłe od brudu uliczki osiedla. One to dostarczały łuczników, tragarzy, rzemieślników i wioślarzy, gdy potrzebował ich reis lub dej.

Gdy szkuner piracki przybył do portu, na przystań wyległa cała ludność Sale. Podział zdobyczy bowiem odbywał się publicznie i stanowił oczekiwane przez wszystkich widowisko. Na oczach tłumu dozorczy spędzili na łąd załogę „Eleonory”. Marynarze szli niepewnie, niosąc swoje drewniane kuferki i tobołki z rzeczami. Weszli na targowisko. Ciemnoskóry Berber uderzeniami bata sformował szereg. Stanęli. Wokoło tłoczył się tłum mężczyzn i półnagich dzieci. Krzyżowały się gwizdy, gruby śmiech i wrzaskliwe obelgi. Nagle zaległa cisza. Na placu ukazał się reis.

Był to krępy, czarnobrody Maur\* w pysznej szacie i półpancerzu. Spojrzenie miał chmurne i gesty człowieka nawykłego do wydawania rozkazów. Stanął przed szeregiem, rozejrzał się i zatrzymał wzrok na Robinsonie. Podeszedł doń. Końcami palców dotknął łosiowego kaftana.

- Jesteś Anglikiem?

- Tak - brzmiała odpowiedź.

- Szlachcicem? Robinson zaprzeczył.

- A więc kupcem. To był twój statek?

- Nie - odpowiedział Robinson, wytrzymując spojrzenie Maura. - Statek nie należał do mnie.

Reis nie uwierzył widocznie, gdyż gniewnie odął wargi i wypchnął jeńca z szeregu. Dozorca z biczem chwycił Robinsona za ramię i odciągnął go na bok.

Zerwano z jeńca kaftan. Robinson skrzywił się, gdyż rana na ramieniu przyschła i przywarła do okrycia. Rzucono mu pod nogi zgrzebną koszulę, luźne szarawary i czerwoną czapkę - oznakę niewolnika. Tymczasem na placu uwijali się klasyfikatorzy deja. Obmacywali nogi i ramiona, badali siłę mięśni, stan uzębienia, szacowali wartość towaru. Dwaj dozorczy przetrząsali każdego jeńca z osobna.

Rozgrzebywali kuferki i toboły. Do otwartego wora pchali bez wyboru drobne monety i sztuki złota, chustki,

pasy, noże, woreczki z tytoniem, fajki - wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Zwlekli z marynarzy odzież. Każdemu cisnęli czerwoną czapkę...

Robinson przyglądał się tej scenie z ubocza. Reis zatrzymał go dla siebie, licząc widocznie na okup. Sądził zapewne, że ma do czynienia z właścicielem zatopionego statku lub synalkiem bogatego kupca, który lada dzień sypnie złotem.

Widowisko dobiegało końca. Załogę „Eleonory” skuto i wpędzono na wozy zaprzężone w muły. Gwizdnęły bity, zaskrzypiały osie i karawana ruszyła w głąb lądu krętymi uliczkami Sale. Na ostatnim wozie jechał James z głową obandażowaną brudną szmatą, blady i półprzytomny. Krzywa szabla piracka wytoczyła zeń pewnie niejedną kwartę krwi, a czerwona czapka niewolnika zrównała go z resztą załogi. Patrząc w ślad za ostatnim wozem, Robinson poczuł się bardzo samotny.

Reis mieszkał nad zatoką w pobliżu palmowego gaju. Wysoki, kamienny mur otaczał dziedziniec oraz dom i przylegający doń ogród. Kładły tutaj swój cień korony palm. Schody wyłożone były gładkim hebanem, ściany barwił fresk z owoców, roślin i kwiatów. Gdy wiatr odchyłał lekkie, trzciniowe zasłony, widać było wewnątrz domu ozdobne sprzęty, kosztowną broń i kobierce.

- Chcę, abys powiedział prawdę - rzekł reis, gdy stanęli przed domem. - Selimie, zdejmij mu z rąk pęta.

Dozorca wykonał rozkaz.

- Czy to twój żaglowiec? Powiedz, kim jesteś, a nie pożałujesz tego.

- Nie, panie - odpowiedział Robinson. - „Eleonora” nie była moją własnością. Powierzono mej pieczy ładunek. To wszystko.

- Ukrywasz zatem uporczywie prawdę, giaurze! - rozgniewał się reis. - Obyś nie pożałował uporu! Chciałem uczynić cię gościem pod moim dachem. Mógłbyś odzyskać wolność, złożywszy okup. Wiedz bowiem, że drogę do Anglii mierzy się stąd nie w milach, ale w funtach szterlingach. Jeśli jednak sądzisz inaczej, popróbuj! Selimie, zwiąż mu ręce!

Twardy powróż skrępował powtórnie dłonie Robinsona wysoko na plecach.

- Jesteś silny i zręczny jak arabski żrebiec - ciągnął dalej Maur. - Widziałem to na pokładzie twego statku. Zręczne i silne dłonie mają dla mnie również wartość złota. Nie chcesz być moim gościem, będziesz niewolnikiem. A teraz precz! Selimie, zabierz stąd tego giaura i uczynź zeń psa podwórzowego albo cokolwiek zechcesz. Niechaj nosi wodę albo niech dźwiga kamienie! Nie oszczędzaj mu pracy! Dozorca skrzyżował ramiona i nisko pochylił głowę.

- Ten giaur będzie dbać o to, panie, aby ogród twój nigdy nie zaznał suszy. Ogrodnik jest już stary i powolny jak żółw morski...

Zaśmiał się i błysnął oczami.

- A tam trzeba Nilu, ażeby nasycić ziemię, która jest spragniona wody jak człowiek zbłąkany na pustyni. I trzeba siły słonia, ażeby ją poruszyć. Na Allacha! On będzie tym Nilem i tym słoniem. Jest dostatecznie silny.

Wodę do ogrodu i dla domu dostarczał Robinson z odległego źródła w oazie. Drogę tę odbywał nieraz po kilkanaście razy dziennie, tocząc beczkę osadzoną na wysokich kołach, do której zaprzęgał się jak pociągowe zwierzę. Często ścigały go kamienie, zanim gromada dzieci nie przywykła do widoku niewolnika ciągnącego skrzypiący, niezgrabny wehikuł. Niejedną godzinę stracił u studni, zanim kobiety w Sale napełniły wodą swoje gliniane dzbany. A Selim, dozorca niewolników, nie lubił marnowania czasu. Później ogrodnik Jusuf zaczął używać Robinsona i do innych prac w ogrodzie. Był to gderliwy starzec o twarzy pomarszczonej jak wysuszona na słońcu gąbka. Ale serce miał dobre. Kochał zwłaszcza kwiaty. Kiedy pochylał się nad nimi, przestawał gderać, a na jego twarzy pojawiał się łagodny uśmiech. I kwiaty widocznie kochały Jusufa. W ogrodzie reisa rosły najpiękniejsze róże i najpiękniej rozkwitały krzewy. Stary ogrodnik polubił Robinsona, znalazłszy w nim pojętnego ucznia i pracowitego pomocnika. Toteż chętnie uczył go swojej sztuki, a ponieważ był człowiekiem z natury gadatliwym, lubił rozprawiać o wszystkim: o gatunkach kwiatów, drzew i warzyw, o sposobach pielęgnowania winnej latorośli; o porach uprawy i gatunkach zbóż, o tysiącu drobnych, gospodarskich czynności. Zawsze jednak powracał do kwiatów. Ten temat był mu najbliższy. Któregoś dnia tak zakończył rozmowę:

- Kwiaty są jak ludzie o szlachetnym sercu, mój synu. Dzięki nim nawet pustynia może być piękna, chociaż nie jest rajem. A jeśli ci nie kwitną, jakbyś tego chciał, nie szukaj winy w słońcu ani w ziemi. Ona jest w tobie i w twoich rękach...

Starzec podwiązywał właśnie pasmem łyka krzew róży. Robinson spojrzął na jego dłonie. Były pokryte błękitnymi żyłkami i gęstą siecią drobnych, ale głębokich zmarszczek. Przypomniały mu ręce ojca. Zamyślił się i opuścił głowę.

Te rozmowy zbliżyły ich do siebie.

Robinson mieszkał w odległym zakątku ogrodu, w starej szopie przeznaczonej na ogrodnicze narzędzia. Wieczorem Selim zakładał mu na nogi łańcuch przytwierdzony do pryczy, aby uniemożliwić ucieczkę. Gdy zapadała noc, słyszał nieraz wokół ścinający krew w żyłach świst bicza i krzyki ludzi. Domyślał się, że głosy te dobiegają z baraku, w którym mieszkali niewolnicy zatrudnieni w porcie i na polach. Po długim dniu ciężkiej pracy karano w ten sposób nie dość pokornych. Zrazu budziło to w Robinsonie tylko przerażenie i odruch zwierzęcego strachu o własny grzbiet. Z czasem jednak zaczął myśleć o towarzyszach z „Eleonory”. Stary ogrodnik powiedział kiedyś, że wywieziono ich do kamieniołomów. Jeśli tak, to mogli jedynie zazdrościć tym, którzy padli od razu na pokładzie statku.

**WOLNOŚĆ JEST NA MORZU**

*„Za wielkimi piaskami jest mój dom. Do mojego domu nie ma drogi. Ale każda moja myśl jest drogą do mojego domu...”*

*Tak śpiewali po nocach Murzyni, niewolnicy mojego pana. Jakaż była między nami różnica? Ta chyba, że ja ich pieśni powtarzać mógłbym z niewielką tylko odmianą: „Za wielką wodą jest mój dom...”*

Minęły hucznie obchodzone w Sale święta ku czci Proroka. Dom reisa rozbrzmiewał gwarem uczt, które trwały czasem do białego rana. Ostatnie wyprawy na morze przyniosły korsarzom bogate łupy. Zapędzili się aż po Sierra Leone i wrócili stamtąd z ładunkiem kości słoniowej, cennych futer i złotego piasku. Trzy portugalskie statki poszły na dno bez strat po stronie piratów. To łatwe zwycięstwo sprawiło, że reis był w doskonałym humorze. Gościł przyjaciół i łaskawym okiem patrzył na otoczenie.

W dniu Hedzry\* Selim postawił obok pryczy Robinsona kubek wina i kawał wędzonego mięsa zamiast sucharów i oliwek.

- Nasz pan ci to przysła - powiedział. - Dziś obchodzimy święty dzień ucieczki Mahometa z Mekki. Jedz, pij i wesel się, gjaurze! Allach pamięta o każdym, najmarniejszym nawet stworzeniu.

Był to dowód niezwyklej łaski. Zawdzięczał ją więzień pochwałom Jusufa, które przez Selima dotarły do samego reisa.

Mijał już drugi rok niewoli. Ale mimo iż życie stawało się bardziej znośne, myśl o wolności nurtowała Robinsona nieustannie.

„Drogę do Anglii mierzy się stąd w funtach szterlingach. Innej nie znajdziesz...”

Te słowa ciągle dźwięczały mu w uszach. Gdyby udało się zawiadomić rodziców... Z pewnością uczyniliby wszystko, aby go odzyskać. Ale suma okupu pochłonęłaby cały ich dobytek, a wiadomość o losie, jaki go spotkał, mogłaby ich może zabić...

Toteż wahał się, zwlekał i milczał.

Przez jakiś czas żył nadzieją, że reis zechce go zabrać na wyprawę. Wśród załogi pirackiego statku byli przecież nie tylko muzułmanie. O, gdybyż się tam dostać, chociażby do najprostszych posług na pokładzie! Może któregoś dnia odwróci się karta? Coraz częściej dochodziły słuchy, że hiszpańska flotylla patroluje pilnie swoje brzegi i zapuszcza się za piratami na kupieckie szlaki. Może się przecież zdarzyć, że szkuner z Sale wpadnie w ręce Hiszpanów lub Portugalczyków. A jeśli nawet nie wpadnie, to ze statku - chociażby na desce, na ukradzonej szalupie, na ławie wyrzuconej przez burtę podczas nocnej wachty - łatwiej byłoby uciec niż z ogrodu reisa!

Ileokroć nadarzała się okazja, Robinson biegał do portu z koszem owoców, aby rozejrzeć się w tłumie ludzi na przystani, zbadać możliwości.

Pewnego dnia zaczepił go tam jakiś starzec. Podbiegł doń, chwycił go za rękaw i łkając, przemówił po angielsku. Padli sobie w objęcia jak bracia po długich latach rozłąki. Był to cieśla, który dostał się do niewoli przed kilkunastu laty. Od tego czasu osiwił, zapomniał wielu słów i z językiem ojczystym mieszał



mowę Maurów. Pracował w porcie przy budowie szalup i stateczków rybackich.

Usiedli na burcie łodzi, zatapiając się we wspomnieniach. Robinson opowiadał mu o kraju i nie mógł pojąć, że najbardziej cieszą go takie szczegóły, na które on sam nigdy nie zwracał uwagi: kształt domów nad Tamizą, wygląd portowej uliczki, jakiś zaułek bez znaczenia i nazwy, barwy brzegów, gdy patrzeć na nie z oddalającego się statku...

Spotkali się może trzy albo cztery razy. Któregoś dnia Robinson zwierzył się staremu ze swoich głęboko ukrywanych myśli. Ale cieśla opuścił głowę na piersi i twarz jego oblała się smutkiem.

- Nie, Robinsonie. Ze mną nie mów nawet o ucieczce. Gdybym ci mógł w czymś pomóc, chętnie bym to zrobił. Ale ja już nie wrócę do Anglii. Wydziedziczyła mnie jak niedobra matka.

- Nie rozumiem - zdziwił się Robinson. - Cóż was tam za nieszczęście spotkało, że wybieracie raczej niewolę niż powrót?

- W tej niewoli ja znalazłem wolność, Robinsonie, której mnie pozbawiono tam, w kraju...

Powiedział to głosem przepełnionym goryczą i bólem, po czym odchylił na ramieniu łachmany, pokazując bliznę o dziwnym kształcie.

- To jest piętno galernika, Robinsonie. Wystarczy, żebym tam wrócił, a los mój będzie gorszy niż tutaj.

- Cóż takiego uczyniłeś, na Boga! - wykrzyknął Robinson, patrząc na ślad po rozpalonym żelazie.

- Nie zabiłem człowieka ani nie podpaliłem miasta, Robinsonie. Służyłem na brygu wojennym razem z moim bratem, kanonierem. Na naszym pokładzie było dwudziestu czterech kadetów. Dwudziestu czterech małych szatanów, którzy wiedzieli, że po przejściu trapu mogą pomiatać załogą, ponieważ mają tytuły szlacheckie i „królewską listę służby”. Nasz kapitan żądał od nas, abyśmy salutowali nawet surdud kadecki suszący się na kiju od miotły. I tak to było. Od rana do nocy tylko „tak, panie!” i „tak, panie!”, a jeśli ktoś nie dość szybko dotknął ręką czapki, te małe diabły miały prawo wychłostać go pod głównym masztem. Tak było właśnie z moim bratem. A ponieważ kopnął pierwszego, który się doń zbliżył, dostał sto kijów i nie wstał już więcej z pokładu. Kiedyśmy wyszli na ląd, dopadłem ich w jakimś kącie. I dalebóg, nie żałowałem pięści! Skazano mnie za to na galery. Sam widzisz, że nie mam już po co wracać. Milczeli przez chwilę. Przechodzący Berber skinął na starego cieślę. Ten wstał, zebrał swoje narzędzia i nie żegnając się, odszedł. Robinson nie spotkał go już więcej.

Nazajutrz powrócił do portu szkuner reisa ze strzaskanym masztem i rozwaloną burtą. Tym razem wycieczka nie powiodła się piratom. Uszkodzony statek wyciągnięto do połowy na brzeg, podparto go rusztowaniem i przystąpiono do naprawy. Zapowiadało się to na długo, trzeba było bowiem przy okazji wymienić wręgi i uszczelnić kadłub.

Reis, znudzony beczynnością, wypływał teraz często na połów. Zatoka w pobliżu Sale pełna była ryb, a na skałach roiło się od ptactwa, toteż zazwyczaj pod wieczór łódź wracała obciążona zdobyczą po burty.

Ujrzawszy raz Robinsona w przystani, reis kazał mu usiąść do wiosł z chłopcem mauretańskim Ksury. Cały dzień spędzili na morzu. Ksury bawił swego pana baśniami arabskimi, których znał niezliczoną ilość, a Robinson okazał się zręcznym pomocnikiem w połowach. Odtąd wypływali razem coraz częściej.

Podczas jednej takiej wyprawy zaskoczyła ich burza i przegnała daleko od brzegu. Żeglując na los szczęścia, pracowali dzień i noc przy wiosłach, a gdy zaświtał poranek, ujrzeli, że płyną w kierunku przeciwnym niż Sale.

Po tej przygodzie reis kazał zaopatrzyć łódź w kompas i zbudować kajutę. Zadanie to powierzył staremu angielskiemu cieśli, który wykonał je nadzwyczaj starannie.

Gdy łódź była już urządzona, reis postanowił wypróbować ją z przyjaciółmi. Kazał obficie zaopatrzyć schowki w chleb, mięso i owoce, a ciesząc się nową zabawką, sam umieścił w kabinie trzy strzelby z zapasem prochu i kul, aby zapolować na ptaki.

Robinson z Ksury przygotowali wszystko, wyszorowali pokład łodzi i umieścili w niej sieci.

Wieczorem, gdy przechodzili obok domu, ujrzeli reisa nad suto zastawionym stołem. Toczyła się tam wesoła rozmowa i z rąk do rąk krążył dzban z zakazaną przez Koran wódką figową.

Następnego dnia o świcie zjawił się na przystani dozorca Izmael, zwany Mulejem.

- Pan nasz nie wypłynie na morze - oświadczył Robinsonowi. - Czuje się bowiem chory. Rozkazał jednak, abyśmy wypłynęli razem i nałowili ryb na wieczrę. Zepchnijcie więc to pudło na wodę.

Robinson pchnął łódź. Ześlizgnęła się gładko po deskach wysmarowanych grubo baranim tłuszczem. Mulej z zadartą głową obserwował niebo, po którym wędrowała samotnie szara chmurka.

W łodzi leżały zapasy przygotowane dla reisa i jego przyjaciół. Dzban sorbetu\*, pieczone i owoce.

Robinson przyjrzał się im i w tej chwili błysnęła mu myśl: ucieczka! Ale na to żywności było za mało. Nie odwiązując linki cumowej, podszedł do Muleja.

- Ta chmura, którą oglądasz, może nic nie znaczyć, ale równie dobrze może nas zapędzić daleko na morze...

Mulej, który widocznie myślał o tym samym, odwrócił się niespokojnie.

- Mów, o czym myślisz.

- Myślę - ciągnął Robinson - że dobrze by było zabrać na pokład trochę żywności. Kto wie, czy nie zabawimy do wieczora...

- Ileż chciałbyś jej zabrać, niewolniku? - mruknął niechętnie Mulej. - Jest chleb, są owoce i woda.

- Tak - odpowiedział po chwili. - Ale chleb należy do naszego pana i dla niego tylko był pieczony.

Nie wiem, czy godzi się nam jeść chleb i dotykać dzbanów, które nie do nas należą...

- Masz słuszość, giaurze. Nie pomyślałem o tym. Biegnij tedy i przynieś koszyk sucharów.

Powiedz, że ja kazałem.

- I jeszcze jedno, Muleju. Pan nasz pozostawił w łodzi strzelby. Czy nie mógłbyś przynieść do nich prochu i śrutu? Może uda nam się ustrzelić trochę ptactwa. Widziałem wczoraj alkomy na skałach. Sądzę, że pan nasz pochwali nas za to.

Mulej błysnął ponurym spojrzeniem. Spryt tego niewolnika, któremu udało się już wkraść w łaski pańskie, budził jego niechęć i zazdrość. Ale nie chciał być gorszy od niego.

- Sam pomyślałem o tym, zanim zacząłeś mówić. Przyniosę proch i śrut, a ty nie trać czasu i biegnij po żywność. A przynieś także kosze na ryby! I bukłak świeżej wody!

Robinson roześmiał się w duchu. Biegł szybko w stronę domu. Przy furcie wiodącej do ogrodu ujrzał ogrodnika Jusufa. Starzec zamachał doń ręką, pozdrowił go z daleka.

- Żegnaj, Jusufie! - zawołał Robinson. - Wypływam daleko na połów!

Wokół nie było nikogo prócz starca. Nie dosłyszał widocznie albo nie zrozumiał, gdyż osłoniwszy dłonią ucho czekał, aż Robinson powtórzy wołanie. Ale nie było już na to czasu. Robinson wpadł na dziedziniec. Starzec domyśli się przecież, dlaczego nie mógł z nim dłużej rozmawiać. Domyśli się i zrozumie.

Napełnił kosz sucharami i duży bukłak wodą. Pod sucharami ukrył bryłkę wosku. Do pustych koszy wrzucił siekiere, wiązkę szpagatu i nici do żagli. Po chwili biegł już z powrotem, dobrze wyciągając nogi. Podnieśli żagiel i wypłynęli na morze. Straż przepuściła ich bez słowa. Wszyscy znali nową łódź reisa.

O milę za przystanią Robinson zarzucił sieć. Mulej siedział przy sterze, a Ksury zajęty był żaglem.

Północno - zachodni wiatr spychał łódź w stronę lądu. Jeśli plan ma się udać, trzeba wypłynąć dalej.

Robinson dokonywał w myślach szybkich obliczeń. Gdyby wiatr wiał z południa, można by ryzykować ucieczkę do Hiszpanii, do Zatoki Kadyksu. Dzięki mapom kapitana Smitha pamiętał trochę odległość i rysunek brzegów. Pomimo iż wiatr temu nie sprzyjał, zdecydowany był próbować ucieczki, zdając się na los szczęścia.

Nagle poczuł, że w sieci zaciążyły ryby. Odwracając uwagę Ksurego, zanurzył ją głębiej i pozwolił im uciec. Mulej spojrzał niechętnie na pustą sieć i skrzywił się pogardliwie.

- Dużo słyszałem o twojej zręczności, ale widzę, że chwalono cię ponad zasługę. Jeśli tak dalej pójdzie, wrócimy z pustymi rękami. Czy aby nie wzięłeś za wiele jadła? Nie zdołasz chyba na nie zapracować...

Robinson puścił złośliwość mimo uszu.

- Tu nie ma dzisiaj ryb, Muleju. Wyszły pewnie na morze, bo wiatr gna falę w stronę lądu. Musimy i

my wypłynąć dalej. Ksury, puść nieco więcej żagla!

Mulej, który rzadko wypływał na morze i nie znał miejsc zdatnych na połów, nie podejrzewał podstępów. Ksury wypuścił z ręki linkę i żagiel wezbrał na wietrze.

- Znam dobre miejsce, gdzie ryby najchętniej szukają żeru - zagadywał Robinson dozorcę. - Zobaczysz, jak tam będziemy ciągnąć sieć za siecią.

Wieża strażnicza w Sale znikła im już z oczu; po prawej burcie mieli tylko puste morze, a po lewej skalisty brzeg.

- Zmienimy się teraz przy rudlu\*! - zawołał Robinson. - Ty, Muleju, stań na dziobie. Rzucisz sieć, jak ci powiem. Ja pokieruję łodzią. To musi być gdzieś niedaleko.

- Zbyt jesteś pewny siebie - mruknął Mulej, ale umocował ster i przesunął się naprzód. Kiedy przekraczał ławkę, Robinson pchnął go do wody. Maur zanurzył się z głową, ale natychmiast wypłynął, krztusząc się i parszcząc. Sięgnął rękami do burty, ale drogę zagroziło mu wiosło. Teraz dopiero zrozumiał, że to nie był przypadek. Oczy rozszerzyło mu przerażenie.

- Co chcesz uczynić? Nie wyrządziłem ci nic złego! Puść mnie do łodzi! Na Allacha, puść mnie do łodzi, gjaurze! Jeśli utonę, życiem za to zapłacisz!

Odbił się ramionami i znowu dosięgnął łódki. Ksury bez kropli krwi w twarzy, milcząc, przypatrywał się tej scenie. Wiatr znosił ich w stronę brzegu. Robinson chwycił strzelbę. Kolanem przerzucił ster.

- Hej, ty! - zawołał, wysuwając lufę. - Nie zbliżaj się, bo ci łeb roztraskam! Płyn do brzegu! Nie próbuj chwycić się łodzi!

- Nie dopłynę, panie - skamlał Mulej. - Zrobię, co każeś, tylko nie zostawiaj mnie tutaj!

- Pływaj jak ryba! - odkrzyknął Robinson. - Im prędzej znikniesz mi z oczu, tym lepiej dla ciebie i dla mnie!

Zepchnął stopą deskę leżącą na pokładzie. Maur chwycił ją kurczowo i zawrócił do brzegu.

Robinson wyprostował ster i poszukał oczami Ksurego. Chłopiec klęczał, a plecy drżały mu jak w febrze.

- Słuchaj no, Ksury - powiedział Robinson. - Mógłbym i ciebie wyrzucić w morze jak Muleja. Ale jeśli przysięgniesz na Mahometa, że będziesz mi posłuszny, nie zrobię tego. Wiedz, że postanowiłem uciekać i nic mnie od tego nie powstrzyma!

Ksury wymamrotał przysięgę.

- A teraz przerzuc żagiel na prawą burtę.

Chłopak błyskawicznie wykonał rozkaz. Gdy odwrócił się do Robinsona, twarz rozjaśnił mu uśmiech.

Trudno mu było nie wierzyć.

- Ksury, panie, także nosił czerwoną czapkę - powiedział. - Ojciec Ksurego był biedny i musiał Ksurego sprzedać, bo nie miał pieniędzy dla reisa. Ksury już teraz nie będzie nosić czerwonej czapki?...

W ostatnim zdaniu zabrzmiało pytanie, nieśmiało skierowane do Robinsona.

- Nie będziesz. Zrobię z ciebie wielkiego człowieka. Uśmiechnęli się obaj.

Robinson wciągnął w płuca słony zapach morza. Czerwona czapka została w Sale. Był wolny.

#### WZDŁUŻ BRZEGÓW AFRYKI

*Noc jest ciemna. Pośród ciemności nocy kryje się wszystko, co słabe. Ciemność jest sojusznikiem tych, którzy zamierzają uciekać. Któż potrafi odnaleźć moją małą łódź na bezkresnym morzu okrytym nocą?! Ale dozwól, Boże, abym wypłynął na światło, abym dotarł szczęśliwie do bezpiecznego brzegu, do ziemi ludzi wolnych!*

O świcie Robinson obudził Ksurego i kazał mu zająć miejsce przy sterze. Morze było spokojne, zmarszczone tylko drobną falą. Wszedł do kajuty i obejrzał kompas. Wiatr wprowadził ich na pełne morze, ale gdzieś z lewej strony musiała być przecież ziemia. Robinson kazał Ksuremu sterować na południe. Dopóki groziło niebezpieczeństwo, sam pilnował steru. Teraz jednak nic już nie wskazywało na to, aby się mogli obawiać pościgu. Uszkodzony szkuner nie był zdolny do wyjścia na morze, a jeśli nawet reis wysłał w ślad za nim łodzie, to prawdopodobnie z dużym opóźnieniem i w niewłaściwym kierunku. Któż bowiem mógłby przypuścić, że mając przed sobą Hiszpanię, zechcą płynąć na południe ku barbarzyńskim brzegom na żer dzikim bestiom i prosto w ręce dzikich plemion? Robinson mógł zatem odpocząć, pozostawiając przy sterze Ksurego. Miał nadzieję, że chłopak dotrzyma przyrzeczenia, a zmęczenie waliło

go z nóg.

W kajucie zbadał przede wszystkim stan zapasów. Oprócz trzech strzelb, woreczka z kulami i prochem, znalazł tam, ku swemu zdziwieniu, dobrze ukryty kordelas myśliwski i topór z długą rękojeścią, używany do walk pokładowych. Stary cieśla wyposażył łódź, jak tylko mógł i potrafił. Czyżby z myślą o Robinsonie?

Pod niską pryczą znalazł skrzynkę z rumem. Było w niej dziesięć butelek. Uśmiechnął się sam do siebie. Były to widocznie tajemne zapasy reisa.

Odciął kawałek suszonego mięsa, zagryzł sucharami i zakropił rumem.

Drugą porcję dał Ksuremu, po czym ułożył się na pryczy i zasnął. Zdawało mu się, że ledwie zmrużył powieki, gdy zerwał go na nogi okrzyk chłopca:

- Ziemia! Panie! Ziemia!

Wypadł z kajuty. Ksury wskazywał przed siebie. Ciemniała tam smuga łądu. Słońce minęło już najwyższy punkt na niebie i przechyliło się ku zachodowi, mogła być godzina trzecia lub czwarta po południu. Spał zatem jak zabity równie dziesięć godzin.

- Tak. Przed nami łąd, Ksury. Ale wyrzeże marokańskie mamy już za sobą i możemy drwić sobie z pościgu.

- Jak daleko jest teraz Sale, panie? - zapytał Ksury, marszcząc czoło.

- Jakieś sto pięćdziesiąt mil za nami - odpowiedział Robinson, patrząc na chłopca badawczo. Ale Ksury odetchnął z ulgą.

- To dobrze, panie. To bardzo dobrze. Czy mam teraz płynąć do brzegu?

- Nie. Wykręć bardziej na prawo. Im dalej, tym lepiej, Ksury. A wiatr mamy nazbyt dobry, żeby go marnować.

Chłopiec posłusznie podciągnął ster i łódź, pchnięta podmuchem, skoczyła na pełne morze.

Mając pomyślny wiatr w żaglach, płynęli przez pięć dni bez przerwy, aż w buklakach zabrakło wody. Wytrwali bez niej jeszcze ponad dobę. Robinson zwlekał z lądowaniem, gdyż brzegi, które mijali, na przemian piaszczyste, to znów najeżone skalami, nie robiły wrażenia gościnnych. Morze sąsiadowało tu z jałową pustynią i bezwodnym stepem. Dopiero siódmego dnia około południa ujrzeli pas zieleni i skierowali łódź ku brzegom.

Pod wieczór wpłynęli do małej zatoczki w pobliżu ujścia jakiejś rzeki. Robinson nie znał jej nazwy.

Nie wiedział także, w jakim znajduje się kraju ani jakie plemię tu mieszka. Nie widział ludzi na brzegu i wcale nie pragnął ich zobaczyć. Ważna była w tej chwili woda. Postanowili więc wylądować, napić się i uzupełnić zapas wody. Ale zanim rzucili kotwicę, zapadł zmierzch i od strony łądu dobiegły jakieś szelesty, postękiwania, a chwilami głucho, posępne ryki.

- Tam jest złe zwierzę, panie mój... - szepnęła Ksury. - Złe zwierzę w nocy widzi lepiej niż człowiek! Za nic nie wolno iść na brzeg. Lepiej umrzeć z pragnienia, sto razy umrzeć z pragnienia!

Robinson nasłuchiwał, trzymając w ręku pusty dzban.

- Zgoda - powiedział po chwili. - Nie wyjdę na brzeg, ale może się zdarzyć, że za dnia zobaczymy tam ludzi równie groźnych, jak dzikie zwierzęta. Co wtedy będzie, mój chłopcze?

- Wtedy my wystrzelimy ze wszystkich strzelb! Mocno wystrzelimy i zły człowiek ucieknie! - Ksury, mówiąc to, demonstrował jednocześnie przebieg przyszłej walki. Sam się tym tak rozbawił, że aż zatoczył się ze śmiechu i tracąc równowagę, upadł na ławkę.

Robinson zawtórował mu serdecznie, tak miła i zabawna była angielszczyzna chłopca, którą przyswoił sobie nie wiadomo jak i kiedy.

Nagle obaj zamilkli i znieruchomieli.

Stękanie przeszło w przeciągły, wściekły ryk bestii, której zdobycz uszła spod pazurów.

Zaszamotało się coś w chaszczach i w ślad za tym przeszył powietrze rozpaczliwy krzyk śmiertelnie zagrożonego stworzenia.

Dreszcz przebiegł im po plecach.

- To Pan z Wielką Głową - szepnęła Ksury.

- Co to znaczy „Pan z Wielką Głową”? - zapytał Robinson, ścisząc głos mimo woli.

- Pan z Wielką Głową - powtórzył Ksury. - Bardzo dzikie zwierzę. Robinson chciał go jeszcze o coś zapytać, gdy nagle z wysokiego brzegu zsunął się ku wodzie olbrzymi cień.

- Panie... - w głosie chłopca brzmiał strach. - Uciekać natychmiast! Pan z Wielką Głową płynie na drugą stronę rzeki! Ksury podnosi kotwicę... Uciekajmy!

- Ani mi się waź! Stoimy w bezpiecznym miejscu! Tu nas nie dosięgnie!

Zaledwie to powiedział, rozległ się głośny chlupot wody i z ciemności wynurzyła się tuż przed nimi głowa lwa. Próbował widocznie przejść rzekę, ale prąd zniósł go na płyciznę morską. Zobaczywszy nagle przed sobą łódź i ludzi, zarył się łapami w piasku. Patrzył zirytowany, a w gardle wzbierał mu warczący, głuchy pomruk.

Ksury zmartwił. Lew był najgroźniejszym zwierzęciem, jakie kiedykolwiek napotkał. Nasłuchał się opowieści o polowaniach reisa, w czasie których niejeden niewolnik zginął pod pazurami Pana z Wielką Głową. Drżał więc teraz jak w febrze i zęby szczękały mu głośno. Robinson skoczył do kajuty. Aby zyskać na czasie, wprost z drzwi wypalił w błyszczące fosforycznie ślepie. Rozległ się ryk, woda zakotłowała się przed dziobem łodzi i zwierzę, walcząc z prądem, runęło ciężko do brzegu.

Odetchnęli głęboko.

Huk wystrzału przetoczył się lasem. Nastąpiła po nim chwila zupełnej ciszy i nagle, jakby się rozpętały jakieś moce piekielne - las odpowiedział na strzał człowieka wściekłym rykiem, dobytym chyba z tysiąca gardzieli.

Zwolnili linkę cumową i łódź przesunęła się na głębię. Tam przeczekali do rana. Przed świtem las począł cichnąć, a kiedy pierwsze promienie zaróżowiły czuby drzew, stał już niemy i martwy, uwikłany w gęstwinę lian. Tamtędy torowało sobie drogę ku morzu wąskie koryto rzeki. Woda niosła jednak z głębi ładu tyle mułu, piasku i gnijących części roślin, że nie nadawała się do picia. Postanowili więc poszukać źródła.

- Ksury zejdzie na łąd i zaraz wróci z pełnym dzbanem - przekonywał Robinsona chłopiec. - Pan zostanie w szalupie.

Dzień zwrócił Ksuremu to, co zabrała noc: odwagę i fantazję. Zarzucił więc strzelbę na ramię, a na szyi zawiesił dwa dzbany związane sznurem. Czekał tylko na zgodę Robinsona.

- A dlaczego to ja mam zostać w łodzi? - zdziwił się Robinson. - Możemy iść razem.

- Nie - odpowiedział Ksury. - Iść razem niedobrze. Pan zostanie w łodzi, bo jak przyjdą dzicy ludzie, oni zjedzą mnie, a pan ucieknie. Łódź ma wielki żagiel i Robinson ucieknie całkiem swobodnie! Rozumowanie chłopca wzruszyło Robinsona. Uśmiechnął się i nabił drugą strzelbę, starannie podsypując ładunki prochem.

- Pójdziemy razem, mój Ksury. A gdyby dzicy ludzie przyszli, będziemy się bronić tak, żeby nie mogli zjeść ani mnie, ani ciebie.

Odpyw osuszył zatokę, poszli więc w stronę brzegu szerokim dnem, mając ponad głowami dziwną płataninę powietrznych korzeni mangrowych, spod których uciekła woda. Nielatwo było przedostać się tędy, ale nie mieli wyboru. Miejscami musieli nawet pełzać na czworakach w zielonym i wilgotnym półmroku. Robinson oglądał się raz po raz, aby nie stracić z oczu łodzi. Po chwili jednak drzewa zasłoniły brzeg i szalupę.

Szli wąziutką ścieżynką wydeptaną przez zwierzęta. Gęszcz skończył się nagle rzędem przysadzistych baobabów. Dalej ciągnął się step porośnięty burą trawą. Wąski pas podzwrotnikowego lasu biegł zatem tylko wzdłuż wybrzeża i graniczył z pustynną częścią ładu. Ślady zwierząt prowadziły stąd w lewo, skrajem drzew, do źródła. Biło z dna głębokiego wykrotu osłoniętego zielenią. Udeptana wokoło wilgotna ziemia nosiła ślady łap i pazurów.

Przypadli do źródła i zanurzyli twarze w chłodnej, czystej wodzie. Pili dłużej, niż wymagało pragnienie. Potem napełnili dzbany. Wąty ślad ścieżki doprowadził ich z powrotem do łodzi. Stała na swoim miejscu, kołysząc się lekko na falach. Nigdzie ani śladu ludzkiej istoty.

O zachodzie odbili od brzegu. Na tarczy kompasu Robinson odczytał kierunek - na południe!

Miał zamiar dotrzeć do rzeki Gambii albo Senegal, w pobliżu Zielonego Przylądka. Z nauk kapitana Smitha zapamiętał, że wszystkie statki europejskie płynące do Gwinei, Brazylii czy do Indii

Wschodnich biorą ; kurs na Zielony Przylądek i pobliskie wyspy. Spodziewał się, że spotka jeden z takich statków - była to jedyna szansa ocalenia.

Płynąc wzdłuż brzegów, na przestrzeni blisko stu mil Robinson i Ksury widzieli tylko szary piasek, nagie skały i bezbarwną, skąpą roślinność. Ale w nocy ten martwy na pozór ład przemawiał głosami dzikich zwierząt - szczekaniem szakala, wyciem hieny, rykiem lwa. Kilka razy zdawało się Robinsonowi, że widzi wierzchołek góry Teneryfy, najwyższego szczytu Wysp Kanaryjskich. Miał wielką ochotę skierować się tam, lecz przeciwne wiatry zmusiły go do powrotu ku brzegom. Łódź była zbyt wątła, ażeby wypływać daleko na ocean. Kilkakrotnie musieli lądować, ażeby nabrać wody, mimo iż wydzielali ją oszczędnie po dwa kubki na dzień. Chodzili po nią teraz na zmianę, gdyż do skalistych brzegów trudno było dobić łodzią, nie narażając jej na uszkodzenie.

Pewnego razu, wczesnym rankiem, rzucili kotwicę u stóp wysokiego przylądka i doczekawszy się przyprływu, wraz z nim dotarli do brzegu. Ksury wziął z sobą strzelbę, dwa dzbany i wyruszył po wodę. Z łodzi widać było wejście do jaru, ponad którym kipiała bujna zieleń. Po chwili jednak chłopiec wrócił pędem bez dzbanów i bez strzelby. Szczęki latały mu z przerażenia, a z drżących warg nie mógł wydobyć ani słowa.

„Maurowie!” To była pierwsza myśl, jaka wpadła Robinsonowi do głowy. Ale chłopak zaprzeczył. Robinson szarpnął go za rękaw.

- No więc mów! Wykrztuś wreszcie! Kogo tam widziałeś? Murzynów?] Ksury zaprzeczył ponownie i wyrzucił białkami oczu.

- Zwierzę?

Chłopak jakby nagle odzyskał mowę.

- Tak, panie! Dzikie zwierzę! Bardzo dzikie zwierzę stanęło na drodze, jak Ksury nabierał wody do dzbanów! Nie iść na brzeg! Za nic nie iść na brzeg! Pan z Wielką Głową mieszka w tym miejscu! Robinson schwycił chłopaka za ramię i potrząsnął nim mocno.

- Pójdiesz na brzeg i zabijesz go.

- Ja zabiję? - Ksury załamał ręce błagalnym gestem. - On mnie zaraz zje!

- A więc prowadź!

Trzeba było za wszelką cenę odzyskać dzbany i broń. Robinson opuścił kotwicę, sprawdził, czy łańcuch trzyma, i zarzucił na ramię nabite strzelby. Wyskoczyli na brzeg. Ksury szedł przodem. Droga wiodła ciasnym wąwozem o stromych ścianach. Biegli tą skalistą gardzielią pod górę, tracąc ze zmęczenia oddech. Na zakręcie Robinson ujrzał porzucone dzbanki i strzelbę. O kilkadziesiąt kroków dalej leżał w cieniu olbrzymi lew, mrużąc współsennie oczy. Rdzawa grzywa zdawała się płonąć w słońcu.

Nie było czasu do namysłu. Chłodna kolba strzelby dotknęła policzka. Lufa przesunęła się wyżej, znieruchomiła i wystrzał targnął ramieniem Robinsona. Lew smagnięty kulą wspiał się na tylne łapy. W tej chwili tuż obok Robinsona wysunęła się lufa drugiej strzelby i drugi strzał przeszył powietrze. Zwierzę drgnęło i zważyło się ciężko na skałę. Za Robinsonem stał Ksury z dymiącym muszkietem w dłoni. Chłopak oddychał ciężko, ale oczy miał błyszczące i zaczerwienione policzki. Strach minął.

- Ksury przyniesie teraz wielki topór z łodzi!

- Po co ci topór? - zapytał Robinson, nie spuszczaając lwa z oczu.

- Ja jemu utnę głowę! - oświadczył Ksury.

- Nie. Nie utniesz mu głowy. Spróbujemy natomiast zdjąć z niego skórę.

Nabił strzelbę i ostrożnie zbliżył się do lwa. Ale zwierz leżał nieruchomo. Strzały były celne.

Cały dzień zajęło im ściąganie skóry. Na koniec napełnili dzbany i obciążeni zdobyczą, wrócili do łodzi. Tego dnia zjedli wieczrę znacznie obfitszą niż zazwyczaj, a zachód słońca zastał ich już daleko na morzu.

Żeglowali z dobrym wiatrem i z dala od brzegów. W ciągu dziesięciu dni otaczało ich więc tylko morze - rozfalowane lekko od widnokregu po widnokrag, mieniające się wszystkimi odcieniami zieleni. Z dnia na dzień Jednak topniały zapasy żywności, aż pozostała tylko garść ryżu i okruchy sucharów na dnie kosza. Wówczas - chcąc nie chcąc - zawrócili znów w stronę lądu. Kraj był tutaj zamieszkały, na brzegu raz po raz ukazywali się ludzie. Byli czarni i zupełnie nady. Przez dwa dni jeszcze żeglarze nie mogli się

zdecydować na przybicie, wreszcie skrócili żagiel i zwolnili biegu.

Robinson oddał ster i sięgnął po perspektywę. Przez szkła lunety widać było krajowców wyraźniej. Ciała ich połyskiwały w słońcu. Spostrzegli już żagiel i ruszyli za nim wzdłuż łądu. Wydawało się, że są nie uzbrojeni i zachowują się życzliwie. Biegli równolegle z łodzią jak gromadka rozdokazywanych dzieci. Robinson skinął na Ksurego, ale ten zaprotestował gwałtownie.

- Nie, panie! Nie iść tam! Nie iść! Ty każesz, Ksury natychmiast odpłynie! Szybko i bezpiecznie! Czekaj na decyzję z dłonią na rudlu, a szalupa mknęła w stronę łądu. Z tej odległości można już było rozróżnić głosy i nawoływania na brzegu.

- Są przecież bezbronni - mruknął Robinson, nie odrywając lunety od oczu.

- Nie, panie - oponował Ksury - ten czarny w środku ma w ręce długi kij. To nie jest ani trochę zwykły kij. To dziryt! Oni ten dziryt umieją rzucać daleko i trafiać w sam środek!

- A więc zatrzymaj łódź tutaj. Spróbuję porozumieć się z nimi na odległość. Tak czy owak potrzebna nam jest żywność i woda.

Ksury z jawnym niezadowoleniem przerzucił ster i opuścił do połowy żagiel. Zatoczyli półkole i przystanęli. Robinson, stojąc na dziobie, gestami rąk starał się pokazać, że jest głodny i spragniony. Poruszał szczękami i klepał się po brzuchu. Potem sięgnął po dzban i przewrócił go dnem do góry na znak, że naczynie jest puste.

Dzicy zrozumieli widocznie, gdyż człowiek z dzirytem wydał jakieś polecenie i dwaj czarni chłopcy rzucili się biegiem w głąb łądu. Po kilkunastu minutach wrócili w otoczeniu paru kobiet, niosąc owoce, kawał suszonego mięsa i koszycki z jakimś zbożem. W ślad za nimi nadeszły jeszcze dwie kobiety z tykwami napełnionymi wodą.

Robinson zwlekał jeszcze z przybiciem do brzegu. Pas głębokiej wody dzielącej łódź od łądu stanowił jedyną gwarancję bezpieczeństwa. Wszystko jak dotąd poszło zbyt łatwo, toteż można się było obawiać podstępów. Ale czarni nie żywili widocznie żadnych złych zamiarów, gdyż złożyli dary nad wodą, cofnęli się na znaczną odległość. Wrócili dopiero wówczas, kiedy Ksury, szczękając zębami ze strachu, przeniósł wszystko na pokład łodzi. Pokrzykując coś niezrozumiale, patrzyli uśmiechnięci, jak Robinson wciąga kotwicę.

Nagle z wysokiego zbocza stoczyły się w gwałtownym pędzie dwie ścigające bestie. Z rozwartych pysków zwierząt toczyła się piana. Na ułamek sekundy ludzie na brzegu zamarli w bezruchu, a potem rozpierchli się jak stado czarnych ptaków na widok spadającego jastrzębia. Na wydmie pozostał tylko człowiek z dzirytem, zdecydowany stoczyć nierówną walkę.

- Lamparty! - krzyknął Ksury. - One zjedzą człowieka z dzirytem!

Ale zwierzęta minęły Murzyna i wpadły z rozpędu w morze. W tej samej chwili Robinson wystrzelił. Jedna z bestii płynęła właśnie w stronę łodzi. Strzał był celny, gdyż zwierzę poszło natychmiast pod wodę. Wypłynęło jeszcze o kilka jardów dalej, ale na płyciźnie opadło z sił i zostało na piasku. Drugi lampart, przerażony hukiem wystrzału, zawrócił do brzegu i pomknął z boczem w górę. Znikł, zanim Ksury zdążył nabić sztucer.

Murzyni zbiegli na brzeg. Zaniemówili ze zdumienia. Biały człowiek z kijem ciskającym pioruny wydał im się bogiem, który na skrzydlatej łodzi spłynął ku nim ze swej dalekiej krainy. Upadli na twarze.

- Ładujemy, Ksury - uśmiechnął się Robinson. - Oni jeszcze nie widzieli strzelby. Jesteśmy bezpieczni.

Opodal brzegu woda była przezroczysta i płytka. Wzdłuż burt śmigły na głębiny wielkie, nieznanne ryby. Pod kilem chrzęściło piaszczyste dno pokryte kolorowymi muszlami. Robinson wyskoczył z łodzi, przebrnął zalew i podszedł do człowieka z dzirytem. Ten bełkotał coś niezrozumiale i trząsał się cały jak w ataku febry. Minęła długa chwila, zanim podniósł się z kłęczek.

Robinson wskazał krajowcom krwawy ślad na wodzie i rzucił im linę, pokazując na migi, że chciałby wydobyć lamparta. Skoczyli natychmiast i okręciwszy sznurem tułów zwierzęcia, wyciągnęli je na łąd. Był to niezwykle piękny lampart, rzadko spotykanej wielkości. Murzyni, złożyli go u stóp Robinsona, zabrali się do zdejmowania skóry. Robili to sprawnie i szybko, posługując się zaostrzonymi kawałkami drzewa. Po chwili zwierzę było oprowiane. Robinson zabrał skórę, pozostawiając mięso.

Kiedy żeglarze po raz drugi podnosili kotwicę, na brzegu płonęło ognisko i wokół obracającej się na różnie pieczeni wirował krąg czarnych tancerzy. Kobiety wtórowały im do tańca, uderzając rytmicznie w puste tykwy. Tylko człowiek z dzirytem stał na brzegu i patrzył za oddalającą się łodzią.

Po jedenastu dniach żeglugi Robinson ujrzał półwysep wybiegający w morze na odległość czterech do pięciu mil. Postanowił nadłóżyć drogi i okrążyć przeszkodę. Płynęli ostrożnie, w obawie przed rafami, których ostre grzbiety połyskiwały gdzieś wśród fal. Kiedy łódź minęła cypel, w dali, po prawej stronie, zarysowały się sylwetki wysp. Na wprost dzioba wyłonił się masyw zieleni.

Był to Zielony Przylądek.

„Co teraz zrobić? - rozmyślał Robinson z niepokojem. Wiatr wzrósł i szarpał żaglem. - Są dwie drogi. Na Przylądek i w kierunku wysp. Trzeba wybierać”. Rozejrzył się uważnie. Tędy przecież przebiegał szlak handlowy! A mimo to nie spotkali dotychczas ani jednego statku! Cóż zatem mogło ich czekać? Na pustym morzu i na dzikim lądzie... A jeśli zabraknie kul i wyczerpią się zapasy prochu? Jeśli pierwsza burza roztrzaska ster i poszarpie żagle?

Robinson, zatroskany, wszedł do kajuty i usiadłszy, oparł się ciężko na stole. Wszystkie obliczenia i nadzieje zawiodły.

Z głębokiej i posępnej zadumy wyrwało go nagle wołanie Ksurego:

- Panie! Panie! Okręt żaglowy!

TYTOŃ I TRZCINA CUKROWA

*Kiedy wiatr strąci liść w nurt rzeki, będzie on równie bezradny jak ja, wraz z moją łodzią. Bo czymże w końcu jestem wobec tego ogromu? Nędznym robakiem kurczowo trzymającym się życia. Ani biegu przyspieszyć, ani przekrzywić fale. Skrzydeł przeciw mojej łodzi nie dodam... Doprawdy, ryba jest znacznie szczęśliwsza i ptak, który leci swobodnie!*

Statek szedł na pełnych żaglach z północnego zachodu. Był to szkuner - bark portugalski, sądząc z budowy i osprzętu. Odległość nie pozwalała na odczytanie nazwy. Robinson obserwował go przez dobrą chwilę, nie odwracając oczu od lunety. Na pokładzie krzatali się ludzie. Wyglądali jak ruchliwe, czarne żuczki. Jeden taki żuczek oderwał się właśnie od pokładu. Począł się pięć ku górze po cieniutkiej nitce liny. To zniknął, to znów pojawiał się na tle żagli, za każdym razem coraz wyżej i wyżej.

Robinsona ogarnęło przerażenie. Na szkunerbarku brasowano żagle. Reje drgnęły i zmieniły kąt położenia. A zatem statek nie płynął do brzegu! Przeciwnie, oddalał się i lada chwila mógł go stracić z oczu.

Robinson wetknął lunetę za pas. Każda chwila była teraz bezcenna! Zrzucił koszulę, przywiązał ją do linki i wciągnął na szczyt masztu. Załopotana na wietrze. Opuścił ją i podciągnął znowu. I jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze... Nie, niemożliwe, by ktokolwiek mógł zauważyć ten znak! Rozejrzył się po pokładzie szalupy. Nie było sposobu na powiększenie szybkości.

- Jeśli nas zobaczą, jesteśmy ocaleni, Ksury! - zawołał. - Ster bardziej na prawo! Spróbujemy przeciąć im drogę!

Szanse były niewielkie. Trójmasztowiec szedł zbyt szybko, aby można go było doścignąć. Wszystko zależało od tego, czy ktoś na pokładzie dostrzeże łódź i zrozumie sygnał. Po kwadransie zdołali osiągnąć tyle, że płynąc w tej samej odległości, znaleźli się na wprost lewej burty żaglowca. Ale już następne minuty przyniosły zmianę sytuacji. Wiatr od strony lądu zelżał i odległość między nimi zaczęła się szybko powiększać. Robinson był już bliski rozpacz, gdy błysnęła mu szczęśliwa myśl.

Nabił wszystkie strzelby, podsypując ładunki podwójną ilością prochu. Wyrzucił je na pokład.

Umocował ruder steru i obaj z Ksuryem przebiegli na dziób łodzi. Na dany przez Robinsona znak wypalili z trzech strzelb jednocześnie. Nabili je szybko i druga salwa przesłoniła ich dymem.

Robinson wyrwał zza pasa lunetę.

Na portugalskim statku skracano żagle. Ktoś widocznie usłyszał huk lub zauważył dym. Byli uratowani.

Po godzinie, która Robinsonowi wydała się wiekiem, dobili wreszcie do żaglowca i weszli na pokład. Robinsona ogarnęło wzruszenie. Dopiero tu, na tym pływającym skrawku Europy, poczuł się naprawdę wolny i bezpieczny. Rozepchnął otaczających go majtków i poszukał wzrokiem kapitana. Był to



starszy już, szpakowaty mężczyzna o energicznym spojrzeniu i wyrazistych rysach. Robinson przypadł doń i mocno uchwycił obie jego dłonie. Kapitan nie rozumiał po angielsku. Odpowiedział w języku portugalskim. Tego nie znał z kolei Robinson, złożył więc tylko ręce, wskazując na pokład szkunerbarku. Kapitan uśmiechnął się i powiedział coś po hiszpańsku. Robinson potrząsnął głową przecząco. Znał tylko mowę ojczystą i język Maurów, którego nauczył się w niewoli. Zaczęły padać pytania w języku włoskim i francuskim. Daremnie! Robinson rozejrział się bezradnie. Otaczali go ludzie, z którymi nie mógł się porozumieć!

Na koniec znalazł się majtek, Szkot z pochodzenia, którego użyto jako tłumacza. Wysłuchawszy opowieści Robinsona, kapitan kazał mu powiedzieć, że płynie do Brazylii i może go zabrać ze sobą. Robinson ofiarował mu w zamian łódź, ale Portugalczyk daru nie przyjął.

- Senior Inglese - uśmiechnął się - panie Angliku, łódź wraz z ładunkiem zabiorę, ale oddam ci ją w San Salvador, chyba że zechcesz mi ją odprzedać. Cóż byś bowiem począł w Brazylii bez grosza przy duszy? Nic by ci nie pozostało innego, jak sprzedać się osadnikom w niewolę, być może cięższą jeszcze od mauretańskiej. A może zginąłbyś z głodu i w ten sposób zabrałbym ci życie, które udało mi się ocalić! Zatrzymaj więc wszystko. Zrobisz z tym, co zechcesz. Jesteś gościem na moim pokładzie. Czynię tak, jak chciałbym, aby uczyniono mnie, gdybym się znalazł kiedykolwiek w równie żalnym położeniu. Hej! Wciągnijcie tam łódź na pokład i spiszcie dokładnie ładunek!

Statek płynął do Brazylii i Indii Zachodnich, wioząc narzędzia rolnicze, broń, odzież i sukno angielskie przeznaczone na wymianę za tytoń, cukier, kawę i kakao.

Robinsona umieszczono w ciasnej komórce obok kajuty kapitana. Ksury znalazł sobie kąt w pomieszczeniach załogi. Już po kilku dniach czuł się na statku tak, jakby się urodził na pokładzie. Śmigał po linach ze zręcznością młodego małpiątka, zręcznie podawał do stołu i kapitan chętnie widział go w mesie, był bowiem szybki, czysty, pojętny i zawsze uśmiechnięty. Któregoś dnia, gdy Ksury zebrał już talerze i znikł, ustawivszy na stole dymiącą wagę grogu, kapitan, przez tłumacza, zagadnął Robinsona o cenę łodzi.

- Zbyt wielu względów doznałem od pana, kapitanie - odpowiedział Robinson - aby wyznaczyć teraz cenę. Zgadzam się z góry na sumę, jaką mi pan ofiaruje.

- A zatem, panie Angliku - rzekł kapitan, napełniając kubek Robinsona - dam ci rewers na osiemdziesiąt talarów płatny w Brazylii i będę uważał, że łódź nabyłem korzystnie. Jeśli jednak tam, na miejscu, znajdzie się ktoś, kto zechce dać ci więcej, odstąpię od nabytych praw. Proponuję ci również pięćdziesiąt talarów za skórę lamparta i dziewięćdziesiąt za skórę lwa. Słowem, otrzymasz ode mnie za wszystko dwieście dwadzieścia talarów. Za tę sumę możesz wrócić do Europy lub, jeśli zechcesz, urządzić się nieźle w Brazylii. A zatem zgoda?

- Zgoda! - odpowiedział Robinson. - Dodaję do tego, mości kapitanie, moją wdzięczność!

- A więc, skoro przystajesz, wychylmy po szklaneczkę grogu. Ach, prawda, byłbym zapomniiał! Masz przecież jeszcze tego Maura... Chłopiec potrafi chodzić po pokładzie! Podoba mi się i chętnie go kupię za sześćdziesiąt bitych talarów. Co o tym myślisz?

Z podniesionym do ust kubkiem kapitan czekał na odpowiedź.

- Nie, kapitanie - odrzekł Robinson. - Ksury nie jest moją własnością. Jakżebym mógł sprzedawać chłopca, który mi pomógł odzyskać wolność?

- Szlachetnie, senior Inglese - uśmiechnął się kapitan. - Cofam to, co powiedziałem. Ale cóż masz zamiar z nim zrobić? Tak czy tak, Maura czeka wśród białych niewola i nie zdołasz go przed nią uchronić. Pozostaw go więc na statku, a ja przyrzekam ci uczynić zeń marynarza. Czy zgoda na to?

- Na to zgoda! - rzekł Robinson. - Jutro pomówię z chłopcem.

- A więc za szczęśliwe zakończenie pańskiej tułaczki, senior Inglese! - rzekł kapitan, wychylając grog.

W dwadzieścia dwa dni przybyli do Zatoki de Todos os Santos, skąd po kilkunastu dniach statek miał wyruszyć dalej do Indii Zachodnich. Pożegnawszy się z Ksury, który nie krył łez, chociaż pragnął zostać marynarzem, Robinson zszedł na ląd.

Kapitan umieścił go w domu swojego przyjaciela, Anglika z pochodzenia. Człowiek ten, nazwiskiem

Wells, był ubogim plantatorem tytoniu, jednym z tych, którym bogaci osadnicy na każdym kroku utrudniali życie.

Wszyscy zajmowali się tutaj uprawą trzciny cukrowej, kawy, tytoniu albo hodowlą bydła. Bogaczy wyręczali w pracy niewolnicy. Pod tym względem Brazylijczycy niczym się nie różnili od półdzikich piratów z Sale. Specjalnie tresowane psy i nadzorcy uzbrojeni w bity pilnowali ludzi od świtu do nocy. W przeciwieństwie do innych Wells był człowiekiem łagodnym i zapewne dlatego klepał biedę.

Robinsona powitał u siebie z radością i dopomógł mu w uzyskaniu zezwolenia na osiedlenie w San Salvador. Postanowili pomagać sobie wzajemnie i radzić w miarę możliwości. Robinson nie miał innego wyjścia. Komunikacja z Europą była bardzo nieregularna i w najbliższym czasie nie spodziewano się żadnego statku, a portugalski szkunerbark miał przed sobą jeszcze długą podróż wzdłuż wybrzeży Południowej Ameryki. Żegnając się z Robinsonem, kapitan dał mu nowe dowody swojej uczynności. Rozmowa toczyła się w obecności Wellsa, który służył im za tłumacza.

- Panie Angliku - rzekł kapitan swoim zwyczajem - znam z naszych rozmów twoje sprawy, daj mi więc listy i pełnomocnictwo dla pani Smith w Londynie, a za powrotem przywiozę ci twoje pieniądze lub zakupione towary, jeśli byś miał zamiar osiedlić się tutaj. Ponieważ jednak sprawy ludzkie zawsze narażone są na przeciwności losu, daj mi zlecenie tylko na połowę twojego majątku. Tym sposobem jedynie sto funtów narazisz na hazard, a sto mieć będziesz w zapasie.

Rozstali się jak przyjaciele.

Wkrótce po wyjeździe kapitana Robinson, przyjrawszy się pracy na roli, zakupił w sąsiedztwie Wellsa kawałek nie uprawionej ziemi i założył niewielkie gospodarstwo.

Brazylia nie karmiła go łatwym chlebem. Przeciwnie. Był to chleb ciężki, a nawet gorzki niekiedy.

Praca przynosiła wprawdzie zyski, ale nieświatne i opłacone trudem przewyższającym siły. Radzili sobie z Wellsem jak mogli, zdani jedynie na własną pracowitość i zaradność. W tym nowym zawodzie przydało się Robinsonowi wszystko, czego nauczył się od ogrodnika z Sale i czego nauczyła go niewola. Praca była ciężka, zbyt ciężka jak na siły jednego człowieka i nieraz przyszło mu żałować, że lekkomyślnie rozstał się z Ksuryem. Ale po dwóch latach zagospodarował się na dobre, a rok szczególnego urodzaju postawił go na nogi. Pięćdziesiąt stufuntowych bel dobrze wysuszonego tytoniu czekało na statek z Lizbony.

Pewnego wieczoru do drzwi Robinsona zastukał marynarz o twarzy aż nazbyt, jak na białego człowieka, spalonej słońcem. Po uśmiechu Robinson poznał - Ksurego. Nazajutrz odwiedził na statku kapitana, który przywiózł mu z Europy narzędzia rolnicze, doskonałą broń, materiały bawełniane i sukno z manufaktur angielskich za sumę stu funtów szterlingów wypłaconych przez panią Smith. Zatrzymawszy część rzeczy, resztę Robinson sprzedał bardzo korzystnie, zyskując na tym prawie w czwórnasób. Los jego był zapewniony. Mógł teraz nająć pomocników i rozszerzyć swoją plantację.

Ale powodzenie stało się zarazem przyczyną jego nieszczęścia. Na wieść o angielskich towarach, zwabieni zwłaszcza bronią i sukniem, zaczęli odwiedzać Robinsona bogaci plantatorzy i kupcy z San Salvador. W całej okolicy głośnie stały się jego przygody, chętnie goszczono go i zapraszano, a co sprytniejsi wypytywali dokładnie o Wybrzeże Kości Słoniowej i szczegóły handlu z Murzynami. Opowiadał więc, jak to za świecidełka i paciorki można tam kupić złoty piasek i bezcenne kły. Rozmowy te i wspomnienia obudziły w nim tęsknotę za morzem.

Którejś nocy nawiedziła go ona ze szczególną siłą. Nie zmrużył oka do rana. Wiatr stukał okiennicami, tak jak stuka rejami o drzewce masztu. Robinson marzył...

Oto stoi na maszcie. Sto stóp nad pokładem, w bocianim gnieździe. Żagle wypełnione wiatrem, płótno bez jednej zmarszczki. Maszty jak olbrzymie szczudła niosą go po morskiej głębi. Okręt płynie leniwie, dmucha senny pasat\*, oczy wypatrują smużki na horyzoncie. „Zie - e - emia!!!”

„Ile jest niezbadanych łądów? - myślał Robinson. - Ile jest mórz, których nie zobaczę?”

Za oknami świtało. Czekala go codzienna praca.

Tego właśnie dnia odwiedził go jeden z plantatorów i dwaj kupcy z San Salvador. Po krótkiej rozmowie na temat pogody i urodzajów oświadczyli mu, że postanowili zakupić i uzbroić statek handlowy do podróży na wybrzeże Gwinei.

- Zaopiekujemy się twoją plantacją, mości Robinsonie. Wellsa możesz uczynić swym

pełnomocnikiem. Chcemy ci powierzyć statek i ładunek. Otrzymasz jedną czwartą zysku, nie wkładając nic nadto w nasze przedsięwzięcie. Poprobujemy handlu z Murzynami.

- Zgoda - odpowiedział Robinson.

OGNIE ŚWIĘTEGO ELMA

*„Cóż wiodło cię znowu na morze?” - można by zadać pytanie. Nie wiem, co na nie odpowiedzieć. Pytajcie tak samo muchy, dlaczego brzęczy i lata. Pytajcie tak samo zwierza, dlaczego kąsa i drapie. Pytajcie ryby i ptaka. I ognia, dlaczego płonie. I wody, dlaczego płynie. Taka natura jest rzeczy. Żeglarza ciągnie na morze.*

Na przystani w Zatoce de Todos os Santos zebrał się tłum czekających na odbicie statku. W tłumie tym tkwił także i Wells, który do ostatniej chwili na próżno starał się zmienić decyzję Robinsona.

Był pierwszy września roku 1659. Mijało dokładnie osiem lat od dnia, gdy Robinson, porzuciwszy dom i rodziców, wstąpił w Hull po raz pierwszy na deski pokładu. Przypomniawszy ręką sznurowej drabinki. Tylekroć myślą wracał do domu, a nie mógł doń wrócić naprawdę! Było w tym więcej z pewnością jego własnej winy niż przeciwności losu. I tym razem, tak jak i zawsze dotychczas, oddalał się raczej, niż zbliżał.

„Ha, ziemia jest kulą - myślał - każda droga prowadzi do domu”. Zawahał się. Kiedyś już przecież słyszał to zdanie... Tak. Przypomniawszy sobie. Kolorowy globus na kominku, przezroczysta dłoń pana Kruzo nad tym globusem i jego głos. Bo on to właśnie powiedział: „...ale każda z tych dróg może być zbyt długa na siły człowieka, kiedy dom swój dobrowolnie porzuci...”.

A więc to było już osiem lat temu...

Na przystań zajeżdżały powozy. Dozorcy rozpędzali gawiedź, rżały konie, a tłum wybuchał okrzykami.

Ktoś przechylił się ponad relingiem i podał Robinsonowi rękę. Odczepiano już liny od nabrzeża. Na górze rozległ się gwizdek kapitana i pierwszy żagiel wznosił się, napinając płótno z trzaskiem podobnym do wystrzału. Wprost z zatoki skierowali się na północ, trzymając się jednak wybrzeża. Uczęszczany szlak morski ku brzegom Afryki zaczynał się bowiem między dziesiątym a dwunastym stopniem szerokości północnej. Pogoda była dobra, tylko od strony lądu buchał, jak z otwartego pieca, nieznośny żar.

- Piekło tu chyba ma gdzieś swoją bramę - narzekał kapitan Alviedo. Ten niski, krępy mężczyzna o bujnej, żółtej czuprynie i twarzy nakrapianej piegami miotał się po pokładzie, jakby w nim samym drzemało to piekło, o którym ciągle mówił. Okrywał go spłowiały surdut o barwie kokosowego orzecha. Wygląd miałby nawet zabawny, gdyby nie oczy dziwnie nieruchome.

- Niechże was piekło pochłonie! - biesił się na marynarzy i widać było, że gdyby tylko mógł, chętnie by im to ułatwił.

Od Przylądka św. Augustyna wzięli kurs na pełne morze ku wyspie Fernando de Noronha. Na szerszych wodach wzmogła się bryza. Robinson, stojąc na przednim moście, chłonał to orzeźwiający powietrze pełnymi piersiami. Statek odrzucał dziobem płaty piany jak żrebiec rozgrzany biegiem. Widoczny jeszcze z dala ląd coraz niżej pogrążał się w oceanie, a wraz z nim plantacje trzciny cukrowej, grzędy tytoniu, księgi rachunków, tysiące kłopotów.

Jakże Robinson gardził tym lądem, poznaczonym śladami ludzi i zwierząt jak pospolity gościniec! O ileż swobodniej było tu, na oceanie, który wyglądał wszystkie ślady, nie stawał przed oczami żadnych przeszkód ani barier, budząc w sercu Robinsona zawsze jednaki podziw! Mógł mieć tysiące pretensji do morza - każda z nich, w gruncie rzeczy, była tylko tęsknotą za morzem.

Przechyleni lekko na burtę, lecieli naprzód pod przygiętymi masztami, a każda żyłka lin dźwięczała jak stalowa struna. Po dwudziestu dniach żeglugi przebyli równik i minęli siódmy stopień szerokości północnej. Kapitan Alviedo w swojej kajucie rozłożył przed Robinsonem mapy.

- Pokaż mi teraz, admirale - nazywał go żartobliwie admirałem - to Wybrzeże Kości Słoniowej, o którym tyle mówiłeś.

Robinson wskazał mu Zielony Przylądek, na południe od niego Zatokę Gwinejską, a nad nią owo Wybrzeże.

- Tu, kapitanie - powiedział. - Ale handel przybrzeżny możemy już rozpocząć od piętnastego stopnia

szerokości północnej. Kość słoniowa jest wszędzie. A tutaj pieprz, złoty piasek, olej palmowy...

- I wszędzie... „czarny heban” - przerwał mu kapitan Alviedo.

- Jak to: „czarny heban”? - zdziwił się Robinson. Marynarz spojrzał nań uważnie swymi jakby niewidzącymi oczyma.

- „Czarny heban” wart jest tyleż, co biała kość słoniowa, admirale. Zmieścimy na tym pudle co najmniej pięćdziesięciu Negrów. Za Negrów dobrze płacą w Brazylii, byle tylko nie wpaść w łapy Portugalczykom ani Hiszpanom. Musisz więc, admirale, dobrze kręcić głową, jeśli naprawdę znasz te wody.

- A więc to jest statek niewolniczy... - Robinson wstał i odsunął mapy.

- Powiedzmy sobie - handlowy! - zaśmiał się kapitan Alviedo. - Ale handlować przecież można wszystkim. Znam takich, co na „hebanie” dorobili się grubego majątku.

- Była mowa tylko o kości słoniowej - rzucił twardo Robinson. - O niczym więcej.

- Racz więc przyjąć do wiadomości i „czarny heban”, admirale - uśmiechnął się drwiąco kapitan. - Może ci nalać rumu?

W tej chwili drzwi do kajuty otwały się z trzaskiem i stanął w nich błąd jak ściana marynarz wachtowy.

- Ognie świętego Elma\*, kapitanie!

- Co? - Alviedo zerwał się od stołu.

- Ognie świętego Elma! Niech nas Bóg ma w swojej opiece, kapitanie.

Wypadli na pokład. Nie wiadomo kto pośrodku nocy zbudził marynarzy, ale cała załoga była już na górze. Skupieni ciasno, milcząc, obserwowali niezwykle zjawisko. Końce rej płonęły bladym światłem.

Wszystkie maszty wyglądały jak woskowe świece. W blasku tajemniczej poświaty lśniły oczy przerażonych ludzi...

Robinson usłyszał tuż obok siebie przenikliwy szept:

- Oby święty Elm okazał miłosierdzie nad nami!

Był to głos kapitana Alviedo. W ciągu tej jednej chwili zmienił się nie do poznania.

Huragan przyszedł nagle z południowego zachodu, jakby wyłonił się z otchłani morskiej, spokojnej dotychczas jak lustro. Pomieszał obliczenia, zmylił kierunki, zakręcił statkiem jak łupiną orzecha i pognął go w stronę północno - wschodnią, zacinając wichrem, jak biczem, po żaglach. Już pierwsza fala zmyła z pokładu dwóch ludzi, zanim zdążyli usta otworzyć do krzyku. O świetle statek odarty z żagli stał się już tylko igraszką tornada\*\*, niezdolny do stawiania oporu. Wokół ryczało niebo i morze, horyzont zdawał się pękać od błyskawic, ukazujących tylko nagie kikuty masztów.

Trzymając się oburącz wanty, Robinson stał na mostku kapitańskim i za każdym błyskiem pioruna spoglądał w górę, aby sprawdzić, czy nie nastąpiły dalsze spustoszenia wśród takielunku. Pod wieczór fala strzaskała szalupę zawieszoną na rufie i rumplem zabiła sternika.

W ciągu dwunastu dni szalał huragan, grożąc zatopieniem statku. Dwunastego dnia morze uciszyło się nieco i kapitan przystąpił do pomiarów. Znajdowali się pod jedenastym stopniem szerokości północnej i jeśli można było wierzyć cyfrom, gdzieś opodal wybrzeży Gujany, w pobliżu ujścia rzeki Orinoko. Kapitan wezwał Robinsona na naradę. Okręt przeciekał, ożaglowanie wymagało naprawy, ster był uszkodzony. Po krótkiej wymianie zdań postanowili płynąć ku wyspom Barbados. Spodziewali się tam dotrzeć w ciągu piętnastu dni. Przed wyruszeniem w dalszą drogę statek musiał zawinąć do portu. Szkody okazały się tak duże, że nie sposób było zająć się ich usunięciem na morzu. Przebrasowali reje i na strzępach żagli ruszyli w stronę Przylądka św. Łucji.

Zaledwie jednak dotarli do szerokości dwunastu stopni i osiemnastu minut, gdy sztorm zerwał się po raz drugi i zagarnął ich swym skrzydłem na zachód, daleko od dróg handlowych i uczęszczanych szlaków. Drugie natarcie tornada było tak silne, jak gdyby morze przez całą dobę zbierało doń siły. Pierwszy poryw wiatru poszarpał resztę żagli. Trzask dartego płótna oznaczał ostateczną zagładę. Igły kompasu tańczyły jak oszalałe. Załoga nie miała już nic do roboty. Statek zdany był tylko na łaskę i niełaskę fal.

O świetle szóstego dnia majtek z bocianiego gniazda zawołał:

- Zie - e - e - mia!!!

Okrzyk ten ściął im krew w żyłach. W czasie takiej burzy łąd krył najstraszliwsze niebezpieczeństwo. Jedno dotknięcie ziemi mogło strzaskać w drzazgi kadłub pędzącego statku.

Robinson wypadł na pokład. Uczepiony burty, wpierał oczy w ciemność, starając się odgadnąć, w jakiej znaleźli się części świata, kiedy statek wpadł na mieliznę. Przez pokład przeleciały jakieś beczki, potoczyli się ludzie. Z hukiem trzaśły wiązania i ponad wszystkimi przewaliła się masa wody strzelającej bryzgami piany.

- Aho - o - oj! Opuszczaj łódź!

Ochryply rozkaz brzmiał jak krzyk ostatecznej rozpacz.

Po krótkiej walce z żywiołem udało się załodze opuścić na wodę ostatnią szalupę. Zeszli do niej wszyscy, którzy pozostali przy życiu.

Huragan natychmiast zakręcił łodzią, podniósł ją ku niebu i cisnął w przepaść. Położenie było beznadziejne. Marynarze pracowali wiosłami, dążąc w stronę łądu w rozpaczliwym przekonaniu, że łódź roztrzaska się u brzegu na tysiąc kawałków. Ale na morzu również czekała ich zguba. Szalupa była za mała, by utrzymać się na powierzchni wody przy takiej fali i z takim obciążeniem. Ramiona mdlały z wysiłku i pot zalewał im oczy. Nie wiedzieli, jakie będzie to wybrzeże - płaskie czy strome, piaszczyste czy najeżone skałami. Takie czy inne - im bliższe, tym groźniejsze wydawało się rozbitkom.

Przeplłynęli już z półtorej mili, gdy nagle od strony rufy nadbiegła fala olbrzymia i szara jak postrzępiony głaz. Ta fala zadała im cios ostatni. Cisnęła łodzią jak piłką dnem ku górze, wyrwijąc z rąk ludzi wątle patyczki wiosel. W jednej chwili pochłonęła wszystkich sycząca kipiela bez dna i oparcia. Robinson poczuł bolesne uderzenie w piersi i stracił na moment przytomność. Odzyskał ją, gdy następne uderzenie wody wygarnęło go na chwilę na powierzchnię. Zaczerpnął tchu, starając się ze wszystkich sił płynąć w stronę brzegu. Nagle woda uciekła mu spod stóp, zostawiając go na twardym gruncie. To przywróciło mu odwagę. Był więc blisko brzegu.

Podniósł się, usiłując biec dalej, gdy spadła nań następna fala. Przywalony ogłuszającą masą wody, już bliski był uduszenia, gdy naraz poczuł, że nowe uderzenie wynosi go na górę. Zdołał utrzymać głowę i ramiona ponad powierzchnią tylko przez dwie sekundy, ale to wystarczyło dla złapania oddechu.

Wkrótce znowu przywalała go woda, ale już tylko na chwilę. Spostrzegł, że fala rozbita o brzeg zaczyna się cofać. Borykając się z powrotnym prądem, trafił na twardy grunt pod stopami. Nie tracąc ani sekundy, Puścił się teraz z całych sił biegiem w stronę łądu. Następne uderzenie dopadło go dopiero na samym brzegu. Cios dosięgnął go w chwili, gdy rękami wczepił się w kępę trawy. Rozżarta, rycząca wściekle fala wymiotła go wysoko w górę i cisnęła na skałę. Resztką sił podczołgał się wyżej, ale kiedy tylko masa wody uciekła mu spod nóg, stracił przytomność. Ostatnia myśl kazała mu zacisnąć do bólu palce na jakiejś ostrej krawędzi.

Kiedy odzyskał przytomność, morze tłuło się o skały gdzieś nisko i daleko poza nim. Ile godzin przeleżał bez czucia? Może kilka, może kilkanaście. Całe ciało bolało go, jakby wyszedł spod kijów. W ustach miał pełno piasku i zrozumiał, że leży z głową na wpół zagrzebaną w ziemi. Czuł jej smak i wilgotny zapach. „Ziemia!” To była jego pierwsza przytomna myśl.

NA NIEZNANYM BRZEGU

*Gdy skazańcowi wstępującemu na szafot doręczone ma być ulaskawienie, ceremonii tej asystuje cyrulik, aby krew puścić w razie, gdy nagła radość zatrzyma bicie serca obdarzonego wolnością człowieka. Nagła radość bowiem potrafi zabić równie łatwo, jak niespodziewane strapienie. Takim skazańcem, któremu u stóp szafotu darowane zostało życie, byłem ja właśnie, kiedy fala wymiotła mnie na brzeg.*

Robinson zerwał się, zatoczył i omal nie upadł ponownie. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Krew biła w skroniach, jakby miała rozsadzić czaszkę. Ziemia była twarda, nieruchoma, dawała stopom pewne oparcie i tylko w nim samym nie ustało jeszcze kołysanie, jakby nagle zeskoczył z huśtawki. Zwierał i rozwierał dłonie, czuł ból całego ciała i każdego oddechu, paliły go kolana zdarte do krwi na kamieniach, ale żył i mocniej niż kiedykolwiek zdawał sobie z tego sprawę.

- Boże! Darowałeś mi życie! Wyprowadziłeś mnie z otchłani! Niech będzie imię Twoje pochwalone! Słowa modlitwy stłumiło łkanie rozsadzające piersi. Podczołgał się wyżej i krzyknął głośno, aby

zagłuszyć nieznośny szum w uszach. Morze wchłonęło wołanie. Kłębiło się w dole, ujarzmione wśród skał, strzelając na brzeg wytryskami brudnej piany. Nawałnica ucichła i tylko wiatr pędził jeszcze w głąb lądu grzywiasty tabun chmur. Nagle rozwarła się na chwilę brunatna opona i trysnął promień słońca. Dotknął skał i ześlizgnął się ku wodzie po lśniących, płaskich kamieniach.

Kamienistym żlebem wdarł się Robinson na wysoki brzeg. Lekką pochyłością opadała stąd równina porośnięta niską trawą i kwitnącymi krzewami o nieznanym nazwie. Dalej pojedyncze drzewa i ściana lasu. Robinson rozejrzył się dookoła. Pustka. Ani śladu człowieka czy zwierzęcia. Tylko w krzewach buszowało ptactwo - gałązki i liście drgały nieustannie, a powietrze wypełnione było kwileniem i popiskiwaniem głośnym i natarczywym.

- Aho - o - oj! Aho - o - oj!

Skupił całą uwagę i nasłuchiwał przez chwilę. Wołanie wróciło doń z głębi lądu, jakby go ktoś przedrzeźniał. Ale odpowiedzi nie było.

- Aho - o - oj!

Nagle zauważył przed sobą szczątki strzaskanych desek. Morze ciskało je o brzeg i porywało natychmiast z powrotem.

Szalupa!

Na powierzchni kipieli ukazało się na chwilę wiosło. Robinson drgnął. W ślad za wiosłem wyłoniło się coś, co w pierwszej chwili... Nie! To była tylko czapka któregoś z majtków!

Na Boga! Ktoś musiał przecież ocaleć!

Robinson nasłuchiwał, tłumiąc oddech. Czy nie słychać jakiegoś wołania? Nic oprócz szumu morza i ptasiego niepokoju na wyspie...

Ruszył wzdłuż wybrzeża. Ogarniało go przerażenie. Począł biec. Zmrok już zapadał i z każdą chwilą rosło uczucie osamotnienia.

- Alviedo! Kapitanie Alviedo!

Przystawał co kilkadziesiąt jardów, nawołując po imieniu towarzyszy. Dziesięć imion, dziesięciu zaginionych ludzi.

- Pereira! Miguelu! Aho - o - oj!

Nasłuchiwał i ruszał dalej. W małej zatoczce znalazł na piasku trzy kapelusze, czapkę i jeden podarty trzewik. Nic więcej. Tu stał najdłużej i krzyczał w stronę lądu i morza aż do ochrypnięcia. Daremnie jednak. Raz tylko zdawało mu się, że ktoś odpowiada przeciągle i jękliwie. Wstrzymał oddech i cały zamienił się w słuch. Było to jednak tylko echo odbite od skał i powtórzone w lesie. Teraz rozumiał, że jest sam. I że nikt mu tutaj nie odpowie.

Ogarnęła go rozpacz. Rzucił się na kolana, klnąc na przemian i szarpiąc się za włosy. Zaciśnięte pięści wyciągnął ku chmurnemu niebu. Przed chwilą dziękował Bogu za ocalenie, teraz zaczął złorzeczyć i bluźnić.

Nagle - cień jakiś przemknął wśród drzew. Dreszcz przebiegł Robinsonowi po plecach. Co to było? Zwierzę? Człowiek? Mógł przecież zwabić wołaniem dzikie zwierzęta albo dzikich ludzi! Nasłuchał się niemało opowiadań o Karaibach\*, których łodzie były postrachem Wysp Antylskich i wybrzeży dorzecza Orinoko.

Rozejrzył się uważnie. Nieopodal biegła krawędź lasu. Z wysokich drzew gęsto opadały ku ziemi liany, splatając w nieprzebytą zaporę kolczaste krzewy podszycia. Stamtąd zdawał się wypełzać na wybrzeże gęstniejący mrok.

Zawrócił w stronę skały, na którą wyrzuciło go morze. Tam noc jeszcze nie dotarła. Radość z ocalenia, później rozpacz i strach ustąpiły teraz miejsca przygnębieniu. Był sam, przemoczony do nitki, bezbronny, narażony na tysiące niebezpieczeństw.

Z całego dobytku zdołał uratować tylko to, co miał na sobie, płócienną kurtkę, koszulę, spodnie i pas z miedzianą klamrą - wszystko podarte w walce, jaką stoczył z żywiołem.

Teraz dopiero poczuł, że po plecach spływają mu zimne strużki wody. Zrzucił odzież i zaczął ją wykręcać. W kieszeni wyczuł pod palcami jakieś zgrubienie. Wywrócił podszewkę na wierzch. Wysypały się stamtąd ze dwie garści jęczmienia. Zabawne! Na statku karmił nim z nudów kury. Wytrzeptał starannie

kieszeń i spostrzegł poniewczasie, że popełnił karygodne głupstwo. Pozbawił się żywności, która mogła przecież zaspokoić pierwszy głód! Upadł na kolana, ale wśród gęstej trawy nie mógł już odszukać rozsypanego ziarna.

Zgnębiony tym do reszty, ostrożniej już zrewidował pozostałe kieszenie. Znalazł w nich fajkę i pudełko z odrobiną tytoniu. Rozwiesił kurtkę i sięgnął po spodnie. Z lewej kieszeni wysunął się podłużny, ciemny przedmiot. Był to nóż. Składany nóż marynarski o szerokim, silnym ostrzu. Ten nóż mógł go uratować od śmierci.

Ubrał się szybko, gdyż noc wkroczyła już na polanę. Głód zaczął mu mocno dokuczać, ale za późno już było na szukanie żywności. Z ciężkim sercem rozejrzał się za jakąś kryjówką, gdzie mógłby spędzić noc.

O kilkadziesiąt jardów od brzegu, w połowie drogi między morzem a skrajem puszczy, rosło samotne drzewo. Gęsta korona pokryta była lśniącymi igłami. Robinson wdrapał się po sękach i pnączach na wysokość dwudziestu stóp. Znalazł tam dosyć wygodne miejsce w rozwidleniu dwóch grubych konarów. Przywiązał się do nich pasem, w poprzek kolan położył tęgi kij, nóż wcisnął za koszulę na piersiach i żując bryłkę tytoniu, ażeby oszukać głód, zasnął wkrótce jak kamień, zapominając, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Obudził go wrzask ptaków i pierwsze promienie słońca, które świeciły mu prosto w oczy. Morze lśniło niezmaconym błękitem, ziemia białymi oparami oddychała po minionej burzy.

Robinson rozplątał pas i zsunął się z drzewa. Odzież wyschła, a piękny, słoneczny poranek nappełnił go otuchą. Jedynie głód dawał mu się porządnie we znaki. Odkładając tedy na później rozmyślenia, ruszył na poszukiwanie żywności. Było mu najzupełniej obojętne, co znajdzie. Żołędzie, jagody, orzechy, nędzne korzonki, jakimi zwykli żywić się pustelnicy... Och, cokolwiek, byleby zapomnieć o pustce w żołądku! Czuł, że opada z sił.

Minął równinę i nie znalazłszy na niej nic godnego uwagi, zagłębił się w las. Ale po kilkunastu krokach utknął w ciernistych krzewach i płataninie lian o twardych, zdrewniałych łodygach. Przez chwilę walczył z nimi bezskutecznie, wreszcie wycofał się stamtąd i ruszył skrajem gęstwiny. Spod nóg szurnęło mu zwierzątko podobne do małego zajączka. Cisnął kijem, ale spóźnił się i chybił. Postanowił teraz dobrze uważać.

Na drzewie, wśród błyszczących, skórzastych liści, uniesionych skośnie ku słońcu, kołysało się stadko papug. Dreptały wzdłuż gałązek, gładziły żółto - zielone upierzenie skrzydeł, gulgotały z zadowolenia, krzywiąc barwiste, czubate łebki. Robinson okręcił się w miejscu i wypuścił kij z dłoni. Pocisk poleciał z furkotem, ale utknął w gałęziach. Papugi nadal dreptały wśród liści, jakby drwiły sobie z prześladowcy. Po raz pierwszy zrozumiał Robinson, jak bezradny jest człowiek pozbawiony przez naturę pazurów i zębów zwierzęcia.

Rozejrzał się za jakimś kamieniem. Ale wysoko rosły tylko kwiaty o przepysznych barwach, a nad nimi krążyły motyle.

„I cóż mi po was? - pomyślał z goryczą. - Jesteście piękne i bezużyteczne. Oto masz, Robinsonie, twoje wymarzone podzwrotnikowe lasy, dla których rzuciłeś dom i ojczyznę! Stoisz teraz wobec nich bezradny jak dziecko! Byle zwierzątko, najmniejsze i najsłabsze, wie, jak się tutaj poruszać, skąd grozi niebezpieczeństwo i jak dotrzeć do zacisznej kryjówki. Najnędzniejsze ze stworzeń ma tutaj swoich wrogów, ale ma i sprzymierzeńców. Ty zaś, człowiek, obcy jesteś w tym świecie, ślepy i głuchy na wszystko, czym żyją jego mieszkańcy...”

Zanurzył twarz w trawie i przyknał oczy. Paliło go pragnienie, a pusty żołądek dawał znać o sobie bolesnymi skurczami. Robinson czuł, że się boi. Bał się brunatnych cieni lasu, jego szmerów i cichych trzasków, bał się wszystkiego, czego nie znał. A nie znał rzeczy najprostszych. Nie umiał zaspokoić najwzwyklejszych swoich potrzeb, gdy wszystko wokół rozkwitało w słońcu, syte i radosne.

Rozmyślenia te przerwało głośnie stuknięcie. Robinson wyczuł słuch. Drugie stuknięcie... tym razem cichsze, jakby coś spadło z wysoka na miękkie podszycie. Spojrzawszy w tę stronę, ujrzał smukły pień palmy, a wyżej, wśród pióropusza korony, gąszcz burych kokosowych orzechów. Zerwał się i rozpoczął gorączkowe poszukiwania u stóp drzewa. W wysokiej trawie i wśród gałązek kolczastego krzewu leżało

kilka orzechów. Rzucił się na nie łapczywie. Nóż! Kamień! Prędeż!

Pierwsze zbyt mocne uderzenie zgruchotało skorupę, a jej zawartość wylała się na trawę. Udało mu się uratować tylko garstkę miąższu. Doprawdy, nigdy w życiu nic nie smakowało mu bardziej! Następny orzech rozłupał już ostrożnie. Wypił słodkawe, tłuste mleko i zabrał się do trzeciego. Skorupy odłożył na bok. Mogły służyć do czerpania wody, zanim dotrze do ludzkich osiedli.

Woda... Teraz trzeba poszukać źródła albo strumienia. Morska woda wabiła oczy, ale nie nadawała się do picia. Zanim wyruszył w drogę, postanowił zaopatrzyć się w zapas orzechów. Pchnął pień, usiłując nim potrząsnąć. Drzewo nie drgnęło nawet. Spróbował jeszcze raz - to samo.

- Prędeż bym poruszył wielki maszt okrętowy - mrucał do siebie, zniechęcony - albo wkopany w ziemię słup żelazny!

Rozejrzał się bezradnie. Może by się jakoś wdrapać na górę? Ale pień był gładki i dłonie ślizgały się po korze, nie mogąc utrzymać ciężaru ciała. Krążąc wokół drzewa, Robinson potknął się o coś. Z ziemi wystawał spory, płaski kamień. Kiedyś, w Yorku jeszcze, Robinson rzucał celnie i na dużą odległość. Miał na sumieniu jakąś szybę i dłuższą na ten temat rozmowę z panią Kruzo. Uśmiechnął się smutnie do tych odległych wspomnień, wążąc pocisk w dłoni.

Rzut udał się nadszpodziewanie i kilka dużych orzechów spadło na ziemię. Robinson rzucił koszulę, związał rękawy i kołnierz giętką witką i napełniwszy ten prowizoryczny plecak orzechami, zawrócił w stronę wybrzeża.

Na środku dolinki znalazł małe, na wpół zasypane liśćmi źródło. Leniwa stróżka wody sączyła się tu po pochyłości, ginąc o kilkanaście stóp dalej w gęstej, bujnej trawie. Woda była chłodna i przezroczysta. Zaspokoiwszy pragnienie, Robinson rozejrzał się po okolicy, aby zapamiętać drogę do źródła i palmy, po czym ruszył dalej. Najważniejszą rzeczą było teraz dociec, gdzie wyrzuciło go morze i jak daleko stąd do ludzkich siedzib. Rozmyślając nad tym, zboczył w prawo. Wznosiło się tam skaliste Wzgórze, pochylone ku wodzie jak znużony wędrowiec.

Idąc, Robinson starał się odtworzyć w pamięci drogę statku, który go tutaj przyniósł. Z ostatnich obliczeń wynikało, że przed drugim, krytycznym uderzeniem tornada znajdowali się pod dwunastym stopniem szerokości północnej. Później przyrządy uległy zniszczeniu i nie można już było określić położenia. Kierunek nawałnicy wskazywałby jednak na to, że rozbicie mogło nastąpić gdzieś w okolicach ujścia Orinoko. Jeśli zaś tak było rzeczywiście, to ze wzgórza powinien zobaczyć tę rzekę lub chociażby którąś z odnóg olbrzymiego zlewiska wód. Przyspieszył kroku w radosnej nadziei, że za chwilę znajdzie potwierdzenie swoich przypuszczeń.

Wzgórze wyrastało ostrą stromizną z dna wąskiej kotliny, z rzadka porosłej kolczastymi krzewami.

Brzegi kotliny i krawędzie misy skalnej nachylone były lekko ku morzu. Przelewała się przez nie gęsta i soczysta zieleń, ginąc na kamienistym wybrzeżu.

Robinson wdzierał się usypiskiem, nie wybierając drogi, byle jak najprędzej stanąć na szczycie.

Pamiętał dokładnie z mapy zarys brzegów na północ od Orinoko. Jeśli pójdzie stąd wzdłuż wybrzeża na zachód lub na południe, prędzej czy później powinien dotrzeć do osad hiszpańskich. Zapewne zamierzenie to było znacznie trudniejsze i bardziej uciążliwe niż wędrowka łodzią wzdłuż brzegów Afryki. I stokroć niebezpieczniejsze. Robinson wiedział doskonale, że nawet duże statki handlowe niechętnie zapuszczają się w te strony. Flotylla karaibskie! To był postrach tych mórz, niedokładnie oznaczonych na mapach i niedostatecznie znanych. Ale innego ratunku nie było! Chyba że... - pod wpływem tej myśli Robinson przyspieszył kroku. - Chyba że zobaczy ze szczytu wzgórza jakiś przepływający statek i że sam również zostanie zauważony!

Pot zalewał mu oczy, mokra kurta przyłgnęła do ramion, spod stóp urywały się zwietrzałe odłamki skał. Zacisnął zęby i nie przystawał ani na chwilę. Tuż nad nim unosiła się wrzaskliwa zgraja żarłocznych mew. Kołowały nad głową, nieomal przysiadły na ramionach, natarczywe, krzykliwe, wcale nie przestraszone obecnością po raz pierwszy chyba widzianego człowieka.

Jeszcze kilkanaście jardów... jeszcze kilka... ostatni chwyt i dźwignięcie ciała ponad wążutką półkę skalną. Dłoń przywiera kurczowo do kępy wyschłej trawy. Płuca łapczywie chwytają oddech. Kilka ostatnich kroków i - jest na szczycie. A więc?...



Wokół - jak okiem sięgnąć - wodna pustynia. Ani skrawka ziemi. Ani jednego żagla.

## WZGÓRZE NADZIEI

*Nikt spośród żyjących nie pozazdrościłby mi mego położenia. Zostałem wyrzucony na wyspę oblaną ze wszystkich stron morzem, daleko od szlaków handlowych i dróg uczęszczanych przez żaglowe statki. Musiałbym ptakiem być chyba i skrzydła mieć u ramion, ażeby myśleć o wydostaniu się stąd innym sposobem niżli przy ludzkiej pomocy.*

Morze, wszędzie morze. W promieniu kilkudziesięciu mil zaledwie kilka skał ponad powierzchnią - to wszystko, na czym wzrok mógłby się zatrzymać. Poza tym tylko niebo... Woda i niebo stopione w szarą smugę na ; horyzoncie. Za to u stóp wokół wzgórza - kraina zielona jak bujny, dziko rosnący ogród. Czy zamieszкана? Chyba tylko przez zwierzęta i ptactwo. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, ani smużki dymu, ani samotnej bodaj chaty, ani śladu czegoś, co zdradzałoby myśl i ręce ludzkie.

Bezludna wyspa. Skrawek ziemi samotnie żeglujący po bezmiarze wód pod flagą tropikalnej zieleni.

W pobliżu wzgórza morze wytoczyło głęboką zatokę, podmyło brzegi i oparło się dopiero na skałach oplukanych z piasku i odartych z zieleni. Nieco dalej gruby dywan wodorostów wyrzuconych przez burzę lub wyniesionych na brzeg przyptywem morskim słał się na piasku i wypełzał na kamienie podobne do olbrzymich żółwi wygrzewających się w słońcu. Jeszcze dalej plastyczna mapa słonecznych wzniesień i cienistych dolin. Srebrna nitka strumienia wszyta głęboko w gęstwinę. Wzdłuż południowych brzegów bujny, podzwrotnikowy las, sięgający w głąb wyspy ku piaszczystym równinom północnym i stepowym goliznom na wschodzie. Hen, daleko - wąski, skalisty półwysep wybiegający w morze. Tu, bliżej - tylko usypiska kamieni, agawy, kaktusy i... znowu morze...

Robinson zanurzył twarz w dłoniach. Siedział tak już od kilku godzin, myśląc o wszystkim i o niczym.

A więc morze... to morze, które było dlań zawsze symbolem wolności, stało się teraz strażnikiem więzienia. Bez szalupy, bez broni, półnagi, pozbawiony nadziei ratunku był tylko jeńcem wydanym na łaskę i niełaskę tej nieznannej wyspy.

Morze... nieprzebyte, groźne, pustynne morze!

Rozpacz ogłuszyła i oślepiła Robinsona. Nie słyszał krzyku mew, nie widział kwitnącej wyspy, nie czuł słonego wiatru, który wypełniał mu płuca tak dobrze znanym zapachem. Teraz już wiedział! Na te wody, odległe od znanych szlaków handlowych, mógł skierować żeglarza jedynie przypadek. Pozostawiony był zatem sam sobie, zdany na własne siły, bezbronny wobec przyrody, która potrafi być równie okrutna, jak piękna i równie obojętna, jak szczodra. Czy uda mu się wydrzeć jej to, co konieczne do życia, czy zdoła je ocalić i odzyskać wolność? Ale kiedy... i w jaki sposób?

Tuman mgły jak szeroka lawina sunie ku wyspie, wiatr coraz silniej uderza, mewy krzyczą natarczywie, a myśli kołują jak mewy. „Nie. Nie wolno się poddawać rozpaczcy. Tak, to wszystko prawda. Jesteś samotny i opuszczony, ale pomyśl tylko, Robinsonie, co się stało z resztą twoich towarzyszy? Czyż nie było was w łodzi jedenastu? Gdzież tamtych dziesięciu? Na próżno szukałeś ich śladów na wyspie, a jednak ty - ocalałeś. Skoro zaś ocalałeś, to po to, ażeby żyć, bronić życia. Niczego nie masz prócz noża, to prawda. Ale przecież to człowiek wymyślił wszystko. Nikt inny. Niczego mu nie dano. Własnymi rękami zbudował dom, rozniecił ogień...; Ogień!”

Nowa myśl, jak smagnięcie biczem, poderwała Robinsona na nogi. Począł gorączkowo przeszukiwać kieszenie. I jeszcze raz. Teraz powoli, dokładnie, uważnie. Krople potu wystąpiły mu na czoło...

W lewej kieszeni fajka i pudełko z garsteczką tytoniu. W prawej nóż. W bluzie kamień, który podniósł po drodze. To wszystko. Nic więcej. Widocznie, walcząc z falami, zgubił woreczek, w którym nosił krzemień i krzesiwo, albo zostawił go na statku. Krzesiwo można zastąpić nożem. Rękojeść była umocniona kapturem ze stali. Ale bez krzemienia i hubki nie roznieci ognia. W jednej chwili zapomniał o wszystkim. Samotność, nieznaną wyspą, morską pustynią wokoło, Karaibowie - wszystko było w tej chwili niczym wobec tej ostatniej, największej klęski...

Nie miał czym rozpalić ogniska!

Morze zasnuło się mgłą i pociemniało, kiedy Robinson zaczął schodzić w dół wąziutkim,

kamienistym żlebem. Przystawał co kilka kroków, pochylał się i przeszukiwał piarg. Kamienie były jednak

zbyt miękkie i rozsypywały się pod uderzeniem noża. Nie udało mu się wykrzesać upragnionej iskry. To wzgórze zasługiwało chyba na miano „Wzgórza Rozpaczy”! Tytuł doznał rozczarowań i tak dużo przeżył tutaj w ciągu kilku godzin!

Więc gdyby nawet pojawił się na tych wodach jakiś żagiel, jak da znać ludziom o sobie? Można by na szczycie ułożyć stos chrustu i drzewa. Dym byłby najlepszym sygnałem. Ale nie ma przecież dymu bez ognia. A ognia nie ma bez krzemienia. Żyjąc wśród ludzi, korzystał z ich pomocy, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Nie myśląc o tym. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak powstały przedmioty, którymi się posługiwał. Po prostu istniały, to wszystko. Zawsze były pod ręką. W każdej chwili i na każde zawołanie. Tutaj zaś nie miał nic i myśl ta napełniała go przerażeniem. Szukając krzemienia, Robinson dotarł aż nad brzeg morza. Przysiadł na piasku i zapatrzył się w dal. Ostatnie promienie słońca ślizgały się po chybottliwej powierzchni i rozbite ruchem fal tysiące rubinów to zapalały się, to gasły jak wędrujące płomyki. Czy istnieją inne sposoby zdobycia ognia? Gdyby zdołał wydrzeć przyrodzie tę tajemnicę, wszystko stałoby się o wiele prostsze.

Chłodny wiatr, pierwszy zwiastun nocy, ogarnął wybrzeże. Robinson obejrzał się niespokojnie. Las okrył się już cieniem. Przy ognisku czułby się o wiele bezpieczniej; ani chłód, ani dzikie zwierzęta nie przekroczyłyby kręgu światła i ciepła...

Tę noc spędził Robinson, tak jak poprzednią, na drzewie. W rozwidleniu gałęzi umieścił wyłowioną deskę z rozbitej szalupy. Wygięty konar dawał wygodne oparcie stopom. Ale mimo to nie spał tym razem tak dobrze jak ubiegłej nocy. Może minęło już pierwsze zmęczenie, a może nowy przypływ rozpaczy wzruszył go zbyt mocno. Trafiły go niespokojne sny, w których majaczył dom, burza na morzu i niewola w Sale. Twarz koło twarzy pojawiali się rodzice, Ksury i dziesięciu zaginionych towarzyszy. Wołał ich po imieniu, ale oni oddalali się w stronę morza i milcząc, przyzywali go gestami rąk. Budził się kilkakrotnie i ponownie zasypiał, drżąc z chłodu, na w pół zdrętwiały po wielu godzinach spędzonych w jednej Pozycji. Nad ranem obudził go trzask gałęzi i nagły łomot nad głową. Zerwał się z bijącym sercem, nie pamiętając przez chwilę, gdzie jest i co się z nim dzieje. Przy gwałtownym ruchu osunęła mu się stopa, ale trafił na jakąś gałąź poniżej. Odzyskał z trudem równowagę.

W koronie drzew i liści ponad nim szamotało się jakieś zwierzę. Na próżno starał się przebić wzrokiem ciemność zagęszczoną jeszcze masą listowia. Nie wiedząc, skąd spadnie cios, przywarł plecami do pnia, mocno ściskając w dłoni rękojeść noża. Nastąpiła chwila zupełnej ciszy - ułamki sekund dłużące się w nieskończoność - i nagle olbrzymie ptaszysko rozdarło oponę liści i poszybowało w głąb wyspy.

Godziny dzielące go od świtu spędził Robinson na czuwaniu, a skoro tylko mrok się rozrzedził, zsunął się z drzewa na ziemię. Wokół, w promieniu kilkunastu metrów, nie znalazł żadnych śladów i doszedł do wniosku, że sam widocznie spłoszył swego skrzydlatego sąsiada. Postanowił jednak poszukać innego, bezpieczniejszego schronienia. Nie miał żadnej pewności, czy w głębi lasu nie kryją się dzikie bestie. Może tylko nie trafiły jeszcze na jego ślady?

O świcie pierzchyły nocne majaki. Piękny poranek przyniósł lepsze myśli, a głód odsunął na dalszy plan wszystkie inne sprawy. Robinson ruszył więc w stronę Wzgórza Rozpaczy, gdzie ukrył wśród kamieni pęk kokosowych orzechów. Szedł brzegiem morza, ażeby nie zabłądzić we mgle, która przetaczała się jeszcze nad wyspą, nabierając powoli błękitnej przejrzystości.

Właśnie rozpoczynał się odpływ morza. Na piaszczystym wybrzeżu znać było umykającą linię wody, zaznaczoną wilgotnym śladem, odłamkami muszli, warstwami drobnych gałązek i wodorostów. Pierwszy raz Robinson obserwował to zjawisko z brzegu. Z opadającej wody wynurzało się powoli ciemne, kamieniste dno. Przystanął. Na powierzchni głazów, wśród oślizgłych porostów zauważył kolonię małży mocno przyczepioną do skał. Oderwał kilka i ostrzem noża podważył szczelnie zwarte brzegi muszli. Mięczaki były słonawe i ostre w smaku.

Niespodziewane śniadanie przeciągnęło się tak długo, że gdy ruszył w dalszą drogę, słońce grzało już mocno i tylko na koronach najwyższych drzew strzępiły się jeszcze ostatnie pasemka mgły. Ze szczytu wzgórza, tym razem spokojniej i dokładniej, przepatrzył Robinson najbliższą okolicę, widnokrąg i linię południowego wybrzeża, częściowo przestłoniętą lasem i pasmem niewysokich

pagórków. Daremnie szukał dymu. Daremnie szukał żagli na horyzoncie. Powietrze było przejrzyste, a nad morzem białe tylko skrzydła mew i nic ponadto. Tak czy owak, z tą myślą trzeba się było na razie pogodzić.

Postanowił codziennie odwiedzać to wzgórze. Było najlepszym punktem obserwacyjnym na wyspie. Spłaszczony na kształt kamiennej tafli szczyt otoczony był niskim grzbieciem ostrych skał.

„Wzgórze Rozpaczy - pomyślał Robinson - może stać się w razie potrzeby twierdzą obronną. Natura sama nadała temu miejscu wygląd warowni. Właściwie najlepiej byłoby zbudować tutaj szałas i schodzić na dół tylko po żywność”. W ten sposób miałby całą wyspę w stóp i morze stale przed oczami. Myśl była dobra, porzucił ją jednak, chociaż z żalem. Nagi szczyt wzgórza narażony był na wszystkie ataki wichru od strony lądu i morza. Po namyśle postanowił więc szukać schronienia u jego stóp.

Schodząc, wybrał inną, okrężną wprawdzie, ale nową i nieznaną drogę. Słońce świeciło mu teraz w plecy i mocno nagrzewało prawe ramię, z czego wnosił, że idzie w stronę północno - zachodnią. Wzgórze opadało tutaj łagodnym skłonem i płaszczyznami niewielkich tarasów ku zielonej równinie, ujętej w półkole skalistych pagórków. Tam właśnie Robinson postanowił dotrzeć. Dolinka wyglądała jak zawieszony nad morzem i rozłożony wśród skał puszysty dywan.

Szedł szybko i zbiegł na tarasy, rozmyślając nad tym, jak się urządzić na wyspie. Zbudować szałas czy wykopać jamę w jakimś dobrze osłoniętym miejscu? Taką jamę można by na noc osłaniać okapem z gałęzi splecionych lianami. Ale w każdym razie trzeba będzie pomyśleć o chacie. Pora deszczowa wypędzi go przecież z najstaranniej zabezpieczonej nory. Najlepsza byłaby solidna chata, zaopatrzona w drzwi zamykane chociażby na kolek, z porządnym dachem i drewnianą podłogą. Ale jakże zbudować chatę, nie mając żadnych narzędzi prócz noża?...

Dotarł wreszcie na miejsce okrężną drogą, gdyż łagodne dotychczas zbocze urywało się nad doliną gwałtownym uskokiem skalnym, nagim jak ściana wysokiego domu. U stóp skały kładł się szeroki pas cienia, a ze szczeliny sączyła się rdzawą szczerbą wąziutka strużka wody. Przypadł do niej splekanymi wargami i pił długo, czując, jak woda chłodzi rozpalone czoło, twarz i piersi.

Nagle, tuż nad nim, zakrzyczała mewa. Jak na sygnał odpowiedziały jej inne. Zgiełk ptasi i łopot skrzydeł zwrócił uwagę Robinsona. Podniósł oczy w górę. Na prostopadłej niemal ścianie widniało mnóstwo załomów i szpar dobrze osłoniętych przed wiatrem, w których widocznie gnieździły się ptaki. Jeden z takich otworów, znacznie większy niż inne, znajdował się na wysokości kilku stóp nad ziemią, nieopodal miejsca, gdzie Robinson przystanął. Wiodła tam wąziutka ścieżka czy też raczej koryto wyżłobione niegdyś w miękkim kamieniu przez wodę.

W gniazdach na pewno były jaja! Oznaczałoby to obfity, smaczny obiad. Robinson uśmiechnął się do tej myśli. Trzeba mieć tylko oczy szeroko otwarte, a przyroda nie zdoła ukryć przed nim swoich skarbów!

Posuwając się ostrożnie wzdłuż szorstkiej ściany, dotarł po chwili do miejsca, gdzie ścieżka kończyła się szerokim progiem. Na ramionach poczuł chłodny powiew - stał przed szczeliną. Nisko schylając głowę, wpłynął na kolanach w wąski korytarzyk. Nie było tu żadnych gniazd. Ale nie myślał już o nich. Nagła radość kazała mu zapomnieć o wszystkim. Stał oto przed wejściem do obszernej groty o łagodnie wypukłym sklepieniu. Czymże był szałas, jama w ziemi, nawet chata wobec takiej komnaty o kamiennych ścianach?!

Panował tutaj chłodny półmrok, rozproszony tylko z lekka dziennym światłem u wejścia. Dalsze partie groty tonęły w zupełnym mroku.

- Powoli, mości Robinsonie! Zdobądź się na odrobinę rozsądku! Oczy z wolna przywykały do ciemności. Z prawej strony w głębi Robinson dostrzegł drugą wnękę obramowaną białym piaskowcem.

- A jeśli grota ma już swoich mieszkańców? Drapieżne zwierzęta albo jadowite węże?

Dłoń poszukała noża.

Nie ruszając się z miejsca, nasłuchiwał uważnie, czy ów mieszkaniiec groty nie zdradzi się jakimś szelestem. Ale wokół panowała cisza tak głęboka, że słyszał niemal bicie swego serca. Przesunął się jeszcze o kilka sążni i znowu odczekał chwilę. Dno opadało tutaj niżej, tak że mógł już rozprostować plecy i dźwignąć się z kolan. Rzucił w głąb jaskini kilka kamieni. Nic się nie poruszyło. Zawołał. Echo odbiło się od

ścian. Krzyknął raz jeszcze, głośno i radośnie. Cisza! Jaskinia była pusta!

Ruszył teraz powoli przed siebie, macając drogę wyciągniętymi rękami. Ściany były suche, a pod stopami chrzęścił drobny żwir. Z prawej strony sklepienie opadało ku ziemi, tworząc rodzaj zacisznej alkowy.

„Tu będzie poślanie - pomyślał. - Na kamiennym progu można z mchu i palmowych liści ułożyć łożo godne lorda - majora Londynu! Skończyło się nocowanie na drzewie!”

W wyobraźni urządził się już w tej grocie wygodnie i bezpiecznie. Wejście można będzie zamykać na noc dużym, płaskim kamieniem. Widział taki u stóp skały w odległości kilkunastu jardów.

Kamienną komnatę przedłużał jeszcze o kilka sążni wąski i na wpół zasypany korytarzyk, kończący się ślepią ścianą.

Po dokładnym zbadaniu wszystkiego Robinson zawrócił do wyjścia.

Równina u stóp skały szeroka była na sto sążni i niemal dwakroć tak długa. Między pagórkami błękitniało morze, a łoskot fal bijących o brzeg docierał tutaj delikatnym, jednostajnym szumem. Widok z progu skalnego u wejścia do groty był tak rozległy, że w promieniu kilkunastu mil morskich najmniejszy statek nie uszedłby uwagi Robinsona.

Tej nocy zasypiał na wygodnym poślaniu z mchu, pełen nadziei i dobrych myśli. Znalazł to, czego szukał: krywniczną wodę, schronienie przed deszczem, spiekotą i drapieżnikami, wspaniały widok na morze. Bezludna wyspa odsłoniła mu rąbek swoich tajemnic, a Wzgórze Rozpaczy okazało się „Wzgórzem Nadziei”.

#### DZIEŃ PO DNIU

*Samotność moja srodze mi dopiekała. Daremnie wybiegałem na szczyt wzgórza, ażeby chociaż raz w ciągu dnia rzucić okiem na morze. Ilekroć wchodziłem tam z nadzieją w sercu, tylekroć schodziłem na dół, w moją dolinę, w jeszcze większym pogrążony utrapieniu. Ale życie najlepsze znajduje lekarstwa na wszystkie smutki. Nie zostawia na nie człowiekowi miejsca ani czasu.*

Była to ta sama, dobrze znana uliczka Yorku. Robinson siedział przed domem i patrzył w uchyloną furtkę. Wiedział, że za chwilę nadejdzie Mathews. Czekał. O, już słycać jego kroki, a ponad żywopłotem kołysze się czubek czerwonej, wełnianej czapki. Stary rybak mija furtkę i idzie w stronę Robinsona, mrużąc coś pod nosem swoim zwyczajem - na poły gniewnie, na poły żartobliwie. Robinson chce wstać z ławki, ale nie może. Jakaś niewidzialna siła pęta mu ruchy. Mathews uśmiecha się i przystaje. Patrzy spod przymrużonych powiek, porusza zabawnie krzaczastymi brwiami i mruczy:

„A statki na morzu kołyszą się tak jak i dawniej, mości Robinsonie!”

„Tak jak i dawniej! Jak dawniej!” - powtarza, jakby sądził, że Robinson go nie słyszy. Ale Robinson słyszy. Co więcej, od dawna wie, z czym Mathews do niego przychodzi. Zbiera więc wszystkie siły, porywa się z ławki i... w tej samej chwili dotkliwy ból wraca mu przytomność.

Uderzył czołem o niski pułap nad poślaniem i - zbudził się ze snu.

...A statki na morzu kołyszą się tak jak i dawniej...

Robinson zerwał się szybko, odrzucił kamienie, którymi wieczorem zabezpieczył wejście, i mrużąc oczy od słońca, wyczołgał się na zewnątrz. Przespał chyba kilkanaście godzin, bo słońce wbiło się już wysoko i wokoło tętnił życiem pełny dzień. W krzewach buszowały ptaki, u wejścia do groty krążył olbrzymi kolorowy motyl, a spod skalnego progu smyrnęło małe, rude zwierzątko z długim, puszystym ogonem. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, poruszało się coś, szeleściło liśćmi, kwiliło z cicha i tylko morze puste było i martwe tak samo jak wczoraj.

„Statki na morzu kołyszą się tak jak i dawniej... - pomyślał Robinson z goryczą. - Ale nie tutaj. Na innych szlakach. W pobliżu innych łądów. Cóż na to poradzę?”

Tymczasem czekał go dzień pełen pracy. Postanowił przywlec duży, płaski kamień, który miał służyć do zabezpieczenia wejścia. „Przydałaby się również drabinka” - myślał. Wchodzenie po stromej ścieżce było zbyt uciążliwe, a podczas deszczu również niebezpieczne. Ścieżką zresztą mogło się dostać do jaskini dzięki zwierzę, zwęszywszy człowieka. Trzeba będzie zatarasować ją kamieniami, a posługiwać się tylko ruchomą drabinką. Na noc będzie się tę drabinkę wciągać do środka. Robinson wiedział już nawet, z czego ją zrobić. Jeszcze wczoraj, zasypiając, wpadł na ten pomysł. Drewniane szczeble powiąże lianami.

Są mocne i prawie tak samo giętkie jak okrętowe liny. Widział je na skraju lasu. Najrozmaitsze. Cienkie jak sznury, na których gospodynie zwykły wieszać wypraną bieliznę, i grube jak ramię dorosłego mężczyzny. Przy tej okazji raz jeszcze spróbuje zapolować w lesie. Czym? Kamieniem i kijem, jak człowiek pierwotny. Ba, gdyby tak mieć strzelbę! Ale dobrze, że jest chociaż nóż. Co by to było, gdyby nie miał nic...

„Nawet w wielkich nieszczęściach trzeba umieć dostrzec dobro, które się w nich ukrywa obok najsroźszych przeciwności” - tak zwykł był mawiać ojciec Robinsona... Co się tam teraz dzieje w Yorku? Głód przerwał dalsze rozmyślenia. Pusty żołądek dopominał się o swoje prawa natarczywie i bezwzględnie. Robinson zaczął już zsuwać się ze skały, kiedy przypomniał sobie o gniazdach. Uważnie zbadał rozpadliny. W kilku zagłębieniach wymoszczonych strzępami mchu i cienkim chrustem znalazł rzeczywiście jaja. Musiał jednak szybko uwijać się ze swą zdobyczą, gdyż mewy podniosły taki wrzask i krążyły tak blisko, bijąc skrzydłami, że z trudem utrzymywał równowagę. Gdyby miał kij pod ręką, z łatwością mógłby strącić któregoś z tych krzykaczy.

Kamienna płyta, którą Robinson sobie upatrzył, była znacznie cięższa, niż sądził. Stracił sporo czasu, zanim udało mu się przetoczyć ją na skraj ścieżki. Tutaj jednak nie starczyło mu sił, aby dźwignąć ciężar na pierwszy stopień, wzniesiony o pół sążnia nad ziemią. Po wielu bezowocnych próbach udało mu się w końcu tego dokonać przy pomocy tęgiego kija.

Posłużył się nim jak lewarem, podkładając jednocześnie pod płytę mniejsze kamienie. Odetchnął i otarł pot z czoła. Ale był to zaledwie początek.

Z wolna toczył teraz płytę w górę po wąskiej, nierównej ścieżce, na której sam z najwyższym trudem utrzymywał równowagę. Bosymi stopami, mi wyszukiwał pewniejsze punkty oparcia, palcami rąk wczepiał się kurczowo w niewidoczne nieomal szczyrby i ramieniem podpierał ciężar. W jednej ze szczelin płyta utknęła tak nieszczęśliwie, że stracił dobrą godzinę, zanim drgnęła i posunęła się o dwa cale. Strugi potu spływały po grzbiecie, ręce omdlewały z wysiłku, słońce przypiekało jak rozpalonym żelazem, ale Robinson zacisnął zęby i nie ustępował.

Przed wejściem do groty brzeg ścieżki skruszył się nagle i płytaomal nie pociągnęła go w dół z wysokiego progu. Dobywając resztek sił, zdołał się jednak wraz z nią utrzymać na ścieżce. Gdy wreszcie po sześciu godzinach udało mu się usadzić płytę w otworze prowadzącym do groty, dłonie miał otarte do krwi. Zupełnie wyczerpany, zwałił się na legowisko, w chłodzie jaskini, ciężko dysząc, powoli przychodził do siebie. Pierwsza praca została wykonana.

Od czasu niewoli u Maurów, kiedy z odległej oazy dostarczał wodę do ogrodu reisa, Robinson nie odczuwał takiego zmęczenia. Bolał go każdy miesiąc i z trudem prostował plecy.

Słońce przechyliło się już ku zachodowi, kiedy opuścił grotę i ruszył w stronę morza, rozglądając się za pożywieniem. Liczył, że znajdzie małże, ale rachuby zawiodły go tym razem. Albo nie trafił na właściwe miejsce, albo ich kamienne siedlisko przykryła woda.

- Gdybyś miał odrobinę oleju w głowie, Robinsonie - mrucał głodny i zły na siebie - przygotowałbyś sobie zapasik kokosowych orzechów. Nie jesteś przewidujący, kochanku. Sądzisz, że na zawołanie spadać ci będzie manna z nieba! Otóż nie! I jeśli nie chcesz skracać ciągle pasa, przestań się lenić i zacznij zbierać pożywienie.

Na wprost Wzgórza Nadziei nadbrzeżne skały tworzyły głęboki basen. Woda w nim była tak przejrzysta, że na dnie rysował się każdy kamień i każda smuga piasku. Wśród rzadkich wodorostów żerowały ryby o długich, wachlarzowatych skrzelałach. Ich koralowe grzbiety przesunęły się sennie od głazu do głazu, czasem zalśniła w słońcu srebrna łuska lub mignęło perłowe podbrzusze.

- Zanim zapolujesz na grubego zwierza, popróbuj rybołówstwa, Robinsonie. Byłeś wszak kiedyś wcale zręcznym rybakim! Miałeś wówczas sieci, to prawda, ale zanim je człowiek wymyślił, z pewnością kosztował już ryb, rękę ci za to słowem.

Odczekał chwilę i kiedy wielka ryba zatrzymała się tuż u jego stóp, cisnął w nią z rozmachem kamieniem. Woda zawrzała i ryby znikły. Powtórzył próbę kilka razy - bez rezultatu. Wreszcie dał spokój. Ale woda w basenie nęciła go i zachęcała do kąpieli. Zrzucił koszulę i spodnie, ostrożnie umieścił nóż w załomie skały i szczupakiem skoczył w dół. Z dreszczem rozkoszy przeciął tafel wody prawie pod kątem prostym i niemal w tej samej chwili dotknął końcami palców szorstkiego dna. Zmienił kierunek i parskając,

wypląnął na powierzchnię. Roześmiał się głośno. Przez wąską gardziel między skałami przyskały przerażone ryby. Kąpiel w morzu wróciła mu siły, ale spotęgowała apetyt. Ubrał się szybko i ruszył przed siebie. Zdawało mu się, że idzie w stronę palm kokosowych, ale zmylił widocznie kierunek, gdyż po chwili utknął w gąszczu kolczastych krzewów. Nie chcąc wracać, zaczął przebijać się przez nie w stronę lasu, torując sobie drogę nożem.

W gęstwinie buszowały ptaki. Powietrze rozbrzmiewało kwileniem i popiskiwaniem, każdy niemal krzak osłaniał jakieś gniazdko, a w każdym gniazdku trzepotały jakieś skrzydełka. Wśród kwiatów i liści roilo się od tego drobiazgu. W najbardziej mrocznym zakątku połyskiwało coś, złościło się, pokrzykiwało z zapalem.

Bujność otaczającej Robinsona roślinności budziła w nim zachwyty i obawę. Znał trochę obyczaje zwierząt i prawa panujące w przyrodzie. Z życiem dżungli zetknął się w czasie afrykańskich wędrówek. Wiedział, że na małe zwierzę czyha zwykle większy drapieżnik, a tam, gdzie gromadzi się ptactwo, łatwo spotkać węża. Wiedział również, że pełno w puszczy trujących roślin o zabójczych owocach. Jak uchronić przed napaścią bosa stopy i nagie ramiona? Jak odróżnić pokarm od trucizny o najpiękniejszych barwach i najbardziej kuszącym wyglądem? Oto roślina o potężnych, mięsistych liściach, gęsto najeżona kolcami. Zacięta nożem, opływa zielonym sokiem. Gdzieś tam różowe kwiaty, a wśród nich owoce podobne do małych jabłek. Tam znowu grona czerwonych, drobnych jagód wśród pięciopalczastych liści... O, gdybyż znał nazwy i właściwości tych roślin, gdyby potrafił odróżnić pożyteczne od szkodliwych!

Nagle uwagę Robinsona zwrócił ptak o grubym, czerwonym dziobie, znaczony na szarych skrzydłach błękitnymi pręgami. Toczył się środkiem ścieżki, podskakując wysoko, jak gdyby nie umiał latać. Opuszczone skrzydełka wyglądały jak przetrącone. Robinson podbiegł, ale ptak oderwał się od ziemi i przefrunął lekko na dziwny krzew o mięsistych liściach. Przycupnął tam i przekrzywiając łebek, zerknął na człowieka. Robinson przystanął, zły i rozbawiony. Grubodzioby odwrócił się, przysiadł zabawnie i pomaszerował wzdłuż liścia. Zatrzymał się dopiero koło kępy zielonych owoców i najspokojniej zaczął je zajadać.

- Ba! - wykrzyknął Robinson. - Że też wcześniej na to nie wpadłem! Przecież nie mogą mnie otruci owoce, które ty zajadasz z takim smakiem! Posuńże się, przyjacielu, i pozwól mi także spróbować! Zerwał zieloną kulkę i rozgryzł ją ostrożnie. Była soczysta i miała słodkawy smak. Roześmiał się z zadowoleniem i zerwał całą garść małych jabłuszek. Ptak zakwilił i sfrunął na sąsiedni krzew, jakby robiąc człowiekowi miejsce u wspólnego stołu.

Na skraju lasu Robinson wyciął z gałęzi czerwonego cedru lekkie i mocne szczeble do swojej drabinki. Sporo czasu zajęło mu mozolne wyplątywanie cienkiej liany uwikłanej wśród konarów drzewa. Gdy skończył, słońce kąpało się już w morzu i z każdą chwilą gęstniał błękitny mrok. Ruszył w drogę powrotną, chwając sobie pożytecznie spędzony dzień, bogaty w dobre przeżycia. Tej nocy zagroził po raz pierwszy wejście do jaskini kamienną płytą i podparł ją dla pewności grubym polanem.

Mimo to spał nie najlepiej. Odezwały się znowu ramiona i mięśnie, a nad ranem wystąpiły bóle głowy i dreszcze. Budził się kilkakrotnie i dzwoniąc zębami, zagrzebywał się głębiej w mchu. Na dodatek dręczyło go pragnienie, którego nie miał czym zaspokoić. Nie pomyślał o tym, aby zaopatrzyć się w wodę, a bał się wychodzić z groty pośród nocy. Nad ranem ogarnęło go przerażenie, że uległ zatruciu nieznanymi owocami. Dopiero brzask rozproszył obawy i podsunął rozsądniejszą myśl. Wszak w ciągu całego poprzedniego dnia pracował w pełnym słońcu. Prawdopodobnie w tym należało szukać źródła choroby. Widywał pod równikiem marynarzy cierpiących na udar słoneczny: skarżyli się na zimno, szczękali zębami, a czoła mieli jak z rozpalonej blachy. Nawet James, sternik kapitana Smitha, dobrze wszystkim znany ze swej twardej ręki, nie pozwalał im wówczas przebywać na pokładzie.

Prawie cały dzień przeleżał Robinson w jaskini, wychodząc tylko po wodę. Żałował teraz, że lekkomyślnie nie pozbiierał kapeluszy, które fala wyniosła na brzeg z rozbitej szalupy. Wydawały mu się bezużyteczne. Ileż by teraz dał za jeden z nich! „Przyjdzie mi chyba liśćmi okrywać głowę” - myślał ze smutkiem. Oto na własnej skórze doświadczył, że w tym klimacie należy unikać słońca. Dlatego pewnie w godzinach popołudniowych milkną ptaki i zamiera życie na wyspie.

Następna noc przyniosła mu pewną ulgę, ale nie minęła bez niespodzianek. Z pierwszego snu

zbudził go szelest. Coś ocierało się o wejściową płytę! Gdy na wpół rozbudzony usiadł na pościeli, szmer ten wydał mu się niecierpliwym dreptaniem u wejścia. Wzmagął się, to znów cichł, ale ani na chwilę nie zbliżał się, ani nie oddalał. Robinson nie spotkał dotychczas na wyspie żadnego drapieżnika, a jednak dreszcz wstrząsnął nim od stóp do głowy. Szukając po omacku noża, zsunął boso stopy z pościeli. Dno jaskini zalane było wodą! Teraz dopiero zrozumiał przyczynę nieustającego szmeru. Był to szum gęstej ulewy.

Jak się okazało nad ranem, woda deszczowa, spływając po stromej ścianie, zbierała się w zagłębieniu pod progiem i nie znajdując ujścia, spłynęła pochyłym korytarzykiem w głąb groty. Ażeby temu na przyszłość zapobiec, Robinson postanowił zniwelować pochyłość, a nad wejściem zbudować coś w rodzaju okapu.

Nie zwlekając, wziął się do roboty. Wyszukał nad brzegiem morza płaską, szeroką muszlę. Usunął wodę z groty, a następnie, posługując się muszlą jak łopatą, oczyścił przejście z drobnych kamieni i gruzu, wyrównał je, a zbędną ziemią i żwirem zasypał wgłębienie pod progiem. Pozostała jednak najtrudniejsza część zadania: dach nad wejściem! Jak tu obyć się bez dachówek lub przynajmniej gontów drewnianych? Po zrobieniu drabiny zostało jeszcze kilka kawałków cedrowego drzewa. Zabrał się więc do strugania. Szło mu to niesporo i minęła dobra godzina, zanim spod noża wyszła cienka deseczka. A gontów takich potrzebował co najmniej kilkadziesiąt! Kilkadziesiąt gontów, przy każdym pół dnia roboty - to równy miesiąc albo i więcej. Zniechęcony odrzucił nóż i wystruganą deseczkę.

- Nie, Robinsonie. Tym sposobem nigdy do niczego nie dojdiesz. Pomyśl no jeszcze raz.

Coraz częściej łapał się na tym, że rozmawiał z sobą głośno jak z kimś drugim, stojącym obok. Nie mógł znieść ciszy, która go otaczała.

- Albo przyjdzie ci zrezygnować z dachu nad głową, albo wpadniesz na jakieś rozumne rozwiązanie.

- Mam! - stuknął się w czoło. - Z deseczki będzie całkiem zgrabna Półka. Okap zrobię z liści.

Przypomniał sobie roślinę o szerokich, sztywnych liściach. Rosła na skraju lasu, w pobliżu miejsca, gdzie wyciął szczeble na drabinę. Postanowił zrobić kratę z cienkich prętów i przepleść ją owymi liśćmi. Później jedną krawędzią oprzeć daszek o ścianę nad wejściem, drugą zaś - przywiązać do wysokich słupków wbitych w ziemię.

Ową nieznaną roślinę odnalazł Robinson bez trudu. Miała grubą, zdrzewiałą łodygę, pokrytą mnóstwem sęczków. Po tych sęczkach wspinał się z łatwością na wysokość korony przypominającej układem palmę. Liście były rzeczywiście twarde, grube i gładkie. Na lśniącej, jakby nawoskowanej powierzchni srebrzyły się krople wody. Tracone toczyły się jak kulki, nie znajdując nigdzie szczeliny ani oparcia. Robinson zabrał się z zapalem do roboty.

Twarde włókna skrzypiały opornie pod ostrzem noża i liść za liściem spadał z chrzęstem na ziemię. Wśród nich tkwiły złociste, podłużne owoce. Były dojrzałe i pod naciskiem palców pękała na nich skórka. Wewnątrz znajdował się bladeżółty miąższ o mocnym, miłym zapachu. Po chwili wahania Robinson spróbował owoców. Miały przyjemny, orzeźwiający smak. Rosły w dużych skupiskach i zwisały wśród liści ciężkimi, kulistymi gronami. W każdym gronie - co najmniej kilkanaście! Były to banany, których Robinson nie znał. Ale nazwa nie miała dlań znaczenia. Znalazł nowe źródło żywności, i to nadzwyczaj pożywnej i smacznej.

Praca nad budową okapu zajęła mu pełne trzy dni. Kiedy w końcu zasiadł pod zielonym baldachimem, a na kamiennym progu zastawił sutą wieczerzę złożoną z mały, bananów i kokosowego mleka, życie wydało mu się prawie piękne.

Każdy następny dzień przynosił teraz nowe trudy. Robinson postanowił urządzić się w grocie jak najwygodniej i poświęcił temu całą swą pomysłowość. Wciąż jeszcze dręczyła go obawa przed napaścią drapieżnych zwierząt lub dzikich ludzi. Kiedy zapadał zmrok, wydawało mu się, że za każdym drzewem płoną jakieś ślepie, że ktoś go stale obserwuje i śledzi. Zdarzało się, że uciekał w głąb groty, barykadował wejście i zasypiał, nie wypuszczając z dłoni noża. Pracę kończył o zachodzie słońca, gdyż z zapadnięciem zmroku nie śmiał już przebywać poza jaskinią.

Wreszcie postanowił uzbroić się i siedzibę swoją zamienić w warownię.

Na skraju lasu znalazł drzewo wyjątkowej twardości. Ochrzczył je „drzewem żelaznym”, nie wiedząc

nawet, że przypadkiem odkrył jego prawdziwą nazwę.

Dziry! O to mu właśnie chodziło. Długa, mocna dzida to mimo wszystko pewniejsza broń niż krótki nóż! Z niemałym trudem, drząc o ostrze swego noża, wyciął prosty i długi kij, ciężki nieco, ale nadający się do obrony. Jego ostrze było tak twarde, że nie tępiło się nawet na kamieniu. Odtąd nie rozstawał się ze swą nową bronią.

Po ostatnim deszczu natrafił w dolinie u źródła na wydeptaną ścieżkę. Nie umiał rozpoznać śladów, ale z ich głębokości wywnioskował, że przeszły tędy duże i ciężkie zwierzęta. To potwierdziło tylko jego obawy. Gdybyż można obwieść grotę mocną palisadą, przez którą nie przedarłby się żaden drapieżnik! Ale po dwóch dniach pracy ponad siły Robinson odrzucił myśl o palisadzie. W ciągu tych dwóch dni udało mu się ogromnym nakładem pracy ściąć zaledwie jedno drzewko niewielkiej grubości. Pracując w takim tempie, bez piły i siekiery, musiałby przez rok z górą gromadzić sam materiał. To było oczywiście niemożliwe. Ani on, ani tym bardziej cenniejszy ponad wszystko nóż nie wytrzymałby takiej próby. Sypanie wału także nie przyniosło rezultatu. Teren wokół Wzgórza Nadziei był kamienisty i Robinson docierał wszędzie do skalistego podłoża. Ale obfitość kamieni, łupiących się stosunkowo łatwo w płaskie tafle, podsunęła mu inne rozwiązanie. Zauważył przy tym, że mech rosnący w spojeniach znakomicie wzmacnia skalę i wiąże kawały kamienia tak, że trudno je oderwać. Postanowił wykorzystać to spostrzeżenie przy budowie muru.

W promieniu dziesięciu jardów od wejścia zakreślił półkole i oznaczył je kamieniami. Wzdłuż tej linii wykopał płytki rów na fundamenty i ułożył pierwszą warstwę ociosanych tafli. Przy kopaniu posługiwał się muszlą. W wyborowany nożem otwór wbił cedrowe stylisko. Muszla była szeroka i twarda i nieźle zastępowała łopatę. Pękła dopiero wówczas, gdy docierał do końca rowu.

Murarka szła mu zrazu wolno i niezręcznie. Co chwila czegoś brakowało - to kamieni, to mchu, to darni. Musiał przerywać pracę i znosić materiał. Męczyło go to i gniewało.

- Trzeba, Robinsonie, wymyślić coś, żeby nie biegać z każdym kamieniem z miejsca na miejsce. W przeciwnym razie deszcze zastaną cię przy tej robocie i twój piękny mur spłynie do morza.

Warstwy kamieni przekładał warstwami darni. Szpary utykał mchem. Darni, polewana wodą, przyjęła się szybko na nowym miejscu i zaczęła obrastać kamienie.

Z dnia na dzień praca szła coraz sprawniej. Po kilku dniach zmagajstrował z gałęzi coś w rodzaju sani. Poza tym ustawił wzdłuż półkola, co kilkanaście kroków, stosy kamieni, mchu i darni, żeby zaoszczędzić sobie dźwigania ciężarów. Odkąd zastosował ten sposób, budowa zaczęła rosnać w oczach. Po trzech tygodniach dzieło było skończone.

Robinson uwieńczył szczyt ostrymi kawałkami muszli, a wzdłuż muru zasadził młode pędy kolczastych krzewów. W tej szerokości geograficznej rośliny rozrastały się szybko i bujnie.

- Nie jestem Robinsonem Kruzoe, jeśli nie ujrzę tutaj żywoplotu, który splecie wszystko i wzmocni znakomicie budowę! Próbcujcie teraz, leśne dzikusy, wdrzeć się do mego domu! Połamiecie sobie zęby i pazury na tym częstokole!

Radość i duma z dokonanego dzieła rozpierała mu piersi. Dwumetrowy, gruby mur, zjeżony ostrymi muszlami, otaczał teraz grotę opiekuńczym, silnym ramieniem, a starannie zamaskowane przejście było z zewnątrz zupełnie niewidoczne. Półkole podwórza wybrukował Robinson kamieniami. Miał tam wodę, prowizoryczny stół i ławę z kamienia. Brakowało tylko ogniska.

MORZE JEST PUSTE

*Straszną wydała mi się myśl, że wskutek braku książek, pióra i inkaustu zatracić mogę rachubę czasu i przyjdzie taki dzień, kiedy żyć będę na wyspie jak zwierzę bezrozumne i obojętne na wszystko poza głodem, który musi zaspokoić. Jeśli nawet zjawią się tu kiedyś ludzie, aby mnie ratować, w czymże będę do nich podobny?*

„Ileż to już dni na tej wyspie? - myślał Robinson, patrząc ze szczytu Wzgórza Nadziei na puste, zwielnione grzywami piany morze. - Ileż to dni już minęło?”

Ostatni raz był tutaj przed czterema czy przed pięcioma dniami. Biegły po sobie tak szybko, że stracił już rachubę czasu. Jeśli nie znajdzie na to sposobu, przestanie odróżniać świąteczne dni od powszednich, zgubi rachunek tygodni, miesięcy, lat...



Rachubę lat?

Nie! To niemożliwe! Lepiej od razu zginąć w pazurach dzikich bestii!

Ale morze jest puste. Ani śladu żagla na horyzoncie... Są przecież takie zakątki na bezdrożach oceanu, gdzie od stworzenia świata żaden statek nie rzucił jeszcze kotwicy...

„Jakież to dzień jest dzisiaj?” - Robinson ukrył twarz w dłoniach, zacisnął powieki i wyteżył pamięć.

Był pierwszy września, gdy odbili z przystani de Todos os Santos. Pamiętał dobrze, że po dwunastu dniach żeglugi przecięli równik. Potem zaskoczył ich huragan i trwał bez przerwy przez następnych dni dwanaście.

- Dwanaście i dwanaście - to dwadzieścia cztery. Dwudziestego czwartego dnia odbył z kapitanem naradę. Postanowili wówczas płynąć ku wyspom Barbados. Na szerokości dwunastu stopni i osiemnastu minut zagarnęło ich drugie skrzydło tornada. Robinson sam dokonał ostatnich Pomiarów, więc dobrze pamiętał te liczby.

Szóstego dnia o świcie majtek z bocianiego gniazda obwołał ziemię. To była właśnie ta wyspa. Robinson odstonił oczy i uniósł głowę. W promieniach zachodzącego słońca wyspa, jak rajski ogród, stroiła się wszystkimi kolorami. Morze, spienione u brzegów, wzbijało ponad głązy nadbrzeża kaskadę opalizujących kropel. Każde uderzenie fali podnosiło je wyżej i wyżej. To była właśnie ta ziemia. Dwadzieścia cztery i sześć. A zatem wylądował tutaj trzydziestego września. W rodzinnej Anglii oznaczało to jesień i czas zrównania dnia z nocą. Tu słońce świeciło niemal prostopadle. Dla żeglarza zagadka do rozwiązania nietrudna: mniej więcej dziesiąty stopień szerokości północnej. Więc jakież to dzień jest dzisiaj?

Liczył teraz szybko na palcach. Dwie noce spędzone na drzewie. Grota. Wielka płyta kamienna. Udar słoneczny... To razem cztery dni. W ciągu osiemnastu następnych budował mur wokół grotty. Osiemnaście i cztery - dwadzieścia dwa. Dwadzieścia dwa dni na wyspie! A więc dziś jest dwudziesty trzeci dzień października. Sprawdziwszy cały rachunek od początku, stwierdził ponadto, że wtorek. Tę datę trzeba jakoś utrwalić. Jeszcze tydzień, a nie uda mu się już odtworzyć kolejności zdarzeń i będzie żył z dnia na dzień jak zwierzę.

Kalendarz! Potrzebny mu jest kalendarz! Ale jak go zrobić? Można by oznaczać dni i tygodnie kamiennym rylcem na ścianie w jaskini. Ale tam jest przecież ciemno, a na zewnątrz deszcze zmyją i zetrą każdy napis. Poza tym skała jest krucha, łuszczy się i odpryskuje kawałkami. Nie, to na nic. Obiegł spojrzeniem wybrzeże, aż po miejsce, gdzie owego pamiętnego dnia wyrzuciło go morze. Dalej rosło drzewo, na którym spędził pierwszą noc. Może by na tym drzewie oznaczać daty nacięciami na korze? Nie, kora zabliźni się, nacięcia zbrunatnieją - ktoś je po latach odnajdzie i odczyta? Kalendarz musi być tak umieszczony, aby każdy mógł go znaleźć i odczytać, choćby już Robinsona nie było na tej wyspie. A gdyby tak na najbardziej widocznym miejscu ustawić krzyż?

Ta myśl wydała mu się najszcześniejsza. Krzyż na pustym brzegu będzie świadczył z daleka, że pozostawiła go tu ludzka ręka. Musi być wysoki, by przez lunetę można go było zobaczyć z pokładu statku, gdyby przepływał w pobliżu wyspy. Każdy wówczas, kto zobaczy krzyż, domyśli się łatwo, że na tym bezludziu żyje człowiek. Żaden chrześcijanin nie ominie obojętnie takiego znaku.

Po kilkunastu dniach pojawił się na brzegu graniasty słup, wystrugany mozolnie z prostego pnia wiązu. W niewielkiej odległości od szczytu wyciął Robinson głęboki zacios, jak to zwykli robić pokładowi cieśle przy spajaniu dwóch belek. Krótsze ramię, opatrzone podobnym zaciósem, wbił następnie kamieniem w poprzek długiego słupa. Na tym poprzecznym ramieniu wyrył głęboko napis: „Tutaj wylądowałem 30 września 1659” - i dźwignął krzyż w górę, zwracając go napisem ku morzu.

Kiedy ubił i udeptał ziemię wokół krzyża, a podstawę jego otoczył ciężkimi głazami, przystąpił do sporządzenia kalendarza. Każdy dzień pobytu na wyspie oznaczał na słupie szczyrbą. Dni świąteczne - nacięciami podwójnej długości. Początek każdego miesiąca - podwójnym krzyżykiem. Tak powstał kalendarz. Naprzód tygodniowa, później miesięczna, a w końcu i roczna rachuba czasu.

„Ile razy będę musiał dotknąć mym nożem tego krzyża?” - pytanie to dręczyło Robinsona, gdy wycinał pierwsze szczyrby, ale bał się szukać na nie odpowiedzi. Co kilka dni uzupełniał ten rachunek i z ciężkim sercem patrzył, jak przybywa nacięć.

Pogoda była niepewna. Niebo zaciągnęły chmury, a po nocach o daszek nad wejściem często bębnił deszcz. Ze Wzgórza Nadziei widać było tylko mgły przelewające się po morzu jak armatnie dymy. Tęsknota i samotność tym mocniej dokuczać zaczęły Robinsonowi. O żywność było trudniej niż dotychczas i jednostajność pokarmu dawała mu się już tak we znaki, że postanowił za wszelką cenę urozmaicić swój jadłospis.

W ciągu kilku tygodni schudł bardzo i opadł z sił. Małże, banany i orzechy kokosowe mogą stanowić przysmak na stole angielskiego magnata. Po to się je sprowadza z krańców ziemi, ażeby wybornym smakiem radowały delikatne podniebienia nierobów. Ale żaden człowiek, a tym bardziej ciężko pracujący, nie może obejść się bez mięsa i chleba. Coraz częściej śniły się Robinsonowi po nocach wielkie, pachnące bochny o delikatnej, brązowej skórce, takie właśnie, jakie każdej soboty wydobywała matka z czeluści olbrzymiego pieca. Pieczone na wielkich liściach, skrzypiące pod naciskiem noża.

- Ejże, mości Robinsonie - mrucał do siebie z ironią, zasiadając Przed jaskinią do swej codziennej wieczerzy - zjadłbyś pewnie porządny kawał jagnięcia pieczonego na rożnie? Albo gęstą gorącą zupę, a potem Pachnący, świeżutki pudding z ryżu, jaj, mleka, rodzyneków i wszelkich przypraw? Nic z tego, mój drogi. Oto małże i kokosowe orzechy. Smacznego! - i skwaszony zabierał się do posiłku.

Ale bywało i gorzej, gdy na stole leżały tylko orzechy. Źródła żywności okazały się kapryśne. Małże pojawiały się i znikwały nagle, owoce gnęły, a ryby nadal uciekały przed kamieniem i dzidą. Tylko palma kokosowa pozostała nadal łaskawa. Raz udało się Robinsonowi złowić na pętlę z cieniutkiej liany jakiegoś ptaka żerującego na wybrzeżu, ale mięso cuchnęło tranem i Robinson jadł je z najwyższym obrzydzeniem.

- Gdybyż mieć chociaż najnędrniejszą strzelbę!

Tropikalne upały przeplatały się z dniami chłodnymi i słotnymi. W godzinach południowych słońce przedzierało się przez chmury i wówczas, nawet w cieniu drzew, brakowało płucm powietrza. Pewnego dnia, wracając z nieudanego polowania, Robinson natknął się na krzew do złudzenia przypominający leszczynę. Proste, gładkie pędy gięły się w rękę jak stalowa klinga szpady. Doskonały materiał na łuk!

- Że też ci to dotychczas nie przyszło do głowy, Robinsonie! Majaczy ci się strzelba, proch, ołów, a przecież twoi dziadkowie władali doskonale bronią, którą możesz i ty mieć w każdej chwili!

W mgnieniu oka zapomniał o głodzie i wszelkich troskach. Cisnął dzidę, wydobył nóż i zabrał się do roboty. Wybraną gałąź zestrugał tak, aby środek był grubszy, a końce nieco cieńsze. Na cięciwę zużył część swego skózanego pasa, z którego odciął wzdłuż brzegu wąziutką, mocną taśmę. Jeszcze tylko strzały! Przypomniawszy sobie żelazne drzewo. Odszukał je i naciął spore naręczce cienkich, twardych prętów. Nareszcie! Cięciwa grała jak struna!

Robinson wybiegł z lasu i wyrzucił w niebo pierwszą strzałę. Poszybowała i znikła w zaroślach. Założył drugą. Czuł, że ogarnia go gorączka. Na pobliskim drzewie przysiadł gołąb leśny. Robinson poprawił strzałę, wymierzył i zwolnił cięciwę. Pocisk warknął w powietrzu i przeszył koronę drzewa o kilka jardów powyżej gołębia. Ptak kręcił się na gałęzi, jakby drwiąc z nieszczęsnego strzelca.

- Zobaczmy jeszcze, bratku! Ozdobisz mój stół albo nie nazywam się Robinson Kruzoe!

I wydobył następną strzałę zza pasa.

Gołąb siedział cierpliwie tak długo, aż ostatnia strzała utknęła wśród listowia. Wówczas trzepnął skrzydłami i odleciał.

- Obawiam się, Robinsonie - mruknął niefortunny łucznik - że straciłeś cześć i nazwisko. Załóż sobie szkółkę w jakimś ustronnym miejscu, gdyż w przeciwnym razie staniesz się pośmiewiskiem wszystkich stworzeń żyjących na tej wyspie.

Ćwicząc cierpliwie, Robinson nabierał jednak coraz większej wprawy w strzelaniu. Po tygodniu upolował stworzenie podobne do zająca i po raz pierwszy od chwili wylądowania na wyspie zaspokoił głód mięsem. Ale jakież to było mięso! Nie znajdując innego sposobu, rozbił je kamieniem na miazgę i wystawił na słońce. Masa podeschła i przybrała barwę brunatną, tak że można ją było jeść bez obrzydzenia. Ba, jadł w życiu smaczniejsze potrawy, ale na to nie było już rady. Następnego dnia udało mu się zabić z brzegu dużą rybę. Oryginalny ten połów ucieszył go i zachęcił do dalszych prób.

Z dnia na dzień umacniał się w przekonaniu, że wyspa kryje przed nim wiele tajemnic, do których nie

udało mu się jeszcze dotrzeć. Jedną z nich były ślady zwierząt zauważone w dolinie. Ciekawość nie dawała mu spokoju. Postanowił więc zaznajomić się bliżej z wyspą, zbadać jej roślinność i zwierzostan. Codziennie teraz wyruszał ze swego obejścia z łukiem i dzidą na ramieniu na obchód najbliższej okolicy. Podczas jednej z takich wycieczek, w tym samym miejscu, nad źródłem, trafił na te same ślady. W wilgotnej, miękkiej ziemi na wydeptanej wokół trawie widniały głębokie tropy, jak gdyby wyciśnięte tyłcem noża. Gdzieśgdzie dłuższa bruzda świadczyła, że w tym miejscu zwierzę pośliznęło się, biegnąc w stronę wody. Robinson utwierdził się w przekonaniu, że zwierzęta musiały być duże i ciężkie. Schodziły widocznie do wodopoju o świcie, gdyż w ciągu dnia nigdy ich nie spotkał.

Którejś nocy stanął na czatach w kępie gęstych krzewów, w niewielkiej odległości od źródła. Drżał z chłodu, tłumiąc lekkie podniecenie, jakie zwykli odczuwać myśliwi oczekujący zwierzyny w zasadzce. Przesiedział tak bez ruchu dobre dwie godziny, aż słońce strzeliło ponad lasem racami purpurowych promieni. Już bliski był rezygnacji, gdy nagle rozległ się leciutki tętent i na pagórku ponad źródłem ukazało się od strony wyspy stadko zwierząt.

Omał nie wybuchnął śmiechem!

Były to kozy! Zupełnie podobne do kóz domowych, tylko o dłuższym runie i znacznie większych, z lekka do tyłu zakrzywionych rogach. Stadko Prowadził sędziwy, długobrody kozioł. Przystanął w połowie drogi i unosząc łeb wysoko w górę, głośno wciągnął nozdrzami powietrze. Samice i kozłęta stłoczyły się tuż za nim w trwożnym oczekiwaniu. W tej chwili od strony morza powiał lekki wiatr i zdradził widać obecność człowieka, gdyż kozioł beknął ostrzegawczo, wspiał się na tylne nogi i zawrócił galopem, pociągając za sobą gromadkę. Tajemnica została odkryta.

W ciągu następnych dni Robinson usiłował podejść stadko. Ale kozy były płochliwe i ogromnie czujne. Nie zniechęcił się wszakże i w końcu znalazł na nie sposób.

Zauważył, że kiedy wiatr wieje w jego stronę, kozy zachowują się śmieiej. Nie zdają sobie widocznie sprawy z obecności człowieka. Mniej też okazują czujności, gdy zasadzka znajduje się nad nimi: zajęte wyszukiwaniem smakowitych ziół, mają wzrok utkwiony w ziemi. Odtąd starał się je podchodzić pod wiatr i od strony skał. Nigdy jednak nie udało mu się zbliżyć na odległość dogodną do strzału.

Aż wreszcie któregoś dnia stadko podeszło blisko. Przywołałszy na pomoc wszystkie swe umiejętności strzeleckie, Robinson wyrzucił strzałę, biorąc na cel starego kozła. Miał w tym swoje wyrachowanie. Przewodnik stada najbardziej krzyżował mu myśliwskie szyki.

Strzała bzyknęła i Robinson, nie mogąc opanować ciekawości, wpół ciała wysunął się z kryjówki.

Widocznie jednak drgnęła mu ręka, gdyż pocisk ominął starego brodacza i utkwił po belt w grzbiecie kozy karmiącej swoje małe. Zwierzę skoczyło na oślep i runęło w dół na kamienie. Stadko zniknęło w mgnieniu oka. Przez chwilę słychać było tylko szybki tętent kopyt.

Nad źródłem pozostało kozłátko. Stało przy matce, trącało ją niecierpliwie chrapkami, becząc cicho i nagłaco, jak gdyby chciało ją nakłonić do ucieczki. Kiedy Robinson podszedł, przywarło bliżej do zabitej kozy, obracając na człowieka przerażone oczy. Myśliwemu zrobiło się żal kozłęcia. Zgodziłby się teraz chętnie, ażeby strzała tkwiła nadal nie użyta w kołczanie. Próbował schwytać małe, ale wymykało mu się z rąk, stale jednak wracając do matki. Z trudem tedy dźwignął zabite zwierzę, zarzucił je na plecy i ruszył do groty. W ślad za nim pobiegło żalosne beczenie. Obejrzał się przez ramię. Kozłę dreptało za matką, przystając niepewnie co kilka kroków. Tak doszli aż do ogrodzenia. Robinson złożył ciężar na ziemi, a gdy małe podbiegło, wziął je delikatnie na ręce i wierzgające zaniósł poza obręb muru.

Obciążanie skóry ze zdobyczy zajęło Robinsonowi kilka dobrych godzin. W niecierpliwych rękach nowicjusza nóż obracał się niezręcznie i opornie. Daremnie Robinson usiłował sobie przypomnieć, jak postępowali Murzyni z zabitym przez niego lampartem, kiedy cętkowane futro zsuwało się błyskawicznie pod naciskiem kawałka drzewa ociosanego w kształt łopatk. Jak się to robi? Nóż kaleczył skórę, ześlizgiwał się po ścięgnach. Tak więc sporo upłynęło czasu, zanim Robinson skończył robotę i wytarł o trawę ubroczone krwią ręce.

Przed nim leżała pierwsza na tej wyspie zdobycz myśliwska.

Dwieście funtów mięsa, którego tak mu dotychczas brakowało. Obfity zapas żywności na długie dni.

Można by je ugotować, upiec, uwęździć w dymie ogniska...

Można by, gdyby nie brak ognia...

- A może by tak spróbować? Któż to opowiadał? Ksury? Niewolnicy w Sale? Marynarze?

Robinson słyszał, że dzikie ludy zdobywają ogień, pocierając cierpliwie dwa kawałki drzewa. Czy to możliwe? Cóż, spróbować można. Przygotował stos chrustu i suchego drzewa. Obok ustawił dwa kamienie. Na jednym z nich ułożył garść suchego mchu, na drugim usiadł wygodnie, opierając się plecami o skałę. W dłonie ujął dwie cedrowe szczapy.

Odetchnął głęboko i zaczął trzeć drzewem o drzewo. Automatycznym ruchem, zrazu lekko, a w miarę jak drzewo zaczęło się rozgrzewać - mocniej i jeszcze mocniej. Czas mijał, palce drętwiały, pot wystąpił na czoło, żyły nabrzmiały na skroniach, ale Robinson zacisnął zęby, wiedząc, ile od tej próby zależy. Drzewo rozgrzewało się coraz bardziej, ale i coraz cięższy oddech człowieka tłumić zaczął jednostajny stuk klocków. Starając się przezwyciężyć ból ramion, Robinson wyętył wszystkie siły i mocniej docisnął drewnianki. Stawka była nie byle jaka! Cień muru uciekł mu już spod stóp, obnażył plecy... Gdy drewniane szczapy zdawały się już parzyć dłonie, nagle zabrakło mu sił. Zanim je odzyskał, drzewo ostygło i trzeba było zaczynać od nowa. Po kilku nieudanych próbach Robinson był mokry, jakby wyszedł z wody. Ogarnęło go zniechęcenie. Ze złością cisnął precz od siebie oba kawałki drzewa.

W obejściu, za murem, beczka żałośnie głodnie koźlę.

#### ŚLAD OGNI

*Los taki, z jakim ja wziąłem się za bary, twardym jest doprawdy przeciwnikiem. Złamać go - daremnym byłoby dążeniem. Nie dać się złamać - to wszystko, co można osiągnąć.*

*Ziarno rzucone na jałową skałę korzysta z każdej drobiny wilgoci. Wyrasta w drzewo. Drzewo korzeniami oplata kamień. Każdą grudę ziemi potrafi zmusić, aby mu służyła.*

Robinson nie mógł zasnąć tej nocy. Nieznośny ból ramion nie ustępował ani na chwilę. Wydawało mu się teraz głupstwem wierutnym to, czego chciał dokonać.

- Jakże skrzesać iskry dwoma kawałkami drzewa? Nawet dziecko, Robinsonie, wyśmiałoby cię jak ostatniego głupca!

A jednak...

- Więc cóż z tego! - perorował gniewnie. - Jeśli nawet istnieją ludzie, którzy potrafią tego dokonać, ty okazałeś się zupełnym nedorajdą. Albo ci sił brakuje i cierpliwości, albo drzewo wybrałeś nieodpowiednie, albo nie wiesz, jak zabrać się do rzeczy. Słyszałeś, że kędyś dzwonią, nie wiesz jednakże gdzie i jak.

Ale co robić z mięsiwem, aby uchronić je od zepsucia i uczynić zdatnym do jedzenia? Surowe i nie osolone było tak niesmaczne, że otrząsał się z obrzydzenia.

Nagle poderwał się gwałtownie.

Słońce! Zerwana gałąź zżółkła niemal w oczach, a liście zwijały się pod palcami w chrzęszczące rurki! Na takim słońcu mięso też można wysuszyć!

Jadł już kiedyś suszone na słońcu mięso. Gdzieś u brzegów Gwinei, podczas ucieczki z Sale, kiedy wyczerpały się już wszystkie zapasy. Nie było wprawdzie smaczne, przypominało trochę wyprawiony rzemień, ale miało swoje wartości odżywcze, a namoczone w wodzie, odzyskiwało nawet smak i odrobinę soczystości. Zapewne, istnieją lepsze sposoby, ale i ten nie jest najgorszy, a pozwoli przynajmniej zaopatrzyć spiżarnię.

Noc mijała powoli, a uparte beczenie koźlęcia nie pozwalało Robinsonowi zmrużyć powiek. Ucichło dopiero nad ranem, gdy świt zaczął wsączać się w głąb grotu. Robinson słyszał, jak koźlę przebiegło po kamiennych płytkach, uderzyło się o ścianę muru i beknąwszy boleśnie - zamilkło. Wówczas wstał. Postanowił nakarmić małe, poćwiartować mięso kozy i rozwiesić je wzdłuż muru, zanim wzejdzie słońce. Mgła jak co dzień przetoczyła się nad wyspą. Obejście przed grotą było wypełnione jakby gęstą, białą pianą. Robinson podsunął koźlęciu skorupkę kokosowego mleka, ale nie chciało pić. Dygotało z chłodu i ze strachu, wciśnięte w najciaśniejszy kąt obejścia. Siłą umoczył w mleku wilgotne chrapki. Koźlę wyrwało się gwałtownie, wytrącając mu z rąk skorupkę. Kiedy schylał się, aby ją podnieść, usłyszał jakieś szamotanie za murem, w miejscu gdzie wczoraj porzucił swą zdobycz. Szybko wskoczył na kopiec darni, ale cofnął się natychmiast. Na stosie mięsa, szarpiąc je pazurami i tarmosząc pyskiem, leżało zwierzę

podobne do dużego kota. Bestia wyszła widocznie z lasu zwabiona beczaniem kozłęcia. Z pewnością przesadziłaby mur, gdyby nie łatwy łup leżący na drodze.

Robinson wbiegł do groty i porwał łuk. Z wysokości muru strzał był łatwy. Pierwszy pocisk przeszył muskularny kark drapieżnika. Kot zerwał się i uskoczył w bok, rycząc wściekle. W ślad za nim pomknęła druga strzała. Kiedy Robinson zakładał trzecią, drapieżnik zwinął się w biegu, upadł i znieruchomiał. W tej samej chwili nadbiegł nowy tuman mgły i zakrył wszystko.

Gdy dzień wstał na dobre, Robinson obejrzał plac boju. Po raz pierwszy spotkał takie zwierzę. Było znacznie mniejsze niż lampart, ale wyglądało równie groźnie i pochodziło zapewne z tej samej rodziny drapieżców.

- Obawiam się, Robinsonie - stwierdził, oglądając ostre pazury napastnika - że wyspa kryje przed tobą niejedną jeszcze niespodziankę!...

Po namyśle ściągnął i rozwiesił pod murem skórę kota, a mięso cisnął w morze. Przez kilka dni kłębiły się w tym miejscu ryby.

Kozłę nie chciało jeść i nie było na to sposobu. Robinson próbował je karmić z ręki, pozwalał cierpliwie ssać palec, szukał młodziutkiej trawy, zachęcał maleństwo najłagodniej jak umiał, przemawiał doń jak do dziecka - wszystko na próżno. Kozłę słabło, opadało z sił. W końcu podjął Robinson ostatnią próbę. Zaniósł je do wodopoju, położył u źródła i ukrył się w skałach.

O wschodzie leciutki tupot kopyt obwieścił, jak zwykle, stado. Pierwszy pojawił się na wzgórzu brodaty kozioł. Robinson poznał go z daleka po brązowej łacie na lewym boku. Kozioł przystanął, rozejrzał się, wciągnął chrapami powietrze i ruszył ku wodzie. Za nim pobięły kozy. Po chwili stado otoczyło leżące kozłę. Gdy kozy rozbiegły się po łące, małe dreptało już u boku dużej, siwej samicy, sięgając niecierpliwym pyszczkiem ciężkich wymion. Musiało być natarczywe, gdyż koza odtrącała je nosem, nie nazbyt jednak mocno. Kiedy przewodnik ruszył z powrotem, kozłę na chwiejnych nóżkach biegło za nową matką.

Robinson uśmiechnął się i zawrócił. W obejściu czekało go sporo roboty.

Od przygody z kocurem minęły prawie dwa tygodnie, a Robinson wciąż jeszcze pracował nad budową piwniczki, przeznaczonej na żywność. Nie przypuszczał nawet, że będzie miał z tym aż tyle kłopotu. Ale wszystkie zapasy psuły się tak szybko, że bez chłodniejszego pomieszczenia nie mógłby ich przechować nawet przez parę dni.

Aby nie tracić czasu, żywił się teraz tylko mięsem kozim, które suszyło się przed jaskinią na przewiewnych rusztach z gałęzi. Cienkie płyty przybierały z wolna kolor szarobrązowy, a z wyglądu przypominały szczapy drzewa. Próba zdawała egzamin. Gdybyż jeszcze można je przyprawić odrobiną soli!

Najdotkliwiej odczuwał brak motyki. Próbował wprawdzie osadzać na kiju muszle, ale pękały na twardym podłożu jak szkło. Wybraną ziemię wynosił w polach swej marynarskiej kurty.

Osiemnaście dni trwały prace przy pogłębianiu piwnicy i poprawianiu muru. Po ostatniej przygodzie Robinson postanowił go podwyższyć, przeznaczając na ten cel wydobyte z dna jaskini kamienie. Tak więc w ciągu ostatnich kilku dni praca w grocie i roboty murarskie przebiegały równolegle. Wreszcie piwniczka powiększyła się o tyle, że można było w niej swobodnie stanąć, a mur podniósł się prawie o pół stopy.

- No, mój panie! - mruknął do siebie Robinson z zadowoleniem. - Jutro odpoczniesz sobie za wszystkie czasy. Zapolujemy na ryby, przepłoszymy gołębie, poszukamy świeżych małży!

Zaledwie to powiedział, kiedy w głębi groty odezwało się głucho stęknienie. Wbiegł do środka i... załamał rękę. Od powały i z bocznej ściany piwnicy oderwał się potężny płat ziemi, zasypując przejście. Ciężka praca wielu dni obrócona została wniwecz.

- Co teraz? Rzucić wszystko czy zacząć od nowa? Osłabiony strop groził w każdej chwili ponownym oberwaniem.

- Rzucę to wszystko! Już nie mogę! Niepotrzebnie się w to wdałem!

- Tak, zapewne, ale to najłatwiej, Robinsonie. A gdzie podziejesz swoje zapasy?

Przespał noc i od świtu zabrał się znowu do roboty. Tym razem szło o podparcie zagrożonej powały. Ból ramion? Nie ma na to rady. Teraz trzeba wyęźać wszystkie siły, by wbić w ziemię słupy, które podstemplują strop.

Mijały dni. I oto w końcu na kołkach wbitych w ścianę zawisło suszone mięso, a w kącie spoczął na chruscie stos kokosowych orzechów. Piwnica była gotowa.

Zdawać by się mogło, że rozbitek na bezludnej wyspie jest panem swego czasu i swej woli. Pracuje, kiedy chce, kiedy chce - odpoczywa, nic go nie nagli, nikt mu nie rozkazuje. Mylili by się jednak, kto by tak sądził. Przyroda jest surowym i bezwzględny panem. Ma swoje prawa i zarówno człowiek, jak i zwierzę musi się do tych praw stosować, jeśli nie chce nieposłuszeństwa opłacić życiem albo zdrowiem. Robinson poznawał te prawa, uczył się ich i nie próbował nawet w czymkolwiek im uchybić.

Podzielił sobie dzień na pracę, polowanie, rozrywki i odpoczynek. Wiedział, że jeśli czegokolwiek zaniedba, o czymkolwiek zapomni, nie minie go kara, a im później nań spadnie, tym będzie dotkliwsza. Nie zdarzyło się jeszcze, aby lenistwa nie opłacił głodem, a lekkomyślności - niebezpieczną przygodą. Toteż starał się dzień spędzić tak, aby ze wszystkim zdążyć na czas.

Rano wychodził na polowanie, po powrocie zabierał się do pracy. Godziny największej spiekoty spędzał w jaskini, biorąc przykład ze zwierząt i ptaków. Później znowu praca i wieczorna kąpiel w morzu - jedyna beztraska godzina w ciągu całego dnia. Zazwyczaj gdy gasły ostatnie promienie słońca, zamykał wejście do groty.

Tych godzin - gdy fioletowy cień okrywał wyspę - bał się najbardziej. Dłużyły się w nieskończoność, zanim sen ukoił tęsknotę, ożywił twarz i przypomniał głosy matki, ojca, przyjaciół. Spotykał ich Robinson we śnie co noc i co noc rozstawał się z nimi na nowo. Na krzyżu przybywało nacięć. Mijały tygodnie. Którejś nocy wyrwał go ze snu potężny huk, jakby cała grotę waliła się w gruzy. Zerwał się i przetarł oczy. Wnętrze jaskini raz po raz rozświetlało się nagłym błyskiem i gasło. Kamienna płyta, jak gdyby pchnięta niewidzialną ręką, upadła, odsłaniając wejście.

Nad wyspą ryczała burza, jeden z tych huraganów, które zmiatają lasy, a piasek dobyty z dna morza ciskają na pokład oszalałych statków. Wnętrze groty grało wichrem jak koncha wielkiej muszli. Daremnie Robinson próbował dźwignąć płytę i zamknąć wejście do jaskini. Wiatr wyrwał mu ją z rąk i rzucał wściekle o ziemię. W całej grocie nie było ani jednego zacisznego miejsca. W końcu, drżąc od przejmującego chłodu, Robinson zaszył się w najodleglejszym zakątku piwnicy, która jako tako chroniła go jeszcze przed wiatrem. Przesiedział tam do rana z duszą na ramieniu, w obawie, że lada chwila runie strop i pogrzebie go żywcem. Podpory w piwniczce skrzypiały, a poruszona ziemia osypywała się po ścianach z groźnym szelestem. Dopiero nad ranem niebo ucichło i tylko deszcz wściekle chlustał przed wejściem. Znużony całonocnym czuwaniem, Robinson zdrzemnął się na krótko, a kiedy otworzył oczy, w głąb jaskini znowu zaglądało słońce, jak gdyby koszmarna noc była tylko snem. Z porannej mgły wyłaniała się wyspa jeszcze bardziej zielona niż zwykle.

Nocna burza uszkodziła daszek. Wiatr przechylił rusztowanie i rozmiótł bananowe liście. Od kilku dni Robinson miał zamiar je wymienić, gdyż przywiedły mocno na słońcu, toteż nie zmartwił się zbytnio tą szkodą. Burza przyspieszyła tylko decyzję, którą z dnia na dzień odkładał, zaprzętnięty innymi sprawami. Około południa morze, rozkołysane nocnym sztormem, biło jeszcze niespokojnie o skały, wybiegając falami daleko w głąb lądu. Robinson szedł w stronę lasu, uskakując, gdy fala zabiegała mu drogę. Powietrze było przedziwnie rześkie. Wchłaniał je z rozkoszą jak pienisty, chłodny napój. Postanowił dotrzeć do bananowego zagajnika, aby zaopatrzyć się w owoce i naciąć liści na daszek.

Nagle przystanął. Na tle jasnej zieleni leśnego podszycia zobaczył w odległości kilkuset kroków wielką, czarną plamę. Nad tym dziwnym miejscem, wrzeszcząc, kołowały ptaki. Teraz dopiero zauważył, że drzewa w sąsiedztwie tej czarnej plamy оголоcone są z liści i również jakby poczerniały. Czyżby to było?... Ależ tak! Pogorzeliśko! Ślad ognia! Robinson rzucił się przed siebie biegiem. Może gdzieś tli się jeszcze żar pod grubą warstwą popiołu?!

Na przestrzeni kilkunastu sążni podszycie leśne wypalone było do nagiej ziemi. Zapominając o wszystkim, Robinson rzucił się na kolana i zaczął rozkopywać dłońmi wilgotne, lepkie zgliszczka, w nadziei, że gdzieś w głębi znajdzie żarzącą się jeszcze głównię. Daremnie jednak! Deszcz w ciągu kilku godzin przeniknął grubą warstwę popiołu i stłumił widocznie ostatnią iskrę pożaru wzniesionego uderzeniem piorunu!

Niebo obdarzyło rozbitka ogniem i jak na ironię, dar swój zazdrośnie cofnęło. Na wyspie pozostał

tylko ślad pogorzeliska.

Robinson, uniesiony gniewem i rozpaczą, zerwał się z kolan i począł wygrażać niebu czarnymi od popiołu pięściami.

PORA DESZCZOWA

*Dlaczego Stwórca godzi się i zezwala, by człowiek, dzieło rąk boskich, doznawał najcięższych doświadczeń? Dlaczego czyni go samotnym, bezradnym, opuszczonym, odartym z wszelkiej nadziei? Dlaczego - czyniąc tak i zezwalając na to - żąda jeszcze od człowieka miłości?*

*Myślałem nieraz, iż doprawdy nie godzi się nawet dziękować Mu za takie życie...*

Nadszedł okres deszczów. Opona szarych mgieł zawisła nisko nad wyspą. Rozrzedziła kolory, zatarła kształty przedmiotów, stłumiła dźwięki i przesłoniła horyzont. Robinson, stojąc u wejścia do groty, zaledwie dostrzegał kontury muru. Dalej wzrok już nie sięgał. Wszystko tonęło tam w mlecznożółtych oparach, jak gdyby świat nagle zmałał do rozmiarów niewielkiej kuli z matowego szkła. Ostre, tropikalne słońce przedzierało się przez tę szarość najwyżej na godzinę, około południa, i wówczas ziemia parowała gwałtownie jak olbrzymi gar ukropu, gdy ktoś na chwilę uchyli pokrywy. Powietrze stawało się tak ciężkie, że trudno było oddychać.

Noce były chłodne, coraz chłodniejsze, i wlokły się żółwim krokiem od zmierzchu do brzasku, głuche i groźne. Przez całą prawie dobę mżył drobniutki, męczący deszcz. Od czasu do czasu zrywały się gwałtowne ulewy i wówczas zimne strumienie wody spadały na wyspę. Na ścieżkach uczęszczanych przez Robinsona powstały wyrwy i zalewy nie do przebycia. Zwierzęta zaszyły się w głębokie kryjówki, powędrowały w głąb lasu, a na ich miejsce wyrosły się z błotnych zalewów węże, jaszczurki i żaby. Uwięziony w grocie, Robinson, jak tylko mógł, walczył z bezczynnością. Wynosił resztę osypanej ziemi, leżącej jeszcze w przejściu do piwniczki, i z desek wyłowionych z morza budował niezdarne półki na orzechy kokosowe i owoce, ażeby zabezpieczyć je przed wilgocią i robactwem.

Deski pochodziły z dna łodzi. Robinson poznał to po ich lekkim wygięciu, po śladach smoły i mocno wessanych w drzewo kępkach morskich śliniaczków. To ostatnie odkrycie szczególnie go wzruszyło. Nie znał wprawdzie nazwy tych żyjątek, wiedział jednak, że całe ich kolonie żerują zwykle uczeplone dna okrętu, towarzysząc mu wiernie we wszystkich podróżach. Przypadek zrzucił, że uczepliły się także dna łodzi. Czy przybyły tutaj z Brazylii? A może z Europy? O ile dobrze pamiętał, kapitan Alviedo odkupił tę szalupę od kapitana angielskiego statku...

Robinson wiązał deski lianą, podpierał je kamieniami, pracując jak kret w zupełnych prawie ciemnościach. W końcu jednak stanęło niezgrabne i krzywe rusztowanie. Nazwał je „kredensem” na pamiątkę dzieciństwa i domu. Była w Yorku, w mrocznej, chłodnej komorze, taka suto rzeźbiona szafa dębowa. Otwierała się ciężko, z dziwnym jakimś postękiwaniem, pachnąca zawsze chlebem i jabłkami. Zakradał się tam, będąc chłopcem, po to tylko, ażeby pooddychać tym jedynym na świecie zapachem i przewyciężając strach, dotknąć drewnianych, zwierzęcych głów, na których wspierały się grube półki. Może właśnie dzięki tym wspomnieniom tak go cieszyła ta karykatura kredensu.

Kiedy wreszcie ułożył na półkach wszystkie swoje zapasy: orzechy kokosowe, suszoną koźlinę i nadpsute już z lekka banany, okazało się, że nie starczy tego na długo. Każdą pogodną chwilę spędzał więc na polowaniu, trzymając się jednak blisko domu, ażeby nie zbłądzić wśród mgły. Udało mu się po kilku dniach ustrzelić na brzegu ptaka o ciemnoszafirowym upierzeniu - jedyne stworzenie, jakie spotkał oprócz wielkich jaszczurek, których widok przejmował go wstrętem i obawą. Był to widocznie ptak morski. Mięso miał łykowate i zalatujące tranem. Robinson utłukł je kamieniem na miazgę i jadł, popijając wodą i przegryzając bananami.

Wraz z deszczem wyrosły się jakby spod ziemi moskity. Pojawiały się nagle brzęcząca, dokuczliwą chmarą i tak samo nagle w ciągu jednej sekundy znikwały. Nie było na nie sposobu. Gdy ciemna fala ogarniała Robinsona, całe jego ciało pokrywało się drobniutkimi jadowitymi ukąszeniami. Moskity dawały mu się we znaki zwłaszcza wieczorem i nad ranem. Docierały celnie poprzez najgrubszą warstwę mchu i liści, w których zakopywał się możliwie najgłębiej. W ciągu jednej chwili wypełniały usta i nos, atakowały oczy, ramiona, nogi i znikwały nagle, jakby je ziemia pochłonęła. Nic nie chroniło przed nimi, a już najmniej odzież, która w ciągu pobytu na wyspie zmieniła się w garść łachmanów, zaledwie okrywających ciało.

Ta odzież stanowiła odrębne źródło trosk i zmartwień Robinsona. Początkowo nie zwracał na nią uwagi, ale teraz padające bez przerwy deszcze, zimne wieczory i jeszcze zimniejsze noce przypominały mu nieustannie, że właściwie jest nagi.

Zziębnięty, w mokrym kaftanie, przesiadywał nieraz całymi dniami na swym barłogu jak wielki, nastroszony ptak, czekając, aż koszula i spodnie podeschną o tyle, by można je było włożyć i rozwiesić z kolei kaftan parujący na ramionach. Nic tu zresztą nie zasługiwało już na swoją nazwę. Ani kaftan, ani spodnie, ani płócienna koszula.

Tak! Byłe włóczęga portowy, byłe żebrak w Hull obejrzałby się za Robinsonem, gdyby go ujrzał w tym stroju. Koszula jak rzeszoto, jedna nogawka spodni oberwana nad kolanem, druga jeszcze wyżej, twarz dziko zarosła, włosy opadające na ramiona i tęgi nóż za pasem. Ba, każdy strażnik miejski zatrzymałby go, widząc te łachmany i zbójceją brodę! Do czasu jeszcze kaftan ratował sytuację. Ale któregoś dnia, przedzierając się przez zarośla, Robinson zaczepił rękawem o kolczastą gałąź i rozpruł go gładko od dłoni po ramię. Sprany drelich, przepalony na słońcu, wyraźnie odmawiał dalszej służby. Coraz też większe zniecierpliwienie ogarniało Robinsona, gdy podwiązywał te łachy, żeby jako tako trzymały się na grzbiecie. „Człowiek jest najbardziej niezaradnym i bezbronnym stworzeniem” - rozmyślał, siedząc u wejścia do groty.

Dzień był jak zwykle pochmurny, tyle że deszcz przestał padać i gdzieś odzywały się nieśmiało ptaki. W grocie nie można już było wytrzymać. Przez całą noc Robinson walczył z moskitami i daremnie szukał odrobiny ciepła pod wilgotnym kaftaniem. W końcu zasnął i śniło mu się, że któryś z towarzyszy okrywa go płaszczem wachtowym. Czuł przyływ ciepła, płaszcz był szorstki i suchy. Był to ten sam płaszcz wachtowy, który porwał, opuszczając statek, a zostawił zapewne w szalupie. Kosmaty, ciężki płaszcz, chroniący doskonale przed zimnem i deszczem. Potem zjawił się nagle kapitan Alviedo, z twarzą skrzywioną jak zwykle drwiącym, złośliwym uśmiechem, i począł zeń zrywać okrycie. Robinson chwycił go za rękę, Alviedo zaś sięgnął po nóż, obnażył ostrze, odchylił ramię do ciosu i... sen przysnął. Szarozółty świt zaglądał do groty, a Robinson szczękał zębami z zimna. Obok na ziemi leżał kaftan, na wpół sztywny z wilgoci. Zsunął się widocznie z pośłania.

Czyż człowiek może się mierzyć z siłami przyrody?” - myślał Robinson, siedząc u wejścia do groty i nacierając starannie obolałą od ukąszeń skórę mięszem kokosowego orzecha. Próbował już różnych środków - mokrych liści i białej glinki, rozmiękczonej na papkę. Skóra piekła, swędzenie wzmagало się, ranki nabrzmiwały ropą. Od kilku dni nacierał ciało mięszem kokosowym. Oleista ciecz zdawała się przynosić mu ulgę, a nawet do pewnego stopnia chronić przed atakami moskitów. Od południa powiał wiatr, niosąc zapach dżungli i cieplejszą falę powietrza. Ale Robinson był tak zziębnięty, że nie odczuł zmiany. Drżenie szczęk nie ustawało ani na chwilę, a myśl wracała uparcie do żeglarskiego płaszcza z grubej, szorstkiej wełny.

„Natura, dając człowiekowi rozum - rozmyślał gorzko - pozbawiła go jednocześnie wszystkiego, czym obdarza najlichsze ze zwierząt. Uczyniła go istotą słabą i nagą, pozbawioną węchu, kłów i pazurów. Gdybym nie miał noża, byłbym bezbronnym jak pisklę, które wyleci z gniazda. I oto życie zawdzięczam kawałkowi stali, bez której nie potrafiłbym otworzyć, być może, głupiego kokosowego orzecha. Muszę sobie pomagać kamieniem, kijem, żelazem... marzną na kość, gdy tymczasem zwierzę drwić sobie może z zimna i deszczu. Natura dała mu futro...”

Futro?

Skorupa z kokosowym mięszem wypadła z rąk Robinsona. Zerwał się na równe nogi. Tyle nocy marzył bez okrycia, szczękając zębami jak w febrze, i nawet nie pomyślał o tym!

Gdzież są te skóry, które zdjął z zabitych zwierząt?

Leżały w kącie zagrody, tak jak je porzucił po oprawieniu zdobyczy. Upadły szczęśliwie na stos gałęzi, włosem do góry, i to uchroniło je od całkowitego przemoczenia. Były wszystkie. Trzy skórki zajęcze, wielka skóra kozia i rude futro dzikiego kota. Robinson otrzepał je z mchu, oczyścił z wilgotnego piasku i obejrzał troskliwie. Zapewne, nawet najmniej wybredny kuśnierz wzgardziłby nimi, ale choć nie wyglądały najpiękniej, mogły się jeszcze przydać. „Gdyby je przykroić odpowiednio i zszyć - myślał Robinson - byłoby z nich wspaniałe, ciepłe przykrycie. A w dzień? W dzień można by je zarzucać na ramiona jak płaszcz -



uśmiechnął się do swoich myśli - ...jak kosmaty płaszcz wachtowy!"

Od strony morza nadciągała znowu gęsta fala drobniutkiego deszczu i świat zatonął w mroku.

Robinson ledwie zdążył schronić się do groty. Rozłożył skóry na ziemi i zaczął je zmiękczać, cierpliwie trąc w obu dłoniach kawałek po kawałku ruchem praczki piorącej bieliznę. Na tym czas zszedł mu do późnej nocy. Nazajutrz oczyścił skórę nożem, starannie usuwając cząsteczki tłuszczu i mięsa, tak właśnie, jak to robili gwinejscy Murzyni, dostarczając futer na kupiecki statek. Nóż nie był najlepszym narzędziem. Ostrze łatwo kaleczyło skórę. Wystrugał więc z kawałka drzewa rodzaj szerokiej łopaty. Teraz praca szła mu znacznie lepiej. Kiedy skóry były już dokładnie oczyszczone, posypał je ostrym piaskiem, obróciwszy wpierw włosem ku ziemi, i gładko rozciągnięte szorował z całej siły kamieniem. Po kilku dniach takich zabiegów odzyskały pewną elastyczność. Robinson wyrównał je starannie i wywierciwszy odpowiednio rozmieszczone dziurki, powiązał cienkimi paskami.

Pierwsza noc spędzona pod tym przykryciem pozwoliła mu nareszcie zapomnieć o chłodzie.

- Tak, tak, mości Robinsonie - mrucał do siebie, wstając rano wyspany i wypoczęty. - Tak, tak, mości panie! Niczym tutaj gardzić ani niczego lekkomyślnie wyrzucać nie należy. Wszystko się w końcu przyda i nie wiadomo nigdy, w jakich okolicznościach. Natura obdarzyła człowieka rozumem, nauczcie się wreszcie, Robinsonie, używać go, zamiast narzekać i biadać, jak to masz we zwyczaju.

Po tej próbie oświadczyła rozbitkiem myśl o zdobyciu nowych skórek. Postanowił rzucić porze deszczowej myśliwskiej wyzwanie. W oczekiwaniu na pierwszy pogodniejszy dzień przygotował sobie zapas strzał. Chciał dotrzeć na skraj lasu, licząc na to, że odnajdzie tam ptaki i zwierzęta, które opuściły nadbrzeżną, chłostaną teraz wiatrem i deszczem równinę.

Oczekiwany dzień nadszedł wreszcie. Chmury miały lekko koralową barwę, deszcz ustał, a mgła ścieliła się nisko, zdając się opadać ku ziemi. Robinson zarzucił kołczan i łuk na ramię, nóż uwiązał u pasa i z kawałkiem suszonego mięsa w kieszeni ruszył przed siebie dobrze znaną drogą.

Dopóki prowadziła wzdłuż wybrzeża piaszczystą plażą, pełną płaskich, omszałych kamieni, szło mu się dosyć łatwo. Im dalej jednak, tym stawała się trudniejsza. Spływały tędy ku morzu dziesiątki strumyczków. Niektóre z nich były tak szerokie, że musiał je przechodzić w bród lub po kamieniach. Gdy znalazł się w odległości kilkuset jardów od groty, pogoda zaczęła się wyraźnie pogarszać. Mgła podniosła się wyżej i uszedłszy jeszcze kilkadziesiąt kroków, Robinson stanął wobec zjawiska, które zdziwiło go niezmiernie. Przed nim, jak okiem sięgnąć, rozpościerała się równa i gładka ściana deszczu. Zanim zdążył powziąć decyzję powrotu, pionowa ściana przekroczyła linię zarośli i dosięgła miejsca, w którym przystanął. W mgnieniu oka przemókł do nitki i otoczyła go ciemność. Zawrócił, ale po kilku krokach upadł i stoczył się z jakiejś wyniosłości. Kij wypadł mu z ręki. Przez długą chwilę szukał go, a kiedy wreszcie wstał i ruszył ostrożnie przed siebie, utknął w gąszczu zarośli. Otoczyły go zewsząd, jakby nagle wyrosły na pustym dotychczas miejscu. Widocznie, szukając zguby, zmylił kierunek. Przez chwilę nasłuchiwał uważnie, skąd dochodzi szum morza, ale deszcz tłumił wszystkie dźwięki.

Ogarnął go strach. Perspektywa spędzenia długich godzin w tej gęstwinie nie należała do przyjemnych. Przysiadł na najbliższym kamieniu, postanawiając czekać na rozjaśnienie. Innej rady nie było. Każdy dalszy krok groził zabłądzeniem i zupełną utratą orientacji.

Naraz w chłostanej strumieniami deszczu trawie coś się poruszyło. Robinson zamarł. Spod stóp prawie wysunął mu się wąż, gruby jak ramię dorosłego mężczyzny, zaznaczony na grzbiecie szkarłatnymi cętkami. Gdyby nie one, nikt nie zauważyłby gada wśród trawy. Robinson uskoczył w bok i śmignął kijem. Wąż błysnął białym podbrzuszem i jak naciśnięta sprężyna prysnął w zarośla. Wędrowiec poczuł, jak oblewa się potem, zimniejszym niż gęste krople deszczu. Stanął na kamieniu i z całych sił począł tłuc kijem zarośla. Ale krzaki odpowiedziały tylko chrzęstem liści i trzaskiem kruszonych gałęzi. Robinson bił kijem tak długo, aż ramię odmówiło mu posłuszeństwa. Wówczas wyprostował się i natężył słuch. Wokół panowała cisza i zmrok o barwie popiołu. Deszcz minął tak nagle, jak nagle się pojawił. Z dala tylko dochodził uszu Robinsona jednostajny szum, ale to było już chyba morze.

Ostrożnie ruszył w stronę tego szumu w przekonaniu, że teraz znajdzie właściwy kierunek. Zarośla ustępowały opornie. Przedzierał się przez nie z trudem, jak przez gęsty żywopłot, torując sobie drogę nożem, a mokre gałęzie chłostały go po twarzy jak giętkie bicze.

Przystawał co kilka kroków, nasłuchując uważnie. Panującą wokół ciszę z rzadka tylko przerywał jakiś niepokojący plusk albo stłumiony trzask gałęzi, jakby na znak, że coś tam w głębi porusza się jednak i żyje. Gdzieś daleko, po prawej stronie, przetoczył się długim echem pomruk grzmotu i nagły powiew poruszył liśćmi.

Robinson wyczuł pod stopami kamienie. Zarośla urwały się jak ucięte nożem. Zawahał się. Wolna przestrzeń miała kształt tunelu albo czarnej studni. Przesunął stopę na następny kamień. Kałuże stapały się w mroku z oślizgłymi głazami i musiał dobrze sprawdzać każdy krok, aby uniknąć upadku i nieoczekiwanej kąpieli. Ale szum morza rósł i zbliżał się z każdą chwilą, napełniając go otuchą. Przyśpieszył kroku. Za wszelką cenę chciał się już znaleźć w grocie, poczuć nad głową bezpieczne sklepienie i szelest suchego żwiru pod stopami. Niczego więcej nie pragnął.

Długa błyskawica rozdarła mrok. Na mgnienie oka oświetliła drogę i znowu pogrążyła wszystko w ciemności. Robinson szybko przebiegł po czterech kamieniach i... zrozumiał, że znowu zablądził. Przed nim wyrosła nowa ściana zarośli. I cisza, martwa cisza dookoła. To, co wziął początkowo za szum morza, było widocznie szumem deszczu, który nagle przestał padać. A więc zablądził. Być może, szedł teraz w głąb wyspy, której nie znał. Ogarnęła go panika. Rzucił się na oślep w zarośla, brnąc w wodzie po kolana. Sprężysta ściana gałęzi odrzuciła go wstecz. Ręką wymacał nóż uwiązany u pasa. Natarł powtórnie, atakując przeszkodę głową i ramionami.

W odległości sześciu stóp ujrzał przed sobą parę błyszczących jak karbunkuły oczu. Za późno już było się cofać.

Zerwał łuk z ramion i nałożył strzałę. Brzękła cięciwa. Płonące światełka zgasły. W tej chwili długa błyskawica rozdarła mgłę. Na wilgotnym kamieniu, wielki jak bochen chleba, kołysał się na długich, cienkich nogach potworny stwór.

Robinson otarł pot z czoła. Nie! Nie wolno się poddawać szaleństwu! W ten sposób nie odnajdzie drogi do domu. Po raz pierwszy, odkąd znalazł się na tej wyspie, nazwał w myślach grootę - swoim domem. Usiadł na kamieniu, rozcierając potłuczone stopy. Woda przelewała się obok z cichym pluskiem. Zanurzył w niej dłoń i między palcami wyczuł delikatne parcie prądu. Z wolna powracał rozsądek. „Jestem przecież nad brzegiem strumienia, który w dolnym swym brzegu oskrzydla Kozią Dolinkę” - myślał już spokojniej. Strach pędził go dotychczas w przeciwną stronę. A zatem trzeba zawrócić. Strumień wskazywał kierunek. Zaczęło się powolne, żmudne pełzanie wzdłuż brzegu pod nisko nawisłym listowiem. Tym razem obrał właściwy kierunek. Mgła opadła, rozjaśniło się i po godzinie uciążliwego marszu dostrzegł zarysy muru. Kiedy odsuwał ruchomy kamień, ręce drżały mu ze wzruszenia. Był w domu.

Tego dnia Robinson nazwał grootę „Yorkiem”.

#### TRUDNE DNI

*Opowiadano mi o takim zdarzeniu, iż w celi pewnego więźnia skazanego na zupełną samotność, któremu pożywienie nawet spuszczano w kuble na łańcuchu, aby nie zobaczył twarzy drugiego człowieka - pojawił się kolorowy motyl. Jakim cudem i z czyjego zrządzenia - daremną rzeczą byłoby dociekać. Żył - uwięziony z człowiekiem - tak krótko, jak żyją motyle. Ale na resztę lat zostawił po sobie wspomnienie owemu samotnikowi.*

Woda deszczowa, drażąc cierpliwie skałę, wywierciła sobie jakąś szczelinę w powale, i oto teraz spadają ciężkie krople. Rytmicznie, jednostajnie, w równych odstępach czasu.

Zbiera się taka kropla, rośnie pomalutku, pęcznieje - a Robinson, leżąc na wznak na swym pośłaniu, Uczy: raz... dwa... trzy... i wie, że gdy doliczy do piętnastu, kropla będzie już tak ciężka, że oderwie się od powały i upadnie na ziemię.

Pac - i długa cisza.

- Trzynaście... czternaście... piętnaście...

Pac - i cisza. Aż w uszach dzwoni!

Robinson zerwał się z pośłania i pięściami zatkał usta, żeby nie krzyknąć. Bez przerwy padał deszcz i wszystko wokół tonęło w półmroku. Na krok nie można było ruszyć się z jaskini. Już na progu siekło jak tysiącem igieł. W miejscu, gdzie sznurowa drabinka dotykała ziemi, utworzyła się wielka kałuża. Po gładkiej, brudnoszarej powierzchni przemykały wodne Pająki, ślizgając się na nitkowatych, szeroko

rozstawionych nóżkach. Wszystko było szare, mokre, ośliże i porastało pleśnią. Robinson próbował wyplatania sieci na ryby, ale raczej dla zabicia czasu i bez wiary w powodzenie przedsięwzięcia. Napsuł już mnóstwo kory, chcąc sklecić sobie sandały, ale jak dotąd nic z tych prób nie wychodziło. Grube podeszwy łupały się wzdłuż albo odpryskiwały u brzegów. Dopóki jednak myśl była czymś zaprzątnięta i ręce w ruchu, łatwiej było znieść chłód i monotony plusk deszczu.

Najgorsze były noce i wieczory. W ciągu tych wlokących się godzin Robinson oddałby wszystko za odrobinę światła. Leżąc godzinami na wilgotnym pościeliu, usiłował przypomnieć sobie blask ruchliwych płomieni, trzask suchych gałęzi i uczucie ciepła, jakie daje płonące ognisko.

Był głodny i marzył bez przerwy.

W ciągu ostatniego tygodnia znalazł zaledwie kilka nadpsutych orzechów. Żywił się poza tym korzonkami jakiejś rośliny, gdyż resztę suszonego mięsa musiał wyrzucić. Spleśniało wskutek wilgoci. Z dnia na dzień jednak pogoda zaczęła się poprawiać. Deszcze ustały i chociaż niebo było chmurne, sytuacja wyraźnie zmieniła się na lepsze. Nie czekając nawet, aż spłyną strumienie wody, która nagromadziła się na wyspie, Robinson wyruszył na polowanie.

Mięso i skóry! Musiał je zdobyć za wszelką cenę, ażeby przetrwać deszcze. Ale zwierzęta pochowały się w najgłębsze nory, ptaki przeniosły się w głąb wyspy, wybrzeże przybrało wygląd cmentarzyska. Szara mgła wessała wszystką zieleń, odzierając świat z kształtów i kolorów.

Kozy! Musiały przecież gdzieś być na tym przeklętym lądzie!

Robinson kluczył wokół groty w poszukiwaniu śladów, godzinami czatował nad źródłem i wśród skał, ale bez rezultatów. Wszędzie było teraz pod dostatkiem wody i źródło nie miało dla kóz znaczenia. Łaciaty kozioł wodził je sobie tylko znanymi drogami. Miał teraz do wyboru dziesiątki wezbranych wodą wykrotów i niejedno żerowisko porośnię soczystą, młodą trawą.

Po kilku dniach udało się wreszcie Robinsonowi trafić na ślad i wytropić stado na skraju lasu. Wziął na cel przewodnika, ale chybił. Dopiero za drugim razem ubił niewielką samicę, i to tylko dzięki temu, że uwięzła w błocie. Zdobyte w ten sposób mięso zaspokoilo pierwsze potrzeby. Skórę Robinson zdjął starannie i rozwiesił na kołkach pod daszkiem. Codziennie zmiękczał ją, trąc cierpliwie w rękach, czekał, aż wyschnie. Przeznaczył ją na nowy kaftan. Aby jednak przystąpić do szycia, musiał zdobyć jeszcze jedną skórę. Tymczasem jego myśliwskie plany krzyżował łaciaty kozioł.

W przeciwieństwie do innych zwierząt na wyspie przewodnik stada kóz był tak czujny i podejrzliwy, że byle zapach, byle szmer nieuchwytny dla ludzkiego ucha, byle trzaśnięcie gałązki pod nieuważną stopą działały na niego jak wystrzał z muszkietu. Wietrzył, węszył, parskał gniewnie i pierzchał za lada szelestem, pociągając za sobą stado.

Robinson daremnie szukał sposobu, aby wyprowadzić go w pole. Pojedynek ze starym przewodnikiem trwał i przedłużał się. Kozioł wyraźnie drwił sobie z człowieka, a powodzenie w walce jak gdyby go rozzuchwiliło. Pojawiał się nagle i nagle znikał, zanim myśliwy zdążył napiąć cięciwę. Robinson odnosił wrażenie, że jego przeciwnik traktuje te spotkania jak dobrą zabawę, i gniewało go to coraz bardziej. Wreszcie stado przepadło. Znikły nawet ślady nad źródłem w Koziej Dolince.

Łatwo powiedzieć: uszyję kaftan. Ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Skąd wziąć igłę i jak zdobyć nici? Robinson nie przestawał nad tym rozmyślać. Pozornie było aż kilka rozwiązań.

„Można by przebić dziurki ostrzem noża - dumął - a następnie przepchać przez nie nić, pomagając sobie kawałkiem patyka...

Albo inaczej: spróbować w rybiej ości przewiercić uszko, jak w prawdziwej igle!

Albo szyć najprawdziwszą igłą metalową, poświęcając na to sprzączkę od pasa...

Każde z tych rozwiązań miało jednak swoje „ale”. Nóż stępił się ostatnio, a co gorsza - ostrze zaokrągliło się na końcu. Zresztą pomysł robienia dziurek nożem nie był najszcześniejszy. W ten sposób można związać rzadkim ścięciem przykrycie, derkę, ale kaftan? Kaftan szyje się ścięciem drobnym i potrzebna jest do tego celu mocna nić i cienka, silna igła. Na rybią ość nie wiadomo jak długo musiałby czekać. Morze, codziennie wzburzone, wypłoszyło ryby z nadbrzeżnych zatok, gdzie żerowały w ciągu lata przy spokojnej fali.

Pozostała sprzączka od pasa. Ale czym przebić uszko, nie mając ognia, w którym można by

rozgrzać metal, tak jak to robią kowale?

Próbował kolców kaktusowych. Okazało się jednak, że mogą służyć najwyżej za szydła. Jakże w nich bowiem przebić uszka?

„Mój Boże - myślał Robinson - gdybym miał chociaż kawałek drutu! Z drutu można by zrobić doskonałą igłę! Wystarczyłoby wyostrzyć na kamieniu jeden koniec, a drugi ostrożnie zagiąć...”

Ale cóż, drutu nie było! Było natomiast drzewo żelazne i ta myśl okazała się najszcześniejsza.

Robinson wytoczył ostrożnie stępione ostrze noża na płaskiej oselce i z cienkich, twardych gałązek wystrugał kilkanaście igieł. Były lekko spłaszczone i dosyć szerokie, aby wywiercić w nich uszka. Poświęcił na to cały dzień pracy tak precyzyjnej, jak praca zegarmistrza albo złotnika modelującego delikatne ozdoby z cennego kruszcu. Na koniec ułożył w szparze nad posłaniem siedem igieł, wcale nie gorszych niż grube igły druciane, jakich używa się do cerowania żagli. Przez zwilżoną i zmiękczoną w palcach skórę przechodziły dość gładko. Trudność była rozwiązana.

Pozostało jednak drugie zadanie nie mniej trudne: nici. Bez nich szyc niepodobna. Nie namyślając się wiele, Robinson spruł połowę wełnianej pończochy. Kiedy spostrzegł, że popełnił błąd - było już za późno. Zniszczył pończochę, nic nie zyskując w zamian. Zetlała nić rwała się w palcach, nie stawiając żadnego oporu. I znowu dwa dni minęły na rozmyślaniach. Włóczył się po śladach kóz, zbierał nadpsute orzechy kokosowe i myślał tylko nad tym, jak zdobyć nici.

Zdawałoby się, że to takie proste! Cienki konopny sznurek! Ale co zrobić, jeśli go nie ma? Z jakiego materiału skręcić nić dostatecznie długą i mocną?

Włókna bananowe okazały się za grube i za sztywne. Jelita kozie kruszyły się po wyschnięciu i nie potrafił ich odpowiednio spreparować, chociaż wiedział, że z baranich kiszek robi się struny do instrumentów muzycznych.

Len! Gdyby miał len i konopie! Ale skądże tu wziąć len na tej wyspie? Czym można by go zastąpić?

Próbował rozmaitych roślin i pnączy. Moczył je w wodzie i tłukł na kamieniu, aby oddzielić włókno od tkanki roślinnej. Długo nic z tego nie wychodziło, ale czuł, że trafił na właściwy ślad. Jedne włókna były miękkie, inne twardsze, wszystkie na ogół dostatecznie mocne, ale kłopot zaczynał się z chwilą, gdy próbował je wiązać. Pękały w miejscach spojenia! Nie tracąc jednak nadziei, nie przerywał poszukiwań.

Pewnego dnia trafił na nieznaną gatunek pokrzywy, tak wysokiej, że sięgała do ramion. Postanowił spróbować po raz ostatni. Ułożył długie łodygi na płaskim kamieniu i parząc sobie nieznośnie dłonie, ostrym brzegiem muszli oddzielił włókno i części zdrzewiałe. Włókna wymoczył następnie w wodzie i wysuszył. Kiedy wyschły, zaczął je skręcać w cieniutkie sznureczki. Poddawały się łatwo. Uzyskane w ten sposób nici natłuścił kozim łojem i nawinął na kamyk. Po kilku dniach poddał je próbie. Były giętkie i dobrze musiał szarpnąć, aby przerwać włókno. Próba zeszywania dwóch kawałków koziej skóry udała się. Trzymały mocno!

Z dumą oglądał Robinson gruby kłębek nici i siedem igieł z żelaznego drzewa - owoc wielu dni poszukiwań, rozmyślań i doświadczeń.

Na kołkach przed grotą schła kozia skóra. Na kaftan było tego stanowczo za mało. Robinson brał codziennie do ręki siedem igieł z żelaznego drzewa i kłębek nici po to, by je z westchnieniem odłożyć. Codziennie bowiem wracał z polowania z pustymi rękami.

Pogoda nie chciała się jakoś ustalić. Brzeg morza był nadal szarobrunatny i martwy. Fale wyścieliły go dywanem rdzawych wodorostów, porywając nimi piasek, kamienie i kępy trawy. Jedynie w głębi wyspy pienieło się szaleństwo zieleni bujniejszej niż kiedykolwiek, rozmigotanej kroplami deszczu jak żywym srebrem.

Robinson coraz bardziej tęsknił za słońcem i ptasim gwarem wokół groty. Któregoś dnia znalazł w pustym gnieździe mewim na wpół żywego motyla. Uczepiony szpary skalnej siedział w najciaśniejszym kąciku. Kaprys przyrody pozwolił mu jakimś cudem przetrwać wielkie deszcze i wichury. Był sam, podobnie jak i Robinson, na wyspie. Jego skrzydła nosiły ślady długiej poniewierki. Leciutko, prawie niewidocznie drgały, gdy rozkładał je z trudem. Były wystrzępione u brzegów, o zatartym rysunku i lekko przyćmionej pomarańczowej barwie. Dawniej pewnie jaskrawo - gorące, przypominały teraz więdnący kwiat. Robinson wyjął motyla z mewiego gniazda i osłaniając dłońią jak płomyk na wietrze, przeniósł

ostrożnie do groty. Przez dwa dni żyli razem jak para dobrych przyjaciół. Motyl spacerował wolniutko po ręce człowieka, usiłując rozprostować skrzydła, ssał podsuwane mu grudki piasku, ale był coraz słabszy. Trzeciego dnia Robinson znalazł go u wejścia do groty. Leżał martwy w wążutkiej smudze słońca, które zajrzało tu po raz pierwszy od tygodnia.

- Mój mały kolorowy przyjacielu - szepnął człowiek ze smutkiem - i ty mnie także opuściłeś. Było nas dwóch i znowu jestem sam. Znowu nie mam nikogo.

Samotność, z którą radził sobie jakoś, kiedy świeciło słońce i rozbrzmiewały głosy ptaków, teraz w tej pustce stawała się nie do zniesienia. Tego dnia wrócił z polowania zupełnie zniechęcony i w kącie cisnął łuk i strzały. Łaciaty kozioł przemknął ze swoim stadem o dwieście jardów od miejsca, gdzie czekał nań, drżąc z chłodu i niecierpliwości.

Robinson odczuwał wyraźne osłabienie, które mogło być tylko rezultatem głodu. Wieczorem wyszedł na brzeg, aby poszukać małży. Nie znalazł ich, zauważył natomiast ptaka, który kołyszając się niezdarnie, łąził po wyrzuconych na brzeg wodorostach i przetrząsał je dziobem. Cisnął węń kamieniem, zły, że nie zabrał ze sobą łuku. Ptak uskoczył, rozejrzał się zdziwiony i powrócił do swego zajęcia. Drugi kamień chybił o kilka cali. Ptak rozwinął skrzydła, oderwał się ciężko od ziemi i odleciał o kilkanaście kroków. Robinson zaczął się skradać w jego stronę, wybierając po drodze kamienie kształtem odpowiadające dłoni.

Wysoki brzeg zasłaniał go od strony wyspy. Szedł, przeskakując z kamienia na kamień, gdzieś po kolana w wodzie, rdzawej od wodorostów i piany. Ominął wąską zatoczkę i wdrapał się na płaską płytę oplukaną przez wodę. Już miał ją przeskoczyć, gdy nagle zatrzymał się i pochylił: przed nim, oplątana brunatnymi nićmi alg, leżała na płycie duża kiść winogron!

Winne grono?! Zaskoczony tym i zdziwiony, rozejrzał się. Po prawej stronie pieniało się morze, na lewo ciągnął się dobrze mu znany pusty brzeg, piaszczysta plaża, dalej zarośla i skraj lasu. Nigdzie tam nie rosła winna latorośl.

A zatem przyniosło je tutaj morze. „Skąd? - rozmyślał poruszony. - Czyżby w pobliżu był jednak jakiś inny ład, którego dotychczas nie zauważyłem? I jak to możliwe? Przecież ze szczytu Wzgórza Nadziei nie widać nic oprócz z rzadka rozsianych na mieliznach skał i wody”.

Grono było ciężkie, dojrzałe, prawie granatowe. Gdyby leżało długo w wodzie, uległoby zepsuciu.

Woda morska przeżarłaby tkankę owoców, a były przecież całe, jędrne i soczyste!

Przypomniawszy sobie o ptaku. Rozchylił pożółkłą trawę i... zaklął. Za późno! Ptak zerwał się właśnie do lotu i ciężko wiosłując skrzydłami, sunął nisko nad ziemią w głąb wyspy. Na skraju lasu wzbijał się w górę i poszybował dalej tuż ponad wierzchołkami drzew. Jeszcze chwila i zniknął.

Robinson zawrócił do Yorku głęboko zamyślony. Teraz już wiedział. To stamtąd, z głębi wyspy, musiała pochodzić także ta kiść winogron. Ileż tajemnic kryje jeszcze nie przekroczona dotychczas krawędź lasu?

Wracając przez Kozią Dolinkę, trafił na odciski racic. Ślad był świeży. Wokół sterczały poogryzane młode pędy krzewów. Widocznie stadko przeszło tędy przed chwilą. Może właśnie wówczas, kiedy był na brzegu?

- Przeklęty łaciaty brodaczu! - zawołał Robinson, nie próbując pohamować złości. - Już ja znajdę na ciebie sposób! Jak długo chcesz mnie wodzić za nos, stary diable?!

Rozejrzał się. Wydeptany wśród zarośli trakt był zupełnie nowy. Stado, widać, chodziło tędy od niedawna.

- Zobaczmy - mruknął Robinson i uśmiechnął się do swoich myśli. Nazajutrz zjawiał się na „Koziej Ścieżce”. Wybrał odpowiednie miejsce, oczyścił je dokładnie z chrustu i zbutwiałych liści i zabrał się do kopania pułapki. Muszlą, płaskim kamieniem, dzidą - radził sobie, jak mógł. Z początku szło mu to łatwo, wkrótce jednak pod wierzchnią warstwą gliny, piasku i drobnego żwiru trafił na plątaninę twardych korzeni i kłaczy.

Przebił się przez nie za pomocą noża i ostrego odłamka skały. Pot występował mu na czoło, krew ukazała się na palcach, ale po paru godzinach stał już po pas w dole, a nad nim rósł kopiec wyrzuconej gliny i kamieni.

W południe przerwał na chwilę kopanie, aby zaspokoić głód. Pogoda była tego dnia wyjątkowo dobra, a nawet ocean jak gdyby się ustatkował. Może właśnie dlatego w tym samym miejscu, gdzie ostatnio woda przetaczała tylko puste skorupy, znalazł kilkanaście wielkich muszli, w których tkwiły tłuste mięczaki. Wracając po posiłnym obiedzie na Kozią Ścieżkę, wyciął w zaroślach kilkanaście cienkich żerde.

- Poczekaj, brodaczu - mrucał z zawziętością. - Porachujemy się teraz!

Za wszelką cenę chciał skończyć wszystko przed zachodem słońca, i to tak, żeby Kozia Ścieżka wyglądała znowu jak nie tknięta stopą człowieka. Od tego zależało powodzenie planu. Liczył, że deszcz w ciągu nocy zatrze resztę śladów, a jutro czy pojutrze kozioł - przewodnik, nie przeczuwając podstęp, poprowadzi tędy stado i wreszcie poniesie porażkę.

Pod wieczór dół sięgał Robinsonowi po ramiona. Pogłębił go jeszcze o dobre dwie stopy, dokładnie wyrównał teren, a nad otworem ułożył żerdki, tworząc z nich rodzaj kraty. Kratę tę zamaskował starannie chrustem i liśćmi. Gdy wrócił do Yorku, było już zupełnie ciemno. Zaspokoivszy tylko pragnienie, rzucił się na legowisko.

Przez całą noc i następny dzień padał rzęsimy deszcz i grota rozbrzmiewała monotonnym szumem. Przejaśnienie nastąpiło na trzeci dzień koło południa. Jak zwykle rozdarła się gwałtownie brudna opona chmur i słońce wyskoczyło z niej jak rudy kasztan z łupiny. Świat ożył we wszystkich swych barwach. Robinson wypadł z groty i pobiegł na Kozią Ścieżkę. Serce biło mu mocno z niecierpliwości. Już z daleka zauważył, że gałęzie maskujące otwór pułapki są naruszone, a ponad ścieżką sterczy złamana żerdź.

- Czyżby się naprawdę udało? A może to tylko wiatr i deszcz? Nie, to niemożliwe! Musiało się udać! Musiało się udać!

Biegł ile sił w nogach, nie zważając na to, że gałęzie chłoscza go po twarzy i ramionach.

- A więc mam cię nareszcie! Mam cię, Kozio Królu! Już mi nie będziesz przepląsał stada!

Zmierzyliśmy się teraz i koniec twojego panowania!

Dopał otworu i rozchylił gałęzie.

W głębi, pod nim - wygłodniałe, wystraszone kozłatko. Wspiera się jedną nóżką o ścianę jamy i główkę zadziera do góry. Druga nóżka zwisa bezwładnie. Zwichnięta? Może złamana? Żalotne ślepki jakby proszące o pomoc.

- Meee - e - e - e - e... A stary kozioł?

Wokół jamy ziemia wydeptana i stratowana krzaki. Uszedł!

TRZECI PUSTY TALERZ

*Rozsądek brał górę nad zwątpieniem. Łatwo jest poddawać się rozpacz, znacznie trudniej pociechę umieć znaleźć i dobro. Przyszedł taki czas, że umiejętność tę posiadałem. Rozważając złe i dobre strony mego położenia, liczyłem się sam z sobą jak wierzyciel z dłużnikiem. Kładłem na dwie szale wagi: z jednej strony, co złe, a z drugiej, co dobre, patrząc, która z nich przeważy.*

Wciąż jeszcze w gospodarstwie Robinsona brakowało rzeczy podstawowych. Jedną z nich był kosz. Brak czegoś lekkiego i pakownego do przenoszenia i przechowywania żywności narażał go na stratę zapasów i czasu.

Nigdy nie przypuszczał, że wiklinowy kosz może stać się szczytem jego pragnień. A jednak...

Zielone, wiklinowe kosze! Można by w nich przechowywać suszone mięso i kokosowe orzechy. Z koszem na plecach o ileż łatwiej byłoby poruszać się w gęstwinie, mając swobodne ręce. Wiklinowym koszem można by zamknąć przesmyk między skałami w głębokim basenie i łowić codziennie ryby. W wiklinowym koszu zawieszonym na lianie można by przechowywać małże w głębi morza. Byłyby zawsze świeże i zdatne do jedzenia.

Tak. To wszystko prawda. Ale z koszykarstwem nie wiodło się Robinsonowi. Próbował, niecierpliwił się i ciskał w ką robotę. Może nie trafił dotychczas na odpowiedni materiał, a może brakowało mu tylko wytrwałości?

- Mój Boże! - wzdychał. - Czyżbym nie potrafił wypleść koszyka? Czyżbym nie umiał zrobić tego, co najwykleszy dzikus brazylijski uważa za dziecinną zabawę?

W rodzinnym miasteczku Robinsona był warsztat koszykarski ślepego mistrza Barnaby. Piętrzyły się tam całe stosy zielonych, wiklinowych koszyków. Z koszykiem zrobionym przez mistrza Barnabę biegał Robinson do sklepu, posyłany przez matkę. W koszykach mistrza Barnaby Mathews nosił ryby. Ileż to razy Robinson z gromadką innych dzieci zakradał się do pracowni, gdzie stosy wikliny pachniały rzeką i rybami! Palce niewidomego biegały po pędach giętkiej łoży jak po strunach instrumentu. Rosły pod nimi kosze - szerokie i płaskie, owalne i pękate, małe i duże. Rozmaite.

Chcąc nie chcąc, Robinson napatrzył się też, jak powstają. Ale patrzeć, a zrobić coś samemu - to duża różnica.

W zaroślach nad strumieniem znalazł cieniutką łożę. Namoczył ją starannie i usiłując przypomnieć sobie wszystkie czynności starego koszykarza, podjął ostatnią próbę. Dotychczas używał gałązek kolczastych krzewów, które rosły w Koziej Dolince. Były jednak nazbyt kruche i łamliwe. Łoza znad strumienia poddawała się łatwiej i nie trzaskała przy zginaniu.

Więc jak to się robi? Zaraz, zaraz... Najpierw cztery pręty na krzyż...

Po kilku dniach pierwszy kosz ujrzał światło dzienne. Robinsona ogarnął taki zapał, że plółt dalej, zanedbując zbieranie żywności. A kiedy właśnie zabrakło mu kokosowych orzechów, na wyspę spadły nowe deszcze. Wyglądało na to, że po krótkim okresie roz pogodzenia wróciła druga, spóźniona fala pory deszczowej.

Robinson rozdzielił resztę jadalnych korzonków na dwie równe części. Jedną z nich podsunął kozłeciu. Leżało na podściółce z trawy i miękkich gałązek z chorą nóżką w deszczułkach. Wodziło za Robinsonem oczyma jak piesek i pobekiwało z cicha. Obok, w skorupie orzecha, stała świeża woda. Kozłatko czuło się lepiej.

Przyjemnie było mieć przy sobie coś żywego. Grota nie była już taka pusta jak dawniej.

- Jakże ci tam, koziołeczku? - zagadywał Robinson. - Może byś już tak spróbował stanąć?

Koziołek podleczył się i gdy Robinson zdjął mu opatrunek, zaczął wesoło kuśtykać po grocie.

Wszędzie go było pełno, ale najchętniej przystawał u wejścia. Wysuwał łebek na zewnątrz, a grzbietem ocierał się delikatnie o szorstki kamień. W ten sposób zasłaniał nawet i tę odrobinę dziennego światła, które docierało do Yorku, i Robinson toczył z nim o to nieustanne boje. Ale koziołek był uparty, a półmrok panujący w grocie obrzydł mu widocznie, tak jak jego panu. Nie było w końcu innej rady, jak zbudować u wejścia barierkę. Koziołek rozgniewał się, i to na dobre. Przez cały dzień atakował żerdki, startując na nie z nastawionymi groźnie różkami. Ogrodzenie okazało się jednak silniejsze. Koziołek obraził się, wlaź w najciemniejszy kącik i na znak protestu nie wychodził stamtąd całymi godzinami.

Deszcz nie ustawał. W kałuży przed grota pojawiły się małe rybki. Błyskały w wodzie jak pensy w słońcu. Robinson zdumiał się, gdy zobaczył je po raz pierwszy. Jakim sposobem mogły się tu znaleźć? Od brzegu morza dzielił grota spory kawał drogi. Czy przyniosły je tutaj ruchliwe strużki deszczowej wody, czy morskie ptaki na swych skrzydłach? Tej zagadki niepodobna było rozwiązać.

Deszcz padał bez przerwy. W dwóch miejscach woda rozmyła mur. Pędziła porywistym, bulgoczącym strumieniem tuż u stóp Yorku, niosąc w stronę morza szczątki potrzaskanych gałęzi, wydarte krzewy i wyrwane kawały murawy. Robinson przewracał się z boku na bok, a myślami błądził po krętych uliczkach Yorku. Starał się unikać wspomnień, ale wracały natrętnie, ilekroć zamknął powieki. Jawiły się w nich twarze przyjaciół na wpół zapomniane i prawie już obce po latach. Kiedyś wydawało mu się, że nawołuje go matka, tak jak za dawnych lat, gdy do późnego wieczora biegał po zaułkach miasteczka:

- Synku, już późno! Wracaj do domu - o - mu!

Zrywał się z uczuciem ucisku w gardle i przytomniejąc, nasłuchiwał, ale zewsząd otaczał go tylko jednostajny plusk deszczu.

- Tak pewnie wyglądał potop - usiłował dodać sobie otuchy rozmową z koziołkiem. - Tak wyglądał potop, zanim arka uniosła się na falach. Miejmy nadzieję, że tym razem nie potrwa czterdziestu dni. Umarlibyśmy z nudów i z głodu, mój miły. Ale patrz! Spójrz, co się tam dzieje!

W rozmytym otworze muru utknął na chwilę spróchniały kawał drzewa, na którym, wczepiona pazurkami, siedziała duża, czarna wiewiórka. Robinson skoczył po dzidę, ażeby zatrzymać kłodę i uratować zwierzątko. Zaledwie wybiegł z groty, kłoda drgnęła i pchnięta falą ruszyła szybko naprzód.

Błyskawicznie zrzucił sznurową drabinkę i zeskokczył na najniższy stopień. Ostrze dzidy zdołało jeszcze dotknąć końca kłody i zatrzymać ją na mgnienie oka. Wiewiórka śmignęła po drzewcu, odbiła się czterema łapkami od ramion człowieka i wystrzeliła wysoko na skałę. Gdy Robinson odwrócił głowę, już tylko osypujące się z góry kamyczki znaczyły ślad, którędy uciekła.

- Oto przykład czarnej niewdzięczności, koziołku - mruczał, wykręcając przemoczoną koszulę. - Chciałem powiększyć załogę naszej arki, ale wzgardzono moją gościnnością. Płynmy zatem dalej we dwójkę przez tę przeklętą porę deszczową. Zostaw ten koszyk! Nie potrafisz pomóc, więc przynajmniej nie psuj mojej roboty!

Przez trzy doby bez przerwy sieł drobny deszcz. Gęsty, zimny, przenikliwy. Czwartego dnia lunął prostopadłymi strugami, a nad wieczorem ustał równie nagle, szumiąc tylko płataniną spływających w morze potoków. Tej nocy Robinson budził się trzykrotnie, a właściwie budziła go dzwoniąca w uszach cisza, przerywana tylko krzykiem jakiegoś ptaka, który uparcie kołował nad Wzgórzem Nadziei. Niebo nad wyspą było rozmigotane gwiazdami. Od strony puszczy wiatr niósł oszałamiający zapach wilgotnej zieleni.

Poranek wstał wcześniej niż zwykle. Robinson, chcąc wykorzystać chwilę rozjaśnienia, zarzucił na ramię łuk i wybiegł do lasu. Po drodze sprawdził pułapkę na Koziej Ścieżce. Dół był pusty. Wiatr rozmiótł liście, połamał kratę, a woda oberwała brzegi. Poprawił pułapkę i ruszył dalej. Blask dnia raził oczy, Robinson szedł jednak raźnie, szczęśliwy, że wyrwał się z mrocznego Yorku. Powyżej Koziej Dolinki teren zalany był wodą, więc skręcił na wybrzeże. Niemal spod nóg zerwał mu się w zaroślach szary, niewielki ptak. Strzała dosięgła go w locie. Robinson przytroczył zdobycz do pasa i przypomniał sobie o koziołku. Z naręczem młodziutkich gałązek zbiegł na brzeg. Wśród wodorostów zaścielających plażę znalazł kilkanaście mały wyrzuconych przez wodę.

Wracając, ujrzał przed sobą zarys krzyża. Dwuramienny słup wyłonił się nagle z mgły, czarny i wilgotny.

- Co z kalendarzem? - zaniepokoił się Robinson. Uwięziony przez szereg dni w grocie, prawie o nim zapomniał. - Jaki to dzień jest dzisiaj?

Rozgarnął mokre zarośla i przedostał się na skalisty cypel. Wydobył nóż i zamyślił się. Ostatnie nacięcie oznaczało dzień, w którym przygotował pułapkę na kozy. Potem padały deszcze... potem znalazł w dole koziołka. I znowu deszcze: jeden, dwa, trzy, cztery dni... Ostrze noża dotknęło drzewa i na ziemię zaczęły spadać białe strużyny. Teraz trzeba przeliczyć nacięcia. Czyżby się omylił? Jeszcze raz sprawdził uważnie rachunek. Wypadło tak samo: 24 grudnia. Boże Narodzenie.

Tego dnia z ciężkim sercem zasiadł do wieczery. Na kamieniu przykrytym bananowymi liśćmi stała woda, w otwartych muszlach słone małże i stłuczone na miazgę mięso upolowanego ptaka. Z twarzą ukrytą w dłoniach Robinson odmówił modlitwę. Tę samą, którą stary pan Kruzoe zwykł był odmawiać nad świątecznym stołem. Przypomniał ją sobie z bólem, wygrzebując z pamięci dawno zapomniane wyrazy. Nad jego głową u stropu groty kołysała się zielona gałąź. W angielskich domach zawieszano zazwyczaj w tym miejscu jemiolę.

Przebrzmiały już ostatnie słowa modlitwy, a Robinson nadal siedział bez ruchu, zatopiony w myślach. Wieczera stała nie tknięta.

Koziołek wylazł ze swego kątką i stukając głośno kopytkami, podszedł do człowieka. Robinson nie drgnął nawet. Myślami błądził daleko. Zdawało mu się, że idzie krętą uliczką w stronę dobrze znanych, jasno oświetlonych okien. Idzie i nie może dojść. Błądzi w zaułkach i nie może trafić. Tu jest domek starego wikliniarza Barnaby. Przez wycięcia w drewnianych okiennicach padają na ulicę wąskie smugi światła. Naprzeciwko mieszka pastor. Słysząc stamtąd jak zwykle dźwięki skrzypiec i słowa starej, pobożnej pieśni. Stąd trzeba iść w lewo, drewnianym chodnikiem po spróchniałych balach przysypanych śniegiem. Z daleka migoce latarnia. To strażnik miejski zbliża się wolniutko, stukając halabardą:

„Strzeżcie się ognia, mieszczanie! Strzeżcie się złego człowieka!”.

Uliczki są puste. Czasem tylko przemknie pies, podkulając ogon, albo kot śmignie z podwórka w podwórko. Robinson myśli i przypomina sobie wszystko dokładnie.

Koziołek przystanął, trącił nosem muszlę z małżami, obwąchał stół i szarpnął liście. Zakołysała się



miseczka z kokosowego orzecha i strużka zimnej wody spłynęła na kolana Robinsona. Drgnął i podniósł głowę. Koziołek najspokojniej ogryzał bananowy obrus.

- Czas już rozpocząć wieczerzę - uśmiechnął się doń Robinson - tak sądzisz, przyjacielu, prawda? - Uśmiech był niewesoły, a oczy człowieka wilgotne. Koziołek kiwnął brodą i zabrał się z powrotem do liści. Robinson poklepał go po szyi, podrapał delikatnie nad różkami i przygarnął ramieniem. Zwierzątko było ciepłe i ufnie tuliło się do człowieka.

- Smutny jest ten nasz stół, przyjacielu - mówił Robinson - smutny i ubogi. Opowiem ci, jak to bywało dawniej. Posłuchaj - ciągnął, sięgając Po muszle z małżami.

- Tego dnia, miły mój, kantor był zamknięty na cztery spusty, a pan Kruzoe przygotowywał podarki. Dla wszystkich domowników. Pani matka zaś krzątała się koło puddingu i własnoręcznie nadziewała indyka. Czy ty wiesz, co to jest pudding? Nie, tego sobie nawet nie możesz wyobrazić! To jest olbrzymia wieża z ryżu, mąki, jaj, mleka, rodzyneków, migdałów, rozmaitych przypraw i korzeni. Wieża dymiąca wśród dwudziestu czterech świec! Powiem ci tylko tyle, że każda z tych świec oświetliłaby doskonale nasz York. A indyk? Nadziewany kasztanami, o złocistej skórce, prawdziwie wspaniała potrawa, godna królewskiego stołu! Jak Anglia Anglią, a York Yorkiem, bez puddingu i indyka nie ma prawdziwych świąt, mój mały. Koziołek obracał w pyszczku strzępek liścia, przymykał sennie oczy, tulił się do ręki człowieka i zdawał się słuchać uważnie opowieści o dalekim domu państwa Kruzoe. A Robinson ciągnął dalej:

- ...Wtedy pan ojciec siadał przy kominku, otwierał starą księgę oprawną w czarną skórę tłoczoną złotem i czytał psalmy.

Ostatni raz - jak pamiętam - dostałem tego dnia żółte, skrzypiące ciżmy ze srebrnymi klamrami, kaftan z holenderskiego sukna, orzechy polewane miodem i prawdziwą szpadę z toledańskiej stali. A potem, rzuciwszy dom i rodziców, wszystko to zamieniłem na te podarte szmaty, które widzisz na mnie. Teraz nie mam już nawet nikogo, z kim mógłbym porozmawiać...

Zasępił się i zamilkł. Wiatr targał daszkiem u wejścia, a koziołek obracał w pyszczku wciąż ten sam strzępek bananowego liścia.

- Teraz już nie mam nikogo...

Wilgotne chrapki zwierzęcia przesunęły się lekko po dłoni człowieka i na mgnienie oka musnął ją ciepły oddech.

- Prawda! Jakże mogłem zapomnieć? Mam przecież ciebie, koziołku! Jakże cię nazwać, mój przyjacielu? Chciałbym ci dać imię miłe mi i bliskie. Może będziesz się nazywał - Barnabą? Spróbujmy zatem, mój mały Barnabo, dokonać rachunków. Zło i dobro wodziło się razem w mym życiu, jak dwaj pijani chłopcy okrętowi. Spróbujmy je rozdzielić. Wpiszemy zło w jedną rubrykę, a dobro w drugą, tak jak pan Kruzoe wpisywał w wielkiej księdze po jednej stronie zyski, a po drugiej straty. Zastanówmy się więc!  
Zło Dobro

Morze wyrzuciło mnie na bezludną wyspę. Ale przecież żyję! Nie utonąłem jak moi towarzysze.

Los oddzielił mnie od ludzi i reszty świata. Pozbawiony ludzkiego widoku, skazany na rozmowę z samym sobą, być może, nigdy już nie usłyszę głosu innego człowieka.

Ale żyję! I żyję pośród boskich stworzeń.

Niedawno jeszcze bardziej byłem samotny niż teraz, nie miałem nawet przy sobie tego stworzenia, które z dnia na dzień coraz bardziej przywiązuje się do mnie.

Nie mam szat, w które bym się przyodział, i nie potrafię rozniecić ognia, bez którego człowiek nie może żyć.

Ale jednak żyję! I klimat tej wyspy pozwala mi żyć.

A cóż by było, gdyby morze wyrzuciło mnie na ląd okryty lodem?

Pracuję jak niewolnik dla zdobycia kęsa żywności, dla

opędzenia najędzniejszych potrzeb. Najprostszą rzecz opłacać muszę nadludzkim trudem, gdy tymczasem w Anglii, w Yorku, używałbym wszelkich wygod i miałbym wszystkiego do syta.

Ale jestem wolnym człowiekiem i pracuję dla siebie. I nie umieram z głodu ani pragnienia na jałowej ziemi. Mam dach nad głową i z wielu przeciwnościami potrafiłem się już uporać. Jestem bezbronny i lada dzień mogę paść ofiarą napadu dzikich ludzi albo pazurów zwierzęcia.

Ale pomimo wszystko żyję! I szczęściem w nieszczęściu jest to, że na tej wyspie nie ma dzikich bestii, jakie widywałem na brzegach Afryki. A cóż by było, gdybym się tam rozbił? Od czterech niemal miesięcy nie widziałem na tych wodach, a więc może i nie zobaczę już ani jednego statku. Jeśli tak - czeka mnie śmierć na wygnaniu.

Ale żyję, a dopóki żyję, nie wolno mi tracić nadziei. A to wygnanie jest karą i tak nazbyt małą za ucieczkę z domu i porzucenie rodziców. Czekaj więc cierpliwie, Robinsonie - masz przed sobą jeszcze kawał życia.

- Tak, tak, koziołku, mały mój przyjacielu - szeptał Robinson, gładząc szorstką sierść zwierzątka. - Los rzucił mnie na krańce świata, na bezdroża morskie, gdzie nie docierają żaglowe okręty, i faktu tego nic nie zdoła zmienić.

Może nigdy nie zobaczę już zielonych brzegów Anglii ani miedzianych dachów Yorku? Może nigdy już nie usłyszę głosu ludzi? A wszystko z własnej winy, przez własną lekkomyślność, wbrew ostrzeżeniom, którymi co dnia karmili mnie rodzice. Porzuciłem ich, odbierając im ostatnią nadzieję i ostatnią radość. Z trzech synów nie pozostał im żaden, aby młodym ramieniem podeprzeć ich samotną, gorzką starość... Robinson wyszedł przed grotę. Wąziutką ścieżyną skalną przedostał się na szczyt Wzgórza Nadziei. Stał zwrócony twarzą ku północy.

Głęboko pod nim huczało morze. Ponad nim granatowe niebo, jak olbrzymi przetak, przesiewało nad wyspą zimne światło gwiazd. Były to inne gwiazdy niż te, które świeciły nad Anglią. Przypomniawszy sobie. Na świątecznym stole, pomiędzy ojcem i matką a nim, Robinsonem, stawiano zawsze dwa puste talerze. Dwa puste talerze na pamiątkę obydwu jego starszych braci, których zabrało morze. Dzisiaj zapewne na tym samym stole przybył trzeci pusty talerz...

Od granatowego nieba oderwała się gwiazda. Przecięła horyzont, zapadła w morze i zgasła. Gdzieś tam, daleko na północy - leżała Anglia.

#### ZNOWU SŁOŃCE

*Niewielu chyba ludzi znajdowało się kiedykolwiek w równie nieszczęśliwym położeniu. Ale jeśli prawdzie mam być wierny do końca, muszę powiedzieć, że były takie chwile, kiedy wyspa moja przypominała ów raj, z którego wygnani zostali pierwsi nasi rodzice.*

Następnego dnia obudził Robinsona wcześniej niż zwykle jazgot ptasi, dawno już nie słyszany. Usiadł na postaniu. U wejścia do groty rozlewała się wielka słoneczna plama. Leżał tam Barnaba, ocierając się z zadowoleniem o ciepłe, parujące kamienie. Kręcił łebkiem i zdawał się nasłuchiwać nawoływań mew.

Mewy! Mewy wróciły! To znaczy, że pora deszczowa minęła!

Robinson zerwał się i wybiegł przed grotę. Nad Wzgórzem Nadziei kołowały mewy. Przypadały do szczelin skalnych, znikwały w nich, pojawiały się znowu i znowu wlatywały w powietrze. Świat parował w słońcu. Na szczeblu drabinki przysiadł motyl. Poruszał skrzydłami, składał je i rozkładał powoli. Skrzydła

były jaskrawopomarańczowe i wyglądały jak kielich wspaniałego, nasyconego słońcem kwiatu.

Robinson patrzył zachwycony, mrużąc oczy od blasku.

Wyspa wynurzyła się z oparów deszczowych, strojna w przepych zieleni rozmigotanej w słońcu miliardem tęczy. W powietrzu rozlegał się krzyk, śpiew, łopoty skrzydeł i szmer spływającej wody. Ponad krawędzią lasu pojawiło się stado papug: jedna - dwie - cztery - i całe stado, a potem znowu cztery - dwie - i na końcu jedna - jak dobrze ubezpieczony oddział kolorowych żołnierzy. Lazur, złoto, zieleń i ognista czerwień. Papugi leciały tylko na zwiady, gdyż zatoczywszy koło nad wybrzeżem, zawróciły znowu w stronę lasu.

Świat rzucał w oczach szarą opończę pory deszczowej i stroił się w swoją letnią szatę.

Robinson porwał łuk i zbiegł po drabince. Było mu dziwnie lekko na duszy i rozpiekała go taka radość, że chciało mu się krzyczeć i śmiać jednocześnie.

Słońce wspięło się już na niebo i przypiekało coraz mocniej. Na przybrzeżnych skałach splukanych pianą czarno było od mały. Płaski głaz u wejścia do zatoczki, w której Robinson kąpał się zwykle, przypominał olbrzymiego jeża, tak gęsto oblepiały go mięczaki. W zaroślach, w pobliżu krzyża, przyciągały wzrok grona czerwonych jagód i soczyste kaktusowe jabłka. Pod palmami, jak gdyby dopiero co strącone, leżały kosmate orzechy, wielkie jak pociski okrętowej bombardy\*. Wszystko to wynurzyło się z mgły i mroku w takiej obfitości, że aż mąciło się w głowie. A przecież przez tyle dni rozbitek głodował, nie mogąc znaleźć żywności! Teraz okazało się, że była, i to w pobliżu miejsc, w których tylekroć daremnie jej szukał.

„Trzeba to wszystko zgromadzić i zabezpieczyć przed zepsuciem - pomyślał, czując przyływ energii i ufności we własne siły. - Muszę się nauczyć jakoś tym gospodarować...”

Skrajem lasu śmignął zając. Robinson zerwał łuk z ramienia i błyskawicznie nałożył strzałę.

Warknęła cięciwa, ale pocisk przebił tylko ścianę zieleni i przepadł między drzewami.

Robinson stał jeszcze chwilę, nasłuchując, a potem ruszył w stronę Koziej Dolinki. Pułapkę znowu rozmyły deszcze, ale w miękkiej glinie odkrył trop racic. Z jednej strony ścieżki łańcuszek śladów prowadził do źródła, z drugiej - od źródła w kierunku lasu. Widocznie łaciaty kozioł wodził swoje stado starymi szlakami.

- Kozioł - uśmiechnął się Robinson, obserwując ślady. - Stary mądrała!...

Wokół dołu krzaki były wydeptane - znak, że zwierzęta omijały pułapkę.

W najbliższym sąsiedztwie Yorku czekały na Robinsona nowe niespodzianki. Tutaj dopiero widać było, ile szkód wyrządziła woda, znosząc darń i przerywając mur w kilku miejscach. Upłynie sporo czasu, zanim się to wszystko doprowadzi znowu do ładu! Za to żywopłot rozrósł się bujnie i mur od strony wybrzeża cały okryty był listowiem. York coraz bardziej osłaniał się ścianą zieleni.

„Jeśli żywopłot rozrośnie się jeszcze trochę, zasłoni wejście do groty i dolną część skały - myślał Robinson. - A przez te kolczaste chaszczki nie przedostanie się na tę stronę ani zwierzę, ani człowiek”.

W obejściu przywitał go Barnaba. Jakim sposobem wydostał się z groty? Na to pytanie mogłoby dać odpowiedź tylko słońce i młodziutka trawa, która ukazała się pod murem. Koziołek wyszarpywał ją łapczywie, przekornie zerkając na człowieka. Teraz dopiero, w pełnym świetle dnia, zauważył Robinson, jak bardzo Barnaba się zmienił. Boki miał głęboko zapadłe, a sierść straciła połysk i wyleniła na sterczących żebrach.

Nadeszło południe. Z przejrzystego, prawie białego nieba leciał na ziemię żar i w oczach parowały resztki wody w załomach skał. Zamarł ruch, zamilkły ptaki, znieruchomiały nawet liście na drzewach, a Barnaba wcisnął się w ciasny kąt zagrody i z przymkniętymi oczami filozoficznie przeżuwał poranne śniadanie. Cisza dzwoniąca w uszach i zupełna martwość powietrza były najlepszym dowodem, że słońce znowu objęło władzę nad wyspą.

Nie ma nic wspanialszego nad odpoczynek w cienistej grocie, na miękkim posłaniu ze świeżego mchu, po kąpieli w morzu, gdy człowiek jest w dodatku syty i dobrej myśli na przyszłość!

Było zbyt gorąco, ażeby spać. Leżąc z otwartymi oczami, Robinson rozmyślał. Po szczyrbach kamiennego pułapu wędrował mozolnie mały, czerwony pajęczek, snując cieniutką, srebrną nitkę. Zastawiał sieć na ćmy, komary i lekkomyślne muszki.

- Jeśli los zechce mnie dłużej więzić na tej wyspie - myślał na głos Robinson - następna pora

deszczowa już mnie nie zaskoczy tak, jak to się stało tym razem. Wyjdziemy jej naprzeciw, mości Robinsonie, z dobrze zaopatrzonym gospodarstwem. Spiżarnia będzie pełna. Zajęcze i kozie skóry obronią nas przed zimnem i słotą. A gdyby udało się jeszcze zdobyć w jakiś sposób ogień! Na Boga! Czyżby na tej wyspie nie było ani kawałka krzemienia? Ogień! Światło! Ciepła strawa i wędzone mięso na zimę! Znak dla okrętów! Musi być na to jakiś sposób! Boże! Gdybyś zechciał zesłać piorun, zapalić las, suchą trawę, chrust pod nogami, zarośla nad strumieniem...

Za wszelką cenę trzeba zdobyć ogień. Skóry. Mięso i owoce. Zapas kopry\*. Ryby. Ryby można suszyć na słońcu podobnie jak mięso. Jeśli uda się to wszystko zdobyć i przygotować, niech sobie wiatry hulają na wyspie i niech szaleją deszcze. Progów Yorku pora deszczowa nigdy już nie przekroczy! Czerwony pajęczek po raz dwudziesty chyba odbywał tę samą drogę, ciągnąc jedwabną nitkę. Sieć była dopiero zaczęta, a już trzepotała w niej malutka muszka, mniejsza niż ziarenko trawy. Gdy skwar minął i znad morza powiało orzeźwiający tchnienie, Robinson, uzbrojony w łuk i dzidę, z niezgrabnym koszem na ramieniu, ruszył na polowanie. Szedł w stronę Koziej Dolinki, gdy na brzegu, poniżej ścieżki, zwrócił jego uwagę niezwykle ruch. Coś zaśniło w słońcu i zgasało.

Przystanął i rozchylił gałęzie.

Znowu coś błysnęło na piasku.

„Ryba! - przemknęło mu przez myśl. - Morze wyrzuciło rybę!” Ruszył pędem w dół przez zarośla.

Minął je i stanął zdumiony. Nieco niżej, tuż przed nim, leżała ślepa zatoczka odcięta od brzegu wysoką ławicą naniesionego piasku. W zmaconej kałuży trzepotało coś gwałtownie, kotłowało się, burzyło, błyskało raz po raz. Zrozumiał. To przyroda zastawiła pułapkę. Woda spłynęła ku morzu, pozostawiając w zagłębieniu ryby, które nie zdążyły umknąć. Miotają się teraz w śmiertelnym strachu, czując, jak wokół nich gęstnieje piasek. Cała piaszczysta kałuża srebrzyła się od łuskowatych ciał, wypychanych przez inne nad powierzchnię osiadającej wody.

Nie było się nad czym zastanawiać. Czyż połów mógł być łatwiejszy? Po chwili w koszu załopotwały duże, tłuste ryby o perłowych podbrzuszach i jasnoblękitnych grzbietach. Szeroko rozwartymi pyszczkami chwytają gwałtownie powietrze. Nigdy jeszcze Robinson nie polował tak krótko i z takim powodzeniem! O zachodzie słońca przed wejściem do Yorku wisiały na palikach trzy puszyste skórki zajęcze, a na dziedzińcu suszyło się trzydzieści oprawionych ryb, uwieszonych za pyszczki na cieniutkiej hanie. Następnego dnia przybyły jeszcze dwie skórki, a po południu udało się Robinsonowi wytropić stadko kóz w pobliżu palmowego zagajnika. Łaciaty kozioł zauważył wprawdzie dość wcześnie swego przeciwnika, dał sygnał do odwrotu i porwał za sobą stadko, ale dobrze wymierzona strzała dosięgła ostatniej z uciekających samic. Zapas skór powiększył się wydatnie.

Rok 1660 zaczął się dla Robinsona pod znakiem obfitości i powodzenia w łowach. A jednak z ciężkim sercem spędził dzień noworoczny na szczycie Wzgórza Nadziei, wpatrzony w pusty jak zwykle obszar oceanu, rozmyślając i modląc się o szczęśliwy powrót z bezludnej wyspy w świat zamieszkały przez ludzi.

Ostatnio znowu dotkliwie odczuwał swe osamotnienie. Odkąd zapanowała pogoda i obojętnie przed Yorkiem zazieleniło się młoda trawą, Barnaba sprzeniewierzył się swemu opiekunowi. Daremnie próbował Robinson wpędzić go na noc do grotty. Koziołek zapierał się czterema nogami i buntowniczo potrząsał łebkiem, wyrывая się z rąk człowieka. Całe dnie i noce spędzał teraz pod murem w wygrzebanym dołku. Robinson sam musiał wracać na noc do grotty.

W gniazdach mewich nad Yorkiem pojawiły się jaja, a któregoś dnia Robinson natknął się w zaroślach na parkę dzikich gołębi, wędrujących środkiem ścieżki. Były to młode, które wybrały się w świat, porzucając lekkomyślnie gniazdo. Stara gołębica krążyła nisko nad ścieżką, zaniepokojona ich losem. Z głośnym łopotem skrzydeł podlatywała blisko do Robinsona, sądząc, że chce skrzywdzić jej dzieci. Gołąbki, oszołomione przestrzenią, która się nagle przed nimi otworzyła, pozwoliły się nakryć koszem i zabrać do Yorku. Robinson karmił je codziennie robaczkami i czerwonymi jagodami. Rosły w oczach i podlatywały śmiało, przysiadając ufnie na ramionach człowieka. Robinson postanowił je oswoić na złość Barnabie.

Jakże inaczej płynęły dni, odkąd ogrzewać je zaczęło słońce! Najbardziej niewdzięcznej pracy

zdawało się przydawać blasku. Piękne zachody, jak barwne widowisko, kończyły i nagradzały całodzienne trudy.

Zgodnie z ułożonym planem, Robinson codziennie rano wychodził na polowanie, wracał po kilku godzinach i do południa pracował przy naprawie muru. Przed spiekotą południowych godzin chronił się w Yorku lub, jeśli upał był mniejszy, zajmował się karmieniem gołębi i gospodarskimi drobiazgami.

Późne popołudnia dzielił między kąpiel w morzu a połów ryb i zbieranie żywności.

Gołębie podrosły i próbując skrzydeł, tłukły się całymi godzinami po grocie. Jeden był większy, drugi nieco mniejszy. Któregoś dnia, gdy Robinson o zachodzie karmił je, jak zwykle, na progu przed Yorkiem, większy gołąb wyrwał mu się z rąk, przeleciał przez obejście, i przysiadł na murze. Robinson zbiegł po drabince, ale ptak rozpostarł skrzydła i wzbił się w górę. Szara samiczka, która dotąd spokojnie siedziała na progu, poleciała za nim. Zatoczyły koło nad Wzgórzem Nadziei, samiec wywinął kozła i wkrótce potem parka, różowa od zachodzącego słońca, szybowała już ponad lasem. Robinson wskoczył na mur i osłoniwszy dłonią oczy, śledził uważnie ich lot.

„Czy wrócą? Chyba już nie wrócą?” - pomyślał ze smutkiem.

Wyglądały jak dwa szare, coraz bardziej malejące punkciki. Leciąły w głąb wyspy.

- Wszystkie ptaki odlatują w głąb wyspy - stwierdził Robinson. - Tam, skąd woda przyniosła winne grono!

Tej nocy długo nie mógł zasnąć... Co też tam może być po drugiej stronie lasu?

PO DRUGIEJ STRONIE LASU

*Nikt tego na pewno nie wie, ale przecież musiało być tak, że pierwszy człowiek, stanąwszy u stóp wysokiej góry, zapragnął dowiedzieć się, co się poza nią znajduje. Tak samo, kiedy znalazł się na brzegu rzeki. I kiedy zobaczył las, stało się podobnie. Jest bowiem w człowieku dziwna jakaś ciekawość i chęć badania rzeczy nieznanych.*

Myśl o wyprawie w głąb wyspy nie dawała Robinsonowi spokoju. Od pewnego czasu z tą myślą budził się i zasypiał. Była to nie tylko ciekawość. Spodziewał się znaleźć tam to, czego daremnie szukał: ogień, owoce kasawy, z których można otrzymać mąkę, dzikie proso i winną latorośl. Może w pobliżu wyspy, po tamtej stronie, leży jakiś ład zamieszkały przez ludzi? Może prowadzi tamtędy któryś z uczęszczanych szlaków morskich?

Ale w głąb wyspy wiodła tylko jedna, jedyna droga - na przełaj przez puszcę, a puszcza wydawała się Robinsonowi groźniejsza niż morze podczas sztormu. Ilekroć stawał na skraju lasu, oko w oko z burozielonym mrokiem, ilekroć wiatr przynosił stamtąd słodkawy zapach butwiejących liści i wilgotnego próchna, ogarniał go strach i zwątpienie. Czy uda mu się tam dotrzeć? A jeśli tak, to czy potrafi stamtąd wrócić na wybrzeże? Brazylijscy plantatorzy opowiadali mu wstrząsające historie o ludziach, którzy zbłądzili w puszczy. Co się tam kryje w tym zielonym odmęcie?

Wreszcie zdecydował się na pierwszą próbę.

Wyruszył o wschodzie słońca, uzbrojony w łuk i dzidę, z koszykiem na ramieniu. Z drżeniem serca przekroczył linię pierwszych drzew. Natychmiast ogarnął go zewsząd ów mrok, którego tak się obawiał. Ciekawość jednak przemogła. Szedł od drzewa do drzewa, orientując się według słońca, którego promienie przebijały niekiedy ciemną kopułę gałęzi.

Las pełen był świergotów, szelestów i tajemniczych poruszeń. Otoczyły wędrowca najdziwniejsze drzewa, olbrzymie paprocie, zieliska o potwornych liściach, zwalone, gnijące pniaki zarośnięte gęsto lianami. Matnia nie do przebycia.

Torował sobie drogę nożem. Mrok gęstniał, ziemia była śliska, a walka z gęstwiną ciężka i męcząca. Kiedy spod stóp niemal wymknął mu się wąż - zawrócił.

- Czy ta wyprawa w głąb wyspy nie będzie tylko jeszcze jedną awanturą, która zwali ci na kark, Robinsonie, nowe nieszczęście? Czy ci tak źle na wybrzeżu, że znowu zaczynasz kusić los? - usiłował wyperswadować sobie własne plany.

Ale perswazje były daremne. Czuł, że budzi się w nim ten sam, dobrze mu znany, niepokój, ta sama ciekawość, której zawdzięczał ucieczkę z domu, tułaczkę po morzach i rozbicie na bezludnej wyspie. Co do jednego tylko nie miał wątpliwości: nie wolno zapuszczać się w las bosy i półnago. Na

każdym kroku czyhają tam niebezpieczeństwa - węże, kolczaste rośliny, jadowite pająki. Kto wie zresztą, co się tam jeszcze kryje?...

Nie wiedząc nawet kiedy, zaczął czynić staranne przygotowania do wyprawy.

Obejrzał zajęcze futerka i wybrał spośród nich niewielkie skórki. Postanowił uszyć z nich dla wprawy czapkę.

„Ostatecznie czapka to nie kaftan. Tam potrzebne będzie mistrzostwo, tu zaś można sobie poterminować” - myślał.

Z szerokich bananowych liści wyciął formę, przymierzył ją, dopasował i według niej przykroił skórki.

Przez cały dzień szył i pruł na przemian, ale pod wieczór wielka czapa, obrócona włosiem na zewnątrz, była gotowa.

- Robinsonie, jesteś krawcem! - zawołał, gdy przeciągnął ostatni ścieg i zawiązał nić na gruby węzeł.

Czapka była podobna do skopka, niezbyt zgrabna i trochę za duża, ale Robinson dumny był ze swego dzieła. Natchnęło go wiarą w powodzenie dalszych krawieckich poczynań. Przystąpił do nich nazajutrz, natychmiast po śniadaniu. Niecierpliwość nie pozwoliła mu czekać dłużej.

W projekcie był kaftan.

- Najtrudniejszy jest zawsze początek - pocieszył się, przystępując do przykrawania skór. - Mamy go już za sobą. Idźmy zatem śmiało naprzód! Od czego zaczęłyby prawdziwy mistrz igły i nożyc? Jak sądzisz, mości Robinsonie? Kaftan to rzecz znacznie trudniejsza niż głupia czapka. Wymaga już pewnej znajomości kunsztu krawieckiego.

Z rozłożonych na trawie skór wybrał po namyśle dwie duże skóry kozie. Wyostrzył nóż na głaziku, obejrzał starą, podartą kurtkę i wykroił według niej przód i plecy. Poszły na to obie skóry i pozostały tylko ścinki, postanowił zrobić z nich później szelki do kosza, aby móc nosić go na plecach.

Kiedy skóry były już skrojone, przystąpił do zszywania boków. Okazało się jednak, że w igłach z żelaznego drzewa pękają uszka podczas przeciągania nici. Skóra kozia była twarda i gruba. Jak zwykle, tak i tym razem, Robinson musiał w końcu posłużyć się nożem. Przebijał nim wzdłuż boków gęsto rozmieszczone, małe otworki, rozszerzył je drewnianym szydłem, wciągnął poczwórnie złożoną nić i zaczął nią sznurować przód i plecy jak buty sznurowadłem. Szło mu to nawet dosyć sprawnie. Na koniec wykroił nożem półokrągły otwór na głowę i naciął przód bluzy na kilka cali.

Przymierzył - doskonale! Luźny kaftan spływał wygodnie z ramion, ale radość była jeszcze przedwcześnie. Kaftan bez rękawów to przecież dopiero połowa kaftana! Robinson otarł pot z czoła i zabrał się do roboty.

- Cóż teraz począć? - zastanawiał się. - Ach, nic prostszego, jak wypruć rękawy z marynarskiej kurty i według nich przyciąć i zszyć zajęcze skórki.

Już pod naciskiem noża pękać poczęła zetłala nić, kiedy zawahał się i cofnął rękę. To zniszczone ubranie, te podarte szmaty były przecież w tej chwili jedyną rzeczą, która łączyła go jeszcze ze starym światem. Ten kaftan towarzyszył mu wiernie spory kawał czasu!

Przyglądał się długo obydwu rękawom, wycięciom na pachy i ciężko westchnął. Nie mógł się zdecydować. Odrzucił nóż, wymierzył dokładnie długość i szerokość rękawów, po czym odłożył na bok podartą kurtkę. Następnie zmierzył nogawice spodni i rozmiary oznaczył na kiju.

Czekała go teraz najtrudniejsza część pracy i prawdziwy egzamin krawiecki. Łatwo było przykroić i pozszywać duże skóry kozie, ale nierównie trudniejszym zadaniem okazało się składanie rękawów i nogawic z małych skórek zajęczych. Przymierzał w pocie czoła, dopasowywał, przekładał, a kawałki mieszały się ze sobą, wszystkie na pozór do siebie podobne. W końcu łamigłówka tak się zaplątała, że aby ją rozwiązać, musiał raz jeszcze zacząć od nowa, układając wszystko z osobna na trawie.

Przez trzy dni, zapominając o jedzeniu, bez chwili odpoczynku zszywał i pruł, pruł i zszywał, aż udało mu się wreszcie sklecić coś na kształt rękawów i spodni. Dopiero po pięciu dniach ubranie było gotowe.

Włochata czapa, kozi kaftan i zajęcze spodnie.

Następnego dnia o świcie Robinson ruszył na polowanie w nowym stroju. Czuł się jeszcze nieswojo, sztywne skóry krępowwały mu ruchy, ale było to niczym wobec satysfakcji, jakiej doznawał, przebrnąwszy

przez swe krawieckie kłopoty.

Tego dnia morze było spokojne jak jezioro. Nieruchoma tafla wody znęciła go na brzeg. Chciał zobaczyć, jak też wygląda w swym nowym, myśliwskim stroju. Znał miejsce wśród skał, gdzie woda, dzięki pokładom wodorostów na dnie, była prawie granatowa. W dni bezwietrzne odbijała jak lustro nadbrzeżne krzewy i chmury na niebie. Tam właśnie skierował kroki.

Skacząc z kamienia na kamień, przedostał się na cypel zawieszony nad tonią i nachylił się ku wodzie. Z granatowego dna wyszła na spotkanie postać wielce osobliwa! Przyjrzał się jej uważnie i... wybuchnął śmiechem!

- Robinsonie! Możesz teraz śmiało rywalizować ze starym kozłem, Kozim Królem tej wyspy! Na Boga! Przypominasz go żywo swoją łaciatą kurtą, a bujnością brody bijesz go na głowę!

Dziwacznie brzmiał śmiech Robinsona na tym bezludziu, tym bardziej że zakończył się płaczem. Czymże teraz przypominał człowieka, który urodził się wśród ludzi?! Łuk, dzida, kosz na plecach, strzępiasta broda, włosom na wierzch wywrócone skóry nadały mu wygląd dzikusa. Nawet skóra na twarzy i rękach, przybrawszy odcień ciemnego mahoni, nie przypominała już skóry Europejczyka. Gdyby w tym stroju pojawił się na ulicach Yorku, psy i kamienie uliczników przegnałyby go poza bramy miasta!

- Zapomnij, Robinsonie, żeś jest poddanym angielskiego króla! Sam sobie teraz jesteś królem i poddanym na tej bezludnej wyspie!

W ciągu najbliższych dni udało mu się uzupełnić swój strój parą chodaków. Po wielu próbach owinął wokół stóp dwa kawały grzbietowej skóry koziej i umocował je skórzanymi taśmami. Obuwie to było mocne i wygodne.

Co najmniej raz, a czasem i dwa razy dziennie wychodził teraz Robinson z dzidą, łukiem i kołczanem pełnym strzał z Yorku, pozostawiając na gospodarstwie samego tylko Barnabę. Z dnia na dzień zapuszczał się coraz dalej i coraz śmieiej penetrował okolicę. Polował i szukał krzemienia. Krążył po wybrzeżu i nad strumieniem, przerzucając kamienie jak człowiek, który zgubił coś ogromnie cennego. Pewnego dnia zapuścił się w górę potoku. Znacznie dalej niż zwykle. Postanowił zbadać tę drogę, najdogodniejszą ze wszystkich, jakie prowadziły w głąb wyspy.

Brnął środkiem potoku, gdy nagle zauważył, że woda podnosi się coraz wyżej, pomimo iż dno wcale się nie obniżyło. Właśnie zaczął się zastanawiać nad tym zjawiskiem, gdy z przerażeniem stwierdził, że i prąd zaczyna zmieniać kierunek! Woda coraz wyraźniej nacierała nań z tyłu.

Skoczył w stronę brzegu, ale potknął się i upadł. W następnej chwili fala zalała mu usta, a w zębach zaskrzypiał piasek. Wyciągnął na oślep rękę i uczepił się kurczowo zwisających z brzegu korzeni. Obejrzał się i struchlał. Z dołu gnał spieniony wał wodny, przelewając się przez brzegi na zarośniętą krzakami równinę. Ostatkiem sił Robinson dźwignął się na rękach, wyskoczył na brzeg i dopadł najbliższego drzewa. Jednym susem zawisł na gałęzi. Woda, sycząc, uderzała wściekle o pień. Podciągnął się wyżej i usiadł na gałęzi. W tej samej chwili nóż wysunął mu się zza pasa.

Robinson zmartwiał.

Sześć godzin przesiedział na drzewie, zanim woda zaczęła opadać. Przez sześć godzin dręczyła go jedna jedyna myśl: jak odzyskać nóż? Jeśli go woda zabierze - straty nic już naprawić nie zdoła! Ten kawałek stali był dlań równie cenny jak życie! Chwilami ogarniała go rozpacz, to znów usiłował dodać sobie otuchy.

- Nie, Robinsonie! To się nie mogło stać i to się nie stanie! Nóż jest zbyt ciężki na to, żeby woda mogła go porwać i unieść jak kawałek drzewa. Z pewnością go odnajdziesz. Nic się nie mogło stać. Leży pod drzewem, tam gdzie upadł. Poczekaj. Poczekaj, Robinsonie, niech tylko woda opadnie. Znajdziesz go, znajdziesz go z pewnością!

- A jeśli nie? Co będzie, jeśli noża już nie ma?

- Na Boga! Jeśli go nie ma, przewrócę wszystko do góry nogami! Spod ziemi go wydrę, choćbym miał wodę z tego strumienia wynosić rękami.

- Głupcze! Mogłeś uwiązać go u pasa na byle kawałku rzemienia!

Po sześciu godzinach woda zaczęła wracać w swoje dawne koryto, szumiąc między krzakami.

Odpyływ morza cofał zagnane aż tutaj fale, porywając po drodze wszystko, co tylko dało się unieść: liście,

drobne kamienie, kawałki mchu i darni, połamane gałęzie.

Robinson zsunął się z drzewa i przypadł do nasiąkniętej wilgocią ziemi. Na kolanach przesuwiał się z miejsca na miejsce. Darł mokrą dłoń palcami, kaleczył je na kamieniach. Rozgarniał warstwy piasku i iltu, badał i obmacywał każdy twardy przedmiot, a trwoga ścisnęła mu gardło.

Woda spływała coraz szybciej. Odstłaniała kępy zmierzwionej trawy. Bystrymi potoczkami staczała się w kamieniste koryto.

Nagle - wśród kamieni, które wynurzyły się ponad powierzchnię - zabłysło w słońcu ostrze noża!

Robinson poczuł, jak zimny pot występuje mu na skronie.

Znalazł! Znalazł nóż!

W kilka dni po przygodzie z nożem Robinson, w poszukiwaniu krzemienia, zapuścił się dosyć daleko od groty. Miało się już pod wieczór. Zachodzące słońce rozeszło nad horyzontem głęboką czerwień gasnących promieni. Morze sępiło się fioletem, a drobniutkie fale klaskały cicho po kamieniach. W powietrzu, dziwnie rześkim po dusznym, upalnym dniu, gasły nawoływania ptaków. Robinson szedł wolniutko i bosymi stopami rozgarniał szorstki, nagrany piasek. Minął szeroką płytę skalną na wpół zanurzoną w morzu i skręcił w lewo, gdzie kończyła się piaszczysta plaża. Po chwili poczuł pod stopami przyjemny chłód pokrytej przedwieczorną rosą trawy. Już miał zawrócić w stronę Yorku, gdy spostrzegł nagle kępę wysokich, jasnozielonych łodyżek. Wyglądały jak europejski jęczmień. Zaskoczony tym podobieństwem, przystanął.

Cóż to? Pod palcami czuje wyraźnie zgrubienia... Ziarna! Najwyraźniej ziarna!

Wyłuskał jedno ziarenko z zielonej pochewki i zgrzył je w zębach. Smak przyjemny, mączny, dobrze znany...

Na Boga! Jęczmień!

Zdumienie zatamowało mu oddech.

Zboże europejskie? Tutaj, na tej wyspie? Skąd? Jakim sposobem? Przypadł do ziemi i jeszcze raz sprawdził dokładnie. Nie, nie mylił się. To był jęczmień. Prawdziwy jęczmień! Robinsona ogarnęło wzburzenie.

To Bóg! Tylko opatrność mogła sprawić, że zboże wyrosło tutaj bez zasiewu, po to tylko, żeby jego, zapomnianego przez wszystkich rozbitka, obdarzyć chlebem na tym dzikim pustkowiu.

Robinson uderzył się w piersi i czołem dotknął ziemi.

- O Boże! Najdobrotliwszy Boże! Dzięki Ci za cud, który uczyniłeś!

TRZĘSIENIE ZIEMI

*Potęę przyrody oglądałem dotychczas na morzu. Nie sądziłem też nigdy, że mogłoby być coś gorszego niżli gniew morza dźwigniętego pod niebo.*

*Później dopiero poznałem, czym jest potęga przyrody objawiona na twardym lądzie.*

*Dzisiaj wiem, że jest to jedno. Ta sama siła, która sprawia, że z mizernego ziarna wyrasta drzewo. Ta sama siła - za każdym razem tylko inaczej objawiona.*

Ziarno... Żółte, ciężkie ziarno... Łoskot kamiennych żaren w ciemnej komórce za domem. Biała, sypka mąka, mięciutka w dotyku...

Na poddaszu, tuż obok izdebki, w której mieszkał ongiś Robinson, wisiała na drewnianych kołkach wielka, bukowa dzieża przesiąknięta zapachem zakwasu. Co piątku znoszono ją na dół, do kuchni, stawiano na niskim zydłu w pobliżu rozgrzanego pieca i wypełniano mąką. Matka zakasywała wysoko rękawy i powoli, pracowicie miesiła ciasto na chleb. Rosło, przykryte lnianą serwetą, tak wysoko, aż przelewało się nad brzegami dzieży...

A potem?... Z gorącego pieca wyskakiwały na drewnianej łopacie okrągłe, rumiane bochny. Cały dom napelniał się ich zapachem. Stygły wolno na szerokim stole, jasnobrązowe, trzeszczące pod naciskiem dłoni. Chleb!

Jeśli na wyspie wyrosło zboże, to chyba po to, aby kiedyś można było zarobić ciasto na chleb!

Zaledwie słońce dźwignęło się ponad skraj lasu, a mgła spelzła z Koziej Dolinki, Robinson pobiegł na brzeg. Zapamiętał dobrze to miejsce. W pobliżu rosło wysokie, samotne drzewo. Jego rozłożystą koronę, rzucającą szeroki cień, widać było ponad gąszczem zarośli i piaszczystą plażą. Można tam było



dotrzeć, idąc wzdłuż brzegu, ale niecierpliwość kazała Robinsonowi wybrać krótszą, choć bardziej uciążliwą drogę na przelaj. Ta droga miejscami wydawała mu się znajoma. Czyżby już kiedyś szedł tędy? Ten krzak wyrastający spomiędzy głazów złożonych jak dwie ludzkie pięści... Już go chyba kiedyś widział?... Ale kiedy? Nie mógł sobie przypomnieć. Zresztą myśli miał zaprzątnięte czym innym. Na chwilę jeszcze zatrzymały go ostatnie krzaki, gęste i kolczaste jak zasieki. Roześmiał się. Gdyby miał teraz na sobie jak dawniej płócienną koszulę, przeszkoda byłaby nie do przebycia, musiałby szukać innego przejścia. Ale kaftan z koziej skóry chronił ciało jak pancerz. Długie kolce i twarde gałęzie ześlizgiwały się po nim, rwąc tylko kłakami sierść. Robinson, osłaniając ramieniem twarz i oczy, przedarł się na otwartą przestrzeń. Rozejrzył się. Morze chlustało ponad brzeg wysoką falą. O kilkadziesiąt sążni dalej stało samotne drzewo.

Gdzież jest to zboże? Czyżbym zmylił kierunek?

Spod nóg zerwało mu się stado kolibrów. Zalśniły i rozsypały się w krzakach.

Nie! Dobrze trafił! Jest!

Cud trwał. Zboże rosło, zieleniło się, wiatr kołysał rzadką kępą smukłych łodyżek. Przed nadmiarem słońca okrywał je cień skały. Robinson pochylił się nad roślinkami i raz jeszcze obejrzał je dokładnie w pełnym blasku dnia. Tak! Ponad wszelką wątpliwość były to zawiązujące się kłoski jęczmienia.

- Boże! - szeptał wzruszony. - Najdobrotliwszy Boże! Czymże zasłużyłem na Twoją łaskę? Niemal zapomniałem już o Tobie na tej wyspie, a Ty obdarzyłeś mnie cudem, jak proroka Eliasza na pustyni... Zastanowił się.

- Jeśli tu, na wybrzeżu, w miejscu najbardziej nieurodzajnym wyrosło tych kilkanaście kłosów, to dlaczegoż nie miałby ich znaleźć więcej w głębi wyspy? A może nawet w pobliżu?

Obszedł drzewo dookoła, rozglądając się uważnie. Miejsce to, w sposób nieodparty, wydawało mu się znajome. Zbadał dokładnie skraj zarośli, trawiastą polankę poniżej i zszedł na sam brzeg. Nigdzie ani śladu kłosów poza tą mizerną kępką!

Od strony morza nadbiegł potężny zwał wody i uderzył czołem o skałę. Przecięty jak nożem, sycząc wściekle, ruszył dwoma strumieniami w górę plaży, tocząc przed sobą połamane muszle i splątany kłęb wodorostów. Robinson uskoczył w bok i wbiegł na kamienną płytę, sterczącą wysoko nad brzegiem. Poznał ją! Poznał ją natychmiast, gdy tylko dotknął stopami szorstkiego kamienia. To była przecież ta sama płyta, na którą owego pamiętnego dnia wyrzuciło go morze!

I to samo drzewo, na którym spędził pierwszą noc!

Ten sam brzeg, te same zarośla! Tą samą drogą szedł pierwszy raz w stronę Koziej Dolinki, Wzgórza Nadziei i Yorku!

Tu znalazł nóż i tutaj...

O, Robinsonie!

Tutaj przecież wytrząsnął woreczek z ziarnem, ten sam woreczek, który wraz z nożem, fajką i tytoniem ocalał w przepaścistych kieszeniach spodni i kaftana.

Roześmiał się głośno.

- Woreczek z ziarnem! A już sądziłeś, Robinsonie, że jesteś nowym prorokiem Eliaszem! Byłeś gotów uwierzyć, że to cud! To przecież ty sam zasiałeś sobie zboże!

- A zatem jest to jedyne miejsce na wyspie, gdzie mogło wyrosnąć zboże - mrucał nieco zawiedziony. Raz jeszcze przeliczył kłosy. Było ich siedemnaście. Widocznie resztę ziarna wypaliło słońce albo rozmiótł wiatr.

- Jeśli uda się ten przypadkowy zasiew ocalić, będzie z niego siedemnaście pełnych kłosów. Ile ziaren może być w kłosie? - Robinson zastanowił się przez chwilę. - Przyjmijmy, że osiemdziesiąt. A zatem pierwszy zbiór, jeśli będzie szczęśliwy, przyniesie tysiąc trzysta sześćdziesiąt ziaren. A drugi? Z każdego ziarna kłos, a może nawet kilka? Aby to obliczyć, trzeba być albo astronomem, albo królewskim poborcą podatków! Ale jedno jest pewne: jak oka w głowie muszę chronić tego szczęśliwego zasiewu!

- „Przylądek Ocalenia”! To byłaby dobra nazwa dla tego miejsca - stwierdził po chwili, patrząc z brzegu na wąziutki skrawek lądu wysuwający się w morze jak ryjek spragnionego zwierzątka. - „Przylądek Ocalenia”! Tak sobie nazwę to miejsce.

Miejsca nazwane przestawały być dla Robinsona obce. Przyzwyczajał się do nich, lubił je, w ich obrębie czuł się bezpieczny i spokojny.

Wzgórze Nadziei, York, Kozia Dolinka, Gaj Palmowy, północny pas wybrzeża aż po Przylądek Ocalenia - to była część wyspy znana jak rodzinne miasteczko. Dalej, na południe od Koziej Ścieżki i na zachód od Yorku, zaczyna się ziemia obca.

Na kalendarzu przybywało nacięć. Biegły tygodnie. Łodyżki jęczmienia z dnia na dzień traciły swój jasnozielony kolor i żółkły coraz bardziej. Robinson zbudował nad nimi daszek z bananowych liści, aby osłonić delikatne roślinki przed palącymi promieniami słońca. Żniwa miały być tym razem skromne - garsteczka zboża na przyszły zasiew. Tym więcej jednak dokładał starań, żeby nie zmarnować ani jednego ziarna. Nosił wodę aż z Koziej Dolinki, zwilżał ziemię, tępił robactwo, pielęgnował kępę wątlých łodyżek jak najstaranniejszy ogrodnik najcenniejszą roślinę. Tą garścią ziarna postanowił obsiać grządkę przygotowaną w pobliżu Yorku, w miejscu dobrze osłoniętym od wiatrów.

Na łowieckich ścieżkach szczęście również dopisywało Robinsonowi. Pod skałą schły, rozciągnięte na palikach, skórki zajęcze przeznaczone na nową kołdrę. Na słońcu suszyło się mięso i wypatroszone starannie ryby.

Dnie były coraz bardziej promienne, a noce, jasne od gwiazd, zdawały się pierzchać, zanim sen zdążył na dobre skleić powieki. Ukończywszy naprawę zniszczonego przez powódź muru, Robinson postanowił przystąpić do urządzenia groty, która wciąż jeszcze bardziej przypominała kościelną nawę aniżeli zwykły mieszkalny dom.

Przede wszystkim poszerzył wejście. Następnie ogrodził palikami posłanie, tak że tworzyło rodzaj skrzyni wymoszczonej mchem i sprężystym igliwiem. U wezglowia, gdzie znajdowała się poduszka z koziej skóry, ustawił stół. Ten stół, a później zydel, zajął mu najwięcej czasu. Po rozmaitych próbach okazało się, że blat można zrobić w tych warunkach jedynie koszykarskim sposobem. Ale gdy misterną plecionkę z gałązek przytwierdził wreszcie do czterech wbitych w ziemię słupków, wnętrze groty nabrało od razu bardziej mieszkalnego wyglądu. Zydel powstał tym samym sposobem i jedyne, co można mu było zarzucić, to tylko to, że nie przesunął się z miejsca na miejsce. Ach, gdybyż można jeszcze zbudować coś w rodzaju przenośnego fotela! Taki niski, wygodny fotel nie dawał Robinsonowi spokoju. Ustawiał go w myślach u wejścia do groty, w miejscu, skąd roztaczał się najpiękniejszy widok na morze. Było to jego ulubione miejsce, gdy po pracowicie spędzonym dniu pragnął odetchnąć rześkim, słonym powietrzem. Lubił ponad wszystko te wieczorne godziny, kiedy z wolna ogarniała go senność, a mimo to jeszcze nie chciało mu się naprawdę spać.

Siedemnastego kwietnia siedział tak właśnie u wejścia do groty, bawiąc się od niechcenia nożem i kawałkiem drewna. W szczelinach skalnych pokrzykiwały mewy, morze pluskało o brzeg, a w obejściu Barnaba czochrał się cierpliwie o wystający kawałek muru. Zmierzchało i w oczach kozia zapalały się fosforyczne światełka.

Nagle ze stropu pieczary i z naroża góry, tuż nad głową Robinsona, zaczęła się sypać ziemia. Zrazu grudkami, potem cieniutką, ale wartką strużką. Obejrzał się zdziwiony, a w tej samej chwili zatrzeszczały zdradziecko słupy podpierające sklepienie spiżarni. Robinson skoczył na równe nogi. Jednym rzutem ciała, prawie nie dotykając drabinki, był już na dole.

Przebiegł dziedziniec i przesadził mur, kalecząc dłonie na kolcach żywopłotu. Od strony Wzgórza Nadziei zdawał się dobiegać aż tutaj głuchy, podziemny pomruk. Robinson poczuł, że oblewa się zimnym potem. Co się mogło stać? Widocznie strop piwniczny nie wytrzymał! Raz już przecież groził zawaleniem! Zaraz na pewno trzasną drewniane stemple. Trzasną jak kruche patyczki! Byle się znaleźć jak najdalej od wzgórza! Byle jak najdalej od Yorku! Lada chwila załamie się skała i runie w dół lawiną kamieni! Mimo to w pół kroku zatrzymało go beczenie koziołka. Stanął. Barnaba został w zagrodzie! Uciekać czy wracać?

Ciężkie, jak ołowiem nalane nogi opornie zawróciły w stronę, skąd dobiegało beczenie. W tej samej chwili Robinson stwierdził z przerażeniem, że kamienna iglica nad wejściem do groty drży, przechyla się powoli i nagle, z traskiem, wali się w dół. Zawrócił półprzytomny ze strachu, stracił równowagę i runął na ziemię. Twardy dotychczas grunt drgnął pod nogami, jakby przeszyty wewnętrznym dreszczem. Robinson

zerwał się na kolana, ale natychmiast zarył twarzą w piasek, gdy ziemia po raz drugi ugięła się pod nim jak cienka skorupa lodu.

Czarne chmury mknęły po niebie jak upiorne ptaki o nieruchomych skrzydłach. Rozdarła je jaskrawa błyskawica, ale grzmot przetoczył się głęboko pod powierzchnią wyspy.

Robinson zrozumiał. To było trzęsienie ziemi.

Falisty ruch wywoływał mdłości jak kołysanie pokładu. Powietrze było ciężkie, zatykało gardło niby wilgotny knebel z waty. Zerwał się wicher, a morze zawrzało jak ukrop. Gdy Robinson podniósł na chwilę oczy, zobaczył na środku zatoki prawdziwy gejzer z czarnej wody, piasku i piany, podobny do olbrzymiego pióropusza. Rozchwiane drzewa tłukły się o siebie, a trzask łamanych gałęzi mroził krew w żyłach jak trzask łamanych kości.

- Boże, zmiłuj się nade mną! - szepnął Robinson. - Miej litość! Nie zabijaj!

Oblędny strach odbierał mu przytomność. Leżał twarzą w piasku, kurczowo zaciskał dłonie na korzeniach, które oplatały w tym miejscu plażę, wiążąc ją z gąszczem zarośli. Nie próbował nawet myśleć ani rozumować logicznie. Całym ciałem wtopiony był w organizm otaczającej go przyrody.

Po trzech godzinach wichury lunęła nawałnica deszczu. Drgania ziemi nie powtórzyły się już więcej.

Robinson wstał i na chwiejnych nogach ruszył w stronę groty. Drżał z obawy na myśl, że nowy wstrząs zwali mu na głowę całe Wzgórze Nadziei, ale deszcz siekł z taką siłą, że musiał szukać przed nim schronienia.

Po omacku niemal dotarł do Yorku i dotknął rękami muru. W tej samej chwili, po przeciwnej stronie, rozległo się cichutkie, drżące, nieśmiałe beczenie Barnaby...

#### SZCZĘŚLIWY TRAF

*Gdzież miałem szukać bezpiecznego schronienia, jeśli York mój nie mógł mi go zapewnić? Ptak ma gniazdo ustronne albo zaciszną dziuplę. Ryba szuka spokoju na głębini. Zwierzę kryje się w jamie wygrzebanej w ziemi. Cóż ma czynić człowiek? Gdzie mi się schronić? Za czym iść przykładem? Ptaka, zwierzęcia czy ryby?*

Barnaba jakimś szczególnym zbiegiem okoliczności uniknął zguby. U stóp Wzgórza Nadziei piętrzyły się bowiem odłamki skalne, z których najmniejszy był wystarczająco duży, aby uśmiercić słonia. W grocie woda sięgała po kostki. Była żółta i cuchnęła siarką. Szczątki posłania wgniatał w to cuchnące błoto stos gruzu, a półki piwniczne przywaliła mokra ziemia i glina. Znikły bez śladu drabina i daszek z bananowych liści. Nieprawdopodobna siła trzęsienia ziemi przyniosła natomiast aż tutaj strzaskany pień pinii. Leżał w poprzek obejścia, opierając się jednym końcem na murze, drugim na pułapie groty. Pień pinii musiał odbyć daleką drogę. W najbliższym sąsiedztwie Yorku nie było takich drzew. Niewesołe myśli trapiły Robinsona. Gdyby kataklizm zaskoczył go we śnie, nie przeżyłby zapewne tej nocy. Wystarczyło spojrzeć na olbrzymi odprysk skały, który wbił się w posłanie.

Co robić?

Strach wciąż jeszcze trzymał rozbitka za gardło. Barnaba skakał już wesoło po dziedzińcu, a on nie mógł opanować drżenia rąk na dźwięk sypiących się ze stropu kamyków.

- Trzęsienie ziemi może się powtórzyć - rozmyślał głośno. - Są przecież miejsca nawiedzane tą klęską dosyć często. Czy ta wyspa także do nich należy?

Jeśli tak, to lepiej porzucić York i zbudować chatę.

Zbudować chatę! Łatwo to powiedzieć! W jaki sposób? Bez topora? Bez piły? Znowu tym nieszczęsnym nożem?

Nagle przypomniał sobie o zbożu. Wszystkie inne troski pierzchyły wobec tej myśli.

- Na Boga! Ta strata byłaby nie do powetowania! A cóż znaczy siedemnaście kruchych łądyżek wobec siły huraganu zdolnego wyrwać drzewo i skruszyć skałę?!

Robinson wybiegł z Yorku.

Plaża zasłana była pogruchotanymi gałęziami i zawalona usypiskami kamieni.

Biegł, przeskakiwał przez wykroty, wymijał głazy, których wczoraj tu jeszcze nie było. Woda zalała potężny kawał wybrzeża, ale szybko musiała spłynąć. Wśród wodorostów łążyły kraby, a w wilgotnym mule zobaczył rybę.

Krzyż stał na dawnym miejscu, tylko przechylił się mocno. Nieco dalej szmat zarośli został zerwany z

lądu jak gruby płat skóry.

Robinson dopadł samotnego drzewa. Rękawem kaftana otarł pot zalewający oczy.

To gdzieś tutaj!

Jest!

Kępa zboża, chociaż mocno przygięta do ziemi, zieleniła się tak samo jak onegdaj. Robinson

poczuł ogromną ulgę. Delikatnie rozprostował przygięte łodyżki.

Nie. Na szczęście nie były połamane. A przecież tuż obok wrył się w ziemię wielki, czarny kamień.

Przypadek zrządził, że wpieryw uderzył w drzewo. Zdarł kawał kory, stracił na sile i dzięki temu upadł nieco bliżej. Na stopę przed kępą zboża. Gdyby tak potoczył się o tę jedną stopę dalej...

- Jesteś dzieckiem szczęścia, Robinsonie! I mimo twych niepowodzeń winienes codziennie bić Fortunie pokłony! - wykrzykiwał Robinson swoim zwyczajem, podpierając patyczkami roślinki. Każdą z nich przywiązał do podpórki pasemkiem silnej trawy. Zasiew był uratowany.

Wracał do Yorku spokojniejszy już i lepszej myśli. Bądź co bądź wyszli cało z tej przygody - i on, i Barnaba, i zboże. Cóż z tego, że ziemia popękała w szczeliny, że wichher powywracał drzewa, a morze pieni się jeszcze? Widocznie Opatrzność rządzi tym chaosem!

Zboczył właśnie ku Koziej Dolince, gdy uwagę jego zwrócił ostry szelest. Robinson przystanął.

Przez zarośla przedzierał się niezdarne olbrzymi żółw morski. Widać przyniosła go tutaj fala gwałtownego przypływu, a kiedy woda cofnęła się nagle, osiadł na mieliźnie jak niezgrabna, przeciążona ładunkiem karawela\*. Teraz toczył się wolniutko, z chrzęstem i hałasem. Krótkie, grube łapy pracowicie wiosłowały wśród gałęzi, a ciężki łeb na pomarszczonej, workowatej szyi sterował ku morzu.

- Nie, mości żółwiu! - zawołał Robinson. - Nie pozwolę ci ująć stąd tak łatwo! Znalazłeś się na moich łowieckich terenach. Trudno, rządzą nami bezlitosne prawa przyrody.

Olbrzym wytoczył się z zarośli na piasek. Robinson na to tylko czekał. Doskoczył, wyprężył mięśnie i przevalił żółwia, niby ciężki kamień, na grzbiet.

Była to najobfitsza z dotychczasowych zdobyczy myśliwskich. Do późnej nocy Robinson dzielił mięso i znosił je do groty. Na koniec zawłókł tam skorupę, ciągnąc ją jak sanie na kiju.

Zapasy żółwiego mięsa pozwoliły mu w ciągu paru dni spokojnie pracować nad uprzątnięciem groty i obejścia. Skorupę umieścił pod skałą. Spływał do niej jak do zbiornika leniwy strumyczek wody. Można było teraz czerpać do woli - skorupa zawsze była pełna.

Po kilku tygodniach York wrócił do dawnego wyglądu. Na progu zawisła nowa drabinka, wejście osłonił nowy daszek. Pień pinii pozostał na dawnym miejscu. W tym jednym wypadku huragan okazał się usłużnym pomocnikiem człowieka, Robinson postanowił bowiem zbudować dach nad podwórzem, wspierając go na tym właśnie pniu. Dach uwalniał go od konieczności przesiadywania w grotcie podczas deszczu.

Robota była już na ukończeniu, gdy w Koziej Dolince pojawiły się znowu ślady stada. Świeży trop racic wiódł prosto do wodopoju, omijając szerokim łukiem starą pułapkę.

Odkąd Kozi Król ze swoim dworem znowu pojawił się w dolinie, Barnaba posmutniał i stracił apetyt. Osowiały, łąził teraz z kąta w kąt, pobekując żałośnie.

- Co ci to, Barnabo? - zagadywał Robinson. - Chory jesteś czy ci czegoś brakuje?

Koziołek prychnął i boczył się na Robinsona. Najbardziej niespokojny był rankami, kiedy kozy schodziły do źródła. Robinson zrozumiał wreszcie. Człowiek - człowiekiem, York - Yorkiem, a koziołek tęsknił za swoim stadem i zielonymi zboczami Koziej Dolinki.

- Rozumiem cię, Barnabo - szeptał człowiek, gładząc zwierzątko po karku. - Żał mi ciebie, ale cóż mam zrobić? Jeśli wypuszczę cię z Yorku, znów zostanę sam. Bez żadnej żywej istoty w pobliżu.

Koziołek kiwał łebkiem, jakby rozumiał słowa swego pana.

- Widzisz - ciągnął Robinson - sam mi potakujesz. Zostań więc, a przyrzekam ci, że nie będziesz już więcej sam. Znajdę ci towarzystwo, Barnabo.

W Koziej Dolince, niedaleko źródła, pozostała po trzęsieniu ziemi głęboka, kilkumetrowa szczyrba.

Pęknięcie to, wypełnione kamieniami, w najszerszym miejscu sięgało półtora jarda. Robinson postanowił urządzić nową pułapkę na kozy.

- Cierpliwości, Barnabo - uśmiechnął się do koziołka; wychodził właśnie z grotu, obładowany narzędziami. - Miejmy nadzieję, że tym razem przechytrzymy Koziego Króla. Robinson liczył na przynętę. Do ulubionych przysmaków Barnaby należał pewien gatunek mchu o intensywnym zapachu i lekko słonawym smaku. Tym mchem postanowił zwabić kozy do pułapki. Gdy tylko stado wyniosło się z doliny, zabrał się do dzieła. Szczelina była dość duża i należało tylko usunąć z niej kamienie. Wyrzucał je na górę, ładował na nosze z gałęzi i odciągał w krzaki. Po kilku godzinach na dnie pęknięcia pozostała tylko pojedyncza ich warstwa. Pod nią była glina. Musiał do niej dotrzeć, aby zwierzęta, wpadając do głębokiego dołu, nie połamały nóg na kamieniach. Pracował szybko, chcąc zdążyć ze wszystkim przed zachodem słońca. Rankiem stado powinno zastać ten teren dobrze zamaskowany i założoną przynętę. Właśnie cisnął odłamkiem nieco większym niż inne i wyprostował plecy. Kamień przeleciał kilka metrów i upadł na stos innych kamieni. I w tym samym ułamku sekundy... Robinson znieruchomiał. Czyżby go wzrok mylił? Może oślepiło go słońce? Na Boga! Czy to możliwe?! Przecież najwyraźniej coś tam strzeliło wytryskiem złotych iskier! Wyskoczył z dołu i jednym susem dopadł stosu kamieni. Któryż to? Chyba ten! Nie! Ten pękł wskutek uderzenia... Ten? Także nie. To piaskowiec, miękki jak wszystkie inne. Robinson grzebał wśród kamieni, gorączkując się coraz bardziej. Tylcem noża sprawdzał ich twardość. Ten nie! I ten nie! Więc może tamten? Ręka zaciska się chciwie na wyszczerbionym odłamku. Uderzenie nożem i... strużka iskier strzela między palcami! Krzemień! Trudno uwierzyć! Gorąca fala krwi uderzyła Robinsonowi do głowy. Upadł na kolana i krzesał. Krzesał! Cały świat przestał dlań istnieć w tej chwili. Krzesał, a za każdym ciosem strzelały spod palców iskry. Ostry zapach rozgrzanego krzemienia uderzał w nozdrza. Cóż za wspaniały zapach! Jeszcze jedno uderzenie i jeszcze raz szybko gasnące iskry wyskoczyły z dłoni jak garstka świetlików. Ogień! Teraz tylko rozpalić ogień! Drżącymi z niecierpliwości dłońmi Robinson zaczął zgarniać drobny susz, pęki suchej trawy i małe gałązki okryte zeszlorocznymi liśćmi. Prędkiej! Zobaczyć znowu płomień! Zasiąść przy ognisku! Zjeść nareszcie tak, jak jadają ludzie: kawał gorącego mięsa! „Przecież teraz będzie można nareszcie oświetlić grotę! - pomyślał nagle i aż znieruchomiał z wrażenia. - A więc bezsenne, długie noce już się nie powtórzą. Mając ogień i światło, można drwić z zimna, wilgoci i ciemności!” Pokruszył jeszcze bardziej drobne gałązki, wetknął pomiędzy nie pęk suchutkiej trawy i osłaniając troskliwie to wszystko połą kaftana, uderzył tylcem noża w krzemień. Iskry padły i... zgasły. Powtórzył próbę. To samo. Spróbował po raz trzeci. Na próżno! - Prawda! Jakiż ze mnie głupiec! Przecież potrzebna jest hubka! Albo dobrze wysuszony mech. Chociażby garść próchna! Minęło kilka godzin, zanim znalazł w lesie spróchniałą dziuplę. Pełną czapę tej mączastej miazgi zaniósł do Yorku, rozsypał na szerokim kamieniu i wystawił na słońce. Mimo wszystko trzeba było czekać. - Czekaleś tyle czasu, Robinsonie - tłumaczył sobie - więc nie szalej teraz. Tak czy owak, dziś jeszcze usiądziesz przy ognisku. A tymczasem zajmij się czymkolwiek. Ale nie mógł dać sobie rady. Wszystko leciało mu z rąk. Raz po raz wracał do kamienia i przesypywał suszące się okruszki. Na koniec przemógł niecierpliwość i jeszcze raz poszedł do Koziej Dolinki. Zbudował zapadnię, zastawił przynętę i dokładnie zamaskował ślady. Już zmierzchało, gdy zdecydował się powtórzyć próbę z ogniem. Stos ułożył pod murem, na czysto wymiecionym miejscu. Pod warstwę drobnutkiego suszu wsunął skorupę orzecha wypełnioną próchnem.

Oslonił ją dobrze od wiatru i skrzesał iskrę. Bez skutku. Może nie wyszło jeszcze dokładnie? Zaciskając zęby, ponawiał próbę kilkanaście razy.

Czyżby to nie był krzemień?

Ale nie! Oto nagle iskry wznieciły zarzewie. Pochylił się nad nim i zaczął je ostrożnie rozdmuchiwać, nakrywając jednocześnie miseczkę garstką najdrobniejszego suszu.

Wąziutki, niepewny kosmyk dymu wywinął mu się spomiędzy palców. Dmuchał jeszcze raz.

Ostrożnie, najostrożniej jak umiał.

Błysnął malutki płomyk. Przeskoczył na gałązkę, popęzłał szybko w górę i już - już miał zgasnąć, gdy trafił na tulejkę wyschniętego liścia. Strzelił śmieiej, a w tej chwili Robinson podsunął mu garść suchej trawy. Ogarnął ją. Robinson powitał to dzikim okrzykiem radości!

Teraz płonął już cały stos gałęzi. Trzaskały w ogniu. Strzelały fontanną iskier. Przed Yorkiem płonęło prawdziwe ognisko, a wokół niego biegał i tańczył człowiek odziany w kozie skóry.

- Ogień! - wołał Robinson aż do ochrypięcia. - Ogień! I wciąż tylko to jedno, najważniejsze słowo:

- Ogień!

Wstęga dymu wiła się nad podwórzem, z paleniska osypywał się puszysty, biały popiół.

Pieczyste! Robinson, zajęty ogniskiem, zupełnie zapomniał o wieczery.

- Czyżbyś już tak przywykł, Robinsonie, do surowego mięsa? Czyżbyś zapomniał, do czego służy ten ogień, wokół którego tańczysz jak karaibski czarownik? Założę się o tysiąc funtów, że nie pamiętasz już smaku pieczonego mięsa! Przednia to rzecz, takie pieczyste. Popróbuj, Robinsonie! Nie sądź, że wszyscy ludzie na świecie zjadają się śliskimi małżami...

Zagadując tak, pośpiesznie odzierał z piór upolowanego w południe gołębia. Wbił go na patyk jak na rożen i podsunął do ognia. Zaskwierczało i z gorzkim zapachem dymu zmieszał się drażniący podniebienie zapach zrumienionego mięsa. Nie, nie sposób wytrzymać tak długo! Robinson wydobyl z żaru na wpół upieczonego ptaka. Parząc sobie palce i wargi, począł rwać zębami gorące, mocno przydymione mięso. Nigdy żadna potrawa nie wydała mu się tak wyborna. Dotychczas tylko zaspokajał głód. Teraz, po raz pierwszy od wielu miesięcy, rozkoszował się smakiem jedzenia. Gdybyż jeszcze chociaż szczypta soli! Ale i tak ucztą była wspianiała. Nawet woda miała tego dnia smak wina! Długo siedział Robinson przy ogniu, nasłuchując dalekiego szumu fal i pokrzykiwania nocnych ptaków. W końcu zagrzebał w popiele kawał żółwiego mięsa, przeznaczając je na śniadanie, i poszedł spać, szczęśliwszy tego dnia niż kiedykolwiek na wyspie.

„Teraz dopiero - rozmyślał, gdy sen już kleił mu powieki - teraz dopiero jestem naprawdę uratowany”.

W dwa dni później, wracając do domu przez Kozią Dolinkę, Robinson usłyszał żalosne beczenie. Zawrócił w stronę źródła i zajrzał w głąb dołu. Na dnie szamotały się dwie spore kozy. Stawały na tylnych nogach i próbowały wdrapać się po pionowej ścianie, ale ziemia kruszyła się pod racicami i zwierzęta raz po raz ześlizgiwały się na dno.

Robinson zarzucił im na rogi pętlę z lian, wydobyl je kolejno z pułapki i wierzgające zawlókł do Yorku. Nad wiązką młodziutkich liści palmowych zawarta została przyjaźń między Barnabą i nowymi mieszkańcami Yorku.

Jedna zwłaszcza z kóz wyglądała nadzwyczaj okazale. Rosła, ciężka, miała długą, spierścienioną po bokach sierść i żywe spojrzenie wypukłych, bystrych oczu. Uwagę Robinsona zwróciły jednak przede wszystkim ciężkie, pełne wymiona zwierzęcia.

Mleko! Nigdy o tym dotychczas nie pomyślał.

Przyniósł z groty największą skorupę z kokosa i ostrożnie poszedł do kozy. Drgnęła trwożliwie i usunęła się na bok, nie przestając jednak jeść zachłannie. Robinson przykucnął i końcami palców dotknął ostrożnie szorstkiej sierści na grzbiecie zwierzęcia. Kozą zjeżyła się i prychnęła gniewnie. Ręka człowieka przesunęła się powolutku. Zwierzę tyknęło groźnie cytrynowym okiem. Dłoń nie cofnęła się jednak i wreszcie pierwsza struga ciepłego mleka Zabębniła o ścianki skorupy. Kozą targnęła się gwałtownie, ale tym razem mocna ręka człowieka przykuła ją do miejsca. Skorupa napelniała się szybko pianistym płynem. Następnego dnia od rana padał deszcz. Niebo było zasnuwane, a wokół nadbrzeżnych skał kłębiła się

brudna mgła. Wracając z polowania, Robinson zбочzył w stronę krzyża. Kalendarz, znowu zaniedbany od szeregu dni, wymagał uzupełnienia. Z obliczeń wynikało, że jest siedemnasty czerwca. Siedemnasty czerwca, przenikliwy wiatr od strony morza, zimno i deszcz. Robinson przewrócił kaftan sierścią do środka i głębiej nacisnął czapę na uszy. Z daleka slychać było niecierpliwe beczenie Barnaby. Od czasu do czasu wtórowały mu głosy kóz. Zwierzęta były głodne.

- Trudno. Deszcz nie deszcz - trzeba je nakarmić. Chciałeś mieć gospodarstwo, Robinsonie, cierp teraz!

Do późna znosił do Yorku paszę dla zwierząt. Wieczorem napił się tylko mleka. Nie mógł rozpalić ognia, gdyż drzewo zamokło, a nie miał ochoty na surowe mięso.

Osiemnastego czerwca znowu padał deszcz i Robinson nie wychodził z grotu. Bolała go głowa, był senny i osłabiony.

O świcie zwłókł się z posłania zziębnięty i głodny. O ognisku ani nawet myśleć! W obejściu bajoro wody, drzewo mokre, deszcz nie przestaje padać. Drobniotka mżawka okryła całą wyspę.

- Zdziwiająco - rozprawił Robinson, stojąc przed wejściem do Yorku - jak w tym deszczu wszystko się odmienia. Zielen przestaje być zielenią, przedmioty tracą swoje zwykłe kształty. Nawet pióropusze palm zwisają jak wystrzępione szmaty.

Zabrał się do wyplatania koszyka, ale robota dziwnie mu nie szła. Przerwał ją, nawiedzany atakami dreszczy. Czyżby to była choroba?

- Nie! - odrzucił tę myśl. - Przetrwiałem przecież wielką porę deszczów, i to w znacznie gorszych warunkach. Teraz mam suchą odzież i ciepłe przykrycie na noc. Po prostu powietrze nagle się oziębiło. To wszystko.

Przez cały następny dzień wiązał sieć na ryby, zmuszając się do pracy całą siłą woli. Była to robota żmudna, wymagająca ogromnej wprost cierpliwości. Ciskał ją też raz po raz, zżymał się, złościł, targał poplątane włókna i na nowo zaczynał mozolne wiązanie oczka za oczkiem, ścięgu za ścięgiem, aż dwoiły mu się i troiły w oczach. Czuł się coraz gorzej, a dreszcze nie ustępowały.

Czyżby to jednak była choroba?

Choroba? A więc coś, czego nie przewidział. Coś znacznie bardziej niebezpiecznego niż dzikie zwierzę. Coś groźniejszego niż napad Karaibów! Ależ nie! Co za myśl?!

- Weź no się, Robinsonie, do roboty, bo wygląda na to, że szukasz usprawiedliwienia dla lenistwa! - zawołał głośno swoim zwyczajem, ale tym razem żart zabrzmiał nieszczerze. Mimo wszystko strach chwycił go za gardło.

- Zaraz... Kiedy to zaczęła się ta przeklęta febra? Ostatnią oznaczoną na kalendarzu datą był siedemnasty czerwca...

Osiemnasty... dziewiętnasty... dwudziesty...

A więc dreszcze nie opuszczają go od czterech dni, a od dwóch dni wzrasta ból głowy. Co robić? Nigdy dotychczas nie był aż tak bezradny. Trapiiony obawą, długo nie mógł zmrużyć oka, w końcu jednak zapadł w sen jak w otchłań bez dna.

Zbudził się w środku nocy, dygocąc z zimna. Zlany był potem, a czoło miał rozpalone.

A więc choroba! Był chory! Być może ciężko chory, i zdany tylko na siebie. Pozbawiony wszelkiej pomocy i rady! Zerwał się z posłania, zatoczył i oparł rękami o ścianę. Wyjść! Za wszelką cenę wyjść na zewnątrz, na powietrze! To tu, w grocie, czyha ta nieznana choroba, która pęta nogi, wlewa ogień w żyły, a zimną różgą chłoszcze po grzbiecie!

Chwyając się rękami ścian, wyszedł przed grotę. Pod progiem Yorku leżał Barnaba. Przez ułamek sekundy błysnęły w ciemnościach jego ślepia. Niebo było wysokie, wiatr pędził przez tarczę księżycy strzępy chmur. Robinson oparł rozpalone czoło o chłodną, wilgotną skałę. Usta same poszukały wody, która wąziutkimi strużkami spływała po kamieniu. Był tak osłabiony, że nogi uginały się pod nim, a księżyc zdawał się kołysać nad głową jak olbrzymia papierowa latarnia. Opierając się ramieniem o ścianę, ruszył powoli z powrotem. Długo błądził wzdłuż grotu, szukając posłania, a kiedy znalazł je wreszcie, rzucił się na nie i stracił przytomność.

CHOROBA

*I oto spełniły się słowa ojca mego. Sprawiedliwość Boża dotknęła mnie i nie było nikogo, kto by mnie wsparł lub wysłuchał. Ktokolwiek czytać będzie tę opowieść, nie domyśli się nawet, jaką grozą napelnia samotnika myśl, że oto traci siły, a nikt nie przyjdzie na jego wołanie. Nikogo nie ma w pobliżu. Człowiek jest sam i w samotności umiera.*

Nad posłaniem przybywało kresiek. Dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi, dwudziesty trzeci czerwca... Ileż to już dni trwa ta choroba?

Dwudziestego czwartego czuł się nieco lepiej. Nakarmił nawet zwierzęta i wydoił kozę. Ale kiedy pił letnie, musujące mleko, chwyciły go znowu takie dreszcze, że muszla wypadł mu z rąk i rozprysła się na kamieniach. Był tak słaby, że idąc, podpierał się dzidą jak starzec laską. I wyglądał jak starzec - wychudły, z długą brodą i poźótkłą w chorobie twarzą. Któregoś dnia spróbował rozpalić ogień, ale nie starczyło mu sił na skrziesanie iskry.

Całymi dniami nie opuszczał posłania, trawiony na przemian wysoką gorączką, to znów uczuciem przerażającego chłodu. Zęby szczękały, głowa pękała z bólu. Przez otwór wejściowy nie zastawiony płytą wnikała do Yorku wilgoć, mgła i zimne podmuchy wiatru, ale nawet myśl, że mogłoby się tędy przedostać jakieś zwierzę, niezdolna była skłonić Robinsona do najmniejszego wysiłku. Leżał pogrążony w zupełnej apatii i bezwładzie. Na odległość ramienia stały skorupy kokosowe napełnione świeżą wodą, ale i po nie przewaźnie nie miał siły sięgnąć. Zasypiał i budził się, tracił i odzyskiwał przytomność, a ilekroć otwierał oczy, liczył kreski nad posłaniem i strach jeżył mu włosy na głowie.

Dwudziesty szósty... dwudziesty siódmy czerwca... Gdy oznaczał tę datę, nóż wypadł mu z dłoni i z brzękiem potoczył się po kamieniach. Schylił się, aby go podnieść, ale krew uderzyła mu do głowy, a grota zaczęła wirować jak wnętrze obracającej się kuli. Ostatkiem sił odepchnął się od podłogi i upadł na wznak na posłanie. Dziesięć twarzy, dziesięciu towarzyszy z szalupy rozbitej przez burzę pochyliło się nad nim tak nisko, że rękami zasłonił głowę.

„Robinsonie! Gdzie jesteś? Wracaj do domu!”

Któż to woła? Głos dobrze znany i to wołanie... Jak gdyby je słyszał już kiedyś... Ależ tak! To przecież matka! Nareszcie! Znowu jest przy nim jak dawniej, ilekroć był chory. Znowu pochyla się nad nim, pełna trwogi i czulej troski. Rozepchną pochylone nad sobą twarze. Gdzie matka? Jest! Idzie długą drogą wiodącą z Yorku do Hull. Idzie, ale nie zbliża się do Robinsona. Dlaczego się nie zbliża? Ach, tak, wielka, spieniona fala zabiegła jej drogę. Fala z głową lwa, którego zabił Ksury. Kiedy to było? Tu, na tej wyspie, czy dawniej?

Powoli Robinson wyplątywał się z matni najrozmaitszych przywidzeń. Pozostała tylko twoga przed śmiercią. Obolały i udręczony skarżył się i wołał:

- Boże! Jakież ze mnie nędzne stworzenie! Jeśli choroba ta potrwa jeszcze jakiś czas, na pewno zginę! Boże, przyjdź mi z pomocą! Przyjdź mi z pomocą, Boże!

W odpowiedzi, jak dalekie echo, wracały słowa przestróg i rad, które zlekceważył przed laty.

„...Jeśli popełnisz ten krok nierozsądny, chłopcze, Bóg nie będzie ci błogosławił i przyjdzie czas gorzkich rozmyślań, gdy już nie będzie miał kto podać ci pomocnej ręki...”

Chwilami zdawało mu się, że widzi nad sobą siwą głowę ojca, pochyloną w ciężkim strapieniu.

Próbował modlić się dawno zapomnianymi słowami i cofał się przed oskarżającym spojrzeniem smutnych oczu pana Kruzoel!

Powoli wracał do przytomności, jakby dźwigał się na światło dzienne z dna głębokiej, ciemnej studni. Pomagał mu w tym ktoś, szarpiąc go mocno za rękaw kaftana. Gdzieś daleko był brzeg i w tym kierunku uniosła go hucząca fala. Na koniec wyczuł twardy grunt i przytomnie otworzył oczy.

Tuż obok stał Barnaba i tarmosił go pyszczkiem za ramię. Żywy, chociaż chudy i podobny do własnego cienia - Barnaba!

- Barnaba? Skąd się tu wzięłeś, koziołku? - Robinson objął ramieniem szyję zwierzęcia i twarz mokną nagle od łez wtulił w szorstką sierść. - Jesteś. To dobrze, że jesteś ze mną. Tak strasznie jest być samemu... - szeptał, nie starając się stłumić płaczu.

Dzień był słoneczny i pogodny. Rozbrzmiewały pokrzykiwania ptaków, a u wejścia do grotki leżała złocista plama ozdobiona wąskim skrawkiem błękitu.



- Jak długo byłem nieprzytomny? Dzień? Dwa? - Ostatnia kreska na ścianie oznaczała dzień dwudziesty siódmy czerwca. - Ale ile dni minęło od tej daty? Tego już nie da się sprawdzić. Barnaba niecierpliwiał się. Z dziedzińca dobiegało beczenie kóz. Zwierzęta były głodne. Robinson uświadomił to sobie, ale zabrakło mu sił, by wstać. Ogarnęła go nagle nieodparta senność. Odepchnął lekko Barnabę, przymknął oczy i zapadł w głęboki sen.

Kiedy się obudził, był wczesny świt. Barnaba kręcił się po grocie, wyszarpując kępki mchu rosnącego w szczelinach. Wyglądał jak szkielet obciągnięty skórą. W tej chwili na dworze rozległ się cieniutki, drżący głosik i Barnaba zastrzygł uszami, a potem parsknął zabawnie. Co to? Robinson wstał i ruszył do wyjścia, zataczając się co krok z osłabienia. W progu oślepiło go słońce. Wyspa pławiła się w nim wszystkimi barwami swojej wspaniałej zieleni. Kiedy oczy przywykły już do blasku, z ust Robinsona wyrwał się okrzyk zdziwienia!

Przytulone do zapadłego boku kozy, stało na szeroko rozstawionych, uginających się nóżkach malutkie kozłátko! Matka szorstkim językiem starała się wprowadzić ład w zmierzwionej sierści maleństwa, szukającego niecierpliwie pokarmu. Zagadkę nietrudno było rozwiązać. Młode przyszło na świat podczas choroby Robinsona, powiększając w ten sposób żywy inwentarz Yorku. Trawa i mech wyskubane były wokół do czysta i nawet gałęzie zwisające z muru - odarte i ogryzione z kory. Obejście Yorku wyglądało jak po przelocie szarańczy i Robinson, widząc to, po raz pierwszy od wielu dni roześmiał się głośno.

- Mistress! - zawołał, podsuwając głęboką muszlę pod wymiona kozy, karmiącej swe małe. - Mistress! Objadłaś mi York do czysta, razem z tym żarłokiem Barnabą. Ale nie będę miał o to żalu, jeśli w zamian użydziesz mi trochę mleka, abym i ja mógł nabrać sił i stanąć pewniej na nogach. Kwaterka koziego mleka to zbyt mało, ażeby zaspokoić głód, ale dosyć, aby go oszukać. Z trudem, odpoczywając co chwila, Robinson powłókł się na brzeg morza. Jak przypuszczał, odpływ odsłonił kolonję małży na pochyłym tarasie nadbrzeżnej skały. Robinson połykał je żarłocznie, a słony oddech rozfalowanej przestrzeni poił go uczuciem zdrowia i radości.

Na widocznej z daleka rafie łamał się w słońcu srebrzysty pas piany.

W kamiennych basenach wypełnionych płynną zielenią uwijały się stada ryb, leniwie poruszały się brunatne jeżowce, pełzały barwne ślimaki.

Nad plażą kołowały nisko białe - różowe faetony. Dalej, powyżej plaży, krzewy rozmigotane od kolibrów, łagodna pochyłość Koziej Dolinki i ciemny skraj lasu.

- Życie jest piękne! - zawołał Robinson, odetchnąwszy pełną piersią. - Przestańże już, Robinsonie, zajmować się tylko sobą! Wszystko tu na ciebie czeka! Czas najwyższy zakasać rękawy i zabrać się do roboty!

Ale sił było znacznie mniej niż zapasu. Wracały stopniowo, powolutku, jak to zwykle bywa w okresie rekonwalescencji. Nie od razu też Robinson mógł wrócić do swoich normalnych zajęć. W ciągu pierwszych dni pracował niewiele i łatwo się męczył. Suszył na słońcu drzewo i paszę dla kóz, wędził w dymie ogniska mięso. Miały to być zapasy na okres pory deszczowej i na czarną godzinę - żelazny, nienaruszalny kapitał. Po wielu próbach odkrył specjalny gatunek drzewa, które dając szczególnie dużo dymu, wydzielają przyjemny aromat: dzięki temu wędzone mięsiwo zyskiwało apetyczny, korzenny zapach.

Pewnego dnia, przy spokojnym morzu, zastawił kosz na ryby w upatrzonej zatoczce. Czekał na rezultat, zbierał wodorosty, za którymi przepadały kozy. Nagle zauważył, że na jednej ze skał błyszczy coś i szkli się w słońcu. Z bliska wyglądało to jak gruby szron.

Powąchał - nie miało zapachu.

Położył małą grudkę na języku i ostrożnie spróbował.

Była to sól.

Gdyby znalazł na wyspie kopalnię diamentów, jego radość na pewno nie byłaby większa. Zapomniał o koszu, o rybach, o czekającym nań w Yorku śniadaniu. Przez pół dnia biegał po wybrzeżu i zbierał grudki soli osadzone w szczelinach, z których wyparowała woda morską. Na koniec przyniósł do Yorku kilka sporych garści soli. Ale nawet nie to było najważniejsze. Najważniejsze było to, że wiedział teraz, jak ją w razie potrzeby zdobywać! Kiedy przypomniał sobie o koszu, już go nie było w zatoczce. Ryby wywlokły pułapkę na głębinę. Ale nic już nie mogło Robinsona zmartwić ani rozgniewać tego dnia, był bowiem

prawdziwie szczęśliwy.

Przez dwa dni zbierał sól wzdłuż całego wybrzeża, od Yorku aż po Przylądek Ocalenia. Wybierał ją z piasku, spośród drobnych kamyczków i wodorostów, przesiewał, czyścił i zsypywał do koszyka wyłożonego liśćmi. Praca ta przypominała żmudny trud poszukiwaczy złota, a dla Robinsona miała tę samą wartość.

W tym czasie również dojrzało zboże. Kłosa jęczmienia, obciążone grubym ziarnem, zaczynały się już kruszyć w palcach. Pierwsze żniwa, chociaż tak skromne, były na wyspie wielkim świętem. Któregoś dnia, biegnąc skrajem lasu za tropem Koziego Króla, który ostatnio znowu zaczął odwiedzać Kozią Dolinkę, Robinson potknął się i przewrócił na splecione, węzlastych lodygach, które w tym miejscu bujnie pokrywały ziemię. W przypiływie złości targnął lodygę i wyrwał ją wraz z wielkimi bulwami, podobnymi z wyglądu do małych kokosowych orzechów. Obejrzał je zdziwiony, a wiedząc z doświadczenia, że niczego nie należy mijać obojętnie, zabrał kłocze do Yorku. W najgorszym razie grube bulwy mogły być materiałem opałowym.

I omal tak się nie stało. Stwierdziwszy w domu, że bulwy nie nadają się do jedzenia, Robinson wrzucił je wieczorem do ogniska. Nie chciały się jednak palić, toteż przysypał je suchym drzewem i wkrótce o nich zapomniał. Kiedy jednak rozrzucił żar, aby wydobyć pieczone, zauważył, że bulwy popękały wskutek gorąca, odsłaniając zawartość podobną do białego, pulchnego ciasta. Powąchał. Woń wydała mu się nęcąca. Skosztował ostrożnie. Wyśmienite! Gorąca, mączysta masa przypominała trochę świeże ciasto, a trochę pieczone kasztany. Doskonały dodatek do mięsa!

Robinson odkrył przypadkiem pataty, ulubioną potrawę Indian.

Tego dnia długo rozmyślał przy dogasającym ognisku. Dotychczas nie znalazł właściwie „swojej” wyspy. Osiadł w miejscu, gdzie wyrzuciły go fale, i nie próbował sprawdzić, czy jest to rzeczywiście najlepsze miejsce. Bo o tym, że nie było najzdrowsze, przekonał się na własnej skórze. Po minionej chorobie pozostały pewne ślady. Od czasu do czasu dawała o sobie znać kłuciem w boku i bólem stawów. Owszem, to prawda, nigdy tu dotychczas nie głodował, wyjąwszy porę wielkich deszczów, do której nie był przygotowany. Ale ilekroć tylko zapuścił się nieco dalej, wyspa odsłaniała przed nim jakieś swoje tajemnice. Tak właśnie odkrył pataty. A banany? Po dziś dzień nic by o nich nie wiedział, gdyby nie ruszył się poza wybrzeże.

Siedząc tak przy strzelającym iskrami ognisku, przypominał sobie winne grono znalezione podczas pory deszczowej.

Płomień ogniska wspiął się wyżej i strzelił snopem iskier. Spod zmarszczonych brwi Robinson patrzył w stronę lasu, nad którym rozkrzyczał się nagle jakiś skrzydlaty drapieżca.

#### WYPRAWA W GŁĄB WYSPY

*Pierwszy to był przypadek, że nie nocowałem w domu. Przywykłem już do mojego Yorku i udając się w tę drogę, takie miałem uczucie, jak gdybym wstępował na statek ruszający w daleki rejs. Nie powiem, aby to uczucie miłe mi było i przyjemne. Ale ciekawość nieprzezwyrodną pchała mnie coraz dalej w głąb nieznanego lądu.*

Sakiewka z krzemieniem i hubką, kołczan i strzały, dzida z żelaznego drzewa...

Czapka. Pas. Stara płócienna koszula. Brać czy zostawić? Robinson obejrzał ją krytycznie. Zetłate płótno pękało, nie stawiając żadnego oporu. Na nic. Już się nie przyda. Na wyprawę w głąb wyspy trzeba brać rzeczy najlepsze i najbardziej przydatne.

Nóż! Ostrze stępione, szczyrba koło szczyrby. Stare, pocziwe żelazo! Robinson obejrzał klingę i wodząc palcem wzdłuż ostrza, badał je uważnie. Później, westchnąwszy, zwilżył wodą płaski, gładki kamień i zabrał się do ostrzenia.

Wydawałoby się, że wszystko jest gotowe. Wcisnąć tylko czapę na uszy i ruszyć w świat. Ale kiedy Robinson obejrzał rynsztunek, okazało się, że i kilku dni będzie za mało na doprowadzenie wszystkiego do ład. W kaftanie nadpruł się rękaw. Trzeba skrócić nową nić i zabrać się do szycia. Łuk prosi się o nową cięciwę. Sześć strzał to śmiesznie mało na taką wyprawę, kołczan powinien być pełny. A buty?

- Ejże, Robinsonie! Zapominasz wać o najważniejszych sprawach!

Wyostrzył nóż, uzupełnił zapas strzał i z koziej skóry sklecił nowe obuwie o twardej, podwójnej

podeszwie, przypominające kierpce szkockich górali. W marszu nie ma rzeczy ważniejszej niż buty.

- Najpodlejszy szewczyzna z Hull nie pochwaliłby twojej roboty, Robinsonie! - roześmiał się sam do siebie, przymierzając kierpce. - Ale nie przejmuj się tym. W pięknym obuwiu z safianu nie zaszedłbyś tutaj daleko. Niech tam sobie eleganci i wytwornisie wydeptują londyńskie bruki w ciźmach ozdobionych srebrnymi klamrami! Te chodaki dalej zajdą - to pewne!

Raz jeszcze obejrzał ryszstunek i poprawił uchwyty przy koszach. Czegoś tu jednak brakowało...

Słońce stanęło właśnie w pół drogi i prażyło niemiłosiernie, kiedy Robinson przerzucił przez mur resztę paszy dla kóz. Powietrze drgało od upału, ból w skroniach dawał już znać, że trzeba się schować przed słońcem. W tej chwili Robinson przypomniał sobie, czego mu brakowało w ryszstunku.

Parasol!

Zabawny sprzęt, bez którego nie ruszyłby jednak w drogę żaden z brazylijskich plantatorów.

Niezastąpiony w klimacie, gdzie deszcz tłucze jak grad, a słońce przypieka żywym ogniem. Jedyne sposoby przeciwko porażeniu.

- Bez parasola, Robinsonie, niedaleko zajdziesz w tym piekielnym skwarze!

Ba, łatwo powiedzieć: parasol. Ale co dalej? Jak go zrobić? Jak otwierać, jak zamykać?

Nie mało się Robinson nabiedził, zanim udało mu się sklecić coś, co przy sporej dozie fantazji można by nazwać parasolem. Był to daszek na kij, pokryty kozimi skórąmi, odwrócony włosami na wierzch, aby deszcz spływał po sierści. Na to, by go otwierać i zamykać, nie znalazł jeszcze Robinson sposobu.

- Nie żądaj zbyt wiele, Robinsonie! Masz prawdziwy dach nad głową - pocieszał się, przytwierdzając ostatni płat skóry do przymocowanych na kij żeberek.

Teraz dopiero, kiedy wszystko już było gotowe do drogi, ogarnęła go niepewność. Czego można oczekiwać po tej wędrówce? Co go tam spotka? Czy trafi z powrotem? Mimo wszystko, tu był jego dom na tej wyspie. Bezpieczny i zaopatrzone we wszystko, co konieczne do życia. Czy warto porzucić to, co jest, dla czegoś, co - być może - wcale nie istnieje?

Przywiązał się już do tej jaskini, którą nazwał Yorkiem, i w jakiś sposób pokochał ten skrawek lądu, na którym odnalazł życie, kiedy burza wymiotła go z szalupy. I jakże teraz porzucić to wszystko? Dom, zaczątek gospodarstwa, Barnabę? A któż może zaręczyć, czy nie zabłądzi w lesie? Któż wie, co go tam czeka?

Zachodzące słońce zabarwiło horyzont ciemną czerwiecią. Spokojne morze przelewało się fioletowymi cieniami, a smugi światła zbiegały promieniście na zachód, coraz krótsze i coraz bledsze. Robinson spojrzał w stronę lasu i dreszcz przebiegł mu po plecach. Za chwilę rozkrzyczy się tam, jak zwykle, ten sam nocny drapieżca. Przyjemniej go słuchać z głębi grotu. Las nocą ma straszne oblicze...

Nie wiadomo, co wpłynęło ostatecznie na decyzję Robinsona. Być może świt rozproszył obawy?

Może koralowy wschód słońca obudził pogodniejsze myśli? Dość, że kiedy Barnaba, szarpnięty za ucho, zerwał się na równe nogi, ujrzał swego pana z koszem na plecach, z dzidą na ramieniu i z parasolem rozpiętym nad głową.

- Żegnaj, miły Barnabo, a właściwie - do zobaczenia!

Robinson uśmiechnął się wesoło, klepiąc kozła po grzbiecie, ale oczami błędził już gdzieś wysoko, ponad Barnabą i ponad murem Yorku, jak gdyby wypatrywał najsposzniejszej drogi.

- Pilnuj mi Yorku i nie objadaj się, swoim zwyczajem, bez przyzwoitości i opamiętania. To, co zostawiam, musi wam wystarczyć do mego powrotu. Sądzę, że nie potrwa to długo. Adios!

Barnaba zastrzygł uchem i poczłapał skwapliwie do stogu trawy, Robinson zaś ruszył przed siebie.

Dzień zapowiadał się pięknie. Ostatnie nacięcie na kalendarzu oznaczało szesnasty lipca.

Wybrał drogę wzdłuż brzegów strumienia, aby nie zapuszczać się niepotrzebnie w las i łatwiej znaleźć kierunek powrotny. Była to ta sama droga, na której ongiś zaskoczył go przypyływ, toteż tym razem starał się jak najszybciej minąć zagrożony teren. Maszerował żwawo, nie zatrzymując się nigdzie. W odległości dwóch mil od Yorku, mając pewność, że przypyływ morski już tutaj nie sięga, zwolnił kroku. Słońce prażyło coraz mocniej, ale parasol osłaniał dobrze głowę i ramiona. Robinson szedł teraz powoli, rozglądając się uważnie dokoła. Postanowił poszukać korzeni kasawy, rośliny, z której Indianie

brazylijscy wypiekają chleb. Spodziewał się, że powinna rosnąć i na tej wyspie. Byłaby to zdobycz nie lada i do czasu obfitszych zbiorów jęczmienia dostarczyłaby mu mąki, nie tak smacznej wprawdzie jak ze zboża, ale równie pożywnej.

W górnym biegu strumyczek zwężał się i płynął parowem. Po obu stronach gęsty las wysokich paproci przesłaniał urwiste brzegi. Wyżej wspinały się czarne pnie drzew i mroczna kopuła gałęzi. Rozlegały się stamtąd nawoływania ptaków, łopot skrzydeł, czasem zalśniło coś w słońcu szkarłatem i szafirem lub spłynęło zgubione w przelocie kolorowe piórko.

Droga zwężała się coraz bardziej i coraz mniej wody sączyło się gliniastą bruzdą. Około południa Robinson natknął się na liczne ślady kozich racic.

A więc Kozi Król panoszy się ze swoim dworem po całej wyspie!

- Poczekaj, Kozi Królu! - zawołał Robinson w stronę, dokąd biegły ślady. - Jeszcze zejdą się nasze drogi! Jeszcześmy nie zakończyli naszych porachunków! Do czasu, Kozi Królu, drwić sobie będziesz z Robinsona Kruzoe!

Szedł teraz brzegiem parowu, szukając cienia. Po obu stronach otwierały się szerokie polany i łąki porośnięte gęstą trawą, po czym znowu las zabiegał mu drogę i spływał aż na dół gęstwiną paproci. Robinson zauważył tu kępy dzikiego tytoniu, wielkie aloesy i nieco trzciny cukrowej. Było to niezwykle cenne odkrycie i żałował, że tak mało wie o właściwościach innych roślin, które kłębiły się wokół nieprzebytym gąszczem. Ileż bogactwa, ileż możliwości kryła przed nim zazdrosna przyroda! Około południa znalazł cienisty zakątek wśród paproci i z apetytem zasiadł do obiadu. Wędzone kozie mięso i kokosowe orzechy smakowały mu po tym marszu wyśmienicie. Pochłonał w okamgnieniu porcję przeznaczoną na obiad i rozciągnął się wygodnie na rozgrzanej ziemi. Przeleżał tak, drzemiąc, dwie godziny, a gdy zelżała nieco południowa spiekota, ruszył dalej.

Dotychczas droga była łatwa, teraz jednak, im dalej się posuwał, tym więcej napotykał trudności. Parów miejscami stawał się tak wąski, że Robinson musiał się przeciskać pomiędzy napierającymi z obydwu stron ścianami zieleni. Paprocie splatały się ponad jego głowę, tworząc niski, zwarty tunel. Najwięcej kłopotu sprawiał mu w tej gęstwinie parasol i dobrze nim musiał manewrować, ażeby przebrnąć przez płataninę gałęzi. Potykając się co krok o korzenie, Robinson doszedł do zakrętu strumienia. Tuż za nim rozpościerała się na prawym brzegu niewielka, dobrze nasłoneczniona polana, porośnięta wysokimi, mięsistymi łodygami jakiejś nieznanej rośliny. Na tle ciemnej krawędzi lasu i mrocznego parowu zarośla te odbijały płamą jasnej, wesołej zieleni.

Zachęcony tym, Robinson zboczył na polanę. Ponad gęstwą wysokich łodyg polatywało stadko ptaków. Przysiadły na czubkach roślin i kołyszac się na nich, wyłuskiwały coś spomiędzy liści. Wędrowiec, zaciekawiony, przystanął. Ptaki po raz pierwszy widocznie widziały człowieka, gdyż nie zrażone jego obecnością, pogadując gardłowo, nie przerywały uczy. Robinson podszedł bliżej. Teraz je poznał. Miały szare skrzydła przecięte błękitną pręgą i grube, czerwone dzioby.

- Witajcie, grubodziobi! A więc tutaj sobie żyjecie! I to, jak widzę, nieźle wam się wiedzie!

Były to od dawna znajome ptaki. To one uczyły go niegdyś odróżniania jadalnych owoców od trujących.

Jeden z grubodziobych przysiadł tuż nad głową Robinsona. Pokręcił łebkiem, zagadnął po swojemu i rozdarł ostrym dziobem powłokę liścia. Robinson obserwował go z zadartą głową.

- Zobaczmy, co tam macie! - mruknął i ugiął łodygę.

Ptak sfrunął i przysiadł tuż obok. Wśród liści znajdowała się kolba pokryta gęsto bladożółtymi kuleczkami. Robinson wyłuskał kilka ziaren i rozgryzł w zębach. Smak miały słodkawy i mączny. W koszu było jeszcze dość miejsca, więc zerwał kilkanaście kolb, aby spróbować, jaki smak będą miały upieczone w ognisku.!

- Dziękuję wam, przyjaciele! - zawołał w stronę żerujących ptaków. - Jeśli roślina ta okaże się dla mnie użyteczna, na waszą cześć nazwę ją „grubym dziobem”. To wam uroczą przysięgam.

Była to dzika kukurydza. Dla Robinsona jednak pozostała na zawsze „grubym dziobem”.

Minąwszy łączkę, zboczył znowu w stronę parowu. Słońce chyliło się już ku zachodowi i czas był najwyższy szukać miejsca na nocleg. Na myśl o tym wędrowiec poczuł się nieswojo i przyspieszył kroku.

Jeszcze jeden zakręt i stanął nad jeziorkiem wypełniającym leśną kotlinę. Po obu stronach wysoka ściana lasu. Przed nim strumień spadający ze spiętrzonych korzeni. Co robić?

Wracać nie miał ochoty, a bał się iść dalej. Bury mrok wypełzał spośród drzew. Przyszło to, czego się najbardziej obawiał. Czekala go noc w lesie, z dala od Yorku i bezpiecznej groty.

W zadumie i pełen troski spoglądał na szeroko rozlaną wodę, w której jak węzowisko kłębiły się liany. Ale cóż to? U brzegu chwieje się jak pływający ogród jakaś olbrzymia roślina. Robinson przebrnął przez płyciznę i stanął przed kwiatem, który wydał mu się jednym z cudów świata. Zachwyty kazał mu zapomnieć o wszystkim. Przed nim rozścielały się na płytym zalewie olbrzymie liście - z wierzchu jasnozielone, pod spodem fioletowe. Wśród nich kwiaty roztaczające jakąś czarodziejską jasność. Barwy przechodzące od czystej bieli przez delikatną, różową czerwień w ognistą purpurę. Ruch przepływającej wody sprawiał, że serce kwiatu zdawało się pulsować lekko, jakby krążyła w nim żywa, gorąca krew. Robinson oniemiał z zachwyty. Stał bez ruchu tak długo, aż kwiat począł stulać płatki, a mrok zgasił na wodzie ostatnie promienie słońca. Nie zdążył już rozpalić ognia. Noc spędził na drzewie.

#### NOWE ODKRYCIA

*Mój Boże, gdybym więcej przykładał się do rozmaitych nauk, które mi za młodu usiłowano wbić do mózgowicy, miałbym życie lżejsze nawet na tej bezludnej wyspie! Ileż to razy, wędrując po niej, biadałem nad tym, że obce mi są nazwy drzew, które widzę, i ziół. Gdybym wiedział coś o nich i znał je bliżej, mniemam, iż miałbym z tego znacznie więcej pożytku. Mijałem, być może, bogactwa jak człowiek ślepy.*

Dalej był już tylko las. Wysokie drzewa, brodząc głęboko w podszyciu, otaczały gładkie zalewisko jak milczący tłum gapiów. Robinson obszedł o świcie zalew w poszukiwaniu dogodnej drogi. Ze wszystkich stron otaczała go jednak trudna do przebycia gęstwina. Tutaj widocznie, spod zielonego kożucha mchów, tryskały źródła dające początek strumieniowi.

Po obfitym śniadaniu, złożonym z kolb kukurydzy przypieczonych w popiele, Robinson ruszył w drogę. Oblegał go ze wszystkich stron żółto - bury mrok, a powietrze rozgrzane było i wilgotne jak w łaźni. Po godzinie takiego marszu oddychał z trudem, a kaftan z kozich skór lepiał mu się do grzbietu. Z początku oznaczał drzewa, ale przekonał się wkrótce, że i tak nie uda mu się znaleźć pozostawionych śladów. Trzeba iść naprzód, nie myśląc o powrocie. Pocięsział się, że w najgorszym razie wróci do domu wybrzeżem.

Las był pełen szelestów. W gęstej, uginającej się pod stopami masie gnijących liści i próchna coś ustawicznie szeleściło i przemykało. Gdzieś pnie drzew tworzyły korytarz, którym szło się szybciej i wygodniej. Czasem jednak korytarz kończył się ślepo. Trzeba było wówczas zawracać.

W jednym z takich ślepych korytarzy ujrzał Robinson białe szkieleciki ptaków i małych zwierzątek, rozsypane w gałęziach niskiego, szeroko rozrośniętego krzewu. Podszedł, zdziwiony tym widokiem. Na gałązkach pośród ostrych kolców wisały małe kosmate kulki. Kiedy pochylił się nad krzakiem, gałązka z kosmatymi kulkami wplątała się nagle w rękaw jego kaftana. Szarpnął ręką, ale w tej samej chwili inna gałązka, jak złe, kąśliwe zwierzątko, uchwyciła nogawkę spodni, a ostra igła kolca zacięła go w łydkę. Zrozumiał. Tak zginęły widocznie te zwierzątka i ptaki, których szkielety białeły w gęstwinie. Krzew czyhał tutaj na coraz to nowe ofiary. Robinson wyszarpnął rękę, oswobodził uwięzioną nogę i wycofał się ostrożnie.

Na każdym kroku towarzyszył mu krzyk ptaków ukrytych w gęstym listowiu drzew i krzewów. Leśny ludek prowadził go przez puszcze w sposób niedostrzegalny dla oka, ale tak bacznie, że Robinson czuł się osaczony ze wszystkich stron i śledzony pilnie przez setki szeroko rozwartych oczu.

Okolo południa minął rozległą polanę. Przysiadł na chwilę na skraju, obserwując igraszki młodych papug uczących się sztuki latania. Rozpostarte skrzydła odsłaniały właściwe ich barwy. Mieniły się czerwienią, lazurem i seledynem.

Zbliżało się południe i w jego skwarze powoli cichnąć zaczęły ptasie głosy. Ostatnie stadko kolibrów rozsypało się i znikło w krzakach jak garść ciśniętych w słońce klejnotów. Tuż pod nogami Robinsona przemknęła złotozielona jaszczurka i zaszyła się w puszystym mchu. Wszystko wokół zdawało się drętwieć z gorąca.

Robinson ulokował się wygodnie pod szerokimi liśćmi jakiejś rośliny. Żując od niechcienia kawałki wędzonego mięsa, obserwował, jak na polanie zamiera życie. Wkrótce senność skleiła mu powieki i ani się spostrzegł, jak na dobre zadrzemał.

Obudził go wrzask papug. Ptaki, krzyząc przeraźliwie, przeleciały nad jego głową bezładnym stadem i zakotłowały się wśród gałęzi. Zdziwiony tym, usiadł i przetarł oczy. Słońce stało w zenicie i pora południowej spiekoty bynajmniej jeszcze nie minęła. Skąd więc taki popłoch na polanie?

Tuż obok przetoczył się gruby żuk, żwawo przebierając krótkimi nóżkami. Białym podbrzuszem błysnął w trawie wąż, sunąc w tym samym kierunku. Z prawej strony powtórzyl się szelest, z lewej zadrgały kępy wysokich ostów. Wielki pajak, drzemiący dotychczas na liściu agawy, porzucił swoją sieć i przepadł w trawie. Z gałęzi pierzchał ptasi drobiazg z głośnym kwileniem.

Robinson zerwał się i ze wzrastającym niepokojem śledził tę powszechną ucieczkę. Cztery aguti\* przebiegły obok, nie zwracając uwagi na stojącego człowieka. W powietrzu czaił się strach.

- Cóż to za niebezpieczeństwo gna z głębi lasu jego mieszkańców? powódź? Pożar? Czy może dzika, rozjuszona bestia?

Co robić?

Czas ucieka bezpowrotnie, a w każdej chwili może być za późno na obronę i na ucieczkę!

Robinson rozchylił liście i wysunął się o krok na polanę. Wytężył wzrok i słuch.

Ostatnia fala drobnego ptactwa i kolorowych wążek przemknęła nad nim. Na chwilę wszystko ucichło i z głębi tej ciszy wyłaniać się zaczął szmer. Narastał powoli, nieprzerwanie, niepokojąco. Ale był on zupełnie inny niż wszystkie znane Robinsonowi leśne szmery. Wraz z nim nadpłynął przykry odór.

Robinson pociągnął nosem niepewnie. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Wokół niego działo się coś, czego nie umiał odgadnąć.

Szmer rósł pośród trawy.

Nagle nad głową Robinsona rozkrzyczała się papuga. Brzmiało to jak sygnał ostrzegawczy o nadciągającym niebezpieczeństwie. Odpowiedział jej krzyk ptaków z głębi lasu i znowu wszystko ucichło. Robinson wskoczył na niski kopczyk. Teraz dopiero zobaczył... Ale co to?

Po przeciwnej stronie wylał się z lasu jakiś czarny strumień. Toczył się szybko, chrobocząc pośród trawy, która topniała w oczach.

Zrozumiał nagle. To mrówki!

Szły kolumną szeroką na dobre sześć stóp. Robinson rzucił się przez zarośla ku drzewom, zostawiając kosz i parasol. Nie było ani chwili do stracenia. Lawina małych drapieżców sunęła, niszcząc wszystko, co napotkała na drodze. Jak pożar trzebiła trawę i listowie, pozostawiając naga, szarą ziemię.

Robinson dopadł pierwszych drzew i wspiął się na wysokość kilkunastu stóp. Tutaj dopiero odetchnął swobodniej. Wściekła armia głodnych mrówek toczyła się z głośnym chrzęstem w głąb lasu.

Kiedy po godzinie zsunął się na dół, kosz był pusty. Pozostały w nim tylko dwa orzechy kokosowe.

Wędzone mięso i płyty suszonej koźliny znikły bez śladu.

Minęło sporo czasu, zanim nieśmiało odezwały się wśród drzew ptasie nawoływania.

Pierwszy pas lasu okazał się znacznie węższy, niż można było przypuszczać. Dalej ciągnęły się z rzadka zalesione pagórki. Na południowych stokach krzewiły się dzikie melony. Było ich tak dużo, że zbocza pagórków przypominały grzędy obsadzone ręką ogrodnika.

- Melonowe Wzgórza! - zawołał Robinson, oszołomiony tym bogactwem. Nazwa nasunęła się sama i trudno było doprawdy o lepszą. Owoce miały kwaskowaty smak, ale doskonale syciły głód i zaspokajały pragnienie.

Tę noc spędził wędrowiec przy ognisku. O pierwszym brzasku, posiliwszy się kukurydzą i melonami, wyruszył w dalszą drogę.

Za Melonowymi Wzgórzami leżała szeroka, cienista dolina, osłonięta od wiatrów, pełna słońca, zieleni i zapachów. Na zboczu płytkiego jaru, który do niej prowadził, tryskało źródło i strużka zimnej, czystej wody sączyła się w głąb kwitnącej łąki. Dalej był gaj palmowy. Kolibry piękne jak motyle i motyle udające kolibry przysiadły na drzewach i kwiatkach, krążyły w powietrzu, które mieniło się tysiącem rozmaitych

barw.

- Tak musiał chyba wyglądać biblijny raj! - szeptał Robinson, zachwycony.

Zstępował ze zbocza, mając serce przepelnione podziwem i radością. Takiego zakątka nie spotkał jeszcze na wyspie. Czemuż obrał sobie siedzibę na skalistym wybrzeżu, a nie tutaj? Gdyby można było tę krainę przenieść jakimś cudem w zamieszkaną przez ludzi część świata, stanowiłaby klejnot godny królewskiej korony!

- I oto ja jestem jej królem! Ja, Robinson! - zawołał.

Odpowiedziała mu cisza. Tak... Cóż z tego, że nikt nie mógł zaprzeczyć mu praw do tej krainy? Był sam i nawet nie miał z kim podzielić się swoją radością...

Chwila smutku nie trwała jednak długo. Robinson zatrzymał się przed najbliższą kępą drzew.

Wydało mu się bowiem, że wśród sztywnych i lśniących jak blaszki liści załocilo się coś nagle i zgasło. Stał z głową zadartą do góry.

Znowu! Jakby wśród gęstej zieleni zapaliła się na chwilę złocista lampka. Sięgnął dzidą i rozchylił gałęzie. W tej samej chwili prosto pod jego stopy upadły trzy pomarańcze, a jedna z nich, najbardziej widocznie dojrzała, pękła, oblewając się sokiem. Były znacznie mniejsze niż te, które widywał w sklepie swego ojca, ale przewyższały je soczystością. Pachnące, nagrzane słońcem! Nie mógł oderwać od nich ust!

Nieco dalej - nowe odkrycie! Drzewka cytrynowe! Robinson znał te owoce z czasów swoich morskich wędrówek. Sok cytryny zapobiegał najskuteczniej chorobie zwanej szkorbutem. Zaśmiał się radośnie. Wyspa oddawała mu swoje skarby. Dolina stanowiła prawdziwą oazę! Robinson chodził po niej jak we śnie, ciesząc się każdą nieznaną rośliną.

Nad jego głową przewinał się migotliwym wieńcem korowód motyli. Zaśniły metalicznie, niebiesko, i całą chmurą obsiadły wilgotny piasek nad strugą. Jedynie ruch skrzydełek świadczył o tym, że to nie są kwiaty.

Tuż obok skrzeknęło bure zwierzątko. Wytrzeszczyło na Robinsona paciorki zdziwionych oczek i nie śpiesząc się, lekkim truchcikiem pobiegło w górę po zboczu. Odprowadził je wzrokiem aż do otworu norki, w której znikło, zamiótlszy piasek kitką rudego ogona. Zbocze w tym miejscu było prawie granatowe. Zaciekawiony, ruszył w ślad za zwierzątkiem. Winogrona! Ciężkie, granatowe kiście owoców słały się przed nim jak dywan. Były tak dojrzałe i soczyste, że pękały pod naciskiem palców! Przypomnił sobie... Tak! Kiść winogron, którą znalazł w czasie pory deszczowej, była taka sama! A więc pochodziły stąd! Z tej doliny!

- Gdyby tak przenieść tutaj cały dobytek? - rozważał Robinson. - Tutaj zbudować chatę, hodować kozy, siać zboże? Dolina jest zaciszna, klimat znacznie zdrowszy - nawet w czasie południowej spiekoty można swobodnie oddychać, tyle orzeźwiającej wilgoci kryje w sobie zieleń. Ale... Porzucić York? Wzgórze Nadziei? Przylądek Ocalenia?

Mimo wszystko trudno mu było pogodzić się z tą myślą. A poza tym stąd nie widać ani skrawka morza!

- Nie - zasepił się Robinson. - Trzeba wracać na skaliste wybrzeże. Tutaj nikt by mnie nie odnalazł. Ale kiedy nowy poranek zaróżowił wzgórze i ptaki rozśpiewały się w głębi gaju, zrozumiał, że trudno mu będzie rozstać się z doliną.

- Ejże, mości Robinsonie! Przypadły ci do serca te Melonowe Wzgórze, winnice, pomarańczowe gaje! Ale pomyśl tylko: nadejdzie pora wielkich deszczów i wszystko stanie się mokre, bezbarwne, szare. I nic ci wtedy nie zdoła zastąpić suchej komnaty w kamiennym Yorku. Zwłaszcza teraz, kiedy masz ogień. Wracaj do Yorku, Robinsonie, zanim pora deszczowa uwięzi cię w tej pięknej dolinie.

Głos rozsądku wzywał do powrotu, ale Robinson zwlekał i z dnia na dzień odkładał decyzję. Dni tych zresztą nie trawił beczynnie. Pragnął zaopatrzyć York w owoce. Liczył, że uda mu się jeszcze raz odwiedzić dolinę przed nadejściem deszczów, na razie postanowił więc zabezpieczyć zbiory, zważywszy, że w koszu niewiele się mogło pomieścić.

Przypomnił sobie, że Marokańczycy kupowali od wędrownych kupców wory rodzyneków, które były przecież suszonymi winogronami. Zebrawszy więc dojrzałe grona, porozwieszał je na drzewach, w

miejskach, gdzie słońce najmocniej grzało, i czekał. Żywił się przez ten czas owocami i świeżym mięsem gołębi leśnych, które całymi stadami żerowały na zboczach wśród winnic. Im dłużej przebywał w dolinie, tym niechętniej myślał o powrocie. Wreszcie znalazł rozwiązanie.

- Mają lordowie letnie rezydencje, czemuż byś ty, Robinsonie, nie mógł mieć tutaj Letniego Pałacu? Znużony skalistym wybrzeżem, tutaj odetchniesz zielenią. Tu możesz siać również zboże. Obrodzi na pewno piękniej niż koło Yorku.

W ciągu tygodnia w pobliżu pomarańczowego gaju i strugi stanęła altana, otoczona podwójnym pasem młodziutkiej opuncji.

- Kto wie - zapalał się coraz bardziej Robinson - może urządzę tutaj suszarnię owoców? Będę wytłaczał wino, zbuduję żarna do mielenia zboża? Można by wykorzystać do transportu przyptyw i odpływ morza w dostępnej części strumienia. Zbudować małą tratwę...

Był trzeci sierpnia, gdy Robinson spostrzegł, że rozwieszane na drzewie grona wysuszyły się całkowicie. Zebrał więc cytryny i pomarańcze, zabezpieczył część zbiorów w altanie i z koszykiem wyładowanym po brzegi wszelakim dobrem ruszył w powrotną drogę. Czas był po temu najwyższy. Kozom pewno już brakowało paszy, a przed porą deszczową sporo pracy czekało nań jeszcze w Yorku. Na zboczu granicznego wzgórza zbudował kamienny kopczyk jako drogowskaz na przyszłość. Po dwóch dniach trafił na koryto potoku, a trzeciego dnia ujrzał wierzchołek Wzgórza Nadziei. Na widok Yorku, muru, żywopłotu i kamiennej płyty tarasującej wejście poczuł, że ogarnia go wzruszenie. Przyspieszył kroku. Dom czekał nań tak, jak go zostawił...

Z daleka już rozpoznał pobekiwanie Barnaby i żalotne zawrodożenie kózłątka. Kiedy odsunął kamień i przecisnął się przez ciasne przejście, wilgotne chrapy kozła dotknęły jego rąk i twarzy.

- Witaj, Barnabo - wyszeptał i poczuł nagle, że wilgotnieją mu oczy.

#### TRZYSTA SZESZĆDZIESIĄT PIĘĆ

*Kiedy po raz pierwszy dotknąłem stopą tego lądu, sądziłem, że nie przeżyję na nim ani jednej nocy. Przeżyłem jednak i nie pożarły mnie dzikie zwierzęta. Później wydawało mi się, że lada dzień statek jakiś pojawi się koło mej wyspy i zabierze mnie stąd na swój pokład. Nie pojawił się jednak i z czasem uczyć się począłem cierpliwości. Liczyłem swoje więzienie na tygodnie, może na miesiące, ale nie przypuszczałem nigdy, że przyjdzie mi je liczyć na lata. Czas okazał się cierpliwszym rachmistrzem ode mnie.*

Szczeliny i gniazda skalne były puste. Robinson przekonał się o tym już nazajutrz po powrocie, gdy, zdziwiony ciszą poranka, wyszedł przed grotę.

Tak, ptaki odleciały w ciągu nocy. Był to nieomylny znak, że pora deszczów jest już bliska.

Zmartwiło go to odkrycie. Lekkomyślnością było przeciągać tak długo nieobecność w Yorku. Lada dzień pierwszy sztorm uderzy o brzegi wyspy. A w spiżarni tylko owoce i na każdym kroku znać brak gospodarskiej ręki.

- Nie pozostaje ci nic innego, Robinsonie - stwierdził - jak zakasać rękawy i nadrobić zaniedbania.

Na to był tylko jeden sposób; znowu twarda dyscyplina, dzień podzielony na godziny i ani chwili wytchnienia.

Robinson wybiegł na szczyt wzgórza. Może nie będzie już na to czasu ani jutro, ani pojutrze? Ilekroć wchodził tutaj, czuł jakiś ucisk w piersiach i dławienie w gardle. Gdzieś na dnie serca kołatała się odrobina nadziei, że może jednak?... Że może tym razem?...

Zawsze zabierał ze sobą na górę kilka suchych gałęzi. Ot tak, na wszelki wypadek. Z tych gałęzi wyrósł tam z czasem spory stos, gotowy do podpalenia, w razie gdyby choć najmniejszy strzępek żagla błysnął na horyzoncie. Stos rósł na szczycie Wzgórza Nadziei, ociekał wodą na deszczu, wysychał w promieniach słońca, wiatr go rozrzucał, a człowiek po sto razy porządkował i układał na nowo.

Zbudował nad tym stosem szeroki okap z palmowych liści, a pod najniższą warstwę gałęzi wsunął wielką muszlę napełnioną hubą. Spojenia muszli zabezpieczył gliną przed wilgocią. Wystarczyło teraz rozbić kamieniem muszlę, aby nawet podczas deszczu móc rozniecić ogień. Ho, ho, strzeliłby od razu płomieniem wysokim jak maszt okrętowy! Ale cóż, nie było takiej okazji...

Morze przelewało się wzdłuż brzegów, złotawe jak oliwa. Puste było jak zawsze. Snuły się nad nim



tylko samotne, białe mgiełki. Robinson wsunął pod okap gałąź przyniesioną z dołu, westchnął i ruszył z powrotem. Na dole czekał go huk roboty.

Najpilniejsza była stajenka dla kóz. Przed nadejściem pory dżdżystej trzódka musiała zyskać schronienie zabezpieczające ją od deszczów i wichrów.

Na rusztowaniu, umocowanym kamieniami na krawędzi muru, rozłożył Robinson grubą matę uplecioną z liści zszytych potrójnie grubą nicią z włókien. Na wierzchu ułożył warstwę kamieni, żeby wiatr nie zerwał mu dachu. Ściany stajni tworzył z dwóch stron załom muru otaczającego grotę, a z trzeciej - stos opałowego drzewa.

Barnaba szybko przyzwyczał się do nowego miejsca, a za przykładem Barnaby poszły również kozy i kozłatko. Po tygodniu zwierzęta same już o zmierzchu wchodziły pod dach stajni, rozumiejąc intencje człowieka.

Następnie wytyczył Robinson miejsce na okólnik poza obrębem muru. W przyszłości wybieg ten miał być połączony z obejściem zamaskowaną furtką w ogrodzeniu, na razie zaś chodziło o to, żeby obsadzić wyznaczony teren krzewami opuncji. Jeśli się przyjmą - projektował Robinson - w ciągu pory deszczowej powstanie wokół wybiegu gęsty żywopłot. Chodziło mu o zabezpieczenie paszy. W okólniku rosła gęsta trawa, wodę można tam było łatwo doprowadzić rowem. Zwierzęta zyskiwały znacznie więcej swobody, a ich pan oszczędzał sobie pracy.

Spadły już pierwsze deszcze, ale Robinson nie przerywał robót. Najbardziej kłopotliwe było znoszenie kolczastych krzewów. Próbował owijać ręce kawałkami skóry, ale to znowu utrudniało i hamowało pracę. Wreszcie zbudował coś w rodzaju sani i na nie ładował po kilka krzaków od razu. Powoli żywopłot zbliżał się do skały, która miała zamknąć zagrodę od strony Wybrzeża Nadziei.

Przez cały ten czas w obejściu tliło się pod daszkiem ognisko, nad którym Robinson wędził zapasy mięsa. Pod koniec sierpnia udało mu się ustrzelić kozę. Był to zresztą przypadek. Zwierzę, zepchnięte przez stado ze ścieżki, wpadło do dołu i złamało nogę. Gdyby nie to, Kozi Król i tym razem wyprowadziłby myśliwego w pole. W każdym razie spiżarnia wypełniała się po brzegi. Do zapasu owoców przybyło wędzone mięso, w ilości, która mogłaby zadowolić każdego oberżystę w starej, pocziwej Anglii. Robinson skłonny był już przypuszczać, że uporał się na czas ze wszystkim, kiedy przypomniał sobie o najważniejszej sprawie. Dotychczas nie pomyślał o tym, jak oświetlić grotę!

- Jak by tu zrobić świecę? I z czego?

Ubodzy wieśniacy w okolicy Yorku używali łuczywa. Zamożniejsi posługiwali się kagankiem napełnionym oliwą. Ale zdobycie na tej wyspie oliwy byłoby równie trudne, jak znalezienie wosku na świecy. Robinson postanowił spróbować łuczywa.

Eksperyment nie dał rezultatu. Szczapy spalały się zbyt szybko, dym wyciskał łzy z oczu, nie pozwalał swobodnie oddychać.

- A zatem kaganek! Nie ma innej rady.

Myślał nad tym bez przerwy, szukając jakiegoś rozwiązania. Po wielu nieudanych próbach wpadł wreszcie na szczęśliwy pomysł. Podczas pieczenia mięsa zauważył, że łój wytopiony z tłuszczu szych kawałków płonie żywym ogniem, kiedy spada w żar.

- Jeżeli płonie - rozumował Robinson - mógłby mi może zastąpić oliwę. Potrzebna jest tylko miseczka i knot. Z czego to zrobić?

Przypomniała mu się spruta pończocha. Wełniana nić nie nadawała się wprawdzie do szycia, ale można by z niej skręcić doskonały knot. Udało się. Przepojony łojem sznurek płonął łatwo, skwiercząc i pryskając. Robinson rozmieszał bryłkę gliny z wodą, ugniótł ją jak ciasto i ulepił z niej miseczkę kaganka. Z jednej strony uformował dziobek przeznaczony na knot, z drugiej - zgrabne uszko.

- Że też dotąd nie wpadłem na to! - powtarzał, oglądając wcale zgrabne naczynko. - Miał wypłatać kosze, można by lepić z gliny garnki i suszyć je na słońcu. Jeśli mięso wysycha na kamień, to czemuż by nie miała wyschnąć także glina? I nareszcie można by wypić coś gorącego albo zjeść miskę porządnej zupy. A tak mi tego przecież brakuje!

Ale słońce grzało już zbyt słabo, aby uciekać się do jego pomocy. Robinson postawił miseczkę przy ogniu. Schła tam przez dwa dni, po czym... rozleciała się na kawałki, gdy tylko wziął ją do ręki. Następna

próba dała taki sam rezultat. Robinson cisnął ze złością skorupy w ognisko i zaczął rozmyślać nad innym sposobem.

- Przyjdzie mi chyba pokłonić się znowu poczciwej palmie kokosowej - mruzczał do siebie, przerzucając wszystkie kąty Yorku w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za kaganek.

- Tak już jest, Robinsonie, z twoimi wynalazkami! Przeważnie kończy się na nożu i skorupce orzecha. Bo czymże tu się posłużyć? Muszlą? Pęknie pod wpływem gorąca. Kamieniem? Jakże go wyźłobisz? Drzewem? Spali się, i tyle.

I zrobił miseczkę z połówki orzechowej skorupy.

Tego dnia po raz pierwszy zasiadł do wieczery w oświetlonej grocie. Życie wydało mu się od razu piękniejsze!

Któż potrafi ocenić, czym jest taki nikły chociażby płomyk rozjaśniający ciemności? Ten chyba tylko, kto żył jak Robinson w zupełnej samotności, spędzając beczynnie długie, głuche wieczory. Tak, ten tylko zdoła zrozumieć, jaką wartość ma odrobina światła, która płoszy złe myśli, przywidzenia i majaki zrodzone z nocy, deszczu i gwizdzącego nieustannie wiatru.

Dzięki tej odrobinie światła York stał się jeszcze bardziej domem. Kamienna komnata groty zmniejszyła się do ludzkich rozmiarów, ściany nabrały złotych kolorów, zrobiło się nagle cieplej i zaciszniej.

Niedługo jednak trwała radość Robinsona. Zapasy tłuszczu szybko się wyczerpały. Gdy po kilku dniach znowu otoczyły go ciemności, wydały mu się tak nieznośne, jak nigdy dotychczas.

Dwie noce strawił na rozmyślaniach, jak zdobyć tłuszcz, zanim przypomniał sobie, że Brazylijczycy używają w tym celu oleju wytłaczanego z ziaren kokosowych orzechów!

I znowu palma!

Robinson przeprowadził próbę. Na rozgrzanym kamieniu tłukł kokosowe ziarna na oleistą miazgę, którą wyciskał przez starą chustę marynarską do podstawionej miseczki. Kropelka po kropelce spływał powolutku żółty olej do małego naczynia. Zauważył przy tym, że im silniej podgrzana jest miazga, tym więcej wydziela oleju. Trudność polegała na tym, że nie miał naczynia, w którym można by postawić na ogniu rozgniecione jądra kokosowe. Przez jakiś czas posługiwał się muszlą, dopóki nie pękła. później kamieniem o kształcie płytkiej miski. Kamień jednak rozgrzewał się bardzo powoli. Próbował rozmaitych sposobów, zanim wycisnął pół kwarty oleju. Ale trud opłacił się sownicie. Okazało się, że olej z kokosowego orzecha pali się znacznie oszczędniej aniżeli łój kozi. W grocie znowu zabłysło światelko.

Tak mijaly dni wśród prac gospodarskich, codziennych trosk i obowiązków. Deszcze zasnuły niebo, wyspa szarzała z dnia na dzień.

Pewnego popołudnia, licząc karby na słupie krzyża, Robinson doszedł do liczby trzystu sześćdziesięciu pięciu nacięć.

Trzysta sześćdziesiąt pięć dni! Ależ to pełny rok!

Jeszcze raz sprawdził rachunek, przesuwając z karbu na karb ostrze noża, aby nie popełnić omyłki.

Wypadło tak samo. Trzysta sześćdziesiąt pięć...

Był zatem trzydziesty wrzesień. Rocznicą pobytu na wyspie.

Rok życia.

Wsunął nóż do skórzanej pochwy, zasępił się i zamyślił głęboko. Nie czuł nawet w tej chwili, że deszcz zaczął padać i gęstniał z minuty na minutę. Ołowiane niebo wisiało nisko nad wyspą. Daleki grzmot przetoczył się nad morzem, a w lesie zawtórowało mu echo.

Robinson westchnął i owinął się szczelniej kozią kurtą. Wracił do Yorku, nie patrząc pod nogi, poprzez kałuże brunatnej wody, a w głowie kłębiły mu się rozmaite myśli...

Co za dziwaczny kaprys losu! We wrześniu wpadł w ręce korsarzy i we wrześniu wyruszył z Brazylii na tę nieszczęsną wyprawę. Trzydziestego września los uczynił go więźniem tej wyspy...

Przystanął, tknięty nową myślą:

„Przecież to właśnie pierwszego września przed dziewięciu laty uciekłem z rodzinnego domu!

Przypadek czy zrządzenie Opatrzności? A może kara za to, że porzuciłem rodziców, nie troszcząc się o ich los i samotną starość? Czy żyją jeszcze?”

Ojciec był przecież chory i miesiącami nie wstawał z fotela... Robinson Pamiętał ten ponury, ciemnawy pokój pachnący skórą i fajkowym dymem. A matka?

Ach, gdyby mógł teraz upaść im do nóg jak biblijny syn marnotrawny!

Trafiłby do domu z zamkniętymi oczami, ale czy zastałby rodziców przy życiu? Po dziewięciu latach?

Czuł, jak serce przepelnione żalem ciąży w piersiach coraz bardziej.

- Boże, jeżeli jesteś i widzisz mój żal, spraw, abym mógł wrócić chociażby po to tylko, ażeby starym rodzicom wynagrodzić te dziewięć lat ich samotności i rozpaczki! O nic więcej nie mam prawa Cię prosić - szeptał.

Tego dnia nie rozniecił ognia i pościł aż do zachodu słońca, które nad wieczorem przedarło się przez chmury i ostatkiem promieni dotknęło Wzgórza Nadziei. Wziął to za dobrą wróżbę na przyszłość i nieco lżej zrobiło mu się na duszy. Wydoił kozę, zjadł garstkę suszonych winogron, popił je wodą i dobrze po północy zasnął z obrazem domu przed oczami.

### NOWA UMIEJĘTNOŚĆ

*Człowiek zdolny jest wszystkiego się nauczyć, Jeśli zajdzie po temu potrzeba. Nigdy nie byłem krawcem ani szewcem, ani cieślą, ani murarzem, nikt mnie tego nie uczył, a na tej wyspie stałem się wszystkim. Nie będąc krawcem - szyłem, nie będąc szewcem - robiłem buty, nie znając się na ciesielce - pracowałem jak cieśla, a murarzem też byłem niegorszym, chociaż bez kielni i wapna. Rozum ludzki początkiem jest wszelkiej substancji*

Inwentarz się powiększał. W okólniku za żywopłotem pasły się już dwie kozy, koziołek i malutkie kozłę. Czuwał nad nimi Barnaba, który w ciągu ostatnich kilku miesięcy wyrósł na sporego kozła. Był jak dawniej łaskawy i przyjacielski. Ale odkąd przybyło mu kilkanaście funtów wagi, spoważniał i właściwie przestał być dawnym, skorym do figłów Barnabą.

- Zrobił się z ciebie, Barnabo, odludek! - narzekał Robinson. - Zmieniłeś się nie do poznania.

Zdziczałeś, straciłeś cały swój dowcip i zbrzydłeś nawet, jeśli założyć, że kiedykolwiek byłeś piękny. Całymi dniami wałęsasz się po pastwisku i ani ci na myśl nie przyjdzie zajrzeć do groty jak za dawnych czasów. A broda rośnie ci żółta jak u Koziego Króla. Będę musiał znaleźć sobie jakieś inne żywe stworzenie. Z ciebie, jak widzę, nie będę miał już pożytku. Pilnuj sobie stada i niech ci się zdaje, że jesteś Kozim Królem. Wcale mi nie zależy na twym przywiązaniu, rogaty dzikusie.

Robinson gderał, ale Barnaba nadal cieszył się jego względami. Często bywało, że człowiek przysiadł wieczorem przed stajenką, słuchał ciepłego posapywania zwierzęcia i opowiadał mu o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu dnia na wyspie. Barnaba strzygł uszami, merdał króciutkim ogonkiem i uprzejmie udawał, że słucha, chociaż zajęty był swoimi sprawami.

Gospodarstwo pochłaniało Robinsonowi każdą wolną chwilę. Nie Pozwalało myśleć o niczym innym i drugi rok pobytu na wyspie mijał znacznie szybciej niż pierwszy. Dni, tygodnie i miesiące deptały sobie po piętach, a przynajmniej tak się zdawało Robinsonowi, gdy w niedzielne popołudnie uzupełniał swój kalendarz.

Miniony rok nauczył go niejednego. W ciągu tego czasu przeszedł twardą szkołę. Zdobyte doświadczenia pozwalały mu teraz unikać niespodzianek, które dawniej czyhały nań na każdym niemal kroku. Najważniejsze zaś z tych doświadczeń dotyczyło pór roku i kolejności, w jakiej po sobie następowały.

Zauważył, że pory dżdżyste i suche przeplatają się regularnie, a dokładnie prowadzony kalendarz pozwala określić ich początek i przewidzieć koniec. To było ważne odkrycie i z niemalym dokonane trudem, gdyż pierwszy rok spędzony na wyspie dziwnie był pod tym względem kapryśny. W przyrodzie panuje harmonia i biada śmiałkowi, który próbowałby naruszyć ją albo złamać. Tak trzeba urządzić sobie życie, aby być z nią zawsze w zgodzie. Zbyt drogo płaci się za pomyłki. Robinson przekonał się o tym na własnej skórze. Chodziło wówczas o zboże. Przypadek tylko zrządził, że raz na zawsze nie rozstał się z myślą o chlebie.

Dwie garści jęczmienia, starannie przebrane i wysuszone, leżały w najciemniejszym zakątku groty, przeznaczone w całości na zasiew. Robinson uznał, że najwłaściwszą na to porą będzie połowa października. Na szczęście w ostatniej chwili część ziarna schował na wszelki wypadek. To go uratowało.

Przyszedł grudzień i styczeń - dni były upalne, ziemia wyschła na wiór. Daremnie Robinson dźwigał wodę i podlewał pole. Ziarno wypaliła posucha. Dopiero w połowie lutego nadeszła znowu pora dżdżysta i zagon zazielenił się skąpo wątlymi roślinkami. Ale i te zmarniały, zanim kłosa zdążyły się zawiązać. Musiał, zaciskając zęby, raz jeszcze zaczynać od początku.

Z czasem, dzięki uważnym obserwacjom, ustalił sobie kalendarz pór deszczowych i suchych.

Bywało, że dżdżysta pora przeciągała się, jak w pierwszym roku pobytu na wyspie, bywało, że kończyła się wcześniej, ale na ogół obserwacje i obliczenia Robinsona okazały się trafne. Odtąd nie groziły mu już pustki w spiżarni. Zboże, zasiane tuż przed porą deszczową, wzeszło i dało zbiór, który z nawiązką wynagrodził straty. Zasiew i zbiory odbywały się teraz regularnie, według kalendarza, dwa razy do roku. Każdy zbiór powiększał zapasy Robinsona. Wszystko jednak wciąż jeszcze przeznaczał na zasiew. Obliczył, że dopiero po upływie dwóch lat będzie mógł zamiesić ciasto i upiec pierwszy bochenek chleba. Termin był odległy, ale nie pozostawało nic innego, jak czekać cierpliwie.

Natychmiast po ustaleniu się pogody Robinson postanowił odwiedzić Melonowe Wzgórze. Wyruszył w drogę o świcie, pełen radosnych nadziei. Długo błądził, zanim trafił na kamienny kopczyk. Dolina powitała go, jak i poprzednio, całą swoją urodą barw, zapachów i dźwięków. Wszystko zastał tutaj w ładzie i porządku. Altana stała na swoim miejscu, tylko dach uszkodziły deszcze. Roje kolibrów gospodarowały wśród drzew, a nawoływania ich i świergot wypełniały całą okolicę.

Ciech - ciech - ciech - i stadko obsiadło koronę cytryny. Błysnęła jak obsypana klejnotami. Topazy, szmaragdy i ametysty pozazdrościłyby im barw i blasku.

Ciech - ciech - ciech - i drzewko nagle zgasło, a ptasi drobiazg pomknął ku Melonowym Wzgórzom. (Robinson oglądał właśnie żywoptot, kiedy w gałązkach zapaliło się coś jak rozżarzony węgielek. Zapłonął i zgasł. Po sekundzie znowu zapłonął. Gasł i rozżarzał się na przemian.

Robinson, zaciekawiony, podszedł bliżej. W gałązkach tkwiło gniazdko. Siedział w nim nieruchomo ptaszek, maleńki jak jądro orzecha. Był szary jak popiół i tylko podgardle, nastroszone purpurowymi piórkami, połyskiwało, kiedy kręcił łebkiem. Robinson rozchylił ostrożnie gałązki. Węgielek zgasł. Ptaszek siedział na gałązce nieruchomo, sparaliżowany strachem. Gdy jednak ręka człowieka wysunęła się powolutku w jego stronę, ożył nagle, sygnął Robinsonowi w oczy czerwienią i prysnął między palmami. Zostało tylko kołyszące się na gałązce gniazdko, wymoszczone suto delikatnym, białym puchem. Robinson wydobyl ostrożnie szczyptę tego puchu, rozdarł ją w palcach i skręcił jak kuleczkę waty. Czyżby się mylił? Nie! To była bawełna!

Ileż to razy widywał na pokładach statków ciężkie bele bawełny! Znał kupców, którzy dorabiali się na niej albo tracili całe fortuny. Znał kapitanów, którzy przez całe swoje życie pływali tylko z ładunkiem bawełny. Była taka sama jak ta.

Pierwsza myśl Robinsona powiązała to odkrycie z lampą. Bawełniany knot! Tego mu właśnie brakowało. A nici? Sznury? Sieci na ryby? Tkaniny?

Kolibry naprowadziły go na dobry ślad. Postanowił z niego skorzystać.

Po dwóch dniach poszukiwań znalazł dziką plantację bawełny. Był to właśnie okres zakładania gniazd i Robinson zauważył, że kolibry znoszą ze wschodu kłaczki białego puchu. Po godzinnym marszu trafił na pierwsze krzewy. Im dalej, tym ich było więcej. Wyglądały jak obsypane pierzem. Gdy podszedł bliżej, zobaczył kolczaste, zielone, pękające owoce. Z pęknięć wydobywał się biały puch. Było go tak dużo, że w ciągu godziny napelnił nim koszyk.

- Skoro ta wyspa jest moim królestwem - rzekł do siebie - to dzika plantacja bawełny z pewnością zasługuje na miano skarbcza... Pilnują mi tego skarbcza kolibry! Zabawne! One same podobne są do klejnotów! Żaden szach perski ani indyjski nabab nie ma latających klejnotów, a ty je masz, Robinsonie. Masz je i strzegą ci skarbcza.

Lekko zarzucił na plecy kosz wypełniony bawełną i roześmiał się do przelatujących kolibrów. Prawie każdy z nich miał w dziobku kłaczek puchu.

- Hej, wy! Strażnicy królewskiego skarbu! Widzę, że aż nazbyt pilnie odbieracie swoją należność. Pamiętajcie o tym, że ta bawełna należy teraz i do mnie!

Zadziwiająco urodzajna ziemia była w tej dolinie! Wszystko rosnę tutaj, kwitło i owocowało tak

wspaniale, że Robinson postanowił przenieść tu swoje zasiewy. Tym razem nie popełnił omyłki. Potwierdziły to najbliższe zbiory.

Podczas gdy w dolinie suszyły się winogrona i dojrzewały rozłożone na dachu altany melony, Robinson polował wokół Yorku, wędził mięso i wyprawiał skóry.

Któregoś dnia rozgarnął ognisko, aby usunąć nadmiar popiołu roznoszonego przez wiatr po podwórzu. Jakież było jego zdziwienie, gdy w popielisku znalazł czerwone skorupy. Wyglądały jak cegła. Długo obracał je w rękę, zanim przypomniał sobie, że kiedyś cisnął tu rozbitą gliniany kaganek. Była to zatem wypalona pięknie glina. Jakże to dziwnie bywa w życiu, że najtrudniej wpaść na pomysł, który z czasem okazuje się najprostszy!

- Oto nareszcie zostałeś garncarzem, Robinsonie! Przejadło ci się już mięso obwędzone w dymie, co? Posłuchałbyś z przyjemnością, jak w garnku bulgoce rosół?

Rosół!

Robinson westchnął z lubością. Czyż może być coś wspanialszego jak miska gorącego rosółu, a w niej udko ptasie albo tłusty kawałek koźliny? Szczególnie wtedy, kiedy padają deszcze, mgła przewala się za progami i chłód dobiera się do skóry...

Ale do tego potrzebny jest garnek!

Z materiałem nie było kłopotu. Glinki znalazło się dość na Koziej Ścieżce. Tylko... co dalej?

Przypomniał sobie Robinson plac targowy w Yorku. Ileż to razy przyglądał się garncarzom przy pracy. Kawał gliny, rzucony na obracające się szybko koło, przybierał pod lekkim dotknięciem dłoni kształt mis, garnuszków, dzbanków o wąskich szyjach i baniastych brzuchach. Zeskakiwały z koła idealnie równe, zgrabne i piękne w proporcjach.

Ale Robinson nigdy nie starał się patrzeć tak uważnie, ażeby zapamiętać, jak wygląda takie garncarskie koło. Wiedział tylko, że zbudowane jest w sposób bardzo prosty. Garncarz naciskał stopą drewniany pedał, pedał poruszał małe kółko, a to kółko z kolei wprawiało w ruch duże koło, na którym pod naciskiem dłoni wyrastały naczynia rozmaitej wielkości i kształtu. Ale jak były umieszczone te kółka? W jaki sposób połączone były z drewnianym pedałem? Nie, tego Robinson w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć. Wiedziałby, jak zbudować dom, czółno, ba, nawet cały statek! Zwykłego koła garncarskiego nie umiałby jednak zrobić. Ale przecież i dzikusy klecą jakoś swoje naczynia...

Pewnego dnia Robinson zbudował piec do wypalania naczyń. Wykorzystał w tym celu szczelinę skalną, tworzącą naturalny komin w ścianie Yorku, nieopodal grotu. Obudował ją półkołem płaskich kamieni na wysokość trzech stóp, a szczeliny poutykał mchem wymieszanym z gliną. Obmurowanie to miało chronić płomień przed wiatrem, aby żar nie tracił na sile.

- Jak długo trzeba wypalać surową glinę? - zastanawiał się Robinson. Skorupy, które znalazł w ognisku, musiały tam leżeć dobrych kilka dni, zanim stwardniały na kamień!

Zaczął według dawno obmyślnego sposobu. Wybrał jeden z koszyków i wylepił go wewnątrz gliną. Ale gdy odstawił go na słońce i sięgnął po następny, zrozumiał, że popełnił głupstwo.

- Ależ, Robinsonie! - zawołał, uderzając się w czoło. - Przecież kosze same nie spadają ci z nieba! Czyż po to je wyplatałeś całymi dniami, aby teraz spalać jeden po drugim? Byłeś przecież kiedyś kupcem i znałeś się na cenach rzeczy. Ta cena jest nazbyt wysoka. Będziesz miał garnki, a pozbędziesz się koszy. Wówczas w garnkach będziesz musiał przechowywać to, co teraz przechowujesz w koszach, i tym sposobem nie będziesz miał ani garnków, ani koszy. W Gwinei robiłeś, mój kochany, lepsze interesy, a byłeś wówczas chłopcem i pstro miałeś w głowie. Broda ci rośnie, a rozum kurczy się zadziwiająco! Zabierz no się inaczej do dzieła. Ten koszyk możesz poświęcić, ale na tym koniec. Znajdź inny sposób. Palnąwszy sobie takie kazanie, Robinson podrapał się za uchem, wiedząc, co go czeka. Ten inny sposób nie był właściwie żadnym sposobem.

Naprzód ułożył na płaskim kamieniu dno. To było całkiem proste i łatwe. Kłopoty zaczęły się dopiero wówczas, kiedy zaczęły formować boki. Glina kruszyła się. Pod ciężarem górnej części naczynia załamywała się część dolna, aż wreszcie zbyt ciężkie ucho wyrwało kawał bocznej ścianki. Robinson omal nie cisnął wszystkiego. Po namyśle jednak nie dał za wygraną.

Gdy po raz dziesiąty chyba zabierał się do ugniatawania gliny, wzrok jego padł na melony

dojrzewające na gachu stajenki. Było wśród nich kilka większych, o nieco wydłużonym kształcie, takim właśnie, jaki bezskutecznie pragnął nadać swoim naczyniom. Pomysł przyszedł tak nagle, że Robinson aż usta otworzył, dziwiąc się samemu sobie. Po chwili największy melon leżał już przed nim na ziemi. Ściął nożem wierzchołek owocu, wybrał zawartość i wyskrobał ścianki, aż pozostała tylko cienka i twarda skorupka. Po usunięciu miąższu była lekka, znacznie lżejsza niż koszyk tej samej wielkości. Nadawała się doskonale na formę. Robinson oblepił ją od strony zewnętrznej warstwą gliny i osadził na podstawie w kształcie koła. Z odległości kilku kroków przyjrzał się naczyniu uważnie.

- W ogniu wypali się glina - rozważał głośno - a skorupka ulegnie zwęgleniu.

W ślad za pierwszym poszły dwa następne melony. Robinson wpadł w taki zapał, że z pozostałej gliny sklecił jeszcze kilka misek różnej wielkości, chociaż niezbyt pięknego kształtu, gdyż tym razem jako formy używał okrągłego kamienia. Wieczorem, kiedy glina podeszła na słońcu i wietrze, wstawił naczynia do pieca i rozpałił ogień. Przez pół nocy czuwał przy piecu, pełen nadziei i obaw. Wreszcie zauważył, że naczynia są czerwone, a jedno z nich zaczyna się topić. To piasek zmieszany z gliną powoli zamieniał się w szkliwo. Robinson zaczął stopniowo zmniejszać płomień, bojąc się, że naczynia popękają. Z wolna traciły swoją ognistą czerwoność, ale na wszelki wypadek pozostawił je w piecu tak długo, aż żar wygasł zupełnie.

Był już świt, kiedy zasnął, zmęczony całonocnym czuwaniem. Śniły mu się całe masy garnków, rozmaitej wielkości i kształtu, które biegały za nim po wyspie, posłuszne jak małe pieski. Był to pierwszy sen Robinsona na wyspie, który nie napoił go po przebudzeniu goryczą. Przed nim, w ostygniętym piecu, stały najprawdziwsze garnki!

Największy podobny był do wiaderka i zachował na zewnętrznej stronie rysunek plecionki kosza.

Drugi, uformowany w rękach, był raczej karykaturą naczynia aniżeli garnkiem. Ale i ten nie przeciekał, a że był dosyć pojemny, Robinson z zadowoleniem obejrzał go i ostukał. Trzy dalsze naczynia, o których kształcie zadecydowały melony, wyszły najzgrabniej. I nic w tym dziwnego: zachowały piękny kształt owoców. Nic też nie można było zarzucić miskom ani talerzom. Robinson z zadowoleniem zatarł ręce.

- A teraz zabierzemy się do gotowania obiadu! Będzie to ogniowa próba tych wspaniałych naczyń, Robinsonie!

Dwie blisko zsunięte płyty kamienne zastąpiły blat kuchenny. Między nimi umieścił Robinson duży garnek. Pod spodem rozłożył ognisko. Do garnka napełnionego osoloną wodą wrzucił tłusty kawałek koźliny, wypatroszonego gołębia, kilka obranych patatów i rozgniecione ziarna kukurydzy zamiast mąki i kaszy. Ciekaw był, co z tego wyniknie, toteż śpieszył się tak, że wszystko leciało mu z rąk. Pokrywkę zastąpiła szeroka, płaska muszla.

Kozy wylazły właśnie ze stajenki i obstały Robinsona. Barnaba nieufnie obwąchiwał garnki.

- Chodźcie bliżej! - zachęcał Robinson zwierzęta. - Patrzcie, jak wasz pan zasiądzie zaraz do uczy! Zapewniam was, że nawet Kozi Król nie jada przy tak wspaniale zastawionym stole!

Na kokosowych liściach rozłożonych na kamieniu postawił głęboką miskę, obok zaś położył łyżkę z majstrowaną z muszli osadzonej na trzonku. Pół kokosowego orzecha, garść suszonych winogron i melon zastąpić miały deser. Tuż obok stał dzban ze świeżą wodą, do której Robinson wcisnął pięć najdorodniejszych cytryn.

- Jeżeli uda mi się zupa, dostaniecie po garsteczce soli! Dziś jest święto, wiedźcie więc, że i o was pamiętam - zagadywał do kóz, które nieruchomo stały wokół stołu.

Obiad smakował Robinsonowi wyśmienicie. Garnek zupy opróżniony został doszczętnie, a mięso ogryzione do kości. Pataty i ziarna kukurydzy nadały zupie odpowiedni smak i gęstość. Tego dnia Robinson próżnował już do wieczora.

Zbiory owoców były w tym roku równie obfite, jak w zeszłym. Pięknie obrodziła kukurydza. Spiżarnia w Yorku pęczniała od zapasów. Solone i wędzone mięso, cytryny i pomarańcze, banany i orzechy kokosowe, łuskane ziarna kukurydzy - wszystko to wypełniało półki i kosze. Nad garncarskim piecem, który służył teraz za kuchnię i wędzarnię, zbudował Robinson szeroki okap.

Pora deszczowa zastała go w dobrze zagospodarowanej grocie. Objadał się teraz za wszystkie czasy. Śniadania składały się z gorącej mlecznej zupy na ziarnach kukurydzy, obiady były obfite i

urozmaicone, wieczorami piekło w popiele pataty i kozie mięso. Wyglądał czerstwo, nabrał sił i czuł się doskonale.

Tak pośród codziennych zajęć minęła druga rocznica lądowania na wyspie i trzecie Boże Narodzenie, podobnie jak poprzednie, wypełnione wspomnieniami i tęsknotą.

Stos na szczycie Wzgórza Nadziei spoczywał nietknięty jak dawniej...

OGIEŃ, KTÓREGO ROBINSON NIE ROZPALIŁ

*Kiedy majtek na bocianim gnieździe obwołuje ziemię, nawet kuchcik z kambuza wybiega na pokład. Wszyscy tłoczą się u burty i patrzą. Wzruszenie tamczas oddech i chciałoby się dodać siły żaglom, ażeby prędzej już dotknąć stopą suchego łądu.*

*Ale bywa także inaczej. Kiedy sztorm szarpie płótna i obala maszty, grozą przejmując obraz ziemi pędzącej pod dziób okrętu.*

*Jedno i drugie przeżywałem uczucie, stanąwszy razu pewnego na południowym krańcu mojej wyspy.*

Trzynastego kwietnia nad ranem obudził Robinsona gwałtowny wstrząs. Zerwał się na równe nogi.

Głuchy pomruk dudnił w głębi groty, a w powietrzu unosił się jakiś ostry zapach.

Trzęsienie ziemi?

Jedno już przeżył i wiedział, czym to grozi. Sądząc, że za chwilę kamienny strop runie mu na głowę, rzucił się w stronę wyjścia. Kalecząc po ciemku pałce, odwalił kamień. Na dworze jasno było jak w dzień. Prawie nie dotykając sznurowej drabinki, zsunął się w dół. Zeskoczył wprost pomiędzy kozy stłoczone ciasno wokół Barnaby.

Na szczycie Wzgórza Nadziei, wysoko nad wejściem do groty, strzelał jasnym płomieniem stos sygnałowego drzewa!

Robinson, stojąc na środku oświetlonego podwórza, czuł, że oblewa się zimnym potem.

„Dzicy!” To była pierwsza myśl. Ktoś przecież musiał podpalić to drzewo! Sparaliżowany strachem, czekał, kiedy świsną mu koło uszu pierwsze strzały napastników. Był pewny, że tajemnicze ręce naciągają właśnie cięciwy wojennych łuków. Nóż, dzida - wszystko, czym mógłby się bronić - zostało w grocie...

W tej chwili pręga jaskrawego szkarłatu rozdarła horyzont nad lasem i łoskot gromu ogłuszył na chwilę Robinsona. Zrozumiał. Trwoga zaciskająca krtań rozluźniła swój uchwyt i strach ustąpił miejsca nagłej radości. To burza! Zbliżał się huragan i drzewo zapaliło się widocznie od piorunu. A więc nie napał, na szczęście.

Po chwili czoło nadciągającej burzy uderzyło o Wzgórze Nadziei. Zbocza tętniły głucho jak człowiek, który zarzuca na barki ciężar ponad siły. Wiatr zagwizdał ostro w szczelinach, zagarnął ze szczytu płonący stos gałęzi, rozsypał go na miliony iskier i zdmuchnął w głąb wyspy.

Robinson widział jeszcze, jak złocisty warkocz leci nad Kozią Dolinką, i przeskoczył próg groty.

Wiedział, że za chwilę rozpęta się wokół Yorku prawdziwe piekło. Pora deszczowa kończyła się jak zwykle wielkim szaleństwem w przyrodzie.

Od kilku tygodni wichry znęcały się nad wyspą. Korytem strumienia waliła woda, morze dźwigało się ku niebu, a bicze deszczu chlustały bez ustanku ziemię. Ale w kręgu światła, w grocie, której wejście osłaniała kamienna płyta, można było o tym wszystkim nie myśleć. Ściany tłumiły odgłosy burzy, po grubej warstwie suchego mchu chodziło się jak po puszystym dywanie.

Robinson planował nową wyprawę, plółł kosze, zajmował się krawiectwem.

Piętnastego kwietnia pod wieczór huragan ucichł i noc minęła spokojnie. W ciągu następnego dnia wyspa parowała w słońcu jak wielki kocioł gotującej się wody. Kłębiły się nad nią mgły - zapowiedź nadchodzących upałów i suszy. Niebo było błękitne, wszystko wokół wybuchło zielenią, rozkrzyczały się ptaki, morze rozlało się płasko i nieruchomo.

Tego dnia Kozia Król podszedł aż pod mur Yorku, zwabiony beczaniem kozłat zamkniętych w obejściu. Była to śmiałość niebywała. Zanim Robinson zdążył przynieść łuk i strzały, brodac, beknąwszy pogardliwie, oddał się ciężkim klusem i znikł w zaroślach. Spotkanie to dopiekloby Robinsonowi do żywego, gdyby nie to, że głowę miał teraz zaprzątniętą czym innym.

Nurtował w nim plan zwiedzenia całej wyspy. Dotychczasowe odkrycia, wspaniała dolina powyżej źródeł strumienia, dzika plantacja bawełny - wszystko to utwierdzało go w przekonaniu, że warto pokusić

się o nową wyprawę. Tym razem miał zamiar przejść wyspę w poprzek i dotrzeć do przeciwległego brzegu. Ponieważ czekały go zbiory zboża, kukurydzy i owoców, postanowił ruszyć natychmiast. Przygotowania tym razem nie trwały długo - poświęcił im przecież niejedną wieczór podczas pory deszczowej. O paszę dla kóz nie potrzebował się także kłopotać. W okólniku weszła gęsta trawa, a żywopłot pokrył się listowiem. Toteż gdy tylko ustaliła się pogoda, napełnił kosz żywnością, zarzucił łuk na ramię i zabezpieczywszy wejście do Yorku, wyruszył starym, dobrze znanym szlakiem, wiodącym w górę strumienia.

Po dwudniowym marszu dotarł do wylotu doliny.

Zawsze z jednakim wzruszeniem i zachwytem witał to miejsce. W altanie zastał całą rodzinę zajęcy, które zagospodarowały się tu na dobre i porły ziemię mnóstwem płytkich tuneli. Nie okazywały wcale trwogi i niechętnie ustępowały przed człowiekiem, traktując go jak intruza na swoim podwórku. Rad nierad, pozostał więc z nimi w altanie. Wyniosły się dopiero nazajutrz, spłoszone dymem ogniska.

Rozejrzawszy się w swym letnim gospodarstwie, Robinson stwierdził, że nie ma tu dla niego na razie roboty. Zboże weszło pięknie, łąn zazielenił się gęstą runią, zbiory owoców zapowiadały się obficie. Ziemia nasycona wilgocią nie potrzebowała jego pomocy.

- Wiem, wiem, Robinsonie - mrucał do siebie, karcąc podszepty lenistwa - gotów jesteś szukać byle pretekstu, żeby tu pozostać. Rozleniwia cię ta dolina. Ale nic z tego, kochaneczku. Znamy się aż nadto dobrze. Dostycy wykrętów! Nie trać czasu na próżno!

Wyruszył nazajutrz o świcie zboczami stromych pagórków na zachód, w stronę morza. Minąwszy dolinę, trafił na ślady kóz, a po godzinie marszu ustrzelił zająca, który przebiegł mu drogę. Musiało ich być tutaj sporo. Młodziutki pęd krzaków ogryzione były dokładnie z kory. Odkrycie to zaniepokoiło Robinsona. Zające i zasiewy to niebezpieczne sąsiedztwo. Kto wie, czy gryzoniom nie trzeba będzie wypowiedzieć wojny? Nie miał ochoty zaczynać po raz trzeci od nędznej garsteczki ziarna.

W ciągu dnia wędrowiec robił teraz przeciętnie dwie mile. Zbaczał często z drogi, zawracał, kluczył, starając się wszystko jak najdokładniej obejrzeć i zbadać. Noce spędzał przy ognisku. Spał tak czujnie, że budził się natychmiast, gdy trzeba było dorzucić drzewa. Dzikie zwierzęta boją się ognia. Unikają go także węże i jadowite pająki. Robinson wiedział o tym i ogień dawał mu poczucie bezpieczeństwa.

Po kilku dniach wędrówki ze szczytu wzgórza zobaczył morze.

Dzień był wyjątkowo jasny, powietrze przejrzyste, tym bardziej więc zaniepokoiła go wąska, nieruchoma, prawie granatowa chmura zamykająca horyzont.

Czyżby się zbierało na burzę? O tej porze roku? Cisnął parasol i obiema dłońmi osłonił oczy od słońca.

- Cóż to?

Chmura na horyzoncie nie była granatowa. Była zielona. Miejscami jaśniejsza, gdzie indziej prawie czarna, ale - zielona.

To ziemia! Porwał parasol, zbiegł pędem ze wzgórza i bez tchu prawie wdarł się na następne, położone bliżej brzegu.

Nie, nie mylił się. To była ziemia. Wąziutki pas łądu ciągnący się od zachodu w odległości jakichś piętnastu, może dwudziestu mil morskich od wyspy. Dołem - skały i plaża, wąska, biaława smużka. Reszta jak gdyby zawisła w powietrzu. Dlatego w pierwszej chwili sądził, że to chmura. Teraz rozpoznał dokładnie ponad smugą plaży grzbiet lasu i korony palm.

- A więc ziemia. Byłoby to możliwe?

- Czy to nie majak?

- Wyspa czy kontynent?

- Do jakiej części świata należy?

- Kto ją zamieszkuje?

Jedno za drugim, gorączkowo tłoczyły się pytania. Nie umiał na nie znaleźć odpowiedzi. Dopiero po dobrej chwili, kiedy ochłonął z pierwszego wrażenia, zaczął rozumować spokojniej.

Już na oko sądząc, łąd ten musiał być większy niż jego wyspa. Żeglarskie doświadczenie nie mogło Robinsona mylić. A jeśli był większy niż wyspa, mógł przecież stanowić część kontynentu. Mógł być



krawędzią stałego lądu! Progiem posiadłości hiszpańskich!

Jak się tam dostać? Bez łodzi nawet myśleć o tym niepodobna. Na tratwie? Ileż to może być mil?

Trzeba by mieć dobrą szalupę.

Przypomniał mu się Ksury i łódź z trójkątnym żaglem, na której przepłynęli tysiąc mil wzdłuż brzegów Afryki. Tu było ich wprawdzie tylko dwadzieścia, ale droga wiodła w poprzek cieśniny. A cieśnina nie wyglądała bezpiecznie. Przyjrzał się jej uważnie. Grzebień raf, wybiegające głęboko w morze, dzieliły ją na groźne baseny. Musiały tam być wiry i lokalne prądy, których nie sposób przewidzieć ani ominąć bez dobrego żagla i pewnego steru.

Robinson opuścił bezradnie ramiona. Więc nie ma nadziei? Ale jeżeli ten ląd należy do Hiszpanów i stanowi krawędź kontynentu, to przecież tędy prowadzić musi jakiś szlak żeglarski! Więc może tutaj przenieść całe gospodarstwo? Osiedlić się u stóp tego wzgórza?

Raz jeszcze przebiegł oczyma horyzont. Powlekała go teraz gęstniejąca mgiełka, w której roztapiały się powoli kontury dalekiego lądu. Od strony morza powiało chłodem.

Nie, cieśnina nie wygląda na to, aby po niej kursowały statki. Robiła raczej wrażenie dzikiej i niedostępnej.

A jeżeli tam nie ma Hiszpanów? Jeżeli tam są... Robinson nie śmiał wy - mówić słowa „Karaibowie”.

Przytłumiony już nieco i zapomniany lęk odezwał się ze zdwojoną siłą.

Zanim pierwsi biali wylądowali na tym kontynencie, osady Karaibów rozciągały się wzdłuż rzeki Orinoko aż po Amazonkę. Był to jeden z najliczniejszych ludów zamieszkujących tę część Południowej Ameryki. Hiszpanie ogniem i żelazem wypierali ich na północ. Opuszczając spalone chaty i ziemię, która ich żywiła od wieków, Karaibowie poprzysięgli białym prześladowcom zemstę. Przysiędze tej byli wierni, jak świadczyły krążące o nich straszne opowieści. Robinson znał je dobrze.

Karaibami czarne piastunki straszyły dzieci brazylijskich plantatorów. Żeglarze, zagnani przez niepomyślne wiatry w pobliże siedzib Karaibów, bledli na sam dźwięk tego słowa.

Na myśl o Karaibach Robinson czuł, że drętwieje z przerażenia. Nie mógł oderwać wzroku od zasnutej mgłą smugi lądu na horyzoncie. Bo jeżeli tam nie ma Hiszpanów?...

A tak chciał wierzyć, że nie grozi mu już tutaj żadne niebezpieczeństwo!... Był przekonany, że pierwszym człowiekiem, którego zobaczy na swojej wyspie, będzie Anglik albo Hiszpan. Ta wiara zachwiała się w nim teraz. Po raz pierwszy pomyślał, że może być inaczej...

Słońce pograżyło się z wolna w morzu i Robinson ocknął się z zamyślenia. Najwyższy czas rozejrzeć się za noclegiem. O kilkaset jardów na północ dostrzegł niewielką kotlinkę osłoniętą stromymi skałami. Tam postanowił rozłożyć ognisko i zanocować.

Droga do kotlinki wiodła usypiskiem kamieni. Robinson szedł ostrożnie, żeby nie zwichnąć nogi. Był zmęczony i głodny. W koszu miał comber zajęczy i myśl o kolacji dodała mu nieco otuchy. Ostatecznie, jak dotychczas, nie miał powodów do obaw.

Przeskoczył z kamienia na kamień, gdy nagle zatoczył się i o mały włos nie upadł. Kamień wymknął mu się spod nóg. Robinson przystanął zdziwiony. Szeroka, wypukła płyta zsuwała się szybko w dół. Cóż to takiego?

Tuż obok rozległ się cichy zgrzyt. Robinson spojrzął w drugą stronę. Z usypiska wypelzał wolniutko znowu jeden kamień, równie szary, jak pozostałe.

Nie do wiary! Żywe kamienie!

Przyjrzał się ruchomemu przedmiotowi i wybuchnął śmiechem. Żółwie! Widocznie wygrzewały się tutaj w ciągu dnia, a on zakłócił ich spokój. Cisnął kamieniem. Trzeci żółw poruszył się na usypisku i podreptał w górę.

Na wybrzeżu Robinson znalazł jak dotąd tylko jedną pustą skorupę i jednego żywego żółwia. Tutaj, po tej stronie wyspy, w ciągu minuty zobaczył cztery. Bo właśnie czwarty żółw szorował w dół po kamieniach.

Było już prawie ciemno, gdy Robinson dotarł do kotliny. Zrzucił rynsztunek i zabrał się do zbierania drzewa. Zbudował palenisko, ale kiedy sięgał po krzemień, ręka znieruchomiała mu w powietrzu.

Daleko, ponad zaroślami, płonęła bladą czerwienią łuna.

Zerwał się na równe nogi, nie wierząc własnym oczom. Była to najwyraźniejsza łuna pożaru albo wielkiego ogniska!

„To gdzieś blisko brzegu! - myślał gorączkowo. - Nad samym morzem!”

Czy to możliwe, żeby ten ogień zaprószył głównie rozniesione przez burzę ze Wzgórza Nadziei?

Głupstwo! Ileż to dni minęło od tego czasu!

Czyżby piorun? Ale nie było przecież burzy!

A więc - Karaibowie!

Strach wrócił i schwycił Robinsona za gardło. Odżyły nagle w pamięci straszne opowieści.

Pozostawiając wszystko, rzucił się do ucieczki.

POLLY

*Ludy pierwotne - jak wiemy ze słów innych żeglarzy i z własnego doświadczenia - wierzą głęboko, iż każdy łód, każda wyspa, każda niemal kraina ma swego dobrego albo złego ducha. Jego tam władza sprawuje się tajemnie, z jego rozkazu szczęście lub nieszczęście chodzi w ślad za człowiekiem. On patroluje pomyślnym lowom, zgodnie z jego wolą wyrastają plony, on wie o wszystkim i jest w każdym miejscu. Kiedy rozmyślam nad tym, czy i moja wyspa takiego miała opiekuna, Kozi Król zawsze staje mi przed oczami.*

- Polly. To jest twoje imię, moja miła. Barnaba ma swoje i ty musisz mieć swoje. Będziesz się nazywać Polly.

- Pol - ly! Pol - ly!

Powtarzał imię wyraźnie i powoli, żeby papuga zrozumiała wreszcie, że to o niej mowa. Siedziała na koszu odwróconym dnem do góry, trochę jeszcze nastroszona, ale wyraźnie już zainteresowana głosem i zachowaniem człowieka.

- Polly. Będziesz się nazywać Polly.

Na dźwięk tego słowa przechylała łebek ozdobiony wysokim, szkarłatnym czubem i raz po raz otwierała i zamykała dziób, jak gdyby naśladować ruch ust Robinsona, który powtarzał cierpliwie:

- Ja nazywam się Robinson. Ro - bin - son Kru - zoe. Ty jesteś Polly. Powtarzaj za mną: Pol - ly.

Papuga rozdziawiła dziób i skrzeknęła chrapliwie, a Robinson roześmiał się głośno.

- Widzisz? A dotychczas udawałaś niemowę! Nauczysz się. Jestem tego pewien. Widziałem w Hull papugę, która mówiła po hiszpańsku. Należała do pewnego Szkota pływającego na portugalskim brygu. Nosił ją na ramieniu, a kiedy mówił, przerywała mu co chwila, wtrącając swoje hiszpańskie wrzaski. To była najgadatliwsza z papug, jakie widziałem w życiu. Chciałbym cię nauczyć chociaż połowy tego, co umiała tamta! Sądzę, że to jest możliwe, jeśli się okaże, że nie jesteś takim leniuchem, na jakiego wyglądasz. I co ty na to, Polly?

Papuga pokręciła łebkiem. Jej oczka, przypominające czarne, wypukłe koraliki w jaskrawopomarańczowej otoczce, błyszczały żywo i rozumnie. W odpowiedzi na pytanie Robinsona raz jeszcze otworzyła dziób i przytknęła go szybko, tym razem nie wydając żadnego dźwięku. Była rzeczywiście leniwa.

Robinson skrzywił się, ale nie dał za wygraną. Cierpliwie zaczął znowu powtarzać imię nadane papudze. Polly słuchała go uważnie, kołysząc się z boku na bok i przestępując z nogi na nogę. Już od dziesięciu dni była gościem Robinsona. Zadomowiła się i wszystko przemawiało za tym, że na zawsze pozostanie w Yorku. Miała zwichnięte skrzydło. Robinson przyniósł ją ze swojej ostatniej wyprawy, zakończony sromotną ucieczką z południowego wybrzeża.

Nie lubił wracać myślą do tej przygody, tym bardziej że zagadkowa łuna wciąż jeszcze napawała go niepokojem. Gdybyż mógł o niej nie myśleć...

Wyrzucał sobie, że uciekł, zamiast podczołgać się bliżej i sprawdzić wszystko dokładnie. Byłoby stokroć lepiej znać całą prawdę, niż błądzić po omacku wśród tysiąca podejrzeń i domysłów, które nie dawały mu spokoju, zatrzymywały każdą chwilę i mąciły sen w nocy. Kto mógł rozpalić to ognisko? Kto przy nim siedział?

A przecież przyczyna powstania ognia i łuny mogła być najwyklesza pod słońcem. Byle iskra, zaproszona w czasie ostatniej burzy i tłać się w spróchniałej dziupli drzewa, mogła wywołać pożar.

Ale jeśli to był statek? Żaglowiec szukający ratunku? Zdarzyło się, że przez nieuwagę kucharza na statku wybuchł pożar - Robinson znalazł takie wypadki. Jeżeli to był statek, załoga mogła dobić szczęśliwie do brzegu, ugasić ogień i odpłynąć, gdy tymczasem on, jak ostatni głupiec, uciekał przed jedyną szansą ratunku...

Ognisko na południowym wybrzeżu...

Któż by je mógł rozpałcić? Istniała jeszcze jedna możliwość. Rozbitek, taki sam jak on, żyjący tam w przekonaniu, że jest jedynym człowiekiem na wyspie...

To najbardziej niepokoiło Robinsona. Może naprawdę o kilkanaście mil stąd żyje na wyspie ktoś drugi?

Nic łatwiejszego, jak sprawdzić...

Ba! A jeśli to Karaibowie?

I Robinson nie ruszał się z Yorku. Codziennie o wschodzie słońca wychodził na Wzgórze Nadziei i przesiadywał tam godzinami, obserwując południowe wybrzeże. Na dawnym miejscu ułożył nowy stos drzewa, aby w razie czego dać natychmiast sygnał. Na wypadek, gdyby to był statek albo biały człowiek. Ale jeśli to jednak byli dzicy?

Polly, słuchając długich monologów Robinsona, kręciła tylko po swojemu łebkiem, ni to potwierdzając, ni to przecząc. A przecież, gdyby umiała mówić, zapewne miałyby coś do powiedzenia na ten temat. Pochodziła właśnie stamtąd - z południowego wybrzeża.

- Polly! Kto ci przetrzącił skrzydło? Człowiek czy zwierzę?

W owej pamiętnej chwili, kiedy Robinson na widok łuny rzucił się do ucieczki, zapadała już noc.

Biegł na północ, nie wybierając drogi, dopóki nie runął na ziemię u kresu sił. Przeleżał do świtu pod drzewem, nie zmrużywszy oka. Łuny nie było już widać, ale czuł, że gdzieś tam nadal goreje.

O wschodzie ruszył dalej. Był przekonany, że idzie w stronę Letniego Pałacu, ale zmylił widocznie kierunek, gdyż po kilku godzinach znalazł się w nieznannej dolinie, otoczonej lesistymi wzgórzami. Zabłądził. Zaskoczyła go mgła i w ciągu trzech dni kluczył po lesie głodny i zrozpaczony. Trzeciego dnia natknął się na olbrzymiego żółwia. Tracił już siły z głodu i musiał stoczyć prawdziwą walkę, zanim udało mu się go zabić. Nie chciał rozpałcać ognia, żeby się nie zdradzić, więc jadł surowe żółwie mięso - zupełnie tak samo jak w pierwszym okresie pobytu na wyspie.

Nad ranem zdecydował się opuścić dolinę. Jakież ogarnęło go przerażenie, gdy wprost z lasu wyszedł na brzeg morza! Wyglądało na to, że błędząc, zatoczył koło. Przypadł do ziemi, wczułgał się między zarośla i ostrożnie wychylił głowę, ściskając nóż w garści.

Brzeg był pusty. Morze tłukło się o skały i bryzgało pianą w głąb plaży. Łaziły po niej tylko ptaki morskie, grzebiąc wśród muszli i wodorostów wyrzuconych falą przyływu.

Robinson przesiedział w krzakach dobrą godzinę, zanim odważył się wyjść na brzeg. Zatknął tam dla orientacji dwa kije złożone na krzyż na znak, że był już w tym miejscu, i cofnął się w głąb lasu.

Nazajutrz słońce przebiło się przez mgłę. Dzięki temu udało mu się ustalić położenie Yorku i kierunek marszu. W pobliżu drzewa, na którym spędził noc, znalazł Polly. Siedziała w krzaku, wystraszona, z przetrąconym skrzydłem. Nie próbowała się bronić, gdy wydobywał ją z sieci kolczastych gałęzi. Była półżywa z przerażenia. Czuł pod palcami, jak bije niespokojnie jej malutkie serduszko.

York wydawał się Robinsonowi oazą bezpieczeństwa i spokoju. Ze Wzgórza Nadziei wszystko wyglądało jak dawniej. Mimo to sporo minęło dni, zanim odważył się rozpałcić ogień. Bał się, że dym ściągnie mu na kark nieproszonych gości. W końcu zbuntował się jednak.

- Mieć krzemień, drzewa pod dostatkiem i żywić się surowizną z powodu nędznego strachu? Nie, Robinsonie! Dość tego! Będziemy znowu gotować rosół z koźlęcia, z bulwami i grubym dziobem! Albo jesteś władcą tej ziemi, albo nim nie jesteś!

I znowu życie weszło w zwyczajne swoje koleiny, a czas wypełniło polowanie, gromadzenie zapasów, praca w obojętności i krótkie chwile odpoczynku.

Przy świetle kaganka toczyły się wieczorne rozmowy z Polly. Robinson mówił bez końca, a papuga machała skrzydłami, wrzeszcząc od czasu do czasu. Podczas tych rozmów Robinson skończył sieć na ryby i kłatkę dla Polly, która zresztą okazała się niepotrzebna. Papuga zadomowiła się w Yorku na dobre.

Podczas pracy siadywała Robinsonowi na ramieniu i łażyła mu po plecach. Gdy wracał z polowania, witała go chrapliwymi okrzykami radości. Nie udało mu się tylko wydusić z niej ani jednego dźwięku, który w czymkolwiek przypominałby ludzką mowę. Nie tracąc jednak nadziei, nie przerywał nauk, powtarzając w kółko aż do znużenia:

- Nazywasz się Polly. Ja jestem Robinson, Robinson Kruzoe... Nad postaniem wisiał teraz nowy łuk i nowy parasol stał w kącie grotu.

Prześlęczał nad nim Robinson cztery noce, ale rezultat był nadspodziewany. Parasol można było otwierać i zamykać!

Robinson wpadł bowiem na pomysł, aby na rączce parasola umieścić ruchomy pierścień. Do tego pierścienia przymocował końce prętów podtrzymujących daszek z zajęczych skórek. Gdy pierścień szedł do góry - parasol się otwierał, kiedy szedł na dół - parasol się zamykał. Na tym właśnie polegała cała konstrukcja.

- Widzisz, Polly - tłumaczył Robinson papudze - teraz będę mógł, idąc przez las, poruszać swobodnie rękami. A dawniej? Nie masz pojęcia, ile miałem kłopotu z moim starym parasolem. Zwłaszcza w gęstych zaroślach. A ten? To jest dopiero parasol, powiadam ci, Polly!

Nowy łuk naciągnięty był cięciwą z jelit kozłęcia. Strzały opatrywał teraz myśliwiec pękami kolorowych piór. Wpadł kiedyś na ten pomysł, aby łatwiej było odnaleźć w gęstwinie. Okazało się przy tym, że celniej i dalej niosą. Nabrał już takiej wprawy w strzelaniu, że z odległości kilkudziesięciu jardów trafiał bez trudu i niezawodnie w cel nie większy od dłoni.

Ta pewność ręki zawodziła Robinsona tylko w spotkaniach z Kozim Królem.

Łaciaty brodacz znowu pojawił się w okolicy. Odciski jego racic odbite były na krawędzi zamaskowanych pieczolowicie dołów: pętle z lian, zakładane przez Robinsona w krzakach i na żywopłocie Yorku, nosiły ślady jego zębów. Przychodził nieregularnie, czasem sam, czasem ze swoim stadkiem, jakby celowo drażniąc Robinsona, który dwoił się i troił, zastawiając przeróżne pułapki.

Nie wiodło mu się z tym kozłem!

To wiatr zmieniał się nagle i zdradzał go przed Kozim Królem, to znowu zadrżała ręka, gdy zwalniał strzałę z cięciwy.

Raz wydawało mu się, że trafił. Strzała uwięzła w kudłach na karku zwierzęcia. Kozim Król zachwiał się i strzepnął łbem, ale kiedy Robinson skoczył w jego stronę, brodacz wymknął się bokiem i znikł w głębi lasu z pękiem kolorowych piór na karku.

Innym znowu razem wpadł na Robinsona, który wracał właśnie z koszem pełnym owoców.

Chrapnąwszy dziko, kozioł przeleciał tak blisko, że w ślad za nim posypały się z kosza gwałtowną strugą owoce.

Złość i podziw ogarniały Robinsona.

Przez kilka dni i nocy czatował na kozła przy źródle. Porzucił wszystkie zajęcia, żeby się z nim rozprawić. O nic mu już nie chodziło, chciał tylko wiedzieć, kto okaże się zwycięzcą w tej grze.

A Kozim Król zdawał się to doskonale rozumieć. Nie schodził Robinsonowi z drogi, przeciwnie - zachowaniem swoim prowokował spotkania. Pojawiał się i znikał. Kręcił się koło okólnika i prychał przez żywopłot na Barnabę, który zwykle buńczuczny i zaczepny, pokorniał wobec łaciatego brodacza. Był to dziwny kozioł i Robinson doszedł w końcu do wniosku, że lepiej będzie, jeśli go zostawi w spokoju.

- Ostatecznie - oznajmił Polly - wyspa jest dosyć duża, a żeby władzę nad nią dzielić z Kozim Królem. Odtąd zapanował zbrojny rozjem. Już nie wchodzili sobie w drogę.

Wojna z Kozim Królem przyniosła jednak Robinsonowi pewne korzyści. Do trzech pułapek wpadły w tym czasie cztery kozy i dwoje kozłąt. Stadko Robinsona, nad którym czuwał Barnaba, stało się prawie równie liczne, jak stadko Koziego Króla. Mleka było teraz tak dużo, że Robinson nie wiedział, co z nim robić. Kwaśniało w glinianych garach i w końcu musiał je wylewać.

Któregoś dnia jeden z garnków pękł i cała zawartość wylała się na matę z włókien liści kokosowych.

Robinson wyrzucił skorupy, ale zapomniał o rozlanym mleku. Gdy następnego dnia zajrzał do kąta, zauważył, że na macie zebrały się spore grudki zawiesiny. Był to ser! Najprawdziwszy ser z koziego mleka,

o ostrym, słonawym smaku!

Przypomniawszy sobie natychmiast sery wyrabiane przez matkę. W komorze wisiały rzędem płócienne woreczki różnej wielkości, z których ściekała serwatka. Po kilku dniach zgrabne serki, wyjęte z tych woreczków, wędrowały kolejno na stół. Sery przeznaczone na zimę robiło się inaczej. Wyciskało się z nich wszelaką wilgoć, po czym wędziło się w wędzarni, podobnie jak słoninę czy mięso. Miały złotawy kolor i pachniały dymem.

Spróbował obu sposobów. Dwa płaskie kamienie zastąpiły mu prasę. Udało się. Teraz brakowało tylko masła. Ale i z tym sobie w końcu poradził. Wypalił w swoim garncarskim piecu maselniczkę z gliny o grubych ściankach i podwójnym dnie. Z drzewa wystrugał ubijak i sposobem wiejskich gospodyń zabrał się do produkowania masła. Zajęło mu to sporo czasu, ale w końcu osiadła na dnie naczynia żółta gruda tłuszczu. Masło nie było najlepsze. Zalatywało ostrym kozim zapachem, ale wymyte w wodzie i osolone nadawało się do jedzenia.

W listopadzie i w grudniu oczekiwał Robinson plonów z ostatniego zasiewu. Żniwa przyniosły mu po pół miary ziarna. Z ciężkim sercem odłożył je do następnego zasiewu. W tym roku nie stać go było jeszcze na chleb. Piekł tylko w popiele placki z rozartych na kamieniach ziaren kukurydzy. Placki były twarde jak suchary, moczył je więc w mleku i jadł z serem.

Tak oto Robinson rozpoczął czwarty rok życia na wyspie. Wrosł w nią, jak drzewo wrasta w las, a mimo to czuł się samotny i tęsknił do głosu innego człowieka.

Może właśnie dlatego zapamiętał na zawsze ów dzień, gdy wróciwszy z polowania, usłyszał... głos.

Chrapliwy, twardy, ale najprawdziwszy głos. Po chwili wdrapała mu się na ramię papuga. Powtarzała: - Poll, Poll, Poll!

Było to jej pierwsze słowo.

CHLEB

*Czy zastanawiałeś się kiedy, przyjacielu, biorąc do ręki zwykłą kromkę chleba, ile trudu i pracy złożyło się na nią? Głowę dam, że o tym nigdy nie myślałeś. I ja nie myślałem nigdy, dopóki na własnej skórze tego nie doświadczyłem. Zaręczam ci, że trudu jest więcej, niż można by się domyślać. Te prace - oracza i siewcy, żniwiarza i młockarza, młynarza i piekarczyka - sam wypełniałem, nie mając żadnych narzędzi. Gorzko mi przyszło zdobywać chleb, tym słodszy był jednak koniec.*

Z koszem na plecach, z papugą na ramieniu Robinson przedzierał się przez las w stronę Melonowych Wzgórz. Szedł, pogwizdując, wąziutką, przez siebie wydeptaną ścieżyną. Znosił do Yorku owoce, a w dolinie doglądał dojrzewającego zboża. Drogę tę znał już tak dobrze, że mógł nią iść z zawiązanymi oczami.

Minął polanę, ostatni zakos lasu i zarośla. Ponad nimi widać już było wejście do doliny. Polly drzemała mu na ramieniu, a gdy zmieniał krok lub przeskakiwał korzenie, uderzała go skrzydłami po plecach, łapiąc równowagę. Nauczyli się tak wędrować razem, a tyle było wrzasku, gdy próbował ją zostawić w domu, że - chcąc nie chcąc - najczęściej zabierał ją z sobą.

Był to rok szczególnie urodzajny. Pory deszczowe minęły bez gwałtownych burz, wichry przeszły gdzieś bokiem, a lato, mniej upalne niż zwykle, pozwoliło ziemi oddychać i rodzić wspaniałe plony.

Robinson ostrożnie ominął ostatnią kępę palm kokosowych. Orzechy spadały czasem niespodzianie, jak ciężkie kamienie. Doświadczył tego na sobie i obnosił na czole fioletowy guz wielkości pięści.

- Poll! Poll! Poll! - krzyczała papuga i trzepała radośnie skrzydłami, jakby poznawała urwisko złotego piasku i strugę wody spadającą ze skał. Tu zaczynała się dolina, gdzie czekały słodkie winogrona i ulubione, tłuste orzeszki ziemne.

Spod nóg niemal wyprysnął Robinsonowi zając i przycupnął z boku, ciekawie patrząc na człowieka.

Robinson oplukał twarz w czystej, zimnej wodzie, a Polly starała się pochwytać dziobem pryskające dokoła krople.

- Uważaj, żebyś nie spadła - zagadywał do niej. - Trzymaj się dobrze Jeszcze sobie kiedyś kark skręcisz, Polly, jeśli nie przestaniesz się tak ciągle wiercić.

Zaspokoił pragnienie i podał jej na dłoni odrobinę wody.

W tym roku wzgórze bardziej niż kiedykolwiek zasłużyło sobie na nazwę Melonowych. Złociły się taką masą owoców, jakiej Robinson jeszcze nigdy w życiu nie widział. Dzikie winnice przypominały ciężki, granatowy dywan, a cytryny, banany i pomarańcze zachwyciłyby najwybredniejszych zamorskich kupców. Odpoczywali w altanie, gdy ponad nimi przeleciało stadko barwnych papug. Wrzaskliwe i jak zwykle zajęte tylko sobą, nie zwróciły uwagi na Polly, która zamilkła i osowiała przysiadła w kącie. Dla niej swobodny lot był sztuką nieosiągalną. Zwichnięte u nasady skrzydło i naruszone ścięgna, mimo troskliwej opieki Robinsona, nie odzyskały dotąd dawnej sprawności.

- Rozumiem cię, Polly - uśmiechnął się do niej Robinson ze smutkiem. - I ty, i ja chcielibyśmy powrócić do swoich. Ale nic na to, niestety, poradzić nie można. Poszukaj no lepiej orzeszków. Jestem przekonany, że znajdziesz ich mnóstwo, i to powinno poprawić ci humor. Nauczmy się, Polly, poprzestawać na tym, co można osiągnąć. Moje pragnienia są równie trudne do urzeczywistnienia, jak twoje.

Złożył na ławie ryszstunek i poszedł obejrzeć jęczmień. Równiutki łan lekko muskany wiatrem przechylał się jak spokojna fala. Rosło zboże z szóstego z kolei zasiewu. Robinson nawet nie przypuszczał, ile w to włożył trudu, gdy pierwszą garść ziarna zasiał koło grotu. Gdyby to przeczuł, kto wie, czy nie porzuciłby rolniczych planów? Za każdym razem trzeba było powiększać teren uprawy, a jedynym narzędziem był przecież ostro zastrugany kół i muszla zastępująca łopatę. Gołymi rękami wydierał chwasty i ostrą trawę, karczował całe połacie gruntu, aby następnie drągiem z żelaznego drzewa spulchnić ziemię, oporną wobec wysiłków człowieka. Ileż to razy oblewał się potem i kaleczył ręce do krwi, wrywając ostre kamyki i twarde jak druty korzenie jakichś nieznanych roślin!

To była prawdziwa walka!

Rozmyślał teraz nad tym wszystkim z satysfakcją człowieka, który odniósł zwycięstwo. Delikatny powiew wiatru chłodził mu przyjemnie twarz i rozczesywał długie włosy. Roześmiał się. Przypomnił sobie różne szczegóły swojej walki o chleb. Dwukrotnie w ciągu ostatniego czasu zawisło nad jęczmieniem niebezpieczeństwo. Najpierw były to kozy i zające. Zasmakowała im widocznie młodzieńca ruń, gdyż niemal każdej nocy buzowały w niej złodziejskim sposobem. Kilka tygodni spędził wówczas w dolinie. W nocy pilnował łanu z łukiem w ręku, a w dzień naprawiał zniszczony przez zwierzęta żywopłot.

Ale nie koniec na tym. Nie zdążył się nawet nacieszyć spokojem, kiedy pewnego dnia zauważył czeredę ptactwa gospodarującego bezczelnie w jęczmieniu. Próbował ją wypłoszyć. Bez skutku. Nie pomogły krzyki ani wymachiwanie rękami. Zziajał się, ochrypl, nabiegał, ale ptaki nic sobie z tego nie robiły.

Wreszcie zaczął ciskać kamieniami i dopiero wtedy złodziejska gromada niechętnie ruszyła z miejsca. Ale zaledwie się oddalił, ptaki ponownie rzuciły się w zboże i uczta na cudzym stole zaczęła się od początku. W końcu w promieniu pięćdziesięciu jardów zabrakło kamieni i Robinsonowi opadły ręce. Był już bliski rozpacz. Czyż po to włożył w to wszystko tyle trudu, ażeby w końcu ustąpić? I to teraz, kiedy zbiory zapowiadały się tak pięknie? Nie! Przeszedł na tej wyspie zbyt twardą szkołę i nauczył się przewyżczać trudności. Trzeba wymyślić jakiś sposób. W czasie bezsennej nocy przypomniał sobie, że na polach Anglii widywał coś, czego można by spróbować i tutaj.

Minął pracowity dzień. Łan jęczmienia kołysał się i złocił w zachodzącym słońcu, a pośród niego sterczało dziesięć wysokich tyk. Na każdej, rozcapierzając nieruchome skrzydła, wisiało martwe ptaszysko.

Odkąd straszdyła pojawiły się nad jęczmieniem, ani jeden skrzydlaty rabuś nie odważył się przysiąść w pobliżu.

- Poll! Poll! Poll! - wrzeszczała w altanie papuga. Robinson w zamyśleniu zerwał kłos jęczmienia.

- Gdybym miał narzędzia - mruknął - o ileż szybciej i łatwiej mógłbym się uporać ze wszystkim. -

Roztarł kłos na dłoni i przyjrzał mu się. - Pora pomyśleć o żniwach! - zdecydował i zawrócił w stronę, skąd dobiegało wołanie papugi.

W Yorku z każdym dniem przybywało „zimowych” zapasów. Robinson postanowił uwinąć się ze wszystkim przed nadejściem żniw. Chciał mieć spokojną głowę i swobodne ręce. Pełnymi koszami znosił pomarańcze, cytryny i suszone winogrona. Najwięcej pracy przysparzały mu melony. W dużym koszu

mieściło się najwyżej dziesięć drobnych sztuk. Więcej zresztą nie zdołałby unieść. Aby dostarczyć do Yorku sto melonów, Robinson, objuczony jak muł, musiał przebywać dwadzieścia razy tę samą uciążliwą drogę. Przynosił też z każdej wycieczki w głąb wyspy po kilka kolb kukurydzy. Wykruszone i wysuszone na słońcu ziarno zsypywał do wielkiego glinianego dzbanu, który wkrótce wypełnił się po brzegi.

Część ziarna przeznaczył na zasiew.

„Czemuż by nie spróbować? - myślał. - A nuż uda mi się założyć plantację grubego dziobu? Nie traciłbym połowy plonów tylko dlatego, że nie mogę przenieść kolb i nie mam czasu ich zebrać! I jakąż paszę zyskałbym dla kóz! Barnaba przepada za kaczanami...”

A melony?

- Ach, Polly! - Robinson zerknął na papugę, która właśnie, gderząc, lokowała mu się na ramieniu. - Że też nie pomyśleliśmy o tym dotychczas! Przecież i melony powinny się przyjąć na zboczu Wzgórza Nadziei! Jak myślisz? Trzeba tylko wyluskać pestki, wysuszyć je na słońcu i w odpowiedniej chwili dalszy ich los powierzyć ziemi! Co, Polly? Odezwijże się! Gdybyśmy tak wybrali piękne, słoneczne miejsce? No? Jak sądzisz? Chyba warto spróbować!

Wracali właśnie na dłuższy czas do Yorku, aby z kolei uzupełnić zapasy mięsa. Najlepiej i najdłużej przechowywało się mięso kozie. Cienkie, chude płaty szły od razu do komina, tłuszcjsze zaś Robinson moczył w roztworze soli i wędził.

- Mięso i skóry! To nasze zadanie na najbliższe dni, Polly! Potrzebny nam jest nowy kaftan i nowe pantalone.

Westchnął. Czy uda mu się chociaż raz zarzucić sieć w ciągu tych dni?

To zabawne! Zdawałoby się, że nie ma żadnych obowiązków, że może robić, co chce i kiedy chce.

Nikt mu przecież nie rozkazuje, nikt niczego nie broni. A tymczasem każda godzina, każdy dzień wyznacza zadania, których niepodobna zlekceważyć. Godzina zaś ma tylko sześćdziesiąt minut. Doba - dwadzieścia cztery godziny. Plan zajęć Robinsona, przynaglany terminem żniw, nie mieścił się w wyznaczonym czasie. Mimo to musiał być wykonany. Na kalendarzu głęboką szczerbą oznaczona była pora zbiorów. Zbliżał się koniec miesiąca, słońce prażyło coraz mocniej i zboże nie mogło stać dłużej na pniu.

A tu w dodatku święta! Któryż to już raz z dala od rodzinnego domu? Ileż to lat już minęło od chwili, kiedy po raz ostatni zasiadał do świątecznej wieczerzy u boku rodziców? Czy ręce masz czyste, synku? Zaczekaj, dopóki ojciec nie siądzie przy Stole.”

Na białym, lśniącym obrusie gruba księga w skórzanej oprawie. Na skórze wyciśnięty znak krzyża.

Rogi księgi w miedzianych okuciach.

Leżała zawsze obok nakrycia ojca...

Na uliczkach Yorku głęboki śnieg, a wśród ciemności ciepły blask latarni nocnego stróża wędrującego od domu do domu...

Cały ten wieczór i następny dzień Robinson spędził, jak zwykle, na rozmyślaniach. Brnął poprzez te wspomnienia jak przez gęsty las, w którym błądził się nocą, szukając zagubionej ścieżyny. Starał się wskrzesić w pamięci twarze, brzmienie głosu, jakieś sprawy dawno już zapomniane, wracając z oddali jak z innego świata... Po twarzy spływały mu grube krople łez.

Polly gderiała i zagadywała po swojemu, ale człowiek obojętnie przyjmował jej zaczepki. Wreszcie i ona zamilkła i osowiła zaszyła się w jakimś odległym zakamarku między pękniętym dzbanem a dziurawym koszem.

Nazajutrz Robinson stanął jak co dzień do pracy. Musiał teraz ograniczyć nawet sen, żeby zdążyć ze wszystkim. York w promieniu stu jardów rozsiewał mocną woń wędzarni. W obejściu, na palikach, schły skóry kozie, natarte piaskiem i solą. Jedenastego dnia o szarym świcie Robinson wyruszył w głąb wyspy, niosąc na grzbiecie Polly i puste kosze na ziarno.

Były to pierwsze prawdziwe żniwa w dolinie. Dzień z dawna oczekiwany! Dotychczas Robinson zbierał jęczmień po to tylko, żeby nim ponownie obsiać pole. Tym razem miało być inaczej. Przystępował do żniw z myślą o tym, że nareszcie doczekał się chleba. Nie miał go w ustach od czterech blisko lat. Ale pamiętał jego kształt, ciężar i zapach.

Trudno było uwierzyć, że ten szeroki, kołyszający się pod ciężarem kłosów łan jęczmienia powstał z

mizernej garstki przypadkiem zasianego ziarna. W ciągu lat każde ziarno wydało wiele pokoleń. Obrodziło mnóstwo razy. Zadomowiło się w tej glebie, która nie była przecież glebą oj - czystą. Żyło, rosło i owocowało na obcej ziemi, rzucone tam przez burzę, podobnie jak człowiek, który je zbierał. Żyło i owocowało, ażeby dać mu chleb i jeszcze jedno złudzenie domu, gdy chleb ten położy przed sobą na stole. Robinson wiedział, że czeka go sporo pracy, ale mimo wszystko nie zdawał sobie sprawy, że będzie aż tak ciężka.

Pochylony nad złocistym łanem, czuł każdy mięsień i każde ścięgno. Bolał go kark, bolały ręce i grzbiet od ciągłego nachylania. Pot spływał po całym ciele i z ust nie ustępował jego słony smak. Od czasu do czasu Robinson uciekał w cień, gdzie gwarzyła po swojemu Polly, żeby chociaż na chwilę wyprostować zdrętwiałe ramiona i rozetrzeć dłonie. Żął po swojemu, ścinając jedynie kłosa. Posuwał się powolutku, krok za krokiem a ścięte kłosa wrzucał do małego koszyka zawieszzonego na piersiach.

„Żniwarze w Anglii narzekają, że ich praca jest ciężka i nużąca - myślał z goryczą - a cóż ja mogę powiedzieć, który nie mam ani sierpa, ani kosy, gdyby nie nóż, chyba zębami musiałbym się wgrzyzać w to zboże”.

Wysłuzony nóż tępił się szybko i co jakiś czas trzeba go było ostrzyć na zwilżonym kamieniu.

Robinson oglądał troskliwie ostrze i z głęboką zmarszczką na czole wodził po nim palcem. Stawało się coraz cieńsze. Jeśli któregoś dnia pęknie, co wtedy? Ach, gdybyż mógł dostać najgorszy nawet sierp! Ot, choćby taki, jakim angielski chłop ścina z rowów trawę dla swojego bydła! Zapłaciłby zań po królewsku! Bawełną, owocami, skórą - chociażby połową tej wyspy! Co za zabawna myśl! Skarby za najzwyczajszy kawałek krzywego żelaza!

„Cóż ja! - myślał Robinson zmęczony. - Gdzie mi się tam równać z angielskim wieśniakiem? Ja, który nie mam czym żąć, nie wiem, jak zemleć to zboże ani jak zamiesić ciasto i jak w końcu chleb wypiec, chociaż jadłem go przez tyle lat!”

Trzy ruchy i pół kroku dalej... Trzy ruchy i znowu pół kroku... Pot zalewa oczy. Ilekroć koszyczek był pełny, Robinson zsypywał zawartość do wielkiego kosza, odpoczywał chwilę i wracał do pracy. Słońce wzbilo się już wysoko i żniwiarz po raz dziesiąty chyba zanurzał czapę w wodzie, aby ochłodzić czoło, a rezultaty ledwo były widoczne. Wąziutkie pasmo przydeptanej słomy, a przed nim prawie cały łan nie tknięty jeszcze nożem.

- Tak, tak, Robinsonie! - próbował sobie dodać otuchy. - Dopiero teraz możesz z ręką na sercu powiedzieć, że pracujesz na swój chleb w pocie czoła. W pocie czoła, Robinsonie...

Minął tydzień, zanim Robinson dotarł do krańca pola. Kiedy dobił reszcie do Yorku z ostatnią partią ziarna, widok pełnych koszy był zasłużoną nagrodą za poniesione trudy. Jak skąpiec nad szkatułką ze złotem, przesiewał w dłoniach jasnożółte, wykruszone z kłosów ziarno, rozmyślając co z nim teraz zrobić.

- Pokręć no główką, moja Polly! - żartował, podsuwając codzienną porcję orzeszków swej towarzyszce. - Może ty coś wymyślisz i upieczemy chleb, bo ja nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać. Ba, gdybym chociaż wiedział, jak zemleć ziarno!

Otóż właśnie! Jak zemleć ziarno? Zdawałoby się, że nic prostszego pod słońcem, a jednak...

W pierwszym zapale Robinson zaczął je tłuc kamiennym tłuczkiem na płaskiej płycie, ale rozpryskiwało się na wszystkie strony. To na nic! Poszukał więc kamienia, w którym można by wydrążyć otwór, uzyskując w ten sposób coś w rodzaju moździerza. Poświęcił na to kilka dni, w końcu jednak musiał zrezygnować z pomysłu. W twardej skale nie udało mu się wywiercić otworu, a miękki piaskowiec pękał pod ciężarem tłuczka.

Po wielu próbach, zmartwiony i zmęczony, przysiadł na kłocu drzewa przywleczonym ongiś do Yorku. Był to kawałek pnia wyłamany uderzeniem piorunu. Miał kiedyś służyć za fotele. Ale łatwiej było przywlec pniak do Yorku, aniżeli wtoczyć go do groty. Pozostał więc w obojętności - zawalidroga, z którym nie wiadomo, co począć.

- Co powiesz, Polly? - zagadnął Robinson papugę, która wskoczyła mu na kolana. - Widzisz...

Nagle zerwał się na równe nogi. Ależ tak! Ten kłoc drzewa służyć mu będzie za stępe! Trzeba tylko wyżłobić nadpalony otwór, pogłębić go i rozszerzyć!

- Ale czym, na Boga? - zastanowił się Robinson. - Nóż jest na to zbyt słaby... A więc wypalić! Tak jak



Brazylijczycy wypalają czółna!

Zrzucił kaftan i zabrał się do roboty. Trzy dni trwało wypalanie i żłobienie stępy. Dosypywał żaru, wyskrobywał nadwęglone ścianki i cał po cału rozszerzał otwór. Wreszcie stępa była gotowa. Szeroka na stopę, głęboka na półtora łokcia. Po namyśle Robinson wsypał na dno pół kwarty wysuszonych ziaren kukurydzy.

Z groty wynurzyła się Polly. Sfrunęła w dół i krocząc poważnie, podeszła do kloca.

Robinson pracował.

Tuk - tuk, tuk - tuk - bębnił głucho tłuczek. Raz - dwa, raz - dwa - w takt uderzeń przechylała główkę papuga.

- Zajrzyjmy, Polly! Czy chcesz zobaczyć, jak wygląda mąka? Robinson zdjął matę okrywającą otwór, wyjął tłuczek i... roześmiał się.

Pierwsza porcja mąki była czarna! Resztki węgla drzewnego zmieszały się ze zgniecioną kukurydzą!

Trzeba było zabrać się do wyskrobywania i czyszczenia ścianek. Kiedy któraś tam z rzędu porcja kukurydzy miała już prawie normalny kolor Robinson wsypał jęczmień.

I oto po dwóch godzinach na dnie stępy leżała dobra kwarta szarawej mąki. Zagarnął ją niecierpliwie dłonią. Gruba była wprawdzie, pełna plew i ości, ale... mąka!

Teraz ją tylko przesiać i zamiesić ciasto!

Przeglądając wszystkie kąty w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się nadawać na sito, Robinson natrafił na kawałki swojej starej koszuli, w której kiedyś wylądował na wyspie. Obejrzał je uważnie, długo medytując ze zmarszczonym czołem.

- Chyba posłużysz mi jeszcze raz - mrucał, rozkładając na dłoni wytarty, przeświecający materiał. -

Nie ma innej rady. Nic lepszego przecież nie znajdę, choćbym całą wyspę przewrócił do góry nogami.

Pozszywane misternie, wyprane i wysuszone kawałki koszuli rozpiął na grubej witce wygiętej w obręcz i zabrał się do przesiewania. Szło mu to niesporo. Miejsca pozszywane nie przepuszczały grubo przetartej mąki, a na domiar złego Polly gramoliła mu się na plecy w najbardziej nieodpowiednich chwilach.

- Idź precz, Polly! - gniewał się Robinson. - Jeśli nie potrafisz pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzaj! Zrobiłaś się taka nieznośna, że trudno już czasem z tobą wytrzymać!

Był zmęczony i rozdrażniony.

Oto musi do wszystkiego dochodzić sam, własnymi siłami i pracą własnych rąk, bez niczyjej pomocy czy chociażby rady. Wszystko sam! W społeczeństwie każdy wykonuje jakąś część wspólnych zadań i ta część służy wszystkim. Pracując zaś, każdy człowiek korzysta jednocześnie z trudu innych ludzi. A on? Żniwiarz, młynarz, piekarz w jednej osobie! Nigdy dawniej nie zastanawiał się nad tym, jak wiele trzeba wysiłków, zanim powstanie jeden bochenek chleba.

- Chleba? - Robinson uśmiechnął się gorzko. - Czyż to będzie chleb z tej grubo przetartej mąki? Bez drożdży i pieca piekarniczego?

Trzeba się było jednak obejść bez drożdży i bez pieca.

Początkowo postanowił piec ciasto na płaskich, rozpalonych uprzednio w żarze ogniska kamieniach. Kiedy jednak zabrał się do roboty, wpadł mu do głowy inny, bodaj czy nie lepszy pomysł. Wykopał wąską, podłużną jamę, dno i ściany wyłożył płaskimi kamieniami, a szpary uszczelnił gliną. Następnie rozpałił w niej ognisko. Zamiesił mąkę z wodą i garsteczką soli, a gdy ciasto stężało w rękach, postawił je obok ognia w dobrze nakrytym garnku. Nie rośło jednak. Bez drożdży ciasto nie wyrośnie. „W przyszłości można będzie zrobić zaczyn - pomyślał - tym razem trzeba się zdać na los szczęścia”.

Gdy kamienie porządnie się już rozgrzały, Robinson zgarnął żar na skraj paleniska i wymiół je do czysta z popiołu. Z rozpalonych kamieni buchało jak z otwartego pieca.

Głęboko przejęty, przystąpił teraz do ostatniej czynności. Po wielu latach po raz pierwszy miał ujrzyć chleb - i to dzieło własnych rąk. Pośrodku jamy ułożył ostrożnie na wilgotnych liściach dwie zgrabnie uformowane bułki. Następnie przykrył palenisko płatem darni i na wszelki wypadek rozpałił na wierzchu

nowe ognisko.

Teraz nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać. Zastawił więc tymczasem stół do uroczystej wieczerzy. W dzbanie woda z sokiem z cytryn i pomarańcz, obok udziec koźlęcia na zimno, osetka masła, kawałek sera, rodzynki i banany. Ale głównym daniem miał być chleb. Na środku stołu przygotowane już było honorowe miejsce. Na szerokim, zielonym liściu leżał nóż.

Robinson czekał. Nie odpowiadał na zaczepki Polly, nie słyszał beczenia kóz, nie czuł ciepła słońca ani powiewu wiatru.

Czekał.

Po kilku godzinach rozrzucił górne ognisko i zdjął płat przepalanej darni.

Na dnie paleniska, na zwęglonych liściach, leżały dwa ciemne placki. Wyjął je i zważył w dłoniach.

Były płaskie i ciężkie. Daleko im było do wypiekanych przez matkę, pachnących, rumianych bochenków. Ale Robinson podniósł do ust pierwszy kęs z prawdziwym wzruszeniem. Oto jednak, mimo wszystko, doczekał się chleba.

#### CIEŃ KOZIEGO KRÓLA

*Wszędzie można mieć przyjaciół. Zależy to tylko od człowieka. I ja ich miałem także nawet na tej wyspie, chociaż byłem sam i w ciągu wielu lat nie widziałem ludzkiej twarzy. Wszędzie można mieć przyjaciół.*

Powietrze było przesiąknięte wilgocią, a noc mimo to duszna i męcząca. Robinson przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Lata płynęły, a jego trapiła zwykła tęsknota, jak nawrót tej samej, dobrze znanej choroby.

- Cóżem uczynił? - szeptał gorączkowo, zaciskając aż do bólu pięści. - Cóżem takiego uczynił, że skazałeś mnie, Boże, na samotność na tym skrawku ziemi nie oznaczonym na mapach? W tej jamie, która mogłaby być raczej schroniskiem dzikiego zwierzęcia? W tym kraju, gdzie tylko echo odpowiada mi ludzkim językiem?

Zamilkł i zagryzł wargi. Łzy cisnęły mu się do oczu, a w piersiach czuł niezmierny ciężar. I wówczas posłyszał - czy też raczej wydawało mu się, że słyszy - odpowiedź, tak dalece wyraźna była myśl, którą podsunęło mu sumienie.

„Nieszczęsny! Ty pytasz, coś uczynił? Zastanów się nad własnym życiem. Co uczyniłeś dla innych?

Pomyśl o rozpacz i opuszczeniu twych najbliższych. Ileż to razy mogłeś zawrócić z tej drogi i ile razy ambicja i żądza przygód pchała cię w nowe nieszczęście? Słuchałeś jej głosu zamiast głosu serca, rozsądku i obowiązku. Sam budowałeś swoją przyszłość i taka jest, na jaką zasłużyłeś.

Przypomnij sobie Brazylię! Jak lekkomyślnie porzuciłeś wszystko, zamiast zatroszczyć się o los starych rodziców! Jak łatwo stałeś się narzędziem w rękach zbrodniarzy, których celem był handel ludźmi! I to ty - ty, który sam zaznałeś goryczy niewoli! Pytasz o sprawiedliwość, Robinsonie? Może to jest właśnie sprawiedliwość. Ta, na jaką zasłużyłeś?”

Robinson zerwał się, poszukał po omacku krzesiwa i zapalił kaganek.

Mdle światelko rozjaśniło grotę. Sięgnął po kawałki skór, nici, igły i zaczął szyć. Ciężar powoli ustępował z serca. Papuga obudzona ze snu trzepnęła skrzydłami i ruszyła z kąta w stronę światła.

Przywykła już, że nie śpi wówczas, kiedy nie śpi jej pan. Robinson opatrzył na nią ze smutnym uśmiechem.

- Ty, Polly, jesteś mimo wszystko szczęśliwsza ode mnie - powiedział, gładząc nastroszony czub ptaka. - Masz małą główkę i nie musisz myśleć.

- Robin! Robin! - rozdarła się nagle papuga tak głośno, że aż samotnik drgnął przestraszony.

Czyżby?... Tak, było to jej drugie słowo! Jego imię.

- Robin! Robin! - krzyczała papuga, machając triumfalnie skrzydłami. Porwał ją w ramiona i uściśnął z radości tak mocno, że zaczęła wrzeszczeć, tym razem na znak protestu.

Odetchnął lżej i pochylił się nad płatem skóry. Nadpłynęła fala lepszych myśli. Ostatecznie los nie był dlań aż tak okrutny. Nie utonął przecież w zatoce Yarmouth, nie zginął z rąk piratów, uniknął pazurów dzikich bestii na brzegach Afryki, a i tutaj jedyny z tego nieszczęsnego statku ocalał życie. A jeżeli tak się stało, to i teraz nie wolno mu tracić nadziei.

Nie wolno tracić nadziei...

Przymknął oczy i zasłuchał się w ciszę. Miarowo parskał knot w kaganku.

- Aho - o - oj! Żagiel na horyzoncie! Aho - oj! Na horyzoncie...

- Co to? Na Boga! Co to?

Nie. Zdawało mu się tylko. To wiatr pogwizduje w szczelinach. Pogwizduje jak w olinowaniu statku... Pora deszczowa odarła znowu wyspę z barw, kształtów i dźwięków. Szara mgła otoczyła York, rozpełzła się po lądzie i morzu.

Huczał wiatr, deszcz siekł całymi dniami, szemrał monotennie po nocach, przedłużając je ponad miarę wszelkiej cierpliwości. Cała wyspa, jak wielka gąbka, nasiąkła tą mgłą, deszczem i wilgocią. Tylko w Yorku było sucho i cicho. Nie chciało się po prostu wychodzić spod dachu.

Robinson robił coraz większe postępy w koszykarstwie, a ponieważ tylko w pracy znajdował ucieczkę przed trapiącymi go myślami, skracał sobie czas, jak umiał, wyplataniem koszyków przeróżnej wielkości i kształtu. Zsypywał do nich ziarno, suszone winogrona i wyluskaną z kolb kukurydzę. Dla odmiany zajmował się szyciem i naprawą odzieży, robił strzały do łuku, wytapiał tłuszcz do kaganka, skręcał nici lub czyścił bawełnę. W grocie panował teraz porządek jak w dobrze zagospodarowanej chacie, jeśli się w to nie wdała papuga. Polly potrafiła w ciągu godziny przewrócić wszystko do góry nogami, toteż nie było dnia bez sporów i łajania.

- Polly - zaczynał Robinson.

- Robin! Robin! Robin! - odpowiadała papuga z miną niewiniątka.

- Jeśli będziesz grzebała w garnkach i koszykach, jeśli będziesz rozsypywała ziarno i wylewała mleko, złożę ci skórę tak, jak na to zasługujesz.

- Robin! Robin! Robin! - wrzeszczała papuga, uciekając dookoła groty.

- Nie będę po tobie sprzątał i nie będę ciągle naprawiał tego, co zepsujesz i zniszczysz!

- Poll, Poll, Poll! Robin, Robin, Robin! - brzmiała odpowiedź. Papuga przezornie chowała się między ciężkimi koszami z ziarnem.

Była to jej ulubiona kryjówka. Wiedziała, że Robinson zostawi ją teraz w spokoju. Tak też zazwyczaj bywało. Gderając, zasiadał znowu do roboty.

- Poplątałaś mi nici, wysypałaś igły, wylałaś wodę z dzbanka. Czy to nie dosyć na dzisiaj?

Po chwili Polly, w słusznym przekonaniu, że burza już minęła, wyłaziła z kąta i gramoliła się Robinsonowi na ramię. Resztę wieczoru spędzali w najlepszej zgodzie.

Dopóki padały deszcze, Robinson wychodził z groty po to tylko, żeby rozprostować kości, odetchnąć świeżym powietrzem i oporządzić trzodę. Lubił posiedzieć chwilę w stajence i pożartować z Barnabą, popijając ciepłe mleko z ostatniego udoju. Kozy wodziły za nim swoimi cytrynowymi oczami, ocierały się pieszczotliwie i pobekiwały z zadowolenia, wybierając z rąk człowieka smakowite grudki soli. W stajence panował zaduch zmieszany z wonią siana i wysuszonych ziół. Przyjemnie było odetchnąć tym zapachem, który przypominał słońce i rozgrzaną łąkę.

Tylko Barnaba martwił ostatnio Robinsona. Kozioł miał zapadnięte boki, a jego oczy straciły dawny blask. Przeważnie też sterczał w swoim kącie osowiały i nieruchomy, z nisko opuszczonym łbem. Robinson domyślał się, że trawi go jakaś nieznama choroba, na którą nie umiał znaleźć lekarstwa. Podsuwał mu najsmaczniejsze kąski, karmił go z ręki, ale Barnaba stracił również apetyt. Odręcał nawet gotowaną w mleku kukurydzę, patrząc ze smutkiem w oczy Robinsona, jak gdyby go przeproszał, że gardzi tak wspaniałym poczęstunkiem.

- Słońce i świeża pasza przywrócą ci zdrowie, Barnabo. Natura jest najznakomitszym lekarzem - pocieszał Robinson Barnabę i siebie, gdyż choroba ulubieńca gnębiła go i nie dawała mu spokoju. Pewnej nocy obudził Robinsona jakiś niezwykły ruch w obejściu. Było jeszcze zupełnie ciemno. Od razu poznał głos Barnaby, trąbiącego rozpaczliwie jak na alarm. W kącie szamotała się papuga. Jakieś niebezpieczeństwo zawisło nad Yorkiem!

Porwał nóż, odsunął kamień i wyskoczył na próg. Ale noc była nieprzenikniona. Od strony stajni dobiegało trwożne pochrapywanie kóz i nerwowy stukot racic. I znowu głos Barnaby wzywający pomocy. Robinson zawrócił po światło. Z płonącym kagankiem wybiegł na podwórze. W tej samej chwili od strzechy okrywającej stajenkę oderwał się jakiś podłużny kształt i miękkim susem przesadził podwórze. Zabłysnęły zielone ślepie i drapieżnik zapadł bezszelestnie za murem.

A więc jednak wyspa miała swoje tajemnice!

Robinson ostrożnie zszedł po drabince i nie wypuszczając z ręki noża, przekradł się pod murem stajni. Kozy stłoczone wokół Barnaby dygotały z przerażenia. W dachu wydarta była dziura, a liście poszarpane na strzępy. Obejrzał uważnie ślady, ale daremnie usiłował odgadnąć, jakie zwierzę stało się przyczyną nocnego alarmu. Jedno nie ulegało wątpliwości: na wyspie były drapieżne zwierzęta!... Rano załatał dziurę w dachu, umocnił ściany stajni i kilka nocy z rzędu spędził na czuwaniu. Ale napastnik już się nie pojawił.

Mijały dni i tygodnie pory dżdżystej bez żadnych już szczególniejszych wydarzeń. Robinson przygotowywał się do nowej wyprawy na nieznanne tereny. Miniony rok obdarzył go taką ilością zboża, że mógł sobie teraz pozwolić na ograniczenie zasiewów. Postanowił siać tylko raz, a resztę czasu przeznaczyć na dokładne zwiedzenie wyspy.

- Lepiej znać niebezpieczeństwa i przeciwdziałać im z góry, niż dać się im zaskoczyć zniemacka - rozumował po ostatniej przygodzie z dzikim kotem.

Wiosnę zapowiedział jak zwykle przyłot ptaków. Któregoś dnia rozkrzyczało się i roztrzepotało całe wybrzeże, a już nazajutrz wzeszło słońce, złociste i ogromne jak dojrzała pomarańcza. Zanim jednak zdążyło osuszyć wyspę, zdarzyło się coś, co zmaćliło radość Robinsona.

Był późny wieczór. Robinson kładł się spać i właśnie zamierzał zdmuchnąć kaganek, kiedy przed wejściem do groty rozległo się jakieś stękanie. Coś zachrobotało po skale, jakby ktoś usiłował wdrapać się na próg, a później z szelestem posypały się kamienie.

„Wrócił...” - pomyślał Robinson i wyobraził sobie drapieżnego kota przyczajonego u wejścia do Yorku: sprężony do skoku grzbiet, przymrużone ślepia i ostre klingi pazurów.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Co robić? Odsunąć powolutku płytę blokującą wejście czy też przeciwnie - odwalić ją jednym kopnięciem? Przestraszy się czy rozwścieczy? Wziąć łuk czy wyskoczyć z nożem? A jeśli chybi?

**Chrobotanie** powtórzyło się. Było już słabsze, a po chwili jakiś miękki ciężar osunął się w dół.

Robinson podczołgał się do światła i wyjrzał ostrożnie przez szparę. Kamienny próg był pusty. Podważył więc płytę ramieniem i wysunął głowę, a nóż zacisnął w pięści.

To, co zobaczył, było tak nieoczekiwane, że broń wyleciała mu z ręki.

Przed wejściem do groty leżał na dziedzińcu Barnaba.

Na widok swego pana dźwignął ciężko łeb i stęknął głucho jak cierpiący człowiek. Jednym susem Robinson znalazł się obok kozła. Głowa zwierzęcia, bezwładna jak kamień, leciała mu przez ręce. Ślepia zasnuwało już bielmo.

Robinson poczuł nagle, że wilgotnieją mu oczy. Nie miał jak obetrzeć łez, gdyż w obu dłoniach trzymał ciężką głowę Barnaby.

Kozioł został pochowany na zboczu Wzgórza Nadziei, w miejscu, które Robinson zazwyczaj mijał, idąc na szczyt. Miejsce to oznaczone zostało kopczykiem kamieni. Na jednym z nich Robinson wykrobał nożem imię - „Barnaba”.

Brak kozła odczuł nie tylko Robinson. Można śmiało powiedzieć, że cały York dzielił jego smutek.

Trzoda najwyraźniej tęskniła za swoim opiekunem. Kozy beczały po nocach, a za lada przyczyną popłoch ogarniał stado. Któregoś dnia, w zamęcie, jedna z najbardziej mlecznych samic złamała nogę. Nie było innej rady, jak tylko poszukać nowego przewodnika gromadki. Toteż Robinson odłożył wyprawę i zajął się przygotowaniem dołów i zapadni.

Od jakiegoś czasu nie mógł trafić na ślad Koziego Króla. Stara ścieżka, widać nie uczęszczana, zarosła zielskiem. Trzy noce spędził łowca przy wodopoju i przekonał się, że stado uległo rozbiciu.

Schodziło teraz do źródła trzema partiami i nigdy razem, jakby unikając się wzajemnie. Dwie partie wodziły dwa młode kozły. Jeden z nich był czarny, a drugi brudnoszary z żółtą łatą na szyi. W trzeciej grupie chodziły stare kozy bez przewodnika.

- Ale co się stało z Kozim Królem? Czyżby ustąpił któremuś z tych młodych samców? Nie! Kozia Król? To niemożliwe!

Robinson zbyt wysoko cenił rywała, aby mógł i chciał w to uwierzyć. Nie wyobrażał sobie wyspy bez

łaciatego brodacza. Kozi Król był jej nieodłączną częścią. Należał do krajobrazu, tak jak samotne drzewo, na którym Robinson spędził pierwszą noc, jak płaski blok skały, gdzie wyrzuciło go morze, jak Wzgórze Nadziei i urodzajna dolina. Ale jeśli Kozi Król uległ w pojedynku, to tym gorzej dla stada!

Zbadawszy dokładnie teren, Robinson zbudował dwie zapadnie. Jedną na nowej ścieżce, na szlaku czarnego kozła, drugą zaś w pobliżu źródła, gdzie schodziła do wodopoju partia drugiego przewodnika. Na kilka dni unieruchomił obie pułapki, podpierając zapadnie grubymi kijami. Codziennie układał na nich przynętę. Gdy poczęła znikać, wyjął kije. Nazajutrz w jednym dole szamotał się czarny kozioł, a drugim troje koźląt i dwie samice. Rezultat łowów przerósł wszelkie oczekiwania!

Koźlęta, powiązane sznurem, powędrowały pokornie do Yorku. Najmniejszego koziółka Robinson zabrał ze sobą do grotu. Malec był uparty, zadzierzysty i krnąbrny. Z miejsca zaatakował papugę, która z wrzaskiem wsiadła mu na kark. Po godzinnej bójkę przyjaźń została jednak zawarta. Tego koziółka Robinson postanowił nazwać Barnabą Drugim. Nowy Barnaba był biały i tylko na czubku nosa miał czarną, aksamitną łatkę. Wyglądał jak nie domyty.

Więcej było kłopotu z kozami. Włeczenie spętanych zwierząt do Yorku zajęło cały dzień. Dzikie i wystraszone, nie chciały z początku jeść ani pić. Dopiero po paru dniach uspokoiły się trochę i złagodniały. Pozostał jeszcze kozioł.

- No i co, czarny diable! - drwił zeń Robinson, gdy tymczasem zwierzę szalało w głębi dołu. - Kozi Król nie dałby się tak podejść! Jesteś najwykolejszym głupcem, ale i tak zrobię cię przewodnikiem mego stada. Złość się, złość! Na nic ci się to wszystko nie przyda. Pomówimy, kiedy się ustatkujesz.

Samiec pruł rogami glinę i usiłował wspiąć się po ścianach dołu, ale ziemia obsuwała mu się spod nóg. Oczy miał przekrwione, a z pyska toczył pianę. Robinson nie odważył się zejść na dół. Zwierzę wyglądało niebezpiecznie. Przeczekał noc i rano wrócił obejrząc swą zdobycz. Kozioł stał na dnie pułapki z opuszczonym łbem, ale na widok człowieka rzucił się zajadle w górę. Po trzech dniach kozioł pokornie wychleptał miskę wody. Czwartego dnia przyjął z rąk Robinsona garstkę ziarna. Piątego dnia leżał na dnie dołu i powitał swego pogromcę cichutkim beczeniem. Był tak słaby, że pozwolił się wyciągnąć na linie i na chwiejnych nogach podreptał dobrowolnie do Yorku.

Bezkrwawe łowy dobiegły końca. Dzikie stado po raz pierwszy poniosło tak sromotną klęskę. Ale Robinson nie przeceniał zwycięstwa. Ba! Gdyby to był Kozi Król! Z Kozim Królem wygrać to byłby prawdziwy triumf!

Wieczorem wracał przez Kozią Dolinkę do Yorku, niosąc upolowanego ptaka. Zewsząd otaczał go błękitny zmierzch. Słońce ślizgało się po morzu ostatkiem promieni. W pobliżu źródła wydawało się Robinsonowi, że drgnęły krzaki i że ukazał się wśród nich siwy grzbiet Koziego Króla.

Stanął. Krzaki jakby znowu zadrgały. Cisnął ptaka i rzucił się naprzód. Ale gdy stanął na pagórku, starego kozła już tam nie było. Wokoło panowała cisza. Może zakryły go zarośla? Może to był tylko cień? Może nie było go tam wcale?

#### ŚLAD STOPY

*Wypatrywałem dymu z mojego wzgórze. Szukałem chaty, ogniska, jakiegokolwiek znaku, który by pozostawiła ludzka ręka. W marzeniach i snach moich widywałem nieraz drugiego, takiego jak ja sam, rozbitka. Spotkać człowieka, zobaczyć choćby jego ślad na wyspie, wydawało mi się szczęściem największym, największą, jaka mnie może spotkać, radością.*

Robinson zdjął ze ściany łuk, wydobyl z kąta zapasowe cięciwy i napełnił strzałami kołczan.

„Co jeszcze? - pomyślał. - Chyba zabiorę i dzidę”.

Rzucił okiem na Polly. Pełna podejrzeń dreptała w miejscu i nerwowo machała skrzydłami. Mądre ptaszysko zachowywało się tak, jakby wiedziało, do czego to wszystko zmierza. Polly od rana nie opuszczała Robinsona ani na krok.

Kręcąc łebkiem, obejrzała uważnie miskę z ziemnymi orzeszkami i pęk leżących obok bananów. Obeszła dookoła wielki garnek z wodą. Robinson uśmiechnął się. Wiedział, że tak czy owak nie obejdzie się bez awantury.

Kiedy wkładał nowy kaftan, wpakowała mu się do kosza.

- Nie, moja droga. Nic z tego - usunął ją łagodnie, ale stanowczo. - Zostaniesz z Barnabą.

Polly wydarła mu się z rąk i zaczęła wrzeszczeć. Robinson wiązał właśnie skórzane postoly. Przeczekał w milczeniu pierwszy atak furii, a kiedy papuga, zmęczona, zamilkła, powiedział: - Tym razem zostaniesz w Yorku. Ktoś musi opiekować się małym Barnabą. Nie może zostać sam. We dwoje będzie wam raźniej. Wrócę za kilka dni. Tyle możesz wytrzymać. Zrzucił koszyk na plecy i szybko pozbiierał resztę rynsztunku. Dochodził już do ujścia strumienia, a jeszcze słyszał wrzaski papugi.

Szedł nową, zupełnie nie znaną drogą. Postanowił dotrzeć na południe wzdłuż wschodniego brzegu oceanu i tym razem wrócić przez Melonowe Wzgórza.

Powietrze było przejrzyste, wiatr niósł od morza zapach alg, woda pieniała się na przybrzeżnych rafach. Twardy, wyslizgany przez fale piasek plaży chrząścił przyjemnie pod stopami.

Okolo południa słońce poczęło dogrzewać tak mocno, że Robinson zboczył przez wydmy w stronę niskiego lasu. Karłowate drzewa dawały nieco cienia, oplatał je bowiem gąszcz szerokolistnych pnączy. Grunt był tutaj bagnisty i w zagłębieniach połyskiwała woda. Butwiały w niej liście, rozkładało się próchno, a w brunatnym błocie uwijały się kraby. Widocznie sięgały tutaj przyływy morskie i nawadniały nierówny teren.

Wieczór zastał Robinsona daleko od domu, na skraju zbitej gęstwiny agaw, przez którą trudno się było przedostać. Uszedłszy kilkanaście jardów, wycofał się z zarośli i postanowił spędzić noc na ich skraju. Dręczyło go pragnienie. W ciągu całego dnia nie trafił nigdzie na słodką wodę. Posiliwszy się jęczmiennymi plackami i wędzoną kozłina, spędził bezsenność noc w konarach niskiego drzewa. Nazajutrz ruszył dalej, zbaczając znowu w stronę morza i plaży.

Droga biegła teraz wzdłuż skalistej ściany, wysokiej na pięćdziesiąt stóp. W szczelinach gnieździło się ptactwo. Ruchliwa chmara krążyła bezustannie nad wybrzeżem, plądrowała wśród wyrzuconych na piasek wodorostów, czatowała na nieostrożne ryby na płycznach. Fale wyżłobiły w miękkim kamieniu płytkie groty połączone krętymi korytarzami w dziwny labirynt. W jednej z nich znalazł Robinson źródło słodkiej wody bijące ze skały. Zaspokoił pragnienie i zjadł upieczoną w popiele rybę. Morze wyrzuciło ją na brzeg i trzepotała się jeszcze w pułapce, kiedy nadszedł znużony i głodny.

Resztę dnia spędził na odpoczynku.

W przejrzystej wodzie zatoki kołowały ryby. Poruszały się zręcznie wśród rudych alg, wyblaskując z dna lśniąca łuską i koralowymi płetwami. Kiedy przemykały poprzez pasma słonecznego światła, zapalały się szkarłatem i fioletem. Gasły, znalazłszy się w cieniu.

Kilka godzin przeleżał nad tą zatoką.

Co jakiś czas pojawiała się tuż pod powierzchnią duża ryba o wspaniałych oczach. Jej grzbiet wyglądał jak spryskany kropelkami rtęci. Małe rybki śmigały wówczas na wszystkie strony i kryły się pod kamieniami.

A ryba wędrowała leniwie wśród wodorostów, które otwierały się przed nią niczym wąskie, ciemnozielone korytarze.

W płytkich zagłębieniach tkwiły nieruchomo jeżowce o długich, podobnych do szpilek, purpurowych kolcach. Na piasku leżały rozgwieżdżone i nieprzebrane bogactwo muszli: szkarłatne wachlarze, delikatne, prawie przejrzyste porcelanki, fantastycznie wygięte różki i perłowe, płaskie owale, przypominające złożone dłonie dziecka.

Robinson, jak gdyby otwarto przed nim szkatułę pełną klejnotów, nie mógł się oderwać od tego widoku i nawet nie spostrzegł, jak zaskoczył go zachód słońca i przyływ morza tak gwałtowny, że ledwo zdążył schronić się w wysoko położonej grocie. Tam postanowił spędzić drugą noc. Piękno dnia, bogactwo przyrody, szeroka słoneczna przestrzeń, wszystko to napełniło go otuchą i dobrą wiarą. „Co też robi Polly? - myślał, zasypiając. - Śpi już pewnie w swoim ulubionym kąciku, a Barnaba sennie wyskubuje siano. Trzeba nazbierać orzeszków ziemnych w dolinie, bo żarłoczne ptaszysko przetrzebiło już wszystkie zapasy”.

Po śniadaniu wyruszył dalej. Plaża szerokim łukiem skręcała na zachód i w południe Robinson ujrzał po lewej ręce mgliste zarysy lądu. Domyślił się, że to ten sam ląd, którego istnienie odkrył ongiś, zapędziwszy się na południe od Wzgórz Melonowych. Dotarł zatem do przeciwnej strony wyspy.

Okolice była pagórkowata, częściowo skalista. Na zachód, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się plaża. Robinson przeżył chwilę wahania. Czy warto zapuszczać się dalej?

- Nie, mości Robinsonie! Postanowiłeś obejść wyspę dookoła i nie wypada teraz tchórzyć.

Ruszajmy.

Pod wieczór dotarł do miejsca, gdzie ostrym klinem wdierał się w plażę wąski pas morskiej zatoki. Za nią, w odległości kilku mil, sterczał na horyzoncie gęsty czub lasu. Robinson postanowił dotrzeć tam jeszcze przed nocą. Przyśpieszył kroku. Spod nóg uciekały mu zwinne, czerwonoookie jaszczurki. Już miał zamiar skrócić w prawo, aby obejść zatokę, gdy nagle stanął jak wryty. W mokrym piasku odbita była najwyraźniej... ludzka stopa!

Stał nad nią jak rażony piorunem. W głowie miał zupełną pustkę, ołowiany ciężar w nogach i czuł, jak włosy jeżą mu się na czaszce. Gdyby zobaczył ślad upiora, przerażenie jego nie byłoby większe. Ślad ludzkiej stopy! Na miły Bóg! Skąd? W jaki sposób? Przetarł dłonią oczy i czoło zlane zimnym potem. Odrzucił precz parasol i łuk. Kosz zsunął mu się z ramion i Robinson upadł na kolana. Ślad był aż nadto wyraźny.

Drżącymi palcami obwiódł go dookoła. Nie! Nie było żadnych wątpliwości! Dokładnie wyciśnięta pięta, zarys podeszwy i pięć palców z lekka rozsuniętych, jak w biegu.

Czyżby go ogarniało szaleństwo? Może to jego własny ślad? Nie! Ma przecież na nogach chodaki z koziej skóry. Jego ślady są bezkształtne jak odciski martwego przedmiotu.

Zerwał się, zgarnął porzucony rynsztunek i rzucił się ku wydomom. Serce łomotało jak oszalone, w skroniach gwałtownie pulsowała krew. Z ukrycia począł nasłuchiwać i obserwować plażę. Otaczała go jednak zupełna cisza.

Wzdłuż wybrzeża spokojnie spacerowały ptaki. Długa, wieczorna fala sięgała w głąb lądu, aż po linię rozrzuconych wodorostów i muszli. Ochłonął nieco, raz jeszcze wrócił nad zatokę.

- Jeśli jest jeden ślad - rozumował - musi być ich więcej i dokądś zapewne prowadzą.

Wpółgłęboko, przebiegł otwartą przestrzeń. Uważnie obszedł brzeg zalewu.

Ale poza tym jednym śladem nic nie zdradzało obecności człowieka czy ludzi. A może resztę śladów zdeptały żółwie i ptaki? Może zasypał je piasek albo zmyła woda?

Nagle przypomniał sobie. To przecież tutaj musiało płonąć ognisko, którego łunę zobaczył wówczas z głębi lądu. A więc ognisko, a teraz ślad człowieka!...

Ogarnęła go nieprzewyciężona trwoga. Nie bacząc na nic, rzucił się do ucieczki. Biegł jak szalony, potykając się i padając co chwila. Piasek zdawał się więzić mu stopy, ostre kolce krzaków chwytaly go za rękawy kaftana i rozwiane poły. Każde drzewo przybierało w wyobraźni postać człowieka, zdawało się wyciągać ramiona i zabiegać mu drogę.

Po dwóch dniach, zmęczony nieludzko, dotarł do Yorku. Którędy szedł, jak trafił - sam nie wiedział.

Nie pamiętał nawet chwili, kiedy wspiął się po drabince. Uciekał jak ścigane zwierzę, głuche i ślepe na wszystko, które pragnie tylko zaszyć się w najciemniejszym kącie i przeczekać niebezpieczeństwo.

Mimo wyczerpania noc spędził bezsennie. Nie zapalając światła, z szeroko otwartymi oczami, leżał bez ruchu i myślał. Ale zbyt był przejęty tym, co go spotkało, ażeby zdobyć się na spokojną i trzeźwą ocenę. Przeciwnie, tysiące urojeń i najdziwniejszych przypuszczeń snuło mu się po głowie.

- Tylko szatan potrafiłby zostawić odbicie jednej stopy! Jeden jedyny ślad na pustym wybrzeżu!

Piekielna sztuka!

- To nie mógł być człowiek! Żywy człowiek musiał przecież skądś nadejść i dokądś iść!

Robinson otarł dłonią spieczoną wargi. Dręczyło go pragnienie, ale nie miał odwagi wyjść po wodę.

Zabobonna trwoga paraliżowała mu ręce i nogi. Teraz dopiero zauważył, że nie zamknął za sobą wejścia do groty. Padało stamtąd nieruchome światło księżyca.

Ale jakież cel mógłby mieć szatan, aby czyhać nań właśnie tam, po drugiej stronie wyspy?

- Nie, Robinsonie! Weźże się w karby, na Boga! Jutro znowu zaświeci słońce i wszystko to wyda ci się wierutnym głupstwem!

- Ale ślad! Ślad przecież pozostał. Więc jeśli nie szatan, to człowiek! Ludzie!

Czemuż go to nie cieszy? Dlaczego strach dławi mu gardło?

W kącie groty poruszyła się Polly. Machnęła skrzydłami i dwa wielkie cienie przemknęły się po ścianach Yorku.

Robinson zerwał się z posłania. Odszukał krzemień, garść hubki i skrzesał ogień. Teraz dopiero spostrzegł, że przeleżał całą noc w ubraniu i w czapce na głowie. Zasuwał wejściową płytę i mocno podparł ją kołkiem.

- Powiedzmy sobie w końcu prawdę, Robinsonie - mruknął. - Jeśli to nie złudzenie, nie szatan i nie rozbitek taki jak ty - to... Karaibowie!

Jak żywy stanął Robinsonowi przed oczami ów łód nieznaną, łód na południe od wyspy. Ziemia budząca w nim na przemian nadzieje i obawy. Tylko stamtąd mogli przybyć na tę wyspę ludzie, zapędzeni wiatrem albo przeciwnym prądem. Przybyli i wyszli na brzeg.

Kto wie, czy Robinson nie wolałby w gruncie rzeczy, ażeby napotkany ślad był śladem szatana? Przeróżenie ogarniało go na myśl, jak łatwo go wytropić, znaleźć i zabić na tej wyspie. Wystarczy, aby jeden z dzikich zauważył z kolei jego ślady! Niechby spostrzegli dym z ogniska! Uprawione i obsiane pole! Mur wokół Yorku lub kozy w zagrodzie! Jakikolwiek ślad ludzkiej ręki! Co wtedy?

Przez trzy doby nie opuszczał groty. Nie rozpałał ognia, wieczory spędzał po ciemku, żywił się surowym mięsem i resztką jęczmiennych placków. Nie przestawał rozmyślać nad sposobami zabezpieczenia się przed napaścią.

Pierwsze plany i pomysły były zupełnie niedorzeczne. Dyktował je strach. Może rozwalić zagrodę dla kóz i rozpędzić zwierzęta? Zburzyć letnią altanę i przekopać pole? Zniszczyć wszystko, co mogłoby nasunąć Karaibom podejrzenie, że wyspa jest zamieszkała?

Czwartego dnia głód wypędził go z groty. Uzbrojony w łuk i dzidę poszedł wydoić kozy. Plany jego uległy zmianie. Doszedł do wniosku, że zbyt lekkomyślnością byłoby pozbawiać się trzody.

Nazajutrz odważył się zapolować, zachowując najdalej posuniętą ostrożność, a cały wieczór spędził na Wzgórzu Nadziei, obserwując południową stronę wyspy. Ale nie zobaczył tam ani ognia, ani łuny.

- Nie szukaj w tym pociechy, Robinsonie - mruczał swoim zwyczajem, schodząc późną nocą ze wzgórza. - Widziałeś ślad i dotykałeś go własnymi rękami. Twoja wyspa nie jest tak odludna, jak to sobie wyobrażałeś. Widocznie odwiedzają ją łodzie, i to łodzie dzikich. Nie pozostaje ci nic innego, jak mieć się na baczności i znaleźć sobie bezpieczne schronisko na wypadek oblężenia Yorku.

#### SYGNAŁ WŚRÓD NOCY

*Pierwszy głos świata, z którego wyniosła mnie burza na ten bezludny brzeg - pierwszy głos świata po latach - nie był głosem człowieka. Zabrzmiał mi w uszach obco, wszystko przypominając zarazem. Przeżyłem uczucie podobne temu, jakie przeżywa rozbitek wyrzucony z łodzi, gdy fala wyniesie go na powierzchnię po to, aby za chwilę pogrążyć go w morskich odmętach.*

Po kilku dniach Robinson czuł się już znacznie lepiej. Wzmocnił żywopłot, przekopał zapasowe wyjście i starannie zamaskował je kamieniami i darnią. Wyjście to prowadziło na zbocze osłonięte wielkimi złomami skał. Można było tamtędy przedostać się niewidoczną z dołu ścieżką na brzeg strumienia i w głąb lasu.

Zakończywszy prace nad ubezpieczeniem Yorku, Robinson wybrał się na poszukiwanie bezpiecznej polanki powyżej Koziej Dolinki. Postanowił urządzić tam zapasową zagrodę dla kóz. , ' Idąc przez las, potknął się na sterczącym korzeniu, wykręcił nogę i upadł. Kiedy tak siedział, masując obolałe mięśnie, spostrzegł, że korzeń osłania wejście do jakiejś jamy. Zajrzał do środka. W głąb prowadził ciasny korytarzyk. Ogarnięty ciekawością, Robinson przecisnął się do środka i zaraz zamknęła się za nim zielona zasłona lian. Po kilkunastu krokach dotarł do drugiego otworu. Było to wejście do podziemnej jaskini. Robinson stłumił okrzyk radości. Odkrycie było bezcenne! Gdyby nawet dzicy jard po jardzie przetrząsnęli całą wyspę, tutaj nikt go nie wytropi! Nawet nie marzył o takiej kryjówce! Jeszcze krok i zajrzał do środka. Chłodny ciąg powietrza musnął mu skronie. Jaskinia miała widocznie drugie wejście. Nagle w głębi rozległo się ciche stęknienie. Robinson zawahał się, sądząc jednak, że go słuchami, ostrożnie przesunął się dalej.

Znowu jak gdyby westchnienie lub nie domówione słowo...

- Hej! Jest tam kto? - stłumiony okrzyk zabrzmiał dziwnie obco wśród skalnych ścian.



Naraz Robinson odskoczył jak oparzony. W głębi jaskini zabłysła para oczu. Zaiskrzyły się zielono i zgasły.

Jak podcięty biczem wypadł z groty. Oprzytomniał dopiero na zewnątrz. Ciekawość walczyła ze strachem.

Człowiek czy zwierzę? Przypomnił sobie dzikiego kota. Co to może być? Jaguar, puma, ocelot?

- Do diabła, Robinsonie! - dodawał sobie odwagi. - Trzeba ci było zostać kupcem ważącym pieprz i goździki!

Wiedział, że nie jest tchórzem. Ale czymże jest człowiek uzbrojony w nóż wobec dzikiego zwierzęcia? Jedno szarpnięcie kłami i nie zdąży nawet zadać ciosu. A jeśli to nie jest zwierzę? Może właśnie w tej grocie kryje się tajemnica wyspy? Obszedł teren dookoła, badając uważnie każdy krzak i każde drzewo. Ale drugiego wejścia do groty nie znalazł. Nie było go albo kryła je gęstwina.

- Nie. Tym razem nie dam z siebie zrobić głupca.

Nazbierał chrustu i nałamał suchych gałęzi. Wydobył z torby myśliwskiej krzemień i hubkę.

Z nożem w ręce i płonąca pochodnią wszedł po raz drugi do jamy. Minął szybko wąski korytarz i unosząc żagiew ponad głową, przystanął na progu jaskini, w każdej chwili gotowy do odparcia napaści. Zobaczył go od razu.

Leżał na środku jamy, nieco niżej w płytkim zagłębieniu. Na widok Robinsona drgnął i dźwignął głowę. Próbował nawet wstać, wsparł się na przednich nogach, ale jęknął i obalił się ciężko na bok. Był to Kozi Król.

Ogromny, łaciaty samiec dyszał ostatkiem sił. Widok był tak nieoczekiwany, że Robinson stał przez chwilę bez ruchu, z dziwnym uczuciem skurczu w gardle. Patrzyli sobie prosto w oczy. Wreszcie zwierzę powoli odwróciło głowę.

Robinson wsunął nóż za pas i podszedł bliżej. Oparł pochodnię o ścianę i pochylił się nad zwierzęciem. Kozi Król błysnął oczami, kiedy ręka człowieka musnęła go po siwym grzbiecie.

- Spotkaliśmy się, Kozi Królu! - szepnął Robinson.

Ale w jego głosie nie było ani cienia triumfu. Ogarnął go smutek.

- Czego ci trzeba, Kozi Królu? Wody?

Próbował go podnieść i wyprowadzić z jamy na powietrze. Ale czuł, że kozioł się opiera. Mimo to podparł go ramieniem i dźwignął. Zwierzę szarpnęło łbem i Robinson ugiął się pod ciężarem. W proteście Koziego Króla nie było wcale gniewu. Po prostu nie chciał opuścić jaskini. Robinson ponowił jednak próbę. Ale siwy łeb zwierzęcia potoczył się po ziemi i przed człowiekiem leżał już tylko bezwładny, nieruchomy ciężar. Kozi Król nie żył.

Pochodnia dogasała. Krztusząc się dymem, Robinson opuścił groty. Kiedy z niej wyszedł - zrozumiał. Świat tętnił życiem, a tam, pod ziemią, był spokój i cisza. Kozi Król potrzebował spokoju i ciszy. „Pozostałeś do końca sobą, Kozi Królu” - pomyślał Robinson i nagle poczuł się jeszcze bardziej samotny niż zwykle. Powoli ruszył do domu. Polly powitała go tak, jakby się nic nie stało, i Robinson miał do niej nawet żal o to.

Następnego dnia pochował Koziego Króla na progu podziemnej jaskini.

Świeżo odkryta pieczara miała kształt nieregularnego czworoboku. Musiała ją wyżłobić woda. Dno wyścielała warstwa drobnutkiego żwiru. Można tam było swobodnie stanąć i poruszać się na przestrzeni kilkunastu jardów.

Podczas dokładnych oględzin Robinson trafił na ukryty korytarzyk. Zaopatrzone w dwa kaganki, zapuścił się tam zaraz następnego dnia. Stamtąd właśnie nadbiegał powiew świeżego powietrza. Robinson pełzał na czworakach, ostrożnie przesuwając przed sobą światło. Przebywszy gardziel korytarza, spostrzegł, że strop nad nim dźwiga się coraz wyżej. Po chwili mógł się już wyprostować. Jeszcze kilka kroków i stanął olśniony!

Przed nim otwierała się druga podziemna komnata, znacznie większa od pierwszej. Jej ściany i sklepienia migotały w blasku kaganka tysiącem pełgających płomyków. Pokryte były, jak łuska, drobnymi płytkami kryształu i miki. Przezroczyste nawisy u stropu wyglądały jak kandelabry, które wystarczy zaświecić, ażeby cała sala zabłysła pełnią swego przepychu.

- Robinsonie! Oto odziedziczyłeś po Kozim Królu pałac! Siedzibę naprawdę godną jedynego władcy tej wyspy!

W życiu Robinsona zaczął się teraz nowy, pracowity okres. Warownię Koziego Króla, tak bowiem nazwał nową siedzibę, trzeba było, podobnie jak York, zaopatrzyć w żywność i sprzęty gospodarskie. Trudno przewidzieć, kiedy i na jak długo przyjdzie mu tutaj właśnie szukać schronienia. W pobliżu znalazła się ustronna polanka nadająca się na zapasową zagrodę dla kóz. Robinson powbił słupki i powiązał je ze sobą lianami, tworząc rodzaj ogrodzenia, w którym po kilku dniach umieścił część trzody. Sporo pracy kosztowało go przekopanie płytkiego kanału, ażeby doprowadzić do nowej zagrody wodę z Koziej Dolinki. W ciągu kilku miesięcy krążył między Yorkiem, Warownią i Letnim Pałacem. Rozmieszczał zapasy, zboże, mięso i owoce.

Tak minął pośród różnorodnych zajęć siódmy rok na wyspie, Boże Narodzenie spędzone zgodnie z przyjętym obyczajem na poście i rozmyślaniach, noc noworoczna i pora wielkich deszczów.

Pomimo nadmiaru zajęć Robinson nie przestawał myśleć o dzikich. Wciąż zadawał sobie pytanie, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi:

- I co dalej? Co dalej, Robinsonie? Jak długo można tak żyć pomiędzy Warownią a Yorkiem, przekradając się chyłkiem jak tropione zwierzę?

W połowie maja, w okresie zazwyczaj pogodnym, rozpętała się straszliwa wichura. W ciągu kilku zaledwie godzin ocean wystąpił z brzegów. Gwałtowne chlusty wody morskiej docierały prawie do Yorku i zwały się w dół z północnego zbocza Wzgórza Nadziei, porywając za sobą kamienie i krzaki wydarte z korzeniami. Burza, jakiej Robinson nie pamiętał u brzegów tej wyspy od czasów rozbicia, trwała okrągłą dobę. Większość tego czasu spędził w stajence w stanie zupełnego oszołomienia. Bał się trzęsienia ziemi. Wydawało mu się, że powała Yorku ugina się pod ciosami huraganu i że lada chwila kamienie posypią mu się na głowę. Wśród zwierząt czuł się bezpieczniej. Ich ciepłe oddechy dodawały mu otuchy. Huragan ucichł drugiego dnia nad wieczorem, po czym nastąpiła bezgwiezdna noc, tak ciemna, że nie można było dojrzeć nawet wyciągniętej ręki. Zapanowała cisza. Robinson wrócił właśnie do groty i wyczerpany czuwaniem zabierał się do spóźnionej wieczerzy, gdy nagle głuchy grzmot targnął powietrzem. Odpowiedziało mu stłumione echo. Zerwał się na równe nogi, wypuszczając z rąk garnek z mlekiem.

- Trzęsienie ziemi?

Nie. Ten dźwięk nie przypominał niczym podziemnego gromu. Nie było to także uderzenie piorunu. Trwał krótko jak cios siekierą. Brzmiał inaczej. Coś przypominał...

Na Boga! Czyżby to... Nie śmiał dokończyć. Wargi i ręce drżały mu jak w febrze. Rzucił się do wyjścia. Ogarnął go natychmiast czarny odmęt nocy.

- Czy to możliwe? Nie! Nowe jakieś urojenie!

Potykaç się, pędził na szczyt wzgórza. Na przelaj! Przez kamienie i krzaki! Zaledwie stanął na miejscu, ujrzał krótki błysk ognia. I za chwilę nowy grzmot rozdarł powietrze. Las odpowiedział westchnieniem. Teraz już nie miał wątpliwości. To były wystrzały armatnie!

- Statek!

Przebijał się gdzieś wśród gęstego mroku, wzywając pomocy i ratunku.

Na pokładzie byli ludzie! Żywi ludzie, mówiący może tym samym, co i on, językiem! Po siedmiu latach samotności - statek! I to tak blisko!

Cóż z tego?! Jakże im pomóc?! Jeszcze chwila, a rozbiją się o te przekłete brzegi!

Radość ustąpiła miejsca rozpacz. W poczuciu swej bezsilności Robinson, krzycząc, rzucił się na ziemię. Nie mógł pohamować strasznego żalu. Od statku dzieliła go może jedna, może dwie mile, a wystrzały armatnie świadczyły, że moment jest ostateczny. Statek dostał się pewnie pomiędzy rafy albo też fala pędzi go na osłep ze strzaskanymi masztami...

- Co robić?

Była w tym doprawdy jakaś ironia losu. On, który tyle lat czekał na pojawienie się statku, on, który przez siedem lat wypatrywał oczy z tego Wzgórza Nadziei i Rozpacz, teraz, kiedy nadeszła ta chwila - nie potrafił porozumieć się z ludźmi!

Nowy błysk przywrócił mu przytomność.

- Rozpalić ogień! Natychmiast i za wszelką cenę!

Na szczęście stos sygnałowy oparł się jakoś wicherze. Robinson zagarnął, ile tylko mógł, suszu, roztrzaskał muszlę z hubą i skrzesał iskrę. Rozdmuchał ją i przykrył garstką gałązek. Strzelił płomyk. Wzerał się teraz powoli w drzewo, ogarniał je pracowicie, przygasał i znowu rozpalał się na nowo. Robinson rzucił kaftan. Był zlany potem. Dorzucił garść chrustu, osłonił go czapą i klęcząc, dmuchał. Dmuchał i modlił się do tego ognia, przemawiał doń jak do człowieka.

Wreszcie płomień skoczył po gałęziach, ogarnął cały stos i zahuczał po swojemu. Na statku dostrzeżono widocznie sygnał, gdyż odezwały się trzy następujące po sobie wystrzały armatnie. Ale na tym koniec. Do białego rana noc nie dała już żadnego znaku. Robinson bez przerwy podsyczał ognisko. Dzień wstał mglisty i słońce z trudem przebijało się przez chmury. Kiedy mgła ustąpiła, Robinson ujrzął w znacznej odległości od wyspy jakąś rzecz, która mogła być statkiem.

Popędził na brzeg. Zobaczył stamtąd wrak żaglowca ze strzaskanymi masztami. Na pokładzie nie było widać żadnego ruchu.

A więc cóż się stało z załogą?

Może dotarli w szalupach do brzegu i, tak jak on niegdyś, krążą zrozpaczeni po wyspie? Z jakąż radością podzieliłby z nimi chleb i dach nad głową!

- A jeśli szalupy uległy rozbiciu?

- Nie! To niemożliwe! Ktoś przecież musi być na tym statku! Boże, pozwól, żeby tam był chociaż jeden żywy człowiek! Spraw, ażeby chociaż jednego mógł uratować!

#### WYPRAWA NA STATEK

*Jeszcze jednego nauczyło mnie to doświadczenie: nigdy nie należy użalać się nad swoim losem i własnego nieszczęścia ponad wszelką wyolbrzymiać miarę. Może się bowiem zdarzyć i zdarza się w życiu, że kiedy przyjdzie porównać los własny z losem innych ludzi, tamci właśnie okażą się godni pożałowania...*

W południe morze było spokojne, a odpływ sięgał tak daleko, że Robinson zbliżył się do statku na odległość jednej czwartej mili. Tu zrzucił kaftan i jął brnąć przez wodę.

Wrak leżał pochylony lekko na prawą burtę, z dziobem skierowanym ku wyspie. Wyglądało tak, jakby za chwilę miał wspiąć się znowu na usługny grzbiet podbiegającej fali. Burty były całe i dziób nie uszkodzony.

„Tak właśnie umiera człowiek - pomyślał Robinson - nagle trafiony w serce”.

Z satysfakcją urodzonego żeglarza jednym rzutem oka ocenił smukłą sylwetkę kadłuba. Wysoko sklepione burty, bukszpryt jak dziób atakującej czapli, nisko osadzona rufa zdawały się zdradzać rękę portugalskich albo hiszpańskich budowniczych. Poza tym nic nie wskazywało bliżej na pochodzenie statku. Na strzaskanym ganku rufy złociła się łacińska nazwa barkentyny\*. Nietrudno ją było odczytać: „Diana”.

- Aho - o - oj!

Płynął teraz, pracując silnymi wyrzutami ramion. Fala zalewała mu usta i tłumiała wołanie.

- Aho - o - oj! Ehe - e - eu!

Łapał gwałtownie oddech, starając się przekrzyczeć szum morza. Statek był jak martwy. Przez chwilę tylko zdawało się Robinsonowi, że jakiś cień przemknął po pokładzie.

O, jakże pragnął zobaczyć ludzi! Usłyszeć głos, chociażby kilka słów. Nawet w nieznanym języku.

Nigdy nie odczuwał tej tęsknoty tak głęboko i silnie jak teraz.

- O, gdyby chociaż jeden! - szeptał gorączkowo. - Gdyby chociaż jeden! Boże, spraw, ażeby na tym statku był chociaż jeden człowiek!

- Aho - o - o - oj!

Jakby w odpowiedzi, z pokładu barkentyny dobiegł uszu Robinsona dźwięk od lat nie słyszany.

Przez chwilę znowu sądził, że ulega złudzeniu, ale dźwięk powtórzył się i wzbierał na sile.

Co to?

Ależ tak! Poznawał szczekanie psa. Niecierpliwe, gwałtowne szczekanie, kończące się za każdym razem refrenem natarczywego skomlenia.

- Jeśli jest pies, muszą być także i ludzie! Może ranni? Może chorzy? Może nie mają sił, żeby wyjść

na pokład?

Oplynął statek, szukając sposobu wydostania się na górę. Nigdzie ani śladu drabinki, tylko gładkie, beczkowate ściany, po których wspiąć się niepodobna.

Z bliska przyczyny katastrofy były zupełnie jasne. „Diana” tkwiła kleszczach raf jak skorupa orzecha.

Z bliska przyczyny katastrofy były zupełnie jasne. „Diana” tkwiła kleszczach raf jak skorupa orzecha.

Pędzona falą przyboju, wpadła między dwie bliźniacze skały. Wstrząs potrzaskał maszty, rozluźnił wręgi, przez szczeliny przelewała się woda.

W pobliżu łańcuchów kotwicznych Robinson wypatrzył cienką linkę. Zdołał ją wreszcie uchwycić.

Odpoczywał przez chwilę, uwieszony na niej całym ciałem, a potem wspiął się na pokład.

Panował tu okrutny nieład. Widocznie załoga opuszczała żaglowiec w najwyższym pośpiechu. Na szlupbelkach zwisały wystrzępione liny. A więc nie było nawet czasu na spuszczenie szalup! Wiązania przecięto toporem. Doświadczone oko żeglarza odczytywało z łatwością ślady tragedii, jak się tu rozegrała. Wzruszenie ogarnęło Robinsona i żal ścisnął mu gardło. Widział przed sobą blade twarze skazanych na śmierć ludzi, ręce zaciśnięte w rozpacz na uchwytach burt. Zdawało mu się, że słyszy wołanie tonących, słowa modlitwy i miotane przekleństwa.

Z zadumy i odrętwienia wyrwało go skomlenie psa. Odwrócił się. Pies patrzył na niego bystrym, uważnym spojrzeniem. Zaskomlał znowu. Robinson ujął w obie dłonie ciężki łeb zwierzęcia i przyklękawszy na pokładzie, wtulił twarz w skołtunione, słone kudły. Z oczu potoczyły mu się gorące krople łez. Pies przycichł na chwilę i znieruchomiał, a potem delikatnie, powolutku zaczął lizać szorstką dłoń człowieka. Nagle, jak gdyby sobie o czymś przypomniał, wyrwał się i skoczył w stronę luku. Dopadł drabinki, szczerką, zaskomlał i doskoczył znowu do nóg Robinsona, patrząc mu błagalnie w oczy. Był to wychudły, duży wilczur o szerokiej piersi, muskularnych nogach i mądrym spojrzeniu przekrwionych oczu.

Widząc, że człowiek nie rozumie - szczerką niecierpliwie, zawrócił i znowu podbiegł do luku.

Podreptał w miejscu, zaskomlał i przysiadł na pierwszym stopniu.

Człowiek zrozumiał. Zsunął się ostrożnie po stromych schodkach i pchnął drzwi wiodące do pierwszej z brzegu kajuty. Pod nogami zachlupotała woda.

Na wpół zanurzeni w wodzie, spleceni uściskiem ramion, leżeli przed nim dwaj ludzie z załogi „Diany”. Wywłókił bezwładne ciała wyżej i oparł o schodnię. Nie żyli już. Pomoc była spóźniona. Starszy marynarz miał głęboko przeciętą skroń. Młodszy niósł go widocznie na pokład i stracił siły, gdy woda zalała przejście. Tak oto obaj pozostali na statku.

- Być może, tutaj właśnie - szepnął Robinson - rozegrała się ostatnia scena dramatu, kiedy szalupy przepelnione ludźmi odbijały już od wraka „Diany”. Kim byli ci dwaj? Przyjaciółmi? Braćmi? A może to syn starał się uratować ojca? Tajemnica została już ich wyłączną własnością. Tyle tylko wiadomo, że to człowiek ratował człowieka.

Robinson ukląkł i odmówił modlitwę.

Druga schodnia, prowadząca niżej, zalana była do połowy wodą. Tuż koło drabinki przewinał się błękitny żarłacz. Szukał tutaj łupu - znak, że morze wzięło już w posiadanie tę część statku. Nie było czasu do stracenia. Przy pierwszej silniejszej fali „Diana” pójdzie na dno.

Robinson gwizdnął na psa i wbiegł na rufę.

Drzwi wiodące do kapitańskiej kajuty zacięły się i musiał je wyważyć całą siłą ramion. Pies wbiegł pierwszy. Widocznie często tu bywał dawniej, czuł się bowiem swobodnie jak w domu. Robinson przekroczył próg i zmartwiał. Przed nim, w odległości kilku metrów, stał barczysty mężczyzna o twarzy okolonej rozwichrzoną brodą, z włosami opadającymi obficie na ramiona. Widok był tak niespodziewany i niezwykły, że Robinson położył dłoń na rękonożności noża. Barczysty brodacz uczynił to samo. Oba gesty były jednoczesne. W tej chwili spojrzenie Robinsona padło na ciężką, rzeźbioną ramę. Uśmiech skrzywił mu wargi. Było to zwierciadło, a w nim jego własne odbicie. Podeszedł i dotknął palcami gładkiej powierzchni. Z ram lustra patrzyła nań prawie obca twarz.

Czyż to dziwne, że nie poznał sam siebie? Tafla wody, która służyła mu dotąd za zwierciadło, nie była przecież zbyt dokładna. Dopiero teraz odnajdywał w odbiciu własne oblicze, jak oblicze człowieka nie widzianego od lat. Rozpoznał rysy i szukał podobieństwa z dawnym Robinsonem - z Robinsonem z Hull,

Yorku i Brazylii. Nagle - drgnął. W odległym kącie kajuty zatrzepotało coś głośno i gwałtownie. Pies rzucił się tam i odskoczył, szczekając. Była to duża ryba, którą fala wrzuciła przez wybite okno.

Robinson rozejrzał się po kajucie. Na pochylonym stole leżały rozrzucone w nieładzie papiery i książki. Woda morska dokonała tu już swego niszczycielskiego dzieła. Skórzane okładziny wzdęły się, kartki przemokły. W szafce poprzewracane instrumenty żeglarskie. Na podłodze pęknięty globus.

Gdzież to był taki globus?

„...Ziemia jest kulą, mój chłopcze, i każda droga prowadzi do domu...”

- Kto to powiedział? Czy ktoś tutaj? W pustej kajucie? Ach, nie, to przecież słowa ojca...

„...ale każda z tych dróg może być zbyt długa na siły człowieka”.

Robinson westchnął i odwrócił się w drugą stronę.

Palisandrowe sprzęty, przemoczony doszczętnie dywan, stół przykryty ciężkim, jedwabnym obrusem... Kapitan żaglowca był widocznie człowiekiem zamożnym. Potłuczone szkło i ślady rozlanego wina zdawały się świadczyć, że cyklon spadł na „Dianę” nagle. Może właśnie wtedy, gdy w gronie przyjaciół wznoszono tu kielich za szczęśliwą podróż?

Robinson dotknął nieśmiało gładkich poręczy fotela. Ostrożnie wziął do ręki cienki kryształowy puchar zdobiony misternie srebrem. Każdy przedmiot rozpoznawał na nowo. Z kształtu, dotykem przypominał sobie i odgadywał jego przeznaczenie jak ślepiec, który po latach nagle odzyskał wzrok. Opuściwszy kajutę kapitana, trafił do spiżarni okrętowej. Drzwi zastał otwarte. Kłódka była rozbita. Widocznie załoga w pośpiechu wyносиła zapasy do szalup.

Na półkach leżała kawa, kakao, w workach był cukier, mąka, suszone owoce, ryż, sago. Oparte o ścianę stały wielkie holenderskie sery. Tuż obok nich kilka beczulek i zamkniętych skrzyń, worki sucharów. W osobnej przegrodzie wędzona słonina, peklowane mięso, wielkie butle z oliwą, sól. Worek suchutkiej, sypkiej, białej jak śnieg soli!

Robinson napełnił kubek rumem i odciął nożem spory płat wędzonej szynki. Szynka! Suchary! Jakże już dawno nie miał w ustach podobnych przysmaków! Rzucił psu kawał mięsa. Wilczur, dławiąc się, pożarł go w okamgnieniu i szczeknął na znak, że czeka na ciąg dalszy uczyty.

Ale chlupot fal na dnie statku przypomniał Robinsonowi, że czas mija i nie wolno go tracić lekkomyślnie. Trzeba ratować, co się da! Ocalić chociaż część tych bogactw, zanim je pochłonie morze. Wszystko, co znajdowało się na statku, przedstawiało dlań nieocenioną wartość. Żywność i gwoździe, liny i płótno, deski i narzędzia!

Wysunął puste kosze na środek komory, wygarnął z kąta leżące tam worki i zaczął w nie wrzucać po kolei, co mu w rękę wpadło. Kiedy już były prawie pełne, trudność, o której dotychczas nie pomyślał, ostudziła nagle cały jego zapał. Jakże to wszystko przetransportować na wyspę? Usiadł bezradnie. Dotychczas działał jak we śnie. Teraz jednak musi przywołać na pomoc całą swoją pomysłowość i rozsądek. Pierwsza gwałtowniejsza fala roztrzaska czerep statku, a wraz z nim i jego również pograży w odmętach jak skąpcza oszalałego wśród skarbów. Trzeba wybrać to tylko, co najpotrzebniejsze.

Łódź! Gdyby choć jedna łódź została na żaglowcu, wszystko byłoby proste i łatwe. Ale można sklecić tratwę. Potrafi to niemal każdy, kto ma pod ręką topór, gwoździe i drzewo.

Po dłuższych poszukiwaniach udało się Robinsonowi odnaleźć składzik cieśli okrętowego. Skrzynia była otwarta, a narzędzia porzucane dookoła. Widocznie używano ich podczas burzy. Siekiery! Piła! Młoty! Świdry, dłuta i obcęgi! Gwoździe i haki! Prawdziwe skarby! Zabrał je i ułożył starannie. Ale skrzynia okazała się tak ciężka, że trzech tęgich majtków nie ruszyłyby jej z miejsca. Dopiero opróżniona ponownie do połowy, dała się wywlec na pokład. Resztę narzędzi trzeba było wynieść osobno. Ile zdoła pomieścić tratwa? Jaki ciężar uniesie do brzegu?

Pokład zasypany był dosłownie szczątkami osprzętu zwalonego przez burzę. Tu i ówdzie stały wzdłuż burt szerokie ławy. Materiału było pod dostatkiem. Z łatwością wyszukał kilka wielkich dragów, dwie bramstengi, podcinał reje, wyrębał z burt długie deski, powiązał to wszystko linami i zwałił w morze. Zbicie tratwy było już zadaniem stosunkowo łatwym. Pracę, która w dawnych warunkach zajęłaby mu w najlepszym razie kilka dni, tutaj, za pomocą doskonałych narzędzi, ukończył w godzinę.

Na pierwszy ogień poszła skrzynia okrętowego cieśli. Posługując się całym systemem przemysłnie

powiązanych lin, udało się Robinsonowi opuścić ją na pokład tratwy. Niewiele już pozostało czasu. Pracował szybko, starając się nadrobić stracone godziny. Raz jeszcze wrócił do kajuty kapitana, żeby zabrać mapy, lunetę i instrumenty nawigacyjne. Bóg wie, jak potoczą się losy i czy żeglarska mapa i kwadrant nie obdarzą go kiedyś wolnością?

Obok instrumentów leżało w szafce duże, oprawne w skórę puzdro, a w nim - Robinsonowi z podniecenia aż zadrżały ręce - na czerwonym jedwabiu dwa oprawne w srebro pistolety, róg z prochem i woreczek z kulami. Jakże mógł zapomnieć o najważniejszym! Przecież gdzieś na tym statku musi być magazyn broni! Jeśli armaty tkwiły na pokładzie, to nie mogło zabraknąć i muszkietów!

Chciwie porwał pistolety. Podsypał prochem panewki i przez otwarte okno wypalił z obu luf jednocześnie. Z burty „Diany” porwały się mewy.

- Słyszałeś, piesku?! - krzyknął do wilczura. - Zapamiętaj sobie! To pierwsze dwa strzały, jakie padły w pobliżu tej wyspy od stworzenia świata! Wspaniałą broń mamy, mój najmilszy! Nic nam teraz nie grozi, przyjacielu! Przyjacielu? - zastanowił się. - Co za przednia myśl! Przyjaciel! Friend! Słyszysz, piesku? Doprawdy, nie mógłbyś się nazywać inaczej!

I Robinson, zadowolony ze swych nowych odkryć, zaczął przetrząsać kapitańską kajutę. Na koniec znalazł to, czego szukał. W dobrze zabezpieczonym schowku wisały dwie strzelby angielskie. Stała tam również baryłka przedniego prochu, maszynka do wytapiania kul, krążek ołowiu i worek śrutu. Obładowany wybiegł na pokład.

W ślad za skrzynią z narzędziami poszły beczułki prochu, kufer odzieży, strzelby angielskie, puzdro z pistoletami, kosze i worki z żywnością. Były tam sery holenderskie, ryż, suchary, kilka galonów rumu, wędzona wieprzowina, mąka i cukier. Wszystko to zostało przykryte płótnem żaglowym i umocowane liną do desek tratwy. Jeszcze wiosła i - Friend.

Pies przez cały czas śledził uważnie przygotowania, zdradzając wielki niepokój. Robinson chciał go opuścić na sznurze, ale wilczur sam skoczył w wodę i wdrapał się na pokład tratwy.

Pierwsza fala przyływu dosięgła już statek. Zaskrzypiały ostrzegawczo wiązania, a tratwa uniosła się i łagodnie opadła w brudną wodną. Robinson rozejrzał się z namysłem. Jakże tu płynąć bez steru i żagla na tych kilkunastu deskach? Każda niezręczność wioślarza i każda gwałtowniejsza fala groziła przewróceniem. Ale morze było jeszcze spokojne. Pierwszy przybór wody parł równo w stronę lądu i w tym samym kierunku wiał słaby wiatr. Robinson ogarnął spojrzeniem statek. Na dziobie „Diany” przysiadła gromadka mew, burtę otaczał wieniec syczącej piany. Jutro, być może, przelewać się będą w tym miejscu gładkie fale oceanu... Los żaglowca był przesądzony.

Robinsona ogarnął smutek. „Diana” była takim samym rozbitkiem jak on. Ludzie morza wierzą, że statki żyją swoim własnym życiem i gdzieś tam, w niewidocznym miejscu na dziobie, pomiędzy wręgami, biją ich serca, tak jak bije serce człowieka. W ciągu tych godzin spędzonych na pokładzie zdawało się Robinsonowi, że słyszy zamierające bicie tego serca. A „Diana” stanowiła, być może, ostatnią nić, jaka przypadkiem związała go z dawno porzuconym i prawie zapomnianym światem. Myśl, że jutro morze znowu będzie puste jak dawniej, była dziwnie bolesna. Jakby przeżywał w tej chwili jeszcze jedno rozstanie z kimś bliskim...

Przez całą milę tratwa szła wybornie. Ale kiedy wyminęła głazy przy ujściu strumienia, zahaczyła o mieliznę i przyhamowała tak gwałtownie, że wioślarzomal nie zwałił się w wodę razem z ładunkiem. Ze wszystkich sił podparł plecami skrzynie i worki. Tratwa, mocno przechylona, stała w miejscu. Nie było sposobu, aby ją ruszyć z mielizny. Robinson trwał w bezruchu, wiedząc, że każda zmiana położenia ciała musi wywołać katastrofę. Tak zeszło blisko pół godziny. Długie pół godziny, w ciągu której zdrętwiały mu ręce i nogi, a grzbiet uginał się pod ciężarem. Już tracił siły, gdy woda podniosła się nieco, tratwa odzyskała równowagę i nagle spłynęła lekko z mielizny. Pracując wiosłem bez wytchnienia, przedostał się w koryto rzeczki.

Tu znowu co kilkanaście sążni wyrastały niespodziewanie głazy albo korzenie drzew, zaledwie przykryte wodą. Gdzieniegdzie gałęzie wisiały tak nisko, że niezgrabna góra ładunku z trudnością prześlizgiwała się pod tym okapem.

Nadludzkim wysiłkiem, pracując na przemian wiosłem i żerdzią, wyprowadził wreszcie tratwę na

swobodniejsze miejsce i podpłynął do brzegu. Ale skarpa była stroma, zalane wodą krzaki jak macki polipa uczepliły się krawędzi desek i niefortunny podróżnik powtórnie omal nie zwałił się w wodę wraz z całym swoim dobytkiem.

Gdy dotknął stopą suchego łądu, był wyczerpany do ostatnich granic. Nie bacząc na nic, upadł na ziemię i dysząc ciężko, powoli wracał do sił.

Do zachodu słońca pozostało jeszcze kilka godzin. Trzeba było zabezpieczyć zdobycz, a co się da, przenieść do Yorku. Zwłaszcza proch nie mógł pozostać w nocy na brzegu. Pierwszy lepszy deszcz wyrządziłby nieopisane szkody.

Wilczur buszował po krzakach, płosząc gromady wodnego ptactwa. Co chwila jednak wracał do Robinsona zziębnięty, na wpół oszalały z radości. Po psiemu zapoznawał się z nieznanym łądem, wchłaniał wszystkie jego zapachy, szczęśliwy, że znowu u boku człowieka czuje pod swymi łapami nieruchomą ziemię. I to jaką ziemię! Pełną ptasich trzepotów, niepokojących śladów, tajemniczych szelestów, w każdym niemal krzaku i za każdym drzewem. Wspaniały teren łowów i poszukiwań!

- Friend! Jeśli tak dalej pójdzie, wystraszysz mi wszystkie ptaki i przepędzisz wszystkie zwierzęta.

Nie pozwalam. Siadaj, Friend - głos człowieka brzmiał spokojnie, ale stanowczo. Pies musiał się nauczyć, że polować wolno tylko na rozkaz.

O sto kroków od miejsca lądowania otwierała się w zaroślach niewielka, sucha polana. Tu postanowił Robinson złożyć na noc ładunek i osłonić go żaglowym płótnem jak namiotem. Ale już pierwsza z brzegu skrzynia okazała się za ciężka, aby ją dźwignąć lub przesunąć po piasku. Trzeba ją było opróżnić. Pod ciosami siekiery pękła gruba kłódka i odskoczyło wieko obite miedzianą blachą. Na wierzchu leżała czterofuntowa paczka najlepszego wirgińskiego tytoniu.

Robinson odchylił mocną, Inianą płachtę. Odzież i bielizna! Ileż to lat nie dotykał takich materiałów! Holenderskie płótno, delikatne jak jedwab! Mięiste, cieniutkie sukno! Gruba kurta, trzy kaftany, osiem koszul...

Ten tylko, kto w ciągu długich lat okrywał ciało szorstką, źle wyprawioną skórą zwierzęcą, może ocenić rozkosz, jaką sprawia dotknięcie delikatnej tkaniny!

Spośród wyrzuconych pośpiesznie rzeczy wypadł i błysnął między palcami owalny, ciężki przedmiot. Medalion.

Robinson odszukał i nacisnął ukrytą sprężynkę. Odskoczyło wieczko. Pod przezroczystą płytą widniała miniaturka przedstawiająca małego chłopca w aksamitnej kurteczce. Morze zabrało mu ojca. Daremnie czekać będzie na jego powrót, gdzieś tam daleko, w którymś z hiszpańskich czy portugalskich miast, wypatrując statku, który już nigdy nie wejdzie do portu...

Gdy Robinson wynosił na brzeg ostatnią partię ładunku, słońce gasło na horyzoncie.

#### LUDZIOM DLA NAUKI

*Jak porzucone gniazdo był ten żaglowiec skazany na śmierć i zagładę. Uszli stąd wszyscy, choć nie uniknęli losu, jaki im był sądzony. Dotykając rozmaitych przedmiotów, szukałem wokół siebie śladów podobnych mi ludzi. Znajdowałem je wszędzie. Cóż za los taki, że ślady tylko znajduję, nie mogąc znaleźć człowieka!*

Papuga spacerowała wzdłuż krawędzi stołu, kołysząc się z nogi na nogę. Była jeszcze podniecona, ale atak gniewu w zasadzie już minął. Muskąła dziobem piórka i pojednawczo zagadywała do Robinsona. Friend udawał obojętność, przezornie jednak nie opuszczał bezpiecznego kąta, który chronił go przed niespodziewanym atakiem. Łypał stamtąd tylko jednym okiem w stronę stołu, oblizując się od czasu do czasu szeroko i zamasyście. Koziołek, podniecony stoczoną przed chwilą walką, podskakiwał jeszcze buńczucznie, czując się zwycięzcą na pustym placu boju.

- Jeśli tak dalej pójdzie - przemawiał Robinson do skłóconych mieszkańców Yorku - będziecie sobie mieszkac pod gołym niebem. Tam możecie się czubić do woli. Tutaj nie zniosę awantur.

- Biedny Robin... Biedny Robin... Biedny Robin - zagadywała papuga.

- Nawet nie próbuj swoich sztuczek - pogroził jej palcem - na nic się to nie przyda. Pierwsza wylecisz z grotu. Zapamiętaj to sobie. Zachowujesz się jak ostatni awanturnik.

Cisnął psu kawał gotowanego mięsa. Friend kłapnął zębami i cofnął się natychmiast do kąta.

- Jeśli nie umiecie uszanować gościa - ciągnął Robinson - to uszanujcie moją wolę w tym domu. A zgodnie z moją wolą winien panować tutaj spokój i cisza.

Tego spokoju i ciszy nie zaznał od wczesnego rana. Noc tylko minęła spokojnie. Wrócili razem z Friendem późno i po ciemku wsunęli się na postanie. Ale wraz z szarym świtem rozgorzała waśń między papugą, psem i Barnabą Drugim. Jeżeli mianem „wojny domowej” zwykło się określać wewnętrzne zamieszki, to grota Robinsona Kruzoe stała się tym razem areną prawdziwie „domowej wojny”. Zaledwie rozbłysło światło dnia, wilczur z głuchym bulgotem w gardle skoczył w stronę młodego kozła. Na widok atakującego psa rozwrzeszczała się papuga. Chwila wahania ze strony Frienda wystarczyła Barnabie do śmiałego odparcia napaści. Stuknęły kopytka i ostre rogi dosięgły pewnym ciosem psiego boku. Friend zaskowyczał, ale ponowił natarcie. Ten lekkomyślny krok dopełnił tylko miary jego klęski. Barnaba czuł się panem na swoich śmieciach i nie miał zamiaru ustąpić. Papuga wrzaskiem zdawała się dodawać mu ducha. Raz po raz twarde uderzenia rogów spychały psa w stronę wyjścia. Na domiar złego ptaszysko pośpieszyło przyjacielowi z pomocą. Nad głową przerażonego Frienda załopotają skrzydła. Wilczur zawył, podkulił ogon i smotnie czmychnął. Sprzymierzona dwójka skoczyła za nim i dopiero energiczna interwencja Robinsona zakończyła całą aferę.

Pojednało zaś przeciwników - łakomstwo.

Na stole dymiła głęboka miska zawieszistej zupy na szynce. Robinson, wygłosiwszy naganę, usiadł na krześle, oparł się wygodnie i surowym wzrokiem zmierzył swą czeladkę. Wszystkie oczy zwrócone były w jego stronę. Uwaga napięta. Friend czekał na mięso. Polly zerknęła w stronę glinianej miseczki z orzeszkami, kozioł wyciągał śmiesznie szyję, zezując, czy nie zobaczy na stole smakowitych grudek soli. Teraz już nikt nikogo nie zaczepiał.

Po obfitym śniadaniu, gdy mgła rozproszyła się już nad morzem, Robinson, z Friendem u boku, udał się na szczyt wzgórza. Dzień zapowiadał się pogodnie. Znad wygasającego ogniska szara smużka dymu pięła się prościutko w niebo. Na liściach i w trawie lśniła gęsta rosa.

Szła lunety dotknęły gładkiej powierzchni morza i... Robinson krzyknął z radości.

Wrak „Diany” stał na dawnym miejscu, tylko jeszcze bardziej pochylony na bok. Rozpoczął się odpływ. Widać było, jak wody cofają się, obniżając wybrzeże i dno pokryte wodorostami.

Kilka godzin! Gdyby „Diana” wytrzymała choć tyle! W ciągu kilku godzin można jeszcze raz dotrzeć na statek, zbudować nową tratwę i na powrotnej fali przybić do brzegu z nowym ładunkiem! Na statku pozostały żagle, liny, żywność, tysiące przedmiotów - Bóg wie, co tam jeszcze można znaleźć!

Żadna chyba narada wojenna nie trwała tak krótko jak ta, którą Robinson odbył sam ze sobą. W chwili potem Friend, uwiązany, rzucał się w obejściu, a Robinson biegł już w stronę brzegu.

Wszystko zdawało się być na swoim miejscu. Sznurowa drabinka, którą na szczęście zapomniał zabrać, dotykała powierzchni wody. Statek, uwięziony w skalnych kleszczach, wyglądał jak zabawka stojąca na podstawce. Ale uważne oko łatwo odkryłoby zmiany. Powolny, acz nieustanny ruch fal z godziny na godzinę posuwał naprzód dzieło zniszczenia.

Robinson, nie tracąc czasu, zbudował drugą tratwę. Na forkaasztelu odkrył dobrze zabezpieczone pomieszczenie, w którym znajdowała się broń. Zabrał stamtąd kilka pałaszy i siedem ciężkich muszkietów. Była to broń nieprzydatna do polowania, ale świetna do obrony. A któż wie, co się może zdarzyć? Dwie baryłki kul muszkietowych, trzy baryłki prochu, lont artyleryjski i worek myśliwskiego śrutu na ptactwo - to było wszystko, co przedstawiało tu dlań jakąś wartość. Pozostał tylko krąg ołowiu do wytapiania kul, zbyt ciężki, aby go ruszyć z miejsca. Z komórki cieśli wziął jeszcze worek gwoździ, wielki świder, kilka toporków i najszacowniejsze narzędzie - kamień szlifierny do ostrzenia żelaza.

Tratwa była już obciążona. Nie chcąc narazić ładunku na niebezpieczeństwo, odbił od statku i szczęśliwie tym razem dobrnął do brzegu. Aby nie tracić czasu, zjadł na miejscu kilka sucharów rozmoczonych w wodzie, kawał wędzonki, zakropił wszystko kubkiem rumu i nie czekając na odpływ, ruszył z powrotem na wrak. Mozolna to była przeprawa. Pusta tratwa tańczyła na falach, zmieniała wciąż kierunek i wioślarz dobrze się napracował, zanim w końcu dobił do „Diany”.

Na forkaasztelu, w pomieszczeniach załogi, spodziewał się znaleźć odzież.

W kubryku panował wyjątkowy nieład. Marynarskie skrzynki i kuferki wyciągnięte na środek,



rozrzucona pościel na kojach, porozbijane kłódki, porąbane wieka skrzyń, rozwleczone części garderoby... Tu i ówdzie połyskiwały zapomniane albo zagubione w pośpiechu drobiazgi - fajka i nóż, pochwa skórzana, woreczek z tytoniem, jedwabna chustka na szyję, kubek i kości do gry.

Robinson - po namyśle - zabrał stamtąd odzież, dobry mocny hamak i trochę pościeli. Pod stołem szmat znalazł w kącie zapasowy żagiel, komplet szydeł, grube igły i wielki kłębek nici, mocnych jak struny. Urosło to wszystko w olbrzymi i niezgrabny tłumok, który spuszczone na tratwę, zajął prawie dwie trzecie pokładu. Niewiele było czasu, toteż Robinson poprzestał na tym i korzystając z wieczornego przypływu, ruszył do brzegu. Kiedy dotarł do ujścia strumienia, słońce już zachodziło. Zabezpieczył więc ładunek, zarzucił na ramię dwa muszkiety i worek z żywnością i ruszył w stronę Yorku, aby zdążyć tam przed zmierzchem.

- Ułożę teraz podłogę w grocie - rozmyślał głośno. - Skleczę porządny stół, stołek, półki, może nawet niewielką szopę w obejściu... Trzeba jakoś to wszystko porozmieszczać w jaskini, inaczej York zamieni się w skład rupieci, w którym nie można się będzie nawet poruszać swobodnie.

Z daleka dobiegało wycie psa. Schrypnięty głos raz po raz przechodził w ciche, żałosne skomlenie. Widocznie Friend koncertował tak już od dobrych kilku godzin. Robinson uśmiechnął się i przyspieszył kroku. A więc jest na tej wyspie żywa istota, która go oczekuje, niepokoi się i niecierpliwi...

- Friend!

Pies zamilkł, a po chwili dał znać o sobie gwałtownym, radosnym ujadaniem.

W grocie panował spokój. Koziół drzemał nad wiązką trawy, a nastroszona Polly zezowała spod pułapu na Frienda, który wszystkimi sposobami manifestował swą radość.

Wieczera minęła w dobrym nastroju. Barnaba dostał sporą grudkę soli i długo wylizywał miseczkę, na której Robinson umieścił przysmak, a Polly po raz pierwszy w życiu skosztowała cukru. Nigdy wprawdzie nie umiała poskromić łakomstwa, ale tym razem przeszła samą siebie. Pochłonęła trzy orzeszki obsypane cukrem, schrupała jeden kawałek, omal nie zadławiła się drugim, a kiedy Robinson cofnął rękę, przemaszerowała najspokojniej po grzbiecie Frienda na stół, i to tak szybko, że pies nie zdążył nawet kłapnąć zębami. Napotkawszy sprzeciw Robinsona, rozwrzeszczała się swoim zwyczajem histerycznie i długo nie mogła się uspokoić. Nie pomogły żadne perswazje ani groźby. Polly była w takich wypadkach naprawdę nieznośna.

Nazajutrz ostatnie kosmyki mgły snuły się jeszcze nad wodą, gdy u boku okrętu kołysała się już nowa tratwa. Tym razem Robinson postanowił ułatwić sobie żeglugę. Z tyłu umocował na tratwie dwie na krzyż zbite łąty i przywiązał do nich kawał żaglowego płótna. Tratwa, obciążona skrzynią cukru, linami, baryłką przedniej maki i mnóstwem żelaznych rupieci, pozbieranych gdzie się tylko dało, szybciej niż kiedykolwiek zawinęła do brzegu. Następny ładunek obejmował zapas płótna żaglowego, baryłkę wilgotnego armatniego prochu i żarna do mielenia zboża.

Na koniec w jednej z oficerskich kajut znalazł Robinson komplet rozmaitych wędek. Właściciel tego zbioru musiał być nie lada miłośnikiem i znawcą w tej dziedzinie. Czego tam nie było! Haki z kości i metalu, rozmaitego kształtu i rozmiaru, kotwicзки przeznaczone do połowu potworów morskich, żyłki różnej grubości, struny z jelit baranich, linki konopne zwykłe i wzmocnione drutem - cały arsenał rybacki!

Ta zdobycz omal nie stała się przyczyną katastrofy. Kiedy tratwa, popychana wiatrem, szła szybko w stronę lądu, Robinson wpadł na myśl, aby spróbować połowu. Założył przynętę na hak i rzucił go w wodę. Linka wyprężyla się i lekka smużka pobiegła w ślad za tratwą. Minęła zaledwie chwila, a już pojawiły się wokół przynęty płetwy żarłaczy. Robinson począł podciągać linkę, ale za trzecim szarpnięciem sznur wyskoczył mu z ręki, a ponad głowę błysnęły nagle brzuch ryby. Robinson omal nie runął głową w dół. Gdy odzyskał równowagę, tratwa sunęła na otwarte morze. Olbrzymi żarłacz, połknąwszy hak, holował ją za sobą. Nie było innej rady, jak cięciem noża uwolnić się od zdobyczy, poświęcając hak i linkę. Tratwa zwolniła biegu i siadła na wodzie, kołysząc się lekko. Robinson otarł pot z czoła. Był mokry, jakby wyszedł z kąpieli. Błękitny żarłacz ciągnął pod wiatr jak dobrze ustawiony fok.

- Otóż masz przykład twojej lekkomyślności, Robinsonie - mruzczał niefortunny rybak, starając się ustawić żagiel tak, aby wiatr pchnął tratwę do brzegu. - Przybyło ci łąt, ale nie przybyło rozważli. Byle ryba potrafi cię wywieść w pole. Zawsze strzeli ci do głowy coś takiego, co później trzeba odrabiać w pocie

czoła!

Kiedy podciągnął do brzegu uwolnioną już od ładunku tratwę, na granatowym niebie trzepotały gwiazdy. Zmęczony, przysiadł na stosie pościeli i odzieży, pod namiotem z żaglowego płótna. Powieki ciążyły mu jak ołowiane łuski. Ciepły wiatr łopotał lekko namiotową płachtą. O wieko skrzyni pacnął głośno wielki świerszcz. Robinson wsparł się na łokciu, walcząc z ogarniającą go sennością.

„Odpocznę chwilę - pomyślał. - Byle tylko minął ból ramion...” Przez szparę w namiocie gwiazdy przypominały ryby błyskające w głębokiej toni. Drobniutkie fale uderzały dźwięcznie o brzeg. Z daleka biegł jakiś głos.

„Czy to Friend tam wyje?” - pomyślał Robinson i zasnął tak nagle, jak gdyby stracił przytomność.

Spał twardym snem i ocknął się równie gwałtownie w środku nocy. Koło namiotu coś szurało.

Oprzytomniał i siadł na posłaniu. Na deskach przed wejściem wyraźnie zazgrzytały pazury. „Zwierzę!” - przeleciało mu przez myśl i po omacku poszukał broni. Ale nóż wyrwany gwałtownie zza pasa wyleciał mu z ręki. Schylił się i zaczął szukać nerwowo wśród zwojów lin.

„Co robić?” - Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Przypomniał sobie dzikiego kota, który kiedyś nocą podszedł pod mur groty, zwabiony beczaniem koźlęcia. W tej chwili rozległo się ciche skomlenie.

- Friend!

Czarny cień przemknął pod płótnem namiotu i jednym susem skoczył mu na piersi. Gorący język przejechał raz i drugi po twarzy człowieka.

- Friend, skąd się tu wziąłeś?

Z szyi psa zwieszał się kawałek przegryzionego postronka. Robinson wtulił twarz w gęste kudły...

Po kilku kolejnych wyprawach ogołocił statek ze wszystkiego, cokolwiek dało się przenieść dwiema zdrowymi rękami. Poodcinał grube liny wraz z cumą okrętową, pozrywał drobniejsze części żelazne, wyniósł żagle pocięte na kawałki i małą zapasową kotwiczkę, powyciągał ze ścian gwoździe i haki.

Poodrywał drzwiczki od kuchennych pieców i pozdejmował blachy. Na brzegu, jak na bazarze, rosła góra rozmaitych sprzętów i przedmiotów. Były tam radła do oborywania trzciny cukrowej, fotel kapitański, mnóstwo żelastwa, naczynia kuchenne, kilka pustych beczek, wielki kocioł miedziany, trzy gąsiory rumu, płótno żaglowe, ruszty z pieca, łyżka do lania kul, szufla do węgla... Słowem, składnica towaru!

Na pokładach „Diany” pozostały tylko kręgi ołowiu, wielkie beczki z winem, zbyt ciężkie, by je przetoczyć na tratwę, i okrętowe działa. Te działa nie dawały Robinsonowi spokoju. Obejrawszy wszystkie dokładnie, wybrał spośród nich cztery najłżejsze falkonety. Tym razem zbudować musiał tratwę większą i silniejszą niż wszystkie poprzednie. Przez dwa dni pracował, trzy razy ciskał wszystko i zaczynał na nowo.

W końcu jednak przewiózł działa kolejno na wyspę, wyczerpany do ostatka.

Belki trzeszczały pod tym ładunkiem, skrzypiały wiązania, ale tratwa wytrzymała.

- Dotychczas byliśmy rozbitkami na tej wyspie, Friend - tłumaczył psu, który towarzyszył mu w ostatnich wyprawach. - Teraz jesteśmy czymś więcej! W tym spiżu drzemie władza! Jesteśmy gubernatorami tej wyspy! Czy wiesz, co to oznacza?

Ale Friendowi, jak się wydawało, było najzupełniej obojętne, w jakim charakterze znajduje się na wyspie. Był szczęśliwy i jak cień chodził krok w krok za swym nowym panem.

Przed dwunastą wyprawą na statek pogoda zaczęła się psuć. Na czystym dotychczas niebie zauważył Robinson dwie małe, pierzaste chmurki ciągnące od zachodu. Na liściach i na trawie ani kropli rosy.

- Płynąć czy zrezygnować z wyprawy?

Miał ochotę raz jeszcze zbadać oficerskie kajuty na rufie.

- Jak myślisz, Friend? Co sądzisz o tych chmurkach? Gdybyśmy się uwinęli, można by jeszcze raz obrócić... No?

I jeszcze raz zepchnął tratwę na wodę. Friend skoczył za nim na deski. Porwała ich fala odpływu.

Płynęli dłużej niż zwykle, gdyż przeciwny wiatr spychał ich w stronę lądu. Wyprawa była dość ryzykowna. Wiatr wzmagął się wyraźnie, a po gładkiej i spokojnej na pozór wodzie przelatowały grzywy piany. Tak wygląda ocean, gdy za chwilę ma go ogarnąć gniew.

Robinson zbiegł na dół po stromych schodkach. Pchnął drzwi do kajuty kapitana. Podłoga zalana była już wodą na dobre pół stopy. Przez wybite okna wpływały splątane wodorosty. Duża ośmiornica, wywijając szkarłatnymi mackami, sunęła powoli środkiem dywanu, niezgrabnie jak pływak na zbyt płytkiej wodzie. Friend obszczekiwał ją dookoła i warczał, odskakując ze zjeżonym karkiem.

Robinson zdjął kapę, koce i prześcieradła z łóżka kapitana. Zwinął je w tłumok, związał i cisnął pod drzwi. Pod łóżkiem stało puzdro oprawne w skórę. Wysunął je i uniósł wieko. Na wierzchu leżały trzy doskonale brzytwy angielskie, para wielkich nożyc, ciężkie srebrne noże i widelce o kunsztownie rzeźbionych trzonkach. Na dnie - paczka owinięta w miękką skórę. Szarpnął. Sypnęły mu się z rąk bite monety. Złoto i srebro... Talary, funty, dukaty, gwinee i piastry hiszpańskie...

- Nędzna mamono! I cóż mi po tobie? Wszystko to mniej warte na tej wyspie niż jeden dobry nóż lub para butów. I co z tym zrobić? Zostawić? Czy zabrać? A jeśli przyda się kiedyś? Ludzie z załogi „Diany” pozostawili gdzieś przecież swoje rodziny... Na honor, Friend! Nigdy nie miałem tyle złota! - roześmiał się i począł zgarniać monety do skrzynki. Z trudem wywindował szkatułę na pokład i opuścił na tratwę. Fala szarpała nią, strzelając brudną pianą aż na pokład „Diany”. Wiatr targał sznurową drabinką i tłukł szczelami o kadłub statku.

- Umykać, Friend! To jedyna rozsądna rzecz, jaką możemy zrobić!

Pies zaczął zdradzać niepokój. Ale Robinson raz jeszcze zbiegł na dół. Po raz ostatni przerzucił gorączkowo wszystkie kąty. W szafce przy łóżku kapitana znalazł kilkaset arkuszy papieru, pęk gęsich piór i wielką flachę inkaustu.

„Czy umiem jeszcze pisać? - przemknęło mu przez myśl. - Czy pamiętam jeszcze, jak wyglądają litery alfabetu?”

Wiatr trzasnął jakąś okiennicą. Przez rozbite okno chlusnęła do kajuty woda. Friend zaskomlił i skoczył pod drzwi. Robinson zaglądał pośpiesznie do ostatnich zakamarków. Gruba księga w pergaminowej oprawie. Czyżby to był dziennik okrętowy „Diany”?

Wypadli na pokład. Nadciągała burza i rozpoczynał się przyptyw. Robinson zrzucił ciężar i na wpół niosąc Frienda, zbiegł po drabince. Tratwa skoczyła jak koń spięty ostrogą i leciała ku wyspie w gęstej kurzawie piany.

Kiedy pierwsza błyskawica rozdarła ołowiane niebo, Robinson, siedząc w Yorku, otoczony skarbami jak turecki sułtan, zapalał fajkę nabitą wirgińskim tytoniem.

Przez całą noc dał srogi wicher i szalało morze. Nazajutrz rano luneta nie znalazła już „Diany”. Morze było puste.

Sześć dni przerosił Robinson do Yorku ładunek zostawiony na brzegu. Przez sześć nocy rozwieszał wszystko, układał i ustawiał, budując półki i wbijając w ścianę grube, żelazne haki. Szóstego dnia wieczorem wszystko znajdowało się już na swoim miejscu. York jakby zmalął, ubyło w nim miejsca, a wzdłuż ścian piętrzyły się skrzynie, beczki, baryłki i worki.

O zmierzchu Robinson zapalił trzy świece i zasiadł nad swoim stołem w fotelu odziedziczonym po kapitanie „Diany”. Przed nim leżała księga oprawna w skórę, ryza papieru, obok zaś stał kałamarz z inkaustem i pęk piór gęsich w cynowym kielichu. Postanowił obejrzeć dziennik okrętowy „Diany”. Spodziewał się znaleźć w nim imiona żeglarzy i dzieje statku aż po ostatnie dni.

- Oto, co po was zostało! - szeptał. - Historia spisana cierpliwie, karta po karcie, przetrwała was i dziwnym trafem dostała się w ręce takiego jak i wy rozbitka.

Na ślepo otworzył księgę. Przeczytał pierwsze z brzegu zdanie:

„Wzywaj mnie w dniach utrapienia twego, a ja cię wybawię i będziesz wychwalał imię moje...”

Na Boga! Przecież to Biblia!

Dalej już nie czytał. Wybuchnął płaczem i osunął się na kolana.

Świtało już, kiedy poprawił świece i położył przed sobą na stole czystą kartkę papieru.

- Niechże to będzie „dziennik okrętowy” Robinsona Kruzoe - wyszeptał. - Życie spisane dzień po dniu innym ludziom dla nauki. Czy potrafię jeszcze stawiać litery, których uczono mnie w szkole? Umacał gęsie pióro w kałamarzu i nakreślił u góry słowa:

*Życie i zadziwiające przypadki Robinsona Kruzoe, marynarza z Yorku.*

Zamyślił się głęboko. Przed nim cichutko skwierczały knoty świec, nikłe światełka pełgały po lufach strzelb, głęboko oddychał Friend pogrążony we śnie.

Robinson pochylił się nad kartką papieru i pisał:

*Urodziłem się w roku 1632 w Anglii, w mieście Yorku. Ojciec mój był kupcem i handel morski przyniósł mu w ciągu lat znaczny majątek. A jednak w rodzinnym domu, jak pamięcią się sięgam, zawsze gościł smutek...*

#### PAMIĘTNIK ROBINSONA

*Ukończywszy tedy spisywanie przypadków moich od lat szczęśliwego dzieciństwa począwszy, poprzez przygody rozliczne na morzu i na lądzie aż do rozbitka u brzegów tej wyspy, a opisawszy także moje losy na tym bezludziu, zamykam ten rozdział mego życia i w imię Boga zacznę nowy.*

*Jest Rok Pański 1668, dziewiąty mojej samotności na wyspie, od chwili kiedy okrutny los i łaskawsza odeń fala rzuciły mnie na jej brzegi (jeśli wierzyć moim obliczeniom i memu kalendarzowi).*

*Raz jeszcze sięgnę wstecz pamięcią, aby opisać to, co przydarzyło mi się w roku minionym, od czasu kiedy morze pochłonęło szczątki hiszpańskiego żaglowca, ja zaś szczęśliwie umieściłem w Yorku i Warowni Koziego Króla bogactwa uniesione z tonącego pokładu. Wówczas to zasiadłem do spisywania tego pamiętnika i kto wie, jak długo uda mi się go jeszcze prowadzić, gdyż zapas inkaustu z dnia na dzień zdaje się maleć.*

*Pamiętnik, który umyśliłem sobie wówczas pisać, stał się towarzyszem moich samotnych wieczorów. Przywykłem doń tak, że jeśli czas i praca nie pozwalają sięgnąć mi po pióro, wydaje mi się, że zaniedbałem spotkania z najbliższym przyjacielem.*

*Z kimże mam bowiem rozmawiać, jeśli nie z sobą samym na kartach tej księgi? Komuż powierzyć pamięć o moich losach na wyspie i jak ją przekazać ludziom?*

*Kiedy przed czternastu miesiącami morze zamknęło się ponad „Dianą”, ogarnął mnie przypływ rozpacz. Otoczony ocalonym bogactwem, miałem radować się, biadałem, sądząc, że wraz z zatopionym statkiem pożegnać mi przyszło ostatnią nadzieję ratunku. Jeśli po tylu latach pojawiła się w pobliżu mej pustelni ta barkentyna po to tylko, aby zatonać, jakąż mogę mieć nadzieję, że ujrzę inny żaglowiec? I kiedy to może nastąpić? Czy będę wówczas zdolny rozniecić ogień i wypalić z działa? Każdy rok czyni mnie przecież starszym, a kto wie, ile mi tutaj lat pozostać sądzą...*

*W takim nastroju ducha otworzyłem księgę, o której sądziłem, iż jest to dziennik okrętowy „Diany”.*

*Otworzyłem ją na chybił trafił, a pierwsze słowa, jakie napotkałem, brzmiały:*

*„Wzywaj mnie w dniach utrapienia twego, a ja cię wybawię i będziesz wychwalał imię moje”.*

*Stałem pochylony nad księgą, nie mogąc pojąć tych słów, i nagle ogarnął mnie smutek ogromny, a potem radość.*

*Była to Biblia. A słowa, na które trafiłem, brzmiały tak, jakby sam Stwórca przemówił, dźwigając mnie z upadku ducha. On widać zrzędził, iż w jeden z tobołów wrzuciłem tę księgę obok map, kompasów, perspektyw, przyrządów żeglarskich i matematycznych. Sądziłem, iż znajdę w niej imiona ludzi, do których należał żaglowiec, ślad ludzkiej ręki i słowa pisane przez człowieka, znalazłem zaś słowa pochodzące od Boga i wielką w mej rozpaczycie pociechę. Ukląkłem też zaraz i modliłem się do Niego, by spełnił daną obietnicę, iż kiedykolwiek będę Go wzywał w dniu utrapienia, On mnie wybawi.*

*Od tego dnia Biblia towarzyszyła mi często. Otwierałem ją, kiedy ogarniał mnie smutek i ilekroć nie umiałem poradzić sobie z tęsknotą. Sponad kart tej księgi patrzyłem na świat jak na rzecz odległą, od której niczego nie mogłem się spodziewać. Patrzę nań tak, jak być może patrzeć będziemy wszyscy w życiu przyszłym, to jest jako na miejsce, gdzie kiedyś żył, ale które opuściłem na zawsze. I myśląc o ludziach zamieszkujących swoje domy i miasta, mógłbym zawołać z tej bezludnej wyspy słowami Abrahama wyrzeczonymi ongiś do bogacza:*

*„Wielka jest otchłań między mną a tobą...”*

*Jestem dziedzicem wielkich włości i gdyby mi się podobało, mógłbym się nazwać królem czy cesarzem tej krainy, która do mnie należy. Nie mam tu rywali i nikt nie spiera się ze mną o władzę.*

*Mógłbym wyhodować tyle zboża, iż starczyłoby go na ładunek niejednego okrętu.*

*Ale nie potrzeba mi tyle ziarna, więc sięję go tylko odrobinę na własny użytek.*

*Mam tyle drzewa, że starczyłoby go na budowę całej floty. Ptactwa w bród, żółwi i zwierzyny, a gron winnych tyle, że mógłbym całą flotę załadować wytłoczonym z nich winem.*

*I cóż mi z tego?*

*Mam skrzynię złota i srebra w plastrach, funtach i gwineach. Poczerniały od wilgoci podczas słotnej pory. Leżą wzgardzone i bezużyteczne. Dałbym garść złotego kruszcu za garść nasienia rzepy lub marchwi, którą u nas w Anglii sprzedają za sześć pensów! Dałbym garść złota za trochę polnego grochu, za kwartę fasoli lub za butelkę inkaustu. Nic z tego!*

*Przyroda nauczyła mnie, że najlepsze nawet rzeczy wartość mają tylko wtedy, gdy są nam użyteczne lub gdy możemy nimi obdarować innych. To doświadczenie moje i tę naukę daną mi przez przyrodę przekazuję Wam, jeśli kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób to, co spisałem, dotrze do Waszych rąk.*

*Nauczyłem się jeszcze zważać raczej na jasne niż na ciemne strony mego położenia. Bo czy na przykład najpoważniejszy mędrzec powstrzymałby się od śmiechu, widząc, jak z moją gromadką zasiadam do stołu?*

*Oto jego królewska mość, pan i władca całej wyspy! Życie wszystkich poddanych zależne jest od jego woli. Doprawdy, warto zobaczyć, jak zwykł ucztować pośród swego dworu. Otoczony przez dworzan, a mimo to sam jeden...*

*Polly można by nazwać królewską faworytą. Jej jednej wolno rozmawiać ze mną przy stole. W miarę swoich sił i upodobań korzysta też z tego przywileju. Jak Anglia długa i szeroka, nie widziano jeszcze chyba papugi, która umiałaby tyle słów powiedzieć w ludzkim języku. Uczyłem ją, to prawda. Ale umiejętności jej stąd pochodzą, że potrafi słuchać, kiedy sam ze sobą rozmawiam, jak to mam we zwyczaju. Polly słucha, pamięta i powtarza. Często nie ma w tym ładu ani składu, ale i tak podziwiać trzeba zmyślność tego ptaka.*

*Friend, leb opierając na stole, patrzy mi w oczy jak wierny sługa, uważny na każde skinienie. Barnaba zaś, przyjąwszy z własnej woli urząd dworskiego błazenka, zabawia władcę swymi igraszkami. Nieraz do łez śmiać mi się przychodzi, kiedy wszczyna spór z psem lub papugą. Pokochałem te moje zwierzęta i bez nich życie moje byłoby pozbawione radości.*

*Pora słotna znowu uwięziła mnie w Yorku. Jeśli wierzyć kalendarzowi, sierpień właśnie dobiega końca. Bez ustanku piszę mój pamiętnik. Zasiadam nad nim wieczorami, przy świecach, wygodnie, w kapitańskim fotelu, z fajką dobrze nabitą tytoniem. I byłbym prawie szczęśliwy, gdybym mógł tylko wiedzieć, że moja samotność zakończy się kiedyś.*

*Przejdę teraz do spraw najważniejszych, które wydarzyły mi się w czasie minionych miesięcy. Są to zdarzenia, które naprzód upoiwszy mnie nadzieją, później nową nakarmiły goryczą, tak jak zwykle w moim życiu bywało.*

*Odkąd tylko ujrzałem daleki łąd na południu, w duszy mojej tailo się pragnienie, ażeby się tam dostać. Malowałem sobie w wyobraźni krainę zamieszkaną przez ludzi, roiłem, że uda mi się wyruszyć stamtąd dalej i znaleźć jakiś sposób ucieczki. Nawet obawy przed Karaibami ustępowały na plan dalszy, gdy poddawać się zacząłem nadziei. Czyż nie opłynąłem brzegów Afryki na wątlej łodzi żaglowej, gdzie w każdym miejscu groziło mi niebezpieczeństwo?*

*Prawda. Nie miałem łodzi. Ale miałem teraz narzędzia i sprzęt wszelaki potrzebny do żeglugi. Miałem też doskonałą broń, daleko lepszą niż owe mauretańskie strzelby, które wówczas broniły mego bezpieczeństwa. Ileż to już trudności pokonałem w ciągu tych lat, odwołując się tylko do rozumu i pamięci!*

*Tu zaś byłem przynajmniej niezgorszym żeglarzem. Wiedziałem, jaka winna być łódź, na której można by zwyciężyć ocean. Widziałem ją w myślach, śniła mi się po nocach, rysowałem ją patykami na piasku. Ustawicznie zmieniając proporcje, umyśliłem nadać jej kształt najdoskonalszy, ażeby silna była i zwrotna jak delfin.*

*Nie trzeba mi było po temu żadnych planów ani wzorów. Rozum ludzki jest substancją i początkiem wszystkich nauk matematycznych, stąd jeśli człowiek ma zdrowy sąd o rzeczach dających się obliczyć i wymierzyć, może z czasem nauczyć się i opanować każdą mechaniczną pracę. I byłbym*

miał niezawodnie taką łódź, jaką mieć chciałem, gdyby nie drobna rzecz na pozór.

Potrzeba mi było tarcic giętkich, ale mocnych, takich, żeby stawiły odpór falom, a nieraz i skałom podwodnym, które jak ostre noże sterczą z dna oceanu. Deski zabrane z „Diany” potrzaskane były i zbyt krótkie, niektóre zaś zbutwiały na deszczu i popękały na słońcu. Nie było innego sposobu, jak ściąć drzewo i ociosywać po obydwu stronach toporem aż do potrzebnych rozmiarów. Próba zawiodła jednak moje oczekiwania. Z jednego pnia udało mi się zrobić tylko jedną tarcicę. Poświęciłem temu tyle czasu i pracy, że budowa całej łodzi, jak łatwo obliczyć, trwałaby dobrych kilka lat.

Zarzucając więc myśl poprzednią, postanowiłem zbudować sobie czółno zwane pirogą, jak zwykli to czynić krajowcy. Myśl była trafna, zapomniałem tylko o tym, że jestem sam i siły moje nie przekraczają sił jednego człowieka.

Znalazłem drzewo chyba równie wielkie, jak owe cedry, z których Salomon budował jerozolimską świątynię.

Dwadzieścia dni zajęło mi podcinanie drzewa od dołu. Czternaście dni - czyszczenie go z lian i gałęzi. Przez równy miesiąc ociosywałem pień, nadając mu z grubsza kształt łodzi, a w ciągu dwóch następnych, posługując się ogniem, dłutem i toporem, wypalałem cierpliwie wnętrze mego statku. Po dziewięćdziesięciu zaś dniach uporczywej pracy okazało się, że nie potrafię zepchnąć pirogi na wodę!

Podejmowałem rozmaite próby. Zaprzęgałem siebie i psa. Podkładałem ociosane kłody.

Umyśliłem wreszcie przekopać kanał i doprowadzić wodę do łodzi, skoro łodzi do wody doprowadzić nie zdołam. Rozpocząłem tę pracę, ale porzuciłem ją szybko, przekonawszy się, że byłaby to praca zaiste herkulesowa. Ja, Herkulesem przecież nie będąc, nie ukończyłbym jej przed upływem dziesięciu albo nawet dwunastu lat! Toteż w końcu z żalem wyrzekłem się i tego planu. Leżała oto na brzegu łódź prawie gotowa, a bezużyteczna! Leżała jak ostrzeżenie i... kara za lekkomyślność.

Doprawdy! Łatwiej byłoby chyba przebyć tą łodzią czterdzieści mil na morzu, niż przesunąć ją na lądzie o czterdzieści sążni!

Podjąłem pracę na nowo w przekonaniu, iż Opatrzność po to zesłała mi broń i narzędzia, abym szukał drogi ratunku. Wybrałem drzewo nad brzegiem strumienia, w takim miejscu, skąd czółno w przyszłości można by zepchnąć na wodę przy pomocy przyływu i odpływu morza. Drzewo było mniejsze i łódź musiała być mniejsza, lecz pracowałem nad nią dwakroć dłużej, przerywając budowę dla zbiorów jęczmienia. Ze żniwami uporałem się szybciej niż kiedykolwiek. I to nie dlatego, że zbiory były mniejsze, przeciwnie, zboże obrodziło nad podziw. Posłużyłem się jednak przy żniwach dobrze wyostrzonym pałaszem, a ziarno zwiózłem do Yorku na wózku sporządzonym z kół odjętych z radeł do obrywania trzciny cukrowej.

Wracajmy jednak do łodzi. Moja nowa łódź niepodobna była do moich marzeń. Nie miała ani tamtych kształtów, ani tamtych proporcji. Wyrzezana i wypalona w krępych pniu niskiego drzewa, sama była jak to drzewo zbyt ciężka i krępa. Patrzałem na nią z niemalą troską, myśląc o wirach i rafach podwodnych wypełniających cieśninę, którą wypadałoby mi przebyć.

Cóż było jednak robić?

Wykorzystując odpływ w korycie strumienia, niemalym nakładem pracy stoczyłem łódź na wodę.

Jakież było moje wzruszenie, kiedy zakotłosa się na fali! Wiedziałem już, że jakkolwiek szaleństwem można by nazwać tę wyprawę, nie cofnę się przed niczym.

Umocowałem na łodzi niewielki maszt i żagiel, urządzenia sterowe i żeglarskie instrumenty. Przy próbie żagla i steru okazała się wcale sprawna i zwrotna. To napełniło mnie dobrą myślą. Fartuchem z żaglowego płótna, rozpiętym na burtach, pokryłem wnętrze, ażeby broń, proch i żywność ochronić przed deszczem i morskimi bryzgami. Złożyłem tam dwie strzelby, dwa tuziny jęczmiennych placków, beczułkę ze słodką wodą, gliniany garnek z zapiekany ryżem, butelkę rumu i pół pieczonego kozłęcia. Na rufie umieściłem parasol, ażeby chronił mnie przed słonecznym skwarem. Resztę dobytku zabezpieczyłem w Yorku i w Warowni. Trzodę moją, razem z Barnabą, wpędziłem do zapasowej zagrody, licząc na to, że jeśli nie powrócę, uda się kozom wydostać na wolność.

Najtrudniej było mi pożegnać Polly. Nie mogłem jej zabrać, gdyż nie wytrzymałaby morskiej

podróży. Pozostała sama w obejściu, mając tam zresztą tyle ziarna i grubego dziobu, tyle suszonych winogron i orzechów ziemnych, że starczyłoby tego chyba, aby wykarmić wszystkie papugi na wyspie. Polly próbowała zresztą już latać ostatnio, i to wcale udatnie. Podejrzewam nawet, że to nie skrzydło zwichnięte, ale obżarstwo i wrodzone lenistwo nie pozwalają jej uprawiać tej sztuki.

Było to w kwietniu, w dziewiątym roku mego panowania, czy też - jeśli kto woli - mego uwięzienia na wyspie, gdy puścił się na tę wyprawę z moim Friendem u boku.

W jakież tedy sposób piszę te słowa, znowu siedząc w Yorku?

Cóż się stało takiego, że powróciłem tutaj, na tę ziemię, którą tylekroć przeklinałem w porywach gniewu i rozpacz?

Oto podniósłszy żagiel, wykręciłem łódź w kierunku wschodnim. Wkrótce też York, ujście strumienia i wszystkie znajome strony znikły mi z oczu. Moja łódź szła dobrym kursem wzdłuż brzegów wyspy, ja zaś, wsparty na rudlu, czułem się tak, jak gdybym był kapitanem tęgiej karaweli.

Puściłem się na morze o świcie, a około południa ujrzałem przed sobą grzebień skał, raf i haków podwodnych wybiegających w morze na jakie dwie mile. Woda pieniała się na nich wściekle, wysokimi bryzgami dając znać o niebezpieczeństwie. Zmuszony byłem wypłynąć daleko w morze, ażeby ten cypel okrążyć i uniknąć rozbicia. Tuż za cypłem ciągnęła się znowu mielizna i szeroki szmat piaszczystej plaży.

Rzuciłem kotwicę i przebywszy wplaw drogę do brzegu, wspiąłem się na najwyższą skałę. Dalej leżała głęboka i spokojna woda. Dopiero przez szkła perspektywy ujrzałem strugę bystrego prądu, który wokół owej spokojnej wody rwał zaciekle w kierunku wschodnim. Widok ten zaniepokoił mnie mocno. Wiedziałem, iż taki sam nurt otacza wyspę od zachodniej strony. Oglądałem go z pokładu „Diany”. Moja wyspa leżała zatem w widłach dwóch potężnych rzek morskich, które mogły mnie odepchnąć od brzegu na pusty ocean, z dala od wszelkiej ziemi. Wiedziałem nadto, czy też raczej domyślałem się, że owe dwie rzeki łącząc się muszą gdzieś na południowej stronie, tworząc śmiertelne wiry, którym łódź moja nie zdoła stawić oporu.

Spędziłem noc na tej skale, ale nazajutrz moja pycha żeglarska kazała mi powtórnie rozwinąć żagiel. Zanim nastąpiło południe, znalazłem się pośrodku owej głębokiej wody i zrozumiałem, że żadna kotwica nie ochroni mnie przed porwaniem przez prąd morski wałący szerokim zakosem jak woda w młyńskim zastawie. Wkrótce też porwał moją łódź z taką gwałtownością, że pomimo wysiłków nie zdołałem uczynić nic ponadto, jak utrzymać się na krawędzi tej wścieklej rzeki.

Friend, zdając się rozumieć niebezpieczeństwo, skowyczał mi pod bokiem, ja zaś szarpałem się z żaglem, wiedząc, iż na nic idą moje wysiłki i czeka mnie rozbicie łodzi lub zgoła śmierć.

Płynąłem lub raczej leciałem z nurtem, czując, że wypadnę za chwilę jak kamień w przestwór oceanu, gdzie na przestrzeni tysiąca mil nie mogłem się przecież spodziewać żadnej wyspy ani kontynentu. Na próżno rzucałem kotwicę. Kanał morski był w tym miejscu głęboki, wyżłobiony tym wściekłym nurtem aż do dna piekiel chyba! Wiedziałem zresztą, że gdyby nawet dna tego dosięgła moja kotwica, łódź w gwałtownym biegu zerwie każdą linę!

Oto spoglądałem teraz z pędzącej łodzi na moją odludną wyspę, pełen rozpacz, jak na jedyne miejsce pod słońcem, gdzie chciałbym się w tej chwili znajdować.

„O szczęśliwe pustkowie! - wołałem w głębi duszy. - Boże, pozwól mi wrócić! Pozwól mi wrócić, Boże, a nigdy już nie opuścę tej ziemi i będę Cię chwalił aż po ostatek moich dni!”

W najgorszej jednak będąc rozpacz, nie przestawałem z całych sił pracować wiosłem, wiedząc, że od tego tylko moje życie zależy. Około południa, gdy słońce stało w zenicie, poczułem, że prąd słabnie. Niebawem zaś ujrzałem gołym okiem, o jakieś pół mili na wschód, grzędę wysokich skał, na których, jak nożem przecięty, prąd łamał się na dwoje. Jedna odnoga biegła bardziej ku południowi, druga zaś skręcała na zachód. Ta druga odnoga przykuła moją uwagę. Znajdowałem się już w zatrważającym oddaleniu od wyspy i gdyby pojawiła się mgła lub gdyby chmury okryły horyzont, byłbym zgubiony.

Tylko ten, kto wie, czym jest ulaskawienie w obliczu śmierci, tylko ten, kogo przypadek ocalił z rąk złoczyńców, pojmie moją niespodziewaną radość i szczęście, gdy udało mi się skierować łódź w nurt

zachodniego prądu i ominąć cudem skalny cypel.

Nawet Friend powitał ziemię radosnym szczeniem. Ja zaś, znalazłszy się na brzegu, upadłem na kolana, ażeby podziękować Bogu za ocalenie.

Postanowiłem wstrzymać się też od dalszych prób ucieczki łodzią, szczęśliwy, że znowu czuję twardą ziemię pod stopami. Nawet nie spojrzałem w stronę owego ładu, do którego chciałem dobić.

Pozostawało teraz pytanie, co uczynić z łodzią. Prąd bowiem osadził mnie po przeciwnej stronie mojej wyspy. Zbyt ciężkie przebyłem hazardy, bym miał próbować znowu tej samej drogi z powrotem.

Znalazłszy tedy zaciszną zatoczkę, ukrytą wśród zwisających ku wodzie lian i gałęzi, wprowadziłem tam moją niefortunną fregatę i kotwiczną liną uwiązałem ją do drzewa, wciągając na polę na brzeg.

Uczyniwszy to, posiliłem się wraz z Friendem, a następnie wspiąwszy się na drzewo, rozejrzałem się po okolicy.

Znajdowałem się w pobliżu miejsca, gdzie dotarłem podczas ostatniej mojej wędrówki. Była to ta sama niebezpieczna strona wyspy, gdzie ujrzałem łunę ogniska i ślad ludzkiej stopy. Tym razem jednak witałem te miejsca ze wzruszeniem, jak odzyskaną ojczyznę.

Pragnąc jak najszybciej znaleźć się w Yorku, wziąłem z łodzi jedynie broń, perspektywę oraz parasol i ruszyłem w drogę. Pod wieczór przybyłem do mojej starej, pocziwej altany, położonej u stóp Wzgórz Melonowych. W jaki sposób tam dotarłem, nie pamiętam. Zmęczenie odbierało mi zdolność myślenia i byłbym pewnie pobłądził, gdyby nie Friend. On wyprowadził mnie z leśnej matni. Przelazłem przez płot już o pełnym zmroku i zwaliwszy się w pierwszym lepszym kącie, zapadłem w sen.

Jakież było moje zdumienie, kiedy wytrącił mnie zeń nazajutrz głos ludzki, wołający po imieniu:

- Robin Kruzoe! Robin Kruzoe! Robin Kruzoe!

Spałem jednak tak twardo, że nawet to wołanie nie zbudziło mnie całkowicie. Pewien, że śnię, jeszcze mocniej zacisnąłem powieki. Głos nie przestawał powtarzać:

- Robin Kruzoe! Biedny Robin Kruzoe! Gdzie jesteś? Gdzie byłeś? Robin Kruzoe!

Wytrącony ze snu na dobre, zerwałem się na równe nogi i przyznam, że przyczyną tego rozbudzenia było uczucie strachu. Przetarłszy oczy, ujrzałem na żywopłocie moją Polly we własnej osobie. Trzepała niecierpliwie skrzydłami, drąc się wniebogłosy:

- Biedny Robin Kruzoe! Gdzie jesteś? Gdzie jesteś? Jakes się tu dostał? - powtarzała po kolei wszystkie słowa i zdania zasłyszane kiedykolwiek ode mnie, gdym sam z sobą rozmawiał.

Oprzytomniawszy, zawołałem na nią po imieniu. Przyleciała natychmiast i usiadła mi na ręce swoim zwyczajem.

Skąd się tutaj wzięła? Dlaczego przyleciała tu, a nie gdzie indziej? Czyżby mnie szukała po wyspie?

Na to pytanie nie mogłem przecież żądać odpowiedzi. Polly gwarzyła dalej po swojemu, jakby się radowała z tego, że mnie znowu widzi:

- Biedny Robin Kruzoe! Jakes ty tu przyszedł? A gdzieżeś bywał? Robin Kruzoe! Robin Kruzoe!

W pobliżu kręcił się Friend, klucząc po śladach zająca. Zrobiło mi się nagle dziwnie lekko na duszy, jak gdybym znalazł się w domu.

#### PAMIĘTNIKA ROBINSONA CIĄG DALSZY

Po powrocie do Yorku przyszło mi stwierdzić, że gospodarstwo moje mocno podupadło. Wziąłem się też rzetelnie do pracy, ażeby przed nadejściem pory dżdżystej zaopatrzyć York we wszystko, a także przygotować pod nowy zasiew i obsiać moje pola.

Dymiła znowu, jak dawniej, wędzarnia, suszyły się na słońcu winogrona, trzaskały moje strzelby.

Dzielnym pomocnikiem jest mi Friend. Zaprawił się w sztuce łowieckiej, tropi i odnajduje ubitą zwierzynę.

Przed kozami tylko czuje dziwny respekt, czego go oduczyć ani wyperswadować mu nie umiem. Jeśli zamierzam zapolować na kozła albo nawet wytropię kozłą odbite od stada, wiem, że tutaj nic mi z mego towarzysza nie przyjdzie. Mniemam też, że raczej by dzikiemu kotu skoczył do gardła niż osaczonej kozie. Tego moresu nauczył mego Frienda Barnaba. Jego to rogi sprawiły, że Friend całkowicie do kóz stracił ducha.

Kiedy już o kozach mowa, to - aby i tej rzeczy nie ominąć - wspomnę, jakem do pracy zaprawiał



moją rogatą trzódkę. Było to przed ostatnią porą dżdżystą, kiedy rzuciwszy okiem na porzucone w obejściu radia, wpadłem na myśl wyborną, że nie tylko trzcinę cukrową, ale przecież i pole moje pod jęczmień mógłbym nimi zaorać ze znaczną siłą i czasu oszczędnością. Dotychczas bowiem radziłem sobie dzidą i ostro zakończonym kołem, później zaś łopatami zabranymi z „Diany”. Radeł jednak dotychczas nie próbowałem.

„Ba, ale jakim sposobem dokonać tej orki - myślałem sobie - nie mając ani wolu, ani osła, ani muła, ani konia?” Sam próbowałem już zarzucić szleje na ramiona, ale trud nazbyt był wielki, ażeby przy tych upałach móc mu podołać. Nie na wiele też się zdało, gdy Frienda przyprzągłem obok siebie. Już gotów byłem poniechać tych prób, gdy przypomniałem sobie o kozach. „Czemuż by nie spróbować?” - pomyślałem.

W trzodzie mojej były dwa silne kozły i ów przodownik stada. Wybrałem jeszcze trzy mocne kozy i sprzągłem razem z kozłami w trzy pary. Nie powiodło mi się z początku. Moje kozy zaplątały się w szlejach, czarny kozioł z przerażenia i gniewu zaatakował swego towarzysza w zaprzęgu i rzecz zakończyła się haniebną zgołą bijatyką, w czasie której jedna z kóz omal nie złamała nogi. Musiałem biczem rozsądzić i uspokoić gromadkę.

Nazajutrz inaczej sobie począłem, przemyślawszy rzecz całą dokładnie. Codziennie każde zwierzę zaprzęgałem z osobna, ucząc je chodzić spokojnie w uprzęży i wlec za sobą ciężar. Po kilku dniach takiej nauki zacząłem je zaprzęgać po dwoje. Trwało to dosyć długo, nie zrażałem się jednak, gdyż, jak to mówią, widziałem, iż nauka moja w las nie idzie.

Przyszedł wreszcie i taki dzień, gdy założyłem do radeł trzy pary zwierząt i ostrze zagłębiłem w ziemię. Potrwało jeszcze trochę, zanim moja szóstka nauczyła się ruszać zgodnie na trzaśnięcie bicia i wypełniać rozkazy. Nie żałowałem jednak trudu. Aż miło patrzeć, jak spod noża radeł odkładają się równo i szybko wysokie skiby ziemi.

W pobliżu altany założyłem nowy okólnik, gdzie trzymam teraz moje pociągowe zwierzęta. Nie mam z nich innych - poza pracą - korzyści, ponieważ kozy utraciły mleko. Po raz pierwszy chyba na tej wyspie, odkąd wynurzyła się z oceanu, spełniają jakąś pracę. Mój Kozi Król przewróciłby się chyba w swojej mogile, gdyby mógł to zobaczyć. Wybacz mi, Kozi Królu! Inne rządy sprawują się teraz na wyspie i tak to już bywa, że każdy władca swoje wypełnia pragnienia.

Jedno mnie tylko gnębi i nie daje spokoju. To łódź, którą pozostawiłem po tamtej stronie wyspy. Nie dlatego, iżbym przedsiębrać chciał nową jakąś wyprawę. Dość mam tamtej wędrowki po morzu, ażeby jeszcze raz i równie nierozważnie życie na szwank wystawiać. Pragnąłbym jednak łódź moją mieć po tej stronie wyspy i nie mogę przezwyciężyć tej chęci. Zdatna jest do rybołówstwa i niedalekich wycieczek wzdłuż brzegów. Nie po to zresztą napracowałem się nad nią w ostatnim pocie czoła, ażeby mi ją roztrzaskały fale lub żeby popękła na słońcu jak niepotrzebna skorupa.

Rozmyślałem nad tym, czy nie wyruszyć po nią, skoro tylko uwinę się z najpilniejszymi pracami. Chęć ta wzmaga się we mnie z dniem każdym i nie daje mi spokoju.

Udało mi się uruchomić kamień szlifierski zabrany z „Diany”. Przemyślałem nad tym od dawna, niby mąż stanu nad wielce ważną sprawą państwowej wagi. Kamień jest ciężki i gdzieś na „Dianie” musiało być urządzenie wprawiające go w ruch, ale nie pomyślałem o tym, aby go poszukać.

Próbowałem na różne sposoby i na koniec udało mi się zbudować rodzaj warsztatu, na którym kamień ten, za pomocą przemyślnie powiązanych sznurków, obraca się przy naciśnięciu stopą ruchomego schodka. Zrobienie tej maszyny zabrało mi cały tydzień. Teraz jednak będę mógł swobodnie ostrzyć swoje narzędzia, a kto wie, czy nie uda mi się także podobnym sposobem zbudować koła garncarskiego. Ukończywszy wędzenie mięsa, zapolowałem na ryby w upatrzonej już dawniej zatoczce. Ryby łowi się tutaj łatwym sposobem. Wystarczy w odpowiedniej porze rozsypać na wodzie trochę pokruszonego suchara, a podpływają tak tłumnie, że woda bulgoce jak w garnku. Wówczas trzeba tylko tęgim kijem uderzyć z całych sił, ażeby kilka przynajmniej wypłynęło na wierzch, ogłuszonych tym uderzeniem. Sporo jednak lat minęło, zanim nauczyłem się podchodzić je w miejscu właściwym i w sposobnej porze. Dawniej, jak pamiętam, niemało stosowałem sposobów bez większych efektów. Strzelałem z łuku, wiązałem sieci, nastawiałem kosze i za szczęście pocztytywałem sobie, jeśli jakaś głupia ryba zaufała

moim pułapkom. A wszystko dlatego, że nie znałem ich obyczajów. Teraz zaś, napatrzwszy się im w ciągu tylu lat, dobrze już wiem, gdzie i jak je zaskoczyć.

Ale nie wszystkie ryby nadają się do jedzenia. Łowiłem już i takie potwory, których nawet Friend dotknąć nie chciał, takie były cuchnące i straszne.

Dziś koło południa pojąłem młodego delfina. Będzie zeń pociecha na zimę.

A jednak postanowiłem wyruszyć po moją łódź. Pójdę drogą lądową i sprowadzę ją, holując wzdłuż brzegów na tę stronę wyspy.

Przerywam tedy moje pisanie do czasu, kiedy - da Bóg - z utraconą łodzią pojawię się znowu pod moim Yorkiem.

Od dziesięciu dni stawiam wokół Yorku palisadę. Żmudna to jest i ciężka ponad wszelkie wyobrażenie praca. Pozwala jednak zapomnieć o tym, co widziałem na południowym wybrzeżu i czego omal świadkiem nie byłem albo nawet i ofiarą., Dopiero dzisiaj - uspokoiwszy się na tyle, że mogę myśleć i rozumować - wziąłem znów pióro do ręki, po raz pierwszy od czasu, kiedy z moją łodzią przywlokłem się na tę stronę wyspy.

Wyznaczyłem szerokie półkole na zewnątrz muru, który po latach w rozsypkę idzie - i w to półkole wbijam dwa rzędy grubych pali, tworzących warowny częstokół o dwu pierścieniach obronnych, odległych o sześć cali jeden od drugiego. Tę przestrzeń między pierścieniami częstokołu wypełnię kamieniami lub ziemią, wierzchołek zaś obwaruję żelaznymi hakami, aby ani człowiek, ani zwierzę nie przedarło się przezeń. Wejście urządzę po drabinie, którą na noc wciągać będę do środka. Gdybym nie miał narzędzi, praca ta byłaby nie do wykonania. Ale i z narzędziami ledwo podolać mogę trudom ścinania, ostrzenia pali, znoszenia ich do Yorku z odległego lasu i wbijania w ziemię twardą, skalistą i niepodatną. Umyśliłem sobie, że w tym częstokole uczynię siedem otworów wielkości dłoni, na strzelnice dla siedmiu muszkietów. Ustawię je na podstawach jak działa i będą stale nabite, ażeby w razie potrzeby mógł dać z nich wszystkich kolejno ognia siedem razy. U wejścia do Yorku stać będzie na progu skalnym jeden z falkonetów. Obok kule złożone w piramidę, lont i beczułka prochu, tak jak na pokładzie statku.

Dopóki się z tym wszystkim nie uporam, wiem, że ani nocy spokojnej nie zażyję, ani pracy żadnej innej nie wykonam, ani o odpoczynku myśleć nie zdołam. Ciągłe przed oczami stoi mi tamten widok tak straszny, że na samo wspomnienie krew krzepnie w żyłach, a pióro wzdraga się przed daniem tego opisu. Że nie sposób go jednak pominąć, cofnę się do mojej ostatniej wyprawy po łódź.

Wyruszyłem wzdłuż wschodniego wybrzeża. Chciałem zbadać, tym razem z łądu, owe prądy morskie otaczające moją wyspę. Dotarłem w taki sposób aż do skał, gdzie ostatnim razem zdecydowałem się na dalszą żeglugę. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu zobaczyłem, że morze jest równiutkie bez jakiegokolwiek zmarszczki. Cóż się zatem stać mogło z prądem, który porwał moją łódź w śmiertelny taniec?

Zbadawszy rzecz dokładnie, doszedłem do wniosku, że prądu takiego nie ma! Uczynić go musiała wówczas fala przyływu idąca ku brzegom i odbita od wybiegającego w morze cypla. Trafivszy na tę nieszczęsną porę, omal nie utraciłem i łodzi, i życia.

Domniemanie moje było słuszne. Odczekawszy do czasu przyływu, ujrzałem i tym razem, jak straszliwa rzeka wylania się nagle ze spokojnego morza. Te obserwacje przekonały mnie, że byłem tylko uważał na przyływy i odpływy, śmiało mogę przedsiębrać jeśli nie dalszą, to przynajmniej wzdłuż brzegów wyspy wiodącą podróż dookoła mojej krainy. Poprzestałem jednak na tym odkryciu i o świcie, noc spędzwszy na skałach, ruszyłem dalej.

Okolo południa, daleko już będąc, spostrzegłem na morzu podłużny cień, przypominający kształtem wrzeciono. Mogła to być równie dobrze łódź, jak kłoda wyniesiona odpływem albo nawet grzbiet jakiegoś morskiego potwora. Słońce świeciło mi prosto w oczy, a nie miałem, niestety, perspektywy, ażeby przekonać się, co oznacza to zjawisko. Nie przejąłem się zresztą zbytnio i pomyślałem sobie, że to najpewniej kłoda drzewa, uniesiona falą, wędruje sobie po morzu.

Minąwszy południowo - zachodni cypel wyspy, dostałem się wreszcie w owe miejsca, gdzie ongiś ujrzałem blask ogniska, a później ludzką stopę wyłoczoną w piasku. Znalazłem moją łódź w takim

stanie, w jakim ją pozostawiłem, tyle tylko, że morze naniosiło w nią piasku i na dnie roily się kraby. Wygarnąwszy je, wziąłem łódź na hol i pociągnąłem wzdłuż brzegu. Odzyskanie jej napełniło mnie taką otuchą, że niewiele sobie robiąc z tej nieprzyjemnej okolicy, podążyłem szparko naprzód. Idąc tak i przemyślając nad tym, w jaki by tu sposób skrócić sobie i udogodnić drogę, stanąłem nagle jak wryty.

Przede mną, nieco w głębi plaży, pośrodku białego piasku, czerniał szeroki ślad ogniska. Znad wypalonych polan sączyła się jeszcze wąska smużka dymu - znak, że niedawno miejsce to opuścić musiał człowiek. Cisnąłem hol mojej łodzi i zrywając strzelbę z ramienia, ruszyłem biegiem w stronę zgorzeliska. Kiedy go dopadłem, pot oblał mnie zimny, a włosy zjeżyły się na głowie.

Niepodobna wprost opisać wstrętu, jaki mnie ogarnął na widok rozsypanych wokół kości ludzkich, czaszek, żeber i piszczeli! W piasku wykopany był krąg, a ślady stóp prowadziły aż na brzeg, gdzie musiały stać łodzie, zanim zepchnięto je na wodę.

A więc ów przedmiot na morzu nie był ani kłodą, ani grzebieniem wieloryba, lecz łodzią prowadzoną przez ludzi!

Przez ludzi? Jakąż goryczą i przerażeniem napełniła mnie ta myśl! Czyż można nazwać ludźmi dzikie potwory, po których został ślad tak ohydnej uczty? Wiedziałem, co o tym sądzić. Dzicy Karaibowie na krótko przed moim przybyciem odprawili tutaj, o kilka mil od moich domostw, pół i stad, swoją haniebną, ludożerczą biesiadę!

I oto buduję wokół Yorku palisadę, i nie zaznam ani chwili spokoju, zanim nie zamienię mojej groty w zamek tak warowny, ażeby nie mogło mego progu przekroczyć żadne z tych zwierząt w ludzkiej skórze!

Codziennie wybiegam z perspektywą na Wzgórze Nadziei i szukam na morzu już nie statku, który mnie stąd wybawi, lecz śmiertelnego niebezpieczeństwa: karaibskich łodzi. Niczego jednak nie dostrzegłem dotychczas, co by mogło obawy moje potwierdzić. Snadź dzicy obrali sobie południowe wybrzeże na swoje krwawe obrządki i na moją stronę nie kierują swych czóten. Mała to pociecha, gdyż żadnej nie ma rękojmi, iż nie odmienia swoich obyczajów. Może się także zdarzyć, że zwabi ich tutaj huk moich strzelb albo dym z ogniska.

Posługuję się więc węglem drzewnym, który dymu nie daje, a polując, znowu jak dawniej używam najczęściej łuku. Strzelbę jednak i parę dobrych pistoletów noszę stale przy sobie. Myślę także o uzbrojeniu Warowni Koziego Króla. Dostęp tam trudniejszy jest niżli do Yorku, ale i to może się zdarzyć, że ją odnajdą. Niechże wówczas przywita ich ogień moich falkonetów, z których dwa ustawiłem w gardle pierwszego korytarza tak, abym cofając się, mógł zabrać je z sobą i bronić się dalej.

Cała wyspa wydaje mi się teraz uśpionym wulkanem, który lada chwila wybuchnąć może pod moimi stopami.

Biegący szybko czas nie pozwala mi zabawiać się pamiętnikiem. Będę więc pisać to tylko, co największe ma znaczenie w moim położeniu, cały mój czas poświęcając przygotowaniu obrony. 20 września. Mój częstokół jest na ukończeniu. Półszоста stopy wysokości i haki żelazne u szczytu.

2 października. Całą przestrzeń przed palisadą poutykałem gałązkami łożyny. Kiedy urosnie, okryje zielenią całe to oszańcowanie. Sądzę, że do roku będę tu miał nie lada gęstwinę.

7 października. Z pomocą Bożą ukończyłem moją robotę. Dzisiaj w siedmiu strzelnicach umieściłem siedem nabitych muszkietów. Powiązałem sznurkiem języki spustowe, tak że za jednym pociągnięciem wypalić mogę salwą z siedmiu muszkietów naraz.

19 października. Zatarasowałem ścieżkę wiodącą na szczyt Wzgórza Nadziei, ażeby i z tamtej strony czuć się bezpiecznym. Teraz ponad Yorkiem wznosi się lita skała, na którą nie da się wejść bez wielkiego ryzyka. Na własny użytek urządziłem rzecz wielce przemyślaną. Zbudowałem wysoką drabinę. Wchodzi się po niej na wąską skalną półkę. Stanąwszy na niej, podciągam drabinę i opieram wyżej o skałę, ażeby dostać się z kolei na szczyt. Tym sposobem, odcinając raz na zawsze dostęp do Yorku ze szczytu Wzgórza Nadziei, sam dostaję się tam z wielką łatwością i znacznie szybciej niż dotychczas.

3 listopada. Zaniechałem ciągłych wypatrywań ze wzgórza, ale nie przestaję być ostrożny. Myślę

tylko nad tym, jak długo można czekać w wielkiej niepewności? Czasem oczekiwanie na niebezpieczeństwo trudniejsze jest znacznie niż spotkanie się z nim oko w oko. I gdyby to ode mnie zależało, kto wie, czy nie przyspieszyłbym mojego spotkania z dzikimi, ażeby albo zginąć, albo raz na zawsze przepędzić ich z mojej wyspy, na której stałem się teraz więźniem podwójnym.

17 listopada. Rzadko zaglądam obecnie do mego pamiętnika, a przyczyną tego nie jest ani zniechęcenie, ani nadmiar prac, te bowiem są na ukończeniu. Przyczyna leży w tym, niestety, że zaczyna mi braknąć inkaustu. Nie chcę go jeszcze rozcieńczać wodą, ale trzeba potrząsnąć flaszą, żeby dalej pisać. Gdybym to wiedział, w jaki sposób i z czego sporządza się inkaust, może i ten cenny płyn, jak wiele innych rzeczy, zrobiłbym swoim sposobem. Niestety, nie wiem i wszelkie próby kończą się niepowodzeniem.

#### PAMIĘTNIKA ROBINSONA CIĄG DALSZY

Lepiej jest ponoć i korzystniej atakować, niżli czekać, aż się będzie napadniętym zniemacka. Bo i jak długo można czekać, licząc się z każdym wystrzałem podczas polowania, z każdym rozpaleniem ogniska, z każdą wyprawą dalszą, niżli na to bezpieczeństwo mojego położenia pozwala? Cóż z tego, że jestem uzbrojony? A któż mi zaręczy, że nie wpadnę w zasadzkę lub nie zostanę napadnięty z tyłu? Słyszałem o zatrutych strzałach, które lekko drasnąwszy, zabijają równie skutecznie, jak strzelba czy muszkiet.

Zaprawiam Frienda do obrony w razie napaści.

Różne miałem projekty i plany i tyle ich było, że na wołowej skórze wszystkich nie spisać.

Układałem plan podminowania prochem miejsca, gdzie Karaibowie rozpalają ognisko. Wystarczyłoby kilka funtów prochu, ażeby pokarać zabójców i pomścić ofiary. Odstąpiłem jednak od tego projektu.

Jakąż mam gwarancję, że ognisko założą w tym samym miejscu?

Jakąż mogę mieć pewność, że proch nie wybuchnie wówczas, gdy w pobliżu nikogo nie będzie?

Albo że wybuch zgładzi ofiary, a nie zabójców, dla których jest przeznaczony?

A nadto, co najważniejsze, kilka funtów prochu to w moim położeniu skarb nieoceniony, którym lekkomyślnie gospodarować nie wolno!

Tak oto myśli moje zgoła inny teraz obrały kierunek. Dotychczas bowiem myślałem tylko, jak zdobyć żywność, jak ułatwić sobie pracę, jak odzyskać wolność. Teraz zaś o jednym tylko myślę - jak ocalić życie. Te rozterki i niepokoje położyły kres moim wynalazkom. Dawniej pora deszczowa wydawała mi się szkaradna - dziś jest przeciwnie. Kiedy padają deszcze, zaczynam dopiero żyć i oddychać swobodnie, wiedząc, że dzicy nie wsiadają w swe łodzie. Dawniej pora pogody była dla mnie czasem szczęśliwych prac i korzystnych poczynań - teraz bywają takie dni, że nie śmiem wbić gwoźdźcia w obawie, aby nie ściągnąć sobie na kark krwawego plemienia Karaibów.

Umyśliłem wreszcie zacząć się w jakimś dogodnym miejscu i gdy dzicy przystąpią do swego potępięczego obrządku, wypalić z nagle z kilku strzelb naraz, a potem wyskoczyć na zmieszany tłum z pałaszem i pistoletami w dłoniach, ażeby reszty dopełnić. Wyszukałem sposobną po temu zasadzkę, przygotowałem muszkiety i strzelby i gotowałem się już do tej wyprawy, ale od kilku miesięcy łodzie nie pojawiły się ani razu. Znużyło mnie wypatrywanie i zarzuciłem ten plan, gdy chłodna rozważa nadeszła w ślad za pierwszą gorączką.

Poczekam jeszcze. Nie ma przecież powodu mieszać się w ich sprawy, zanim oni w moje nosa nie wetkną. Karać ich to jakby karać dzikie zwierzęta za to, że rzucają się na siebie i pożerają wzajemnie. Jakież mam prawo być sędzią i katem? Bo barwa skóry prawa mi tego nie daje. Czyż o tyle lepsi są chrześcijanie, którzy skazują na śmierć jeńców wziętych w walce i wojska całe wycinają w pień? Choćby wspomnieć Hiszpanów, którzy w Południowej Ameryce splamili się najobrzydliwszą zbrodnią, tępiąc kolorowe plemiona. Doszedłem do przekonania, że ani względy mego bezpieczeństwa, ani nakazy sumienia nie mogą zamienić mnie w kata. Będę zatem czekał, ale jeśli przyjdą nieproszeni - napotkają godną odprawę. Rozpisałem się znowu, a inkaustu ubywa we flaszy.

Luty. Ażeby zabić czas i przepłóścić złe myśli, uczę Frienda rozmaitych sztuk. Friend czołga się tak, aby go nikt dostrzec nie mógł ani usłyszeć. Szczeka na mój rozkaz albo też milczy dopóty, dopóki nie cofnę zakazu.

*Kto wie, kiedy i w jakich okolicznościach przyda mi się taka jego umiejętność?*

*Kto wie, kiedy i w jakich okolicznościach przyda mi się taka jego umiejętność?*

*Polly ścierpieć nie może, kiedy zajmuję się psem, i tłucze się po Yorku jak opętana. Na nią jednak nie znajduję sposobu, bo z Barnabą jest zgola inaczej. Jeśli podrzucić mu garstkę soli lub słodkich łusek grubego dziobu, obojętny na wszystko, zajmuje się tylko przysmakami.*

*Od sześciu dni nie opuszczam grotu, takie spadły deszcze. Ale co też mi przyniesie odmiana pogody?*

*Marzec. Jeszcze trochę i znowu skończy się pora deszczowa, a wraz z nią moje bezpieczeństwo.*

*Sypiam niespokojnie, sny miewam straszliwe i nieraz pośrodku nocy budzę się, szukając broni.*

*Pistoletów nie wyjmuję spod głowy, chociaż wiem, że w czasie deszczów żywa noga nie przedostanie się na moją wyspę, chyba z rozbitego statku.*

*Wiem o tym, ale stan mego ducha jest taki, że czuwam wciąż i nasłuchuję, a nawet śpię, jak się to mówi, z otwartymi oczami.*

*Koniec marca. Głupstwem jest wierutnym zapisywanie snów, ten jednak tak był osobliwy, że nie mogę się od tego powstrzymać.*

*Śniło mi się, że wyszedł z Yorku i nagle ujrzałem na spokojnym morzu dwie łodzie pełne dzikich, dobijające do brzegu. Przywieźli z sobą spętanego człowieka, ażeby zabić go i swoją ucztę straszliwą odprawić.*

*Ale kiedy wysiadali z łodzi, jeniec wyrwał się z rak oprawców i począł co sił uciekać. Dopadł Yorku, ja zaś wskazałem mu drogę i rzuciłem poprzez palisadę moją sznurową drabinę. Tym sposobem ocalał. I usłyszałem jeszcze we śnie jakiś głos, który nie był głosem moim ani ocalonego przeze mnie człowieka, ale jak gdyby głosem mojego ojca, dobiegającym gdzieś z wielkiej dali.*

*„Zważ, Robinsonie, że człowiek, którego przed haniebną śmiercią ocaliłeś, będzie ci przyjacielem, przewodnikiem i druham wiernym, powie ci, co czynić i dokąd się udać, ażeby w końcu drogę odnaleźć do ludzi i do świata...”*

*Tyle powiedział mi we śnie ów głos, ja zaś zbudziłem się, drżąc z radości i nadziei, która wnet prysła na jawie, gdy obaczyłem, że otacza mnie pustka, deszcz i wichler.*

*Zbiory w tym roku miałem dobre, nie siałem więc po raz drugi, gdyż i tak nie wiem, co bym począł z ziarnem. Zabawiam się rybolówstwem, bardziej dla zabicia czasu aniżeli z potrzeby, gdyż żywności mam w bród. Gdybym miał więcej inkaustu, mógłbym skracać sobie czas pisaniem mego pamiętnika. Ale i ta przyjemność się kończy i pozostają tylko rozmyślania. Tak chciałbym usłyszeć głos ludzki, że nieraz wychodzę w głąb wąwozu i wykrzykuję różne słowa i imiona po to tylko, ażeby usłyszeć, jak mi echo odpowiada. Mam wtedy złudzenie (podobne złudzeniom dzieci), że z kimś rozmawiam z wielkiej odległości. Tym większy ogarnia mnie smutek po takiej zabawie.*

*Próbowałem w miejsce inkaustu użyć krwi koźlęcia i soków jakiegoś grzyba, ale krew krzepnie nazbyt szybko i nie sposób jej użyć, a czarna posoka grzyba, wysychając, blednie, tak że ślad ledwo pozostaje na karcie. Innych sposobów nie udało mi się odkryć ani wymyślić.*

*Minęło znowu kilka miesięcy i ma się ku końcowi druga pora deszczów. Wczoraj po raz pierwszy zabłysło słońce i ptaki powróciły do swych gniazd na Wzgórzu Nadziei. Nic się nie zdarzyło w ostatnim czasie godnego uwagi i to warto tylko zapisać, że minęła dziesiąta rocznica mojego na tej wyspie samotnictwa. Dopiero dzisiaj o tym piszę, gdyż serce tak miałem wypełnione smutkiem, że nawet pióra nie brałem do ręki. Całą noc przeleżałem na swoim hamaku, nie mogąc zmrużyć powiek. Jawiły mi się przed oczami wszystkie dziesięć lat mojego wygnania, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, jak gdybym szedł tą samą, dobrze znaną drogą, raz jeszcze rozpoznając wszystko po kolei. Miejsce, gdzie mnie wyrzuciła fala, drzewo, na którym pierwszą noc spędziłem, pierwsze moje ognisko, pierwszy garnek gliniany, utarczki z Kozim Królem, wystrzały armatnie z „Diany”, wielkie nadzieje i wielkie rozczarowania. Poznałem na tej wyspie rośliny, ptaki i zwierzęta, o jakich nie słyszano pewnie w Anglii, i chociaż nie znam ich imion, przywykłem do ich widoku, a nieraz polubiłem tak, jak w zwykłym świecie lubi się drugiego człowieka.*

*Jest pośrodku lasu, w bok od koryta strumienia, stary brodac leśny - drzewo nie tak olbrzymie, ile*

rozrosłe, które zapewne pamięta stworzenie świata. Zachodzę tam chętnie niby do jakiej świątyni i lubię słuchać, jak szumi nade mną, jakby opowiadała pradawne dzieje.

Rośnie na Melonowych Wzgórzach samotna palma, smukła i strzelista, która koronę swoich liści nosi tak dumnie, jak mauretańskie kobiety noszą dzbany z wodą na głowie. Do zatoki, gdzie stoi moja łódź, podpływa często żarłacz, którego poznaję po wystrzępionej prawej skrzeli. Nieraz stoimy długo naprzeciw siebie, aż wreszcie on odpływa wolno, prawie nie poruszając płetwami.

Trzeci rok z rzędu, gdy mija pora deszczowa, spotykam na brzegu wśród żerujących głuptaków jednego o krótszej nodze. Podskakuje zabawnie i pomaga sobie skrzydłami jak kaleka używający laski. Nie taję bynajmniej, że napelniloby mnie to smutkiem, gdybym go któregoś dnia na zwykłym miejscu nie zobaczył.

Przez dziesięć lat polubiłem wiele miejsc i wiele przedmiotów na tej wyspie i mam je za swoje własne. Jedno tylko, co wiąże mnie jeszcze ze światem, to Wzgórze Nadziei.

Może dlatego właśnie, że nazwałem je Wzgórzem Nadziei, a może dlatego, że stamtąd wciąż jeszcze wypatruję od czasu do czasu białego żagla na morzu?... Albo dlatego, iż stamtąd najdalej wzrok mój dociera i czasem wydaje mi się, że poprzez mgłę na oceanie daleką widzę Anglię?... Ale kiedyś stanąwszy na tym lądzie, nazwałem to wzgórze także Wzgórzem Rozpaczy i nie wiem doprawdy, która nazwa była prawidłowa. Rozpaczy czy Nadziei? Bo czyż wolno mi mieć jeszcze jakąkolwiek nadzieję? Ja, Robinson Kruzoe, żeglarz i rozbitek, kupiec morski i dawny niewolnik, zaznawszy wielu przygód na lądzie i morzu, przyrzekam uroczyście, że jeśli Opatrzność w dobroci swojej nieogarnionej pozwoli, iż na koniec...

Robinson, nie kończąc zaczętego zdania, cisnął pióro i zerwał się z za stołu. Do groty wpadł jak kula Friend, cały zjeżony i z podkulonym ogonem. Drżąc nerwowo, stał na sztywno wyprostowanych nogach i głuchy bulgot zdawał się rozrywać mu gardło. Nigdy dotąd pies nie zachowywał się w taki sposób! Musiało się stać coś nadzwyczajnego!

ZBIEG

Nieraz wspominałem swój sen i rozmyślałem, w jaki sposób mógłbym wyrwać z rąk Karaibów chociażby jedną ofiarę...

Robinson sięgnął po strzelbę i potracił butelkę z inkaustem. Przewróciła się, a resztką atramentu cieniutką strużką popłynęła w poprzek zapisanej karty. W tej samej chwili pies, skomląc, skoczył do wyjścia. Robinson wetknął za pas pistolety, chwycił perspektywę i wybiegł za wilczurem.

Na dziedzińcu Barnaba oskubywał liście zwisające z muru. Kozy wychodziły właśnie pojedynczo ze stajenki, tłocząc się u wejścia do okólnika. Friend szczeknął ostro i przysiadł na progu. W powietrzu czaiło się coś niedobrego. Nagle od strony brzegu lekki powiew wiatru przyniósł zapach dymu.

Robinson wspiął się na półkę skalną, przerzucił drabinkę i po chwili był już na Wzgórzach Nadziei.

Friend deptał mu niecierpliwie po piętach. Prawie jednocześnie dopadli szczytu i Robinson podniósł do oczu lunetę. W odległości półtorej mili na wschód, za ujściem strumienia, leżało pięć łodzi karaibskich jak pięć wielkich ryb wyrzuconych przez morze.

A więc stało się to, czego Robinson najbardziej się obawiał! Karaibskie łodzie dotarły w końcu i na tę stronę wyspy! Przetarł szkła, przełknął z trudem ślinę i podsunął się wyżej. Czuł, że to samo robi Friend, nie odrywając łba od ziemi. Pies doskonale wyczuwał niebezpieczeństwo.

Wokół łodzi nie było nikogo. Tylko nad zaroślami unosiła się szara spirala dymu. Robinson starał się myśleć powoli i spokojnie. Wiedział, że nieopatrzna decyzja może przypłacić życiem.

Policzył wiosła złożone przy łodziach. Przy każdej było ich sześć. Pięć łodzi, w każdej sześciu wiosłarzy, to co najmniej trzydziestu uzbrojonych dzikich! Lekkomysłnością byłoby atakować ich w tych warunkach i przy takim układzie sił. Po pierwszych strzałach, tak czy owak, dostaliby go w swoje ręce. A wówczas? Zadrżał, przypomniawszy sobie ognisko na południowej stronie wyspy.

Wycofał się ku drabinie, gwizdnąwszy cicho na Frienda. Zeszli na półkę, a stamtąd na północny stok wzgórze. Ostrożnie wysunął lunetę i przywarł do niej oczami. Od razu zobaczył krąg biesiadny wykopany w piasku. Trzydziestu dzikich wirowało wokół w barbarzyńskim tańcu. Ciała wojowników zdobiły najdziwniejsze wzory pomalowane białą i czarną farbą. Dwaj siedzący z boku szybkimi uderzeniami

wybijali na bębenkach taneczny rytm. Między muzykantami stał olbrzymi Karaib, wsparty o dzidę ozdobioną pękiem kolorowego włosia. Różnił się od innych ubiorem i postawą. Z ramion zwisała mu wielka, cętkowana skóra, a we włosach, usztywnionych rudą gliną, kołysały się zielone pióra papuzie. Kolo przesuwalo się szybko, tancerze zmieniali kierunek, przerzucali ponad ogniskiem broń, chwytając ją na przemian z małpią zręcznością. Nagle wódz uniósł dzidę i wirujący krąg przystanął. Dobosze odrzucili bębny i skoczyli ku łodziom.

Teraz dopiero Robinson zauważył, że w pirogach znajdowało się kilku skrępowanych ludzi. Nie różnili się oni od swoich prześladowców ani wyglądem, ani kolorem skóry. Nie mieli tylko na sobie barw wojennych. Musieli to być również Karaibowie, ale z jakiegoś pokonanego szczepu. Szli w stronę wodza, nie stawiając oporu, widocznie pogodzili się już ze swoim losem. Kiedy doszli na miejsce, oprawcy cisnęli ich na kolana i sięgnęli po swoje bębny. Po ruchach ich dłoni Robinson domyślił się, że rytualny rytm odezwał się znowu. Ale krąg wojowników tym razem trwał w bezruchu.

Gdy drewniany miecz wodza spadł na kark pierwszej z ofiar, Robinson poczuł, że wilgotnieją mu dłonie.

Co robić? Strzał z tej odległości był bardzo wątpliwy. Gdyby jeszcze miał muszkiet przy sobie! Ale muszkiet został na dole.

Drugi jeniec padł pod ciosem miecza.

Robinson zadrżał. W tej chwili jednak wśród dzikich wszczęło się jakieś zamieszanie. W ciągu ułamka sekundy trzeci z klęczących, zerwawszy cudem pęta, rzucił się do ucieczki przez piaszczyste wydmy.

Natychmiast wyleciało za nim kilkanaście strzał, ale wszystkie chybiły celu. On zaś przygiął się tylko do ziemi i przyśpieszył kroku. Pomiedzy nim a Yorkiem leżało ujście rzeczutki, wezbranej teraz przyplywem i rozlanej szeroko. Nie wiedzial o tym. Pędził kocimi susami, klucząc, ilekroć któryś z prześladowców naciągał cięciwę. Wódz krzyknął coś w kierunku swoich i trzech wojowników rzuciło się w pogoń.

Robinson odrzucił perspektywę i sięgnął po strzelbę. Wszyscy czterej zbliżali się ku rzeczce i widać ich było wyraźnie na płaskiej, odsłoniętej plaży.

Pędzili rozciągnięci w równą linię. Od rzeczki dzieliło ich jeszcze wąziutkie pasmo zarośli. Zbieg liczył widocznie na to, że zaszyje się w nich i zmyli pogoń. Nie wiedział, że czeka go przeszkoda trudna do przebycia. „Jak mu pomóc?” - rozmyślał gorączkowo Robinson. Jednym strzałem mógł zabić w najlepszym wypadku jednego z trzech prześladowców. Strzał był zresztą nadal niepewny - odległość zbyt duża, a cel w szybkim ruchu. Zresztą w pobliżu był York. Cena zbyt wysoka.

Jeszcze kilkanaście jardów i uciekający przedarł się przez krzaki. Zaskoczony stanął na brzegu.

Musiał jednak pływać jak ryba, gdyż natychmiast dał nura w wodę. Był już w połowie rzeczki, gdy w ślad za nim wypadli na brzeg prześladowcy. Widać było, że zawahali się. Nastąpiła krótka i gwałtowna wymiana zdań i dwaj krajowcy skoczyli w wodę, trzeci zaś zawrócił wolnym krokiem w stronę ogniska.

Teraz Robinson nie czekał. Wiedział, że jest to sprawa minut i wyścig ze śmiercią. Rzucił się co sił w nogach w dół stokiem wzgórza, a za nim Friend. Wypadki następowały po sobie podobnie jak we śnie. To było zadziwiające. Ale nie miał czasu, aby się nad tym zastanawiać. Stoczyli się raczej, aniżeli dobiegli na dół, i stanęli między drzewami. Robinson sprawdził pośpiesznie strzelbę, podsypał prochu i poprawił tkwiące za pasem pistolety.

Słyszał już było chrzęst rozgarnianych krzaków i szybki oddech pierwszego z biegnących. Jeniec karaibski rwał przez otwartą przestrzeń niby tropiony jeleń i tylko po skurczu twarzy widać było, jak bardzo jest zmęczony. Robinson w ostatniej chwili zdążył uchwycić Frienda za kark. Wilczur gotował się już do skoku. Tuż za zbiegiem ukazali się na ścieżce dwaj wojownicy ociekający wodą i mułem. Ich piersi równie gwałtownie chwyciły oddech.

Robinson wysunął się zza drzewa i przeciął im drogę. Ujrzawszy człowieka odzianego w skóry i wielkie, czarne zwierzę, stanęli... i to ich zgubiło. Friend jak pocisk wyrzucony z procy skoczył najbliższemu do gardła.

Spleceni w walce, potoczyli się na bok. Widząc to, drugi wojownik oprzytomniał i sięgnął po łuk. Ale nie zdążył go zerwać z pleców, kiedy odezwała się strzelba Robinsona. Karaib wyrzucił ręce ponad głowę i

padł nieruchomo na twarz. Friend stał już obok swego pana i patrzył mu w oczy. On także zwyciężył w pojedynku.

Robinson rozejrzał się za zbiegiem. Tkwił pośrodku ścieżki o kilkanaście jardów dalej, tam gdzie zatrzymał go w biegu niespodziewany huk wystrzału. Jak urzeczony patrzył na pobojowisko, ale widać było, że skłonny jest uciekać dalej. Niezwykły wybawca napawał go przerażeniem.

Ocierając pot z czoła, Robinson skinął nań i uśmiechnął się przyjaźnie. Dzikus zrozumiał widocznie, uczynił krok naprzód, ale cofnął się natychmiast, rzuciwszy okiem na strzelbę i na przyczajonego Frienda. Był to młody chłopak o skórze koloru jasnej miedzi i regularnych, miłych rysach twarzy. Mógł mieć lat dwadzieścia albo niewiele więcej. Obfite, prawie granatowe włosy opadały mu miękko na szerokie ramiona, a czarne oczy patrzyły bystro i czujnie. Tliły się w nich iskierki jakby utajonej wesołości. Od pierwszego wejrzenia budził sympatię i zaufanie. Podejść jednak najwyraźniej nie chciał.

Robinson zarzucił strzelbę na ramię i zerwał z drzewa zieloną gałązkę. Indianin postąpił o krok. Człowiek w kozich skórkach kiwał łagodnie głową, nie przestając poruszać gałązką. Indianin przyklęknął i poklonił się nisko.

Robinson uśmiechnął się i znowu skinął nań przyjaźnie. Starał się używać gestów bardzo powolnych, jak gdyby wabił dzikiego ptaka, którego może spłoszyć lada niezręczny ruch. Ale Karaib zrozumiał już intencje swego wybawcy. Zbliżał się, przyklękając co kilka kroków. Kiedy znalazł się zupełnie blisko, upadł na twarz i uchwycił stopę Robinsona, postawił ją sobie na karku. Miało to zapewne oznaczać, że uznaje w nim pana tej krainy. Friend patrzył na wszystko pobłażliwie, ziejąc szeroko rozdziawioną paszczą.

Indianin mówił teraz szybko i śpiewnie w obcym dla Robinsona języku, wskazując na siebie i na zabitych leżących na ścieżce. Robinson, nie rozumiejąc ani słowa, słuchał jego głosu jak najpiękniejszej muzyki. Nie wypada zapewne, aby władca płakał, ale czuł, że oczy zachodzą mu łzami. Po raz pierwszy od dziesięciu przeszło lat przemówił doń człowiek!

Karaib podbiegł do zabitych i zaczął im się uważnie przyglądać. Dostrzegł rozdarte gardło pierwszego i z respektem popatrzył na Frienda. Bardziej jednak zainteresował go drugi z wojowników. Chłopak przewracał go z boku na bok, kręcił głową nad małym znakiem po kuli i nabożnie spoglądał na strzelbę. Pierwszy raz widocznie spotkał się z takim zjawiskiem. Kij miotający piorun napelniał go zabobonną trwogą.

Ale czas mijał i lekkomyślnością byłoby go przedłużać. Robinson przerwał te oględziny, tłumacząc na migi, że poległych należy pochować. Dobrą chwilę trwało, zanim chłopak pojął, o co chodzi. Widocznie obyczaj ten nie był mu znany. Wreszcie zrozumiał. Zabrał łuki i strzały, złożył je u stóp Robinsona, sam zaś zabrał się do kopania dołu. Pracował muszłą. Szło mu to nadzwyczaj szybko i zręcznie. Kiedy dół był już gotowy, zwlekli doń ciała i przysypali je piaskiem. Robinson zamaskował ślady kamieniami.

Skończywszy, skinął na chłopca i ruszył z nim w głąb wyspy. Pochód zamykał Friend. Obeszli drogą okrężną York i przez las skierowali się do warowni Koziego Króla. Szli, klucząc, ażeby Karaib nie zdołał zapamiętać drogi. Robinson wolał zachować ostrożność.

Po godzinie dotarli na miejsce. Było południe. Nie chcąc rozpalać ogniska, Robinson wyniósł z jaskini koszyk suszonych winogron, suchary, garnek koziego mleka i dzban z wodą. Ustawił to wszystko na płaskim kamieniu i usiadł naprzeciw ocalonego zbiega. Po minie chłopca widać było, że jest porządnie głodny, ale nie tknął jedzenia, dopóki Robinson nie uczynił tego pierwszy.

Miło było patrzeć, jak twarde suchary trzeszczą w zębach Indianina. Kozie mleko natomiast najwyraźniej mu nie smakowało. Krzywił się i spluwał z obrzydzeniem. Chętnie jednak pił wodę i całymi garściami wsypywał sobie do ust rodzyнки, klepiąc się przy tym po brzuchu i strojąc tak zabawne miny, że Robinson nie mógł pohamować śmiechu.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, Robinson nabił i zapalił fajkę. Tym razem chłopak nie okazał zdziwienia. Widocznie zwyczaj palenia tytoniu nie był mu obcy, chociaż sam nie zdradzał żadnej w tym kierunku ochoty. Nadszedł czas na rozmowę. Wskazując na siebie, Robinson wymienił swoje imię i kilkakrotnie je powtórzył. Przypominało to pierwszą lekcję z Polly.

- Robinson Kruzo. Nazywam się Robinson Kruzo.



Po błysku w oczach poznał, że Indianin pojął, o co mu chodzi. Jego wargi poruszyły się bezgłośnie, naśladowując ruch warg Robinsona. Po chwili padło z nich słowo podobne, choć zniekształcone inną wymową. Za drugim razem brzmiało już lepiej, a za trzecim najzupełniej poprawnie.

Ucieszyli się obaj. Karaib powtarzał szybko imię swego wybawcy, starając się je zapamiętać. Teraz Robinson wskazał z kolei na niego i przysłonił dłonią ucho na znak, że czeka na odpowiedź. Z ust dzikiego padł jednak dźwięk tak miękki i śpiewny, że biały człowiek nie zdołał go powtórzyć. Przypominało to raczej kwilenie ptaka aniżeli słowo wypowiedziane w ludzkim języku. Robinson machnął niecierpliwie ręką i zamyślił się. Szukał dla chłopca imienia. Przypominał sobie imiona ojca i braci, tych jednak nie chciał dawać Karaibowi. A może nazwać go Ksury? Po chwili wpadł na inny pomysł. Według kalendarza był właśnie piątek. Na pamiątkę pierwszego spotkania z człowiekiem postanowił nazwać Karaiba - Piętaszkiem.

Piętaszek...

- Będziesz się nazywał Piętaszek. Piętaszek - powtarzał, celując weń cybuchem fajki. - Robinson i Piętaszek.

Chłopak kiwnął głową.

- Robinson i Piętaszek - powtórzył.

- Friend. To jest Friend. - Wilczur dźwignął się na przednie łapy. - Friend - powtórzył Robinson i spojrzał wyczekująco na Piętaszka. Chłopak zastanowił się, zmarszczył czoło i wskazując kolejno, wyrecytował głośno i wyraźnie:

- Robinson, Piętaszek, Friend. Roześmieli się. Lekcja była skończona.

Ponad drzewami przeleciało w stronę wybrzeża stado ptaków. Śpieszyły na żer. Oznaczało to, że zaczął się już odpływ. Wszystko zależało teraz od tego, czy banda ludożerców zdecydowała się odpłynąć, czy też buszuje po wyspie w poszukiwaniu zaginionych wojowników i zbiegłego jeńca. Robinson postanowił to sprawdzić.

Wstał i zarzucił strzelbę na ramię.

- Zostaniesz tutaj - powiedział do Piętaszka. - Tu będziesz spał - i wskazał mu Warownię Koziego Króla. Piętaszek potrząsnął przecząco głową.

- Spać - powtórzył Robinson i uczynił odpowiedni gest, kładąc głowę na złożonych dłoniach. - Jutro do ciebie przyjdę - dodał, widząc, że chłopak się niepokoi. - Kiedy słońce wzejdzie - wskazał na wschód.

Piętaszek zaprotestował gwałtownie. Spojrzał na mroczne wejście do Warowni i przewrócił oczami na znak przerażenia. Robinson roześmiał się i popchnął go lekko ku wejściu. Chłopak zaczął mu coś gwałtownie tłumaczyć, wymachując rękami. Bał się duchów. W jego przekonaniu podziemne jaskinie i groty roily się od demonów czyhających na samotnego wędrowca. Składając ręce jak do modlitwy, prosił o jeden z łuków.

Robinson zawahał się. Piętaszek był Karaibem i prawdopodobnie, tak jak wszyscy jego ziomkowie - ludożercą. Znał go przecież tak mało.

Spojrzał na Indianina badawczo, jakby chciał przeniknąć jego najbardziej ukryte myśli. Ale twarz chłopca była tak szczerą, oczy patrzyły tak ufnie, że zawstydził się swoich podejrzeń i podał mu broń.

Uczyniwszy to, szybkim krokiem ruszył w stronę Yorku. Kiedy się obejrzał, Piętaszek stał nieruchomo przed grocią jak posązek wyrzeźbiony w brzoście.

Robinsonowi wydało się, że po wargach chłopca przewija się uśmiech.

## NOWY MIESZKANIEC YORKU

Czy to był tylko sen, czy też naprawdę zdarzyło się coś nowego? Wszystko wyglądało jak wczoraj i przedwczoraj. York nie przestał być Yorkiem ani wyspa wyspą. A przecież wszystko było inaczej.

Co to? Prawda, to wilgotny nos Frienda. Skrzeknęła obudzona papuga. Z kąta słychać stukot kopytek Barnaby. Oho, już się zabiera do jedzenia!

Robinson usiadł na postaniu. Wydaje mu się, że zapadł w jakąś otchłań i teraz z trudem się z niej wynurza. Szary świt zagląda do Yorku. W obejściu beczą kozy. Znad morza płynie rześki, słony powiew.

Później, kiedy słońce dźwignie się wyżej, powietrze stanie się suche i gorące jak w piekarskim piecu.

Robinson odetchnął głęboko. Dobrze, że noc już minęła. Trzeba wstawać. Jest przecież Piętaszek. Gryząc suchara, przypomniał sobie wszystkie szczegóły minionego dnia. Jakże długo nie mógł zasnąć wieczorem! Czytał do późna Biblię, myśląc zgoła o czym innym, przewracał się z boku na bok, palił fajkę, wstawał i kładł się z powrotem. A wszystko dlatego, że o milę dalej, na tej samej wyspie, spał tej nocy - drugi człowiek.

Drugi człowiek! Nie był już zatem sam. Miał kogoś, z kim wprawdzie nie mógł się porozumieć jak z równym sobie, niemniej jednak był to człowiek.

Piętaszek...

Gdy po rozstaniu z karaibskim chłopcem Robinson wrócił do Yorku, dzikich już nie było. Zabrali swoje łodzie i wraz z odpływem morza wynieśli się z wyspy, nie szukając ani swoich towarzyszy, ani zbiegłego jeńca. Dlaczego ich nie szukali? Może postanowili wrócić w większej liczbie?

Robinson wytoczył baryłkę prochu i zaczął nabijać muszkiety.

Gdy pierwsza fala przyływu wdarła się w koryto strumienia, z lunetą w dłoni zbadał horyzont.

Falkonet sygnałowy, nabity ostro siekańcami, wycelowany był w miejsce, gdzie uprzednio stały karaibskie łodzie. Tuż obok leżał lont, krzesiwo i hubka. Nieco dalej worek prochu, piramidka kul i cztery muszkiety.

Postanowił dać ognia w chwili, gdy łodzie stłoczą się u brzegu, a wiosłarze odrzucą wiosła. Jeśli to nie pomoże, dołoży im z muszkietów.

Ale przyływ się skończył, a karaibskie łodzie nie zjawily się w zasięgu lunety. Wyglądało na to, że dzicy odłożyli wyprawę albo uwierzyli w demony i strach ich obleciał. Dzień zapowiadał się bezpiecznie.

Zadowolony z takiego obrotu sprawy, Robinson wyruszył do Warowni, niosąc w koszyku kawał wędzonego mięsa, chleb, ser i kokosowe orzechy. Towarzyszyła mu Polly, a Friend, węsząc, biegł przodem. Szli najkrótszą drogą, gdyż słońce dawno już wzeszło, a mieli być na miejscu o wschodzie.

Robinson niepokoił się, czy odnajdzie Piętaszka. Chłopak mógł zablądzić w lesie. A jeśli uciekł? Może dlatego właśnie prosił o łuk?

Ale Piętaszek czekał na swego wybawcę przed jaskinią, a gdy go ujrzał, upadł na twarz. Robinson podniósł go i uściskał.

Indianin nie próżnował od rana. Na koziej skórze leżało dziesięć tłustych gołębi, a obok jakieś liście i korzenie. Robinson domyślił się, że to karaibskie przysmaki, i obejrzał je podejrzliwie. Piętaszek tymczasem krzątał się już koło ogniska. Ułożył garść suchego mchu, na niej kupkę chrustu i drobnych gałązek, wreszcie kawałki spróchniałego pniaka. Na chwilę zniknął w lesie. Wrócił stamtąd z dwoma kawałkami drzewa. Chciał więc rozpalić ognisko sposobem, którego biały człowiek próbował ongiś bezskutecznie - tarcie drzewa o drzewo.

Robinson uprzedził go jednak. Z krzemienia sypnęły się iskry i pierwszy płomyk skoczył po gałązkach chrustu. Piętaszek otworzył szeroko usta i z uwielbieniem spojrzał na swego wybawcę. Ogień może być w drzewie, bo drzewo się pali, ale w kamieniu? Czy kto widział kiedykolwiek palące się kamienie? Były to dlań czary takie same jak pioruny wyrzucane z kija, który biały człowiek nosi na ramieniu...

Widząc zdumienie chłopca, Robinson pokazał mu raz jeszcze, jak się krzesze iskry. Krzemień był dobry i za każdym uderzeniem spod rękojeści noża sypał się złoty, trzeszczący warkoczek. W końcu i Piętaszek zdecydował się spróbować. Szło mu z początku niesporo, krzemień wymykał mu się z rąk, wreszcie jednak iskry poleciały. Klasnął w dłonie jak dziecko ucieszone zabawką i zaczął tańczyć dookoła ogniska, przemawiając do krzemienia jak do żywej istoty. Wykrzykiwał jakieś słowa i zdania, wśród których powtarzało się imię Robinsona. Tymczasem ognisko wygasło i trzeba je było rozpalać na nowo. Tym razem Piętaszek uczynił to z powagą i namaszczeniem, używając gestów tak uroczystych, jakby składał ofiarę swym bogom.

Robinson, oparty o drzewo, przyglądał mu się z uśmiechem. Chłopiec bawił go i wzruszał jednocześnie. Jakże jest miły i zręczny! Jak szybko i zgrabnie pracuje!

Ale cóż to? Zamiast oskubać gołębie, zawija je wraz z piórami w glinę ugniecioną z wodą! Na domiar złego utyka tam jeszcze jakieś liście i te swoje tajemnicze grzyby czy korzenie...

Robinsonowi wydało się to podejrzane, ale nie protestował. „Ostatecznie - myślał - gołębie są

gołębiami i żadne karaibskie paskudztwa nie odejmą im wrodzonego smaku". Miał zresztą w koszu suszone mięso i mógł się nim w każdej chwili poratować.

Ponieważ na wyniki kucharskich umiejętności Piętaszka trzeba było poczekać, zaczęła się druga lekcja angielskiego języka. Chłopiec dowiedział się, że to, co trzyma w ręku, nosi nazwę krzemienia. Że to, co płonie, jest ognisko. Że w ognisku pieką się gołębie. Równie chętnie, jak poprzednio powtarzał za Robinsonem, że drzewo jest drzewem, słońce słońcem, a trawa trawą...)

- Robin! Robin! Co robisz, Robin? - przerwała im Polly, zazdrosna o względy swego pana, a Piętaszek nie mógł się nadziwić, że ptak woła na człowieka po imieniu. Ale na tej wyspie wszystko było widocznie możliwe, toteż i nad tym przeszedł wkrótce do porządku dziennego.

Po jakimś czasie rozrzucił ogień i wygarnął z popieliska swoje gliniane buty. Tym razem zdziwił się Robinson, widząc, że wraz ze skorupą gliny schodzą wszystkie pióra, odstawiając dymiące, bielutkie mięso. Piętaszek z oznakami szacunku położył przed nim na liściu cztery gołębie, a po trzy przed Friendem i przed sobą.

Pieczyste Piętaszka oznaczało się niezrównaną kruchością. Był to specjał, który nawet na wielkopańskim stole wzbudziłby z pewnością uznanie. Mięso, delikatne i soczyste, miało wspaniały, korzenny smak.

Pod koniec obiadu Robinson postanowił zabrać Piętaszka do Yorku.

Najpierw udali się jednak na miejsce wczorajszych wypadków. Na widok rozsypanych kości i czaszek ludzkich krew ścięła się w żyłach Robinsona. Kątem oka obserwował Indianina. Chłopiec nie okazywał przerażenia. Wyjaśnił Robinsonowi na migi, że w bitwie między dwoma szczepami, zamieszkującymi dwie sąsiednie wyspy, pojmano wielu jeńców. Piętaszek był właśnie jednym z pokonanych. Rozwieszono ich w różne strony, aby się z nimi rozprawić tak jak z tymi, których szczątki zalegały piasek. Robinson kazał mu zebrać kości i spalić je na popiół.

Słońce stało jeszcze wysoko, gdy po drabince weszli do obejścia. Piętaszek oniemiał. Rozglądał się niepewnie i widać było po jego minie, że gotów jest po raz trzeci upaść na kolana wobec nieznanych sił, które go otaczały.

- York - tłumaczył mu Robinson, zataczając szeroki krąg ramieniem. - To jest York, Piętaszku.

Indianin obejrzał muszkiety w strzelnicach palisady i obszedł ostrożnie dziedziniec, mamrocząc coś do siebie pod nosem. Z progu grotty wodził za nim swymi cytrynowymi oczyma Barnaba.

Robinson przyniósł swój stary kaftan z koziej skóry i szerokie hajdawery znalezione w kufrze okrętowego puszkarza. Rzucił to wszystko Piętaszkowi i kazał mu się ubierać. Indianin przyjął rozkaz wybuchem radości. Dar ten wprawił go w oszołomienie. Kaftan był przecież taki sam jak kaftan Robinsona, a skórzany pas z miedzianą kłamrą wydał mu się ozdobą godną kacyka wszystkich Karaibów.

Przypominał teraz młodego psiaka, któremu po dniach swobody włożono nagle obrożę. Poruszał się sztywno i niezręcznie. Chodził na śmiesznie rozstawionych nogach. Nietrudno było zauważyć, że swędzi go całe ciało, że ubranie krępuje mu ruchy, a piękny pas z miedzianą kłamrą ociera biodra.

Robinson nie przejmował się tym zupełnie. Miał swój plan. Wiedział, że po kilku dniach chłopak przyzwyczai się do nowego stroju, a postanowił prowadzić edukację Piętaszka przy użyciu wszystkich środków, jakimi rozporządzał.

Codziennie teraz rozmawiał dużo z Piętaszkiem i uczył go nowych słów. Chłopak był pojętny, pamięć miał doskonałą i robił szybkie postępy. Zamieszkał w małym namiocie z żaglowego płótna obok stajenki dla kóz. Najczęstszym jego gościem był Friend, który gorąco zaprzyjaźnił się z nowym mieszkańcem Yorku. Powody tej przyjaźni były zresztą ze strony wilczura nieco interesowne. Oto Piętaszek, traktując go jak stworzenie pochodzące z innego świata, zawsze stawiał przed nim osobną porcję jedzenia, na znak szacunku i poważania. Friend cenił to sobie i darzył chłopca przywiązaniem. Grotę zwiedził Piętaszek dopiero po tygodniu, kiedy oswoił się już z całym Yorkiem.

Wszedł do niej na palcach, oglądając się trwożnie na wszystkie strony. Ale wewnątrz płonął kaganek i żaden zły duch nie wyłonił się z głębi. Mieszkał tu zresztą Barnaba, Polly i Friend, z którym był przecież w najlepszych stosunkach. Wkrótce więc zapomniał o swoich obawach.

Widok skrzyń wypełnionych wszelakim dobrem wprawił go w osłupienie. Obchodząc komnatę,

dotykał po kolei wszystkich przedmiotów, wydając okrzyki zdumienia i podziwu. Największe wrażenie zrobiła na nim broń. Długo oglądał szpadę, wodził palcem po ostrzach zardzewiałych pałaszy i cmokając głośno z zachwytu, próbował w dłoniach rękojeści noży. Kiedy zaś Robinson otworzył przypadkiem szkatułkę z pieniędzmi, Piętaszek wpadł w szal zachwytu. Te złote i srebrne monety przedstawiały dlań wartość czarodziejskich amuletów. Próbował je zawieszać przy uszach i układać na kształt naszyjnika na piersi. Wytłoczone na nich rysunki i napisy przejmowały go zabobonną trwogą. Jakże potężny musiał być jego pan, skoro miał tyle czarodziejskich amuletów! Najznakomitsi wodzowie Karaibów nosili mizerne woreczki ze skóry, w których znajdowały się pazury rysia lub wysuszone oczy sowy. Wielki czarownik plemienia miał jeden taki żółty krążek. Strzegł go jak oka w głowie i nazywał amuletem słońca. A Robinson? Robinson miał całą skrzynię złotych krążków i przesypywał je pogardliwie, jak gdyby nie przedstawiały wartości większej niż zwykłe szare kamyki. Piętaszek nie mógł się temu nadziwić. Odtąd częściej już był w grocie. Wszystko go tam interesowało, wszystko było ogromnie ciekawe. Któregoś dnia podpatrzył go Robinson na zabawnym dziwactwie. Piętaszek wrócił właśnie z polowania. Był niezrównanym łucznikiem, więc i tym razem przyniósł pęk ustrzelonego ptactwa. Złożywszy zdobycz przed namiotem, zakradł się cicho do groty. Gdy Robinson wszedł, Indianin klęczał przed wiszącą na haku strzelbą, chyląc się w pokłonach. W wyciągniętych dłoniach trzymał najdorodniejszego gołębia i przemawiał do strzelby w swoim niezrozumiałym dla Robinsona języku.!

- Piętaszku! - zawołał Robinson, wybuchając śmiechem. - Ależ ty jesteś prawdziwym dzikusiem! Idę o zakład, że wyobrazasz sobie, iż w mojej strzelbie mieszka duch śmierci! A to jest przecież zwykła żelazna rura oprawiona w drzewo! Nie wierzysz? Chodź, pokażę ci, czym jest strzelba! Poszli przez Kozią Dolinkę w kierunku lasu. Tuż koło źródła trafili na świeże ślady. Wiodły przez zarośla na skaliste pagórki. Po chwili ujrzeli odbite od stada kozłátko. Błądziło po urwisku, ślizgając się i becząc żałośnie.

Robinson złożył się do strzału i nacisnął spust. Rozległ się huk, a jednocześnie Piętaszek rzucił się na ziemię. Stało się to tak nagle, że Robinson w pierwszej chwili przeraził się, czy go przypadkiem nie zranił. Chłopak, leżąc na ziemi, zrywał już kaftan i szukał na nagim ciele śladu kuli. Oczywiście nie znalazł go. Był zdrow jak ryba i tylko strach podciął mu nogi. Trząśł się, dygotał i obejmując kolana Robinsona, błagał, żeby go nie zabijać.

- Przecież nic ci się nie stało, Piętaszku - uspokajał go Robinson. - Patrz, kozłę spadło na skały. Idź no lepiej i przynieś je tutaj. Albo czekaj. Widzisz tego gołębia?

Padł strzał, gołąb wywinął kozła i spadł jak kamień.

Ale Piętaszek znów leżał na ziemi i krzyczał ze strachu.

Wieczorem był rosół z kozłęcia i potrawka z ryżem. Nastrój panował wesoły i Piętaszkowi nie zamykały się usta, mimo iż strzelba stała tuż obok niego, oparta lufą o stół. Jadł ze smakiem i niezręcznie manewrował łyżką, starając się naśladować swego nauczyciela.

Po kolacji Robinson rozebrał strzelbę i wszystkie jej części rozłożył przed Indianinem na stole.

Czyścił je i polerował, kątem oka obserwując chłopca. Tak przebiegła jedna z kolejnych lekcji, które miały uczynić z Piętaszka cywilizowanego człowieka.

Późno już było, kiedy Robinson, wracając ze stajenki, usłyszał jakieś mamrotanie. Dobiegało z namiotu Piętaszka. Wydało mu się, że rozpoznaje wyrazy, więc przystanął i zbliżył ucho do płótna.

Piętaszek siedział w kucki na środku namiotu i powtarzał powoli:

- Ziemia... morze... niebo... człowiek... zwierzę...

Były to nowe słowa, które tego dnia usłyszał od Robinsona.

#### PO UPŁYWIE ROKU

Rok minął od chwili, gdy karaibskie czółna odbijały po raz ostatni od brzegów mojej wyspy. Ani razu w tym czasie nie trafiłem na ślad ohydnych biesiad i nie zdarzyło mi się ujrzeć na morzu łodzi ludożerców. Dni płynęły spokojnie jak dawniej i czas ten doprawdy uznać muszę za najszczęśliwszy z całego okresu spędzonego na wyspie.

Robinson siedział przed Yorkiem i ciskał orzeszki papudze. Polly chwytala je w powietrzu, ale złościła się przy tym i narzekała, że musi sobie zadawać tyle trudu, zamiast wygodnie przysiąść nad pełną

miseczką.

Z daleka dobiegło echo wystrzału. Robinsonowi zdawało się przez chwilę, że słyszy szczekanie Frienda. To Piętaszek polował z wilczurem i zapędził się widocznie aż na Przylądek Ocalenia. Zazwyczaj chodzili razem, dziś jednak Robinson został w Yorku, żeby naostrzyć radła przed pracami w polu. Było ich teraz dwóch i musieli siać znacznie więcej zboża niż dotychczas. Główny ciężar pracy spoczywał zresztą na Piętaszku, który był równie dobrym rolnikiem, jak myśliwym, chociaż łowy przekładał ponad wszystko. Robinson na myśl o swym towarzyszu uśmiechnął się serdecznie.

Znajomość języka, którą wpajał mu cierpliwie, Piętaszek opanował na tyle, że mogli się już porozumiewać na każdy temat, tym bardziej że tematów tych nie było tak wiele na wyspie. Głównie były to sprawy związane z polowaniem, uprawą roli i domowymi zajęciami. Ale nie tylko to. Robinson próbował też opowiadać Piętaszkowi o Anglii i o całym świecie, który jest poza ich wyspą i poza otaczającym ich oceanem. Kiedy mu brakowało słów lub gdy Piętaszek nie mógł czegoś zrozumieć, tłumaczył mu, jak potrafił, lub rysował na piasku - domy, sprzęty, nieznanne zwierzęta.

Indianin był wdzięcznym słuchaczem. Wszystko go interesowało, a o tym, co usłyszał, myślał potem przez długi czas i zdarzało się, że nawet po kilku tygodniach wypytywał o jakieś szczegóły, które jeszcze niezupełnie były dlań jasne.

W ten sposób powstawał powoli świat Piętaszka, który był niczym innym, jak tylko rozbudowanym przez fantazję i wyobraźnię chłopca światem Robinsona. Ten „wielki świat” Piętaszka zaludniony był białymi ludźmi, równie potężnymi i mądrymi, jak Robinson. Pływały po nim skrzydlate statki, wielkie jak tysiąc karaibskich łodzi, i biegały dziwaczne zwierzęta znacznie potężniejsze od Frienda.

Gdzieś bliżej Yorku, tuż ponad Kozią Dolinką, odezwał się drugi strzał i wyraźne już szczekanie.

Robinson pokręcił głową z niezadowoleniem. Nie mógł oduczyć Piętaszka marnowania prochu! Znowu będzie mu musiał wygarnąć, co o tym myśli! Piętaszek był wyborowym łucznikiem, ale ilekroć udało mu się skorzystać z nieuwagi Robinsona, wykradał się na polowanie ze strzelbą.

Robinson odsunął Polly i osłonił dłonią czoło: Indianin z czubatym koszem na plecach biegł już doliną w stronę Yorku, Friend, szczekając, skakał wokół niego. Wpadli na dziedzińiec zdyszani, zmęczeni, rozgrzani polowaniem i biegiem. Piętaszek wysypał przed Robinsonem zawartość kosza. Musiał używać i łuku, gdyż były tam dwa spore zające, cztery gołębie i młoda papuga. Z triumfem wydobyl z koszyka jaja żółwie zawinięte w liście. Był to ulubiony przysmak Robinsona, rzadko osiągalny po tej stronie wyspy.

Zaspokoiwszy pragnienie, Indianin zabrał się natychmiast do patroszenia ptactwa i zdejmowania skórek z zające. Pracował jak zwykle, sprawnie i szybko, ale widać było, że myśli o czym innym.

- Robinson mówić o skrzydlatych łodziach... - zaczął.

Robinson domyślił się, że Piętaszek, swoim zwyczajem, nawiązuje do niedawnej rozmowy, i kiwnął zachęcająco głową.

- Piętaszek słyszeć już o skrzydlatych łodziach, zanim Robinson mówić...

Robinson spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Piętaszek słyszeć. Starzy ludzie opowiadać tam, gdzie jest dom Piętaszka. Skrzydlate łodzie przyjechać spoza księżyca i przywieźć bardzo złe ludzie. Te złe ludzie pozabijać masa, masa człowieka tam, gdzie mieszkać Karib.

- Co to znaczy spoza księżyca? - zapytał Robinson. Piętaszek wskazał na zachód.

- Spoza księżyca - powtórzył.

- Cortez - szepnął do siebie Robinson.

Armada Corteza dokonała spustoszeń w tej części globu. Hiszpanie zyskali sobie smutną sławę i pamięć o dokonanych przez nich zbrodniach przekazywana była widocznie z ojca na syna wśród tubylczych szczepów. Ale znaczyło to także, że wyspa, na której się znajdują, leży w kręgu ziem dobrze znanych Europie. To odkrycie mocno poruszyło Robinsona.

- Powiedziałeś, Piętaszku: Karib...

- Tak. Karib. Tak nazywać się ziemia Piętaszka - odpowiedział Indianin. - Twoja być Anglia, moja być Karib, Wielki Karib! - dodał po chwili z dumą.

Robinson, wiedząc, że Piętaszek jest Karaibem, domyślił się, iż tak brzmi nazwa plemienia w jego

ojczystym języku. Chodziło mu jednak o coś innego i określną drogą zdążyć do swego celu.

- Powiadasz, Piętaszku, „Wielki Karib”. Czy to znaczy, że jest także i „Mały Karib”?

Indianin przytaknął skwapliwie.

- Tak. Być Wielki Karib i być Mały Karib. Mały Karib przywieźć tutaj łodzią Piętaszka, żeby go zjeść.

- Czemuż zatem Wielki Karib pozwolił na to, ażeby pokonał go i zwyciężył Mały Karib? Czy to znaczy, że Wielki Karib nie umie zwyciężać swoich wrogów?

Piętaszek zaprotestował z oburzeniem i widać było, że słowa Robinsona dotknęły go do żywego.

- Wielki Karib walczyć bardzo dobrze! Wielki Karib zawsze zwyciężał Mały Karib wszędzie, gdzie go tylko spotkać! - a widząc, że wyraz powątpiewania nie schodzi z twarzy Robinsona, ciągnął dalej:

- Ich być dużo więcej na to miejsce, gdzie być Piętaszek. Oni wziąć jeden, dwa, trzy i Piętaszek. A Wielki Karib zwyciężył ich na drugie miejsce, gdzie Piętaszek nie być. Tam Wielki Karib wziąć jeden, dwa, wielki tysiąc!

Znaczyło to, że Piętaszek dostał się do niewoli przypadkiem, pełniąc, być może, służbę zwiadowczą lub zapędziwszy się zbyt daleko za nieprzyjaciółmi.

- A powiedz mi, Piętaszku - badał dalej Robinson - co twoje plemię robi z pojmanymi w niewolę ludźmi?

- Wielki Karib zabijać wszystkich i zjadać od razu - brzmiała odpowiedź.

- A dokąd ich wywożą?

- W całkiem inne miejsce.

- A tutaj, na tę wyspę, nigdy nie przyjeżdżają?

- Wielki Karib tutaj także przyjeżdżać, ale w inne miejsce.

- To znaczy... - Robinson był już o krok od tego, czego chciał się dowiedzieć - to znaczy... że i ty bywałeś tu z nimi dawniej?

- Tak, Piętaszek być razem z Wielki Karib tam! - i wskazał południową stronę wyspy.

Robinson zamilkł. A więc łuna, stopa odcisnięta na piasku i straszliwe, wygasłe ognisko - to były ślady, jakie pozostawiło po sobie plemię Piętaszka! Wielki Karib, jak mówił chłopiec. I gdyby wówczas wpadł im w ręce, kto wie, czy nie spotkałby go los, przed którym ocalał Piętaszka...

Odwrócił się, żeby Piętaszek nie wyczytał w jego oczach przerażenia. Groziło mu zatem

niebezpieczeństwo ze strony dwóch szczepów! Ale myślał już nie tylko o tym. Myślał i o tym również, że może nadejść taki dzień, kiedy znowu zostanie sam. Kiedy Piętaszek od niego odejdzie.

Wrócił do tej rozmowy nazajutrz. Postanowił wydobyć z Piętaszka więcej szczegółów na temat jego ojczyzny i sąsiednich szczepów. Indianin z całą szczerością wyznał mu wszystko, co wiedział. Ale oprócz nazwy Karib nie potrafił powtórzyć nazw innych plemion. Znał tylko szczepy karaibskie. Ich tereny stanowiły dla niego cały świat. Robinson wywnioskował na tej podstawie, że z kraju Piętaszka jest równie daleko do posiadłości hiszpańskich, jak z jego wyspy.

Pewnego razu siedzieli obaj na Wzgórzu Nadziei. Wczesny wieczór pełen był barw i zapachów.

Piętaszek przysiadł obok Frienda, gładził go delikatnie po grzbiecie i roziskrzonym wzrokiem chłonał piękno otaczającej go przyrody. Robinson dawno już zauważył, że chłopiec jest na nią szczególnie wrażliwy. Co więcej, sam dzięki niemu nauczył się inaczej patrzeć na otaczający go świat. Piętaszek kochał kwiaty i barwy jak wszyscy Indianie. Jak godził tę łagodność i wrażliwość z krwawymi obyczajami, pośród których wyrósł, tego Robinson nie rozumiał. Ale patrząc na niego, zadawał sobie pytanie, dlaczego Stwórca utulił światło wiary przed nim i milionami takich jak on Piętaszków.

„Jeśli wolno sądzić - myślał, obserwując chłopca - z pewnością potrafiłby zrobić znacznie lepszy użytek z zasad wiary chrześcijańskiej aniżeli miliony białych, którzy w niej wyrosli”.

Karcił się w duchu, ale nie mógł pozbyć się myśli, że Opatrzność, oświecając jednych, a ukrywając prawdę przed innymi, stosuje podział niezrozumiały, jeśli nie wręcz niesprawiedliwy. Bo za cóż Piętaszkowi ma grozić piekło i potępienie wieczne, jeśli nikt nie wyprowadza go z błędu, a sam Bóg zdaje się przyzwalać, ażeby brnął w nim dalej?

Od jakiegoś czasu zastanawiał się, jak rozpocząć naukę wiary, którą sam wyznawał i uważał za jedynie prawdziwą. „Być może - pomyślał - teraz właśnie nadeszła odpowiednia chwila”.

- Jak sądzisz, Piętaszku - zapytał, patrząc łagodnie w oczy Indianina - kto to wszystko stworzył?  
W pierwszej chwili Piętaszek nie zrozumiał pytania.

- Pytam się ciebie, kto zrobił morze, ziemię, po której stąpamy, te piękne kwiaty, ciebie, mnie. Kto to wszystko zrobił?

- Benamuki - odpowiedział Indianin bez chwili wahania.

- Benamuki?...

- Tak. Stary Benamuki zrobić to wszystko. Bardziej stary niż ziemia, księżyc, słońce i gwiazdy.

Robinson nie wiedzieć? - zakończył pytaniem, patrząc na Robinsona z ciekawością.

- Benamuki, powiadasz... - Robinson rozejrzył się niepewnie, szukając w myślach argumentu, od którego można by zacząć tę najtrudniejszą naukę. - A powiedz mi, mój Piętaszku, dlaczego tak jest, że chociaż Benamuki stworzył, jak mówisz, świat, ludzi i zwierzęta, nie wszyscy oddają mu cześć? Piętaszek spoważniał i odparł z prostotą:

- Wszystko na świecie mówić „O” do Benamuki! Robinson zrozumiał, że „O” oznacza modlitwę.

- A przecież ja - ciągnął dalej, wskazując na siebie - ja nie mówię „O” do Benamuki.

Ale wiedział już, że źle zaczął naukę o prawdziwym Bogu. Tak samo jak on przed chwilą o Piętaszku, Piętaszek mógł myśleć o nim. Mógł sądzić, że ów stary Benamuki ukrył przed białym człowiekiem prawdziwą wiarę i dlatego Robinson nic o nim nie wie. Początek tej lekcji nie był dobry. Robinson szukał jakiegoś wyjścia.

- A powiedz mi, Piętaszku, gdzie mieszka twój Benamuki?

- Benamuki mieszkać na wysokich górach. Tam słysząc, jak Karib mówić „O” do Benamuki.

- A ty byłeś w tych górach? Rozmawiałeś z Benamuki?

- Nie. Piętaszek nie rozmawiać z Benamuki. Z Benamuki rozmawiać tylko uwokaki. Oni potem schodzić z góry i mówić Karib, czego chce Benamuki.

Nowa zagadka! „Uwokaki” to byli, jak się Robinson domyślał, karaibscy kapłani. Utrzymywali swój naród w mniemaniu, że rozmawiają z bóstwem. Robinson już chciał to powiedzieć Piętaszkowi, ale ugryzł się w język. Przecież nie tylko karaibscy „uwokaki” uciekają się do takich sposobów! „Jakże trudno jest przekazać komuś własną wiarę!” - pomyślał.

Rozmowa z prostodusznym chłopcem uświadomiła mu, ile w nim samym jest spraw nie rozstrzygniętych i nie wyjaśnionych do końca. Udał więc, że pilnie obserwuje morze. Przetarł nawet połą kaftana szklą perspektywy. Piętaszek bawił się z Friendem.

Przypływ morza dosięgnął właśnie brzegu, więc wstali i zeszli do Yorku. Tego dnia nie było już mowy o Bogu i Benamuki. Wieczorem Robinson zasiadł nad Biblią. Zrozumiał, że zbyt mało zajmował się dotychczas tymi sprawami, ażeby sprostac trudnej roli misjonarza. Do podjętego tematu powrócił dopiero po upływie kilku dni. Zaprowadził Piętaszka na brzeg, pokazał mu krzyż, który tam ongiś postawił, i zaczął mu opowiadać o Chrystusie. Indianin słuchał, nie przerywając ani jednym słowem. Twarz jego wyrażała skupienie, na czole pojawiła się bruzda znamionująca wytężoną uwagę. Słuchał słów Robinsona, jak dziecko słucha baśni opowiadanej przez matkę. Opowieść przemawiała silniej do jego wyobraźni niż argumenty, których Robinson próbował uprzednio. Ale chociaż po jakimś czasie chłopiec zaczął żegnać się znakiem krzyża, Robinson nigdy nie był pewny, czy jego uczeń nie modli się jednocześnie do swego Benamuki. Doszedł jednak do wniosku, że gdyby nawet tak było, Bóg wybaczyłby mu to w swej dobroćliwości. Serce Piętaszka było tak czyste i prawe jak serce dziecka.

Kiedy nadszedł czas żniw i zbioru owoców, wybrali się, jak zwykle, do doliny Wzgórz Melonowych.

Któregoś dnia, tropiąc postrzelonego kozła, zapędził się za nim aż na południowe wybrzeże.

Zwierzę padło wreszcie z upływu krwi w zaroślach otaczających plażę. Dzień był piękny, powietrze przejrzyste jak kryształ i nad nieruchomym morzem ujrzeli zarys owego lądu, który od dawna nie dawał Robinsonowi spokoju. Ląd ten, czy też wyspa, wyglądał tak, jakby wynurzył się przed nimi z głębi morza. Piętaszek stanął jak urzeczony tym widokiem. Nagle zerwał swoją kozią czapę z głowy i wyrzucił ją wysoko w powietrze, krzycząc:

- Robinson! Robinson! Tam widzieć mój kraj! Tam być moje plemię! O, radość! O, wesoło!

## WYPRAWA, KTÓRA NIE DOSZŁA DO SKUTKU

Przywykłem już - prawdę mówiąc - do myśli, że Piętaszek do mnie należy, nieomal tak samo jak Friend, Polly i Barnaba. Bo i cóż mogłoby nas rozdzielić? Nigdy też przez myśl mi nie przeszło, że drogi nasze mogłyby się rozejść w przeciwne strony. Człowiek nie zwykł przecież dopuszczać takich myśli, które są mu niemiłe.

Robinson wracał do Yorku z uczuciem zawodu i poniesionej klęski. Piętaszek tęsknił za swoim krajem!

Gdyby Robinson wiedział, że ten przeklęty łód na południu jest właśnie jego ojczyzną, nie zaprowadziłby go tam z pewnością. A teraz? Jasne było, że Piętaszek z nim nie zostanie. Ucieknie, jeśli tylko zdarzy się jakaś sposobność. Robinson przecież zrobiłby to samo. Gdyby ujrzał przed sobą nagle brzeg starej Anglii, żadna siła nie utrzymałaby go na wyspie. Wpław, na byle desce, na zrąbanym pniu drzewa, na skradzionej łodzi, jakimkolwiek sposobem...

Na skradzionej łodzi?... Czy za cenę powrotu do swoich Piętaszek odważyłby się zabrać mu łódź? Robinson wstydził się takich podejrzeń, ale wracały uparcie i nie dawały mu spokoju. Więc co zrobić? Schować ją czy zniszczyć? Zresztą w istocie rzeczy nie chodziło o łódź... Chodziło o to, żeby Piętaszek został. Dobrze, więc przypuśćmy, że jeśli zniszczy łódź, Piętaszek zostanie. I co dalej? Zrobi zeń niewolnika, więźnia, będzie go śledził na każdym kroku? Czy nie powinien raczej ułatwić mu powrotu? Powiedzieć: „Piętaszku, bierz łódź i wracaj do swoich...”.

Piętaszek szedł za Robinsonem, niosąc kosz pełen owoców. Przechodzili właśnie przez wzgórze. Friend nurkował w zaroślach, a ptaki uciekały przed nim z krzykiem i lamentem. W pewnej chwili wydało się Robinsonowi, że kroki Piętaszka ucichły. Obejrzał się. Indianin stał odwrócony i patrzył w kierunku swojej wyspy. Robinson poczuł skurcz serca. Zawrócił i przez chwilę stał tuż za Piętaszkiem. Wreszcie powziął decyzję.

- Słuchaj, Piętaszku - rzekł, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Czy w mojej łodzi można dostać się na twoją wyspę?

- Nie - odpowiedział ze smutkiem Piętaszek, jak gdyby przez cały czas o tym właśnie myślał. - Łódź Robinsona mała. Potrzeba dwie łodzie.

Robinson zrozumiał, o co mu chodzi. Potrzebna była łódź dwukrotnie większa. Odczuł pewną ulgę, ale pytał dalej:

- A prąd morski? Opowiadałem ci, że omal nie wyprowadził mnie na pełne morze...

- Prąd morski nie być straszny, Robinson. Znać tylko dobrze wiatr i miejsce, to płynąć bezpiecznie. Łodzie Wielki Karib płynąć z wyspy na wyspę i nie tonąć. Znać dobrze miejsce, gdzie płynąć.

- A ty znasz to miejsce? Piętaszek milcząco skinął głową.

- I chciałbyś wrócić do twojego kraju?

- Tak - odpowiedział Piętaszek bez chwili namysłu - ja być bardzo, bardzo, bardzo szczęśliwy wrócić do mój kraj.

„Nie pomyliłem się” - pomyślał Robinson. Powiedział jednak spokojnie:

- Więc wracaj. Zbudujemy wielką łódź, zabierzesz ją i wrócisz do swoich. Będziesz znowu dzikim człowiekiem i będziesz jadł ludzkie mięso.

Teraz już gorycz dyktowała Robinsonowi ostatnie słowa. Piętaszek spojrzał na niego z wyrzutem.

- Nie. Piętaszek nie jeść ludzkie mięso. Nie być dziki człowiek. Robinson uczyć moje plemię siać i zbierać jęczmień, uczyć zaprzęgać kozy, uczyć mnóstwo dobre rzeczy.

- Ja? Skądże ja, Piętaszku? Ja przecież zostaję tutaj.

Ale w oczach Piętaszka paliły się już znane Robinsonowi isierki radości.

- Nie, Robinson nie zostać! - wołał. - Robinson i Piętaszek zbudować wielka łódź i popłynąć razem. Szybko popłynąć do domu!

- Ależ oni mnie zjedzą, Piętaszku!

- Nie! Oni kochać Robinsona, uczyć się od Robinsona. Ja zrobić oni ciebie kochać!

Tak. Piętaszek chciał wracać. Był szczery i nie tail swoich myśli. Robinson zrozumiał, że nie ma prawa zatrzymać go przy sobie, ale słowa z trudem przechodziły mu przez wargi. Może dlatego to, co



chciał powiedzieć, wypadło nieco szorstko:

- Jedźże sobie do swoich, Piętaszku. Jedź, jeśli chcesz. Tylko mnie już do tego nie namawiaj. Ja zostanę i będę dalej czekał na moją skrzydlatą łódź. Tyle lat byłem sam, że w końcu przywykłem do tego. Piętaszek nagle sposepniał.

- Czemu Robinson gniewać się na Piętaszka? Co ja zrobić?

- Czyż gniewam się na ciebie, Piętaszku? Za co miałbym się gniewać?

- To czemu odsyłać Piętaszek do jego plemię? - zapytał niespodziewanie Indianin.

- Jak to? A czyż nie mówiłeś, że chcesz tam wrócić?

- Tak. Chcieć pójść obaj. Nie chcieć Piętaszek być tam, Robinson tutaj!

Cóż mu miał na to odpowiedzieć?...

Tymczasem Piętaszek wy dobył zza pasa nóż myśliwski i położył go na dłoni.

- Robinson wzięć nóż i zabić Piętaszek. Zabić natychmiast!

- Za co?

- Zabić Piętaszek, a nie wypędzać!

Robinson w odpowiedzi chwycił go mocno w ramiona.

Przez kilka następnych miesięcy nie wracali do tego tematu. Milczał Piętaszek i milczał także Robinson. Ale ziarenko niepokoju znowu zaczęło kiełkować.

„Czy przyjąć propozycję Piętaszka?” - rozmyślał Robinson. Gdyby chłopcu udało się spełnić przyrzeczenie i usposobić przychylnie wodzów plemienia, to kto wie, czy Karaibowie nie pomogliby mu dotrzeć do pierwszych osiedli białych ludzi? W swoich łodziach czuli się przecież na oceanie jak ryby! Wiedział, że docierali w nich aż do ujścia rzeki Orinoko. Stamtąd, mając broń i amunicję, można by próbować przedrzeć się przez kontynent do najbliższych osad hiszpańskich...

Nawet nie wiedząc kiedy, Robinson obmyślił cały plan działania. Któregoś dnia narysował na piasku łódź żaglową. Taką właśnie, o jakiej kiedyś marzył...

- No cóż. Piętaszku? Popłyniemy do twojego kraju?

Piętaszek najpierw zaniemówił z wrażenia, a potem zaczął krzyczeć, klaskać w ręce i tańczyć.

- Musimy zbudować taką łódź - objaśnił Robinson. - Kadłub wypalimy w drzewie. Trzeba, żeby była lekka i zwrotna. To jest ster. Łódź rusza nim jak ryba ogonem. A to jest maszt. I żagiel. Żagiel to właśnie skrzydła, w które dmucha wiatr...

Indianin przytrzymał ręką patyk, którym Robinson rysował na piasku szczegóły takielunku.

- Piętaszek znać taką łódź! Piętaszek widzieć taką łódź! Widzieć łódź z ogonem jak ryba i ze skrzydłem, w które dmucha wiatr!

Robinson uśmiechnął się, sądząc, że Piętaszek myśli o statkach, których budowę i sposób poruszania się już mu kiedyś wyjaśnił. Ale Indianin powtarzał uparcie:

- Nie! Piętaszek widzieć nie na piasku! Piętaszek widzieć na morzu. Sam widzieć! Taka łódź przybić do brzegu, gdzie być moje plemię!

- Opowiadali ci o tym starzy ludzie? - domyślał się Robinson. Piętaszek uradowany, że może czymś zadziwić swego przyjaciela, zaprzeczył gwałtownie:

- Nie! Piętaszek sam widzieć na własne oczy! Raz być wielka burza! Całe morze się gniewać!

Jedna noc gniewać się morze, druga noc gniewać się morze i trzecia noc także się gniewać, a kiedy przestać się gniewać, taka łódź leżeć na brzegu i biały człowiek!

Robinson cisnął patyk i chwycił Piętaszka za ramiona.

- Mów! Kiedy to było? Co się z nim stało? Coście z nim zrobili? Piętaszek delikatnie, ale stanowczo uwolnił się z uchwytu. Na piasku przed Robinsonem ułożył w jednym szeregu siedemnaście kamyczków.

- To biały człowiek - powiedział.

- Siedemnastu? Indianin skinął głową.

- Biały człowiek mieszkać i żyć z moje plemię. Oni być tam już cztery wielkie deszcze.

- Czemużeś mi nigdy o tym nie powiedział? Piętaszek wzruszył ramionami.

- Robinson nigdy Piętaszka nie pytać.

Cztery wielkie deszcze, to znaczy cztery lata. Od czterech lat żyje tam siedemnastu białych. Któż to

może być? Angliści? Hiszpanie? Portugalczycy? Zaraz, zaraz... Zamęt w myślach Robinsona powoli mijał. Cztery wielkie deszcze... Ileż to lat temu rozbiła się „Diana”? - Piętaszku, Piętaszku! - zdecydował gwałtownie. - Budujemy łódź!

Nazajutrz wybrali odpowiednie drzewo. Piętaszek przystąpił do pracy z widoczną znajomością rzeczy. Pod drzewem ułożył gładkie okrągłaki, tak że zwały się wprost na nie. Po tym pomoście łódź miała zsunąć się do wody. Pracowali szybko, a mimo to Robinson naglił, jakby się paliło. Ogniem i siekierami na przemian drążyli wnętrze kadłuba, ociosowali ciężki pień, brodząc po kolana w białych drzazgach i wiórach, aż z wolna zaczął przybierać kształt łodzi.

Stawali do pracy przed wschodem, a kończyli ją po zachodzie słońca. Polowali na zmianę i na zmianę odpoczywali. Po miesiącu wyglądali wprawdzie obaj jak dwa szkielety, ale łódź była gotowa. Czternaście dni trwało spuszczenie jej na wodę. Cał po cał upełza pod naciskiem ramion, aż wreszcie zakolysała się na pierwszej fali. Robinson i Piętaszek uczcili ten dzień wymyślną ucztą i długim odpoczynkiem.

Łódź była tak duża, że mogłaby z łatwością pomieścić dwudziestu wioślarzy. Ale też obliczono ją na solidny ładunek. Robinson postanowił zabrać żywność, kilka koszy jęczmienia na zasiew, część broni, prochu i amunicji. Na dziobie i na rufie miały stanąć dwa falkonety na wypadek starcia z dzikimi. Jeszcze tylko ożaglowanie... i kto wie, czy nie uda się opuścić wyspy przed nadejściem pory deszczowej?

Na maszt wybrał Robinson młodziutkie drzewo cedrowe, proste i smukłe. Podczas gdy Piętaszek zbijał pokład, Robinson zabrał się do steru i żagla. Urządzenia zabrane ze statku okazały się za ciężkie i najzupełniej nieprzydatne. Trzeba było na wzór tamtych zrobić nowe. A i z żaglem miał niemałe trudności... Dawno już nie zaglądał do stosów płótna zabranego z „Diany”. Jeśli mu było potrzebne, odcinał tyle, ile chciał, a reszta leżała nie ruszona. Teraz okazało się, że materiał zetlał wzdłuż złoża. Trzeba było wycinać i zszywać małe kawałki. Na koniec jednak niezdamny, trójkątny żagiel, z krótką reją u góry i dłuższą u dołu, stanął nad łodzią.

Wyposażenie łodzi zabrało im pełne dwa miesiące cennego czasu. Wszystkie obliczenia wzięły w łeb, gdyż całą porę suchą poświęcił Robinson nauce żeglarstwa i pracom w polu. Przezornie bowiem postanowił obsiać pola, a York, jak zwykle, zaopatrzyć w żywność. Tyle razy doznał już w życiu niestałości morza, tylekroć zawiodły go najlepsze statki, że tym razem nie myślał ryzykować.

Gdy Robinson po raz pierwszy wykręcił żagiel na wiatr i odbił od brzegu, Piętaszek nie mógł się nadziwić, że bez żadnego wysiłku łódź, posłuszna sterom i żaglowi, powiększa lub zmniejsza szybkość, skręca i wbrew największej fali zawraca w stronę lądu. Po kilkunastu lekcjach oswoił się jednak z osprzętem i sam już coraz zręczniejsz manewrował „skrzydlatą łodzią”. Jedynie budowy kompasu nie mógł zrozumieć i orientował się na morzu tylko według gwiazd i położenia słońca.

Przed nadejściem pory deszczowej zabezpieczyli łódź w wąskiej zatoce, a takielunek przenieśli do Yorku.

Okres deszczów minął jak zwykle na rozmowach, czytaniu Biblii i na pracach domowych. Rocznicę wylądowania obchodził Robinson tym razem jako święto pożegnania z wyspą. Był niemal przekonany, że nadszedł kres jego niewoli.

W połowie listopada podjęli przygotowania do wyprawy.

Oczekiwany dzień nadszedł wreszcie. Pogoda była dobra i zapowiadał się pomyślny wiatr.

Nazajutrz mieli podnieść kotwicę. Ostatni dzień na wyspie Robinson postanowił uczcić zółwią pieczenią.

Rano zauważył ślady w pobliżu Przylądka Ocalenia i posłał tam Piętaszka, ażeby wytropił i pojmał zwierzę. Indianin długo nie wracał. Robinson załadował na łódź dzbany ze świeżą wodą i kosze z owocami, obejrzał ster i żagiel, kiedy od strony lasu wypadł Piętaszek. Leciał, jakby mu się ziemia paliła pod stopami. Za nim Friend w długich skokach, bez jednego szczeknięcia. Robinson wyprostował się, zaniepokojony. Odstawił koszyk i czekał.

- O, Robinson! Nieszczęście! O, źle! O, nieszczęście!

Piętaszek, wyczerpany biegiem, osunął się na kolana. Jego skóra przybrała szary odcień, jak wtedy, kiedy uciekał przed pościgiem. Oczy miał wytrzeszczone, ustami łapał gwałtownie powietrze.

- Mówże, na Boga! Piętaszek wskazał ręką za siebie.

- Tam! - wykrztusił. - Tam! Jedna, dwie, trzy łodzie! Jedna, dwie, trzy! Przyjechać po Piętaszka! Oni mnie zabić i zjeść! Robinson!

Chłopak ze strachu zapomniał, że obaj byli w podobnym niebezpieczeństwie. Robinson podniósł go z ziemi i potrząsnął nim mocno.

- Uspokój się! Jeżeli zjedzą cię, zjedzą i mnie. Myślałem, że jesteś wojownikiem, a ty zachowujesz się jak dziecko albo tchórzliwy starzec z Małego Karibu. Milcz i uspokój się.

Porównanie ze znenawidzonym Małym Karibem poskutkowało. Piętaszek opanował się i zapytał już spokojniej:

- Co Robinson kazać robić Piętaszek?

- A potrafisz walczyć jak wojownik?

- Ja strzelać. Dużo strzelać i dobrze mierzyć. Ale tu przyjść za nimi bardzo duża moc Małych Karib.

- Niech przyjdą. Damy sobie z nimi radę. Zabieraj muszkiety z łodzi. Jeśli nie będziemy sobie mogli z nimi poradzić, wypłyniemy na morze. Nasza łódź jest szybsza niż ich czółna.

Pociągnęli po tęgim łyku mocnego rumu. Robinson naładował dwie fuzje myśliwskie, Piętaszek nabił muszkiety. Uzbrojeni wbiegli na szczyt wzgórza.

. Przez perspektywę widać było koczowisko i trzy łodzie leżące na brzegu. Dzicy zbierali chrust na ognisko. Było ich dwudziestu kilku, a w łodziach trzech więźniów. Tym razem wylądowali bliżej ujścia strumienia, w miejscu gdzie zarośla dotykały brzegu morza. Dzięki temu można ich było zająć od tyłu. Zbadawszy dokładnie teren przyszej walki, Robinson i Piętaszek zbiegli ze Wzgórza Nadziej, przeprawili się przez rzeczkę o milę powyżej ujścia i zawrócili w kierunku jej biegu. Im bliżej byli, tym ostrożniej posuwali się przez rzadkie zarośla. Kiedy wyszli na skraj lasu, Robinson w milczeniu wskazał Piętaszkowi górujące nad okolicą drzewo. Chłopak w lot pojął rozkaz i jak kot wspiął się po gładkim pniju. Po chwili równie szybko zsunął się w dół.

- Coś widział?

Piętaszkowi drżały wargi, ale patrzył śmiało na Robinsona.

- Oni już zabić jeden człowiek - powiedział. - Drugi leżeć związany na boku, a trzeciego wynosić z łodzi. Robinson! Ten, którego nieść z łodzi, to być brodaty biały człowiek. Tak jak Robinson. Przyjaciel Wielki Karib.

Nie było ani chwili do stracenia. Obiegnęli kępę drzew i wczolgali się na najwyższą wydmxę. Właśnie ludożercy rozwiązywali więzy białemu jeńcowi. Obok leżał na ziemi drewniany miecz rytualny, którym zwykli pozbawiać życia swe ofiary. Robinson zauważył jeszcze, że jeńiec spoglądał pogardliwie na swych prześladowców.

- Teraz, Piętaszku, rób to, co ja, i nie odchodź ani na krok. Złożyli się z muszkietów.

- Jesteś gotów?

Dwa wystrzały prawie jednocześnie rozdarły powietrze. Na chwilę dym okrył zarośla. Sięgnęli po zapasową broń i raz jeszcze wypalili w ciżbę stojącą przy ognisku. Rozległy się okrzyki bólu i przerażenia. Robinson rzucił Piętaszkowi dymiącą fuzję. Rozchylił zarośla. Dzikich ogarnęła panika. Biegali po wybrzeżu, krew plamiła piasek, a kilka ciał leżało nieruchomo przy ognisku. Niektórzy próbowali zepchnąć łodzie do wody. Piętaszek nabijał pośpiesznie broń.

- Naprzd! - zakomenderował Robinson.

Wypadli na otwartą przestrzeń. Robinson wskazał Piętaszkowi dwóch wojowników, którzy wsiadali do czółen, sam zaś popędził w stronę białego jeńca. Friend zabiegł drogę uciekającym.

Jeden po drugim odezwały się dwa muszkiety Piętaszka. Robinson dobył noża i przeciął więzy jeńca, uwalniając mu ręce i stopy. Zagadnął doń po angielsku i portugalsku, ale biały potrząsnął głową przecząco. Był tak osłabiony, że nie mógł stać o własnych siłach. Mówienie także przychodziło mu z trudnością. Zdołał wyszeptać tylko jedno słowo po łacinie:

- Christianus\*...

Robinson przytknął mu do ust flaszkę z rumem, rozglądając się jednocześnie za Piętaszkiem.

Karaibowie rozpierzchli się po krzakach.

- Z jakiego kraju jesteś? - zapytał, tym razem po hiszpańsku. Twarz jeńca rozpromieniła się.

- *Espaniol* - wyszeptał i zaczął dziękować *Robinsonowi* za ratunek.

- *Senior* - przerwał mu *Robinson*, przywołując na pomoc całą swoją mizerną znajomość języka hiszpańskiego. - *Później porozmawiamy! Teraz musisz walczyć! Jeżeli masz choć odrobinę sił, bierz te pistolety i, w razie potrzeby, pomagaj nam albo przynajmniej broń się sam!*

*Zaledwie Hiszpan poczuł broń w rękach, zerwał się i natarł na dzikich. Karaibowie, tak jak przypuszczał *Robinson*, otrząsnąwszy się z pierwszego strachu, próbowali przejść do natarcia. *Robinson* ciosem pałasza wytrącił najbliższemu łuk z dłoni. Tuż obok pojawił się *Piętaszek*. Topór w jego rękach zataczał lśniące kręgi. We dwóch rzucili się naprzód. Z boku doskoczył do nich *Friend*. Wilczur miał zakrwawioną mordę i rozżarte z wściekłości oczy. Natarli równocześnie.*

*Sytuacja była jednak groźna i kto wie, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie Hiszpan, który ujrawszy porzucony worek z kulami i muszkiety, nie tracąc czasu, począł je nabijać. W decydującym momencie, gdy *Robinson* usiłował ciosami szabli odeprzeć włącznie karaibskich wojowników, a *Piętaszek* walczył już tylko o to, żeby nowy atak nie rozdzielił go z *Robinsonem*, rozległy się muszkietowe wystrzały. To załamało Karaibów. Rzuciwszy broń, skoczyli ku łodziom. *Robinson*, *Piętaszek* i *Friend* dopadli ich jednak i zaledwie czterech zdążyło odbić od brzegu. Zanim znaleźli się w bezpiecznej odległości, jednego z nich dosięgła muszkietowa kula.*

*Piętaszek* rzucił się ku *Robinsonowi*, wskazując mu leżące czołna.

- *Piętaszek* ścigać *Mały Karib*! Jeśli nie złapać, *Mały Karib* wrócić na mnóstwo łodzi.

Nie było czasu do namysłu. *Robinson* wiedział, że *Piętaszek* ma rację. Trzej zbiegowie mogli im ściągnąć na kark całą flotyllę karaibską. Porwał nabitą fuzję i pistolety z rąk Hiszpana i wskoczył do pierwszej z brzegu łodzi. Potknął się jednak i upadł.

Na dnie leżał jeszcze jeden nieszczęśliwiec skrępowany tykiem. Był to Indianin. Leżał zwrócony twarzą w dół, tak jak go wrzucono do łodzi. Z poranionych więzami rąk i nóg płynęła krew.

*Robinson* przeciął tylko i wsączył omdlałemu w usta kilka kropel rumu. Mocny trunek przywrócił mu przytomność. Indianin zakrzuszył się, otworzył oczy i usiadł o własnych siłach. Był to stary już człowiek, włosy miał gęsto przyprószone siwizną. Jego oczy, osadzone głęboko w suchej, orlej twarzy, patrzyły na białego z tajoną obawą. *Robinson* starał się wytłumaczyć mu na migi, że jest wolny i nie potrzebuje się niczego obawiać, ale Indianin nie rozumiał go.

W tej chwili nadbiegł z wiosłami *Piętaszek*. Stał, popatrzył w twarz starego człowieka, krzyknął głośno i... rzucił mu się na szyję. Obejmował go, ścisnął, wreszcie twarzą przypadł do jego kolan. Stary człowiek pochylił się nad nim nisko... Kiedy spojrzeli na siebie po raz drugi, obaj mieli twarze mokre od łez. *Piętaszek* jednym skokiem śmignął z łodzi na brzeg i zaczął po swojemu szaleć z radości.

Wymachiwał rękami. Krzyczał, bił się po twarzy i po głowie, jakby chciał sprawdzić, czy nie śni, tańczył i śpiewał. Na próżno *Robinson* próbował przywołać go do opamiętania. Chłopak nie zwracał na niego uwagi.

Karaibska łódź z chwili na chwilę malała na morzu. Wkrótce zakryła ją mgła oddalenia. Na pościg było już za późno.

*Piętaszek* oprzytomniał wreszcie.

- *Robinson* gniewać się na *Piętaszek*. Dobrze, gniewać się! *Piętaszek* zapomnieć o *Mały Karib*.

*Piętaszek* zobaczyć ojciec i zapomnieć o cały świat. *Robinson!* To być ojciec *Piętaszka!*

*Robinson* spojrział na niego z uśmiechem. Nagle stanęła mu przed oczami siwa głowa pana *Kruzo*e i wydało mu się przez chwilę, że ciepła ręka dotknęła jego skroni. Odwrócił się, żeby *Piętaszek* nie zauważył, jak wilgotnieją mu oczy.

A *Piętaszek* znowu był w łodzi. Odsłonił pierś i tulił do niej głowę swego ojca, jak matka tuli głowę chorego dziecka. Mówił coś do starca w swoim śpiewnym języku, gładził go po włosach i rozcierał ślady więzów na jego rękach i nogach.

Nad horyzontem gromadziły się chmury. Zajęci walką, nie zauważyli nawet, że zbiera się na burzę.

Nadchodziła nieoczekiwanie. W ciągu całego dnia niebo było bez skazy.

„Jeśli huragan rozpęta się w porę - myślał *Robinson* - łódź karaibska pójdzie niechybnie na dno”.

Wtedy obok niego stanął *Piętaszek*. On także obserwował morze.

- *Robinson, twoja skrzydlata łódź stać na wodzie. Tam być proch i wszystko. Co robić?*

*Chłopak nie tracił głowy. Jak zwykle pamiętał o wszystkim.*

- *Wracamy do Yorku. Trzeba opróżnić łódź i zanieść wszystko do groty, zanim zerwie się wiatr.*

*Chodź, sprowadzimy tu białego człowieka.*

*Hiszpan, który na chwilę odzyskał siły i dzielnie sekundował im w walce, teraz omdlał znowu i musieli go zanieść do czółna na rękach. Piętaszek ułożył go obok ojca, zasiadł do wiosel i odbił od brzegu.*

*Przemknęli zręcznie wśród skał, minęli ujście strumienia i po kwadransie dobili do przystani w zatoce.*

*Jaskrawe błyskawice strzelały już pośród chmur, a z daleka, nad lasem, toczył się pomruk gromu.*

#### **NAPRZECIW NOWYM LOSOM**

*Byłem tedy władcą kraju, którego cała ludność (rzecz wielce osobliwa) z trzech tylko składała się poddanych. Osobliwość w tym się nadto kryła, że każdy z tych trzech poddanych odmienną wyznawał religię. Piętaszek był protestantem, ojciec Piętaszka - poganinem, Hiszpan zaś - katolikiem, papistą. Ale za to cały ten naród, co się chyba nigdy nie zdarza, gotów był oddać życie za jedno moje skinienie.*

*Na dziedzińcu przed Yorkiem płonęło ognisko. Wieczór był chłodny, jak zwykle po burzy trwającej bez mała dobę. Nad zębatym brzegiem lasu wędrował leniwie księżyc, zatrzymując się dłużej w koronach palm. Wyglądał jak wielka, srebrna ryba złapana w czarną, strzępiastą sieć.*

*Robinson poprawił się w swoim fotelu i z zadowoleniem pociągnął fajkę nabitą wonnym wirgińskim tytoniem. Na poręczy, tuż obok swego pana, przykucnęła papuga, pod jego stopami leżał Friend, błyskając białkami oczu. Na marynarskim kuferku przykrytym kozią skórą siedział Hiszpan z głową opartą na dłoni, wpatrzony w ogień. Naprzeciwko Piętaszek z ojcem, zatopieni w cichej rozmowie.*

*Na powitalną ucztę kazał Robinson zabić koziołka roczniaka. Wyborna potrawka z ryżem, zaprawiona przez Piętaszka jemu tylko znanymi korzeniami, bulgotała smakowicie w miedzianym kociołku.*

*Czekając na nią, sięgali do głębokiego kosza pełnego bananów, pomarańczy i ciężkich kiści winogron.*

*Piętaszek, uważny jak zawsze na każde spojrzenie Robinsona, podawał mu obrane owoce.*

*Przed chwilą toczyła się ogólna rozmowa. Indianin pełnił rolę tłumacza pomiędzy gośćmi a Robinsonem. Wywiązywał się z zadania doskonale. Nawet Hiszpan korzystać musiał z jego pomocy, władał bowiem językiem karaibskim, gdy tymczasem gospodarzowi brakowało często słów hiszpańskich.*

*Robinson w milczeniu palił fajkę, rozmyślając nad tym, co usłyszał od ojca Piętaszka. Rozmawiali o ucieczce trzech karaibskich wioślarzy. Stary Indianin, podobnie jak Robinson, sądził, że zbiegowie zginęli podczas burzy. To było najbardziej prawdopodobne. Mogło się jednak zdarzyć, że cudem dotarli do domu. To właśnie niepokoiło Robinsona. Ale ojciec Piętaszka nie podzielał jego obaw.*

- *Jeśli nawet dopłynęli cało - tłumaczył - odradzą wodzom wyprawę. Nazbyt byli przerażeni niespodziewanym hukiem i ogniem. Opowiedzą swoim ziomkom o złych duchach broniących tej wyspy i na tym skończy się wszystko.*

*Robinson, uspokojony, wystukał z fajki resztę tytoniu. Tak, stary Karaib miał słuszość. Sam Piętaszek słyszał zresztą, jak wołali, uciekając, że to demony przemawiają do nich grzmotem i ogniem. A burza, która ich zaskoczyła na morzu, musiała ich tylko utwierdzić w tym przekonaniu.*

*Wieczera była gotowa i Piętaszek napełnił gliniane miseczki. Robinson ze wzruszeniem patrzył, jak Indianin, prosząc go wzrokiem o zgodę, nakładał ojcu najlepsze kawałki mięsa. Jedli ze smakiem i w milczeniu. Hiszpan, który od czterech lat nie kosztował chleba, pochłaniał go, sięgając po każdą kromkę drżącymi rękami.*

*Po skończonym posiłku Piętaszek odprowadził ojca do namiotu, a Robinson i Hiszpan zasiedli wygodnie nad dzbanem czerwonego wina. Sporo tego trunku pozostało jeszcze z zapasów „Diany”. Musiał być wyborny, gdyż gość smakował długo każdy łyk, kiwając z uznaniem głową. Porozumiewali się dziwną mieszaniną języka portugalskiego i hiszpańskiego. Hiszpan pomagał sobie nadto łaciną, a Robinson gwarą żeglarską, znaną wszystkim obieżyświatom. Pokrótce opowiedział dzieje swego rozbicia i lat spędzonych na wyspie, obiecując, że dokładnie uczyni to nazajutrz, gdy pokaże gościowi swe posiadłości. Nie chciał się zbytnio rozwodzić, gdyż sam był ciekaw opowieści Hiszpana. Zakończywszy więc, napełnił mu kubek winem.*

- *A teraz, senior, chciałbym usłyszeć o twoich losach i losach twoich towarzyszy, których, jak wiem,*

jest siedemnastu na wyspie Wielkiego Karibu.

- Szesnastu - odpowiedział Hiszpan w zamyśleniu. - Ale najpierw racz, panie, przyjąć raz jeszcze wdzięczność dozgonną siedemnastego, który siedzi przed tobą i któremu ocaliłeś życie.

Sklonił głowę ruchem godnym hiszpańskiego szlachcica i podniósł w stronę Robinsona czarę wina.

- Piję zdrowie twoje jako pana tej wyspy. Racz rozporządzać moim życiem i zdrowiem według swej woli. Imię moje brzmi don Pedro Hernandez. Jestem kapitanem, a zarazem właścicielem statku, który rozbił się na tych wodach i poszedł na dno. Jak już mówiłem, nic nie wiem o „Dianie”, mój statek bowiem zwał się „Santa Lucia”. Płynąłem na nim z Rio de la Plata do Hawany z ładunkiem srebra i skóry. Na pokładzie miałem pięciu portugalskich żeglarzy, którzy rozbili się, zanim mnie spotkał ten sam los. Przeżyli po raz drugi rozbicie okrętu na moim pokładzie i przyplacili je życiem. Ja zaś, postradawszy mój statek, salwowałem się\* z szesnastoma towarzyszami na jednej ocalonej szalupie. Wszelką broń i żywność musieliśmy wyrzucić za burtę, gdyż łódź nasza była przeciążona ponad wszelkie granice. Ratując się wśród niezliczonych przygód i niebezpieczeństw wzburzonego morza, przybyliśmy, niemal na śmierć zagłodzeni, do krainy ludożerców. Przyjęto nas jednak przyjaźnie i tam właśnie pędzimy swój żywot, cierpiąc już nie z głodu, ale z braku wszystkiego, co Europejczykowi potrzebne jest do życia. Nie dziw się przeto i wybacz, że widok chleba i wina wprawia mnie w pomieszenie niegodne człowieka honoru. Robinson przerwał mu, objął go ramieniem i długo trwali w uścisku. Następnie dopełnili kubków. Opowieść Hiszpana potoczyła się dalej. O wyspie, o towarzyszach i o tym wreszcie, jak dostał się do niewoli i przywieziony na wyspę Robinsona, omal nie utracił życia.

Historia była prosta. Oto szczerp, który ich przyjął i ugościł, toczył zadawniony spór z sąsiadami. Z opowiadań Hiszpana wynikało bowiem, że łańcuch wysp i wysepek ciągnie się daleko na południe i zachód. Przed kilku dniami flotyła nieprzyjaciół przybiła do brzegów i wojownicy uderzyli na wieś w chwili, gdy ludność pracowała w polu. Kto żyw stanął do obrony. Hiszpanie również, aby walczyć o swoje życie i dzielić los gospodarzy.

Gdy Hernandez skończył opowieść, na długą chwilę zapadła cisza. Wreszcie Robinson przerwał milczenie:

- Powiedz mi jeszcze, waszmość, czy myśleliście o przyszłości i czy nie próbowaliście wydostać się z tego położenia? Hernandez uśmiechnął się gorzko.

- Jeśli pytasz, czyśmy myśleli o tym, to powiem ci, że o niczym innym myśleć ani mówić nie potrafimy. Ale cóż z tego! Brak nam narzędzi do budowy statków i brak nam broni. A gdybyśmy nawet zbudowali łódź karaibską, o co przecież nietrudno, nie przedostalibyśmy się nią poza siedziby naszych wrogów. Nie ma dla nas żadnej nadziei, gdyż statki przybywają tu chyba po to jedynie, aby pogrążyć się w morzu. Jest to bowiem krąg świata, gdzie nikt, jeśli nie zapędzi go burza, z dobrej woli nie skieruje żaglowca.

Zamilkli znowu. Robinson zastanawiał się teraz, czy może być zupełnie szczerzy z Hiszpanem. Ten zaś, zatopiwszy twarz w dłoniach, pogrążył się w swoich niewesołych myślach.

- A co by było, mości kapitanie - uśmiechnął się Robinson - gdybym tak przedstawił ci pewne propozycje, które mogłyby wyrwać ciebie i twoich towarzyszy z wygnania?

Hiszpan podniósł oczy pełne łez. Twarz jego wyrażała natężone oczekiwanie.

- Mam, jak widzisz - ciągnął Robinson - tyle wszystkiego dobra, że starczyłoby go także i dla was.

Mam również broń i proch, a narzędzia takie, że można by myśleć o zbudowaniu statku wspólnymi siłami.

- Bóg cię chyba zesłał na tę wyspę! - zawołał Hernandez. - Gotów jestem wypełnić wszelkie warunki i zdać się na twoje rozkazy razem z moimi ludźmi.

Robinson jednak nie wszystkie jeszcze karty wyłożył przed Hiszpanem.

- Rzecz w tym jednakże, senior, że waham się, czy to uczynić.

- Dlaczego?! - wykrzyknął Hiszpan. - Jakże to mam rozumieć?

- Powiem ci szczerze dlaczego i w zamian żądam szczerzej odpowiedzi. Oto jestem Anglikiem, wy zaś jesteście Hiszpanie. Ja jestem protestantem, wy zaś Rzym uznajecie i papieża. Wiesz, jaka dzieli nieprzyjaźń Anglików i Hiszpanów. Wiesz również dobrze, jaką nienawiść żywią do nas papiści. Otóż może

się zdarzyć, że pomagając wam, wydam się w wasze ręce. Was jest siedemnastu, nas dwóch - ja i Piętaszek. Jakiż użytek uczynicie z broni, którą dam wam ze swoich zasobów? Dalibóg, nie chciałbym być po tych dwunastu latach hiszpańskim jeńcem i wolę żyć, walcząc z ludożercami, niż - odzyskawszy wolność - utracić ją dzięki waszej Inkwizycji\*. Tyle ci mam do powiedzenia.

Hernandez pobladł i opuścił głowę. Kiedy ją podniósł, szlachetna duma rysowała się na jego obliczu.

- Uczynisz, jak zechcesz - powiedział. - Nie mogę spierać się z tobą, panie, ani zaprzeczyć twym słowom. Wiedz jednak, że nie zniósłbym ich, gdyby nie to, że winienem ci życie. To zaś i charakter mojego wobec ciebie długu niech ci będą dostateczną rękojmią, jeśli nie jest nią słowo szlachcica. Moi towarzysze zaś taki sam dług wezmą na siebie, jeśli ich wyprowadzisz z niewoli.

- Chcę ci wierzyć - rzekł na to Robinson. - Pamiętaj jednak, waćpan, że w Biblii nawet znaleźć możesz podobne przykłady. Przypomnij sobie synów Izraela, którzy zrazu cieszyli się, że zostali wybawieni z Egiptu, a zbuntowali się potem przeciw samemu Bogu, gdy im chleba zabrakło na pustyni... Tobie samemu wierzę. Ufam twojej szlachetności. Ale zważ, że nie znam twoich towarzyszy. Rzecz wyłożyłem tak szczerze, że nie możesz żywić do mnie urazy.

Hernandez zamyślił się na długą chwilę. Wreszcie uniósł twarz rozjaśnioną uśmiechem.

- Rozumiem, panie, twoje obawy - oświadczył. - Sam, być może, żywiłbym podobne, ale tyleśmy przecierpieli, że dziś już jedna dla nas religia i jeden naród - ludzie. Ułożymy warunki na piśmie. Ja pierwszy ci je zaprzysięgnę na Ewangelię świętą i na sakramenta. Mówiłeś o swojej łodzi. Wyruszę nią ze starym Indianinem i moi towarzysze przede mną i przed nim przysięgę moją powtórzą i ułożony przez nas dokument podpiszą. Pod tym warunkiem przywiozę ci ich na twoją wyspę. Czy zgadzasz się na to?

- Zgoda - odpowiedział Robinson bez wahania. - Wierzę ci i ufam, że mnie nie zawiedziesz.

Nazajutrz goście Robinsona zwiedzili York i całe gospodarstwo, obejrzeni broń, sprzęty i narzędzia. Ojciec Piętaszka śmiał się i klaskał w dłonie, wykrzykiwał słowa zachwytu i z podziwem spoglądał na syna. Hernandeza interesowały najbardziej przedmioty domowego użytku wykonane własnoręcznie przez Robinsona. Długo ważył w rękę pierwszy garnek wypalony przez rozbitka, próbował nici i igieł, oglądał kaganek, łopatkę z muszli, podziwiał mur, okólnik dla kóz, palisadę i wycięte w niej strzelnice.

- To, co u ciebie widziałem, mości Robinsonie - oświadczył na koniec - przynosi zaszczyt nie tylko tobie, ale całej społeczności ludzkiej. Jest bowiem żywym dowodem, ile dokonać może człowiek, mając za całe narzędzia rozum tylko i żelazną wolę. Obejrzałem tu tyle zadziwiających wynalazków, że tylko taki jak ja rozbitek może zdać sobie sprawę, czym są i jak świadczą o tobie. I wierz mi, że największym moim pragnieniem jest cieszyć się twoją przyjaźnią.

Hernandez i ojciec Piętaszka bawili już w Yorku blisko miesiąc, zanim siły ich okrzeły na tyle, by Hernandez i ojciec Piętaszka bawili już w Yorku blisko miesiąc, zanim siły ich okrzeły na tyle, by pomyśleć o nowej wyprawie. Po długiej naradzie z Robinsonem Hiszpan doszedł jednak do wniosku, że termin trzeba przesunąć.

- Proponuję ci, mości Robinsonie - rzekł - abyśmy wpieryw dokonali razem zbiorów. Przysposobimy też większe tereny pod zasiew i zaopatrzymy York tak, żeby ci starczyło wszystkiego dla dwudziestu ludzi.

- Przystaję, don Pedro - odpowiedział Robinson. - Nie tylko dlatego, że istotnie zapasy nasze stopniały ostatnio, ale ponieważ trudno mi się z wami rozstać. Zresztą trzeba nam także myśleć o zaopatrzeniu statku, który zbudujemy.

Kiedy zapadła decyzja, wzięli się we czwórkę do pracy, dzieląc ją sprawiedliwie i po bratersku. W ciągu miesiąca zaorali kozami kawał gruntu pod zasiew dwudziestu korcy jęczmienia. W wolnych chwilach Robinson z Hiszpanem rozpoczęli znakowanie drzew przeznaczonych na budowę statku. Szukali cedrów rosnących w pobliżu strumienia, by łatwo je było ściągnąć na wodę. Indianie zaś polowali, a nocami wędziło się pod Yorkiem mięsivo przeznaczone na zaopatrzenie statku.

Nadeszła pora owocobrania. Mieszkańcy Yorku przenieśli się do letniej altany. Urodzaj był w tym roku niezwykły. Robinson obliczał, że samych winogron po wysuszeniu będzie przynajmniej kilkanaście baryłek. Czas dopełniali wyplataniem koszy na zboże. W ten sposób zbiegło im sześć miesięcy i nawet się nie obejrzeni, jak nadszedł czas projektowanego wyjazdu. Ostatni dzień spędzili na sporządzaniu umowy.

*Robinson, ujęty postępowaniem Hiszpana, chciał już od niej odstąpić, ale Hernandez okazał się nieustępliwy.*

*Dziwaczna to była umowa. Pomyślana po angielsku przez Robinsona, zaprzysiężona w języku hiszpańskim przez Hernandeza, spisana została karaibskim pismem obrazkowym na plecionce z palmowych włókien. Słowa i pojęcia, na które w tym piśmie nie było odpowiednich znaków, zastąpione zostały z konieczności znakami umownymi. W ten sposób na przykład zamiast słów „święta Ewangelia” widniał znak krzyża, a zamiast imienia Robinson - głowa kozła z twarzą człowieka.*

*Treść była mniej więcej taka:*

*„Przysięgam na Ewangelię świętą i zbawienie mej duszy, iż przybywszy na Wyspę Robinsona, na jego łodzi przysłanej mi na ratunek, i korzystając z jego pomocy i mienia, nie będę działał na szkodę Robinsona Kruzoe, ale stać będę przy nim w każdej potrzebie, czasu pokoju czy wojny, posłuszny jego nakazom”.*

*Grubym nacięciem na słupie oznaczył Robinson datę zawarcia układu.*

*Nadszedł dzień odjazdu. O zachodzie słońca łódź, zaopatrzona obficie w żywność i słodką wodę, stanęła w zatoce pod Yorkiem, gotowa do drogi. Piętaszek wniósł na pokład dary przeznaczone dla szesnastu rozbitków: kosze z chlebem i baryłkę wina. Dał ognia z muszkietu, a Robinson wciągnął flagę na maszt. Był to skrawek zielonej materii, na której ojciec Piętaszka brunatnym wywarem z kory wyobraził nieco niezdarnie łeb brodatego kozła. Pomysł ku temu dał Robinson, chcąc uczcić Koziego Króla. Flagę wyspy salutował nagą szpadą don Pedro Hernandez.*

*Pożegnanie było proste. Robinson z Hiszpanem podali sobie dłonie i tylko Piętaszek długo trzymał w objęciach swego starego ojca. Z pierwszą falą odpływu podróżnicy weszli na pokład i podnieśli żagiel. Robinson zerwał z głowy swoją kozią czapę i na strzelbie uniósł ją do góry. Łódź leciała z wiatrem. Przez chwilę widać było jeszcze malejącą sylwetkę Hiszpana.*

*Słońce zapadło w morze i od łądu powiało chłodem. Robinson westchnął, zarzucił broń na ramię i zawrócił do Yorku. Na brzegu pozostał tylko Piętaszek. Stał wpatrzony w horyzont.*

**ZNOWU WALKA**

*Ilekroć wspominałem świat porzucony przed laty, tylekroć jawił mi się pięknym doprawdy obrazem. Z czasem zatęchły się bowiem szpetne jego barwy i to, co mi przykrość sprawiało, pozostały zaś jasne, szlachetne, dobrą tylko objęte pamięcią.*

*I nagle jakbym obaczył człowieka, który piękną odchyliwszy szatę, ukazuje przerażonym oczom pierś trądem stoczoną!*

*W gąszczu zielonej kukurydzy błyskały ostre maczety\*. Ciężkie, dojrzałe kolby spadały do podstawionych koszy, a na skraju polany piętrzył się coraz wyżej stos soczystych łądyg. Codziennie obciążony zaprzęg kozi przebiegał się wąskim traktem do Warowni Koziego Króla, gdyż York nie mógł już pomieścić zapasów. Robinson z Piętaszkiem bobrowali bez przerwy wśród zagonów, pragnąc dokończyć zbiorów, zanim pierwsza burza położy wszystko pokotem. Aby nie tracić czasu, żyli prawie wyłącznie suszonym mięsem, owocami i kozim mlekiem.*

*- Jak myśleć, Robinson? - dopytywał się Piętaszek, gdy wieczorem siadali przy ognisku. -*

*Skrzydłata łódź wrócić przed wielkim deszczem do Yorku czy zostać na wyspie Piętaszka?*

*- Myślę, Piętaszku, że mogliby wrócić, jeżeli wodzowie twojego plemienia zgodzą się na to.*

*- Ojciec Piętaszka mieć wielkie słowo u starszych i uwokaki. Oni zrobić tak, jak ojciec powiedziec.*

*Ojciec dobrze powiedziec i oni wszyscy zgodzić się natychmiast. Jeden, dwa, trzy dni płynąć i dopłynąć.*

*Jeden, dwa, trzy dni wracać i być tutaj. Skrzydłata łódź być w Yorku, zanim słońce iść spać w morze siedem razy!*

*Rozmowa ta toczyła się w sześć dni od chwili, gdy na łodzi podniesiono żagiel, i Robinson domyślał się, do czego prowadzi. Piętaszek chciał zostać w Yorku i czekać na powrót ojca.*

*- Myślę, że masz rację, mój drogi, ale zapominasz o tym, iż nazbyt będą znużeni, aby podejmować podróż powrotną przed porą deszczów. Nie jestem także pewien, czy nasze warunki zostaną przez tamtych szesnastu przyjęte. Nie wszyscy ludzie są przecież prawi i szlachetni jak don Pedro Hernandez...*

*- Białe ludzie zgodzić się na wszystko! - Piętaszek nie podzielał ani przez chwilę wątpliwości*



Robinsona. - Oni dostać łódź, dostać muszkiety, dostać mnóstwo jedzenia, dostać mnóstwo picia! Jak oni dostać to wszystko, to słuchać natychmiast i wracać! Łódź podnieść skrzydła, nastawić na wiatr i jeden, dwa, trzy dni być z powrotem!

Robinson nie odpowiedział. Indianin rozumował logicznie, ale po swojemu naiwnie jak dziecko. Nie znał białych i nie znał Hiszpanów. A nie darmo płynęła w nich przecież krew Corteza i jego towarzyszy. Byli chciwi, niesprawiedliwi, podstępni. Robinson, będąc Anglikiem, tak właśnie na nich patrzył. Dlatego obawiał się, że czeka go jeszcze jedno rozczarowanie, jeśli nawet w porywie pierwszego uniesienia podpiszą podyktowane warunki.

Oddał im łódź, a wraz z nią wydał im w ręce całą tajemnicę tej wyspy wraz z sobą samym. Co z tego w przyszłości wyniknie - nie wiedział.

W siedem dni maczety Piętaszka i Robinsona przedarli się aż na koniec kukurydzianego pola. Gdy zaś ósmego dnia dobili wreszcie do Yorku i Robinson zrzucił z ramion przepocony kaftan, postawił go na równe nogi okrzyk Piętaszka:

- Panie! Oni przyjechać! Oni być blisko! Wrócić przed wielkim deszczem!

Robinson wybiegł przed grotę. Drabina zwiślała już ze skalnej półki. Z najwyższego szczybla Piętaszek wymachiwał ku niemu rękoma.

- Robinson! Weź długie oko! Przez długie oko widzieć wszystko dokładnie!

Robinson skoczył po perspektywę i za chwilę był już na drabinie.

Wbiegł na półkę i razem podciągnęli ją wyżej. Popychając się, dopadli jednocześnie szczytu.

Owiała ich lekka mgła. Szaropertowe morze oblewało się właśnie rumieńcem wschodzącego słońca.

- Tam, Robinson! Tam skrzydlata łódź! Ojciec Piętaszka, don Pedro i białe ludzie!

Dostrzegł ją wreszcie. Szła pod trójkątnym żaglem wprost na Przylądek Ocalenia. Ostre bryzgi wody strzelały wysoko po obu stronach dziobu. Robinson zacisnął lunetę w garści.

To nie był Hernandez! Łódź zdawała się znacznie szersza i niżej osadzona na wodzie. Daremnie usiłował rozpoznać ludzi. Przez moment szukał flagi na maszcie. Nie było flagi!

Na Boga! Cóż to za łódź!

Luneta zatoczyła krąg wokół biegnącej łodzi i nagle znieruchomiała. O dwie i pół mili na północo - wschód stał na kotwicy duży statek kupiecki o zwiniętych żaglach. Kołysał się lekko na fali, a miedziane okucia burt połyskiwały we wschodzącym słońcu. Krzyk wyrwał się z zaciśniętych ust Robinsona. Ale nie na widok statku. Na najwyższym maszcie rozwijała się i związała na wietrze dobrze mu znana, czarna piracka bandera.

- Robinson - Piętaszek szarpał go za rękaw koszuli. - Robinson! Co widzieć przez długie oko? Co widzieć?

Robinson nie odpowiadał. Nie mógł wydobyć słowa ze ściśniętej krtani. Ogarnął go zamęt sprzecznych uczuć. Statek był najwidoczniej angielski. Angielski trójmasztowiec! Charakterystyczne pochylenie masztów, płaski, wysunięty dziób i wysoko spiętrzona rufa! Raz jeszcze przesunął lunetę na łódź i cofnął ją w kierunku statku. Znał takie łodzie. Głęboko zanurzały się w wodzie, ale potrafiły oprzeć się każdej fali. Widywał je w Hull, w Yarmouth i na Tamizie. Łódź także była angielska. Tylko ta czarna bandera na maszcie...

Gwałtownie szukał rozwiązania zagadki.

Co sprowadza angielski żaglowiec na te morza, tak odległe od uczęszczanych szlaków handlowych?

Co znaczy piracka flaga na głównym maszcie?

Po co szalupa płynie do brzegu?

Tyle lat czekał na taką chwilę, tyle lat daremnie wypatrywał żagli, tyle lat bronił się przed zwątpieniem, a teraz także to miało być spotkanie z rodakami? Nie! Lepiej po stokroć nadal żyć tak jak dotychczas, aniżeli wpaść w ręce opryszków i morderców, choćby to mieli być Anglicy!

Czas naglił. Łódź zatoczyła koło i zwolniła biegu. Przemykała teraz wzdłuż wybrzeża, zręcznie manewrując wśród skał. Załoga szukała jakiejś dogodnej do lądowania zatoczki albo ujścia rzeki. Na dziobie stał z dłońią u czoła barczysty majtek w rozchełstanej na piersiach koszuli. Po rudym zaroście

można było domyślać się w nim Irlandczyka. Robinson zmartwił. Jeszcze chwila, a żeglarze zobaczą ujście strumienia i wylądują mu pod progiem Yorku. Ale Irlandczyk obrócił się do swoich, krzyknął coś i łódź zawróciła zgrabnie, wybijając dziobem fontannę piany. Płynęli teraz wprost na piaszczystą wydmy u brzegów Przylądka Ocalenia. Ruch na pokładzie łodzi zdawał się wskazywać na to, że postanowili lądować. Żagiel opadł i z obu burt wysunęły się wiosła.

- Będą teraz szukać wody - szepnął Robinson do Piętaszka. - Z pewnością zabrakło im słodkiej wody. To są Anglicy, Piętaszku, ale źli Anglicy. Bóg jeden wie, co nas może spotkać. Najbliższe źródło jest w Koziej Dolince, a stamtąd widać York...

W tej chwili Piętaszek chwycił go za ramię.

- Robinson! W łodzi być jeden, dwa, trzy ludzie ze sznurem na rękach.

Robinson wychylił się gwałtownie przez skalną szczyrbę.

Łódź dobiła do plaży i wryła się w piasek. Pierwszy wyskoczył na brzeg Irlandczyk. Za nim, rzucając wiosła, czterej inni. Jeden z nich, mały człowieczek o szczurzej twarzy, wyprowadził na ląd trzech jeńców związanych powrozami. Obchodził się z nimi brutalnie, nie szczędząc im nawet kopniaków.

Jeńcy różnili się wyglądem od swych prześladowców. Jeden był w oficerskim, chociaż podartym kolecie\*. Drugi w spodniach tylko i koszuli; na nogach miał ciżmy z cienkiej skóry, ozdobione srebrnymi klamrami. Mógł to być równie dobrze kupiec, jak i oficer kupieckiego statku. Trzeci wyglądał na okrętowego cyrulika. Dwaj pierwsi zachowywali się z godnością i spokojnie, choć na twarzach ich malowało się przygnębienie. Tylko „cyrulik” gwałtownymi gestami okazywał swą rozpacz i błagał o coś rudobrodego majtka, aż ten, zniecierpliwiony, wyrwał z pasa nóż i zaczął nim jeńcowi wygrażać.

- Robinson! - zawołał zdumiony Piętaszek. - Patrz! Anglicy jeść jeńców tak jak dzicy ludzie! Wozić na wyspę, zabijać nożem i jeść!

- Nieprawda, Piętaszku. Anglicy jeńców nie jedzą.

Nic innego Robinson nie zdołał odpowiedzieć. Ogarnął go wstyd za rodaków i przerażenie, że za chwilę będzie świadkiem egzekucji, której przyczyn łatwo się było domyślić, skoro statek pływał pod piracką flagą. Jakże gorąco pragnął mieć w tej chwili przy sobie Hiszpana i starego Indianina! We czwórkę mogliby jeszcze ważyć się na atak i podjąć próbę odbicia jeńców. Dla niego i dla Piętaszka, nawet przy użyciu broni, było to niebezpieczne zadanie. Dziewięciu białych zbójów, a w zapleczu cały statek z załogą to znacznie większa siła niż trzydziestu dzikich, którzy uciekają w popłochu za pierwszym wystrzałem. Mimo to jednak Robinson rozważał wszystkie możliwości.

- Robinson! - Piętaszek ciągnął go za rękaw. - Robinson! Co Robinson kazać, Piętaszek od razu zrobić.

- Nabijaj muszkiety!

Indianin skoczył do drabiny i po chwili znikł za zbroczem.

Piraci zostawili jeńców na skraju wąwozu, sami zaś, nawołując się i pokrzykując, poszli dalej całą gromadą. W łodzi zostali tylko dwaj ludzie. Przez długą chwilę borykali się z szalupą, którą przyплыł spychał w głąb lądu, po czym jeden, ziewając, zabrał się do wiązania żagla, drugi zaś ułożył się do snu na dnie łodzi.

Robinson postanowił odczekać, śledząc, jak potoczą się wypadki. Przeszedł na drugą stronę wzgórza, skąd widać było lepiej wejście do wąwozu. Jeńcy siedzieli pod drzewem. Wyglądali na ludzi, którzy stracili już wszelką nadzieję. Nie odzywali się do siebie ani słowem, „cyrulik” tylko rozglądał się dokoła w najwyższym przerażeniu.

W ciągu godziny nic się nie zmieniło. Wrócił tylko Piętaszek i położył koło Robinsona nabitą broń.

Zbliżał się odpływ morza, wiatr zmienił kierunek i niósł teraz aż ku nim wołanie pohukujących w lesie marynarzy. Badali widocznie okolicę albo szukali wody.

Robinson na to tylko czekał. Kiedy fala odpływu obmyła wybrzeże, skinął na towarzysza i razem zbiegli na dół. Wiedział, że ma przed sobą dziesięć godzin, w ciągu których piraci nie wydobędą się z wyspy, a statek nie będzie mógł udzielić im pomocy. Wpadli w pułapkę, nie wiedząc, tak jak i on niegdyś nie wiedział, czym jest przyplływ i odpływ morza na tej szerokości. Banda nie najlepiej też była uzbrojona. Tylko Irlandczyk miał pistolet za pasem, a człowiek o twarzy szczura - strzelbę. Inni - jedynie noże i krzywe

szable mauretańskie.

Szybko i w milczeniu Robinson i Piętaszek sposobili się do walki. W ciągu kilku minut obaj byli gotowi. Robinson w swoim kaftanie i czapie z kozich skór, z szablą u boku i z pistoletami w dłoni, pierwszy wskoczył na sznurową drabinkę. Za nim Indianin z trzema muszkietami i Friend. Ponad Kozią Dolinką przedostali się boczną ścieżyną do lasu.

Przodem biegł wilczur sprężystym, długim krokiem, jak zwykle, gdy wietrzył niebezpieczeństwo.

Obeszli Przylądek Ocalenia i podczołgali się na wysokie wydmy, mając za sobą urwisty brzeg i morze, a przed sobą rozległy widok na plażę, wejście do jaru i krawędź lasu.

Wokół szalupy panował spokój. Łaziły tam, jak zwykle, głuptaki, wydziobując z wyrzuconych na brzeg wodorostów drobne ślimaczki i rybią ikrę. Jeden przysiadł nawet na burcie i tkwił tam nieruchomo, wpatrzony w śpiących na dnie łodzi majtków.

Robinson podniósł kamyczek i cisnął nim z całej siły. Ptak zerwał się do lotu, a łopot skrzydeł obudził śpiących. Zerwali się na równe nogi. Widząc, że przespali odpływ morza i łódź ugrzęzła w piasku, zaczęli kląć i nawoływać towarzyszy. Teraz już nie było wątpliwości. Byli to Anglicy, tak jak Robinson przypuszczał.

Po chwili na skraju lasu ukazał się Irlandczyk, a za nim człowieczek o twarzy szczura, obładowany bananami i orzechami kokosowymi.

- Zaryła się w piasku jak kret! Nie można jej ruszyć! Pomoglibyście, zamiast łazić po tym przeklętym lesie! - zawołał do nich jeden ze strażników łodzi, usiłując zepchnąć szalupę na podłożone pod dziób wiosła. Człowieczek o szczerzej twarzy odpowiedział mu przekleństwem, a Irlandczyk wybuchnął śmiechem.

- Patrzaj, Thomas! Morze uciekło im spod nóg! Widocznie brzydzi się wami - i słusznie! W każdym z was tkwi kawał lądowego szczura! Zostawcie tę szalupę w spokoju, bo połamięcie wiosła! Tony, słyszysz? Rzuć wiosła, powiadam! Popłynie bez twojej pomocy z najbliższym przypiływem! Chodź, Thomas, niech się grzebią w piachu. Widziałem tam cały las bananów!

Zbliżało się południe. Słoneczny żar obezwładniał i mącił myśli. Nawet głuptaki wyniosły się z plaży, szukając schronienia w cieniu zarośli. Umiłły także okrzyki bobrującej w lesie gromady. Robinson domyślił się, że znużeni błędzeniem wśród drzew majtkowie znaleźli sobie cieniste kryjówki i ułożyli się do snu. O tej porze dnia sen spadał na człowieka jak omdlenie. Koło szalupy też zapadła cisza. Dwaj strażnicy zbudowali nad pokładem daszek z marynarskich płaszczy zawieszonych na wiosłach. Rozlegało się stamtąd potężne chrapanie.

Nadeszła pora działania. Robinson wstał i rozprostował kości. We trójkę ostrożnie obeszli lasem wąwóz. Piętaszek z Friendem zostali na górze, a Robinson zsunął się w dół pod drzewo, za którym siedzieli, drzemiąc, trzej związani jeńcy. Szelest chrustu obudził człowieka w oficerskim kolecie. Otworzył oczy i wzdrygnął się, widząc przed sobą straszną postać odzianą w kozie skóry. Robinson uciszył go gestem dłoni.

- Nie lękajcie się. Niosę wam pomoc i ratunek.

Poprawna angielszczyzna w ustach tego człowieka o ogorzalej twarzy i dzikim zaroście musiała zrobić na jeńcach olbrzymie wrażenie, gdyż milcząc, patrzyli na niego oczami rozszerzonymi ze zdumienia.

- Czasu mamy niewiele i każda chwila ma wartość życia albo śmierci - Robinson mówił z uśmiechem, bawiąc się kurkiem swej strzelby. - Kim jesteście i jaka przygoda sprowadza was na moją wyspę?

Pierwszy oprzytomniał mężczyzna w oficerskim kolecie.

- Wybacz nam nasze pomieszenie i okazaną nieufność. Sądziliśmy, że wyspa jest bezludna i że w naszym położeniu wszelka ludzka pomoc jest już niemożliwa...

- A jednak stoi przed wami człowiek, i do tego Anglik, który gotów jest pośpieszyć wam z pomocą - przerwał mu Robinson. - Gdyby Bóg zesłał waszmości anioła ku pocieszeniu i pomocy, ten przyszedłby zapewne piękniej odziany i z utrefionymi włosami. Nie traćmy zatem czasu. Mówcie, co was spotkało. Teraz przemówili wszyscy. Urywającymi zdaniem, bezładnie, zaczęli opowiadać o swojej przygodzie.

- Jestem kapitanem trójmasztowca, który stoi na wodach otaczających tę wyspę - usiłował

uporządkować wszystkie głosy mężczyzna w kolecie. - Nazywam się Towker. Philip Towker. Załoga podniosła bunt i wywiesiła piracką banderę. Ledwie ktoś odwiódł ich od morderstwa, którego chciano dokonać na mnie, na moim towarzyszu - tu wskazał na człowieka w ciżmach ze srebrnymi sprzączkami - i na tym oto podróżnym, który na moim pokładzie płynął z Europy do Brazylii.

Robinson skinął głową. Znając morskie obyczaje, domyślał się już końca opowieści.

- Zamiast tedy zabić - ciągnął kapitan - postanowiono wysadzić nas na brzeg w tym pustkowiu.

Czekaliśmy już śmierci głodowej lub od kłów dzikich zwierząt, mniemając, że to okolica nie zamieszкана przez ludzi.

- Tymczasem Bóg zrzędził inaczej - dokończył Robinson.

Dobyl noża i przeciął krępujące ich więzy. Opowiadanie potwierdziło jego przypuszczenia. Gwizdnął cichutko i do nóg przypadł mu Friend, a w sekundę potem tuż obok stanął Piętaszek.

- Nazywam się Robinson Kruzoe, mości panowie. Znajdujecie się na mojej wyspie, na którą przed wielu laty wyrzuciło mnie morze z rozbitego statku. To zaś jest Piętaszek, mój druh serdeczny. Frienda - dodał, wskazując na psa - nie potrzebuję wam rekomendować. Winni mi jesteście posłuszeństwo, jeśli chcecie swe głowy wynieść cało z tej przygody.

Skoczyli, aby mu dziękować, ale powstrzymał ich ruchem ręki.

- Nie traćmy czasu na próżno. Rzecz w tym jednakże, abyśmy nie tylko życie, ale i statek wasz mogli odzyskać.

Twarz angielskiego kapitana zmierzchła i okryła się smutkiem.

- Statek jest w rękach buntowników, mości Robinsonie. Dwudziestu sześciu ludzi upojonych zwycięstwem nie odda go bez przelewu krwi i nie wiem, czy możemy mierzyć się z nimi nawet przy twojej pomocy.

- Nadejdzie pora, że i o tym pomyślimy - odparł Robinson. - Nie czas teraz na wróżby, skoro bliższe niebezpieczeństwo stoi przed nami. Stawiam jednak warunki.

- Cokolwiek zechcesz!

- Posłuchajcie wprzód! Pierwszy: dopóki będziecie na wyspie, która jest moją wyspą, nie będziecie rościć sobie żadnych praw do zwierzchnictwa, będziecie podlegać moim rozkazom, a jeżeli dam wam broń do ręki, to zawsze, skoro tylko zażądam, oddacie mi ją bez sprzeciwu. Drugi: jeśli odzyskacie statek, przewiezicie mnie i mój dobytek do Anglii, nie biorąc za to żadnej opłaty przed wejściem na pokład ani po zejściu z niego.

- Mości Robinsonie! - zawołał kapitan. - Nie krzywdź nas, stawiając jakiegokolwiek warunki. Winniśmy ci życie i możesz nami rozporządzać według twojej woli. Co się zaś tyczy statku, jeśli uda nam się go odzyskać, wówczas nie ja, lecz ty na nim będziesz wydawał rozkazy!

Robinson skinął głową i rozdał muszkiety. Obaj z Piętaszkiem zatrzymali strzelby. Śpiesznie podzielili amunicję. Niepokój okazywany przez Frienda był dlań sygnałem, że rozmów nie należy przeciągać.

- Jaką broń ma załoga szalupy? - zapytał. Kapitan spojrział na swego oficera.

- Przy sobie mają tylko noże i pałasze.

- O'Kenny ma pistolet - dorzucił oficer.

- Tak. Jedynie O'Kenny. To jeden z przywódców buntu - wyjaśnił kapitan.

- I dwie strzelby, które zabrali ze sobą ze statku - dodał oficer. - Te strzelby są w szalupie.

- A zatem zaczniemy od łodzi! - zdecydował Robinson. - Odetniemy buntownikom drogę powrotu i pozbawimy ich broni palnej.

Do brzegów było zaledwie kilkaset jardów. Ruszyli biegiem i wpadli na śpiących zniecała.

Marynarze byli tak przerażeni, że nie próbowali się nawet bronić. W ciągu kilku minut odprowadzono ich na bok i przywiązano do drzew. Wszystko odbyło się bez jednego wystrzału i bez jednego zbędnego okrzyku.

Piętaszek zarzucił zdobytą broń na ramię i wybił toporem z dna szalupy kilka desek, by uniemożliwić ściągnięcie jej na wodę. Wiosła, żagiel i ster zawlekli w krzaki. Łódź była już teraz bezużytecznym wrakiem.

- Ilu ich jeszcze zostało? - zapytał Robinson.

- Na wyspie siedmiu - brzmiała odpowiedź.

- Radzę dać ognia, póki jeszcze śpią, a jeśliby który uszedł cało po pierwszym strzale i gdyby prosił o łaskę, można mu darować życie.

- Wstrzymajmy się jeszcze, mości Robinsonie - zaproponował kapitan. - Nie wszyscy bowiem zasługują na jednakie traktowanie. Są wśród nich i tacy, których wciągnięto do spisku siłą i w ostatniej chwili. Tych, jeśli się zgodzisz, chciałbym jednak oszczędzić. Dwaj natomiast to niepoprawne lotry, oni właśnie podżegali do buntu załogę.

- O'Kenny i Thompson - dorzucił oficer. Kapitan potwierdził skinieniem głowy.

- Tak. O'Kenny i Thompson. Jeśli oni zbiegną, nic z naszych starań i trudów. Sprowadzą nam na kark całą załogę.

Robinson domyślił się, że chodzi o Irlandczyka i o człowieka z twarzą szczura. Na pytania jednak nie było czasu, gdyż właśnie doszli do zakrętu, gdzie w cieniu wysokich paproci spało siedmiu majtków. Dwaj przecierali właśnie oczy. Po chwili wstali i ruszyli wążozem w stronę szalupy. Robinson cofnął się w krzaki. Friend drżał z podniecenia, ale dłoń Piętaszka trzymała obrożę.

- Czy to są przywódcy buntu? - zapytał Robinson kapitana.

- Nie - brzmiała rzucona szeptem odpowiedź.

- Niechże więc ujdą cało. Ale jeżeli reszta ucieknie, będzie to już tylko nasza wina.

Zamilkli, gdyż dwaj majtkowie przechodzili właśnie tuż obok zasadzki, kołysząc się w biodrach jak ludzie morza przywykli do desek pokładu. Robinson odprowadził ich uważnym spojrzeniem.

- No, kapitanie! - na jego twarzy malowała się stanowcza decyzja.

Zanim podniosą krzyk na widok uszkodzonej łodzi, musimy resztę mieć w ręku. Na co czekacie? Skoczyli z bronią pochyloną do strzału. Wążóz był ciasny, mieścili się w nim tylko we trzech, więc Robinson z Piętaszkiem zostali w odwodzie. Piętaszek sceptycznie kręcił głową.

- Dwóch puścić i nie strzelać. Dwóch przywiązać żywych do drzewa. Czterech żywych ludzi mieć teraz za plecami. To bardzo niedobrze.

Miał słuszość. Ten błąd mógł się jeszcze zemścić.

Kroki biegnących i szcęk broni obudziły ze snu marynarzy. Pierwszy zerwał się człowiek z twarzą szczura. Jego krzyk postawił na nogi rudego Irlandczyka i resztę. Porwali się z ziemi, ale w tej samej chwili trzy muszkiety plunęły im ogniem w oczy. Dwa strzały były celne. Człowiek z twarzą szczura runął bez jęku. Irlandczyk upadł i potoczył się na bok. Usiłował jeszcze wstać, ale krew rzuciła mu się ustami. Podróżny chybił i zranił tylko trzeciego buntownika, ale zanim ten zdołał sięgnąć po nóż, kapitan powalił go kolbą swego muszkietu. Pozostali rzucili się na kolana i zaczęli błagać o łaskę.

Na odgłos strzałów nadbiegli dwaj majtkowie, których Robinson przepuścił wolno. Ujrawszy jednak lufy strzelb, rzucili szable i podnieśli ręce na znak poddania. Piętaszek związał ich w mgnieniu oka, a Robinson odciągnął Frienda, który zdążył już rozplatać jeńcom kaftany.

Zwycięstwo było całkowite - role się zmieniły. Przyprowadzono dwóch strażników łodzi i oto sześciu buntowników stało teraz przed kapitanem, który z pokonanego przedzierzgnął się w zwycięzcę. Widząc dookoła broń wymierzoną do strzału i wiedząc, co ich czeka według praw morskich, majtkowie zaczęli błagać o łaskę.

Kapitan spojrział na Robinsona. Od niego teraz zależała decyzja i marynarze pobledli ze strachu.

Widok człowieka w kozich skórkach, który pojawił się na ich drodze, jak zesłany z innej planety, odebrał im resztę odwagi. Robinson postanowił wykorzystać sytuację.

- Błagacie o litość - zadzwiał - jak niesforne szczenięta, którym grozi kara!

Lufa jego strzelby przesuwiała się z twarzy na twarz...

- Ale wyście sami jej nie mieli. Nie mieliście litości ani sumienia! Wiedźcie więc, że szatan, któremu służycie, przywiódł was na tę wyspę po to tylko, żeby wam ułatwić drogę do piekła!

- Litości! - zawołali pojmani, padając przed Robinsonem na kolana.

- Nie wiedzieliśmy, co czynimy. O'Kenny nas zmusił do tego i Thompson! Kapitanie, racz się za nami wstawić! Darujcie nam życie! Przyrzekamy uczynić wszystko, czego od nas zażądacie!

- Ucisz ich! - zwrócił się Robinson do Piętaszka. - Nie znoszę lamentów!

Marynarze spojrzeli na Indianina i zamilkli. Piętaszek stał obok Robinsona ze zmarszczonym

czołem, trzymając za kark szarpiącego się Frienda.

- Jesteście na wyspie angielskiej, zwanej Wyspą Robinsona - ciągnął spokojnie Robinson. - O miłą stąd wznosi się York. Jest to siedziba gubernatora. Przed nią staną wkrótce wasze szubienice, jeśli nie naprawicie zła, któreście uczynili! Karząca ręka Anglii sięga bowiem aż tutaj i spoczęła już na waszych ramionach! Pojmano was na gorącym uczynku jako złodziei, zbrodniarzy i morderców! Jedno wam tylko mogę doradzić: gotujcie się na śmierć i proście Boga o odpuszczenie grzechów!

Odpowiedzią był zbiorowy lament i błaganie. Kapitan, który zrozumiał intencję tej oracji, zwrócił się teraz do Robinsona, udając wielką pokorę:

- Mości panie! Mniemam, że jakkolwiek wszyscy są winni, nie wszystkich powinniśmy karać jednak. Tego oto chłopaka O'Kenny pod groźbą użycia broni wciągnął do haniebnego spisku. Tamtego zmusił Thompson. Nigdy nie miałem powodów uważać go za złego człowieka. Pływam z nim od kilku lat i opróżniliśmy razem na morzu niejedną beczkę słodkiej wody.

- Jak chcesz, kapitanie - pochwycił Robinson. - Jeśli gotów jesteś poręczyć mi za nich słowem, mogę powstrzymać się z karą do czasu.

Ułaskawieni spojrzeli z wdzięcznością na kapitana. Robinson kazał przeciąć im więzy. Pozostali przyjęli to nowym wybuchem rozpacz. Ale Robinson nie miał zamiaru śpieszyć się ani też podejmować dalszych, zbyt pochopnych decyzji. Zasiał w ich sercach strach przed zasłużoną karą i gotów był czekać na plon tego zasiewu.

Najważniejszym z kolei zadaniem było umieszczenie więźniów w bezpiecznym miejscu. Takim zaś miejscem mogła być tylko Warownia Koziego Króla. W oczekiwaniu na powrót Hiszpanów usunięto z niej ostatnio broń i amunicję. Po namyśle więc Robinson tam właśnie wysłał jeńców pod opieką Piętaszka. Poszedł z nimi również podróżny, który miał już na miejscu objąć straż nad uwięzionymi i czekać na dalsze decyzje. Dwóch ułaskawionych buntowników zostawił Robinson w Koziej Dolince pod nadzorem Frienda. Wiedział, że wilczur raczej rozszarpie im gardła, niż pozwoli uciec. Zresztą nie zdradzali po temu ochoty i wydawało się, że istotnie uczynią wszystko, ażeby zmasać swą winę.

Siedziba Robinsona uczyniła na kapitana i jego pomocnika wielkie wrażenie. Przygotowując posiłek, Robinson opowiedział im, w jaki sposób i po ilu latach doszedł do tego wszystkiego. Słuchali tej opowieści jak nieprawdopodobnej bajki, rozglądając się bezustannie dokoła, jak gdyby szukali potwierdzenia we wszystkim, co ich otacza.

- Nie potrafię wyrazić mego podziwu, mości Robinsonie - powtarzał raz po raz kapitan.

Siadali właśnie do stołu, gdy nagle od strony morza odezwał się wystrzał armatni. Odsunęli miski i wybiegli.

- Tędy, na wzgórze! - wskazał drogę Robinson.

Po wodzie snuł się jeszcze dym, a na pokładzie statku panował wyraźny niepokój. Marynarze przystawali u burty, a tu i ówdzie krótki błysk słońca zdradzał szkła perspektyw, którymi lustrowali wybrzeże. Po chwili wypaliło drugie działo i na maszt wskoczyła kolorowa flaga.

- To sygnał dla łodzi, żeby natychmiast wracała - szepnęła oficer.

Minął kwadrans. Załoga statku stłoczyła się na śródokręciu. Z bocianiego gniazda połyskiwały uparcie szkła perspektyw. Wreszcie sygnałowa flaga opadła i z lewej burty obsuwać się zaczęła w morze duża szalupa ratunkowa wypełniona ludźmi. Ilu ich mogło być? Kapitan nie odrywał od oczu lunety. W szalupie połyskiwała broń.

#### ZDOBYCIE STATKU

Gdyby mi ktoś powiedział, że pierwszy ślad człowieka na wyspie napelni mnie przerażeniem miast radością - nazwałbym go głupcem. Gdyby mi ktoś powiedział, że na widok statku u brzegów mojej wyspy szykować będę falkonet - po trzykroć nazwałbym go kłamcą! A jednak... Los, jak szczywany gracz, wymieszał w kubku kości i cisnął je tak, jak nigdy bym się nie spodziewał.

Zatrzeszczały szczeble drabiny i nad krawędzią skały ukazała się głowa Piętaszka. Robinson wskazał mu łódź. Indianin błysnął w uśmiechu zębami i rzucił mu pod nogi worek prochu i lont przyniesiony z dołu.

- Robinson kazać, Piętaszek nabić natychmiast falkonet i łódź iść na dno jak kamień!

- Nie. Łódź nam będzie potrzebna. Którędy szedłeś?

- Przez Kozią Dolinkę.

- Widziałeś Frienda?

- Tak. Piętaszek widzieć. Friend siedzieć w Kozia Dolinka i pilnować dwa białe złe ludzie. Siedzieć i patrzeć im w oczy.

- Dobrze. Chodź tutaj i słuchaj.

Robinson zwrócił się do kapitana i jego pomocnika:

- Mamy nieco czasu, mości panowie, zanim szalupa dobije do brzegu. Musimy powziąć decyzję.

Przedstawię wam moje projekty.

Usiadł wygodnie i nabił fajkę. Oficerowie słuchali uważnie. Plan Robinsona był śmiały, Anglicy przyjęli go jednak bez sprzeciwu.

- Sam Odys\*, mości Robinsonie - zawołał kapitan, gdy wysłuchał wszystkiego do końca - nie wpadłby chyba na pomysł równie przebiegły! Teraz dopiero rozumiem, ku czemu zmierzała perora, jaką palnąłeś wziętym do niewoli majtkom! Na honor, zaczynam wierzyć, że odzyskamy nasz statek! Łódź była w połowie drogi. Dziesięciu uzbrojonych marynarzy energicznie napierało na wiosła.

- Śpieszno im - mruknął Robinson, podając kapitanowi lunetę.

- Chcą widocznie obrócić przed zachodem słońca - potwierdził Towker, podnosząc szkła do oczu. -

Już ich poznaję po twarzach, mości Robinsonie! - zawołał po chwili gorączkowo. - U steru stoi Atkins. Przy wiosłach Tomasz Smith, Willy Fry, Czarny Joe... widzę także bosmana! Ten jest najgorszy ze wszystkich! Dobrana zgraja! Oprócz trzech czy czterech, sami hultaje!

- Tak, łotry spod ciemnej gwiazdy i uzbrojeni po zęby - potwierdził pomocnik kapitana. - Obawiam się, że będą walczyć do upadłego. Zbyt dobrze znają swoją winę i karę, jaka mogłaby ich spotkać. Miejmy nadzieję, że podstęp waszmości nie zawiedzie nas, bo w przeciwnym razie...

- Nie poddawajmy się czarnym myślom - przerwał Robinson. - Ludzie w naszym położeniu nie mogą sobie pozwolić na obawę. Pewność zwycięstwa lepiej nam będzie służyć.

- Ba, gdybyż można mieć pewność, a tu i z nadzieją krucho... - szepnął oficer. - Mamy przeciw sobie jedenaście muszkietów. Jedenaście muszkietów i uzbrojony statek.

- To prawda - Robinson uśmiechnął się i potarł dłonią brodę. - Zważywszy jednak nasze położenie, winniśmy oczekiwać, iż jakkolwiek będzie wynik tej walki - czy życie, czy też śmierć nam ona przyniesie - w każdym wypadku da nam... wyzwolenie!

Roześmieli się wszyscy.

- Nie traćmy czasu, panowie. Tym bardziej jest on cenny, im bliższe niebezpieczeństwo. My zostajemy tutaj, z kapitanem Towkerem. Ty, Piętaszku, poprowadzisz pana oficera ponad Kozią Dolinkę w głąb lasu aż do Przylądka Ocalenia. Tam uczynicie to, co powiedziałem. Pójdziecie w stronę letniej altany i okręzną drogą wróćcie pod krzyż. O zmierzchu będziemy tam na was czekać. Miejcież tylko oczy i uszy otwarte. Gdyby się coś zmieniło i poszło nie po mojej myśli, dam wam znać wystrzałem z falkonetu. Idźcie zatem... Z Bogiem!

Oficer wyprężył się przed Robinsonem jak żołnierz przed dowódcą i zbiegł po drabinie w ślad za Piętaszkiem. Robinson i kapitan zostali sami na wzgórzu.

Szalupa weszła właśnie w zatokę i hałaśliwa czereda majtków wysypała się na brzeg. Skakali jeden przez drugiego wprost w płytką wodę, rzucając beładnie wiosła. Rozpychali się butnie, potrącali, klęli i wygrażali sobie pięściami. Dwaj ludzie usiłowali tam bezskutecznie wprowadzić jaki taki ład i porządek: krępy osiłek ze złotym kolczykiem w uchu i rosły, muskularny zbir z rzemiennym biczem w dłoni.

- Wyszli już z łodzi! Prowadzi ich Atkins i bosman! - Głos kapitana zdradzał nerwowe podniecenie. -

Niełatwe będziemy mieli zadanie, mości Robinsonie! To brudna piana zebrana ze wszystkich portów!

- Musieli zajrzeć do pańskich beczek z rumem, kapitanie! - zaśmiał się Robinson. - Gotów jestem dać głowę, że niewiele już tam dla nas zostało...

Banda wtargnęła w głąb plaży. Nagle zamilkli i stanęli jak wryci. Przed nimi leżał martwy wrak łodzi.

Ogołocony maszt, strzaskane dno, ślady na piasku, a wokół pustka wybrzeża - wszystko to zdawało się onieśmielać ich przez chwilę. Rozglądali się niepewnie, rozmawiali cicho i nad całą gromadą wyraźnie

zawisł strach. Pierwszy rozepchnął ich Atkins, ów człowiek ze złotym kolczykiem w uchu, w czarnej szmacie na głowie. Wrzeszczał coś, czego nie można było zrozumieć. Majtkowie rozbiegli się po plaży i zaczęli nawoływać towarzyszy. Bosman i dwaj inni ostrożnie przetrząsali skraj lasu. Wiatr niósł w stronę Wzgórza Nadziei ich pomieszane głosy i pohukiwania.

Robinson trącił łokciem kapitana. Wypadki zdawały się rozwijać tak, jak przewidywał.

Przeszukiwania nie dały oczywiście rezultatu. Atkins zebrał wszystkich w pobliżu łodzi. Po krótkiej naradzie ustawili się w szereg. Bosman machnął biczem i powietrze przeszła pistoletowa salwa.

Nasłuchiwali w milczeniu, dopóki nie przebrzmiała. Kiedy znowu otoczył ich szum drzew i łoskot fal, nabili broń i druga salwa okryła ich błękitnym dymem.

- Teraz można by na nich wypaść zniecka - szepnął kapitan - zanim nabiją broń. Tego nie wzięliśmy pod uwagę, Robinsonie.

Robinson wzruszył ramionami.

- Mają jeszcze muszkiety, mości kapitanie, i dam głowę, że są na wszystko przygotowani. Nie, zostańmy lepiej przy poprzednim planie. Patrzaj pan, tam wszystko rozgrywa się jak na teatrze...

Gromada znowu rozpełzła się po plaży. Salwa nie dała rezultatu.

Robinson uśmiechnął się do kapitana. Uwięzieni w Warowni buntownicy nie mogli jej przecież słyszeć, a ci, do których dotarła, nie ośmieliliby się na nią odpowiedzieć.

Łotr z biczem przynaglał swoich ludzi do pośpiechu. Znowu odezwały się wołania i jeszcze raz, jard po jardzie, przeszukano uważnie zarośla. Majtkowie, którzy wykonali już rozkazy bosmana, powoli schodzili na brzeg. Tam wokół Atkinsa toczyła się burzliwa sprzeczka. Nietrudno było odgadnąć, o co im chodzi. Jedni wskazywali bowiem w głąb wyspy, inni na zachodzące słońce. Wreszcie decyzja zapadła. Otoczyli swoją szalupę i zepchnęli ją na wodę.

- Wsiadają do łodzi, Robinsonie! - krzyknął kapitan. - Wszystko przepadło! Jeśli teraz odpłyną, więcej ich już nie zobaczymy! O zachodzie słońca mieli rozwinąć żagle!

- Tak czy owak, nie dopłyną do statku! - Robinson spokojnie rozkręcił lont i obrócił falkonet w stronę łodzi. Wyciorem przybił mocno ładunek. - Piętaszek z pomocnikiem waszmości powinni być lada chwila na miejscu. Nie rozumiem, dalibóg, dlaczego jeszcze ich nie ma?

Kapitan przygryzł wargi. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Obsada szalupy siedziała już przy wiosłach. O powodzeniu planu decydowały sekundy.

Robinson przytknął lont do zapalanej fajki. Iskra rozżarzyła się na bawełnianym sznurze i złotą żmijką popęzła w górę. Nasłuchiwał jeszcze i czekał ze wzrokiem wbitym w łódź kołyszącą się na fali.

Piętaszek miał dokładnie wytkniętą i obliczoną drogę. Cóż go mogło zatrzymać?

Wiosła załogi pograżyły się w wodzie. W tej samej chwili od strony lasu rozległo się przeciągłe wołanie:

- Aho - o - oj!

Robinson wybuchnął śmiechem. Odrzucił lont i przydeptał go nogą.

- Zdążyli!

- Aho - o - oj!

Na łodzi zapanowało poruszenie. Błyskały muszkiety i majtkowie skakali przez burty.

- Atkins wyskoczył na brzeg, mości Robinsonie! Rzucili kotwicę! Na Boga! Cała załoga wysiadła!

Patrz, patrz, Robinsonie - 'kapitan wtykał mu w rękę perspektywę.

W lesie odezwał się pojedynczy wystrzał.

Podział na przybyłą bandę jak smagnięcie batem. Siedmiu uzbrojonych w muszkiety ludzi, potracając się, biegło w stronę wydm. Atkins z bosmanem przynaglali ich do pośpiechu.

Z lasu znowu odezwało się wołanie. Tym razem jakby trochę dalej. Gromada zamarła na chwilę w bezruchu, a potem biegiem rzuciła się w las.

- Teraz pójda już coraz dalej - szepnął Robinson do kapitana. - Piętaszek poprowadzi ich ze wzgórza na wzgórze. I jeśli nawet domyślą się, że wpadli w zasadzkę, z tego lasu wyjścia nie znajdą. To jest ostatnia ich droga.

Perspektywa zatoczyła koło i wróciła do łodzi. Na brzegu zostali trzej wartownicy. Zebrali wiosła i



usiłowali wciągnąć szalupę na brzeg. Opodal leżały rzucone niedbale muszkiety.

- Patrzaj, waść! - roześmiał się Robinson. - Popelnili tę samą nieostrożność, co tamci. Idziemy na dół, kapitanie, sprawa jest na dobrej drodze.

Koło źródła w Koziej Dolince siedzieli, drzemiąc, dwaj jeńcy. Friend nie spuszczał z nich oka.

Zbudzili się natychmiast i widząc Robinsona z kapitanem, zerwali się z miejsca. Robinson przeciął im więzy.

- Jego ekscelencja gubernator tej wyspy - oświadczył im - zgodził się uwolnić was na prośbę waszego kapitana, jeżeli złożycie przysięgę na wierność i w walce z buntownikami naprawicie swoją winę.

- Jesteśmy gotowi wypełnić wszelkie rozkazy - odparł jeden z jeńców. - Służyliśmy wiernie w niejednym rejsie i nadal chcemy służyć. Kapitan wie, że to Atkins zmusił nas do zbrodni.

- Gdybyśmy mu odmówili, dzisiaj nie moglibyśmy wam dopomóc - dodał drugi, młody londyńczyk o piegowatej twarzy.

- Trzeba było wybrać raczej śmierć niż udział w spisku - przeciął surowo Robinson. - Obaczymy, jaki z was będzie pożytek.

Rzucił im dwie szable i pchnął naprzód. Wszyscy razem pobiegli w stronę wybrzeża.

Trzej wartownicy zabawiali się grą w kości. Z zarośli słychać było każde niemal słowo.

- Will Fry - szepnął kapitan do Robinsona, wskazując na ospowatego majtkę. - To jeden z najgroźniejszych drabów, jacy stąpali po ziemi. Tamci dwaj mało są ważni. Poszli jak owce za stadem. Will Fry spiskował od dawna.

W łodzi wybuchła nagle kłótnia. Jeden z majtków cisnął woreczek z kośćmi.

- Popatrz na słońce, ty głupcze! - krzyczał do ospowatego. - Za chwilę zapadnie noc, a tamtych nie ma! Prowadzicie nas wprost na szubienicę! Jeśli chcecie bawić się w piratów, dlaczego nas do tego zmuszacie? Niech mi kat świeci, jeśli nasz stary nie wyprowadził w pole Atkinsa i bosmana; Thompson już pewno ziemię gryzie! Zobaczysz, co będzie za godzinę!

Will Fry szarpnął się i sięgnął po nóż. Głos miał chrapliwy, a twarz skrzywioną wściekłym grymasem.

- Zapłacisz mi za to! Do stu tysięcy szatanów, zapłacisz za każde słowo! Dawno mówiłem Atkinsowi, że trzeba was powiesić na rei w pięknym sąsiedztwie z kapitanem! Nie chciał. Ale teraz przekona się, że miałem słuszość!

- Powoli, Fry! Nie łap tak żwawo za nóż! - warknął trzeci majtek. - Nie zapominaj, że nas jest dwóch, a ty sam jeden.

Błysnęło ostrze, ale w tej samej chwili gruchnął strzał i Will Fry złapał się za pierś. To kapitan, nie panując już nad gniewem, szarpnął za spust. Obaj z Robinsonem wypadli z krzaków. Zaskoczeni majtkowie nie próbowali nawet stawiać oporu. Twarze pobladły im straszliwie, gdy zobaczyli kapitana i dwóch swoich kamratów u jego boku. Usiłowali pierzchnąć, lecz widząc, że i na to już za późno, rzucili broń i padli na kolana.

Will Fry konał, miotając przekleństwa.

- Słyszałem wszystko, coście przed chwilą mówili - rzekł kapitan surowo, patrząc kłęczącym w oczy.

- Wydało mi się, że resztką uczciwości kołacze wam się jeszcze w piersiach. Tylko dlatego nie gryziecie ziemi razem z Willem Fryem, dla którego nie ma już łaski ani przebaczenia.

- Niech diabli porwą Willa Frya, Atkinsa i bosmana, kapitanie - wykrztusił starszy z majtków. - Mam żonę i dzieci w Winterton - Ness i chciałbym tam jeszcze wrócić. Przebacz nam, jeśli możesz, i rozkazuj.

- Dobrze. Będzie to dla was ostatnia i jedyna szansa.

Zachodzące słońce zatopiło wybrzeże w purpurowej łunie. Morze pociemniało, a z lasu powiało wilgocią. Oddziałek Robinsona, powiększony o dwóch ludzi, ruszył na umówione spotkanie pod krzyżem. Strach przed majestatem gubernatora wyspy jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki przemieniał niedoszłych piratów w obrońców ładu i prawa. Na brzegu pozostała druga łódź pozbawiona steru i ciał Willa Frya ukryte w krzakach.

Pod krzyżem czekał już Piętaszek i pomocnik kapitana. Odbyła się krótka, treściwa narada. Ze słów Piętaszka wynikało, że buntownicy, idąc za fałszywym śladem, zapuścili się na półtorej mili w głąb wyspy. Tam spostrzegli, że padli ofiarą podstępny.

- Ale białe złe ludzie znaczyć sobie każde drzewo nożem, ażeby trafić z powrotem - zakończył swój meldunek zafrasowany Piętaszek. - Oni teraz znaleźć ten ślad i wrócić do łodzi, jak tylko księżyc lepiej oświeci im drogę. Oni mieć wielki strach, ale wrócić i bardzo, bardzo strzelać.

Nie pozostawało więc nic innego, jak uderzyć na buntowników z zasadzki, niespodziewanie, pośrodku nocy. Robinson rozważał w skupieniu tę możliwość. Siły zostały wyrównane. Przewaga była raczej po stronie Robinsona, zważywszy znużenie marynarzy i to, że znajdowali się na obcym dla siebie terenie.

- Możemy próbować - zdecydował.

- Zapewne - potwierdził oficer. - Jeśli tylko ci czterej nie zawiodą - dodał, wskazując na siedzących opodal uwolnionych jeńców.

- Musimy próbować - rozstrzygnął Robinson. - Nie ma innego sposobu. Zresztą zdajcie się i tym razem na mnie.

Skinął na Piętaszka i odprowadził go na bok.

- Pójdiesz, chłopcze, do Yorku. Przyniesiesz rum, chleb, mięso i owoce. Trzeba dać ludziom jeść i pić. Ledwo trzymają się na nogach.

Piętaszek zagwizdał na Frienda.

- Czekaj, Piętaszku. Posłuchaj! - Robinson zniżył głos do szeptu. - Wróciwszy, zawołasz głośno, że gubernator przysłała to wszystko i pyta, jak nam się powodzi. Ale zawołaj tak, żeby majtkowie słyszeli każde słowo. No, biegnij i nie trać czasu! Zanim księżyc przebiję się przez chmury, mamy godzinę spokoju!

Nieprzyjaciel nadciągnął jednak dopiero w trzy godziny po tej rozmowie. Odwrót wyglądał sromotnie. Łotrzykowie, utykając co krok w ciemnościach, wlekli za sobą muszkiety, klnąc przy tym i kłócąc się zawzięcie. Błądzenie wśród nocy dobrze im się dało we znaki i na skraj lasu dotarli w stanie zupełnego wyczerpania. Na końcu szedł bosman. Musiał gdzieś zgubić swój bicz, a z docinków załogi można było wnioskować, że odeszła go cała fantazja i zuchwałe zarozumiałstwo. Włókł się, kulejąc, i nie zwracał uwagi na obelgi, którymi częstowali go szczodrze towarzysze. Tylko Atkins popędzał maruderów, a zuchwalcom wygrażał pistoletem.

Przedarli się przez ostatnie zarośla i stłoczeni w gromadkę, stanęli na wydmach.

- Will Fry!

- To Atkins, Robinsonie - szepnął kapitan. - Strzelać?

- Czekaj, waszmość, jeszcze. Gotowi cofnąć się między drzewa. Niech raczej zejda do łodzi.

Atkins wysunął się z gromady i dłońmi osłonił usta. Księżyc świecił im prosto w oczy i nie mogli dojrzeć szalupy.

- Aho - o - oj! Will Fry! Aho - o - oj! Odezwijcie się, do stu tysięcy diabłów!

Nasłuchiwał przez chwilę, ale jedyną odpowiedzią był plusk morza. Gdzieś daleko w lesie rozległ się chichot sowy. W gromadzie niespokojnie zaszeptano.

- Jeżeli śpią - zawołał Atkins - to, na Belzebuba, każę ich jutro oćwiczyć różgami!

Jeden z majtków leżących obok Robinsona zarechotał cicho i umilkł natychmiast, kopnięty silnie w kostkę.

Atkins zbiegł z wydmy w kierunku łodzi. Zaledwie dotarł na miejsce, wydał okrzyk przerażenia. Przed nim leżało czółno odarte ze steru. Wokół ślady walki, jaka się tu rozegrała: burty splamione krwią i w blasku księżycy ciemne zacieki na pokładzie.

Na okrzyk Atkinsa zbiegła się reszta gromady. Stanęli milczącym kołem. Ostatni przywłókł się bosman. Powitały go ponure spojrzenia. Jeden z majtków cisnął z rozmachem swój muszkiet o ziemię.

- Patrz! Patrz, ty diable, do czegoś nas doprowadził! Mówiłem ci, że to szatan wodzi nas po wyspie, a ty, ty jeden słyszałeś głos Thompsona! Dawaj teraz swojego Thompsona! Niech nam naprawi łódź i zepchnie na wodę!

Bosman cofał się krok za krokiem, a marynarz napierał nań z dłonią na rękojeści noża.

- Mówiłeś, że nie wierzysz w duchy? A powiedz nam teraz łaskawie, gdzie są ci trzej i kto nam zepsuł szalupę? Mów, zanim cię przedziurawię! Mów, ty spróchniała beczko rumu! Umiałeś nas wodzić po tych przeklętych bezdrożach, teraz szukaj sposobu, żeby się dostać na statek!

Bosman w przypiływie strachu odwrócił się w stronę Atkinsa, szukając u niego pomocy. Ale Atkins wybuchnął śmiechem. Nie miał widocznie zamiaru popadać w waśń z załogą.

- No i co? Czemu się na mnie patrzysz? Wytłumacz im, skoro cię proszą!

Bosman zrozumiał. Nikt go tu nie weźmie w obronę. Otoczony był przez wrogów. Póki był silny, panował nad nimi. Był bezpieczny, ponieważ się go bali. Ale teraz karta się odwróciła. Teraz on drżał ze strachu. Każdemu z tych majtków przysłużył się w jakiś sposób. Niejeden z nich nosił ślady jego bicia na plecach. Nie, nie miał na co liczyć.

Obrócił się na pięcie i rzucił się do ucieczki, wprost w zarośla, gdzie Robinson urządził zasadzkę. W pół kroku cisnęła nim o ziemię kula ze strzelby kapitana. Zawtórował mu natychmiast Piętaszek. Celny strzał ugodził marynarza, który skoczył za bosmanem. Pięciu pozostałych odpowiedziało bezładną strzelaniną. Nad głowami Robinsona i jego ludzi gęsto zagwizdały kule. Wygarnęli w odpowiedzi ze wszystkich strzelb, ale ciemności utrudniały celowanie.

Tymczasem Atkinsowi udało się opanować sytuację. Buntownicy ukryli się za pustą szalupą. Dalsza strzelanina mogła przynieść wątpliwe wyniki. Robinson pchnął jednego z ulaskawionych majtków. Przed chwilą powiedział mu dokładnie, co i jak ma mówić. Teraz podsunął mu dla kurażu flaszkę z rumem, a pistoletem nacisnął żebra, aby w ostatniej chwili nie skrewił. Majtek pociągnął tyk i dźwignął się na łokciach.

- Tomaszu Smith! Ohej! Tomaszu Smith!

Wolanie człowieka, którego wszyscy mieli za zmarłego, wywołało tak wielkie wrażenie, że wśród buntowników zaległa śmiertelna cisza. Przerwał ją dopiero niepewny głos Tomasza Smitha, nabrzmiały zdziwieniem i strachem:

- Na Boga! Czy to ty, Clark? Myśleliśmy już, żeś wpadł w pazury szatana!

Robinson szturchnął majtkę lufą pistoletu. Clark ostrożnie wysunął głowę.

- Jeszczem się z nich nie wywinął, kamracie! Tkwię w nich tak pięknie, jak pisklę w gniazdku z kolczastego głogu. Na Boga! Tomaszu! Więcej masz we łbie oleju niż wszyscy inni razem. Rzućcie broń. Poddajcie się, bo inaczej czeka was niechybna śmierć! Thompson zabity, Willy Fry kuma się teraz z kumotrem swoim Belzebubem, o bosmanie sami wiecie, a o resztę nawet nie pytajcie, bo skrzypi nad nimi szubienica. Na co czekacie? Tomaszu Smith, czy ty także tęsknisz do stryczka?

Tomasz Smith nie od razu odpowiedział na to wezwanie. Przez chwilę słychać było głosy naradzających się majtków. Wreszcie ucichły i Tomasz Smith odchrząknął.

- Hej, ty, Clark! A komuż to mamy się poddać? Bądź łaskaw objaśnić swoich przyjaciół, gdzie tkwisz i czyj to język obraca się w twojej gębie?

- Obym już nie dotknął nogami pokładu, mój przyjacielu, jeśli nie tkwiesz na muszce pistoletu jak robak na szpilce! Nie traćcie czasu na próżno! Nasz kapitan i muszkietery gubernatora tej wyspy polują na was już od kilku godzin. Atkins! Może ty wystawisz głowę i sprawdzisz? Dowiesz się, czy twoja czaszka twardsza jest od muszkietowej kuli!

Za szalupą znowu zaszemrały podniecone szepty.

- Dobra! - zawołał Smith. - Poddamy się, jeśli nas ulaskawią!

- Będę za wami prosił kapitana, jeśli to się na coś przyda, ale radzę wam: nie stawiajcie warunków! Tu rządzi królewski gubernator i nasza stara Anglia siedzi na tej wyspie okrakiem jak na beczce wina. W tym momencie uznał za właściwe zabrać głos kapitan Towker.

- Hej, Smith! Mój głos chyba także poznajesz? Jeżeli natychmiast złożycie broń, za zgodą ekscelencji gubernatora tej wyspy daruję wam wszystkim życie z wyjątkiem Willa Atkinsa.

- Na miłość boską! - zawył w odpowiedzi Atkins. - A cóżem ja gorszego zrobił niż tamci? Panie kapitanie, chciejcież i mnie ulaskawić!

- Atkins! - odpowiedział spokojnie kapitan. - Nie myślę teraz wyliczać ci twoich grzechów. Złóż broń i zdaj się na łaskę gubernatora. W przeciwnym razie gotuj się na śmierć. Wybierać możesz tylko pomiędzy kulą a stryczkiem!

Wśród buntowników zapadło milczenie. Robinson zdecydował, że teraz przyszła kolej na niego.

Cofnął się głębiej w zarośla. Po chwili rozległ się stamtąd głos oficera:

- *Mości kapitanie! Jego ekscelencja gubernator żąda, abyście stawili się przed nim natychmiast. Z Yorku ruszyło pięćdziesięciu ludzi. Oczekiwać ich należy za chwilę.*

- *Powiedz pan jego ekscelencji, że zamelduję się natychmiast - odpowiedział kapitan i ponownie zwrócił się do buntowników: - Czekam na waszą odpowiedź! Jeśli nie dacie jej zaraz, nie spodziewajcie się łaski. Nie myślę brać na siebie odpowiedzialności za śmierć chociażby jednego z królewskich muszkieterów, których śle mi z pomocą gubernator. Ładować broń! - zakończył, zwracając się do swoich ludzi. Szczęknęły kurki muszkietów.*

- *Stójcie! - wrzasnął Smith. - Niechże tę wyspę piekło pochłonie! Nie strzelajcie! Wyniosę wam broń i położę przed szalupą! Zgadzamy się! Zgraliśmy się do nitki, niechże i tak będzie... Banda składała broń, klnąc i pomstując. Zamilkli dopiero wówczas, gdy po dłuższej przerwie odezwał się znowu oficer:*

- *Hej! Słuchać tam i uważać pilnie! Będzie do was mówić dowódca gubernatorskiej straży! Zapadła cisza. Słysząc było tylko gwałtowny szelest zarośli, jak gdyby przedzierało się przez nie kilkunastu ludzi. Nikt nawet nie ośmieliłby się przypuszczać, że przyczyną tego hałasu był jeden jedyny - Piętaszek.*

*Wreszcie hałas ucichł i rozległ się głos Robinsona:*

- *Złamaliście prawa morskie i czeka was śmierć albo twierdza. Słuchajcie jednak, co wam powiem zgodnie z wolą gubernatora tej wyspy zwanej Wyspą Robinsona. Jeśli przyczynicie się do odzyskania statku, oszczędzając tym sposobem krwi i trudu żołnierzom królewskim, jego ekscelencja gotów jest darować wam życie.*

- *Łaski! - zawyli buntownicy, a Tomasz Smith wylazł za burtę szalupy.*

- *Sir! - zawołał. - Powiedz panu gubernatorowi, że gotowi jesteśmy wplaw płynąć do statku i oddać go w jego ręce, zanim wzejdzie słońce!*

- *Milczeć! - głos Robinsona brzmiał surowo i spokojnie. - Słuchajcie, gdyż nie skończyłem. Jeśli do wschodu słońca nie usłyszę czterech wystrzałów działowych, oddam was w ręce kata. A teraz chcę widzieć dwie naprawione szalupy i was wszystkich u wiosła. Nic więcej nie mam do powiedzenia. Biercie się do roboty.*

*Ciemności nocy kryły wszystko tak dokładnie, że nawet Clark i reszta ulaskawionych już marynarzy nie wiedziała, kto przemawia w imieniu gubernatora. Piętaszek podał im zapalone pochodnie. Wokół rozbitych szalup rozpoczęła się pośpieszna krzątania. Robinson z kapitanem i oficerem omawiali dalsze szczegóły planu. Zanim minęła godzina, obie szalupy zepchnięto na wodę. Do każdej z nich wsiadło czterech ludzi. Kapitan i oficer objęli dowództwo. Równo o północy odbili od brzegu. Na wyspie został tylko Atkins. Na rozkaz Robinsona Piętaszek odprowadził go w więzach do Warowni Koziego Króla. Po upływie godziny na statku błysnęły pierwsze wystrzały muszkietów. W odpowiedzi Robinson dał ognia z falkonetu na Wzgórzu Nadziei.*

*Chciał utwierdzić nawróconych majtków w przekonaniu, że straż gubernatora czuwa i w każdej chwili gotowa jest do działania.*

*Na morzu toczyła się najwidoczniej walka. Salwy padały gęsto jedna po drugiej. Potem zaległa cisza. Po dniu tak hałaśliwym ogarnęło Robinsona poczucie pustki. Daremnie usiłował przeniknąć ciemności. Niebo było chmurne, gęsty mrok otaczał wyspę ze wszystkich stron. Tam daleko rozgrywały się losy statku. I nie tylko statku. Jego własne również.*

*Pół nocy spędził na czuwaniu. Dopiero gdy perłowa smużka świtu ukazała się na horyzoncie, rozdarł ciszę grzmot armatniego wystrzału.*

*Jeden!... Dwa!... Trzy!... Cztery!... Na Boga! Tak, to umówione hasło!*

*Cztery ognie działowe obwieściły wyspie, że statek został odbity!*

*Kompletnie wyczerpany Robinson z trudem dowłókł się do swojej groty i runął na postanie.*

*Natychmiast zapadł w sen podobny do omdlenia. Obudził go dopiero bliski huk strzelby. Otworzył oczy.*

*Dzień jaśniał już pełnym blaskiem, a spoza palisady rozległo się wołanie:*

- *Mości gubernatorze! Mości gubernatorze!*

**PRZED ODJAZDEM**

Cztery ognie działowe oznaczały dla mnie wolność i spełnienie pragnień. Cisza, jaka nastąpiła po nich, huczała mi pod czaszką jak tysiące dzwonów. Ileż to lat minęło? Ile burz przeciągnęło nad wyspą? Ile nocy bezsennych i dni pracą ponad siły oplaconych?!

Mości gubernatorze!

Był to głos kapitana. W zatoce stała szalupa i majtkowie wynosili z niej dary przywiezione dla gubernatora. Robinson cisnął przez mur drabinkę.

Kapitan wspiął się po niej i zeskoczył na dziedziniec. Twarz jego promieniała radością i nie ukrywanym wzruszeniem. Milcząc, ścisnął Robinsona i pociągnął go w stronę Wzgórza Nadziei. O pół mili od brzegu stał na kotwicy statek. Piękny trójmasztowiec o zwiniętych żaglach wyglądał w słońcu jak ptak gotowy do lotu, który przysiadł na chwilę na falach. Kotłował się lekko, polyskując spizem luf armatnich i miedzianymi okuciami na dziobie. Philip Towker przycisnął do boku ramię Robinsona.

- Mój przyjacielu i wybawco! - zawołał. - Spójrz, oto twój statek! On i my wszyscy należymy do ciebie! Robinson poczuł nagle, że jakaś niewidzialna dłoń ścisną mu gardło, a oczy zachodzą łzami. Patrzył przez nie jak przez wielobarwną tęczę, czując, że ogarnia go niemoc nie do pokonania. Oto droga otwarta na świat. Skrzydła, które go zaniosą wszędzie, gdzie tylko zechce! Zamajaczył mu w wyobraźni mglisty brzeg Anglii, stare domki Yorku, skrzypiąca furtka.

- Płacz, płacz, Robinsonie - usłyszał szept kapitana. - Po tylu latach niedoli nie wstydź się łez! Nikt ich nie widzi, więc płacz. To ci ulgę przyniesie.

I Robinson wybuchnął płaczem jak dziecko. Opowiadanie kapitana krótkie było jak żołnierski raport.

- Posłuchaj, mości gubernatorze, jakim sposobem przejeżdżaliśmy „Elizabeth”.

Siedzieli w Yorku nad suto zastawionym stołem, racząc się kordialem przywiezionym ze statku.

Piętaszek czyścił gubernatorską szpadę, Robinson, w losiowym kaftanie ze srebrnymi guzami, oglądał pod światło rubinowy trunek, opalizujący pięknie w cienkim pucharu z rżniętego kunsztownie kryształu.

- Posłuchaj, mości gubernatorze, jak wypełniliśmy twoje rozkazy! - kapitan z zadowoleniem zacierał ręce. - Przybivszy do statku pośrodku nocy, kazałem Smithowi krzyknąć wachcie, iż przybywa wraz z zaginionymi, których w uszkodzonej łodzi holuje na linie. Zaniedbując wszelkich środków ostrożności, zrzucili trap, po którym ja wraz z moim oficerem wdarłem się na pokład, dając ognia z pistoletów.

Natenczas ty wypaliłeś z twego falkonetu. Myśl to była wyborna! Strach padł na załogę obydwu moich łodzi: sądzili, iż baterie nadbrzeżne nakierowane są na statek. Widząc w tym rękę gubernatora, tym zapalczywiej skoczyli do walki.

Robinson wychylił kubek i przyglądał brodę.

- Tedy my - ciągnął dalej kapitan - zaryglowaliśmy zapadnie, żeby odgrodzić tych, co byli jeszcze na dole, i skoczyliśmy do budki sterniczej. Pomogli nam w tym, trzeba to przyznać, Smith i Clark. Bronił się tam samozwańczy kapitan i jego trzej zauszniczy. Clark wyważył bosakiem drzwi, Smith wygarnął z muszkietu i wdarliśmy się do środka! Tamci wypalili do nas, ale już z dwóch tylko pistoletów, bo samozwaniec padł pierwszy z rozwalonym łbem. Ciało kazałem dla postrachu powiesić na najwyższej rei. Uczyniło to ogromne wrażenie na reszcie, kiedy zaczęliśmy ich w pojedynkę wypuszczać spod pokładu. Wszystko poszło od tej chwili gładko, ale trwało długo i dlatego sporo czasu minęło, zanim mogłem oddać przyręczone waszmości cztery armatnie wystrzały. Oto i wszystko, mości Robinsonie! „Elizabeth” czeka na twoje rozkazy!

Robinson zadumał się głęboko. Uświadomiwszy sobie w całej pełni, że teraz od niego już tylko zależy, kiedy podniosą żagle, ociągał się z ostateczną decyzją. Nie sądził nigdy, że przeżyje jakiegokolwiek wahania, gdy nadejdzie taka chwila. I oto okazało się nagle, że tysiącem niewidzialnych nici związany jest jednak z tą ziemią, na której spędził samotnie, a później z Piętaszkiem kawał swojego życia.

Milczeli. Kapitan nie nalegał, jakby domyślając się rzeczy, które nie zostały powiedziane. Wreszcie Robinson otrząsnął się z zamyślenia.

- Pozostaje nam sprawa Hiszpanów, o których waszmości wspomniałem. Nie godzi się pozostawić ich swemu losowi teraz, kiedy nadzieja ocalenia przyoblekła się w żywe ciało.

Philip Towker skinął głową.

- Decyzja należy do ciebie. Możemy czekać jeszcze kilka dni, byleby niezbyt długo. Pora burz

poprzedzających słotę wisi nad nami i każdy dzień naraża „Elizabeth” na niebezpieczeństwo, zważywszy, że nie ma tu ani portu, ani bezpiecznej przystani i żaglowiec stać musi na kotwicy z dala od brzegu. Robinson wiedział, że kapitan ma rację. Pierwszy sztorm potrzaskałby maszty. Należało czym prędzej uciekać.

- Drugi zaś względ, mości Robinsonie, to stan mojej załogi. Stłumiliśmy bunt żelazną dłonią, ale któż nam zaręczy, co będzie jutro, jeśli się okaże, że wieść o gubernatorze i jego muszkietierach jest tylko bajką, obliczoną na ciemne umysły?

Argument był nie do odparcia. Robinson dźwignął się z krzesła i sięgnął po szpadę.

- Zaczniemy zatem od sądu nad wichrzycielami.

W zagajniku przed palisadą ustawiono namiot. Robinson zasiadł przed nim w swoim fotelu, opierając dłonie na rzeźbionych poręczach. Za nim stanął Piętaszek z muszkietem na ramieniu, w czerwonym, trochę przyciasnym kolecie. Po lewej ręce gubernatora, na pustej baryłce po rumie, usiadł kapitan. Przyrowadzono jeńców z Warowni, a ze statku kucharza i cieślę, których ujęto w budce sternika. Rozpoczął się sąd, według prostego morskiego obyczaju. Chodziło w nim głównie o Atkinsa, cieślę i kucharza. Kapitan uważał, że lotrostwo ich jest nieuleczalne, a obecność wichrzycieli pośród załogi może dać najgorsze rezultaty. Stanęli przed gubernatorem z opuszczonymi głowami. Nie spodziewali się łagodnego wyroku, a ujrzawszy na maszcie „Elizabeth” ciało herszta spisku, wiedzieli dobrze, co ich czeka.

- Oto wpadliście w potrzask zastawiony dla innych - zaczął Robinson, mierząc ich surowym spojrzeniem. - Opatrzność nie pozwoliła na rozbój, który wybraliście, schodząc z prawej i uczciwej drogi. Statek został z mojego rozkazu zdobyty. Wiecie dobrze, co czeka pirata przyłapanego na gorącym uczynku. Jeśli macie jakieś wątpliwości, popatrzcie na główny maszt „Elizabeth”, ten sam, na którym zawiesiliście waszą czarną flagę. Czegóż wy oczekujecie teraz ode mnie?

- Dopraszamy się łaski ekscelencji, mości gubernatorze - wyjąkał Atkins. - Zgrzeszyliśmy ciężko. Wyznacz nam pokutę, ale daruj życie. Wszak nie tknęliśmy kapitana ani oficera, ani podróżnego. Racz nam to zapisać na dobro obok naszej zbrodni.

- To prawda - odpowiedział Robinson - aczkolwiek prawdą jest również i to, że wysadzając ich na brzeg bezludnej, jak sądziliście, wyspy, bez wody, żywności i broni, skazaliście ich na los być może gorszy od śmierci. I gdyby nie prośba waszego kapitana, nic nie powstrzymałoby mnie od najsurowszej kary. Ponieważ jednak prosił za wami, gotów jestem tylko odplacić wam pięknym za nadobne.

Mości kapitanie! Tych trzech ludzi skłonny jestem zatrzymać na wyspie. Każdy otrzyma po nożu, dostaną jedną siekiere, łuk i strzały. Żyć będą w głębi wyspy na wyznaczonym przeze mnie miejscu. Jeśli poważą się opuścić je, zawisną na szubienicy.

Na twarzy trzech majątków wystąpiły grube krople potu.

- Wybierajcie tedy - zakończył Robinson - samotność w odludnej części wyspy albo powrót w kajdanach do Anglii i sąd za wywołanie rokoszu.

Atkins obejrzał się na swoich kompanów.

- Pozostaniemy na wyspie - powiedział zbieleiałymi wargami.

- Myślę, że dokonaliście trafnego wyboru - rzekł Robinson, kryjąc uśmiech. - W Anglii nie uszłoby wam to na sucho. Jeśli w niczym nie dacie mi powodu do niezadowolenia, obiecuję podjąć po jakimś czasie starania i umożliwić wam powrót do domu. W dolinie, którą wam przeznaczam na pobyt, znajdziecie obsiane pola, owoce, ptactwo i drobną zwierzynę, a nawet dach nad głową. Strzeżcie się tylko, aby nie przekroczyć okolicznych wzgórz, gdyż straż moja ujmie was, zakuje w dyby i po raz drugi staniecie przed sądem za złamanie mojego rozkazu. A teraz wy - zwrócił się do pozostałych majątków.

- Daruj nam, ekscelencjo - zaczęli wołać jeden przez drugiego. - Złożyliśmy broń i kapitan przyobiecał nam wolność! Pozwól nam wrócić na „Elizabeth”, a uczynimy wszystko, żeby zmazać winę! Mości gubernatorze! Łaski!

Robinson spojrział na kapitana.

- Zgoda. Skoro wasz kapitan za was ręczy, jemu zawdzięczacie wolność. Ja żądam tylko dla przykładu chłosty na oczach reszty załogi. Zechciej, mości kapitanie, zapisać to wszystko w okrętowej księdze, przydając szczegółowy przebieg wszystkich wydarzeń.

Na tym zakończył się sąd Robinsona nad zbuntowanymi marynarzami. Piętaszek odprowadził Atkinsa, kucharza i cieślę do letniej altany. Reszta załogi udała się na pokład statku. W ślad za nimi popłynął tam również Robinson w towarzystwie kapitana Towkera, aby obejrzeć „Elizabeth”. Powitał ich wystrzał z dziobowej bombardy i flaga na grotmaszcie. Załoga, ustawiona w szeregu, z niepokojem oczekiwała gubernatora.

Robinson przekroczył nadburcie podtrzymywany pod ramię przez kapitana jak dostojnik, któremu należą się wszelkie względy. Gdy dotknął stopami pokładu, odezwała się na rufie druga bombarda i usmoleni kanonierzy zdjęli z głów kapelusze. Wśród nieruchomo wyprężonej załogi panowała cisza i słychać było tylko chlust wody o boki statku i cichutkie skrzywienie rei.

Przeszli przed frontem szeregu. Robinson, starając się nadać sobie jak najbardziej surowy wygląd, przenosił wzrok z twarzy na twarz stojących przed nim majtków. Była to zbieranina spod ciemnej gwiazdy, wycieruchy wszystkich portów, zabijaki spod znaku palki i sztyletu. Tylko strachem można ich było utrzymać w karchach. Strachem i siłą. Ale dumna postać gubernatora miała w sobie coś, co budziło szacunek i posłuch.

Robinson przystanął na schodni wiodącej w głąb statku. Rozejrzył się. „Elizabeth” była trójmasztową barkentyną z ożaglowaniem rejowym na przednim maszcie i gaflowym na dwu pozostałych. Wzdłuż burt połyskiwały falkonety zawieszane na ruchomych widłach. Przeznaczona do dalekich rejsów, „Elizabeth” przygotowana była do walk abordażowych\*, jak okręty królewskiej floty wojennej. Gdyby buntownikom udało się ją opanować, stałaby się zapewne postrachem wszystkich mórz.

W kajucie kapitana czekała waza dymiącego grogu. Przez okrągłe bulaje\*\* padało tu niewiele światła, toteż na stole płonęły świece w wielkich brązowych świecznikach. Robinson zagłębił się wygodnie w fotelu.

- Widziałeś moją załogę, mości Robinsonie - uśmiechnął się kapitan, podsuwając mu cynowy kubek. - Co o nich sądzisz? - I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Trzeba utrzymać ich w przekonaniu, że jesteś przedstawicielem króla, w przeciwnym bowiem razie krew gotowa popłynąć.

- Dobrze to, mości kapitanie - w zamyśleniu odpowiedział Robinson - dopóki nie wstąpię na pokład jako twój pasażer. Wówczas wszystko się wyda i podstęp nasz przestanie działać.

- Mylisz się. Nie przestanie działać. Ogłoszę załodze, że wyruszasz do Anglii dla załatwienia rozmaitych spraw, korzystając z pobytu „Elizabeth” na twoich wodach, i oddam ci komendę na statku, jeśli raczysz ją przyjąć... ekscelencjo - dokończył, gdyż w tej chwili chłopiec okrętowy wniósł do kajuty obficie zastawioną tacę.

Pozostawała wciąż jeszcze nie załatwiona sprawa Hernandeza i szesnastu Hiszpanów. Debatowali nad nią z kapitanem przez całe popołudnie, szukając jakiegoś rozwiązania. Nie mogli go jednak znaleźć i ostateczna decyzja nie zapadła. Robinson chciał czekać, ale kapitan stanowczo odradzał.

- Jak rozkażesz, Robinsonie - mówił. - Zbyt wiele ci zawdzięczam, aby upierać się przy swoim zdaniu. Zważ jednak, że każda noc spędzona na kotwicy przybliża do nas okres gwałtownych burz i wichrów. Obawiam się, żebyśmy nie utracili statku równie szybko, jak go odzyskaliśmy. Przyznam ci się, że te brzegi i płycizny najeżone podwodnymi skałami przejmują mnie trwogą. Sam zresztą wiesz, że marynarz czuje się bezpiecznie tylko na otwartym morzu.

Długo milczeli, zanim Robinson wysunął inną propozycję.

- Można by - rozważał bez większego zresztą przekonania - zachowując wszelką ostrożność, spróbować dotrzeć do miejsca pobytu Hiszpanów. Przy pomyślnym wietrze „Elizabeth” przebędzie tę drogę w jeden dzień. Mój Piętaszek zna dobrze te wody i mógłby nam zastąpić pilota. Nie chciałbym łamać danego słowa i nie godzi się pozostawiać ludzi na łasce losu.

Kapitan kręcił jednak głową z powątpiewaniem.

- Sam jesteś doświadczonym żeglarzem - odpowiedział wreszcie - i nie mam zamiaru pouczać cię ani przekonywać. Weź tylko pod uwagę, że nie mam map tych okolic i nie znam dna. Któż nam zaręczy, że nie staniemy na mieliźnie lub że kadłuba nie rozprujemy na rafach?

- A pomiary? - zapytał Robinson. - Możemy przecież, płynąc, robić pomiary dna. Pamiętam, że żeglując do brzegów Gwinei, nieraz uciekaliśmy się do takiego sposobu!

- To przedłużyłoby dziesięciokrotnie naszą podróż, Robinsonie. I kto wie, czy zdążylibyśmy ująć przed pierwszą burzą. W nieznanym okolicach, bez map i zaufanej załogi, wobec tornada znaleźlibyśmy się jak szczur w pułapce. Nie chcę zresztą odmawiać. Pomyślmy nad tym obaj. Rozważywszy wszystko, powrócimy do tej rozmowy. Teraz zaś przyjm gościnę na „Elizabeth” i nie wracaj już przed nocą na wyspę. Przez iluminatory zajrzało słońce. Prześliznęło się po twarzy kapitana i załśniło na moment w miedzianej oprawie wielkiego kompasu. Robinsonowi cała ta kajuta wydała się nagle ciasna i duszna.

- Nie, kapitanie. Dziękuję ci za gościnę. Pozostały nam tylko trzy dni do odbicia. Tę noc i dwie ostatnie chciałbym jeszcze spędzić w moim Yorku. - Widząc zaś, że odmową sprawił kapitanowi zawód, dodał żartobliwie: - Zrozum, że muszę zarządzić moim państwem i wydać polecenia poddanym. Chciałbym jeszcze, ażebyś ty wraz z twymi przyjaciółmi zasiadł dziś do uczyty przy „gubernatorskim stole”. Piętaszek poczynił tam już pewne przygotowania, wobec tego nie traćmy czasu i zejdźmy do szalupy. Na brzegu powitał ich Friend i z daleka chrapliwe wołania Polly. U progu grotty mignęła sylwetka Piętaszka w białym fartuchu z żaglowego płótna. Na widok Robinsona błysnął mosiężną chochlą i białymi zębami w szerokim uśmiechu.

- Piętaszek zrobić wielkie jedzenie, Robinson! Wszystkiego być dużo, za dużo! - zawołał, widząc u boku Robinsona tylko kapitana z podróżnym. Oficer musiał pozostać na statku.

- Nie martw się, mój Piętaszku - roześmiał się Robinson, obejmując ramieniem chłopca. - Damy sobie radę. Jesteśmy głodni jak żarłacz przed przyplływem.

Spędzili wieczór w Yorku nad stołem zastawionym mięsivem, przy szklance dobrego wina, smakując rozmaite owoce. Piętaszek pełnił rolę marszałka dworu. Potrawy zmieniały się jak w najprzedniejszej gospodzie. Zaczęto więc od rosółu przyprawionego korzeniami według karaibskich przepisów, później podano gościom pieczone koźlątko i ptactwo z różną. Na koniec - przysmak szczególny, którego i Robinson zakosztował niedawno, gdyż przyrządzenia tego specjału nauczył ich ojciec Piętaszka. Były to jądra kokosowego orzecha smażone w słodkim syropie.

Goście długo delectowali się tym deserem, zanim Robinson wyjawiał im tajemnicę. Nie mogli się nadziwić, słysząc, że delikatny syrop pochodził również z soku młodych pędów kokosowych.

- Wystawcie sobie, panowie, że i ja przez tyle lat spijałem tylko mleko kokosowych orzechów i wyjadałem jądra, nie wiedząc, iż krajowcy użytkują palmę na sto niemal sposobów!

- Nie może być! - zawołali niemal równocześnie kapitan i podróżny, patrząc z niedowierzaniem na Piętaszka, który z uśmiechem stawał właśnie na stole nową porcję kokosowych konfitur.

- A tak! - potwierdził Robinson, zadowolony z wrażenia. - Powiem waszmościom to tylko, co sam wiem od Piętaszka i jego ojca, gdyż nie sposób spamiętać wszystkiego. Oto niedojrzały owoc daje kwaskowy napój zaspokajający pragnienie, a dojrzały - znane nam gęste mleko, z którego karaibskie kobiety przyrządzają rozmaite potrawy. Jądra smażone w syropie właśnie spożywacie. Świeży sok służy krajowcom do wyrobu wina, skwaśniały zaś - zastępuje im ocet. I co to jeszcze, Piętaszku?

- Mnóstwo inne rzeczy. Robinson zapomnieć? - zdziwił się Piętaszek. - A zielone jedzenie?

- Prawda! Zielonym jedzeniem nazywa Piętaszek jarzynę, którą przyrządza wybornie z młodziutkich pąków.

- Ubranie! - zawołał Piętaszek.

- Słusznie. Z włókien kokosowych liści robią sobie odzież, maty i powrozy, znacznie lepsze niż nasze konopne.

Potoczyła się rozmowa na temat obyczajów indiańskich. Robinson opowiadał chętnie i dużo, znając je z opowiadań Piętaszka, Hiszpana i z własnych obserwacji. Ale pod maską wesołości krył przed gośćmi smutek, który go nagle ogarnął. Patrzył na Piętaszka, słuchał jego głosu i myślał o tym, że za kilka dni będzie musiał rozstać się z tym chłopcem, do którego przywiązał się całym sercem. Nie było wszak na to rady. Dla niego Anglia była wybawieniem z niewoli, dla Piętaszka mogła oznaczać wygnanie. Tutaj wyrósł, pod tym słońcem dojrzewał, do tych wysp i do tego morza należał.

„Piętaszku, mój drogi Piętaszku - myślał Robinson, starając się zapamiętać uśmiech i dźwięk głosu chłopca - oto rozchodzą się nasze drogi...”

Ogarnęło go wielkie znużenie.



Srebrny rąbek księżycy ukazał się ponad lasem, kiedy goście opuścili York. Robinson z Piętaszkiem zostali znowu sami - tak jak dawniej. Czy to możliwe, że wszystko się zmieniło? Polly dziobała rodzinę, wilczur drzemał rozwalony na środku groty, a w obejściu pobekiwał Barnaba. Po ścianach Yorku skakał wielki cień przedrzeźniający ruchy Piętaszka, który sprzątał ze stołu ostatki wieczerzy. Robinson zapalił fajkę i westchnął. „Należałoby porozmawiać z Piętaszkiem...” - pomyślał. Ale nie zaczynał rozmowy.

- O czym myśleć Robinson?

Drgnął, jak zbudzony ze snu. Przed nim stał Indianin i patrzył mu w oczy.

- Myślę, Piętaszku, o naszej wyspie, o Yorku, o Hiszpanach, o tym, co mnie czeka za morzem. I myślę także o tobie, mój chłopcze...

- Piętaszek także myśleć - odpowiedział Indianin, pochylając głowę. - Piętaszek także mieć wielki smutek.

- Czemuż to, Piętaszku? - zapytał Robinson, siląc się na uśmiech. - Zostawię ci mnóstwo rzeczy, którymi zadziwisz swój naród! Zostawię ci piękną strzelbę, nóż, jaki sobie wybierzesz, siekierę, radła, narzędzia. Będziesz największym człowiekiem na swojej wyspie, a nauczyłeś się tak wiele, że kto wie, może rodacy twoi uczynią cię wodzem plemienia? Mnie czeka życie trudniejsze. Ja będę musiał wszystkiego uczyć się od nowa.

Piętaszek skinął głową.

- Piętaszek mieć smutek - powtórzył. - Bardzo wielki smutek. Robinson zabierać Friend - to dobrze. Robinson zabierać Polly. To bardzo dobrze. Robinson tylko zostawiać Piętaszek. Nie potrzebować Piętaszek. Nie chcieć Piętaszek. Znowu wypędzać Piętaszek. To bardzo źle. Piętaszek mieć wielki smutek.

- Piętaszku! - zawołał Robinson, zrywając się z zydlu. - Czyżbyś chciał jechać ze mną do Anglii? Indianin skinął głową. W tej chwili gliniany dzbanek wyleciał mu z rąk, gdyż Robinson porwał go w ramiona.

Tej nocy obaj zasypiali z ulgą, jak gdyby ciężki kamień zwał im się z serca.

#### TESTAMENT ROBINSONA

Jeśliby sądził kto, że w przeddzień mego odjazdu myślami wybiegałem ku Anglii, myliłby się grubo. Wędrowały one po mojej wyspie starymi ścieżkami i po starych śladach. „Jeszcze tu jestem - myślałem. - Jeszcze tu jestem...” I smutek wkraadał mi się do serca.

Południową ciszę maćił tylko szelest kroków Robinsona i skrzywienie gęsiego pióra. Zgięty ponad stołem podróżny wodził tym piórem po wielkiej pergaminowej karcie.

...Tak tedy, Drogi Przyjacielu, cudem odzyskawszy „Elizabeth”, jak Ci rzecz całą opisałem, zwlekamy jeszcze z podniesieniem żagli, wypatrując was na horyzoncie. Nadchodzi jednak pora deszczowa, dziś nowa kłótnia wybuchła na statku wśród rozwichrzonej załogi i nie sposób już przeciągać struny. Ruszamy w Waszą stronę i jeśli los nam poszczęści, pismo to okaże się niepotrzebne...

- Napisałeś waćpan?

Podróżny skinął głową i odetchnął głęboko. Poprawił się w fotelu. Podsunął sobie bliżej fłaszeczkę z inkaustem i zdjął ostrożnie włoski, który namotał się na ostrze pióra. Odchrząknął.

Robinson dyktował dalej:

Zdarzyć się jednak może, że Was nie odnajdziemy lub drogi nasze miną się z wyroków Opatrzności. Na ten właśnie przypadek pozostawiam w Yorku to pisanie, które umyśliliśmy wygotować w portugalskim języku, aby go nie odczytał Atkins i jego kompani, gdyby wbrew moim rozkazom ośmielili się przekroczyć Melonowe Wzgórza. Uważaj tedy dobrze, co mam Ci do powiedzenia...

Robinson przystanął na chwilę i zamyślił się głęboko. Zbliżała się najważniejsza część „testamentu”, jak żartobliwie nazywał ten list do Hiszpanów.

- Piszmy.

Wszelką broń, proch, amunicję, narzędzia, resztę ziarna i zapasy żywności znajdziesz, Waszmość, zabezpieczone dobrze w Warowni Koziego Króla. Używaj tego, co Ci zostawiłem, w imię Boże, w obronie życia Twego i Twoich towarzyszy, ale z niczyją krzywdą! A jeśli Atkins i dwaj zbrodniarze okażą skrucę i chęć poprawy (na co liczę i czego się spodziewam), podziel z nimi sprawiedliwie

posiadane dobro. W każdym jednak przypadku, gdyby nawet zasłużyli na Twój sprawiedliwy gniew albo i karę, pamiętaj, Waśc, iż są to moi rodacy. Winienesz mi wypełnienie tych warunków, don Pedro, jako przyjaciel i człowiek honoru!

Podróżny otarł z czoła krople potu. Upał był nieznośny.

- Chre... chre... chre... - pokrzykiwała Polly, drepcząc wzdłuż krawędzi stołu. - Chre... chre... chre...

- Piszmy.

Zaklinam Waści, wytrwajcie tylko i nie poddawajcie się rozpacz, gdy nie zastaniecie mnie tutaj po wylądowaniu. Uczynię wszystko, co w mej mocy, ażeby przyspieszyć chwilę Waszego wyzwolenia.

Gotów jestem tej sprawie poświęcić swój czas, swoje siły i posiadany majątek. Ostańcie z Bogiem.

Robinson Kruzoe.

List złożony został w grubej, skórzanej pochwie od lunety. Robinson umieścił ją u wejścia do Yorku w taki sposób, że przy otwieraniu drzwi wypadła wprost pod nogi wchodzącego. Liczył na to, że właśnie Hernandez pierwszy przekroczy ten próg.

Ostatnie dni płynęły szybko i termin odjazdu zbliżał się nieubłaganie. Niebo coraz częściej smużyło się kleistymi chmurami, żar wysuszał wszelką wilgoć z ziemi, a noce były duszne i wilgotne, jak zwykle przed porą burz. Ostatnie kosze z ziarnem przyniesione zostały właśnie do warowni, kiedy pewnego dnia o świcie przybiła do brzegu szalupa. Wyskoczył z niej kapitan „Elizabeth”. Był przejęty czymś i poruszony.

- Robinsonie! Jeżeli jutro nie podniesiemy kotwicy, nie rękę za następną noc. Dzisiaj odkryłem nowe nici spisku.

Wiadomość była groźna i Robinson, który rzecz całą uważał już za załatwioną, przeraził się nie na żarty.

- Mój oficer podsłuchał przypadkiem rozmowę majtków na wachcie. Dwaj z nich usiłowali nakłonić trzeciego do opuszczenia szalupy.

- Nie rozumiem po co? - zdziwił się Robinson.

- W tym właśnie rzecz, Robinsonie. Po Atkinsa, kucharza i cieślę! Jeśli sądzisz, że przestali myśleć o opanowaniu „Elizabeth”, mylisz się. Zbrodnicze to pragnienie nadal nurtuje załogę. Tylko przywódców zabrakło i strach przed gubernatorem wiąże im jeszcze ręce.

- Ci trzej hultaje w głębi wyspy nic o tym, mości kapitanie, nie wiedzą. Za to ci rękę - odpowiedział Robinson po namyśle. - Wczoraj dotarliśmy z Piętaszkiem na Melonowe Wzgórza. Nie ujawniając się im, podpatrzyliśmy, jak żyją i jak sobie dają radę. Nie zauważyłem, żeby byli w najlepszym humorze. Snują się z miejsca na miejsce, próbują strzelać do ptactwa, ale niezdarnie im to idzie. Wydawało mi się też, że są skłócenia między sobą i żywią urazę jeden do drugiego.

- To o niczym jeszcze nie świadczy, Robinsonie. Gdyby reszta tej bandy zawładnęła statkiem, nietrudno by im było odszukać swoich towarzyszy. A wówczas niechaj Bóg ma nas w swojej opiece! Na szczęście nie wszyscy podzielają zdanie wicherzycieli. Trzeci z majtków stojących na wachcie, ów Clark, którego zwolniłeś od kary, oparł się im. Wynikła bójka i chciano go strącić z pokładu. Nadbiegliśmy na czas, ażeby temu zapobiec.

- A więc pirackie plany nie wywietrzały im z pomylonych głów!

- Nie tyle to, Robinsonie, ile obawa, że nasze obietnice nie zostaną spełnione.

- Nie rozumiem - zdziwił się Robinson.

- Rzecz jest prosta. Wicherzyciele podburzają załogę, twierdząc, że po przybyciu do Anglii oddamy ich wszystkich pod sąd. Trzeba temu natychmiast przeciwdziałać i jak najrychlej wyruszyć na morze. Wierz mi, nic mnie tak nie przejmuje obawą jak bliskość ziemi, jeśli nie są nią rodzinne brzegi Anglii. Ta wyspa nie wydaje mi się bezpieczną przystanią dla mojej „Elizabeth”. Przyspiesz twoje sprawy, Robinsonie.

Zaklinam cię, przyspiesz twoje sprawy!

- Płynmy na „Elizabeth”, kapitanie.

Na pokładzie „Elizabeth” powitały ich niechętnie spojrzenia. Ludzie leniwie ustawili się w szereg, zezując spode łba na oficera, który przynaglał ich do pośpiechu. W ciągu tych trzech dni nastroje w widoczny sposób zmieniły się na gorsze. Robinson wszedł na mostek kapitański i ogarnął pokład surowym spojrzeniem. Wszystko zdawało się zależeć od tego, jak rozegra tę partię. Wsparty na rękoności szpady,

spoglądał na zasepione twarze. Który to z nich podburza resztę towarzyszy?

- Twoje nazwisko?

Barcysty zbir drgnął i cofnął się o pół kroku.

- Odpowiadaj ekscelencji, hultaju! - huknął nań oficer, wyskakując przed szereg.

- Williams - burknął pod nosem majtek.

Robinson spojrział na kapitana, który odpowiedział mu skinieniem głowy.

- Zakuć go w kajdany! Marynarze spojrzeli po sobie.

- Clark! Przynieś łańcuchy!

Williams pobladł i rozdygotaną ręką począł szukać broni. Ale w tej samej chwili zza pleców gubernatora wysunął się Piętaszek z muszkietem gotowym do strzału. Majtkowie rozsunęli się i Williams został sam. Zepchnięto go w głąb schodni.

- Strzeżcie się! - Robinson rzucał słowa powoli, patrząc w stronę zamkniętego luku, jak gdyby poza Williamsem nikogo innego nie widział na pokładzie „Elizabeth”. - Strzeżcie się, bo gotów jestem zapełnić wami ładownię! A wówczas blask słońca zobaczycie dopiero pod szubienicą! Daliście się nabrać na podszepty kilku łajdaków, którzy ośmielają się twierdzić, że nie dotrzymam danego wam słowa. Wybierajcie teraz, komu chcecie wierzyć? Mnie, gubernatorowi Wyspy Robinsona, czy tym obwiesiom, którzy prowadzą was wprost w ręce kata?

Majtkowie spojrzeli po sobie i pospuszczali głowy. Teraz Robinson nie miał już wątpliwości, że partię rozegrał właściwie. Z ust marynarzy nie padło wprawdzie ani jedno słowo, ale rozstąpili się przed nim z szacunkiem, skwapliwie ściągając z głów kapelusze.

- Kiedyż, mości Robinsonie, pozwolisz mi podnieść kotwicę? - zapytał szeptem kapitan, gdy stanęli u trapu. - Sam przecież widzisz, jak się rzeczy mają.

- Jutro o świcie, kapitanie - odpowiedział Robinson. - Czekać będę na brzegu. Przyślij mi, waszmość, łódź!

Przybywszy do Yorku, cisnął w kąt swój maskaradowy strój gubernatorski i po raz ostatni wciągnął na grzbiet szorstki kaftan z kozich skór. Rozejrzył się po grocie. Oprócz pustych koszy i glinianych naczyń pozostały w niej tylko te rzeczy, które postanowił zabrać do Anglii.

- Robinson Kruzoe! Gdzie byłeś, Robinson Kruzoe? Dokąd idziesz, Robinson Kruzoe? Biedny Robinson Kruzoe! - zagadywała papuga, usiłując wpakować mu się na ramię.

Piętaszek podsunął opróżniony marynarski kufer, okuty na rogach grubą blachą.

Na dno powędrował pamiętnik owinięty w starą, podartą koszulę. Najbliższy powiernik i świadek minionych dni.

Gdyby majtkowie „Elizabeth” widzieli teraz gubernatora, jak ze wzruszeniem obraca w dłoniach wyszczerbione żelaziwo starego noża i niezdatny łuk o grubej, szerniałej cięciwie!

Owinięte troskliwie w strzępy żaglowego płótna, wędrowały kolejno do kufru najdziwniejsze przedmioty... Okopcony gliniany garnek podobny do pudła, krzemień o wyślizganych brzegach, kosmata czapa, poczerniały kaganek, kłęby nici najeżonych igłami z żelaznego drzewa, kokosowe łupiny, tyżka z muszli osadzonej na drewnianym trzonku, kołczan i strzały...

Robinson roześmiał się. Jak na gubernatora, nie był to zbyt cenny ekwipunek!

Przypomnił sobie kasetę ze złotem. Czyżby te szerniałe monety znów miały odzyskać swą wartość? Tak. Poza wyspą zaczynał się inny świat.

- Jakż jest ten świat, Piętaszku? - mruknął Robinson w zamyśleniu. - Tu, w naszej grocie, złoto stało otwarte przez tyle lat. A teraz? Kiedy wejdziemy na pokład „Elizabeth”, potrzebna mu będzie chyba tęga kłódka!

Wrzucił kasetę do kufra i zatrzaskał wieko.

Na koniec sięgnął po Biblię. Po namyśle jednak położył ją na stole, otworzywszy na stronie, gdzie widniały słowa, które kiedyś ocaliły go przed zwątpieniem:

„Wzywaj mnie w dniach utrapienia twego, a ja cię wybawię i będziesz wychwalał imię moje”.

Przycisnął otwarte karty płaskim kamieniem z myślą o Hernandezie. Może i on w godzinie rozpaczcy znajdzie w tych słowach oparcie?...

Niewiele już pozostało do zrobienia. Wycięli wraz z Piętaszkiem przejście w żywo płocie otaczającym okólnik dla kóz, aby zwierzęta mogły wydostać się na swobodę. Barnaba, ujrawszy Robinsona, wetknął mu pod ramię swój ciepły, ruchliwy pyszczek, szukając soli, którą jego pan zwykł był nosić przy sobie. Robinson podał mu ją, kryjąc przed samym sobą ogarniające go wzruszenie.

- Wyrosłeś, mój miły, na tęgiego kozła - pociągnął Barnabę żartobliwie za ucho. - Radź sobie teraz sam i pilnuj Yorku!

Kozioł parsknął i najspokojniej zaczął skubać trawę.

Opuściwszy okólnik, Robinson udał się na wybrzeże. Wolnym krokiem doszedł aż do Przylądka Ocalenia. Fala wieczornego przyływu łamała się na skalnej płycie, gdzie kiedyś wyrzuciło go morze, i bryzgami złotej piany strzelała na brzeg.

Stąd niedaleko już było do krzyża. Wiodła tam ścieżka wydeptana wśród zarośli stopami rozbitka. Uplywające lata, wichry i burze, przyływy i odpływy zostawiły na krzyżu wyraźne ślady. Pochylił się też i jakby zmałał. Patrząc nań, Robinson uświadomił sobie dziwnie dotkliwie to, co jednak nie było dlań nowością: na wyspie minęła jego młodość! Wylądował tu ongiś jako beztroski, lekkomyślny młodzieniec, odpływa jako dojrzały, świadom trudów życia człowiek.

Wydobył nóż, obliczył miniony czas i głębokimi karbami uzupełnił rachunek. Ostatnie nacięcie przebiegało w poprzek całego słupa jak gruba kreska rachmistrza: dwanaście lat, dziewięć miesięcy, siedemnaście dni... Prawie trzynaście lat!

Z kolei skierował się w stronę Wzgórza Nadziei. Dotarł aż na szczyt i spojrzął przed siebie. Tak, to tutaj przed laty wypatrywał oczy, szukając wśród fal jakiegoś statku, który by go wyzwolił z tego pustkowia. Tutaj zrozumiał, że los rzucił go na wyspę i że zewsząd otacza go tylko morze. Tutaj przeżył pierwszą wielką rozpacz i pierwszą wielką nadzieję.

Tej nocy Robinson długo nie mógł zasnąć. Patrzył na ściany swej groty, na ciemną głowę uśpionego Piętaszka i dumał. Powracały doń wspomnienia minionych dni, miejsc dobrze znanych, trudów, wzruszeń, lęków, załamań i radości. Anglia, która była mu tak bliska w ciągu wielu lat, tej nocy oddaliła się bardzo.

Tej nocy najbliższy był - York.

O świcie od brzegu odbiła szalupa. Robinson Kruzoe, Piętaszek, Friend i Polly opuścili wyspę.

Dokładnie o wschodzie słońca na „Elizabeth” podniesiono żagle. Wystrzał armatni oznajmił początek podróży. Szli lekko, prawym halsem, poprzez poranne mgły na pełne morze. Wiatr prężył płótno żagli i naciągał skrzypiące liny.

Robinson stał samotnie na rufie, śledząc niknące powoli zarysy brzegów. W swoim łosiowym kaftanie, z twarzą skupioną i poważną, wyglądał rzeczywiście na gubernatora, który do ostatniej chwili czuwa nad bezpieczeństwem wyspy. Nikt przecież nie mógł wiedzieć, że oczy zachodzą mu łzami, a serce tłucze się jak niespokojny ptak. Oto syczący kilwater, spieniony perlistą pianą, przesłonił już Przylądek Ocalenia... Powoli zagłębia się w wodę samotne drzewo, na którym spędził ongiś pierwszą noc... Widać jeszcze tylko koronę, dwie najwyższe gałęzie... A teraz niknie kępa palm ponad Kozią Dolinką... Słońce dotarło już prawie do Yorku i zajrzało w głąb groty... Widać jeszcze tylko Wzgórze Nadziei, ostatni skrawek zieleni... i Wyspa Robinsona pogrążyła się w morzu...

- Ster prawo na burt!

Zgrzytnęły łańcuchy. Płynęli w stronę wyspy Piętaszka, Hiszpanom naprzeciw.

ROZSTANIE

Radość i smutek w jednym chodzą zaprzęgu... Smutek? Cóż znaczy to słowo w obliczu tego, co czuję...

Ster prawo na burt!

- Aho - oj! Ster prawo na burt!

Słowa komendy i zgrzyt łańcuchów sterowych wyrwały Robinsona z zamyślenia. Ukradkiem otarł twarz i oczy.

„Elizabeth” posłusznie przeszła na północno - wschodni kurs. Kapitan spełniał życzenie Robinsona. Hernandez, jeśli żył jeszcze, z pewnością nie oczekiwał takiego spotkania. Ta jedna tylko myśl cieszyła Robinsona. Zewsząd otaczało ich teraz morze i zwelnione fale z trzaskiem rozbijały się o burty. Na pokładzie ukazał się Piętaszek ze starym parasolem z kozich skór. Twarz Indianina promieniała

uśmiechem.

- Piętaszek przynieść parasol. Słońce grać mocno, za mocno głowę Robinsona.

- Dziękuję ci, Piętaszku - szepnął gubernator. - Stań przy mnie. Jestem na tym żaglowcu bardziej samotny niż na naszej wyspie...

Piętaszek spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Skrzydlata łódź płynąć bardzo szybko - powiedział. - Robinson zobaczyć Anglię, wielkie domy, swój ojciec, mnóstwo białe ludzie i nie być już sam jak na wyspie.

- Kto wie, mój Piętaszku? Kto to może wiedzieć? - zasepił się Robinson.

Ostatnie ptaki, które dotychczas towarzyszyły im wytrwale, z głośnym skwirem zawracały w stronę lądu.

Około południa wiatr osłabł wyraźnie i „Elizabeth” zaczęła grzęznąć w ciężkich jak oliwa falach.

Posuwali się żółwim krokiem, żagle zwisały i upał stał się nie do zniesienia. Pod wieczór dostali się w nurt morskiego prądu, który poniósł ich nieco szybciej. O wschodzie księżycy jednak wiatr ustał zupełnie i „Elizabeth” przestała słuchać steru. Rozpięto zapasowe żagle, ale i to niewiele pomogło.

O świcie zbudziło Robinsona wołanie z bocianiego gniazda. Wybiegł na wpół ubrany na pokład.

Wachta obwoływała ląd po stronie wschodniej. Udali się z kapitanem na naradę. Sytuacja była kłopotliwa.

Zauważony ląd nie mógł być wyspą Piętaszka. Wyspa Piętaszka została za nimi, gdzieś po zachodniej stronie. Nie trzeba było na to żadnych map ani obliczeń. Doświadczenie żeglarskie mówiło im, że bezwolnie niesiony żaglowiec zboczył w ciągu nocy z kursu.

W południe majtek z bocianiego gniazda ponownie obwołał ziemię. Płynęli wzdłuż łańcucha wysp, których nazwy ani położenia nie znali. Wreszcie, przy jakimś silniejszym chwilowo podmuchu, statek posłuchał steru i udało im się wyskoczyć na nieruchomą wodę. Z dwójga złego bezpieczniej już było stać i czekać na wiatr, niż przedzierać się z prądem wśród podwodnych skał, których obecność co krok zdradzał spieniony nurt.

„Elizabeth” stanęła na kotwicy. Zwinięto żagle. Objęła ich cisza morska trwająca całą dobę.

Trzeciego dnia pod wieczór zauważyli po stronie lądu jakieś czarne rojowisko wypełniające głęboko wcięta zatokę. Odległość była duża i nawet przez lunetę trudno było odgadnąć, co to może oznaczać. Na wcięta zatokę. Odległość była duża i nawet przez lunetę trudno było odgadnąć, co to może oznaczać. Na rozkaz kapitana sternik wspiał się z perspektywą na fokmaszt. Cała załoga z zadartymi głowami tkwiła na pokładzie, czekając na jego meldunek. Upływały sekundy i wszystkich zaczęła ogarniać złość i zniecierpliwienie, kiedy przeciągły okrzyk obserwatora zmącił nareszcie ciszę:

- Aho - o - oj! Kapitanie! Aho - oj! Kapitan i Robinson wbiegli na mostek.

- Aho - oj! Słyszę! Co widzisz?

Ale sternik nie odpowiedział, zaczął natomiast zjeżdżać szybko na dół. Po chwili bosymi piętami zabębnił na pokładzie. Był blady i wargi drżały mu ze strachu.

- Mów! Coś widział? - Kapitan chwycił go za ramię.

- Śmierć! Śmierć, kapitanie! Idzie na nas cała flotylla łodzi! Zaleją nas jak robactwo! Ludzie! -

wrzasnął, zwracając się do gromady majtków. - Nie zobaczymy już Anglii! Tutaj pójdziemy na dno z tym przeklętym statkiem!

- Milcz! - doskoczył do niego Robinson, widząc, że załoga jest bliska paniki. - Zobaczyłeś, głupcze, kilkanaście łodzi i strach odebrał ci rozum!

- Ekscelencjo! Każ raczej nabić działa i daj nam broń, abyśmy mogli odeprzeć atak!

- Jeżeli nie zamilkiesz natychmiast, obedrę cię ze skóry i powieszę na największym maszcie!

Sternik zamilkł rzeczywiście i spode łba spojrział na gubernatora.

- Panie, nie gniewaj się i racz wysłuchać. Powiadam, że to jest flota. Tysiąc łodzi albo i więcej! Na zbawienie duszy przysięgam, że mówię prawdę. Zobaczysz zresztą sam. Ja wiem o tych wodach niejedno. Słyszałem o dzikich, którzy pożerają ludzi. Oni nas pożrą, ekscelencjo! Pożrą nas tym łatwiej, że nie możemy ruszyć się z miejsca przez tę przeklętą ciszę!

Robinson wyrwał sternikowi lunetę i wskoczył na sznurową drabinkę. Gołym okiem widać stąd było zwinne łodzie karaibskie rozwijające się w bojowy szyk w odległości niecałej mili od statku. W każdej

siedziało po kilkunastu dzikich. Zaczął je Uczyć, ale szybko dał temu spokój. Sternik przesadził wprawdzie, ale z pewnością było ich około stu, a od brzegu wciąż napływały nowe. Rozejrzał się po masztach. Żagle zwisały bez drgnienia, a wokół statku morze wyglądało jak lustrzana tafla. O ucieczce nie było więc mowy. Robinson zsunął się na pokład.

- Słuchajcie! Sternik powiedział prawdę. Rozdaj pan ludziom muszkiety, kapitanie. Będziemy bronić „Elizabeth”, chłopcy. Pamiętajcie, że walczyacie o własne gardła.

Spokojny głos gubernatora nappełnił załogę otuchą. Kanonierzy stanęli przy działach. Z dziobowego luku wyrzucono na pokład berdysze, siekiery i muszkiety.

- Aho - oj! Prawa i lewa szalupa! Opuszczaaaaaj!

Gwizdki oficera zapanowały nad zamieszaniem. Załoga stanęła na miejscach, w powietrzu zapachniało prochem...

- Ster lewo na burt!

„Elizabeth” przechyliła się na bok. Kanonierzy rozwinęli lonty.

Kiedyż to widział Robinson taki statek przygotowany do walki? Prawda! U brzegów Afryki!

Wówczas, kiedy to Maur zaszedł im drogę. Czemuż mu się to właśnie teraz przypomniało? Czyżby zła wróżba?

Do szalup spuszczoneo kubły na wodę i sprzęt do gaszenia ognia na wypadek pożaru. Na kilku łodziach Robinson dostrzegł płonące pochodnie. Widocznie dzicy przygotowywali się do podpalenia statku. Łodzie mknęły teraz jedna za drugą, próbując otoczyć „Elizabeth”. Piętaszek wskazał Robinsonowi wielką pirogę pośrodku, obsadzoną przez siedemnastu wiosłarzy. Stał w niej z oszczepem w dłoni wódz flotylli. W słońcu mienił się jaskrawymi barwami pióropusz na jego głowie. Twarze dzikich pomalowane były ochrą\*.

Łodzie przeszły bokiem po obu stronach, zatoczyły szerokie półkole i w pół godziny później znalazły się na wprost rufy. Podpłynęły teraz całą masą i tak blisko, że można już było rozróżnić twarze.

Piętaszek trącił Robinsona.

- Jeśli Robinson kazać, Piętaszek zejść na rufę i spytać, czego Karib chce od skrzydlatej łodzi. Robinson kazać?

Odpowiedział skinieniem głowy. Trudno było rzeczywiście odgadnąć zamiary dzikich. Sądząc po barwach wojennych, można się było spodziewać napaści. Ale dotychczas ani jedna strzała nie została wyrzucona w powietrze. Może płynęli na jakąś dalszą wyprawę i spotkanie było przypadkowe? Może chcieli tylko obejrzeć skrzydlatą łódź białych ludzi?

Piętaszek stanął na rufie i wychylił się za burtę. Przez chwilę słychać było jego głos i śpiewne słowa w niezrozumiałym karaibskim języku. Później zapanowała cisza i ktoś z dołu odpowiedział krótko i gwałtownie.

Robinson ujrzał jeszcze, jak Piętaszek odpycha się rękami od burty, ale w tej samej chwili rozległ się piekielny wrzask i chmara strzał zasypała pokład. Indianin runął na wznak i po białych deskach popłynęła struga krwi.

Robinson cisnął lunetę i zapominając o wszystkim, skoczył w stronę przyjaciela. Na wszelką pomoc było już za późno. Piętaszek dzwignął jeszcze głowę, skurcz bólu czy uśmiech skrzywił mu lekko wargi. Przycisnął do nich rękę Robinsona, który nagle poczuł, że głowa chłopca staje się ciężka i bezwładna jak kamień. Gwałtownym ruchem obrócił jego twarz ku słońcu, ale oczy Piętaszka były już zamknięte. Majtkowie stali przy działach, patrząc ze zdumieniem, jak gubernator wyspy pada na kolana u boku leżącego nieruchomo Indianina.

- Boże mój! Jeśli zasłużył czymkolwiek na Twoją łaskę i jeśli karę, jaką mi zesłałeś, w pokorze ducha odcierpiałem - przyjmij do swej chwały Piętaszka!

Gdzieś z dołu, z ładowni „Elizabeth”, rozległo się w ślad za tym wołaniem głuche wycie Frienda.

Robinson zerwał się na równe nogi. Wyglądał teraz jak wcielenie gniewu. Wyszarpnął z pochwy szpadę i uniósł ją nad głowę.

- Do dział!

Majtkowie podnieśli rozżarzone lonty. Dawno czekali już na tę komendę. Robinson wskazał

*karaibskie łodzie.*

*- Niech je piekło pochłonie! Ze wszystkich dział - ognia! Żaglowiec stęknął i okrył się chmurą dymu. Z obydwu burt, na dziobie i rufie, bluznęły jęzory płomieni. Odpowiedział na nie krzyk ginących i trzask gruchotanych łodzi. W ślad za pierwszą poszła druga i trzecia salwa, dana już na oślep przez żółte dymy osaczające ze wszystkich stron „Elizabeth”. Ale Robinson cisnął szpadę i odwrócił się do dział plecami. Nic go już one nie obchodziły. Czyż śmierć tamtych ludzi mogła mu wskresić Piętaszka? Gorąca woń saletry i siarki wyciskała łzy z oczu. Osmoleni kanonierzy uwijali się wokół armat. Statek dudnił i trzeszczał. Gwałtowne wybuchy chygotały nim jak sztormowe fale. Kiedy dymy spelzły po wodzie i odsłoniły burty, oczom ukazał się straszliwy widok. Morze wokół statku pokryte było szczątkami karaibskich łodzi, jakby flotyllę zmiotł nagle huragan. Zaledwie niewielka część czołen zdołała ująć zniszczeniu. Błąkały się teraz po otwartym morzu, a wioślarze szamotali się z rozbitkami uczepionymi u burt. Bitwa była skończona.*

*Szalupy wciągnięto na pokład. Kanonierzy przetarli okopcone działa i wszystko wracać zaczęło do zwykłego stanu.*

*Tylko Robinson nad ciałem Piętaszka zdawał się być pogrążony we śnie.*

*Cieśla okrętowy zbił prostą trumnę z grubych, dębowych desek. O zachodzie słońca załoga „Elizabeth” stanęła na pokładzie. Flagę spuszczone do pół masztu. Robinson otworzył Biblię i ciężko wsparty na burcie, zaczął czytać wybrane ustępy. Grube łzy spływały mu po twarzy i padały na karty księgi, w której tym razem nie umiał znaleźć pociechy. Na znak kapitana z armatniego luku wysunęła się trumna z ciałem Piętaszka i na linach zakołysała się nad wodą.*

*Robinson zamknął i odsunął księgę.*

*- Boże! Racz przyjąć duszę Piętaszka, o której wiesz, jak była czysta i niewinna...*

*Dębowa skrzynia osunęła się w morze i w przejrzystej wodzie widać było jeszcze przez chwilę, jak dąży w dół, pionowo jak kamień. Jedenaście armatnich salw targnęło barkentyną. Tak pożegnano Piętaszka.*

*Tej nocy zerwał się znowu pomyślny wiatr i „Elizabeth” ruszyła w dalszą drogę.*

#### **PAMIĘTNIKA ROBINSONA CIĄG DALSZY**

*Cóż można jeszcze opisać po tym wydarzeniu, które odebrało mi resztę radości? Bóg zażądał ode mnie prawdziwie nazbyt wysokiej ceny za wolność i prawo powrotu do Anglii.*

*Mój Piętaszek pozostał w pobliżu swoich wysp, na dnie morza, z którego wynurzają się wszystkie, aby pysznić się w słońcu zielenią swych palm. Ciężko myśleć o tym i jeszcze trudniej pisać, a przecież nie rozstaję się z nim i towarzyszy mi wszędzie.*

*Teraz zaś, kiedy imię tego biednego chłopca wraca pod moje pióro, niechże go raz jeszcze pożegnaj. Biedny, pocziwy Piętaszek! Wyprawilem mu pogrzeb godny zaiste admirała i tak uroczysty, jak tylko można było na tym statku to uczynić. U stóp trumny dębowej uwiązałem kule działowe, ażeby prowadziły go wprost w głębię największą, kędy żadne potwory morskie ani najśmielsze nawet nie docierają już ryby. Jakby na dno świata, gdzie nieruchoma cisza, zielony mrok i wieczny panuje spokój. Oddałem przyjaciela morzu, tak jak wszystko, niestety, w ciągu mego życia.*

*Żegnaj, mój Piętaszku! Ostatni już chyba raz kreślę twoje imię na kartach tego pamiętnika, ale myśleć o tobie nigdy nie przestanę. Byłeś najwdzięczniejszym, najwierniejszym, najpocziwszym i najbardziej przywiązanym sługą i przyjacielem ze wszystkich sług i przyjaciół na ziemi.*

*Żegnaj, mój Piętaszku!*

*Piszę w kajucie kapitana „Elizabeth”, którą oddano mi na mieszkanie. Mrok tu panuje i smutek.*

*Zielona fala oceanu nie dopuszcza światła dnia i tylko ryba czasem przemknie przy szybie okna. Moja opowieść, przerwana ongiś i podjęta tutaj na nowo, dobiega oto obecnej chwili. Płyniemy wciąż w stronę Anglii. Boże mój! I cóż tam zastanę? Wyspa Piętaszka, Hernandez, Hiszpanie - wszystko to, wbrew zamierzeniom, dawno już pozostało za nami. Zbyt mało mając amunicji, ażeby nową ryzykować utarczkę z dzikimi, z ciężkim sercem postanowiliśmy odmienić plany i żeglować wprost ku europejskim brzegom... Jestem tedy w Anglii. Wprost z portu rozstawnymi końmi udałem się do Yorku, ale mój dom rodzinny zastałem pusty.*

*Na starym cmentarzu pokazali mi obcy ludzie mogiłę mego ojca i matki, zarośniętą nieporządnie wszelakim chwastem.*

*Gorzkie to było spotkanie. Smutny powrót marnotrawnego syna. Błądziłem uliczkami Yorku, wszystkim najzupełniej obcy, jakbym nigdy nie mieszkał w tym kraju. Pozostały mi tylko wspomnienia, wierny Friend i poczciwa Polly.*

*Na dzień smutku nieomal będąc, usłyszałem pewnego dnia przed furtką mojego domu znajomy głos, wołający mnie po imieniu. Wzruszenia mego nie umiem nawet opisać! Sądziłem już, że nikt prócz mojej papugi nie zawoła na mnie nigdy „Robinsonie”!*

*Był to kapitan ocalonego przeze mnie żaglowca. Padliśmy sobie w objęcia. Zaczny ów marynarz zdał właścicielom „Elizabeth” raport nader pochlebny o moim postępkach, dzięki któremu odzyskali statek wraz z ładunkiem. Armatorzy, zaprosiwszy mnie do Londynu, dziękowali bardzo grzecznym sposobem i na pożegnanie wręczyli mi w podarunku dwieście funtów szterlingów.*

*Pamięć i wdzięczność kapitana Towkera podniosła mnie mocno na duchu. Jak ja niegdyś ocaliłem go na bezludnej wyspie, tak on teraz wsparł mnie pomocną dłonią, kiedy poczułem się sam i przez wszystkich opuszczony.*

*W Londynie już będąc, odszukałem wdowę po kapitanie Smithie. Staruszka żyła jeszcze i przypomniawszy mi siebie, przyjęła z otwartymi ramionami. Opowiedziałem jej moje dzieje, których wysłuchała w zdumieniu, gdyż miała mnie od dawna za zmarłego. Długo w noc ciągnąłem moją opowieść, osobliwe przeżywając wzruszenia. Naprzeciw mego fotela wisiał na ścianie jak dawniej portret kapitana Smitha. Z lunetą i mapą w dłoni pierwszy mój mistrz żeglarskiej sztuki zdawał się słuchać moich słów, odpowiadając serdecznym uśmiechem. Poczerniały tylko ramy portretu i poznałem, rozejrzawszy się po komnacie, że znikło z niej wiele cennych sprzętów, a na pozostałych znać było wyraźnie upływ lat. Przybyłem tutaj z myślą o pozostawionych ongiś pieniądzach, które miałem nadzieję odzyskać. Przekonawszy się jednak, że pani Smith w ciągu tych lat doznała wielu niepowodzeń i zubożała bardzo, nie zgodziłem się na spłatę długu, lecz przeciwnie, skłoniłem do przyjęcia z rąk moich wsparcia, na jakie pozwalały mi fundusze. Staruszka pożegnała mnie jak matka, łzami i błogosławieństwem.*

*Odwiedziny moje w Londynie rozniosły się szerokim echem. Przygody, jakich doznałem, znalazły się na ustach wszystkich. W ciągu kilku zaledwie dni imię moje obiegiło Londyn i angielskie porty. Przyczynili się do tego armatorzy, kapitan Towker i pani Smith, sławiąca moją szlachetność ponad zasługi i miarę.*

*Nie piszę tego, ażeby darmo się chwalić, ale ponieważ z tego rozgłosu dalsze moje wyniknęły sprawy. Sam o sławie mojej zgoła nie wiedząc nawet, wróciłem do rodzinnego miasta i znowu zaszyłem się w pustym domu.*

*I oto któregoś dnia pojawił się na moim progu bogaty cudzoziemiec, odziany, jak szlachcicowi przystoi, w aksamit i koronki. Po twarzy tylko ogorzałej wiatrem poznać w nim było marynarza. Po akcencie zaś i wtrącanych w kiepską angielszczyznę słowach - Portugalczyka.*

*- Wybaczcie, panie - rzeki do mnie, dwornie zdejmując kapelusz. - Szukam słynnego żeglarza imieniem Robinson Kruzo.*

*Kiedy, zdziwiony wielce, oświadczyłem mu, że ja nim jestem, ucieszył się i chętnie przyjął gościny.*

*Podczas prostej wieczerzy, jaką go ugościłem, wysłuchawszy wpieryw moich przygód, zadał mi pytanie, którego, dalibóg, nie oczekiwałem.*

*- Wybacz mi śmiałość, senior - rzekł, spoglądając pod światło w kielich napełniony winem - ale ciekaw jestem szczegółów pobytu twój w Brazylii. Czy zechciałbyś mi je opowiedzieć?*

*Zdziwiony, że rzecz tak mało znacząca wobec innych przypadków moich może go ciekawić, opowiedziałem pokrótce to, czego żądał. Wysłuchawszy uważnie i rozpytawszy o imiona tamtejszych ludzi, zdziwił mnie jeszcze bardziej.*

*- Pojmiesz teraz ciekawość moją, mości Robinsonie, i cel moich odwiedzin zrozumiesz, jeśli ci powiem, iż jestem synem starego twego przyjaciela. Ojciec mój polecił mi sprawdzić dokładnie, czy*



*Robinson Kruzo, o którego przygodach wieść dotarła aż do Lizbony, jest tym samym Robinsonem Kruzo, którego w serdecznej zachował pamięci. Stąd moja ciekawość, którą racz mi teraz wybaczyć.*

*- Któż jest tym przyjacielem? - zapytałem w najwyższym zdumieniu.*

*- Kapitan - brzmiała odpowiedź - który przed laty wziął cię na swój pokład u brzegów Gwinei, kiedy uszedłszy z niewoli u Maurów, błąkałeś się po oceanie w wątej łodzi żaglowej. Ojciec mój sam przybyć nie może. Starość mu na to nie pozwala. Pragnąłby widzieć cię w Lizbonie dla omówienia rozlicznych spraw i odnowienia starej przyjaźni. W Hull czeka mój statek. Racz przyjąć na nim gościnę! Nie certowałem się długo. Byłem tak samotny, że na głos przyjaźni nie mogłem odpowiedzieć milczeniem. Jakoż przyjąwszy propozycję, udałem się do Lizbony. Stary mój dobrodziej i przyjaciel przyjął mnie ze łzami w oczach. Końca nie było wspominkom, kiedy zasiedliśmy w ogrodzie pomiędzy kwitnącymi drzewami. Atoli największą niespodziankę przyjaciel zachował na koniec. Pytałem właśnie o Brazylię i dawnych moich sąsiadów.*

*- A czy ty wiesz - zapytał - że plenipotenci twoi w Brazylii, mając cię za zmarłego, oddali twój majątek królewskiemu prokuratorowi?*

*- Po tylu latach - odpowiedziałem - dziwiłbym się, gdybym go nie stracił. Starzec wybuchnął śmiechem.*

*- Otóż z podziwu nie wyjdiesz, Robinsonie, jeśli ci powiem, że majątek ten w każdej chwili odzyskać możesz, i to pomnożony.*

*Widząc zaś moje niedowierzanie, rzecz całą wyłożył mi już poważnie.*

*- Jest to depozyt, Robinsonie, i gdybyś nie wrócił w terminie określonym, który na szczęście nie minął jeszcze, jedną trzecią całości otrzymałby król, dwie trzecie zaś - klasztor Świętego Augustyna na wspomaganie ubogich i krzewienie wiary katolickiej pośród Indian. Ponieważ jednak wróciłeś żywy, cały i zdrowy, otrzymasz wszystko z powrotem prócz sum rozdanych już na cele dobroczynne.*

*- Ileż tego może być, na Boga?! - wykrzyknąłem, nie wierząc własnemu szczęściu.*

*- Tego ci nie powiem - rzekł kapitan do mnie - sądzę jednak, że niemało. Twój wspólnik bowiem wzbogacił się na swojej części niezmiernie, a jeśli mnie pamięć nie myli, trzecią część przyznaną królowi szacowano ongiś z grubsza na przeszło dwieście moidorów\* rocznego dochodu!*

*Zamilkłem. Suma była zawrotna. Lecz jakże to wszystko odzyskać?*

*- Rzecz prostsza jest, niżli przypuszczasz - rzekł do mnie kapitan, jak gdyby czytając w moich myślach. - Po to przecież sprowadziłem cię tutaj. Syn mój w zastępstwie moim prowadzi teraz handel z Brazylią. Na Tagu stoi nasz żaglowiec i wkrótce ruszy w tamte strony. Jeśli chcesz, wstawię twoje nazwisko do publicznego rejestru, wraz z moją przysięgą na piśmie, iż jesteś tą samą osobą, która ongiś nabyła plantację. Dasz pełnomocnictwa synowi i obaczysz się wkrótce zamożnym człowiekiem! Cóż mi pozostało innego, jak z wdzięcznością przyjąć pomoc starego przyjaciela wraz z gościną, którą ofiarował mi aż do powrotu statku? Spędziłem tam czas z niemałym pożytkiem, poznając ludzi ciekawych - żeglarzy, kupców, znamienitych mieszczan, którzy dom mego przyjaciela chętnie odwiedzali, dowiedziawszy się, że gości u niego ktoś, kto przeżył takie przygody, o jakich tylko w baśniach się czytuje. Sam nie wiem, jak minął mi ten czas, gdy w niespełna siedem miesięcy dano znać z portu, że statki wróciły z Brazylii i stoją na kwarantannie. Sądziłem, że urzędnik popełnił omyłkę, skądże bowiem statki, gdy czekaliśmy powrotu jednego tylko żaglowca? Jakież było moje zdumienie, gdy okazało się jednak, że żadna omyłka nie zaszła!*

*Na Tagu stały żaglowce! Przywiozły listy i towary! Spadkobiercy dawnych moich agentów, ludzie rzetelni i uczciwi kupcy, przysłali mi dwieście pak cukru, osiemset skrętów tytoniu, bawełnę, koprę i korzenie, syrop z trzciny cukrowej, rum, kakao i kawę!*

*Kiedy syn kapitana rozłożył przede mną listy i rachunki, oczom własnym nie mogłem uwierzyć!*

*Oprócz tego, co w naturze przywiozły mi statki, w bankach lizbońskich czekało na mnie bite złoto!*

*Brazylijscy moi przyjaciele, skrupulatnie wszystko obliczywszy, powiadomili mnie, że plantacja znajduje się w rozkwicie, przynosząc dochody przewyższające najśmielsze marzenia. Czeki bankowe na sumę pięciu tysięcy dwustu dziewięćdziesięciu siedmiu moidorów były tego najlepszym dowodem.*

*Mój wspólnik i przyjaciel William Wells przysłał mi tysiąc sto osiemdziesiąt cztery moidory jako*

należność za sześć lat, w ciągu których zarządzał moim majątkiem.

Pocziwy ten człowiek zdawał mi szczegółowo sprawę ze stanu mego gospodarstwa: opisywał ziemię i plony, budynki gospodarcze i mieszkalne, inwentarz żywy i martwy. Zapraszał gorąco, ażebym przybył i objął ponownie ziemię w swoje posiadanie, przyrzekając pomoc w każdym poczynaniu. Na koniec dwadzieścia dwa krzyżyki umieścił w swoim liście, objaśniając mnie, że tyle właśnie zdrowasiek odmówił w tamtejszej katedrze, dziękując Matce Boskiej za wieść o mym ocaleniu. Otrzymałem od niego w darze ponadto siedem wspaniałych skór jaguarów, pięknie wyprawionych, pięć skrzynek konfitur, o których wiedział, jak je lubiłem, i blisko sto sztuk złota w bitych monetach, nieco mniejszych od moidora. Trzy tysiące dwieście czterdzieści moidorów przysłała mi w czekach kompania, która w późniejszych latach sprawowała pieczę nad moim majątkiem, gdy uznano mnie już za zaginionego. Przeor klasztoru Świętego Augustyna, którego prokurator skarbowy uczynił w dwóch trzecich dysponentem moich posiadłości, także wyliczył się z dochodu. Nie przysłał mi wprawdzie obrachunku tak dokładnego jak tamci, ale błogosławieństwo dał na wieść, że żyję, i osiemset siedemdziesiąt dwa moidory, jakie zostały mu po zaopatrzeniu szpitala i fundacji ubogich, co z największą zeznał sumiennością.

Jeno z królewskiej części nie otrzymałem ani kruzada\*. Aleć tak to już jest. Im wyżej sięgasz, tym mniej ci w garści zostaje.

Niepodobna opisać mego wzruszenia, kiedy czytałem te listy i oglądałem bogactwa. Gdym zaś stanął w porcie, a ze statków poczęto wnosić beczki, worki i skrzynie, serce bić we mnie przestało i gdyby stary kapitan nie uraczył mnie pokrzepiającym kordialem, mniemam, że radość i zachwycenie mogłyby mnie zabić na miejscu. Odprowadzono mnie do domu i cyrulik krew puścić mi musiał, ażebym przyszedł do siebie.

Przeliczywszy wszystko na angielską monetę, ujrzałem się panem około pięciu tysięcy funtów szterlingów w gotowiznie, z dochodem rocznym z górą tysiąca funtów z mojej brazylijskiej posiadłości. Mogę teraz powiedzieć, że koniec życia Hioba szczęśliwszy jest niżli początek.

Wynająłem statek i pożegnawszy mego lizbońskiego druha, udałem się w drogę powrotną do Anglii.

#### PAMIĘTNICA ROBINSONA CZĘŚĆ OSTATNIA

Jeśli pisałem kiedyś, że pamiętnik stał się moim jedynym na wyspie powiernikiem, to dzisiaj znowu, będąc w Anglii i rodzinnym moim domu, mógłbym doprawdy wyznać to samo.

Wprawdzie od czasu mego powrotu z Lizbony nie ma dnia, abym nie otrzymywał listów jakowychś lub żeby mnie kto nie odwiedzał, żądając opowieści o moich przygodach, ofiarowując przyjaźń i korzystne proponując transakcje, ale cóż mi po tym, skoro wiem, że to blask mego złota jest tym magnesem wabiącym do mnie kupców, zubożałych armatorów, zrujnowanych bankierów, kapitanów rozbitych statków, wszelakich obieżyświatów i obiboków. Każdy z nich baja mi o skarbach ukrytych gdzieś na końcu świata, o towarach czekających w portach nie oznaczonych na mapie, o zalanych przez wodę kopalniach złota i drogich kamieni. Gdybym był młodziekiem, może dałbym się wziąć na te opowieści. Ale ja znam te dalekie morza, samotne atole, bezludne wyspy i żadna stara mapa, tajemniczymi pisana znakami, nie zdoła mnie pozbawić rozsądku. Gdyby nie moja samotność, pędziłbym od progu fałszywych przyjaciół, po których wiem, czego się można spodziewać.

Aby jednak nie być podobnym skąpcowi pochylonemu zazdrośnie nad szkatułą ze złotem, myślę i o tym, jak mam postąpić z majątkiem, który Opatrzność złożyła w me ręce.

Przeorowi klasztoru Świętego Augustyna w Brazylii wysłałem przez banki londyńskie pięćset moidorów na kościół, a trzysta siedemdziesiąt dwa na ubogich, polecając się przy tym jego modłom. Mam nadzieję, że Bóg policzy mi to za dobry uczynek, kiedy przyjdzie życie całe zważyć na ostatniej szali.

Wdowie po kapitanie Smithie wysłałem sto funtów w złocie, zobowiązując pewnego kupca w Londynie, ażeby na jej imię otworzył konto w najpewniejszym banku. Poznałem sam na sobie, ile znaczą w życiu człowieka związki trwałej przyjaźni, niechże i ta biedna, samotna kobieta dostąpi tej samej radości.

*Nade wszystko jednak postanowiłem najać statek z załogą i pod kierunkiem doświadczonego szypra czym prędzej wysłać go na drugą półkulę, na pomoc Hernandezowi i jego towarzyszom. W tym celu udałem się do Hull.*

*Tamtejsi armatorzy nie chcieli jednak słyszeć nawet o tak niepewnej i długiej podróży.*

*- Chcesz być nowym Kolumbem, mości Robinsonie? - śmiali mi się w twarz. - Sam przecież nie wiesz dokładnie, gdzie ta wyspa leży i jak się na nią dostać. Mamy dobre umowy handlowe, statki nasze chodzą z portu do portu bez ryzyka i kłopotu, a ty chcesz nas wplątać w jakąś awanturę. Nie, Szukaj innego sposobu.*

*Szukałem tedy. Któregoś dnia dowiedziałem się, że do portu w Hull ma przybić hiszpański żaglowiec, którego właściciel, jak mówiono po cichu, zajmował się każdą robotą dającą mu złoto. Nie było to wyjście najlepsze, ale gdzież szukać innego? Liczyłem także na to, że wzruszy go i zobowiąże do uczciwości opowieść o jego rodakach od lat czekających wybawienia. Statek ów jednak nie przybył w oznaczonym czasie, a ponieważ dwa dni przedtem szalała na morzu wichura, można było sądzić, że uległ wypadkowi albo zmienił kurs i zawinął do innego portu.*

*Cóż teraz przyjdzie mi uczynić? Sam nie wiem doprawdy. Czas ustatkować się w końcu, a - kto wie - może i o żeniactwie pomyśleć? Nieśpieszno mi jednak z decyzją. Robinson Kruzoe w kupieckim kantorze? Ważący imbir i goździki? Nie. Raczej folwark jaki kupię w południowej Anglii, w pobliżu morza i w pięknej okolicy, ażeby chociaż czasem z moim Friendem i Polly na ramieniu tak jak ongiś ruszyć w las w pięknej okolicy, ażeby chociaż czasem z moim Friendem i Polly na ramieniu tak jak ongiś ruszyć w las na wyprawę i złowionego zajączka nad rozłożonym zrumienić ogniskiem. Sam jeszcze nie wiem, co zrobię i jak postąpię w przyszłości.*

*Będąc obarczony tak wielką fortuną, troskam się o to, jak ją zabezpieczyć. Doprawdy, mam z tym teraz znacznie więcej kłopotu niż w cichym mym życiu na wyspie, gdzie miałem tylko to, co mi było niezbędne, ale też niczego nie potrzebowałem ponadto. Nie mam tu przecież jaskini, gdzie moje pieniądze mogłyby leżeć bez zamka i klucza, póki by nie szcerniały i nie pokryły się śnieżką. Im więcej znajduję doradców, tym mniej wiem, komu je powierzyć i jak je schować.*

*Otrzymałem długi list od Williama Wellsa. Wzywa mnie do Brazylii i nalega usilnie, ażebym przyjechał. Nie wiem. Doznałem tyłu nieszczęść na morzu, że strachem napęłnia mnie myśl o nowej podróży. A teraz jeszcze, ostatni raz będąc w Hull, słyszałem o dwóch statkach, które nie wróciły do portu, i tylko spóźniona wieść dotarła o ich losach. Jeden zabrany został przez Algierczyków, drugi rozbił się niedaleko Torbay i ledwo trzech ludzi uratowało się z pokładu. Wiadomość ta mocno mnie poruszyła, gdyż z kapitanami tych statków mówiłem przy jakiejś okazji, czyby mnie nie zabrali do Lizbony, gdzie chciałem się naradzić z przyjaciółmi. Przypadek zrządził, że nie pojechałem. A gdybym tak był pojechał?*

*Odpisałem tedy Wellsowi, że chorym będąc, muszę odwlec swój przyjazd. Posiałem mu instrukcje co do dalszego zarządzania moim majątkiem, zapewniając, że kiedyś wrócę tam, ażeby już na zawsze osiedlić się na plantacji. Może tak i zrobię. Anglia nuży mnie swoim klimatem. Mgły i brak słońca, które mnie otaczało na mojej wyspie, szkodzą mi na zdrowiu. Klimat brazylijski bliższy jest temu, do którego w ciągu wielu lat przywykłem.*

*Wyprawiłem także listy do Lizbony. Mniemam, że to jest słuszne postanowienie. Stary kapitan, któremu ufam całym sercem, i w tej potrzebie nie odmówi mi rady i pomocy. Syn jego kupcem jest i żeglarzem, jeśli więc jeszcze raz mam pieniądze, jak to mówią, topić w morzu, to niechże syn kapitana próbuje nimi obracać. Czteryście siedemdziesiąt moidorów to wcale zacny kapitalik i można nim dobrze załadować karawelę. Obaczymy, co mi z tego przyjdzie! Syn kapitana śmiałość ma moją z lat wczesnej młodości, fantazję kawalerską zgoła, a przy tym rozsądku nie brak mu ani umiaru, czego o mnie, jak sądzę, nigdy nie można było powiedzieć.*

*Moje Boże Narodzenie w Anglii smutne było jak wszystkie dotychczas.*

*Jeśli myślałem zawsze, że po powrocie los się odmieni i będzie znowu tak jak w moim dzieciństwie, miałem czas przekonać się, że lata te, najszcześniejsze, nigdy się już nie wrócą. Do zmierzchu przesiedziałem na cmentarzu, po czym po powrocie do domu wziąłem się do*

gospodarstwa, jak za najlepszych lat mej samotności.

Prawie cała noc na tym mi zeszła i tylko Polly dotrwała przy mnie do rana. Friend znalazł sobie zaciszne miejsce przed kominkiem w dawnym gabinecie mego ojca, który ja zajmuję obecnie. Leży tam na ziemi ta sama wilcza skóra, po której stąpał na swej chorej nodze sędziwy pan Kruzoe. Te same książki na półkach, globus, ten sam głęboki fotel z oparciem, zapach juchtu i fajkowego dymu. Przybyła tylko moja broń myśliwska, moje gliniane garnki, łuk, strzały i śmieszny parasol.

Do świątecznego obiadu zasiadłem ze swoim dworem. Brakło mi tylko Barnaby. Musiałem mieć osobiwą minę, gdyż Polly, gospodarując po swojemu na stole, zagadywała do mnie jak dawniej, ilekroć byłem smutny:

- Biedny Robin Kruzoe! Biedny Robin Kruzoe! Biedny Robin Kruzoe! Aż mnie to złość poczęło, jak gdyby miała rację.

Przed jakimś czasem od majtków w Hull kupiłem kokosowe orzechy. Daleko im było do orzechów z Wyspy Robinsona, ale barwą, kształtem, a poniekąd i smakiem przypominały tamte. Śmieszne to, ale na moim świątecznym stole najbardziej poczesne zajmowały miejsce.

- Biedny Robin! - skrzeczała mi Polly do ucha. - Biedny Robin! Gdzie jesteś? Skąd przybyłeś?

Dokąd idziesz, Robin?

Wylałem ją w końcu.

Czyżbym tutaj tak tęsknić zaczynał za wyspą, jak tam tęskniłem za Anglią?

Minął oto czas jakiś od mego powrotu. Sprawy moje stoją jak najlepiej, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że mi to daje szczęście. Myśl o pozostawionych na pustkowiu ludziach pozbawia mnie spokoju. Ostatnio, porządkując moje brazylijskie papiery, listy, bankowe kwity i zobowiązania, znalazłem odpis umowy, którą ongiś sporządziłem z don Pedrem Hernandezem, a którą ojciec Piętaszka spisał karaibskim pismem na pleciance z palmowych włókien.

Don Pedro stanął mi przed oczami jak żywy. Na pustym brzegu mojej wyspy człowiek odziany w kozie skóry daremnie wypatruje pomocy od Robinsona Kruzoe!...

Blade twarze siedemnastu Hiszpanów jawić mi się poczęły we śnie. Obok nich Atkins, cieśla i kucharz z „Elizabeth”. I siwa głowa Indianina.

Udałem się więc znowu do Hull. Kiedy stanąłem właśnie na brzegu, rozmyślając, co mi czynić wypada, ktoś zaszedł mnie od tyłu i poufale uderzył w ramię. Obróciłem się wielce zadziwiony. Przede mną stał zażywny kupiec o nalanej twarzy i niechlujnej brodzie, ale w kosztownych szatach i złotym łańcuchu na szyi.

- Robinsonie! - krzyknął, otwierając jak do uścisku ramiona. - Czyżbyś mnie doprawdy nie poznawał?

Odpowiedziałem, że nie mam zaszczytu znać go. Wybuchnął nagle niepoohamowanym śmiechem.

- Wierzę, do stu piorunów! Zmieniły się nasze role. Ty zażywasz sławy wielkiego żeglarza, ja zaś kupcem jestem i nazwy obcych portów oglądam tylko na skrzynkach z herbatą! Wiedz, że od dawna cię już szukam, aby odnowić przyjaźń, ale drogi nasze mijają się, a nadmiar zajęć nie pozwala mi odwiedzić cię w Yorku!

Odpowiedziałem na to, że miło mi to słyszeć, ale nie przypominam sobie nazwiska.

- Czyżbym aż tak się odmienił? - krzyknął, gniotąc mnie w ramionach. - Nazwij mnie szczurem lądowym, stary przyjacielu, tak jak ja ciebie kiedyś w tym porcie nazwałem! Masz teraz prawo ku temu, ale że i mnie z tym dobrze, nie krępuj się! Nuże, mój drogi!

Był to, zaiste odmieniony do niepoznania, towarzysz moich lat dziecięcych, z którego namowy po raz pierwszy puściłem się na morze.

- Jakubie!

- Robinsonie! Padliśmy sobie w objęcia.

Nacieszywszy się spotkaniem, zaprowadził mnie do swego domu. Mieszkał w pobliżu portu, ale domów miał kilka, nie tylko w Hull, ale i w Londynie. Poznałem jego żonę, poczciwą mieszczkę, i trzech synów, z których najstarszy sposobił się już na kupca. Zakotwiczył się mój Jakub na spokojnych wodach,

o co nigdy bym go dawniej nie posądział. Kiedy opowiedziałem mu o swoich kłopotach, nieoczekiwanie przyszedł mi z pomocą.

- Mam niewielki, ale ładowny statek przeznaczony do dalekiej żeglugi, który wymaga niejakej naprawy. Dla mnie zbyt jest mały i chętnie ci go odsprzedam, jeśli nada się do twoich celów. Zapewne - tu przymrużył oko - nie zagrzejesz miejsca i zechcesz znowu puścić się na morze?

Oburzyłem się na te słowa.

- Możesz być pewny, Jakubie, że mi już dojadła włóczęga i nawet o tym nie myślę. Nie! Nigdy już więcej, na Boga!

- Prawdę rzekłszy, wcale ci się nie dziwię - odrzekł, gładząc brodę. - Miał żeglarzem, czas ci już raczej zostać armatorem. Kup więc ode mnie statek na szczęśliwy początek twojej własnej flotylli. Flotylla Robinsona Kruzo!

Myśl była przednia i od razu trafiła mi do serca, tym bardziej że osuszyliśmy już spory dzban cypryjskiego wina.

Nazajutrz dobiliśmy targu. Ulżywszy mojej szkatule, mam za to statek. Kto wie, może otworzę kantor? „Dom Handlowy - Robinson Kruzo”?...

Przenoszę się do Hull. Trzeba mi dopilnować robót na statku, który z ostatniego rejsu do Wysp Kanaryjskich powrócił z mocno nadwerężonym takielunkiem.

Trzeba także rozejrzeć się za załogą i znaleźć kogoś, komu można by powierzyć ten statek.

Mój Jakub po starej przyjaźni ofiarował mi gościnę w swoim domu, na co przystałem chętnie, ażeby wszystkiego osobiście dopatrzeć. Zabieram ze sobą Polly i Frienda i stary mój dom zamykam na tęgą kłódkę. Może trzeba mi będzie osiedlić się na dłużej w Hull? Zawszeć to miasto portowe, bliższe szerokiemu światu niżli zatęchły York.

Nie mało widziałem statków w moim życiu, ale tak mi się zdaje, że ten mój szkuner mógłby być między nimi jak orzeł pośród stada jastrzębi i kawek. Wyszukałem dziesięciu skutników irlandzkich, którzy w zawodzie swoim mogli wieść prym pośród innych. Gdym im brzęknął złotem, z miejsca zabrali się do rzeczy i dziś mego statku nie poznają. Z dnia na dzień pięknieje jak panna, a tłum gapiów nie wychodzi z portu. Mój Jakub nadrabia miną, ale o zakład idę, że biedak żałuje transakcji. Ja nie żałuję, rzecz jasna.

Zjawił się u mnie kapitan „Elizabeth”, do którego dotarła wieść o przedsięwziętej wyprawie, i ofiarował mi swoje usługi. Przystąpiłem na to. Ma to swoje znaczenie, że zna już te wody i wyspę samą, nadto zaś, iż jest człowiekiem uczciwym i do mnie bardzo przywiązanym. Zdziwił mnie jednak swymi projektami.

- Mości gubernatorze - rzekł do mnie, zanim spisaliśmy umowę. - Wysłuchaj mojej propozycji.

„Mości gubernatorze!” Nikt do mnie tutaj takim sposobem nie przemawiał, toteż - zaprzeczyc nie mogę - wzruszył mnie pocziwiec.

- Nie wezmę od ciebie zapłaty, uczyni mi tylko swoim skromnym współnikiem. Czy nigdy nie pomyślałeś o tym, że Anglia, Szkocja i Irlandia dosyć liczą sobie biedaków, dla których rajem byłaby twoja wyspa?

Przyznaję, nie pomyślałem o tym.

- Ty zaś - ciągnął kapitan swój wywód - pełne mając prawo do tej ziemi, mógłbyś osiedlić tam uczciwych ludzi, niejednego ratując tym sposobem od głodu. Zakupiwszy zaś kilka dobrych statków, prowadziłibyśmy handel morski, o jakim Anglia nie słyszała.

Zapaliłem się do tego projektu. Przyjemnie także pomyśleć, że chociaż nie opuszczę Anglii, co jakiś czas będę mógł widzieć okręty przybywające stamtąd i wieści będą do mnie docierać, jak rozwija się Wyspa Robinsona. Kiedy tragarze wyniosą z moich statków owoce, będę mógł w myślach pozdrawiać Melonowe Wzgórza. Kiedy zobaczę bawelnę, będę wiedział, że rosła w głębi Wielkiej Doliny. Jak gdybym z mojej wyspy otrzymywał przyjazne dowody pamięci.

Podpisaliśmy więc tę umowę.

Statek stoi już pod żaglami. Na pokładzie ustawiono działa. (Podróż może różne gotować niespodzianki!) Od trzech dni werbujemy załogę w gospodzie „Pod Trzema Królami”. Dobieramy ludzi

*starannie i ostrożnie. Jakkolwiek wielu awanturników żąda co dzień zaokrętowania, bez dobrych świadectw nie biorę nikogo. Nie oddam mojego statku ani mojej wyspy w nieczyste ręce!*

*Mój kapitan przedstawił mi listę ładunku:*

*Plótna lekkie i materie*

*Sukna i skóra*

*Sprzęty gospodarskie, statki kuchenne, rondle miedziane*

*Wszelakie potrzebne w gospodarstwie żelastwo*

*Narzędzia do prac domowych i w polu*

*Broń, proch i amunicja*

*Zboża rozmaite na zasiew, nasiona w szlachetnych odmianach*

*Żywność, napoje i leki*

*Kilka sztuk żywych wieprzy*

*Dwie krowy z cielętami*

*Wszelkie materiały i potrzebne narzędzia do zbudowania pierwszej na wyspie osady.*

*Podpisałem tę listę ładunku, czyniąc znak krzyża na czole. Jakże niecierpliwie czekać będę, co z tego wyniknie! Wyprawa jest niebezpieczna i Bóg jeden wie, czy cały plan nie spali na panewce.*

*Pośród okolicznych miasteczek i wsi rozeszła się wieść o mych planach. Zgłosili się do mnie dwaj cieśle, kowal i bednarz bardzo biegły w swoim rzemiośle, zwany wśród ludzi, jak mi powiedziano, „Kubą do wszystkiego”. Przyszedł także ubogi krawiec, prosząc, aby go zabrać, i co dzień u moich drzwi czeka ktoś na posłuchanie.*

*Dopóki trwały przygotowania, pracowałem ponad ludzkie siły. Teraz zbliża się termin odbicia i znowu zostanę sam.*

*Długo myślałem nad tym, jak nazwać mój statek. Nie znajduję jednak imienia lepszego niżli to, na które wpadłem wczorajszej nocy:*

**PIĘTASZEK**

*Takie imię każę wymalować na dziobie szkunera.*

*Podpisałem listę załogi i byłem na pokładzie „Piętaszka”. Na grotmaszt wciągnięto przy mnie flagę, bijąc z dział. Na zielonym tle wyobrażona jest na niej głowa rogatego kozła.*

*Nie znajduję niczego, co usprawiedliwiałoby jakąkolwiek zwłokę w podjęciu podróży. Powinno mi to sprawiać radość, ale nie sprawia mi radości. Najchętniej nie schodziłbym już z pokładu. Najchętniej ruszyłbym z nimi przy pierwszym pomyslnym wietrze. Ale nie uczynię tego. Nie! Nigdy już więcej - jak to rzekłem nie tak dawno Jakubowi. Byłaby to jeszcze jedna lekkomyślność w moim życiu.*

*A jednak trudno mi wyobrazić sobie, że jutro oni podniosą żagle, a ja wrócę do mojego miasta, odejmę kłódkę z drzwi i odemknę zielone okiennice. Przyjdzie mi patrzeć smętnie w kominek, w dymiące szczapy drzewa, w kolumny cyfr nadesłanych z Brazylii przez Williama Wellsa, gdy tymczasem „Piętaszek” sunąć będzie gładkim oceanem na spotkanie Wyspy Robinsona.*

*Najpierw majtek z bocianiego gniazda okrzyknie ziemię. Będzie to ledwie widoczna kępka zieleni ponad horyzontem. I cal po calu wyspa wyrastać zacznie im z morza.*

*Wzgórze Nadziei jak stożek wulkanu. Wysokie palmy nad Kozią Dolinką, samotne drzewo na brzegu, Przylądek Ocalenia...*

*Ciekaw jestem, czy moi Hiszpanie zobaczą żagle? Może wybiegną na brzeg? Może dymem ogniska dadzą znać o sobie?*

*Barnaba pewnie posiwił już jak Kozia Król...*

**EPILOG**

*Robinson odłożył pióro. Westchnął ciężko i odsunął zydel. Polly trzepnęła skrzydłami, a Friend zerwał się i zaskomlił. W izbie było duszno, na kominku dogasały głownie. Dom Jakuba, jak zwykle cichy o tej porze, zdawał się ze wszystkich stron napierać na Robinsona... Trzy kroki wzdłuż i trzy kroki wszcz, tak jak w kajucie na statku. Ale z kajuty można wyjść na pokład i odetchnąć przestrzenią, która nie ma miary.*

*Robinson pchnął okiennicę. Wiatr zgasił świecę i zdmuchnął ze stołu ostatnie karty pamiętnika.*

*Ponad krzywymi dachami domów widać było portowe latarnie, a wśród nich zielone światło na*

najwyższym maszcie szkunera. Wiatr niósł zapach morza, drażnił i oszałamiał. Dom Jakuba stał tak blisko portu, że słychać było skrzypienie masztów stojących na redzie statków. Gdzieś po nierównym bruku przetaczała się z boku na bok pusta beczka, dudniąc na kamieniach. Friend wspiął się na tylne łapy i ciężki łeb wsunął pod ramię swego pana.

Na dole, w sypialni Jakuba, stary holenderski zegar wybił północ. Do świtu było już niedaleko. O świcie Robinson powinien być w porcie, żeby odprawić statek. Nie warto już było kłaść się. A zresztą czy zdołałby zasnąć? Nocny stróż, kołysząc latarnią, minął dom. Z daleka słyszał jeszcze Robinson jego wołanie:

Minęła północ, gospodarze...

Północno - wschodni wiatr, żeglarze...

Strzeżcie się grzechu, ognia i złodzieja...

Mgła kłębiła się w wąskich uliczkach, a po dachach prześlizgiwał się szary świt, kiedy Robinson przymknął okno i włożył swój łośiowy gubernatorski kaftan. Ze schodów jednak wrócił jeszcze raz na górę. Rozejrzał się po izbie. Zgarnął plik rozsypanych kart pamiętnika, położył je na kominku i przycisnął ciężkim, miedzianym kałamarzem. Wziął pod pachę senną Polly i gwizdnął na Frienda.

Zamknął starannie drzwi i przez szparę pod progiem wepchnął klucz do środka. Szybkim krokiem ruszył w stronę portu. Kiedy dotarł do miejsca, na pokładzie szkunera uwijali się już marynarze. Zgrzytał kabestan i na bęben nawijały się mokre zwoje kotwicznego łańcucha.

- Mości gubernatorze! Aho - oj!

Kapitan stał na bakburcie i machał ręką w stronę Robinsona.

- Aho - oj! - odkrzyknął Robinson.

Podbiegł na skraj mola i przytrzymał ręką barierkę trapu, który majtkowie zamierzali właśnie wciągnąć na pokład.

Tego dnia w domu Jakuba daremnie czekali na Robinsona Kruzoe.

Portowi tragarze twierdzili później, że widzieli go na pokładzie „Piętaszka”, gdy statek wychodził w morze. Robinson stał na dziobie ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, a obok niego papuga i pies. Ale w domu Jakuba długo nikt nie chciał dać tym opowieściom wiary.

#### OD AUTORA

Czy Robinson Kruzoe istniał naprawdę?

Być może na to właśnie pytanie oczekujecie teraz odpowiedzi. I ja także zadawałem je niegdyś.

Postaram się na nie odpowiedzieć.

Na wyspie Tobago znaleziono szkielet starego kozła, którego Robinson zakopał przed wejściem do jaskini.

Mieszkańcy Mas Atierra demonstrują podróżnym grootę Robinsona, a w niej skorupy jego naczyń.

Wyspę swoją nazywają także „Wyspą Robinsona”.

Rzecz w tym, co najdziwniejsze, że Tobago leży na północ od ujścia rzeki Orinoko i szukać jej należy, wędrując po Morzu Karaibskim, gdy tymczasem Mas Atierra położona jest w grupie wysp Juan Fernandez na Oceanie Spokojnym, o przeszło pięć tysięcy kilometrów na południowy zachód od Tobago! Jakimże więc sposobem te dwie, tak odległe od siebie, wyspy wiodą spór o marynarza z Yorku?

Na wyspie Mas Atierra wylądował w roku 1704 marynarz szkocki Aleksander Selkirk. Przebywał na niej samotnie przeszło cztery lata, zanim odnalazła go tam załoga angielskiego statku. W ciągu tych czterech lat żył podobnie jak Robinson Kruzoe z naszej opowieści. Nie był on zresztą jedynym rozbitkiem w owych czasach, kiedy żaglowce wędrowały po nieznanym morzach i docierały do wysp nie oznaczonych na mapach. Ale jego to właśnie dzieje skłoniły pisarza angielskiego Daniela Defoe do napisania historii, którą nazwał: „Życie i zadziwiające przypadki Robinsona Kruzoe”. A ta z kolei historia, historia Robinsona, którego stworzył Defoe, rozgrywa się na którejś z wysp położonych na Morzu Karaibskim i dużo wcześniej niż przygoda Selkirka.

Tak oto zaczęła się sława Robinsona Kruzoe. Bo o ile niewiele dziś ludzi pamięta o Selkirku, o tyle Robinsona znają wszyscy - jego postać przeszła do tradycji kulturalnej wszystkich nieomal narodów. I w tym sensie Robinson żył naprawdę. I żyje do dziś.

*Książka, którą przeczytaliście, została napisana według powieści Daniela Defoe. Jej akcja także rozgrywa się na jednej z wysp Morza Karaibskiego, u wrót Oceanu Atlantyckiego. Jeśli wyspą tą była wyspa Tobago, tym bardziej będzie Wam bliska. Wyspa Tobago bowiem należała bowiem przez jakiś czas do Księstwa Kurlandzkiego. W roku 1661 mistrz Zakonu Kawalerów Mieczowych, władający Kurlandią, poddał się Polsce i do roku 1664 rządził Kurlandią już jako lennik polski. Tak więc Tobago była jedyną w naszych dziejach kolonią Rzeczypospolitej Polskiej. Kto wie zatem, czy Robinson Kruzoe nie był także przez kilka lat poddany króla Jana Kazimierza? Kto wie? Niczego przecież nie wiemy w tej sprawie na pewno. Wiemy tylko, że Robinson będzie zawsze powracał na swoją wyspę i że nic go z nią nie zdoła rozdzielić.*

*A jeżeli nie zaspokoilem całkowicie Waszej ciekawości - wybaczcie.*

STANISŁAW STAMPF'L

## SPIS TREŚCI

<i>Dom i świat.....</i>	<i>5</i>
<i>Pokusa.....</i>	<i>9</i>
<i>Morze po raz pierwszy.....</i>	<i>14</i>
<i>Oberża Kulawego Piotra.....</i>	<i>21</i>
<i>Historia trzech złotych gwinei.....</i>	<i>26</i>
<i>Znowu na morzu.....</i>	<i>31</i>
<i>Czarny łąd i czarna flaga.....</i>	<i>37</i>
<i>Piraci z Sale .....</i>	<i>43</i>
<i>Czerwona czapka .....</i>	<i>48</i>
<i>Wolność jest na morzu.....</i>	<i>53</i>
<i>Wzdłuż brzegów Afryki.....</i>	<i>60</i>
<i>Tytoń i trzcina cukrowa.....</i>	<i>69</i>
<i>Ogień świętego Elma.....</i>	<i>75</i>
<i>Na nieznanym brzegu.....</i>	<i>81</i>
<i>Wzgórze Nadziei.....</i>	<i>87</i>
<i>Dzień po dniu.....</i>	<i>94</i>
<i>Morze jest puste .....</i>	<i>103</i>
<i>Ślad ognia .....</i>	<i>110</i>
<i>Pora deszczowa.....</i>	<i>116</i>
<i>Trudne dni.....</i>	<i>123</i>
<i>Trzeci pusty talerz.....</i>	<i>131</i>
<i>Znowu słońce .....</i>	<i>139</i>
<i>Po drugiej stronie lasu.....</i>	<i>145</i>
<i>Trzęsienie ziemi.....</i>	<i>151</i>
<i>Szczęśliwy traf.....</i>	<i>157</i>
<i>Choroba.....</i>	<i>166</i>
<i>Wyprawa w głąb wyspy.....</i>	<i>171</i>
<i>Nowe odkrycia .....</i>	<i>177</i>
<i>Chleb.....</i>	<i>209</i>
<i>Cień Koziego Króla.....</i>	<i>218</i>
<i>Ślad stopy.....</i>	<i>225</i>
<i>Sygnal wśród nocy.....</i>	<i>231</i>
<i>Wyprawa na statek .....</i>	<i>237</i>
<i>Ludziom dla nauki .....</i>	<i>245</i>
<i>Pamiętnik Robinsona.....</i>	<i>254</i>
<i>Pamiętnika Robinsona ciąg dalszy.....</i>	<i>263</i>
<i>Pamiętnika Robinsona ciąg dalszy.....</i>	<i>270</i>
<i>Zbieg.....</i>	<i>275</i>



<i>Nowy mieszkaniec Yorku.....</i>	<i>282</i>
<i>Po upływie roku.....</i>	<i>288</i>
<i>Wyprawa, która nie doszła do skutku.....</i>	<i>294</i>
<i>Naprzeciw nowym losom.....</i>	<i>304</i>
<i>Znowu walka.....</i>	<i>311</i>
<i>Zdobycie statku.....</i>	<i>323</i>
<i>Przed odjazdem.....</i>	<i>335</i>
<i>Testament Robinsona.....</i>	<i>344</i>
<i>Rozstanie.....</i>	<i>351</i>
<i>Pamiętnika Robinsona ciąg dalszy.....</i>	<i>356</i>
<i>Pamiętnika Robinsona część ostatnia.....</i>	<i>362</i>
<i>Epilog .....</i>	<i>370</i>
<i>Od Autora.....</i>	<i>372</i>
<i>* pensum (łac.) - zadanie, ćwiczenie szkolne</i>	
<i>* bakburta - lewa burta statku</i>	
<i>* rufa - tylna część statku</i>	
<i>** reja - poziome drzewce zamocowane ruchomo do masztu, służące do rozpinania prostokątnego żagla</i>	
<i>* takielunek - olinowanie statku</i>	
<i>** wręgi - poprzeczne żebra w szkielecie statku, do których przymocowuje się poszycie</i>	
<i>*** luk - otwór w pokładzie, którym wchodzi się do wnętrza statku lub ładuje towary</i>	
<i>* rumpel - drążek służący do kierowania sterem</i>	
<i>* dryfowanie - znoszenie statku z kursu przez falę, prąd albo wiatr</i>	
<i>** rumb - kąt stanowiący 1/32 okręgu koła, służący w nawigacji do przybliżonego określenia kursu, kierunku wiatru itp.</i>	
<i>*** stenga - drzewce będące przedłużeniem kolumny masztu</i>	
<i>* bukszpryt - drzewce wystające z dzioba statku ukośnie do góry</i>	
<i>** galiota (albo galeota) - nieduży żaglowiec używany w XVI i XVII w., o wypukłych burtach i zaokrąglonej rufie</i>	
<i>*** reling - barierka wokół pokładu statku</i>	
<i>**** wanty - liny podtrzymujące maszt z boków</i>	
<i>***** forkasztel - używana dawniej nazwa znajdującego się na dziobie pomieszczenia dla załogi</i>	
<i>* kokpit - zagłębienie w części rufowej pokładu</i>	
<i>* kabestan - kołowrót służący do wyciągania kotwicy</i>	
<i>* kambuz - na małych statkach pomieszczenie, gdzie znajduje się kuchnia</i>	
<i>* kubryk - pomieszczenie dla załogi statku</i>	
<i>* kil (lub stępka) - belka pozioma biegnąca od dziobu do rufy; jest to najniższa część statku, na której opiera się cała jego konstrukcja</i>	
<i>** wimpel - flaga w kształcie wydłużonego trójkąta</i>	
<i>*** grotmaszt - główny, środkowy maszt statku</i>	
<i>* Berberowie - jedno z plemion zamieszkujących Afrykę Północną</i>	
<i>* kilwater - ślad na wodzie, widoczny za płynącym statkiem</i>	
<i>* Maurowie - mieszkańcy Mauretanii, państwa arabskiego w Afryce Północnej</i>	
<i>* Hedżyra - ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny, r. 622, od której mahometanie liczą lata</i>	
<i>* sorbet - napój z osłodzonego soku owoców, który pije się mocno oziębiony</i>	
<i>* rudel - ster</i>	
<i>* pasat - chłodny wiatr wiejący w okolicach podzwrotnikowych w kierunku równika</i>	
<i>* ogień świętego Elma - płomyki ukazujące się na masztach i olinowaniu skutkiem wyładowań elektrycznych w atmosferze; w dawnych czasach marynarze uważali je za znak zwiastujący nieszczęście</i>	
<i>** tornado - silny huragan w krajach tropikalnych</i>	

- \* *Karaibowie - liczne plemiona indiańskie zamieszkujące Wyspy Antylskie i północne terytoria Ameryki Południowej; zostały one prawie doszczętnie wytępione przez europejskich zdobywców*
- \* *bombarda - rodzaj prymitywnego działa okrętowego, używanego w XIV i XV W.; strzelano z niego początkowo kamiennymi, a potem żelaznymi pociskami*
- \* *kopra - wysuszone jądra orzechów kokosowych, z których wyciska się olej*
- \* *karawela - typ żaglowca używanego od XV do XVII wieku*
- \* *aguti - gryznie wielkości zająca, pospolite w Ameryce Południowej i na Wyspach Antylskich*
- \* *barkentyna - trójmasztowiec mający na przednim maszcie ożaglowanie rejowe, a na dwóch pozostałych gafłowe, czyli skośne*
- \* *christianus (fac.) - chrześcijanin*
- \* *salwować się (z łac.) - ratować się*
- \* *Inkwizycja - trybunał ustanowiony przez papieża w XIII w. dla ścigania i sądenia heretyków; szczególnym okrucieństwem wslawiła się Inkwizycja w Hiszpanii*
- \* *maczety (z hiszp. machete) - noże o szerokich ostrzach*
- \* *kolet - krótka kurtka, najczęściej skórzana*
- \* *Odys (Odyseusz) - słynny z przebiegłości grecki król Itaki, bohater poematu „Odyseja” Homera*
- \* *abordaż - system walki morskiej, stosowany do XVIII w., polegający na szepieniu się statku atakującego z atakowanym za pomocą specjalnych haków i lin*
- \*\* *bulaj - inaczej iluminator; okrągłe okienko w burcie lub nadbudówce statku*
- \* *ochra - glinka rdzawożółtej barwy*
- \* *moidor - dawna złota moneta portugalska*
- \* *kruzad (z portug. crusadd) - dawna moneta portugalska, początkowo złota, od XVII w. - srebrna, z wyobrażeniem krzyża*